

C.). Cherryh

OGIENI

Z NIEBA

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Wydawnictwo MAG Warszawa 2002

Tytuł oryginału: *Hammerfall*

Copyright © 2001 by C.J.Cherryh

Copyright for the Polish translation © 2002 by Wydawnictwo MAG

Redakcja i korekta: Urszula Okrzeja

©Mic!

acja na okładce: atv7via Thomas Schlieck GmbH

Jarosław Musiał

Vtttiv m!

:^j Opracowanie graficzne okładki: I s/3 ci

Hjyygograficzny, skład i łamanie: "Tomek Laisar Fruń

Miejska Biblioteka Publiczna WROCLAW

4 000174891

b

ISBN 83-89004-30-5 Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG
ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa
tel./fax (0-22) 642 45 45 lub (0-22) 642 82 85
e-mail: kurz@mag.com.pl
<http://www.mag.com.pl>

Rozdział 1

„Najpierw wyobraź sobie pajęczynę gwiazd. Wyobraź sobie, jak rozciąga się coraz szerzej i szerzej. Przemierzają ją statki. Przepływają informacje.

W sercu tej pajęczyny, w jej środku, sercu i umyśle znajduje się gwiazda.

To Wspólnota.

A potem wyobraź sobie w ogromnym mroku pojedynczy sznur gwiazd, ścieżkę zapraszającą do oddalenia się od tej pajęczyny, ścieżkę, po której mogą podróżować statki.

Dalej leży skarb, niewielkie jezioro słońc typu G5, niemal krąg idealnych gwiazd, znajdujących się w bliskim wzajemnym sąsiedztwie.

Tędy, powiada to pasemko. Po tak trudnej podróży nagroda. Bogactwo. Surowce.

Lecz wzdłuż tego sznura gwiazd napływa szept, cień szeptu, złudzenie szeptu.

Pajęczyna gwiazd słyszała już coś takiego. Są tam inni, bardzo daleko, bardzo niewyraźni, nie mający znaczenia dla naszych spraw.

Czy powinniśmy byli ich słuchać?"

- Księga Lądowania

Na Lakht, na tej rozległej, czerwonej ziemi Pierwszych Przybyszów, gdzie według legendy wylądowały statki, odległości oszukiwały oko.

W samo południe, kiedy słoneczny blask odbijał się od płaskowyżu, tuż poniżej czerwonego, żółtego grzbietu Quarain,

który oddzielał Lakht od Anlakht, tej prawdziwej krainy śmierci, unosiło się w rozedrganym powietrzu nierzeczywiste miasto, widoczne jako świetlista linia.

Miasto było zarazem mirażem i prawdą; zawsze pojawiało się na dzień przed swoją prawdziwą postacią. Marak o tym wiedział, idąc bez końca obok beshti, zwierząt, na których jechali ich strażnicy.

Długonogie wierzchowce nie dawały się oszukać. Nie przyśpieszyły kroku. Podobnie nie śpieszyło się strażnikom.

• Święte miasto! - zawołało kilkoro potępionych, niektórzy z ulgą, niektórzy ze strachem, wiedząc, że zbliża się koniec katuszy oraz koniec ich życia. - Oburan i dwór Iii!

• Szybciej, szybciej - leniwie drażnili się z nimi strażnicy górujący nad kolumną. Ich smukłe wierzchowce o wygiętych szyjach kroczyły z niezmałym spokojem. Były to cierpliwe zwierzęta o płasko zakończonych nogach, o wiele wyższe od większości drapieżników Lakht, wytrzymałe bez wody i niemal bez jedzenia długie odcinki między studniami. Szły w długim szeregu - dźwigając namioty oraz pozostały sprzęt potrzebny w podróży.

• Oburan! - wciąż krzyczeli głupcy. - Wieża, wieża!

-Biegnijcie do nich! Biegnijcie! - zachęcali swoich więźniów niżsi rangą strażnicy. - Będziecie tam przed nocą, pić i jeść, zanim my tam dotrzemy.

To było kłamstwo; niektórzy o tym wiedzieli i przestrzegli pozostałych. Kiedy rozniosła się wiadomość, że ta wizja to tylko cień miasta i że wędrówka nie dobiegnie końca przed upływem następnego dnia, żona rolnika z nizin podniosła lament.

- To niemożliwe! - wołała. - Ono jest tutaj! Ja je widzę, a wy nie?

Inni jednak stracili już i nadzieję, i strach przed końcem podróży, i szli w palących promieniach słońca takim samym krokiem, jak przez całą drogę.

Marak różnił się od pozostałych. Nad sercem miał wytatuowany znak abjori, wojowników spośród skał i wzgórz. Jego strój - długą koszulę, spodnie, aifad owinięty wokół głowy dla ochrony przed piekielnym żarem - uszyła mu własnoręcznie

matka, z materiału, który ufarbowała i utkała tak, jak robią to Kais Tain. W czasach wojny już same te wzory przyniosłyby mu zgon. Sześć tatuaży na grzbietach jego palców oznaczały liczbę strażników Iii, których osobiście wysłał w cienie. Ludzie Iii o tym wiedzieli i szczególnie pilnie wypatrywali jakichkolwiek oznak buntu. Marak był znany na nizinach i samej Lakht jako wojownik nieuchwytny jak miraż i szybki jak wiatr o wschodzie słońca.

Wypuszczał się z ojcem na tę równinę i przez trzy lata widział w murach świętego miasta zdobycze. Razem z ojcem układał wielkie plany mające położyć kres rządowi Iii. Walczyli i odnosili zwycięstwa.

A teraz potykał się o strzępy swych butów do jazdy na beshti.

Jego życie na tej ziemi trwało trzydzieści lat i najprawdopodobniej dobiegało końca. W ręce ludzi Hi oddał go jego własny ojciec.

- Widzę miasto! - zawołała wieśniaczka. Była zamezną, godną szacunku kobietą, która jako jedna z ostatnich przyłączyła się do maszerujących. - Nie widzicie go? Jak wznosi się coraz wyżej? To już koniec drogi!

Miała na imię Norit i swą delikatną skórę chroniła od słońca pod szatą, ale była równie szalona, jak pozostali w tym sznurze potykających się ludzi - jak większość z nich ukrywała swe szaleństwo, ukrywała je skutecznie przez całe życie do czasu, kiedy wizje zaczęły się pojawiać licznie i często. Może zwróciła się do kapłanów, a ci przestraszyli ją tak, że się przyznała? Może poczucie winy z wolna zabiło jej ducha? A może wizje stały się zbyt silne i uniemożliwiły dalsze ukrywanie szaleństwa? Kiedy ludzie Iii przybyli w poszukiwaniu szaleńców, przyznała się, płacząc - jej mąż usiłował ją zabić, lecz ludzie Iii go powstrzymali. Norit pochodziła z wioski Tarsa, leżącej na zachodnim skraju Lakht.

Teraz wizje coraz bardziej brały ją w posiadanie i w przebłyskach zdrowego rozsądku kobieta kiwała się, oplakując swe poprzednie życie i gorączkowo opowiadając o sobie. Raz po raz powtarzała historię swego męża, najbogatszego człowieka w Tarsie, który ją poślubił, gdy miała trzynaście lat. Marnowała siły na

płacz, podczas gdy pustynia wysysała całą siłę potrzebną do wzbudzenia rozpaczki i całą wodę, z której powstawały lzy. Być może jej mąż pozbył się jej z ulgą.

Następny w szeregu mężczyzna, starzec z dawno przetrąconym grzbietem, zostawił w Modi wiekową żonę, kobietę, która prawdopodobnie będzie żyła z łaski swych dzieci, jak nieproszony gość. Starzec rozmawiał z duchami i nie pamiętał imienia żony. Dlatego szlochał i pytał o to imię innych. „Magin”, odpowiadali mu z niesmakiem, ale on je zapominał i po kilku godzinach znów pytał. Swoje szaleństwo ukrywał najdłużej z nich wszystkich. Czasami zapominał, dokąd idą, ale to zdarzało się też i pozostałym. Marsz trwał tak długo, że stał się czymś zwykłym, warunkiem istnienia.

Chłopiec, ten mały Pogi, który kiwał się i mówił do siebie na każdym popasie, stanowił cel wiejskich żartów w Tijanan. Wszyscy uznawali go za nieszkodliwego, ale ze słów ludzi Iii wynikało, że mieszkańcy wioski zaczęli się niepokoić i oddali go w ich ręce, a kiedy chciał wrócić na swoją ulicę, obrzucono go kamieniami. Nie miał ojca. Znalaziono go pewnego ranka przy studni, co już samo stanowiło powód do podejrzliwości. Mógł go tam zostawić jakiś diabeł. Tak też pomyślano, kiedy ludzie Iii zapytali o szaleńców: był on jedynym szaleńcem w tej wiosce.

Każdy z pozostałych miał swoją opowieść. Karawana była pełna przeklętych, skazanych, odrzuconych. Mieszkańcy wioski tolerowali ich tak długo, na ile wystarczyło im odwagi. Na długo przed tym wszystkim Tain zarządził pogrom mający oczyścić jego prowincję z szaleńców. Było to przed dziesięciu laty, ale bóg z niego zakpił. Teraz okazało się, że skazony jest jego własny syn i następca. Tain z Kais Tain skutecznie buntował się przeciwko Iii i Lakht, nie dając się pokonać przez dziesięć lat i gromadząc pod swymi rządami cały zachód. Lecz jego własny syn miał tajemnicę i wreszcie zdradził się przedłużającymi się napadami milczenia, błędnym spojrzeniem, wołaniem przez sen. Cały czas był szalony. Jego ojciec być może zaczął to podejrzewać przed wielu laty, ale odrzucił wątpliwości; ostatnio jednak, po ich powrocie z wojny, głosy stały się zbyt uporczywe, zbyt trawiące, by dłużej utrzymywać tajemnicę. Ojciec go przejrzał.

A kiedy wkrótce potem usłyszał, że ludzie Iii szukają szaleńców, wysłał syna do nich... oddał go, ponieważ prawda złamała jego opór wobec rządów Iii.

„Mój własny syn, mój własny syn” wciąż powtarzał Tain. Winił za to żonę; przesiadywał w swojej sali ponury i wściekły, niczym wojownik poszukujący pokoju.

W podpisanym przez siebie dokumencie Tain oznajmił, że przez resztę życia nie wyruszy na wojnę. Powtórzył to głośno ludziom Iii, podpisał ich księgę, a oni w zamian za jedynego syna objęli go amnestią. Tak bardzo zdrowi bali się szaleńców, którzy - wedle pogłosek - mnożyli się ostatnio

skandalicznie: pojawiali się wszędzie, było ich coraz więcej, niczym zaraza wśród zdrowych, i zdrowi zaczęli się obawiać zarażenia.

- Marak! - zawołała do niego matka, kiedy odchodził, zupełnie jak te głosy, które rozbrzmiewały mu w głowie. *Marak, Marak!* A jego siostra Patya, kwintesencja radości, naciągnęła swój pasiasty aifad na twarz i obrzuciła się piaskiem, jakby Marak już był martwy. Wciąż widział ją siedzącą na ulicy Kais Tain, kupkę jaskrawego materiału i rozpacz.

W snach widywał matkę, która wylewała łzy na wiele dni przed jego odejściem, szła obok karawany opuszczającej Kais Tain, i która szła z nim całe tamto popołudnie aż do zachodu słońca.

Wtedy zgodziła się wrócić do wioski, do niewiadomego losu. Marak nie miał pojęcia, czy w ogóle wróciła do Kais Tain. Pochodziła z nizinnego plemienia Haga; mogła skrócić na ścieżki znane Haga i szukać znanych im studni.

„Ta skaza pochodzi z twojej krwi!” krzyknął do niej ojciec, kiedy poznał prawdę, ale nie uderzył żony. Gdyby to zrobił, Marak powaliłby go na ziemię. Ojciec spojrział potem na niego i zadał to potępiające pytanie:

- Kiedy to na ciebie spadło?
- Nie pamiętam - musiał wyznać Tainowi, patrząc mu w pokrytą bliznami twarz. - Kiedy byłem bardzo mały.

Ojciec odwrócił się i nic już nie powiedział. Zatem szaleństwo kładło się plamą na wszystko, czego kiedykolwiek razem dokonali. Zaufanie, którym się darzyli, było kłamstwem. Wtedy po raz ostatni patrzyli sobie w oczy.

9

Słońce stanęło w zenicie. Karawana rozstawiła namioty dla ochrony przed światłem, miraż miasta już zniknął, a żona z Tar-sy ze szlochom dała się posadzić, wciąż mówiąc do siebie.

Inni zbili się w grupki; odwracali oczy od słońca rozlewającego się poza plamami cienia, a chłopiec kiwał się i coś mówił do siebie. Rudobrody mężczyzna, garbarz w średnim wieku, z ramionami, z których ponownie schodziła od słońca skóra, siedział na rozgrzanym piasku i modlił się do bogów, o których wierni dobrze wiedzieli, że nie wysłuchają szaleńca.

Marak nie robił żadnej z tych rzeczy. Siedział tylko w cieniu namiotu z podniesionymi połamami i patrzył na horyzont, równie pewny jak jego strażnicy i przewodnik karawany, że nazajutrz, może nazajutrz wieczorem, dotrą do kresu podróży.

Żaden z pozostałych szaleńców nigdy nie przemierzył Lakht. Żaden z pozostałych mających więźniów nie jeździł na wojnę z długotrwałą władzą Iii i nie pomagał najgroźniejszym z abjori zalewać ogniem tych wież.

Żaden z pozostałych nie zajechał tak wysoko na kłamstwie. Nikt z pozostałych nie był spadkobiercą Kais Tain ani nadzieją na spełnienie długoletnich ambicji Taina.

W owych czasach majaki nawiedzały go w nocy. Młody wojownik, zdecydowany kroczyć śladami ojca, potrafił utrzymać je w tajemnicy, choćby zagryzał wargi do krwi, choćby głosy odwracały jego uwagę, gdy siedział przy ojcowskim stole, czy oślepiały go, gdy jechał na złamanie karku po zboczu wydmy.

Lecz wojna skończyła się wcześniej niż ich miłość.

Od wycofania się spod świętego miasta minęły trzy lata. Podczas ostatniego roku tajemnice rozwinęły się w wizje, a wizje rozbrzmiały głosami. Wizje pojawiające się nitkami i gałązkami ognia splatały się coraz ciaśniej, aż powstałe tak obrazy zastąpiły to, co widziały jego oczy.

Chodź do nas, mówiły teraz coraz bardziej natarczywe wewnętrzne głosy. *Chodź do nas. Słuchaj nas*. W takich chwilach cały świat raz po raz gwałtownie się przechylał, jakby demony tkwiące w oczach Maraka usiłowały przechylić na lewo lub prawo całe jego ciało. Trudno było się oprzeć takim szarpnięciom. Szaleńcy pogrążeni w atakach choroby zwykle podrygiwali i rzucali się.

Niektóre rodziny mogły nie oddać swoich szalonych synów. Niektóre rodziny, nawet całe wioski, mogły być skażone i ukrywały swój wstyd w tajemnicy.

Inne rodziny, inne wioski mogły po cichu zabić swoich szaleńców, by nie mieć kogo przekazać ludziom Iii. Karawana potępionych zatrzymywała się w wioskach, w których nikt nie przyznawał się do szaleństwa.

Żona z Tarsy zawodziła i modliła się, ogarnięta wizjami.

- Patrzcie! - wołała. - Miasto! Jest tu święta wieża!

A kiedy indziej:

- Niech bóg ma w opiece Iłę. - Jakby liczyła, że żołnierze się zlitują, jeśli będzie wychwalała tyranke.

- Na wschodzie jest diabeł! - wrzasnął garbarz, co rozbudziło starca, który zapytał o swoją żonę i zawołał, że zdradziły go splodzone przez niego diabły.

Po twarzy, szyi i pod pachami Maraka spływał pot, wysychając mu na żebrach. Ciało mężczyzny zdradza go w upale. Chętnie oddaje wodę. W smutku oddaje jej nawet więcej.

Gdzieś ponad niebem leżała kraina bogata w życie, gdzie rodzili się wszyscy ludzie.

Gdzieś tam ponad rozżarzoną błękitem leżał raj bogaty w wodę, staw, z którego nieustannie wypływa strumień.

To miejsce może i było w niebie, jak mówili kapłani, ale podczas marszu niebo nie przypominało raju, oferując jedynie zimne światło gwiazd nocą i płonące oko słońca za dnia.

Kapłani mówili, że kiedy na Lakht zstąpili Pierwsi Przybysze, nieśmiertelna i wieczna Ila oddzieliła ludzi od zwierząt, a zwierzęta od plugastwa: potem nad światem i jego porządkiem zapanował bóg, jedyny bóg, a zarządzała nim Ila i jej kapłani.

Marak, podobnie jak jego ojciec i większość zachodu, odrzucił tę wiarę. Niebo nie oferowało żadnej pomocy, nie można było polegać na kapłanach na ziemi ani na zastępczyni boga. Skoro jednak zwalczał tę władzę i spotkało go coś takiego, to ze swoim życiem tu na ziemi nic nie mógł już zrobić, może oprócz zakończenia go, wylania jak wodę, by pustynia wypila je do sucha, a plugastwo nieba zleciało się chmurą. Człowiek mógł umrzeć za dnia, a o zachodzie słońca zostawały z niego tylko kości.

Marak postanowił jednak ujrzeć święte miasto jeszcze jeden raz. Znajdowali się o dzień marszu od niego. Zaszedł tak daleko wyłącznie dzięki wytrwałości, wiedząc, że pozostała mu już tylko śmierć, i widząc, że jak dotąd to, co przynosił następny dzień, okazywało się lepsze od niezobaczenia go w ogóle.

Mając teraz w oczach złudny obraz miasta, przypomniał sobie, że nie tylko może je zobaczyć, ale że sama Ila zapragnęła ujrzeć szaleńców. Pomyślał, że może będzie żył dość długo, by zacisnąć dłonie na jej gardle. To już jest jakaś ambicja.

A kiedy ojciec usłyszy, że Marak skręcił nieśmiertelny kark Iii, być może okaże mu wdzięczność. Jego syn jest szaleńcem i wyrzutkiem, lecz nie jest bezsilny.

Świat przechylił się na wschód. Przechylił się i obrócił jak kompas w misie.

Cały płaskowyż uniósł tsię i przechylił, a wszyscy szaleńcy jednocześnie podparli się rękami, by nie upaść.

Żona jednak nagle zerwała się, krzyknęła i puściła się biegiem.

- Miasto! - wołała. - Oburan! Niech Ila ma nas w opiece!

Dwaj spośród ludzi Iii zaczęli się śmiać, ale po chwili wstali i ruszyli za nią; wszyscy szaleńcy wyprostowali się i patrzyli za nimi, a co pobożniejsi zaczęli coś mamrotać o diablach.

- Diabły są na dworze Iii! - drwili z nich ludzie z zachodu, w głębi serca będący abjori. - A ich przywódczynią jest sama Ila!

- Tam jest woda! - zawołał garncarz. - Woda do picia dla wszystkich.

Kilkoro szaleńców wstało, wykrzykując słowa zachęty dla żony albo protestując przeciwko bluźnierstwu, ale strażnicy zmusili ich biciem, by z powrotem usiedli na piasku. Poza tym nikt się ruszał w tym upale. Szaleńcy patrzyli, jak żona biegnie, wzbijając chmurki czerwonego pyłu pustyni.

Czy uda jej się uciec? - zastanawiał się Marak, cały czas spokojnie siedząc. Wydmy mają strome zbocza, z których można spaść.

A może skręci sobie kark albo pęknie jej serce? Może wtedy inni znajdą odwagę, by podjąć wysiłek? Marak poszukał tej odwagi u siebie. Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanawiał, kiedy miasto znajdowało się tak blisko, myśl o gardle Iii całkowicie nim owładnęła.

W końcu ludzie Iii pobiegli szybciej. Wynik zawodów był przesądzony i większość karawany straciła zainteresowanie. Ludzie rozciągnęli się na piasku, niektórzy z bólem głowy. Marak patrzył jednak z ciekawością, jak żona umyka strażnikom.

Była sprytna. I miała cel.

Poczuł lekkie rozczarowanie, gdy chwilę potem ludzie Iii dogonili kobietę i wymachując rękami i krzyżując rzucili na piasek. Widział już to przedtem, ostatni wybuch życia u szaleńca, potem powolne staczanie się w rozpacz i apatię, a wreszcie śmierć.

Omotali kobietę jej aifadem, używając go jak liny, i przynieśli ją z powrotem, nie zważając na jej

krzyki i wrywanie się. Jej warkocze wlokły się po ziemi, miały się wściekle. Gołe nogi młóciły powietrze. O mały włos jej nie upuścili. Ta żona z Tar-sy miała więcej odwagi niż większość pozostałych oraz zdumiewający upór.

Na wschód, odezwały się ponownie demony. Na wschód, na wschód.

Lecz Marak nauczył się, że siedzący człowiek może się oprzeć przechyłowi świata.

-Lelie! - zawołała kobieta. Było to żeńskie imię. Siostry, córki albo matki. Marak nie miał pojęcia czyje.

Żonie z Tarsy nałożono porządniejsze więzy i przywiązano ją do jednego z dwóch mocnych masztów podtrzymujących namiot Maraka. Wciąż coś bełkotała i krzyczała „Lelie, Lelie”.

Wobec obojętności strażników i własnej bezsilności kobieta szarpała się coraz słabiej, krzycząc sporadycznie, dopóki nie ochrypla. Walczyła do końca, do chwili, aż jej ciałem już tylko targały co pewien czas drgawki, a po twarzy ciekły łzy.

Garncarz z nizin twierdził, że zobaczył na urwisku anioły -mówił to zupełnie spokojnie, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnego urwiska.

Chłopak z Tijanan, siedzący na krawędzi plamy cienia, chwiał się monotonnie przez godzinę i poranił sobie głowę, waląc nią w szorstki piach.

Po południu przewodnik karawany i jego ludzie wydzielili zimne racje; żona z Tarsy i chłopak byli zbyt rozkojarzeni, by jeść, ale przewodnik wychłostał ich harapem i chłopak wziął się do jedzenia. Kobiętę zmusili do picia, zatykając jej nos, dopóki nie przelknęła, a po chwili łykała już wodę samodzielnie, tyle że poganiacze trzymali ją za ręce. Oddawali jej niejako przysługę. Mogli pozwolić, by szła spragniona, wiedząc, że i tak dostarczą ją do miasta następnego popołudnia, jednak ci, co nie chcieli pić, szybko zapadali na zdrowiu. Ich ciała wydzielają coraz mniej wody, a oni sami umierali, pozbawiając Ilę tego, czego od nich chciała. Strażnicy dbali więc, by nie można im było niczego zarzucić.

Marak nie podnosił żadnego buntu przeciwko swemu losowi. Wziął do ust niewielki łyk wody, przełamał zbryloną porcję jedzenia i powoli przeżuwał, obserwując słabnące zmagania strażników z żoną i zastanawiając się, czy kobieta umrze, zanim dotrą do Oburanu, i w ten sposób zyska wolność.

Szaleńcy mnożyli się na zachodzie, wśród wzgórz, od trzydziestu lat; niedawno rozniosła się plotka, że Ha miała o nich sen i zapragnęła raz na zawsze oczyścić ziemię z ich dolegliwości.

Marak obawiał się, że jego ojciec może już nie rządzić długo, i to nie tylko ze względu na wstyd i rozczarowanie, jakie przyniósł mu syn. Ludzie nie zechcą pójść za szaleńcem, a przez Ma-raka został skażony cały ród. Jedynym wyjściem jego ojca wobec swoich ludzi było obarczenie winą kobiety, która urodziła mu takiego syna, i Marak to rozumiał, ale oznaczało to zniszczenie jego matki. Jeśli nie udała się do swego plemienia, do Haga, to nie miała się gdzie schronić.

Może wybrała się w drogę? Może już tam jest? Może znalazła jakąś studnię, poszła dalej i powiedziała Haga tylko tyle, że rozeszła się z mężem? Żona z plemienia Haga miała takie absolutne, niekwestionowane prawo. Może uda jej się zapomnieć o synu.

Marak jednak w to wątpił. Uparta i dumna Kaptai była oddaną matką. Czy mogłaby kłamać w sprawie swego syna? Czy mogłaby zostawić córkę, kiedy jej syna zabrano w pohańbieniu?

Marak mógł zrobić tylko jedno, by położyć kres pytaniom, tylko jedno, by zmasać swą hańbę: zabić Ilę.

Mógł zrobić tylko jedną rzecz, by zdobyć przebaczenie ojca dla matki, by zdobyć honor i życie dla siostry oraz dać jej szansę na szczęście, zamążpójście i rodzenie dzieci.

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy. Szaleństwo zesłane na innych zsyłało mu wizje wieży, jaskini pełnej słońc. Jakiegokolwiek spójne myśli rozplływały się leniwie w niebyt.

Może pieczywo, którym ich karmiono, zawierało jakiś narkotyk przytępiający zmysły i osłabiający wolę? Marak czasami to podejrzewał. Na pewno zawierało pokrzywę, która znieczulała język: skarżył się na to garncarz. Jeśli tak było, jeśli otepiało umysł, jeśli w jakimś stopniu zacierało wizje i uciszało głosy, to Marak przyjmował to z ulgą i nie kwestionował pożywienia ani nie odmawiał przyjmowania go, tak jak robiła to żona z Tarsy.

Kiedy wizje go opuściły, kiedy mógł leżeć spokojnie i śnić zwykłe sny, ujrzał zachodnie niziny i kamienne wieże Kais Tain, strażników na tle zachodzącego słońca i dom ojca wciśnięty między dwie wysokie wieże. Był to dom o grubych ścianach chroniących przed słońcem, głęboko wkopany w chłodny piasek. Wioska rozciągała się po obu jego stronach, wokół studni i ogrodu przykrytego siecią.

Sen zmienił się. Marak zobaczył matkę, stojącą obok złocistej, zakurzonej drogi, owiniętą w ciemne szaty, osłoniętą chustą, tak jak ją widział ostatni raz, bardzo tajemniczą.

Jego ojciec Tain, ten wojowniczy, niepokorny i straszny mężczyzna, po prostu zgodził się na wszystkie warunki, oddał go jak przehandlowaną matę i podpisał z ludźmi Iii trwały rozejm. To, że

jest wściekły i czuje się znieważony, Tain Trin Tain zdradził tylko swojej rodzinie i oficerom. Przed całym zgromadzeniem swoich ludzi matkę swoich dzieci nazwał dziwką.

Jako że matka Maraka pochodziła z plemienia Haga, nie powiedziała ani słowa w swojej obronie, tylko zasłoniła twarz szatą i wyszła, nie patrząc w oczy swym niewolnikom.

Ponieważ pochodziła z plemienia Haga, nie wyjawiała swoich planów. Nie chciała dyskutować, nie chciała opierać się temu, czego nie mogła znieść.

Pustynia jej nie przerażała. Po jej mężu Kaptai nie mogło przerazić nic na świecie.

15

Świat chwiał się coraz bardziej, a potem, jak zwykle bez ostrzeżenia, przestał.

Marak bez słowa patrzył na świat z bardzo, bardzo daleka. Patrzył, jak rozplywają się fałszywe oazy, a słońce zmienia czerwony piasek w mosiądz i mgiełkę.

Niedaleko przeleciał ptak, rzucając na krótko cień, zwiadowca ze świętego miasta, gdzie ptaki zbierały się tłumnie i tuczyły na odpadkach. Ptaki, tak jak inne plugastwo, żywiły się trupami, jeśli je znajdowały; tego dnia nikt jednak nie umarł. Zawiedziony ptak zatoczył kolo i odleciał.

Kiedy słońce znacznie się już obniżyło, przewodnik karawany kazał w końcu związać namioty.

- Wstawać! - zawołał. Wszedł między siedzących z jego rodziną i niewolnikami, machając rękami i pokrzykując jak na swoje zwierzęta. „Hap-hap-hap” na ludzi Iii. „Hap-hap-hap” na szaleńców. Żonę z Tarsy, kompletnie wyczerpanej, nie można było wyrwać z letargu, a kiedy odwiązano ją od masztu, położyła się na piasku, bełkocząc coś o ogniu, blasku i śmierci.

Nikt się tym nie przejął, nawet inni szaleńcy. Zwijano namioty.

Ludzie Iii wywlekli żonę spod właśnie mającego zapaść się namiotu w blask bijący z nieba. Chłopak z Tijanan klęczał, rytmicznie uderzając pokrytym strupami czołem w ziemię i rozmawiając z tym, co niewidzialne. Do czoła przywarł mu piasek i zabarwił się na czerwono od krwi.

Tego dnia opór stawiała żona. Zeszłego dnia był to garncarz. Pobili go. Żonę bili tylko do momentu, kiedy uniosła ręce, by zasłonić twarz. Po tym poznali, że przestanie się awanturować.

Kiedy namioty zostały zwinięte, a zwierzęta obładowane, zewsząd rozległo się „hap”. Żona została umieszczona na jednym z nich, najmniejszym, przywiązana jak pakunek, by nie zrobiła sobie krzywdy. Któryś z żołnierzy będzie szedł piechotą: żona była warta nagrodę.

„Hap” - zwierzęta barwy piasku dźwignęły się na długich nogach, potrząsnęły wyniosłymi szyjami i ruszyły z miejsca, prowadzone przez posiwiatego przewodnika stada; ich oczy przysłonięte opadającymi powiekami patrzyły z równą dezaprobatą na szaleństwo świata i słabość ludzi.

Ludzie Iii pilnowali tempa marszu; Marak dostosował się do niego. Zdrowi na umyśle pilnowali szalonych.

Lakht ciągnęła się bez końca, maskując swoje pułapki odległością i złudzeniami, lśnieniem fałszywej wody i poruszeniami widmowego plugastwa.

Mijały godziny pod ciemniejącym niebem. Marak znów miał wizje. Wieże same się budowały w ogniu i splatały w symbole. W czeluści ciągnącej się w nieskończoność jaskini lśniły równo rozmieszczone słońca.

Nie zwracał na nie uwagi i dostrzegł poprzez nie piasek. Spojrzał na horyzont, gdzie w końcu zapadało słońce, gdzie przed nastaniem następnego dnia mogło się wznieść prawdziwe święte miasto.

Marak, powiedziały demony, od dawna znające jego imię. *Marak, Marak, Marak*.

Głosy demonów brzmiały czasami jak głosy kobiet, a czasami jak głosy mężczyzn. Marak zignorował je, tak jak się tego nauczył przez trzydzieści lat swego życia, i poświęcił uwagę głosom otaczających go ludzi i zwierząt.

Nad wszystkie wybijało się wysokie zawrodożenie żony z Tarsy.

- Potępieni! - wołała żona w zapadającej noc. - Potępieni, po tępieni, potępieni, niech Ila ma nas wszystkich w opiece! Wszyscy jesteście potępieni!

Słońce zniżyło się w płomieniach i rzuciło ostatni złudny blask na ziemię, wyglądającą teraz jak pozłociona woda.

- Nie jestem szalona! - krzyczała żona z grzbietu wierzchołka. - Nie jestem szalona!

Tak twierdziła.

A kiedy zapadła noc i nieco ochłodziła powietrze Lakht, kobieta zaczęła śpiewać dla męża, który już jej nie chciał.

- Kochajmy się, szukajmy światła u księżyców i zbudujmy dom z kamienia. Wykopmy studnię, która da nam życie, i za

sadźmy zielone pnącza i melony. Zróbmy sobie dziecko i tańczmy z dziećmi naszych dzieci. Połóżmy się do łóżka i długo śnijmy. Kochajmy się.

Dalej melodia się powtarzała, w kółko i w kółko, jak litania, a stopy stawały się coraz cięższe i skurcze chwytały nogi.

n

• Kochajmy się! - zawołał w niebo garncarz - kochajmy się, kochajmy się! O, matko, matko, matko! Gdzie moja matka?

• Nigdy nie miałaś matki! Bądź cicho! - odkrzyknął mu inny szaleniec, sadownik.

Chłopak z Tijanan nic nie słyszał. Szedł, zabijając ręce i narzekając na płonące ogniska.

Marak milczał. W jego głowie też śpiewały głosy, ale nie o miłości, tańcu czy ogniskach. Jego głosy wymawiały słowa, a skóra rozgrzewała się i ziębła w rytm obrazów tworzonych przez linie na tle nocy.

Widział, jak płomieniste linie tworzą konstrukcje. Zobaczył światło rozbłyskujące na niebie, złudne jak reszta wizji. Wiedział, że to iluzja, ale po ciemku wizje z łatwością stawały się prawdziwsze niż wiszące nad nim gwiazdy.

Czerwone i zielone światło błyskało na zmianę, oślepiając go. W pewnej chwili przestał widzieć, gdzie stawia nogi, i upadł, rozdzierając sobie spodnie na kolanie.

Poczuł ból. Pomacał dookoła na oślep, ale jego palce natrafiały jedynie na kamienie wygładzone przez wiatr.

Zapomniał, gdzie jest. Upadł. Świat, w którym przebywał, był pozbawiony map.

Znajdował się na Lakht. Mógł jednak dowodzić swymi ludźmi. Mógł prowadzić wojnę. Mogli napadać na karawanę, a on nie potrafił sobie tego przypomnieć.

Jakaś dłoń wsunęła mu się za kołnierz i pociągnęła, a potem coś opasało mu szyję; uświadomił sobie, że to obroża, sznur, do prowadzenia szaleńców.

Ktoś pociągnął, a on ruszył, zupełnie na ślepo. Usłyszał głos ojca mówiącego do matki, że nie powinna rozmawiać z umarłymi.

Usłyszał, jak ojciec mówi, że musiała go począć z kimś nie należącym do żadnej kasty: Marak nie może być synem Taina. Najwyraźniej jego matka była dziwka.

Kolana ćmiły tępy, odległym bólem. Pociągnięcia liny pozbawiały Maraka równowagi, ale i przypominały, gdzie jest lewo i prawo. Przyjmował je pokornie, jako wskazówki co do kierunku, żeby nie odłączyć się od kolumny. Koniecznie trzeba trzymać się karawany. Koniecznie trzeba być cicho i współpracować. Ma jeszcze coś do zrobienia, powód, by iść dalej.

Potem odpoczywali. Marak był oślepiiony; dano mu do picia gorzkie piwo, pierwsze piwo, jakie miał w ustach w trakcie tej podróży. Wyczarowało ono żniwne wieczory, żółtą słomę, śmiech na polach. Wyczarowało ogniska i kampanię, i zabandażowanego mężczyznę umierającego z ran. Pili takie piwo na Lakht, przed trzema laty. Zdobyli wagon piwa i zachowywali się jak chłopcy.

„Jesteśmy tu” wołali ze śmiechem „gdzie wylądowały statki. Poszukamy statków na pustyni?”.

„Tu jesteśmy!” wołali ku niebu, bluźnili i wymachiwali rękami, jakby chcieli przywołać niebiańskich obserwatorów.

Na nieszczęście zwabili oddział ludzi Iii i musieli z nimi walczyć po pijanemu. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, uderzył Maraka, ale nie był bardzo zły, ponieważ nikt z nich nie zginął, a poległo kilku ludzi Iii.

- Hap-hap-hap - rozległo się dookoła.

Żona, która dostała podwójną porcję piwa, była teraz otepiała i uległa, więc postawiono ją na nogi i kazano iść. Garncarz, równie pijany, pytał o matkę.

- Cicho bądź! - skrzyczeli go inni szaleńcy, a ludzie Iii roze śmieli się, podjechali doń z obu stron, podnieśli za ręce i odjechali z nim daleko do przodu, gdzie go upuścili.

Kiedy nadeszła kolumna, garncarz siedział na ziemi. Postawiono go łagodnie na nogi. Miasto znajdowało się bardzo blisko i ludzie Iii byli w dobrym humorze. Oddali więźniom swoje kwaśne piwo, licząc na lepsze w mieście, dobrze zaopatrzoną w wodę.

Tuż przed świtem starzec upadł i wydawało się, że umarł - nikt go nie tknął. Ludzie Iii posprzeczali się i postanowili, że i tak muszą zabrać ciało. Mogło zwabić plugastwo, a to stanowiło zagrożenie. Innych zmarłych porzucali. Ila jednak miała im dać nagrodę za każdego szaleńca, a jeśli udowodnią, że na świecie jest o jednego mniej, być może uda im się dostać nieco złota nawet za ciało. Miasto było

blisko. Nagroda też.

O świcie Marak zjadł to, co mu dano, i wypił wodę. Słońce wysliznęło się znad zębatej krawędzi Quarain, przecinając

10

czerwonymi palcami drobniutki piasek, a miasto, które rozciągnęło się nitką światła, nie było już mirażem. Wielu szaleńców wykrzyknęło na jego widok, ale inni, raz oszukani, nie wierzyli i milczeli.

Marak szedł i szedł bez końca w blasku, po nierównym gruncie. Miasto przybliżało się przez cały dzień, lecz Lakht wcale nie wydawała się węższa ani miasto bliższe. Oślepiające słońce paliło i ludzie Iii, zapomniawszy o niedawnej hojności, stali się niecierpliwi. Nie urządzili popasu w południe, lecz parli dalej w palącym słońcu.

Chłopak z Tijanan, który miał słabszy wzrok, zobaczył w końcu miasto, które inni widzieli już od wielu godzin.

- Święte miasto! - zawołał i zaczął tańczyć, wymachując rękami, ale rozeźleni strażnicy go zbili i wypchnęli do przodu.

Chłopak - miał na imię Pogi - szedł, bijąc się rękoma po głowie.

Mury miasta, choć jeszcze odległe, też dodały Marakowi ducha. Nie szedł już po omacku. Szedł tak, jak idzie mężczyzna na spotkanie z odwiecznym wrogiem, pełen świętego, słusznego gniewu.

- Spójrzcie na niego - odezwał się jeden z ludzi Iii. - Czy on wie, dokąd idzie? Jest tak szalony, jak ten chłopak.

Kiedy świat się przechylił, chłopak nie zбочzył z trasy. Nigdy nie ulegał wizjom, które nękały pozostałych. Jego szaleństwo było inne. Jeśli ich szaleństwo było zbrodnią, on był niewinny.

Marak poczuł, jak świat się obsuwa, ale również nie zбочzył z trasy. Patrzył na ściany i nie zwracał uwagi na przechyl.

Dotarli do drogi wybrukowanej kamieniami. Teraz nie było już ucieczki i nawet najgłupszy musieliby zadać sobie pytanie, co ich czeka. Marak jednak to wiedział. Była jakaś pociecha w świadomości, że nie umrze nadaremnie. A nawet zadowolenie, kiedy zniknęły już wszelkie inne cele.

Widzisz, ojczu? Nie jestem zupełnie szalony. Nie jestem zupełnie bezużyteczny. Kłamałem. Całe moje życie było kłamstwem, ale było to kłamstwo uzasadnione.

Co udają zdrowi na umyśle?

Co udawałaś, matko, wiedząc od moich narodzin, że nie jestem taki jak wy?

A co udawałaś przed samym sobą. Toinie Trinie Tainie, kiedy raz po raz wierzyłaś w moje kłamstwa? Wciąż pytałaś, ale przyjmowałaś wszystkie kłamstwa. Dlaczego jesteś teraz żywy?

Zaszło słońce. Mury świętego miasta, ukośne i zwieńczone kawałkami szkła, odbijały blask słońca prosto w oczy, jakby wszystkie płonęły boskim ogniem. Kopuła Beykaskh, kopuła Łaski Iii, była cała pokryta szklanymi płytkami i płonęła niczym słońce. Przed południem nie można było na nią patrzeć, tak samo jak nie można było patrzeć w płonące Oko Niebios.

Szaleńcy i strażnicy pochylili głowy, nie ze wstydu, lecz by ochronić oczy przed wspaniałością miasta.

Wokół murów latały stada ptaków, czarne plamki w blasku. Przy południowych murach stały szubienice: miasto dawało ptakom swoich niechcianych, swoich złoczyńców i swoje odpadki.

Powiadano, że w swym bogactwie wyrzucało w ciągu dnia to, z czego mogłyby żyć przez rok całe wioski. U bram znajdował się obramowany kamieniami zbiornik, z którego wypływała na piasek długa struga wody, a natrafiwszy na podłoże z piaskowca, gromadziła się, tworząc zawsze pełen staw o zielonych brzegach.

Do tej wody schodziło się wszelkie plugastwo, służąc za cel łucznikom i strzelcom Iii. To rozlewisko, ów staw stanowił największe z możliwych marnotrawstwo, budzące zdumienie szaleńców, którzy nazwali ten otoczony sitowiem zbiornik mirażem.

Lecz obok drogi biegła rura i podczas gdy wioski odmierzały i sprzedawały każdą kroplę, wyciskały wilgoć z choćby najmniejszego odpadka i destylowały ją w ogromnych kotłach, w Oburanie postępowano inaczej. Wodę wysyłało do stawu, by przyciągała plugastwo.

A kiedy weszli w cień rzucany przez Oburan, natknęli się na znane z pogłosek dziwo, większe niż płonąca kopuła i mury o krawędziach ze szkła: fontannę zwaną Łaską Hi. Obok bramy tryskała z kamiennych otworów woda, i to tak obficie, że przelewała się z misy do rynien, a nawet na kamienie ulicy, gdzie rozdeptywali ją przechodnie.

Tutaj podróżni i kupcy mogli pić do woli, a reszta wody nieustannie wpadała do rynny, skąd wyciekała na płyty ulicy, by,

21

jak wiedział Marak, w końcu dotrzeć do tego odległego stawu otoczonego sitowiem.

Zwierzęta nie piły od dziesięciu dni. Tutaj, przy długich rynnach, tłoczyły się, przepychały i szczypały nawzajem, ustalając pierwszeństwo. Ludzie Iii moczyli ręce i przemywali twarze przy górnej misie, nic nie płacąc i rozchlapując wodę. Następnie napili się poganiacze, do których dołączyli szaleńcy, usiłując zagarniać wodę obiema dłońmi i poszturchując się wzajemnie łokciami, rozgorączkowani chciwością, strachem i pośpiechem.

Marak napełnił złożone dłonie wodą z rynien dla zwierząt, jako że nie przeszkadzała mu odrobina śliny beshti. Co więcej, kiedy inni poszturchiwali się i martwili o swój udział w tym, co nieograniczone, napełnił dłonie i najpierw roztarł na błoto warstewkę pyłu na twarzy i szyi, a potem spryskał się wodą. Pod koszulą sływały mu jej zimne strumyczki.

Nie był zwykłym szaleńcem, by rozpychać się łokciami przy źródle wody. Tu, w miejscu, gdzie wypływała z rynien, miał ją całą dla siebie. Zobaczył, jak garncarz popchnął na ziemię żonę z Tarsy, chwycił go więc za obrozę i powstrzymał, dopóki posiniaczona kobieta nie wstała.

- Wody jest pod dostatkiem - rzekł do garncarza. - Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem?

Ordynarna odpowiedź mężczyzny świadczyła, że jest co najmniej głupcem, i Marak okazał swą pogardę dla wody z Łaski Iii, wrzucając garncarza do koryta dla zwierząt, co być może było jego pierwszą kąpielą od urodzenia. Strażnicy byli w o wiele lepszych humorach, skoro napełnili brzuchy wodą, i roześmieli się, a Maraka nikt nie zbeszał za jego czyn.

Otrząsnął się nieco z narkotyku, który dostawał w jedzeniu. Poczł, że bije mu serce, a w żyłach płynie krew. Poprzez odgłosy wydawane przez otaczające go zwierzęta przedzierał się hałas miasta, gwar gapiów i przechodniów, szyderstwa tłumu zbierającego się na widok garncarza, który gramolił się z większej ilości wody, niż cała razem wzięta w jakiegokolwiek siedział w życiu, i rozpryskiwał ją na płyty ulicy. Marak słyszał pisk, kiedy jeden z beshti kłapnął zębami na drażniące je dziecko, pobrzękiwanie dzwoneczków na upręży, odgłosy zebranej dookoła karawany. Otaczali go roześmiani gapie, którzy zebrali się po to, by popatrzeć na kąpiel garncarza - być może nie mieli pojęcia, że rozrywki dostarczają im szaleńcy.

Marak wyprostował plecy, wygiął je i podniósł wzrok wysoko na groźne mury, wysoką barykadę, która, wbrew wszelkim planom i ambicjom Taina, udaremniła jego rebelię.

Zobaczył najeżoną szkłem linię obronną, którą usiłował niegdyś sforsować, i zimnym okiem żołnierza patrzył na blizny, jakie wraz z Tainem pozostawił na wapiennych murach świętego miasta, klejnotu Lakht. Były liczne i trwałe, lecz nie śmiertelne, nie, wcale nie zadali temu miastu śmiertelnych ran.

Nie wiedzieli wówczas o działach ani wyrzutniach.

Marak był przekonany, że miasto kryje wiele rzeczy, których nawet się nie domyślał. Jedną z nich był powód jego wezwania.

Czy potężna Ila zdusiła wojnę przyniesioną z zachodu, a jednocześnie, powodowana kaprysem, poszukuje szaleńców? Czy to zwykła ciekawość?

Tak więc potępieni i szaleni zebrali się na żądanie Iii, by żyć lub zginąć, a wśród nich był nierozpoznany jeszcze syn jej wroga, czego Marak był pewien. Znajduje się w zapiskach tych ludzi i na pewno ktoś poinformuje Iłę, jaką zdobycz zgarnęli jej ludzie na zachodzie. Zastanawiał się, czy zostanie wyciągnięty z tłumu, nim Ila pozna prawdę i czy jego imię zostanie rozgłoszone na ulicach? A jeżeli tak się stanie, to co zrobią ludzie, którzy cierpieli wieloletnie ataki?

Czy będą wściekli?

Czy jeżeli zawoła: „Ja jestem Marak Trin Tain”, zaatakują go?

Kusiło go, by tak zrobić, choćby tylko po to, żeby nie zginąć bezimiennie, a swoją śmiercią sprawić jak najwięcej zamętu. Miał jednak inny cel.

Strażnicy poderwali więźniów do marszu, więc Marak też pochylił głowę i ruszył do przodu.

- Marsz! - krzyčeli na nich ludzie Hi jak na zwierzęta. Po raz pierwszy od zeszłego dnia użyli harapów, chodząc między szaleńcami i poganiając ich w bramie.

Podróż dobiegła końca. Przewodnicy karawany najprawdopodobniej udadzą się po zapłatę za swoje usługi, tak jak w każdym

mieście po dostarczeniu ładunku. Ludzie Iii przejęli teraz dowództwo: zwierzęta i ich panów zostawili z namiotami i bagażem, oprócz wierzchowca niosącego starca. Chłopak, Pogi, zatrzymał się, chcąc

popatrzeć na ich rozstanie, ale strażnicy popędzili go uderzeniami harapa.

Rozważny człowiek, taki jak sierżant dowodzący karawaną, mógł być przygotowany na każdy kaprys Iii. Sklął strażników, którzy bili chłopca zbyt mocno, a pozostałych szaleńców zachęcał krzykiem do marszu.

- Już niedaleko - wołał. - Tam usiądziecie! Ruszać się!

Marak szedł za wierzchowcem niosącym martwego mężczyznę, widząc głównie jego nogi i brzuch, ponieważ wyłożona kamieniami ulica wznosiła się coraz wyżej szerokimi tarasami miasta, między frontonami warsztatów rzemieślniczych, składów i lepszych rezydencji.

Wkrótce zmierzch przygasił blask słońca, a kolory utraciły jaskrawość. Dzień się skończył. Marak szedł za zwierzęciem, które, napojone, zatrzymało się na chwilę, by zrobić to, co beshti rzadko robią, po czym ruszyło dalej. Wszystko skrupiło się na pieszych.

Podczas prowadzonej tu wojny, wojny jego ojca, nie tylko nigdy nie wdarli się za te mury, ale nawet nie wyobrażali sobie rojnej masy ludzi mieszkających w świętym mieście. Marak szedł teraz w głębokim cieniu wysokich budynków, spowitych smrodem dymu, zgnilizny i moczu. Czuł lekki chłód kamienia pogrążonego w wiecznym półmroku i coraz większy chłód powietrza stygnącego po zachodzie słońca. Jego południowy blask właściwie tu nie docierał. Marak nie docenił ostatniego widoku słońca. Był teraz pewien, że jeśli zobaczy jego wschód, przyniesie mu to wielkie nieszczęście.

Wchodzili coraz wyżej krętą ulicą, nie wywołując zbytnej ciekawości do chwili, kiedy musiała się rozejść wiadomość o ich przybyciu i mieszkańcy świętego miasta wylegli z domów, by szydzić z szaleńców i obrzucać ich zgniłymi owocami - niewiarygodny luksus świętego miasta, w którym wyrzucano jedzenie, a w śmietnikach było więcej bogactw niż po wioskach. Cenna wilgoć spływała pod ścianami z innymi odpadkami, a bruk zrobił się śliski od owocowej miazgi.

Chłopak podniósł na wpół zgniły owoc i zjadł go. Żona upadła w owocowe błoto i pobrudziła sobie kolana. Marak podniósł ją, nie łamiąc rytmu kroków: to nie jest miejsce, gdzie można by umrzeć, w takim brudzie, po tak długiej walce, by tu przybyć. Kobieta śpiewała po drodze; między kamieniami płynęła woda, a na idących sypało się jedzenie lepsze od tego, jakiego zaznawało wielu wieśniaków.

-Na ziemię zejda diabły! - wrzeszczał na prześladowców garncarz. - Diabły mieszkające na wysokim wzgórzu, w wieży, zejda na ziemię i zatańczą na waszych pogrzebach!

Na te słowa tłum zaczął miotać poważniejsze pociski. Marak odbił ręką skorupę garnka, ale jeden z szaleńców padł na ziemię zalany krwią: był to balwierz, którego ugodził w głowę kawałek cegły.

Wtedy ludzie Iii napanarli na tłum i wyciągnęli zeń napastnika, bijąc go kijami.

Marak osłonił żonę z Tarsy własnym ciałem, stając między nią i co celniej rzucającymi gapiami.

- Gdzie jest miłość? - śpiewała cicho, nierówno, wspinając się ulicą. - Gdzie jest na pustyni cień? Dokąd odeszła moja miłość?

Niespodziewanie wyszli przez bramę na duży plac, gdzie stali ludzie rzucający spojrzania, a nie kamienie; zachowywali się lepiej, lecz sprawiali wrażenie dużo groźniejszych.

Potem weszli przez drugą bramę w cień murów wewnętrznych i zapach asfaltu oraz oleju. Unosiły się tu kłęby pary. Plotki okazały się prawdą. Święte miasto było tak bogate, że dysponowało nadmiarem opału do pieców i bramy były poruszane parą, a nie siłą ludzi czy zwierząt. Marak o tym słyszał, lecz nigdy tego nie widział.

Podtrzymał żonę, która się potknęła i oparła o niego.

- Daj mi odpocząć - poprosiła. - Daj mi odpocząć.
- Już niedługo - odparł. Mógłby zapragnąć, by umarła tak cicho, jak ten starzec. Była taka łagodna. Nie wyobrażała sobie tego, co mogło jej zaoferować miasto.
- Co to za hałas? - zapytała, kiedy bramy jęknęły i wydały pełen udręki dźwięk, zgrzyt żelaza o żelazo.
- To maszyny - odrzekł Marak. - Maszyny Beykaskh.

75

Chyba go nie zrozumiała. Może nigdy nie słyszała o tym, że w Beykaskh wytwarza się bramy z żelaza i gotuje wodę, by nimi poruszać, albo o tym, jak rozłożona Ila wrzuca zdymisjonowanych ministrów w tryby tych maszyn. Żona z Tarsy zwolniła; przechodząc przez ostatnią z bram, przez serce maszyn, wyglądała na otepiałą i wyczerpaną.

Byli w wewnętrznym sanktuarium, w sercu świętego miasta. Marak znalazł się tu, gdzie armie jego ojca miały jedynie nadzieję się znaleźć.

-To ten - odezwał się nagle dowódca ludzi Iii, chwycił Mara-ka za rękę i odciągnął od żony z Tarsy.

Żona padła na kolana, wołając go na pomoc i wykrzykując imię Lelie. Nikt jej nie zauważył. Leżała na płytach ulicy, a besha niosący martwego starca przeszedł spokojnie obok jej bezbronno ramienia, delikatnie przestępując nad kobietą. Na ten widok Marak wstrzymał oddech, ale szedł posłusznie, gdzie mu kazano.

„To ten” powiedziano o nim, ale nawet teraz nie uznano go za osobę niebezpieczną.

Nie straci swej jedynej szansy dla jakiegoś gestu. Skupił się na jednym szalonym czynie jako mającym jakąś wartość dla jego ojca, jako sposobie, dzięki któremu ojciec będzie mógł powiedzieć, a wioski powtórzą, że może jednak Marak był synem Taina.

A jeśli był synem Taina, to jego matka nie była dziwką, a siostra zachowa cześć.

Ma jedną szansę. Jedną szansę. Jedną jedyną szansę. Dopóki na nią nie trafi, musi wszystko potulnie znosić.

Wtedy, jeśli będzie się opowiadać o tych zdarzeniach, szaleńcy będą mieli imiona. Będą zapamiętane wszystkie, a jego ojciec powie: „Nie był taki szalony, jak pozostali, prawda?”.

Rozdział 2

„Każdemu zacnemu człowiekowi Ila nadała naturę człowieka, a każdemu zacnemu zwierzęciu Ila nadała naturę zwierzęcia. Ila nazwała je i rozdzieliła jednych od drugich. Wyznaczyła im cele i życie pod słońcem.

Lecz nawet zwierzęta pustyni Łaska Iii stale obdarza swą obfitością.

Nawet niszczyli Ila stworzyła dla swoich celów”.

- Księga Kapłanów

- Tędy - powiedzieli ludzie Iii i zmusili Maraka do schylenia się, osłaniając jego głowę w niskim przejściu. Kiedy włosy opadły mu na oczy, przetarł je, dzięki czemu do lepkiego brudu, po krywającego także skórę, włosy i ubranie, dołączył piasek.

Mrugając załzawionymi oczyma, przygotował się na brutalne traktowanie przez żołnierzy, ale zobaczył, że na okrytym zmrokiem niewielkim dziedzińcu z fontanną nie czeka na niego nikt obdarzony władzą, lecz czterech niewolników z ręcznikami i przyborami do mycia.

- Ila nie życzy sobie zostać obrażoną - rzekł jeden ze strażników.

Zatem do Iii rzeczywiście dotarła wiadomość o nieszczęściu, jakie spotkało Taina, poprzez jego syna, i, jak miał nadzieję Ma-rak, wzbudziła jej ciekawość. Będzie miał audiencję, i to bez konieczności zabiegania o nią. Ziszcza się jego najbardziej szalone nadzieje.

Oficerowie Iii, uzbrojeni i czujni, trzymali się w pewnej odległości od niego, ale w akcie drewnianego, zwykłego posłuszeństwa

Marak zaczął zdejmować zniszczone buty. Wraz z nimi pozbywał się strzępów starej białej skóry.

Nowa odrastała mu codziennie tylko po to, by odchodzić w pęcherzach; taka była jego natura.

Dowiedział się, że taka jest natura wszystkich szaleńców: każdemu z nich szybko goiły się rany. Ich mechanizmy obronne nie potrafiły sobie poradzić tylko z największymi uszkodzeniami ciała, jak u tego chłopaka.

Niewolnicy z obrzydzeniem zabrali brudne szmaty Maraka. Gestami, nic nie mówiąc, pokazali, by stanął pod urządzeniem, z którego wylewała się woda, i pociągnęli za łańcuszek. Załapała go fala chłodu, od którego skurczyło mu się ciało. Ściekająca zeń woda nie zbierała się między jego stopami, by mógł się w niej wykąpać, lecz spływała do otworu ściekowego tak szybko, że nawet nie tworzyła się brudna kałuża.

Może ta woda wypływała z rury pod murami, może ulicami, zagarniając po drodze odpadki świętego miasta, a może glinianymi rurami docierała do Łaski Iii, z której pili nieświadomi przechodnie.

Marak, Marak, Marak, odezwały się głosy, besztając go... albo wzywając do szaleństwa: tego nigdy nie wiedział.

Tymczasem niewolnicy myli go miękkimi kawałkami materiału, mocno trąc jego tatuaże - błękitny

symbol abjori nad sercem i znaki na prawej dłoni, mówiące o liczbie zabitych wrogów.

- One nie zejda - poinformował niewolników, gdy miał już dość ich wysiłków. Być może nigdy nie wychodzili z Beykaskh, ale przynajmniej go posłuchali i przestali trzeć. Rozpuścili mu włosy i je wymyli, a potem delikatnie rozczesali palcami. Znikały resztki światła. Niewolnik przyniósł lampy i rozwiesił je na otwartym dziedzińcu, rozświetlając go złocistym blaskiem.

Potem kazali Marakowi usiąść i starannie ogolili mu twarz w świetle lamp. Luksusu tego nie zaznał przez całą drogę. Posługiwali się prostą brzytwą, która, gdyby ją schwycił, stanowiłaby groźną broń. Czekał jednak. Niewolnicy byli zręczni i szybcy, a po goleniu nałożyli mu na twarz coś kojącego i ziołowego. Marak siedział z rękoma na kolanach, cierpliwie znosząc obojętne spojrzenia strażników.

Nie miał powodów, by się wstydzić. Długi marsz dał mu się we znaki, ale Marak wyzdrowiał. Był szczuplejszy niż parę tygodni temu, lecz wciąż silny. Chociaż Tain go odrzucił, wciąż był jego synem. Wciąż był sobą.

Spodziewał się jakiegoś czystego ubrania. Zmarnowanie dużej ilości wody i danie mu tych samych brudnych szmat nie miałyby większego sensu. I rzeczywiście, niewolnicy rozwinęli grube ręczniki, chroniące czysty strój. Dali mu koszulę z materiału delikatnego jak suknia panny młodej, koszulę i spodnie, które, włożone na nagą skórę, sprawiały wrażenie starych i znoszonych. Dali mu pas, co w stosunku do więźnia było głupim posunięciem, i starannie rozczesali włosy, które potem zwiążali miękkim rzemieniem. Drażniący sznur na szyi chcieli zastąpić lekkim, ozdobnym łańcuchem ze zwykłego mosiądzu, jakie nosi pospólstwo. Na to jedno się nie zgodził, nie chcąc mieć na szyi żadnych lakhtańskich łańcuchów, choćby miało się to klócić z miejscowymi zwyczajami.

- Chce łańcuch ze złota - odezwał się szyderczo najwyższy rangą strażnik i dodał: - Zostawcie. To bez znaczenia.

To miało znaczenie. Strażnik jednak sądził inaczej i Marak nic nie powiedział.

Był pewien, że wszystko to miało na celu przygotowanie go do znalezienia się w sercu Beykaskh, w pobliżu Iii. Zapadł już zmrok, rozświetlany jedynie blaskiem lampy. Niewolnicy przynieśli Marakowi buty, które pasowały na niego zdumiewająco dobrze... tak bardzo troszczyli się o jego wygodę. Zapewne zmierzyli zniszczone buty, nie zważając na popękane szwy. I gdzie można znaleźć zapas gotowych butów wszelkich rozmiarów?

Czy zobaczy Iłę tego wieczoru i dostanie swą szansę o tak późnej porze? Czy będzie musiał czekać?

I

Marak, Marak, odezwały się głosy, całkowicie nie w porę. Zamknął oczy, udając zmęczenie, by ukryć zdenerwowanie. Ogarnęło go jednak to gorsze od głosów poczucie rozchwiania, które potrafiło pozbawić człowieka równowagi.

- Chodź - rozkazali strażnicy.

Marak, powiedziały głosy. *Wstań. Idź.*

Ostrożnie, z wysiłkiem przeciwstawił się temu wrażeniu chwiej-ności. Odzyskał równowagę. Nade wszystko nie chciał, by nałożono mu więzy, nie chciał żadnych ograniczeń podczas tej jednej jedynej okazji ataku, jaka mogła mu się trafić w obecności Iii, a w tej chwili nie musiał usypiać czujności strażników udawaną bezradnością. Ogniste konstrukcje oślepiły go, a świat chwiał się gwałtownie, zawsze nachylając się ku wschodowi.

Wyprowadzili go pod ręce, dowódca i strażnik, przez niskie drzwi prowadzące na dziedziniec z fontanną.

W przejściu stało na warcie kilku strażników w zdobionych złoceniami mundurach elitarnego oddziału ludzi Iii. Teraz było jasne, dokąd idzie Marak. Teraz pociły mu się ręce, a serce mocno biło. „Zamilknijcie!” zbeształ głosy, usiłując nad nimi zapanować, co udawało mu się dość rzadko.

Tym razem mu się powiodło. Znalazł się u dołu schodów; na rozkaz swoich strażników zaczął na nie wchodzić, zacisnąwszy zęby. Wiedział, jak chce umrzeć.

Rozdział 3

, Ila zstąpiła na Lakht i ustanowiła środek ziemi. Na zewnątrz leżało pustkowie. Do tego czasu nigdzie nie było wiosek ani uprawnych pól.

Ila założyła Święte Miasto i to z niego wyruszyły wyznaczone władze, by założyć na całej ziemi inne ośrodki, poszerzyć tereny nadające się do zamieszkania, odeprzeć plugastwo i wzbogacić ziemię ogrodami".

- Księga Oburanu, rozdz. 1, wers 1

Miał nadzieję na audiencję osobistą. W najbardziej szalonych nadziejach chciał podejść bardzo blisko do Iii, podczas gdy jej strażnicy będą bardzo daleko.

Ku jego rozczarowaniu nie był jednak sam. Przed potężnymi drzwiami w górnym holu czekała zbieranina starych i młodych mężczyzn i kobiet, odzianych w zwykłą biel i brąz świętego miasta. Wszyscy byli wymizerowani, a niektórzy mieli świeże rany. Marak zastanawiał się, czy to plon miejscowych ulic.

Na skraju grupy zobaczył żonę z Tarsy, garncarza, balwierza i całą resztę, która szła razem z nim. Wtedy pojął, że na tej audiencji nie będzie sam, lecz tylko lepiej odziany. To wszystko muszą być szaleńcy, wygarnięci przez poszukiwaczy Iii, i to nie tylko z wiosek na zachodzie, lecz z całej ziemi. Wypełniali cały hol.

Metalowe drzwi westchnęły ciężko i rozwarły się, nie dotknięte niczyją ręką.

Za nimi znajdowała się wąska sala z kolumnami. Na jej końcu stał na podwyższeniu wysoki fotel, a na nim siedziała postać odziana w czerwień.

Ila. Źródło wszelkiej władzy... nieśmiertelna, jak powiadali niektórzy. Kapłani utrzymywali, że jest bogiem na ziemi, a Ila nie zakazywała im się czcić.

Marak zamierzał dowiedzieć się, czy jest bogiem. Skłoniwszy głowę, jak reszta stada, mierzył spod oka odległość, jaka dzieliła go od tej postaci. Wyobraził sobie, że zanim zostanie powalony, uderzy w tę pozornie delikatną szyję jeden, tylko jeden raz.

Rozkazy wydawano gestami, Ila uniosła przyzwalająco dłoń i strażnicy poprowadzili całą grupę, by mogła jej się przyjrzeć.

Marakowi mocno biło serce. Widział, jak ludziom i zwierzętom przebija się, a nawet przestrzeliwuje serca. Może dosięgnie jej, nim strażnicy choćby zorganizują jakąś akcję.

Dopóki jednak nie będą mu przeszkadzać w spokojnym, wręcz wymaganym zbliżaniu się do Iii, będzie tak posłuszny, jak pozostali szaleńcy.

Marak, odezwały się nagle głosy, a szaleńcy wzdrygnęli się i zawirowali ku rozbawieniu Iii. Marak rozpaczliwie bronił się przed ulegnięciem temu impulsowi: to było jego jedyne wyłamanie się spośród pozostałych, jedyne poniżenie, na które nie zgadzał się przez całe życie.

Między kolumnami byli rozstawieni strażnicy i wszędzie wokół załśniły dobyte ostrza. Ludzie Iii z uzasadnionym niepokojem patrzyli na szaleńców. Czekali, by dotknięci tą przypadłością zrobili coś bardziej niezwykłego, co zaświadczyłoby o ich szaleństwie, i jeden ze strażników, zaciekawiony odmiennym zachowaniem Maraka, szturchnął go w bok.

Odmienne zachowanie dyktowała mu duma. Będąc chłopcem, uciekał na pustynię. Ukrywał swoje ataki w magazynach, w samotności, w długich przejażdżkach po pustkowiu. Nauczył się, że mają one pewien rytm: pojawiają się o pewnych godzinach w dzień i w nocy, z regularnością kalendarza, z regularnością przybywających i ubywających księżyców. Nauczył się z nimi żyć, udawać, ukrywać drgawki i gwałtowne ruchy.

Ostatnio jednak ataki zatraciły swój rytm i zwyczajność.

Ten atak był zupełnie niespodziewany, jakby sprowokowała go sama obecność Iii.

Marak, odezwały się głosy. *Obróć się. Zaczynaj iść. Chodź.* Spokojnie, zagryzając wargi do krwi, Marak posłuchał.

Zgromadzeni w sali szaleńcy zaczęli się niepokoić. Ila ich obserwowała. W pobliżu siedziała au'it i pisała, pisała. Zapisy powstawały jeden po drugim: strażnicy oddzielali kolejnych szaleńców od stada, by au'it mogła zanotować ich imiona, pochodzenie i zachowanie, a potem pozwalali im wrócić do grupy. Ila wydawała się znudzona, zniecierpliwiona.

Wtem dała znak ręką i strażnicy zatrzymali szaleńca, którego właśnie wyciągnęli z tłumu.

- Syn Taina - rzekła; strażnicy puścili mężczyznę i szturchnęli go, by przesunął się do przodu.

Teraz, pomyślał, przewidując kilka następnych posunięć, i stał się spokojny jak myśliwy. Karmił swą cierpliwość. Potężne pragnienie znalezienia się jak najbliżej Iii nie pozwalało mu unieść głowy i przyspieszyć kroku.

Zatrzymali go tuż przed granicą obszaru, w którym mógł się poruszać. Strażnicy nałożyli mu na ręce łańcuchy. To też zniósł pokornie: masywne łańcuchy z mosiądzu stanowiły broń, mógł nimi osłonić pięść, owinać szyję czy rozbić czaszkę. Następnie przez przymocowany do łańcuchów pierścień przeciągnęli do tyłu włócznię, którą następnie ujęło dwóch mężczyzn, ale to nie wystarczyło.

Włócznia też stanowiła broń i była w zasięgu Maraka.

Podjąwszy te środki ostrożności, podprowadzili go do stóp siedziska Iii.

Na Maraka zstąpił wielki spokój, a nawet poczucie zawieszenia w czasie, kiedy mógł zaspokoić swoją ciekawość, zanim wykorzysta ostatnią szansę. Podniósł wzrok na Iłę, tyrana i władcę świata, jakby należała do niego.

- Marak Trin - rzekł dowódca, a au'it zapisała jego słowa.

Wtedy obudziły się w jego głowie zdradzieckie głosy: *Marak*

Trin. Marak Trin. Marak Trin, głupie, bezmyślne echo, płaczące myśli.

Na pustyni, na rozległych równinach Lakht, w stałym towarzystwie szaleńców głosy stały się wyraźniejsze i bardziej natarczywe. Marak je zwalczył. Spojrzał na czerwone szaty, na twarz Iii i uznał, że czas umierać, zanim głosy będą ostatnią rzeczą, jaką usłyszy. Nigdy jednak nie widział istoty jej podobnej.

Biała, bardzo biała skóra, dłonie w rękawiczkach, obute stopy. Na Lakht ceniono białą skórę, skórę nietkniętą przez słońce. Skórę panien i panów młodych wybielano kremami. Ceniono szczupłe ciała, które wyraźnie nigdy nie podnosiły ciężarów, nie nosiły wody i nie zaznały życia na pustyni.

Ila miała wszystkie te oznaki urody. Nosiła dopasowaną czapkę z czerwonego jedwabiu i jedwabne spodnie w odcieniu ognia. Promieniowała bogactwem, władzą i, jak powiadali niektórzy, świętością.

Zarazem jednak wydawała się delikatna, wzrostem i siłą tak podobna do jego młodej siostry, że Marak się przestraszył.

- Czy jesteś naprawdę szalony? - zapytała go bez ogródek, jak mogłaby zapytać jego siostra, słowami tymi omotując jego umysł i serce. Zabijał wrogów. Nigdy nie zabił dziewczyny.

Nigdy też jednak nie chybił zamierzonego celu. Chybi, nie chybi - w rozterce rzucił się na stopnie, pociągając za sobą strażników. Szarpnął łańcuchami i u jego stóp znalazło się trzech gramolących się mężczyzn. Chwycił włócznię i uniół ręce, mierząc w tę drobną postać.

Uderzyła go błyskawica, przewiercając mu kości i nerwy; Marak stoczył się po stopniach. Strażnicy przydusili go do posadzki, szarpali za łańcuchy i bili, lecz to zderzenie kości z ciałem było niczym w porównaniu z błyskawicą.

- Nie, nie, nie - rzekła Ila tonem lekkim jak dźwięk dzwonek.

- Nie róbcie mi krzywdy. Wiedzieliście, że syn Taina spróbuje zrobić coś takiego.

Marak, przygnieciony przez strażników do posadzki, nie mógł zaczerpnąć tchu ani się poruszyć. Leżał na twardej krawędzi stopni na wpół przykryty ciałami strażników, skupiając na sobie wszystkie spojrzenia, i zdążył uświadomić sobie upadek swych planów, wstyd ojca oraz to, że raz na zawsze zaprzepaścił życie matki.

Bogowie godzą w rękę, która dotyka Iii. Czyż nie słyszał tego ostrzeżenia przez całe życie? Nie miał żadnych bogów, podobnie jak Tainowie... ale bezspornie natknął się na mur mocy, która odebrała mu dech, wstrząsnęła sercem i przyprawiła kończyny o drgawki. Co gorsza, w uszach dziko ryczały mu głosy, zagłuszając wszystko niczym szum fal.

Strażnicy podnieśli Maraka na kolana. Kiedy go puścili, nie potrafił utrzymać tej pozycji i osunął się twarzą na posadzkę, wciąż ciekawie obserwowany przez szaleńców mimo obecności ludzi Iii.

- Marak Trin - rzekła Ila.

Udało mu się unieść głowę na tyle, by mógł spojrzeć na Iłę. Poruszył ręką i stwierdziwszy, że panuje nad mimowolnymi ruchami, spróbował wsunąć ją pod siebie. Udało się. Podciągnął najpierw jedno, potem drugie kolano i dźwignął się z wypolerowanych kamiennych płyt, śmiesznie jak zwierzę, unosząc najpierw siedzenie, a potem wyprostowując ręce. Dłonie go nie słuchały. Czuł jedynie mrowienie w stopach.

- Marak Trin Tain.

Ryk w uszach nie ustawał, stanowiąc katusze same w sobie i utrudniając zrozumienie słów Iii. Udało mu się jedynie uklęknąć u stóp swego tyrana. W świętym mieście istniały różne rodzaje śmierci. Ludzi wbijano na haki i wywieszano na murach albo wieszano żywcem dla powietrznego plugastwa.

Zastanawiał się, jaka śmierć przypadnie jemu w udziale albo czy może wystarczą błyskawice jej palców, które spala go na sucharek.

- Jesteś szalony? - zapytała Ila. Sala zawirowała w rytm głosów. Ból zebrał się w kościach Maraka i chyba się tam zadomowił. Rozzłoszczony jego milczeniem strażnik uderzył go w plecy łańcuchem. - Jesteś szalony? - ponowiła pytanie Ila swoim miękkim głosem. - Czy jest to może któraś ze sztuczek twego ojca?

- Szalony jak oni - powiedział Marak. Z przerażeniem od krył w sobie nagle tchórzostwo, strach przed kolejnym uderzeniem, i poczuł do siebie pogardę za to, że jego usta wołały od powiedzieć. Już nie wiedział, na co ma nadzieję. Powiedział sobie w duchu, że jego nadzieją jest wstać i znów spróbować, ale członki nie chciały, nie mogły się poruszyć, a jego serce od kryło strach równy strachowi przed ojcem. - Szalony jak cała reszta - wymamrotał.

- I twój ojciec się ciebie wyrzekł.

Nie odpowiedział. Na plecy znów spadł mu łańcuch.

- Tak - odparł.
- A kiedy odkryłeś u siebie szaleństwo?
- Przed laty. Przed wielu laty.
- Jako chłopiec?

Dopuszczało to okres bezradności. Otwierało drzwi do domu jego ojca, wstydu matki, wyrzeczenia się go przez ojca po tylu latach. Nic nie powiedział, wiedząc, że zaraz nastąpi uderzenie łańcucha. Do licha z nimi, pomyślał, a potem odkrył granicę swego strachu, tuż przy granicy uporu i głupiej dumy.

Łańcuch spadł mu na plecy.

Uniesienie dłoni w rękawiczce nie dopuściło jednak, by spadł z całą siłą, i powstrzymało następne uderzenie.

- Tain wiedział? - zapytała Ila. - Czy może Tain Trin Tain też jest szalony?
- Nie - odparł Marak i zaczerpnął tchu. - To odpowiedź na oba pytania.
- Ilu jest jeszcze szaleńców w twoim domu?
- Nie wiem o żadnym. - O to pytała też innych. Rozpoczęli bezpieczną litanię pytań zadawanych innym i Marak mógł odetchnąć oraz przestać spodziewać się uderzeń. Mógł zebrać siły.
- Jak to nadeszło?
- Jako światła. Jako głosy. - Na stopniach u stóp Ili siedziała odziana w czerwień au'it z księgą na kolanach, w której zapisywała każdą odpowiedź. Jej pióro migało między kostką tuszu i stronicą.

- I Tain nic nie wiedział.

- Nie - odparł Marak. - Aż do niedawna. Utrzymywałem to w tajemnicy.

- A co cię zdradziło? - Ila poruszyła się i oparła blady podbródek na zaciśniętej w pięść, odzianej w czerwoną rękawiczkę i ozdobionej pierścieniami dłoni. Jedwab zaszeleścił niczym pelzający wąż. - Dostałeś ataku i padłeś na ziemię?

- Tak. - Twarz zarumieniła mu się ze wstydu. Padł ojcu pod nogi, przed wszystkimi wodzami. Darował sobie wyznanie tej części, tej chwili, wszystkich wstrząśniętych twarzy.

- Co zrobił twój ojciec?
- Zapytał o prawdę, a ja przestałem kłamać. - Zapadła cisza, wypełniona tylko tymi słowami. Marak chciał mówić dalej. - Usłyszał, że twoi ludzie zbierają szaleńców i posłał po nich.
- Cieszył się, że się ciebie pozbywa.
- Jeśli cieszył się naprawdę - odparł.

Życie jego ojca załamało się: bez spadkobiercy, bez żony, a teraz jeszcze nadszarpnięta reputacja, śmiech albo litość. Czy było to dla Taina Trina Taina powodem do zadowolenia? Czy po podpisaniu tego rozejmu z Ilą Tain odczuwał jakkolwiek ulgę?

Marak pomyślał, że chyba nie. Nie myślał jednak o niczym więcej. Ból zmniejszył się, lecz ryk w uszach osiągnął ogłuszające natężenie i trwał dalej, jakby zostały w nim zamknięte wszystkie głosy i teraz szukały środków wyrazu. Śmierć znów zaczęła wydawać się przyjazna. Marak zadał sobie pytanie, ile jeszcze upłynie czasu, nim zlasuje mu się mózg, nim zacnie krzyżeć. Zagryzł wargę, zagryzł ją do krwi.

- Widzisz światła i słyszysz głosy? - zapytała Ila.

- Tak.

- I co te głosy mówią?

• Nic sensownego. - Czy mogło być jeszcze gorzej? Marak wątpił, czy utrzymałby się na nogach, czy zdoła na nich stanąć.

• A obrazy? Wyobrażenia? Wizje?

Utkwił wzrok w twarzy Iii, jedynym stałym punkcie w rozchwieanym świecie. Wirował, przechylał się i zatrzymywał, wciąż od nowa.

• Budynki - powiedział. - Budynki. Wieża.

• Ta wieża? Beykaskh?

Potrząsnął głową, by rozjaśnić myśli. Mogła to uznać za przeczenie, i słusznie. Skupił się na niej, tylko na niej. Wyjąwszy bladość, miała klasyczną lakhtańską twarz o pociągłych rysach i zakrzywionym nosie. Powieki miały czarną obwódkę. Źrenice były ciemne, a oczy stały się otchłaniami, w które mógł wpaść sens; nie, nie była dzieckiem, świadczyły o tym same oczy.

Palec w rękawicze uniósł się groźnie, po czym zwinął na wargach, wygodnym miejscu odpoczynku.

-Syn mojego nieprzyjaciela. Mężczyzna, który pali moje miasta, okrada mój skarbiec, rabuje moje karawany, profanuje moich kapłanów. Co mam z tobą zrobić?

Ból rozprzestrzenił się ze stawów na miękkie części ciała. Hałas w uszach sprawiał, że własny głos Marak słyszał jakby z oddali.

- Tain wydał swego syna - rzekła szyderczo Ila - więc ja go biorę. Co mam z tobą zrobić, Maraku Trinie Tainie? Jak mam cię nazywać?

Szyderstwa nie zamierzał znosić.

- Generałem swoich armii - rzekł, igrając z ogniem. - Do wódca swojej straży.

Odchyliła się i uniosła dłoń, być może chcąc powstrzymać żołnierzy. Au'it, która wszystko zapisywała, zastygła w bezruchu z piórem zawieszonym nad stronicą księgi.

Dłoń Iii zatoczyła koło w powietrzu. Au'it zamknęła księgę i odłożyła pióro.

• A teraz bez zapisywania - rzekła Ila - pytam cię... gdzie jest to szaleństwo?

• Na wschodzie - odparł, niewiele myśląc i zdumiewając tym samego siebie. Rzeczywiście leżało na wschodzie. Wszystko znajdowało się na wschodzie. Nie wiadomo dlaczego Marak wiedział, że tak jest. Przejmowało go to dogłębnym niepokojem.

• Pragniesz być dowódcą mojej straży - powiedziała Ila. - Mam już jednego, który mi wystarczy. Ale może zostaniesz dowódcą badaczy, jak to bywało zanim nastąpił plemiona. A więc jesteś nim. Rozkazuję ci odnaleźć dla mnie źródło szaleństwa. Masz udać się tam, dokąd idą szaleńcy, kiedy błąkają się bez celu, i dowiedzieć się, dlaczego zwracają się na wschód. Masz wrócić do mnie i zdać relację ze wszystkiego, czego się dowiesz. A jeśli wrócisz i powiesz prawdę, otrzymasz ode mnie nagrodę. Ty będziesz rządził Kais Tain.

Wśród strażników rozległ się szmer.

Sam Marak nie dowierzał temu, co usłyszał.

- Ustanowiłam pieczę nad Kais Tain - oznajmiła Ha - która obejmuje wszystkie osoby tam mieszkające. Zapisz to! - rozkazała, a au'it zwilżyła pióro i wzięła się do pisania. - Ich życie zależy od tego, czy będę z ciebie zadowolona, a kiedy wykonasz moją wolę, ich życie będzie zależało od tego, czy ty będziesz zadowolony z nich. Jakiej innej nagrody pragniesz za swoją służbę?

Czy ma więc żyć? Dokładnie przeanalizował tę wypowiedź, szukając rozsądku w tym, co usłyszał.

Czy ma więc żyć? A może Ila zrobiła sobie okrutny żart, który kazała au'it zapisać w księdze, jakby to była prawda i prawo?

Z powodu bólu trudno mu było zebrać myśli. Szum w uszach utrudniał usłyszenie czegokolwiek sensownego.

- Czy to wystarczy? - zapytała Ila, jakby się targowała na bażarze. - Zgadzasz się na moje warunki?

Nie potrafił myśleć na klęczkach. Z trudem wstał; po kościach przebiegł mu ogień. Przeciwstawiając się mu, wyprostował plecy - i ogień dotarł też do nich.

- Moja matka - powiedział. - Natychmiast. Moja siostra. Chcę, żeby miały ochronę przed Tainem.

Ila przesunęła wyprostowanym palcem po wargach i popatrzyła na Maraka.

• Czy w domu Taina ma miejsce jakiś spór?

• On im groził. Zapewnij im bezpieczeństwo. Zadbaj o nie. A ja zdobędę dla ciebie tę odpowiedź.

• Ja się nie targuję.

• A ja tak.

Jego beczelność ukłuła strażników. Ruszyli się ze swoich miejsc; chwycili Maraka... i powstrzymali się od dalszego działania, może bojąc się błyskawic.

- Dostarczę ci wszystkiego, czego potrzebujesz - rzekła łagodnie Ila - i mianuję cię dowódcą, jak prosisz, i dam ci wszystkie środki, o jakie poprosisz. I ustanowię pieczę nad twoją matką i siostrą, by zapewnić im bezpieczeństwo. Zgadzasz się?

To z pewnością była pułapka, jakaś sztuczka, szyderstwo. Lecz ryk w jego uszach pękł niczym tama, a szaleńcy wzdrygnęli się i odwrócili jednocześnie. Niektórzy upadli na posadzkę.

- Wyjdźcie - rzekła Ila, pokazując na drzwi. - I wyprowadźcie ich z sali! - Wycelowała palec w Maraka. - Ty zostajesz!

Jej strażnicy powoli zebrali szaleńców — niektórzy stali, niektórzy leżeli na posadzce - i oglądając się za siebie, wyszli z sali.

Au'it, która została jako ostatnia, zawahała się, lecz Ila wykonała gest również w jej stronę i kobieta zgarnęła swój tusz oraz księgę, po czym przemknęła do drzwi usytuowanych za kolumnami.

Wtedy Ila wstała ze swego fotela i zeszła o trzy stopnie.

Następnie usiadła w połowie schodów. Była tak blisko, krucha niczym świątynna porcelana. Stawy Maraka przenikały jednak igły bólu, przypominając mu przy każdym oddechu, co potrafią uczynić te odziane w rękawiczki dłonie.

Ila złączyła palce czubkami tuż przy ustach. Wysoko urodzone kobiety mogły bielić twarze kosmetykami, by zademonstrować, że nie wystawiały się na słońce, i wychodzić na dwór tylko nocą. Skóra Iii nie zostawiła na jej rękawiczkach żadnych śladów. Była półprzezroczysta, biała, żywa. Głębia oczu Iii przywodziła na myśl studnie.

- Pragnę twojej lojalności - rzekła. - Czy będę ją miała?

Marak zadał sobie pytanie, jaki ma wybór w porównaniu z życiem i możliwością uratowania tych dwóch osób, które kocha. W darze Iii - w ustanowieniu pieczy nad nimi - kryło się tego przeciwieństwo.

- Nie widzę żadnej alternatywy - odparł. - Żadnego wyboru.

- Kiedy usłyszałam, że jesteś wśród zgromadzonych przeze mnie szaleńców, wiedziałam, że mam najlepsze środki. Jaką monetą można cię naprawdę zdobyć, Maraku Trinie? Prowincją? Wielkim domem?

Sztywno z niego. Marak zajął się swą duszą i z niechęcią stwierdził, że w zestawieniu z jej propozycją interesuje go samo życie i że interesuje go jej propozycja. Przez całą drogę do świętego miasta żył z myślą o śmierci. Zamiast tego Ila dawała mu przyszłość, a na dodatek życie jego matki i siostry. Wszystkie jego zasady rozplynęły się, zniknęły jak siła z jego członków.

Siedziała jak jakaś przekupka. Rozmyślnie przeciwstawiając się odczuwanemu strachowi, Marak osunął się resztką sił na kamienną posadzkę i usiadł ze skrzyżowanymi nogami jak parobek. Wszystkie jej propozycje mogły być kłamstwem, lecz, zaintrygowany i przekupiony pomysłem Iii, odpowiadał jej i słuchał w takiej samej pozycji. Całym sobą pragnął odpowiedzi, pragnął powodu, celu, jakiejś logiki w swoim życiu.

- A jeśli to zrobię? - zapytał. - Co według ciebie mam znaleźć?

- Czy gdybym wiedziała, musiałabym tam kogoś posyłać?

- Jeżeli jestem szalony, to jak mam pamiętać, by wrócić?

- Jeżeli jesteś aż tak szalony - odparła - to czy będzie to miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? A jeśli nie jesteś szalony, to czy mi się przysłużysz? Chyba nie. Moim zdaniem tę odpowiedź może znaleźć jedynie szaleniec.

- Możliwe - rzekł Marak.

- Atakowałeś moje miasto.

- Owszem.

- I poniosłeś porażkę.

- I poniosłem porażkę - zgodził się.

- Dlaczego? - zapytała, jakby nie wiedziała. - Żeby je zająć?

Czy zniszczyć?

Mądre pytanie, celne pytanie. Jedno słowo odpowiedzi mówiło jej wszystko o jego pragnieniach.

Zatoczył ręką łuk, myśląc o maszynach.

- Gdyby maszyny zechciały dla nas pracować - odpowiedział - z przyjemnością siedziałbym w tej sali.

- A siedząc tu, radziłbyś sobie lepiej niż ja?

- Nie wylewałbym wody na pustynię - rzekł Marak. Przy tych szalonych wzajemnych ustępstwach wspomnienie takiego marnotrawstwa wciąż go irytowało. - Zbudowałbym pod murami kamienny

zbiornik na wodę i wszystkim, którzy by tego chcieli, pozwoliłbym osiąść w jego pobliżu i uprawiać owoce.

Zgodnie z kryteriami świętego miasta mogła to być głupia odpowiedź. Ila słuchała Maraka, słuchała go bardzo poważnie.

- Uważasz, że my ją marnujemy.

-Jakżeby inaczej, skoro jest wylewana na pustynię? Karmicie plugastwo. Ono się tam rozmnaża. Wargi Iii drgnęły, być może w uśmiechu.

- Chciałbyś zmienić nas w wioskę.

- To mało prawdopodobne - odparł.

- Mało prawdopodobne, że kiedyś zdobyłbyś Oburan? Nie. To zupełnie nieprawdopodobne. Było to zupełnie nieprawdopodobne, kiedy wraz z ojcem wkroczyliście na Lakht. Musiałeś przecież o tym wiedzieć.

Marak wzruszył ramionami, nie chcąc omawiać planów ojca ani ich błędnej strategii czy zniweczonego celu trzydziestu lat swego życia. Świat znów mógł się zmienić, a tymczasem on żyje, ma oczy i widzi to miejsce od środka. Rzeczywiście, to nieprawdopodobne, by on, czy jego ojciec, kiedyś zasiadł w tej sali jako władca całego świata, ale fortuna kołem się toczy. Jeżeli ta kobieta tego zechce, jego losi się odmień; Marak jeszcze nie jest martwy. Udało mu się uniknąć jej wzroku i zadał sobie pytanie, dlaczego zależy mu na jej szacunku albo czego nagle ma się bać w tej dyskusji.

Czy wierzy w jej propozycję? Nie miał pewności, ot co. A głosy wciąż wołały, wrzeszczały, ryczały mu w uszach poplątane słowa.

- Nie wyrzekłeś się swojej ambicji - stwierdziła Ila.

Wzruszył ramionami i odsłonięty, przygwożdżony na chwilę do tej prawdy, podniósł wzrok.

- Nie - odparł. - Ale to nieprawdopodobne.

- Te głosy zawsze do ciebie przemawiały?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

• Masz się o tym przekonać, Maraku Trinie. Jesteś w tej sprawie moimi oczyma i uszami. Ja pytam, a ty mi przyrzekłeś odpowiedzi. Od jak dawna przemawiają do ciebie te głosy?

- Mniej więcej od szóstego roku życia.

- A wizje?

- Zawsze je miałem.

- Czy kiedyś byłeś dzieckiem, przyszedł do Kais Tain ktoś obcy?

- Nie mam pojęcia - odparł Marak. - Dlaczego pytasz?

- To wspólna część wszystkich opowieści. Tajemniczy obcy. Nawiedzenie. Jakies dziecko rośnie na szaleńca.

Pomysł ten wydał się Marakowi niewiarygodnie złowrogi. O ile wiedział, nie dotykał go nikt obcy, a jego matka nigdy nic na ten temat nie mówiła.

- Nie byłoby łatwo wejść do naszego domu.

- Między przywódców Kais Tain? Być może. Ale w przypadku większości chłopskich domów byłoby to bardzo łatwe. Może dlatego szaleni przywódcy pojawiają się tak rzadko, a szaleni chłopcy tak często. Chłopcy są na ogół bardziej gościnni.

- Nie mam pojęcia. Kim są ci obcy? Co robią i dlaczego?

- Mam pewne przypuszczenia. Wiem na przykład, że szaleństwo, które cię gnębi, jest szczególne, i że wszyscy, którzy przez nje cierpią, nie mają trzydziestu lat. A ile ty masz?

- Trzydzieści. - Marak pomyślał o starcu i zwątpił w słowa Iii. Ale czy to było to samo szaleństwo? Czy jest kilka jego rodzajów?

- Słyszysz głosy w tej chwili?

- Słyszę ryk. - Chciała usłyszeć od niego intymne wyznanie, coś, o czym mówił jedynie ojcu i matce. - Czasami słyszę moje imię.

-To wydaje się powszechne - stwierdziła, pochylając się, jakby o czymś plotkowali. - Co jeszcze słyszysz? Potrząsnął głową. -Nic.

- A jednak wiesz, że to coś leży na wschodzie.

- Świat przechyla się w tym kierunku.

- Doprawdy?

- Dla nas się przechyla. Robi to rano i wieczorem, bardzo regularnie. Obserwuj szaleńców.

Większość pada wtedy na ziemię.

Nie roześmiała się ani nie rozgniewała.

- Gdybym miała twoje uszy, gdybym miała twoje oczy, mogłabym poznać to, co pragnę poznać.

Gdybym miała twoją siłę, może wybrałabym się na wschód i poznała to, co pragnę poznać. Więc wszystko to kupuję. Kupuję ciebie. Czy cena jest dość wysoka?

- Nie mogę się z tobą targować.

- Ależ możesz. Proś.

- Nie mam cię o co prosić.

- Jeśli mnie zdradzisz, obiecuję, że Kais Tain będzie dymić wiele dni. Obiecuję, że twoja matka i siostra umrą bardzo nieprzyjemną śmiercią. Czy to wzbudza twoje zainteresowanie? Tak myślałam. Daję ci za darmo jeden rok ich bezpieczeństwa, wszystkie środki, jakich mógłbyś potrzebować, i oddział mojej straży, jeśli zechcesz. Złoto? Złoto to piasek pod moimi stopami. Ale wiedza? Możesz mi ją przynieść. Wtedy znów porozmawiamy. Powiedz, czego ci trzeba, by dokonać tego, o co proszę.

Marak zrozumiał, że Ila mówi zupełnie poważnie.

- Zachowaj sobie swój oddział - rzekł. - Daj mi wolność. Bezpieczeństwo mojemu rodowi i jego wioskom na ten rok. I życie mojego ojca, nawet jeśli obraził twoich oficerów.

- A co cię on obchodzi?

- To mój ojciec. Podpisał twój rozejm.

- Zgoda. Co jeszcze?

A co jeszcze jest? To ostatnia szansa na poprawkę w ich umowie.

- Daj mi szaleńców - rzekł Marak. Nie widział dla nich przy

szości w świętym mieście, gdzie straciliby życie, powieszeni lub ukamienowani, co było powszechnym losem zdemaskowanych szaleńców. Przyszli tu razem, on, żona z Tarsy i garncarz, i Marak nie mógł tak po prostu odejść, zapominając o ich losie.

- Jeżeli mówisz to wszystko poważnie, bo ich nie potrzebujesz, a ja mógłbym się czegoś od nich nauczyć.

Dłoń w czerwonej rękawiczce machnęła, odsuwając wszelkie drobiazgi.

- Weź ich. Zrób z nimi, co chcesz. Dostaniesz karawanę i środki, by ją opłacić. Wierzchowce.

Wszystko, czego ci trzeba.

- Broń. - Jego własna została mu odebrana. - Namioty dla wszystkich.

Roześmiała się jak dziecko, jakby siedząc tak razem, ona na stopniach, on na posadzce, byli dziećmi planującymi wspaniałego psikusa.

- Au'it, żeby wszystko zapisywała.

- Ja potrafię pisać - rzekł z urażoną dumą.

- Ja piszę - powiedziała Ila i machnęła ręką - ale męczy mnie to. Au'it, powiadam.

-A jeśli au'it oszaleje? Czy zostaną za to obwiniony?

- Nie zostaniesz. - Dłonie w czerwonych rękawiczkach objęły jedwabne kolana. Patrzyły na niego oczy głębokie jak stu dni. - Wschód jest pełen dziwów. Podobnie jak LakhL Weź ten oddział.

-Nigdy nie potrzebowałem wielu zbrojnych. Jeździłem po tych wszystkich wzgórzach, a twoje oddziały nie mogły nas znaleźć. Piasek i kamienie nie stanowią dla mnie zagrożenia.

- Ale plugastwo tak. I bandyci.

-Tylko gdy żywić ich trupami i zasobnymi karawanami! Źródłem ich pożywienia jest święte miasto. Wystarczy wylać wodę, a i plugastwo, i bandyci będą walczyć między sobą. - Wzruszył ramionami. - Oddział straży porusza się wolniej niż zwykła karawana. Ja znam Lakht. Nie potrzebuję tych ludzi. Daj mi dobrego przewodnika karawany. Dobre, mocne płótna.

_ I szaleńców.

-I szaleńców.

- To lepsze niż oddział straży?

- Nauczyliśmy się pustyni, czyż nie? Przyszliśmy tu piechotą. Ciemne oczy patrzyły na Maraka przez bardzo długą chwilę,

poufale i uważnie.

-Będę bardzo rozczarowana, jeśli mnie zawiedziesz. Czy jest coś, o co mógłbyś mnie poprosić, jakaś łaska wyłącznie dla ciebie?

- Tylko to, o co już poprosiłem.

Być może niepokoił ją ktoś, kto chce tak mało. Marak jednak nie chciał niczego. Ona zaś nie mogła dać mu niczego oprócz wolności oraz życia jego matki, siostry i ojca.

- Śnił mi się wschód - powiedziała cicho Ila. - Tak jak szaleńcom. Znajdę odpowiedź, Maraku Tainie. Znajdę tę odpowiedź.

- Jeżeli będę żył, wrócę. Niech moja matka i siostra odejdą, dokąd zechcą, a dostaniesz tę swoją

odpowiedź i cały mój wysiłek. Zdarzało mi się w życiu kłamać, nigdy jednak nie złamałem obietnicy.

Ila zdjęła rękawiczkę, palec po palcu, tak jak robi się to na targu. Jej dłoń była długa i biała, przypominająca błękitno żyłkowany marmur, podała Marakowi palce, by ich dotknął, potwierdzając transakcję, bez au'it, która by to zapisała. Ciało Iii było tak ciepłe, jak jego własne. Pachniała owocami i deszczem, bogactwem i wodą.

- Twój dom dotrzymuje słowa - powiedziała. - Zawsze tak by
ło. To jego jedyna zaleta. Wyjdź na zewnątrz. Przeprowadź moje
go dowódcę.

Wstał z trudem. Kolana wciąż go bolały od ognia, jaki na niego spuściła. Od ryku w uszach kręciło mu się w głowie. Tego dnia nie byłby w stanie dosiąść wierzchowca, ale był gotów to zrobić. Zrobiłby to, gdyby dzięki obietnicy Iii miał możliwość opuścić to miejsce i znów wyjść na słońce. Poprzez ryk atakujący mu uszy przedarły się głosy. *Na wschód, wołały, na wschód!* I Marak uświadomił sobie, że jest wolny i może robić to, czego te głosy pragnęły przez całe jego życie. Wolność panoszyła się w całym jego jestestwie, domagając się wypróbowania, domagając się natychmiastowego działania.

Na wschód. Na wschód. Na wschód.

Cofnął się chwiejnie. Ila wstała, podeszła do swego fotela i usiadła na nim, spokojna i nieruchoma.

Dotarłszy do drzwi, Marak zdał sobie sprawę, że nie mają one skobła, a on nie wie, jak je otworzyć. Ila zrobiła z niego głupca, być może świadomie. Patrzył na nie bezradnie, przypomniawszy sobie dzięki takiemu drobnemu szczegółowi, jak daleko poza jego oczekiwania wykracza święte miasto.

Może to ona otworzyła drzwi? W każdym razie wydały one westchnienie przesycone parą i otworzyły się, wpuszczając do sali jednego z dowódców. Mężczyzna marszczył czoło, a rękę trzymał na szyi, gotów zabić.

- Oto moje rozkazy - rzekła Ila ze swego fotela, ustawił
nego wysoko na końcu sali. - Daj mu szaleńców, au'it, prze
wodnika karawany oraz wszelkie namioty, dobra i zwierzęta,
jakich mu trzeba. Ustanowiłam pieczę nad Marakiem Trinem
Tainem. Kiedy wyjdzie z tej sali, ma być traktowany z szacun
kiem. Kiedy wróci pod te drzwi, ma być wpuszczony do środ
ka. Zapisz to!

Marak zobaczył, że au'it wróciła już niepostrzeżenie na swoje miejsce u stóp Iii. Szybko otworzyła księgę i zapisała wszystko, co wydawało się godne zapisania.

- Posłałam po żonę i córkę Taina Trina Taina oraz oszczędzi
łam Tainowi jego losu. Zapisz to!

Co będzie się wołać w świętym mieście i na targu? Że Marak Trin jest człowiekiem Iii?

Jego ojciec prędzej czy później o tym usłyszy. Jego ojciec będzie przerażony, wściekły i, niestety, zawstydzony po raz drugi.

Czy może jednak nie oddać na żądanie Iii swojej odrzuconej żony i córki, skoro wysłał do niej syna?

A czy jego syn mógłby postąpić inaczej, skoro Tain Trin Tain pokłonił się niegdyś Iii i podpisał rozejm?

Choć wtedy to nie była decyzja jego, lecz Iii. A kiedy Tain wyklął swoją żonę, na pewno wiedział, że wykopuje w ten sposób między nimi przepaść i dorzuca na dokładkę swoje sumienie, jak niedbale spakowany tobolek. Marak miał tylko nadzieję, że ludzie Iii dotrą do Kais Tain na czas, by zapewnić bezpieczeństwo jego matce.

Miłość do ojca? Lojalność? Marak już nie wiedział, gdzie mógłby je u siebie znaleźć. Przez obietnicę daną Iii stracił jeden cel, lecz zyskał inny. Nie miał Iii za złe bólu, który mu zadała: urażeni władcy uderzają. Była żywiołem - jak upał, jak pragnienie, które trzeba znosić. Zgodziła się na cenę i jednak go kupiła. Czy mimo wszystkich ciosów, jakie zadał przez te lata jego ojciec, osiągnął on choćby tyle?

Marak wyszedł z dowódcą straży, przekonany, że jest to człowiek, który, podobnie jak jego ojciec, wolałby go widzieć martwym. Mężczyzna nie sprzeciwił się jednak ani słowem życzeniom Iii, zaprowadził Maraka prosto do zbrojowni i pozwolił mu wybrać sobie dobrą, praktyczną broń: sztylet i nóż, który wsunie za cholewę; Marak zastanawiał się nawet nad bardzo rzadkim pistoletem, trudnym do utrzymania na pustyni, a do tego porzuciłbym.

• Piasek go uszkodzi - stwierdził dowódca, wyraźnie nie chcąc, by Marak go sobie wziął. - A celowanie jest kwestią ćwiczeń.

• Nie mam na to czasu - rzekł Marak i odłożył pistolet, za który można by wynająć cały oddział.

Łuk - było tam wiele dobrych łuków - mógłby mu gwarantować zasięg i szybkostrzelność, lecz nie przydałby się przeciwko atakującemu plugastwu, a poza tym był bronią dobrą na niziny. W letnim upale z miejsca by się rozwarstwił.

W końcu Marak zdecydował się na machai, lekką i cienką klingę, stanowiącą tyleż narzędzie, co broń, którą powiesił sobie u pasa, i dobry nóż w pochwie ukrytej pod ubraniem.

Dowódca spojrział na niego dziwnie i szczerze usiłował mu wmusić choćby włócznię.

- Będzie zawadzać - stwierdził Marak. Z tego samego po wodu nie chciał żadnego z oddziałów Iii, które objuczały się ekwipunkiem, a potem na pustyni piekły się w utwardzonej skórze. - Wezmę tylko to. Dla pozostałych chcę dobre buty. Będziemy jechać wierzchem. Wszyscy pojedziemy wierzchem. Ale dobre buty są potrzebne. Nigdy nic nie wiadomo.

- Jak sobie życzysz - rzekł dowódca, ale sprawiał wrażenie zmartwionego, jakby wysyłając Maraka na czele armii dobrze obutych szaleńców bez wystarczającego wyposażenia, nie dopełnił w jakiś sposób swoich obowiązków. Dowódca usiłował zrekompensować braki innymi przedmiotami: srebrnymi lustrami do ogrzewania, szkłem służącym do rozzniecania ognia, dwoma pięknymi kocami i osobistym zestawem maści i leków w skórzanym etui. Marak przyjął je wszystkie.

Następnie dowódca zaprowadził go do zagród dla beshti, położonych w sporej odległości od zbrojowni, i wybrał z puli rezerwowej wierzchowca klasy rzadko widywanej w Kais Tain.

Marak to docenił i stwierdził, że osiągnęli z dowódcą stan praktycznej współpracy. W innych warunkach godziliby w siebie wzajemnie taką czy inną broń. Teraz jednak dowódca chyba zrozumiał, że celem Maraka jest nie kradzież, lecz oszczędne - oraz bez żadnej ostentacji - wypełnienie rozkazów Iii.

Dzięki temu zaczęli się traktować niemal z sympatią, a dowódca zbesztiał sierżantów, którzy ukrywali co lepszą uprzęż. Znaleźli najlepszą. Marak dowiedział się, że dowódca ma rangę kapitana i nazywa się Memnanan. Całe życie spędził w służbie Iii, podobnie jak Marak w służbie Taina.

Szli w dobrej komitywie przez obszary Beykaskh, dla ujrzenia których ojciec Maraka poświęciłby życie setki mężczyzn. Dobrze o tym wiedząc, Marak spojrział na wysokie mury obronne, odcinające się na tle nocnego nieba; zauważył też wiele bram bez rygli, wybuchających parą.

Nigdy nie byli nawet blisko sforsowania tych zabezpieczeń. Zwracali na siebie uwagę tylko napadami na karawany, a i to najprawdopodobniej z powodu możliwej uciążliwości sytuacji, gdyby przerwali przepływ towarów.

Magazyny, które odwiedzili i te, które mijali, były ogromne. Znajdowało się tu całe bogactwo świata. Minęli kuchnie. Plugastwo miasta gardziło kawałkami chleba wrzucanymi do rynsztoka, gdzie leżały i gniły. Maraka zdumiewało to tak samo, jak drzwi poruszane parą.

- Posłaliśmy po przewodnika karawany - rzekł Memnanan. - Naliczyliśmy czterdzieści jeden osób, które przebędą całą drogę, łącznie z tobą. Wyposażenie ich zajmie w najlepszym wypadku wiele godzin.

Kapitan zamówił kolację i podzielił się nią z Marakiem pod płóciennym daszkiem w pobliżu kuchni. Pili piwo, które w końcu przytępiło ból, i lekko się upili, co nie przeszkadzało im prowadzić poważnej dyskusji o zaletach zachodnich kuźni i wyważeniu wyrabianych tam kling. Każdy był zbyt dumny, by ustąpić drugiemu, więc rzucali do celu, czyli drzwi skarbcza.

Ich noże utkwiły w drewnie, na szerokość palca jeden od drugiego i od środka zaimprovizowanej tarczy. Jeszcze jedno piwo i mogliby zaprzysiąc sobie wzajemne braterstwo. Na tę myśl Marak zatrząsł się ze zgrozy i wytrzeźwiał, jak zapewne wytrzeźwiał też kapitan.

Sierżant zameldował, że na zewnętrzny dziedziniec przybył przewodnik karawany. Okazał się nim jednooki mężczyzna z trzema synami; razem mieli pięćdziesiąt zwierząt, sześciu niewolników i pięć namiotów oraz dwóch wyzwoleńców jako pomocników. Przewodnik powiedział, że służy szczególnym potrzebom Iii od dziesięciu lat, przyjmuje jej pieniądze i boi się jej jak letniego wiatru.

• Nie wystarczy wierzchowców dla nas wszystkich - powiedział Marak. - Jeżeli grupa będzie liczyć ponad czterdzieści osób, potrzeba nam więcej zwierząt i zapasów.

• Do Pori - rzekł przewodnik karawany.

- Za krawędź Lakht. Za Pori - poprawił go Marak.

Przede wszystkim nie można okłamywać przewodnika. To człowiek, od którego oceny sytuacji i przygotowania zależało życie ich wszystkich.

• Za Pori nic nie ma - stwierdził.

• Dlatego potrzebujemy więcej zwierząt i zapasów - powiedział Marak i spojrzeniem poprosił kapitana o pomoc. - Potrzebuję więcej namiotów, więcej pierwszorzędnych beshti, i to o wiele bardziej niż broni.

Kapitan pstryknął palcami i zawołał sierżanta, który przyprowadził przewodnika karawany; sierżant wywołał au'it, a ta usiadła na ławce na dziedzińcu i przygotowała się do pisania na luźnych kartkach. Niewolnik przyniósł lampę i postawił ją na drewnianym stole obok au'it; małe owady ginęły, rozbłyskując w płomieniu.

- Ile zwierząt? - zapytał kapitan Maraka.
- Spytaj przewodnika karawany - odparł Marak. - On będzie wiedział, chyba że nie wie nic.
- Proś śmiało, lecz rozważnie - przykazał surowo kapitan przewodnikowi. - To rozkaz Iii.

Przewodnik, który miał na imię Obidhen, spuścił wzrok i zaczął szybko liczyć na palcach, co wśród ludzi pustyni zastępowało pisaninę au'it.

• Sześćdziesiąt dziewięć zwierząt - rzekł w końcu. - Namiotów wystarczy, jeden na dziesięć osób. Więcej będzie oznaczało więcej beshti, więcej jedzenia, więcej zwierząt jucznych, więcej pracy i większe ryzyko. Mam dość niewolników, moich dorosłych synów i dwóch wyzwoleńców.

- Namiotów wystarczy - zgodził się Marak.

• To skromny człowiek - powiedział kapitan do Obidhena. -Ila go ceni, bóg jeden wie, dlaczego.

Obidhen spojrzał z ukosa na Maraka, być może nie poinformowany, że jego grupę stanowią wyłącznie szaleńcy.

Potem jednak trzeba było zdobyć i załadować zapasy, więc przewodnik odszedł z rozkazami, by z polecenia Iii natychmiast zgromadzić wszystko, czego mu trzeba, i sformować karawanę za murami przy fontannie. Obidhen, który trzymał swoje zwierzęta w zagrodach na północ od miasta, a sprzęt i namioty miał starannie złożone w magazynach przy północnej bramie, obiecał trzy godziny według klepsydry na dziedzińcu. Mając za sobą rozkazy Iii, resztę znajdzie w przydzielonym czasie.

• Będziemy potrzebowali dla każdego mężczyzny czy kobiety zmianę ubrania - powiedział Marak. - Bukłaki. Materiały do naprawy butów i ubrań. I maści oraz leki dla wszystkich.

• Zrobione - rzekł wtedy kapitan i wyznaczył przybocznych do przyniesienia potrzebnych rzeczy oraz kaprala, by obudził

oddział, który wyniesie wszystko przez bramę przy fontannie i pod kierunkiem Obidhena podzieli na paczki; każdy mężczyzna i każda kobieta dostanie jedną z nich. Wody nie tyle, by jej utrata była katastrofą, ale dość, by uzupełnić zapas o jeden cały dzień, a żywności tyle, by wystarczyło jej na dodatkowy tydzień.

• Sierżant Magin odprowadzi was spod murów do waszego pierwszego obozu - oznajmił kapitan, kiedy au'it zapisała wszystkie te szczegóły dla osoby, która czytuje takie zapiski. - Wiem, nie pragniesz eskorty - dodał Memnanan. - To nie jest eskorta.

- Przyjąłem ostrzeżenie - odparł Marak.

Memnanan spojrzał na niego, jakby chciał się dowiedzieć o wiele więcej, zanim wypuści na swój teren abjori z nizin oraz sporą karawanę.

- Dostaniesz list i wodną pieczęć dla władcy Pori - rzekł

kapitan.

Gdyby przed zejściem z krawędzi pustyni mogli do woli się napić, napoić zwierzęta i nabrać wody, przyspieszyłyby to ich podróz. Marakowi się to spodobało. Jeśli chodzi o znajomość studni i niebezpieczeństw, ufał Obidhenowi.

Zanim upewnił się co do reszty bagażu, a ludzie Iii donieśli, że szaleńcy zostali doprowadzeni pod wzgórze, zaczęło świtać. Marak sądził, że to wszystko zajmie więcej czasu, i teraz zrozumiał, że nie będzie żadnego odpoczynku, nawet godziny, ale nie protestował. Bolały go plecy i stawy, szumiało mu w uszach i oczy zamykały się ze zmęczenia, lecz oczekiwanie życia i wolności stało się fundamentem wszelkich działań; potrzeba wymarszu stała się równie wyraźna, co jego kierunek, a oficerowie Iii przyjmowali jej rozkazy, jakby wydawał je bóg, i natychmiast je wypełniali. *Na wschód*, mówiły uporczywie głosy Maraka, chociaż atak Iii go ogłuszył. *Na wschód. Natychmiast. Pośpiesz się.*

- Wróć - powiedział na wypadek, gdyby Memnanan w to wątpił.

Memnanan patrzył na niego z dystansem, jakby wciąż usiłował go ocenić. Marak też zapamiętywał Memnanana, człowieka nie rzucającego się w oczy, lecz wyróżniającego się uczciwością, dowcipem, inteligencją. Kiedyś może będą zażartymi wrogami. Teraz byli sprzymierzeńcami i Marak chciał dobrze

zapamiętać jego imię, jego twarz, bez względu na to, co zajdzie między nimi w przyszłości.

Dopiero wtedy, wciąż nawiedzany przez swoje głosy, na wpół ogłuchły! z obolałymi kośćmi, odwrócił się i ruszył w dół wzgórze, jak jakiś zwykły podróżnik. Memnanan posłał z nim swojego sierżanta i kilku ludzi; ulicami, którymi wspinał się przed paroma zaledwie godzinami jako więzień,

schodziła teraz z nim także au'it, której poleciła się z nim udać Ila.

Miasto nie odpoczywało ani w dzień, ani w nocy... zmieniał się tylko panujący w nim ruch. Podobnie jak ludzie w nizinnych wioskach, mieszkańcy Oburanu oddawali się swoim głównym zajęciom za dnia; lecz, jako że miasto należało też do Lakht, nawet w środku nocy na ulicach pełno było ciekawskich przechodniów. Może dziwili się na widok Maraka, nie usłyszawszy od nikogo plotki, kim jest. Bardziej jednak wydawali się zdumieni widokiem odzianej w czerwień au'it, widomej obecności Iii, kiedy grupa przecinała któryś z kręgów światła, rzucanego przez obłązione przez owady, marnujące oliwę lampy. Orni, mówili. Pan. Władca. Władczyni. Kłaniali się lub zakrywali twarze, bojąc się jej bardziej niż broni.

Kiedy dotarli do bram, w czasach pokoju stojących nocą otworem, musieli tylko wyjść na zewnątrz, obok Łaski Hi, gdzie Obidhen przyprowadził swoje beshti i rozłożył bagaże. Wszystkie zwierzęta juczne siedziały osiodłane. Ładunek, który miały nieść, leżał rozdzielony i gotowy do przytroczenia do siodła przed samym wyruszeniem w drogę. Osiodłane wierzchowce też czekały na swoich jeźdźców. Obidhen był przez ostatnie kilka godzin bardzo zajęty.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił z ukłonem.

- Au'it pojedzie z nami - rzekł Marak. - Wątpię, by potrafiła jeździć. Wątpię, by potrafiło to wielu z pozostałych.

- Zostaliśmy poinformowani - odparł Obidhen. Wciąż pozostawało pytanie, jak dalece został poinformowany, lecz Marak uznał, że przewodnik zapewne już poznał charakter karawany.

Sierżant dowodzący ludźmi Iii też przekazał konieczne rozkazy przewodnikowi i poszedł po własne wierzchowce; Obidhen zaczął przydzielać zwierzęta swoim szaleńcom.

Taki był uporządkowany początek. Wtedy niewolnicy Obi-dhena, silni mężczyźni, zmusili do wstania ponad czterdzieści beshti i poczynając od au'it, podsadzili swoich pasażerów na siodła.

_ Siedźcie spokojnie! - krzyknął Marak. - Niech się przyzwyczajają!

Powstał przerażający chaos. Zwierzęta, mając do czynienia z tak wieloma nowymi i niewprawnymi jeźdźcami, straciły cierpliwość i uciekały przed poszturchującymi je kolanami i łokciami, rycząc i tylko wzmagając zamęt. Dwóch, a potem trzech nowicjuszy spadło ciężko na piasek. Marak chwycił luźne wodze, podobnie jak wyzwoleńcy, synowie Obidhena i on sam, a od bramy nadchodzili gapie, zwiększając chaos. Żołnierze, którzy nadjechali z szyderczymi okrzykami, musieli ściągnąć wodze, by powstrzymać inne ryczące beshti.

Tymczasem wielu jeźdźców nie potrafiło zatrzymać wierzchowców i ich zwierzęta zaczęły kręcić się w kółko, ignorując ściągnięcie wodzy dzięki prostej sztuczce odwrócenia głowy do tyłu. Nic dziwnego, że kilkoro nowicjuszy zostało ugryzionych w stopy, co od nowa wywołało zawrota głowy i panikę oraz, mimo obecności au'it i żołnierzy, kocią muzykę pod bramą.

Szaleńcy byli w większości wieśniakami, ale przez pustynię przeszli, a nie przejechali. Oprócz kilku osób wychowanych na Lakht oraz dwóch wyraźnie dobrych jeźdźców, większość szaleńców nigdy w życiu nie siedziała w siodle i niewolnicy musieli włożyć wiele wysiłku w przekonanie ich wierzchowców, by nie wyłamywały się z szeregu.

Marak poszedł do swego rasowego beshy i odczepił harap od siodła. Po niedawnym zamieszaniu zwierzę wybałuszyło oko, patrząc do tyłu i oceniając nowego jeźdźcę.

Marak ujął wodze i gładko włożył stopę do wyższej pętli służącej do wsiadania. Besha, być może z ulgą wyczuwający jeźdźcę, który zna szybki sposób wsiadania, na wół wyprostował przednie nogi i uniośł się w chwili, gdy Marak łądował w siodle.

Nie musiał wołać „hap-hap-hap!”. Marak też ocenił wierzchowca i kiedy ten przesunął tylne nogi, zaparł się obiema rękami o podwójny łęk, jedną wyżej, drugą niżej.

Gwałtowne wahanie do przodu zmieniło się w gwałtowne wahanie do tyłu, gdy zwierzę wyprostowało przednie nogi.

I właśnie wtedy, kiedy niedoświadczony jeździec najmniej by się tego spodziewał, tylne nogi wykonały długie pchnięcie, wyrzucając go w przód, i przez moment Marak niemal wisiał głową w dół, wystawiając na próbę wytrzymałość poprzęgu opasującego szeroką pierś beshy.

Tu się właśnie przydawał podwójny łęk i mocne zapieranie się wyprostowanymi rękoma, dlatego też dzieci oraz osoby starsze dosiadały beshti tylko z pomocą innych, kiedy zwierzę już stało.

Czwarty, drobny wstrząs, niemal podskok, oznaczający całkowite wyprostowanie przednich nóg; jeździec wracał do pozycji wyprostowanej, by spoglądać na świat z wysokości dwukrotnie przekraczającej wzrost człowieka, siedząc na stworzeniu o szczudłowatych nogach, cztery razy większym od siebie. Wszystko to trwało zaledwie kilka mgnień, ale chociaż Marak był zmęczony i trzymał wodze drżącą ręką, i chociaż otaczała go grupa szaleńców mogących z łatwością spaść na piasek albo nie zdążyć cofnąć stóp sprzed pysków rozdrażnionych wierzchowców, poczuł powiew wolności.

Jego zwierzę, nie będące pospolitym przedstawicielem swego gatunku, rwało się do biegu. Marak je powstrzymał. Beshka kołysał się pod nim w przód i w tył, wydając pomruki z głębi piersi, jak zwykle czyniły szlachetne wierzchowce, znacierpliwione powolnością zwierząt jucznych. Marak nie pozwolił mu na żadne figle; umieścił władczo prawą stopę na wygiętej szyi beshy i głęboko westchnął. Beshka zrobił to samo.

Wszyscy znajdowali się już w siodłach. Nikt nie zginał. Synowie Obidhena powiązali zwierzęta, które miały iść w kanta-rach, czym wywołali głośnie protesty, a w kilku przypadkach kwik oburzenia wierzchowców nie przyzwyczajonych do takiego traktowania, kiedy były osiodłane.

Pakunki też znalazły się na właściwych miejscach, przewieszane przez siodła juczne i przywiązane krótkimi linami. Niewolnicy śpieszyli się, czasem biegając między zwierzętami, znanymi z niecierpliwości i niezdecydowania. Wszystko zostało spakowane, pakunki równo rozłożone na obie strony siodła, a ciężary dopasowane do siły każdego zwierzęcia: to właśnie mówiło o wielkim doświadczeniu poganiaczy. Wszystkie pakunki prawidłowo umieszczono za pierwszym razem, wszystkie zwierzęta zareagowały na lekkie trzepnięcie, a nie uderzenie harapa.

Ostatnich kilku szaleńców wychowanych na pustyni samodzielnie dosiadło swoich wierzchowców i krążyli tam i z powrotem, wolni od pogardzanej linki, niespokojni jak ich zwierzęta.

Oczywiście trzej synowie przewodnika karawany nie potrzebowali żadnej pomocy. Na rozkaz „Bas!” stojący wierzchowiec po prostu wysuwał przednią nogę, która służyła jako kładka do wsiadania; potem następował szybki obrót i człowiek siedział w siodle. Niewtajemniczonym wydawało się w nikłym świetle świtu, że najstarszy syn przewodnika wskoczył na grzbiet swojego beshy.

To była sztuczka ludzi młodych, zwinnych i wychowanych na pustyni; Marak wątpił, czy wciąż potrafiłby to zrobić. Bardzo zmieknął, prowadząc wiejskie życie po wycofaniu się z Lakht, i teraz wiedział, że jego ojciec też zrobił się miękki i zły, godząc się na życie wiejskiego władcy. Wtedy narodziła się gorycz człowieka nieustannie oplakującego okazję, która nigdy nie nadeszła, zemstę, która nigdy nie przypadła mu w udziale.

Myśli się plątały. Dźwięki oddalały się, znużenie ciążyło coraz bardziej, otepiając zmysły. Uspokajająca zwierzę pozycja którą przyjął Marak, pozwoliła mu przespać wiele godzin jazdy, a choć wraz z młodzieńczą pewnością siebie utracił wiele innych rzeczy, jego ciało nie zapomniało, jak utrzymać się na rozkołysanym grzbiecie. Drżał w chłodzie świtu, ale przynajmniej nikt nie zauważył jego słabości. Brak snu powodował dreszcze. Marak nie umiał sobie wytłumaczyć odmiany swego losu. Atak Iii wywołał szum w jego uszach; teraz, kiedy już wszystko zrobił, kiedy nie pozostało mu nic innego jak zasnąć, nie miał sił walczyć z wyczerpaniem. Zrobiło mu się zimno. Otulił się szatą, chowając pod nią nawet palce i chłonąc ciepło ogromnego ciała, które miał pod sobą.

Ryk w uszach narastał. Ból wlał się w stawy Maraka, aż do palców u rąk i nóg, i, po tak długim czasie nie zwracania na niego uwagi, na nowo się tam umocnił. Ale to tylko zmęczenie, tłumaczył sobie Marak. Drżenie minie. Ryk w uszach z pewnością minie, kiedy się wyśpi.

- Czy wracamy do domu? - zapytał jeden zdezorientowany szaleniec drugiego, kiedy przejeżdżali obok Maraka. Karawana wyruszyła w drogę. - Dokąd pojedziemy?

Szaleniec odpowiedział towarzyszowi:

- Na wschód, człowieku. Jedziemy na wschód. Wszystko jest na wschodzie. A potem wrócimy i opowiemy Iii, co znaleźliśmy. I to jest szalone. Jednym z nas jest syn Taina. Twierdzi, że to roz pracuje.

Rozdział 4

„Oto prawo karawan: przewodnik karawany ma władzę nad życiem i śmiercią wszystkich podróżujących pod jego rządami, z wyjątkiem kapłana, z wyjątkiem au'it, z wyjątkiem człowieka Iii. Ich życie należy do Iii. Przewodnik karawany musi je zachować za cenę wszystkich innych”.

- Księga Oburanu

Słońce wstało i jak ogromny, rozdęty dysk wspięło się po niebie nad Lakht. Upał narastał coraz

bardziej, zbliżała się pora, kiedy rozważni podróżnicy rozstawiają namioty. Marak rzeczywiście spał w siodle; był to niespokojny sen, podczas którego czujnie obserwował szaleńców, żołnierzy, przewodnika karawany i jego synów, lecz jego uwagi nie wymagały zakłócenia podróży większe niż przelot ptaków, cienie na piasku oraz ślad samotnego pełzacza, prowadzący do okolonej sitowiem Łaski.

Kiedy minęło południe, a karawana zostawiła staw za sobą, upał się zwiększył. Przewodnik zarządził postój do czasu, kiedy minie spiekota, i Marak, podobnie jak pozostali, z zadowoleniem kazał uklęknąć swojemu wierzchowcowi, po czym zszedł z siodła.

Drgania spowodowane tym ruchem zwierzęcia rozpały w kolanach i łokciach Maraka ból. Trin usiadł na rozpalonym piasku, oparty o szeroki bok beshy, a przewodnik i jego służący rozstawili namioty.

Au'it przycupnęła obok niego z księgą i przyborami do pisania na kolanach.

Marak był przekonany, że w tym obozie nie zdarzy się nic godnego odnotowania, więc zwrócił się do kobiety:

- Zapisz imiona szaleńców. - Wydawało się to nieszkodliwe.

- Zapisz nazwy ich miast. Zapisz, czego szukają.

Może dzięki temu przestanie się koło niego kręcić.

Au'it skłoniła głowę i ruszyła ze swoją misją do pozostałych szaleńców, którzy skupili się spoceni w ciasnej grupie pod pierwszym rozstawionym namiotem... czterdzieści osób na przestrzeni przeznaczony dla dziesięciu.

Maraka mało obchodziło, co robiła lub zapisywała au'it. Święte miasto skryło się za horyzontem, lecz przez następną noc i dzień będzie pojawiało się jeszcze wiele razy; Marak nie ekscytował się już jednak jego widokiem. Zależało mu tylko na tym, by nie słyszeć żadnych hałasów i żeby nie musiał się podnosić; gdzie znajdzie siłę, by po południu znów dosięść wierzchowca, nie miał pojęcia. Teraz ból rozpanoszył się na dobre. Teraz zalała go fala słabości. Synowie przewodnika będą musieli go podsadzić jak żonę z Tarsy i garncarza.

On, Marak Trin, niegdyś Trin Tain, dziedzic swego ojca, spali się ze wstydu.

Nazywano go postrachem Lakht. Dawno temu.

Odpoczywał niemądrze w słońcu, nie szukając schronienia w pierwszym namiocie: w tym stadium niesmaku odczuwanego względem siebie samego nie potrafiłby znieść spojrzeń i pytań współpodróżników, beneficjentów jego wspaniałomyślności, modeli jego losu. Najbardziej irytowała go ta ostatnia prawda, że w gruncie rzeczy, jeśli chodzi o Ilę i żołnierzy, on stał się taki sam jak reszta szaleńców. Rozmyślał ponuro nad tą sytuacją, owinąwszy twarz aifadem, który oddzielał go od niechcianego teraz towarzystwa, choć przecież sam zaprosił wszystkich tych ludzi na wyprawę.

Kiedy jednak stanęły wszystkie namioty - z podniesionymi połami, by umożliwić przepływ powietrza - szaleńcy rozeszli się do nich i usiedli na matach. Wtedy Marak się poruszył.

- Orni - zagadnął go Obidhen. „Mój panie”. - Ja z moimi wyzwolenkami i niewolnikami będę miał pierwszy namiot. Mój drugi syn Landhi będzie miał następny, Rom, najstarszy, weź mie trzeci, a Tofi, mój najmłodszy, może się zająć czwartym. Mogę umieścić dwóch wyzwolenków w pierwszym i sam zająć się piątym, chyba że obejmiesz go ty, orni. Znasz Lakht. Z pewnością wiesz, co trzeba robić. Najlepiej by było, gdybyś wziął pod swoją opiekę au'it i rządził tym namiotem.

Marak rozumiał delikatne położenie, w jakim znajdował się przewodnik. W piątym namiocie rozłożyli się żołnierze Iii, ludzie, nad którymi przewodnik miał niewielką władzę.

- Zajmę się nim - rzekł Marak. -I rzeczywiście znam Lakht.

Przewodnik skłonił się z wyraźną ulgą. Marak też ją odczuwał. Miał namiot, w którym jego słowo jest prawem. Jeśli chodzi o żołnierzy, to odjadą po południowym odpoczynku, i dobrze. Wziął swój bukłak i matę, prawie ostatnią ze sterty, i poszedł do namiotu, pewien, że au'it, wciąż zajęta swymi pytaniami, wróci do niego w odpowiednim czasie.

Tymczasem rozłożył matę przy krawędzi cienia, gdzie pod płótno napływały słabe podmuchy wiatru, i poszedł po swoją rację. Jako pan piątego namiotu miał rozsądzać spory, a w dni, kiedy nie jedli wspólnego posiłku, miał rozdzielać zapasy. Nie było żadnych sporów ani pytań, więc Marak spokojnie rozpakował jedzenie, zwykłą porcję przeznaczoną na dni, kiedy podróż była zbyt ciężka, a pracę trzeba było wykonać zbyt szybko, by rozkładać kuchenki słoneczne i gotować. Placek stanowił suchy prowiant rozpowszechniony na Lakht, gdzie woda była zbyt cenna, by dodawać ją do żywności. Trzymano ją w manierkach i mieszano z plackiem w ustach, by nawodnić organizm i ułatwić przełykanie. To było zwykle pożywienie pustynnych plemion w podróży i szaleńcy nauczyli się tego

podczas marszu. Być może nie wiedzieli o wierzchowcach, ale teraz już wiedzieli, jak jeść i pić na pustyni. To byli najtwardsi ludzie z całej grupy, ci, którzy przeżyli i potrafili się najlepiej przystosować. Marak nie musiał im nic mówić o wartości wody i rozdziale żywności... pod warunkiem, że mieli spokojne umysły.

Tymczasem ludzie Iii rozpakowali swoją kolację i zaczęli jeść owoce z targu, pozwalając, by marnował się skapujący na piasek sok, i wyrzucając pestki z resztkami miększości. Marak patrzył na to złym wzrokiem. Odpoczywał i cierpiał z powodu nawrotu bólu, który zadała mu Ila.

Wróciła au'it.

- Odeszły dwie osoby - oznajmiła.
- Wzięli zwierzęta? - zapytał Marak.
- Nie - odparła. - Kiedy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, po prostu odeszli.
- Są już martwi - stwierdził Marak.

Ci, którzy przeszli Lakht do świętego miasta, nie powstrzymali ich ani nie poinformowali o ich odejściu i była w tym pewna logika. Jeśli chcieli odejść dzisiaj, mogli zechcieć odejść i jutro, zjadłszy i wypijwszy tymczasem swoją dzienną rację. Pustynia zabijała marnotrawców i ekscentryków szybko, pewnie, po czym ich grzebała. Marak dał im szansę i wydał na nich dzienną rację żywności. Praktycznie byli już martwi, a on nie mógł ich winić za taki wybór.

Kto wie, może to nawet lepszy wybór? Poprosił o ich życie w chwili, kiedy walczył o własne. Teraz nie miał pojęcia, co zrobił tym szaleńcom, czy to było dobre, czy złe. Nie wiedział, czy uratował tych ludzi, czy skazał na powolną śmierć.

Wiedział jednak, dlaczego wdryga się na bezmyślne marnotrawstwo otaczających go mężczyzn i kobiet. Żołnierze rozlewali wodę. Jeden z szaleńców odszedł w tej chwili na bok i chodził w kółko, patrząc w niebo i słońce. Czy Marak jest odpowiedzialny za tego człowieka, ponieważ poprosił o jego życie? Czy może coś mu doradzać wbrew jego wizjom? Czy mógłby spisać się lepiej, przewodząc tej bandzie głupców?

Czy mógłby powiedzieć, że sam, prędzej czy później, nie wpadnie w takie szaleństwo?

Au'it cicho wymieniła imiona zaginionych, a imiona pozostałych oraz ich pochodzenie zapisała w księdze, tak jak sobie tego życzył Marak. Żadne z imion szaleńców nie miało dla niego wielkiego znaczenia, tyle że żona z Tarsy nazywała się Norit, a garncarz Kosul. Mimo potężnego szumu w uszach Marak zauważył te i inne imiona i postanowił je zapamiętać.

Okazało się też, że wśród szaleńców są członkowie plemion. Marak się tego domyślał. Na tym terenie to była dobra wiadomość... o ile to właśnie oni nie odeszli w głąb pustyni.

Po jedzeniu ułożył się do snu. Wydawało mu się, że tego popołudnia powietrze jest albo gorętsze niż zwykle, albo on sam ma gorączkę. *Zaznał* bólu, a gojeniu się jego ran zawsze towarzyszyła gorączka - taką już miał słabość od dzieciństwa.

Kiedy pojawiała się gorączka, Marak zawsze zdrowiał.

Obudził się po kilku godzinach snu; ponieważ ból się zmniejszył, poprawiło mu się samopoczucie. Z ulgą zauważył też, że słabnie przerywane brzęczenie i ryk, na którego tle pojawiały się głosy, więc Marak zaczął mieć nadzieję, że i on ucichnie. Słyszał jeden ze swoich głosów wołający go wyraźnie po imieniu, które powtarzało się monotonnie i czysto po raz pierwszy, od kiedy ogień Iii przeniknął mu kości.

Marak nigdy nie sądził, że powrót tego głosu przyjmie z ulgą. Głos był lepszy niż ryk w uszach i o wiele lepszy niż przytępione zmysły.

Natomiast mniej przyjemne było to, że owego popołudnia widział rozbłyśki wewnętrznego światła, tak jak w dzieciństwie, kiedy w jego oczach po raz pierwszy zaczęły powstawać obrazy. Zupełnie jakby teraz się odnawiały.

Zdrowiał. Zawsze zdrowiał. Nawet szaleństwo wróciło do dawnej intensywności, jakby stanowiło nieunikniony warunek jego zdrowia.

Marak leżał na macie i słuchał głosów, aż zaszło słońce, a przewodnik karawany i jego synowie zaczęli zwijać namioty. Nadszedł czas wymarszu. Żołnierze, pulchni od wypitej wody, wsiedli na wierzchowce i odjechali w stronę miasta. Nikomu nie było z tego powodu przykro.

A szaleńcy, skoro już odpoczęli, ruszali się z większą energią niż dotychczas, sami nosili swoje maty, a niektórzy pomagali nawet przy namiotach - żołnierze odeszli i szaleńcy nabrali pewności, że nie są już więźniami.

W końcu wstali wszyscy oprócz żony z Tarsy, Norit, która siedziała i kiwała się, kiwała i kiwała, zupełnie jak tamten chłopak.

Do Maraka zbliżył się ostrożnie przewodnik; stwierdził, że jeśli mają wyruszyć, to trzeba zwinąć i

ten namiot, i zapytał Maraka, czy nie zechciałby namówić kobiety do wstania.

Marak zauważył kątem oka, że au'it coś zanotowała w swojej księdze. Zadał sobie w duchu pytanie, co i dla kogo napisała.

Podszedł do Norit i pomógł jej wstać. Au'it znów coś zapisała.

Marak, Marak, Marak. Doprowadzające do obłędu głosy nie milkły. Światła pod czaszką Maraka były jaśniejsze od słońca -długi, bardzo długi tunel słońc.

Niewolnicy osiedłali mu wierzchowca. W narastającym ataku szaleństwa pomyślał, że to Osan - tak nazywał się jego pierwszy besha, gdy on sam był chłopcem; a kiedy usadowił się w siodle i wytrzymał serię mogących złamać kark wstrząsów towarzyszących podnoszeniu się zwierzęcia, uznał, że to jest właśnie jego imię. Życie Maraka zaczynało się od początku. Odrzucił odpowiedzialność względem ojca i przyjął odpowiedzialność za szaleńców... wiedział, że nie może ich wyleczyć, podobnie jak nie mógł wyleczyć siebie. Był tu jednak z nimi. Otrzymał dowództwo, do którego przygotowała go jego dolegliwość.

Wraz z zachodem słońca wstał wiatr, pierwszy podmuch powietrza, przypomnienie życia pośrodku wielkiej równiny, i poprawił też nastrój Osanowi. Marak ściągnął wodze i krążył w koło, aż wszyscy szaleni, a po nich przewodnicy, znaleźli się w siodłach. Wtedy pozwolił Osanowi ruszyć do przodu; najpierw jechał z synami przewodnika, a potem sam, nadając dobre tempo.

Kiedyś całymi dniami jeździł po zachodniej pustyni. Gdzie byłeś? - pytał go ojciec, a on kłamał i nazywał swoje głosy i wizje polowaniem. W końcu coś zabijał i przywoził do domu, a ojciec mu wierzył.

Przypomniał sobie, jak zabił ptaka i jak głąskał jego główkę, myśląc, że gdyby nie był szalony, ptak żyłby dalej, ponieważ zabicie go przyniosło mu niewiele dobrego. Wdeptał go wtedy w piasek i przyrzucił kamieniami. A potem stchórzył i zabił jeszcze jednego ptaka, by mieć co pokazać ojcu po całym dniu spędzonym na pustkowiu.

Osan, świadek dawnych kłamstw i oszustw Maraka, zmienił się już w proch. Grzbiet, o który Marak zwykł się opierać, już nie istniał. Nie mógł już się spodziewać z tej strony żadnej pomocy. Teraz miał tego wierzchowca, który będzie z nim żył lub z nim zginie. Podobnie ci wszyscy ludzie. Nie musi tej nocy nigdzie chodzić, by się usprawiedliwić. Już nie. Nie będzie więcej żadnych kłamstw. Był, kim był, a żołnierze, ostatnie ogniwo łączące szaleńców z miastem, opuścili ich. Słowu Maraka mógł się sprzeciwić tylko przewodnik karawany, ale Obidhen, oddany pod jego rozkazy, nazywał go panem.

Byli dobrze wyposażeni, jak najlepsza z karawan. Nikt nie szedł pieszo i nie spowalniał marszu. Nie mieli wozów. Daleko od studni, gdzie mogła podróżować szybka, dobrze wyposażona karawana, istniało mniejsze ryzyko napotkania bandytów. To woda przyciągała drapieżców.

Marak, odezwały się głosy, przebijając się przez ryk w jego uszach. *Marak. Tędy.*

Na wschód, gdzie wstawało słońce. Na wschód, gdzie pochylał się świat. Na wschód, gdzie jest koniec pytań dla mężczyzn i kobiet powodowanych jedną myślą, dla garści dusz rozpaczliwie zmierzających ku identycznej, szaleńczej obsesji.

Tak biegły urywane myśli Maraka podczas nocnego marszu, kiedy każdy istniał sam dla siebie, a ciemność studziła ziemię w cieniu i przy światłe gwiazd.

Czasami zasypiał w siodle. Czasami budził się, by popatrzeć na gwiazdy i uświadomić sobie, że przed nim leży nieznane.

W ciemności ten nowy Osan wywoływał emocje, o których Marak sądził, że zostały zabite przez narkotyki i marsz przez pustynię. Dzięki Osanowi jego dłonie przypomniały sobie o miłości, a ciało o wolności, i te dwa uczucia budziły następne.

Marak, Marak, Marak, mówiły jego głosy. Ciało Maraka poddało się kołysaniu, które znało z czasów, do których on sam już nie sięgał pamięcią, kołysaniu, które mu towarzyszyło w ramionach ojca, kiedy było to bezpieczne miejsce, ocienione miejsce, pewne miejsce.

Teraz okazało się najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie, najboleśniejszym miejscem, do którego mogła się cofnąć pamięć.

Został tylko Osan.

Wolność była jedyną rzeczą, o którą Marak kiedykolwiek prosił ojca.

Przyzywała go do siebie oślepiając jasna jaskinia pełna słońc: Marak mrużył oczy nawet w ciemności, co i tak nie miało większego sensu.

Na tle gwiazd wznosiła się wieża, czarny kształt, nieobecność światła. *Marak*, mówiły głosy.

Walczył z ich radami, tłumił obrazy, ukrywał je przez całe życie, a teraz mógł się nauczyć od świata jedynie prawdy co do ich znaczenia. Zupełnie jakby Marak i pozostali szaleńcy zrzucili ubrania i biegali nago w ciemności. Au'it odczytała mu ich imiona i Marak wiedział już, że nie jest sam. Miał

siostry i braci. Prawdziwie szaleni odeszli, by zginąć, a pozostali ci, którzy, jak on sam, mieli dość rozumu, by opanować wizję, i dość siły woli, by żyć.

Znajdą odpowiedzi. Razem, na wschodzie, znajdą odpowiedzi.

Rozdział 5

„W mądrości Iii Święte Miasto najpierw wysłało plemiona, by odkryły ziemię, i Święte Miasto dało im umiejętności rządzenia wysokim Lakht. Następnie wyszli ze Świętego Miasta władcy wiosek razem ze swymi domownikami, i dotarli do studni ze słodką wodą, które znalazły plemiona, i zajęli je. Z tego powodu żadna wioska nie może odmówić wody plemionom. Karawanom może sprzedawać wodę, ale plemiona mogą brać, czego im trzeba”.

- Księga Gosonu

Wstał dzień. Świat być może podjął swój zdrowy bieg, lecz szaleńcy dalej podążali swym kursem, a ich wierzchowce szły cierpliwym, swobodnym krokiem.

Proszę, proszę, pomyślał Marak, kiedy słońce ogrzało napięte mięśnie jego ramion: mimo wszystko słońce wstało, a on, który uważał się za kogoś stojącego ponad szaleństwem, wcale się nie okazał inny, ani bardziej, ani mniej zdolny do przetrwania.

Pogodzony z losem, zaczął się przyglądać twarzom. Uczyl się ich. Dopasowywał do nich imiona.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Rozbili obóz już mniej chaotycznie - rząd blisko ustawionych namiotów - ugotowali posiłek, zjedli go i położyli się spać. Kiedy powietrze się ochłodziło, znów wyruszyli w drogę. Kilku szaleńców usiłowało nawet dosiąść wierzchowców tak, jak bardziej doświadczeni jeźdźcy. Jeden z nich, garncarz, spadł na ziemię. Był jednak odważny, a pozostali odczuli jego upadek w swoich kościach. Roześmieli się dopiero wtedy, kiedy roześmiał się on sam.

Kilku jeźdźców wciąż raczej sprawiało swoim beshti kłopoty, niż kierowało nimi wodze. Żona z Tarsy, Norit, ściągała swoje za mocno, może bojąc się, że zwierzę rzuci się w bok i poniesie ją głęboko w pustynię.

- Nie - powiedział Marak; widział próżne wysiłki przewodnika karawany, który chciał zmienić ten nawyk. - Nie tak. Trzymaj wodzę w ten sposób, nad dłonią. Sygnałem dla wierzchowca jest zwykły ruch nadgarstka. Jeżeli ciągle nim ruszasz, zwierzę przestaje cię słyszeć, jak dziecko, które za dużo krzyczy. Rozluźnij plecy. Oddaj wodzę, chyba że chcesz wydać jakieś polecenie. Zapewniam cię, że gdyby besha chciał gdzieś pobiec, nie wystarczyłoby ci siły w rękę, by go powstrzymać. Ale on nie chce biec. Jest o wiele za gorąco.

Wciąż ścisnęła wodzę. Pewnie bolały ją dłonie.

- Jeżeli będziesz go tak denerwować - ciągnął Marak - to po prostu się znarowi. Zawsze jednak odwróci głowę na delikatne pociągnięcie, właśnie tak, wystarczy. A jeżeli nie zechce skrócić, dotknij harapem drugiej strony grzbietu.

- A jeśli go rozzłoszczę?

Najwyraźniej była to dręcząca obawa.

- A czy komar cię złości? Powiadam ci, że złości go twoje ciągnięcie za pysk. Sprawiasz mu tym ból. Dotykaj i pociągaj ła godnie. Ale tylko wtedy, kiedy chcesz skrócić. Może dwa razy dziennie, przy stawaniu na popas i przy wyruszaniu w drogę.

Postarała się go posłuchać i oddała trochę wodzę, ale trzymała ją tak mocno, że pobielały jej knykie.

- Dobrze. Połóż wodzę na kolanach - polecił Marak. - Wypuść ją. - Zrozumiał teraz, że tejkobiecie cały świat rozsypał się w chaos, że dostała ona tylko wodzę, za pomocą której może sterować swoim kursem ku krawędzi świata. Sterowała nim żelazną dłonią. - Posłuchaj mnie. Zaufaj mi. Wypuść ją.

Zupełnie jakby prosił, by rzuciła się ze skały.

- Wypuść ją, powiadam.

Ostrożnie położyła wodzę na kolanach i siedziała niczym niepewnie ustawiony kamień, oczekując katastrofy.

- Stopa do góry - powiedział Marak, póki ich wierzchowce szły obok siebie - w zagięciu jego szyi. Dzięki temu nie będziesz się pochylać, a on nie zrzuci cię przez łeb. Ramiona odchyłone za jczyż. Dzięki temu nie ześlisz się do tyłu po zadzie. Biodrami poruszaj w rytm jego kroków. Siedziała jak kamień.

- Kochałaś się przecież - rzekł. - Byłaś żoną. Podążaj za jego ruchem.

Rzuciła mu szokowane spojrzenie. Oczy miała szeroko otwarte i przestraszone.

- Są gorsze rzeczy od spadnięcia - powiedział w przedłużającej się ciszy. - Kołysz plecami. Nie zapominaj, jak to się robi.

Upewniwszy się, że wierzchowiec nie rzuci się w bok, kobieta zebrała wodzę. Marak być może ograbił ją z jednego aspektu panowania nad światem. Teraz kazał jej kochać się z tym, czego się boi, a jej plecy wciąż były sztywne, jej postawa świadczyła o urazie. Po chwili zaczęła jednak kołysać plecami. Posłuchała.

- Jeżeli chcesz żyć - ciągnął - zmień to zwierzę w swego sprzymierzeńca. Jeżeli będziesz w stanie trzymać się swojej be-shy, to gdy oddzielisz się od reszty, ona osłoni cię od słońca i wiatru, i jeśli nie będziesz dotykała wodzy, w końcu doniesie cię do wody. To twoja największa pomoc. Może być twoim życiem.

Pomyślał, że tego też nie chce słuchać, ale słuchała. Jej besha była o wiele bardziej zadowolona z takiego partnerstwa.

Nie tylko żona z Tarsy popełniała błędy. Marak udzielił tej samej lekcji sadownikowi z Gosonu o imieniu Korin, garncarzowi Kosulowi ze swojej własnej grupy oraz kobiecie z zachodu imieniem Maol, wiejskiej gospodyni, która zaczerwieniła się bardziej, niż gdyby spaliło ją słońce, ale która rozumiała, co chciał jej powiedzieć.

Na ponad czterdziestu ludzi nie musiał niczego pokazywać pięciu osobom. To byli jeźdźcy: dwaj kupcy i dwaj byli żołnierze, do których Obidhen zwracał się o pomoc.

Tą piątą była lakhtanka z pustynnych plemion, ciemnoskóra kobieta imieniem Hati, jedna z dziewięciu osób w namiocie Ma-raka, do którego zostali też przydzieleni au'it, garncarz i sadownik, trzech rolników, tkacz oraz żona z Tarsy.

Hati panowała nad zwierzętami z instynktowną pewnością siebie, a to, jak siedziała na wierzchowcu, budziło podziw mieszkańca zachodnich nizin. Czasami pomagała Obidhenowi, kiedy beshy stawały się krnąbrne; Marak widział też, jak podrywała i uspokajała zwierzęta samym głosem, tym dziwnym zawołaniem znanym wierzchowcom hodowanym na pustyni. Była dla nich darem; jej wiedzę usiłowali zdobyć synowie Obidhena, starając się wciągnąć ją do rozmowy... być może z zamiarem zdobycia czegoś więcej niż samej wiedzy.

Chodziła jednak z zakrytą twarzą, posępna i pogrążona w myślach. Marak dzielił z nią namiot i jeszcze nie widział jej oblicza.

Rozbili obóz, przespali się, zwinęli obóz. Dzień wydawał się chłodniejszy od poprzedniego. Wierzchowce szły chętnie, podrzucając głowami i siekąc ogonami z nadmiaru energii.

Przecięli szeroką nieckę, gdzie wspomnienie wody zostawiło po sobie zasadowy osad. Nogi wierzchowców po kolana pokryły się bielą, a karawana zostawiła za sobą wyraźny trop.

Znów zapadł zmrok i pojaśniały gwiazdy. Beshti były niespokojne i podczas wieczornej jazdy wszyscy zapomnieli porannych wskazówek, sprawiając coraz więcej kłopotów. Marak napominał zrędliwie parę osób, włączając w to byłych żołnierzy, którzy zakłócili tempo marszu.

Teraz jednak wszystko się uspokoiło; powietrze w zapadającym mroku było przyjemne, a nawet chłodne. Marak przyłapał się na tym, że patrzy z szacunkiem na Hati i że patrzy na nią coraz dłużej. Dłonie miała smukłe i piękne. Jej ciało pod zwojami materii wydawało się młode. Była zagadką, osobą wyjątkową wśród zebranych przez Ilę. Plemiona kamienowały swoich szaleńców. Hati była tu żywa. Kiedy Marak nad tym rozmyślał, wydawała mu się coraz bardziej intrygująca.

— Wierzchowiec jest twój - powiedział, podjeżdżając bliżej. - Jedź z nami albo w swoją drogę. Nikt cię nie będzie zatrzymywał.

Hati nic nie odrzekła ani nawet na niego nie patrzyła. W ciemnościach odcinały się na jej ciemnych rękach jaśniejsze paski wokół palców i nadgarstków. Przez całe życie nosiła zapewne plemienne srebro, symbol należnego jej szacunku, po którym zostało teraz tylko bledsze ciało.

Marak uznał, że jej plemię ją odrzuciło. Zatrzymali to, co chcieli, postępując podobnie jak ze swoimi zmarłymi, którym odbierali wszelkie ozdoby - srebro było dla padlinożerców bezużytecznym wyróżnikiem.

- A może chcesz zostać? - zapytał Marak, nie dając za wygraną. - Potrzebuję twojej pomocy. Znasz Lakht lepiej niż ktokolwiek z nas. Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?

Skinęła głową.

- Więc naucz tych wieśniaków rozsądku. Widzę, jak jeździsz. Naucz ich.

- Po co?

Dobre pytanie.

- Ponieważ poprosiłem Hę o ich życie. Ponieważ zawisnąć w świętym mieście jest łatwiej niż złamać tu nogę.

W końcu spojrzała prosto na niego, usłyszała go. Widział tylko jej oczy. Pod zasłonami mogła być kimkolwiek, mogła myśleć cokolwiek. Na dodatek była tak samo szalona jak on. No właśnie.

- Jestem Hati - rzekła.

- Marak. Marak Trin.

- Wiem. - Nie powiedziała nic więcej ani nie zachęcała do tego Maraka, który w końcu się oddalił.

Lecz jeszcze tej nocy, w świetle gwiazd, podjechała do kilku kobiet, nawet do au'it, i cichym głosem udzielała im wskazówek co do trzymania wodzy i dosiada. Kiedy wstało słońce, Hati zaczęła instruować mężczyzn, coraz bardziej ożywiona i pewna siebie, a nawet stanowcza; poprawiała nawet lepszych jeźdźców. Kiedy wstał ranek, mężczyźni z nizin bali się jej bezpośredniej nagany - nigdy głośnej, lecz słusznej i kądziwej, jeśli ją powtarzała.

Kiedy zatrzymali się w południe, by rozstawić namioty, Hati przekonała żonę, Norit, by zmusiła swego wierzchowca do usadowienia się na piasku, żeby nie trzeba było jej zdejmować z siodła jak bagaż. Norit zsiadła samodzielnie, a kiedy zobaczyli to mężczyźni znajdujący się jeszcze na grzbietach wierzchowców, wszyscy zrobili tak samo, chociaż sadownik w ostatniej chwili został zrzucony i rozciągnął się na piasku.

Hati podeszła do nieszczęśnika, wzięła się bod boki, odrzuciła z twarzy zasłonę i wyraziła trzeźwą opinię, że sadownik się uczy, ale nie powinien tak szybko puszczać lęku siodła.

Marak, który właśnie ześliznął się na ziemię ze swojego wierzchowca, zaczął się wtedy śmiać; jego pełen oszołomienia, nieoczekiwany śmiech wypełniał powietrze jak woda przesiąkająca przez grunt.

A kiedy roześmiał się Marak, w jego ślady poszli inni szaleńcy. Sadownik wstał i otrząpał się, przyjmując docinki garmcarza z groźnym spojrzeniem, a w końcu z uśmiechem.

Ujrawszy sadownika w lepszym humorze, szaleńcy zaczęli się pokładać ze śmiechu na rozpalonym piasku.

Byli wolni. On ich wszystkich uwolnił. Nawet ci dwaj, którzy odeszli, by umrzeć... oni też byli wolni.

A kiedy się uspokoił i otarł oczy, to po tych wszystkich dniach zaczęli ze sobą rozmawiać, oczywiście oprócz, niezmiennie, au'it.

Co więcej, Hati, nie okryła się na powrót kwefem. Mimo braku bransolet i pierścieni na rękach zyskała autorytet i cała jej postać jakby się powiększyła. Oczy Hati błyszczały, a krok stał się zamaszysty.

Marak postanowił, że ta kobieta będzie jego zastępczynią. Jeśli według Obidhena i jego synów on jest omi i jeśli przewodzi tej grupie, to teraz ujrzał osobę, na której poparciu będzie mógł w nagłej sytuacji polegać. Kobieta miała rozum i odwagę. Dwaj byli żołnierze, których mógłby wybrać, byli mniej rozgarnięci; być może byli dobrymi wojownikami, ale pozbawieni wyraźnego celu i kogoś, kto ten cel by im wytoczył albo cały czas wykrzykiwał rozkazy, tkwili w bezruchu. Obserwowali jednak kobiety drapieżnym wzrokiem... po czym zerkali ostrożnie na Maraka i przewodnika, wyraźnie oceniając ich gotowość do powstrzymania ich zakusów. Było wyraźnie widać, gdzie leży źródło ich inicjatywy. Marak nie powierzyłby im ani żywności, ani wody, ani kobiet.

A najbardziej przeciwko poleganiu na nich w sytuacji kryzysowej przemawiało to, że kiedy pojawiały się głosy, żołnierze ci rzucali się i spoglądali ku wschodowi; spośród całej grupy ich właśnie szaleństwo ogarniało z największą siłą i oni poddawali mu się całkowicie, podczas gdy wielu innych szaleńców zachowywało spokój i godność.

Hati doskonale się nadawała na zastępczynię Maraka. Patrzył, jak się porusza, patrzył, jak jej gesty stają się swobodne, a krok śmiały. Zobaczył w tych zamaszystych ruchach naturalny wdzięk i zarysy jej ciała. Tego dnia ujrzał twarz Hati, a była to twarz mrocznie piękna; pochłaniał ją wzrokiem i podążał za nią myślami. Nie był martwy. Jeżeli miał wątpliwości, czy jego męskość przetrwała podróż przez pustynię, teraz się ich pozbył.

Rozdział 6

, Jeśli jakieś drzewo zostanie zdeformowane i ztraci swą naturę, owoc tego drzewa nie będzie spożywany. Drzewo trzeba wykopać i oddać kapłanowi".

- Księga Kapłanów

„Szaleńców trzeba wyszukać. Każdy dręczony tą przypadłością ma być zachowany przy życiu i nie będzie ukrywany, lecz oddany posłańcom Iii. Żaden mąż nie będzie ukrywał szaleństwa swojej żony albo syna, albo córki, albo swego ojca. Wszyscy szaleńcy muszą zostać dostarczeni. Także jeśli jakieś zwierzę okaże się szalone, musi być zachowane od wszelkiej krzywdy i dostarczone posłańcom Iii, a jeśli będzie martwe, nie wolno jeść jego mięsa: ma ono zostać nietknięte i dostarczone posłańcom Iii".

-Księga Au'it Iii

Po zwinięciu obozu opuścili niecki i choć przedtem krajobraz był płaski i niczym się nie wyróżniający, to teraz Lakht zaczęła nabierać czerwonej monotonii. Znajdowali się w sercu centralnego płaskowyżu, pełnego niekończących się niskich wydm zagrządzających im drogę, czerwonego, drobnego piasku, będącego niemal pyłem. Jechali wśród niekończącego się labiryntu wydm, prowadzącego ogólnie na wschód.

W tej okolicy nie było ani ptaków, ani tropów na piasku. Znajdowali się z dala od jakiegokolwiek studni, jakiegokolwiek źródła wody. Wiatr odślonił kości leżące wzdłuż ich szlaku, kości beshti, trzech zwierząt bez śladu uprzęży, co świadczyło, że nawet dzikie beshti nie mogą sprostać burzom Lakht.

W miarę upływu dni głosy stawały się coraz głośniejsze. *Marak, Marak, słyszysz nas?*

Albo znów ten bezmyślny hałas, *Marak, Marak, Marak.*

Głosy wróciły, wyraźniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Wydawało się, że w końcu rozbrzmiewa w nich zadowolenie. W pewnym sensie Marak czuł się bezpieczniejszy niż kiedykolwiek dotąd, bardziej oddany temu, co przez całe życie stawiało wobec niego żądania, i pewniejszy, że podaży właściwą drogą. Nie myślał już o ucieczce. Odrzucił też jednak myśl o tym, że ta podróż kiedykolwiek się skończy. Stała się światem samym w sobie. Zawierała wszelkie cele, wszelkie planowanie.

Zwierzęta szły po wydmach jedno za drugim, lecz na splekanych nieckach rozchodziły się dwójkami i trójkami; osiągały taki porządek poprzez powolne zmiany tempa marszu, kiedy jeden wierzchowiec poruszał się nieco szybciej od sąsiada albo któryś z jeźdźców znudził się widokiem zadu zwierzęcia idącego przed nim i chciał popatrzeć na coś innego.

W ten sposób pewnego dnia Hati zbliżyła się do Maraka; nic nie mówiła, tylko zerkała na niego z bliska, nie zasłaniając twarzy.

Nagle zrozumiał, co mu proponuje. I skoro zaproszenie padło, wycofał się, zadając sobie pytanie, jak to będzie i co rozpętają. W ich grupie nie było partnerów. Nigdy ich nie było. Stosunki między nimi nabrały spokojnej monotonii, którą to zasadę ustaliła sama Hati, a teraz ją łamała.

W obliczu pustynnej oszczędności Marak nabrał niechęci do zmieniania czegokolwiek, co dobrze funkcjonowało. Nie znalazł żadnej odpowiedzi, udając, że nic nie widzi, podczas gdy jego myśli pędziły niemal w panice. Przez jakiś czas jechali razem, a potem kobieta znów została w tyle.

Leżąc w południe na swojej macie z rękami pod głową, Marak uznał, że powstrzymała go być może myśl o dzieleniu maty z szaleństwem równie wielkim i spokojnym, jak jego własne.

Istniała też kwestia robienia tego w biały dzień, na oczach pozostałych. Nie było innego miejsca oprócz namiotu, który dzielił

ni

z nią oraz Norit, au'it, garncarzem, sadownikiem i resztą mężczyzn. Szukanie samotności wśród wydm byłoby czystą głupotą, doskonałym sposobem na spotkanie śmiertelnych niespodzianek pustyni. Największą samotność można było znaleźć za zasłoną w jednym rogu każdego z namiotów, gdzie mieściła się latryna, i nikt nie odchodził dalej ani nie spodziewał się, że nie będzie obserwowany gdziekolwiek indziej. To jasne, że pozostali będą ich obserwować.

Odwrócił głowę i, jak się tego obawiał, zobaczył, że Hati leży na boku i patrzy na niego.

Tego wieczoru, gdy jechali przez czerwoną, pofalowaną gładź, jechała obok niego, nawet nie usiłując tego tłumaczyć przemieszczaniem się wierzchowców.

- Dlaczego odwracasz wzrok? - zapytała.

Te oczy mogłyby stopić mosiądz. I nie były ciemne. Były przejrzyste piwne. Stwierdził, że zauważa to po raz pierwszy, w gasnącym świetle zmierzchu, i że podziwia to, co widzi. Krew mu się wzburzyła. Zauważył, że odmawianie jej sprawia mu coraz większą trudność i że musi podjąć decyzję... dania jej stanowczej odprawy.

Albo i nie.

• Nie odwracam wzroku - powiedział i dał jej w ten sposób do zrozumienia, że w jakiś sposób chce tego, co ona. - Ale nie tutaj.

• Gdzie? - zapytała. Pokazała ciemną dłońią na siebie, na całą Lakht, jakby śmiejąc się z niego. - Jeśli nie tu, to gdzie? W latrynie? Chyba nie.

• Przyjedziemy do jakiejś wioski - odparł. - Pod dachem.

• Pod dachem - powtórzyła w zdumieniu, jakby była to najmniej konieczna rzecz, którą mógł wymienić.

• Urodziłem się w wiosce i tam żyłem.

• Nie jeździsz jak ktoś z wioski. Pod dachem. Wydawało się, że wciąż ją to zdumiewa.

• Albo jeśli znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce. Roześmiała się z jego głupoty, z pomysłu, że jakiegokolwiek

odosobnione miejsce na pustyni może być bezpieczne, a on wiedział, że Hati ma rację. Wśród skał były drapieżniki, drapieżniki były na pustych piaskach. Wyprawienie się za wydnię stanowiło zaproszenie do katastrofy. Nigdzie nie było odosobnionego miejsca, a Marak bardzo go teraz pragnął.

- Nazywam się Hati. Hati Makri an'i Keran.

To znaczy z plemienia Keran. Makri to imię jej matki, a Keran nazwa plemienia. Usłyszawszy to, był zarazem zaskoczony i nie zaskoczony: znał zwyczaje Keranów, którzy nie brali udziału w żadnych cudzych wojnach i bardzo często odmawiali płacenia podatków nakładanych przez Ilę oraz dostarczania jej wojowników. Był to lud dziki, gwałtowny, zdolny do walki w pojedynkę, jeśli nie jako plemię.

Czy szaleństwo ogarniające wioski zapełzło nawet tam, do najdzikszego, najmniej towarzyskiego ludu na świecie?

- Pokój - rzekł Marak. To była pierwsze słowo, jakie wypo wiadało się przy spotkaniu kogoś obcego na pustyni.

-Pokój - odparła Hati. Jej oczy płonęły zadowoleniem ze zdobycia Maraka. - A zatem pod dachem. Kobieta z Tarsy też -dodała.

Wśród Keranów kobieta mogła zażądać drugiej żony albo drugiego męża; z kolei małżonkowie działający na podstawie porozumienia mogli zażądać trzeciego albo czwartego. Marak zauważył, jak Hati polubiła Norit, żonę z Tarsy o delikatnych dłoniach, i uczyła ją tak skutecznie, że teraz Norit potrafiła wsiadać, zsiadać i jeździć o wiele lepiej, niż kiedykolwiek sądził. Norit z pewnością stanowiła zagadkę dla Hati, która stała się -w pewnym stopniu - jej przyjaciółką.

Marak spostrzegł teraz, że zadeklarował swą gotowość. Nie był tchórzem, by się wycofywać. Nie znajdował się w Kais Tain, gdzie małżeństwo było monogamiczne i kobiety, lecz nie mężczyźni, mogły ponieść śmierć za samo podejrzenie o niewierność.

Na co zatem się zgodził? Na noc spędzoną pod dachem? Czy na całe życie z dwiema kobietami? Oraz zerwanie ze wszystkimi obyczajami zachodu? Jego ojciec byłby przerażony.

• Nie jestem an'i Keran - powiedział.

• Będziesz nim, gdy tylko się ze sobą prześpiemy - odparła Hati i wyznała coś, od czego - bynajmniej nie od zachodzącego słońca - zrobiło mu się ciepło: - Jestem wtajemniczona.

Czyż czegoś, czego nie da się znaleźć, nie określano wyrażeniem „kerańska dziewczica”? Kobiety tego plemienia pilnowały, by takich nie było. Hati nie nazwała siebie jednak żoną ani wdową. Nie miała przed nim mężczyzny.

Obok niego spała tylko au'it. Kiedy jednak rozbili namioty następnym razem, Hati rozwinęła swoją matę obok maty Mara-ka. Bez słowa, zakładając, że ma do tego prawo, położyła się w swoich szatach i zasłonie na twarzy.

Marak powiedział, że dopiero pod dachem, ale przez zawarcie tej umowy dał jej pewne prawo i nie miał pojęcia, co robić, by zapobiec temu rozmyślnemu atakowi na swoje zmysły.

Przez uniesione poły namiotu wpadało rozpalone powietrze; Hati odwróciła się na bok twarzą do Maraka, a on na plecy i patrzył na płótno nad głową.

A nad nim południowe słońce prześwitywało przez gruby materiał. Pozbawiony ścian namiot łopotał i wydymał się pod uderzeniami wiatru. Trzeba było naciągnąć jedną z lin. Było to jednak zadanie niewolników, a nie jego. Powinien tego doglądać przewodnik.

Lepiej było leżeć tu w spokoju niż jechać pod wiatr gorący jak z pieca.

Lepiej było mieć kobietę niż być samotnym.

Nie chciał jej odprawić. Nie chciał zakończyć tej propozycji kłótnią, zanim jeszcze znaleźli się w jednym łóżku.

Poczuł na dłoni palce Hati. Powiodła nimi po jego ręce do ramienia. Leżał nieruchomo, nie reagując na to kuszenie, które z jednej strony było przyjemne, a z drugiej irytujące i stanowiło atak zarówno na jego umysł, jak i na ciało.

Nagle, delikatnie, odezwały się głosy. Usłyszał je i wiedział, dlaczego dłoń Hati zatrzymała się, dlaczego kobieta też na chwilę znieruchomiała z zamkniętymi oczyma... na jej twarzy malowało się oburzenie na to wtargnięcie, niechęć do niego i złość, że nastąpiło w tej właśnie chwili.

Marak przyglądał się mocnym rysom jej odsłoniętej twarzy, długiej, smukłej dłoni, która spoczywała na piersi poruszanej ciężkim oddechem, na urażoną dumę kobiety odrzuconej, upokorzonej, lecz nie złamanej.

Głosy dźwięczały mu w uszach: *Marak, Marak, Marak.*

Nigdy nie zaryzykował bezpośredniej rozmowy z kimś cierpiącym na jego przypadłość, rozmowy o jedynym fakcie z ich życia, który wszyscy znali.

- Wołają mnie po imieniu - odezwał się do tej zamkniętej, pełnej napięcia twarzy. - Ciebie też?

Uniosła powieki, poszukała wzrokiem jego oczu. Żaden z szaleńców nie lubił rozmawiać o swojej przypadłości. Przerwanie tego milczenia było niemal niegrzeczne.

- Tak - odparła. - Wykrzykiwały moje imię dziecięce, a teraz kobiece.

- Ze mną jest tak samo - wyznał coś, do czego przyznał się jedynie swemu ojcu. - Dzień i noc.

-Jeżeli będziemy ciągle szli na wschód, to co znajdziemy? Gorzką wodę?

- Jeśli zajdziemy tak daleko.

W pobliżu gorzkiej wody nikt nie mieszkał. Nie latały tam żadne ptaki. Brzegi wody były krainą białych, zaskorupiałych osadów i śmierci. Na skraju tej gorzkiej równiny mieszkali najtwardsi ludzie na świecie, odłupywali sól, wdychali ją i smakowali, aż wreszcie umierali. Wszędzie na świecie ludzie jakoś znajdowali sposób, by żyć. Tamci byli przynajmniej wolni. Handlowali z Ilą, ale jej nie słuchali.

Przed oczyma Maraka powstawały ogniste linie. Wznosząc się coraz wyżej, utworzyły jakiś kształt

- Widzisz wieżę? - zapytał an'i Keran.

- Tak - odparła.

- Widzisz ją teraz?

- Tak - powtórzyła.

Dwie szalone wizje dotknęły się nawzajem. Były identyczne. Marak podejrzewał, że wszystkie są takie i że każdy słyszy swoje własne imię.

- Zanim ujrzałam święte miasto, nazywałam ją iglicą. Czy to może być Beykaskh?

- Nie ten Beykaskh - powiedział Marak. Był tego tak pewien, jak kierunku, w którym mieli podążać.

- Żadna wieża, którą znam, nie jest tak wysoka i smukła. Iglica. Iglica skalna?

- Właśnie.

- Ciekawe, jak nazywają ją inni. - Patrzyła na słońce przez grube płótno. Czuł, jak żar wiatru dotyka potu na jego szyi i ramionach niczym oddech kochanki. - Zapytaj ich, co widzą. Niech au'it zapisze to dla zaspokojenia ciekawości Iii. I powiedz mi, czego się dowiesz. Zbierz wszystkie wizje.

Leżąca na pobliskiej macie au'it poruszyła się. Była niesamowicie wyczulona na swe obowiązki, ale Marak nie miał dla niej dalszych poleceń.

- Hati zapyta innych. Ty to zapiszesz. Teraz jednak odpoczywaj. Śpij.

Kobieta ułożyła się wygodnie.

Wieczorem, kiedy się obudzili, Hati wzięła ze sobą au'it i ruszyła między szaleńców, wszystkim zadając to samo pytanie.

Au'it pisała w swojej księdze, dopóki nie uniemożliwiła jej tego ciemność, a kiedy znów wstało słońce, Hati dosiadła wierzchowca i kontynuowała dzieło. Au'it, oparłszy księgę o łęk siodła i trzymając w jednej ręce kostkę tuszu, pisała i pisała; Marak nigdy jeszcze nie widział takiego wyrazu szczęścia na jej szczupłej, poważnej twarzy. Mimo słońca, upału i wiatru przierzucającego kartki księgi, au'it słuchała i pisała, uzasadniając swoją obecność.

Demony z taką łatwością wydobywały teraz na powierzchnię wizję wieży. Była wieża, gwiazda, jaskinia słońce, zawsze na wschodzie. Rano i wieczorem Marak czuł przechył w tym kierunku, zawsze

miał to samo poczucie, że świat niebezpiecznie się przechylił.

Lecz głosy, które wołały go po imieniu, najwyraźniej wołały też innych. Na pewno wołały Hati.

Kiedyś wierzył w boga, wierzył, że bóg do niego przemawia, w owych latach, gdy młodzi tak łatwo kształtują w sobie wiarę; w jakimś zakamarku serca Marak krył urazę, że głosy te nie przemawiają tylko do niego. Widział już, że nie na nim skupiają się ich pragnienia, i zaczął rozumieć, że jego oderwanie od ojca nie jest większym nieszczęściem niż nieszczęście na przykład garncarza czy Hati. Zwykły garncarz stracił swą rodzinę i zajęcie na rzecz tych samych wizji, tego samego nakazu.

A zatem wykryto odmiennosc garncarza i albo sam się oddał w ręce ludzi Iii, albo zrobiła to jego społeczność. Czy nie było to warte takiego samego żalu, takiej samej goryczy? Czy nie była to równie wielka zdrada, zdrada uczciwego rzemieślnika przez sąsiadów i klientów znanych mu przez całe życie?

Marak czekał na to, czego dowiedziała się Hati, a mimo to domyślał się odpowiedzi. Czyż wszyscy szaleńcy nie poruszali się razem, nie wzdrygali się jednocześnie, kiedy byli w grupie?

Każde z nich chciało, by przypadłość zmieniająca życie człowieka była wyjątkowa. Po sprawozdaniu Hati wszyscy się dowiedzieli, że tak nie jest.

Jeśli chodzi o wspólne wizje, to było to wyniesione miejsce. Tak mówiła Hati i tak zapisała au'it. Było światło, słońce, gwiazda, liczne księżycy w górze i ustawione w rzędzie. To wszystko stanowiło drugą wizję. Była też jaskinia, sala, wydrążone miejsce, czyli wizja trzecia, chociaż dla Maraka w jaskini zawsze były światła. Nie miewał *fej* niezależnie, lecz w połączeniu z jakąś inną, wspólną.

Wszyscy z ponad czterdzieścioro szaleńców zgadzali się co do większości wizji.

Zgadzali się, że kiedy pojawiało się nachylenie, zawsze było skierowane na wschód, chociaż niektórzy sądzili, że ku wschodzącemu słońcu.

I głosy rzeczywiście wołały wszystkich od dzieciństwa po imieniu.

Od dzieciństwa mieli wizje ognistych linii tworzących jakieś konstrukcje, jakby te linie były wryte na ich oczach jak wzory na dzbanie: te same linie wciąż się powtarzały, czasami ożywione przez ogień, czasami nie. A kiedy pojawiała się ta wizja, była czerwona.

Od dzieciństwa słyszeli szum w uszach, który wcześniej czy później stawał się głosem wołającym ich po imieniu.

A więc to nie szaleństwo ich wyróżniało. W rzeczywistości ta przypadłość upodabniała ich do siebie nawzajem.

Wyznawali, że czasami ich ręce i ciała poruszały się mimowolnie, lekkimi drgnieniami. U niektórych miało to wpływ na wykonywane przez nich zajęcie lub uprawianą sztukę. Na przykład wiejska gospodyni, Maol, nauczyła się rysować dziwne symbole, te same, które widywała pod powiekami.

Maraka w niewielkim stopniu nawiedzały drgawki, kiedy odpoczywał; od dzieciństwa pracował nad ich ukrywaniem, wniąc za nie koszmary i obejmując się mocno rękami podczas snu.

Czasami bolała go głowa; przytrafiało się to wielu z nich. Jego bóle były mocne we wczesnym dzieciństwie i niemal go oślepiały, ale podobne miewała jego matka.

Czy była szalona? Nigdy tak nie myślał.

Szaleństwo nosło też ze sobą pewien dar. Drobne rany wszystkich szaleńców goiły się, nie zostawiając blizn, czemu towarzyszyła krótka, czasami bardzo wysoka, gorączka.

Ontori, kamieniarz, powiedział, że kiedy był chłopcem, upadł i złamał obie nogi. Teraz chodził, wcale nie utykając.

Kiedy następnym razem wyruszyli w drogę, Hati pokazała Marakowi dłoń.

- Kiedy byłam dzieckiem, głęboko się zacięłam. Okrawałam korzeń gola i nóż mi się obsunął. Nie ma śladu.

Marak też miewał rany od miecza, jedną otrzymaną bardzo głupio, podczas ćwiczeń z ojcem. „Ma dobrą skórę” powiedziała wtedy w jego obronie matka, kiedy wszelkie ślady zniknęły w ciągu miesiąca. „Wszystko się na nim zawsze goi” powiedziała, wiedząc, że to nie jest właściwe.

Zagoiło się na nim wszystko oprócz znaku klanu. Po zrobieniu tatuażu wystąpiła jednak wysoka gorączka i pojawiła się duża opuchlizna. Ranki zagoiły się w ciągu miesiąca, ale tatuaż wyszedł błady, jakby liczył dziesiątki laL. Z tego powodu niektórzy zawsze uważali Maraka za starszego, niż był w rzeczywistości. Matka powiedziała, że może to gorączka złamała kolor. Ojciec uważał, że barwnik był słaby, i o wszystko obwiniał artystę.

• Niektórzy mówią, że nie możemy umrzeć - powiedziała Hati. - Ale ja wiem, że tak nie jest. Podczas marszu zmarły trzy osoby z mojej grupy. Jestem pewna, że ci dwaj, którzy odłączyli się od nas pierwszej nocy, też zginęli.

• Umieramy - rzekł Marak bez cienia wahania. - Niektórzy stracili życie podczas marszu. W

wypadkach. Może ze starości. Szedł też z nami jeden chłopak. Nie był taki sam jak my, nigdy tak nie uważałem. Ale to był dobry chłopak. - Żałował, że nie może go zapytać, czy jego wizje też się różniły od pozostałych. Pomyślał o starcu, który zmarł. Jego wizje wydawały się inne. Nie podrygiwał wraz z pozostałymi.

Te pytania zapoczątkowała Ila. Powiedziała, że wszyscy szaleńcy nie mają trzydziestu lat. On sam dorównywał wiekiem najstarszym w grupie. Więcej lat miał tylko starzec, który zmarł i którego szaleństwo wydawało się inne - starzec i chłopak nie podrygiwali wraz z pozostałymi, i najwyraźniej nigdy nie odczuwali tego pochylenia ku wschodowi.

Sama przypadłość snuła sieć łączącą wszystkich prawdziwych szaleńców: Marak nie miał pojęcia, jak bardzo, dopóki nie zadał sobie pytań, które zadała Ila.

Co więcej, sami szaleńcy byli zdumieni precyzyjnymi pytaniami, padającymi z ust jednego spośród nich, i zaczęli zadawać pytania, które ukrywali przez całe swoje życie. Zaczęli też na nie odpowiadać, i to twierdząco.

Wywołało to dziwnie uniesienie. A nawet radosny śmiech.

Wywołało też jednak niepokój. Było jedno pytanie, na które nikt z nich nie umiał odpowiedzieć: dlaczego wschód i dlaczego w ogóle istnieje szaleństwo?

- Bogowie nas prowadzą - rzekł kamieniarz bez cienia wątpliwości w głosie.

Marak żałował, że w nim nie ma takiej prostej wiary. Nie lubił myśleć o wieży. Nie miał pojęcia dlaczego.

Cały czas, kiedy o tym rozmyślał, głosy szeptały cicho: *Marak, Marak, Marak.*

Jakby ostrzegały go o niebezpieczeństwie - co czasami robiły.

Nie potrafił jednak powiedzieć, gdzie ono leży.

W Hati? Chyba nie.

Na wschód, szeptały głosy; napięła mu się skóra na ramionach.

Na wschód, na wschód, na wschód. Szybciej.

Rozdział 7

„Żadnemu człowiekowi nie wolno zanieczyścić studni. Ten, kto to robi, zostanie wygnany bez żywności i bez namiotu, a żadne plemię ani żadna wioska nie mogą udzielić mu schronienia”.

- Księga Kapłanów

Noc po tym dniu nastąpiła mglista i rozpalona jak piec; gwiazdy migotały na niebie. Beshti były rozdrażnione, nie mogąc napić się do woli. Jeden z niewolników został ugryziony w rękę przez zwierzę juczne tylko dlatego, że przeszedł po ciemku obok niego. Przewodnik karawany bardzo starannie zajął się raną, pokrywając ją maścią chroniącą przed owadami. Nie było to tylko postępowanie rozsądnego pana. Wiatr niósł na pustynię zapach krwi, a krew przyciągała plugastwo.

Na zachód, na zachód, na zachód, mówiły tym razem głosy, lecz z nutą niepokoju, a nie zachęty.

- Nadchodzi wiatr - rzekła Hati, poruszając lekko ramionami, i Marak w końcu zrozumiał, co tak drażniło mu zmysły przez cały dzień.

Wiatr. Wycucie pogody już raz mu się przysłużyło podczas kampanii na Lakht. Pewnego dnia nie chciał wyprowadzić swoich ludzi. Nieprzyjaciel, ludzie Iii, stracili życie.

Teraz było podobnie.

• Kiedy? - zapytał Hati, a ona wzruszyła ramionami.

• Za dzień, może za dwa. Może wskaże to zachód słońca. Marak nie rozmawiał wiele z Obidhenem.

Przewodnik i jego

synowie, wyzwoleńcy i niewolnicy woleli własne towarzystwo, rządząc oddzielnymi namiotami, jadąc razem; wyzwoleńcy jechali ostatni, pilnując, by nikt nie został w tyle niezauważony. Bez zbytej wylewności wydzielali Marakowi wodę i zapasy dla jego namiotu. Tego dnia nie byli zadowoleni: studnia z gorzką wodą, którą mieli nadzieję znaleźć dla zwierząt, zawiodła ich. Marak uznał, że powinien coś powiedzieć przewodnikowi, ostrzec go, bez względu na to, jak Obidhen mógłby to przyjąć.

- Mam złe przecucia co do pogody - tylko tak mógł sformu

łować swoją myśl. - An'i Keran też.

Odpoczywali. Pod wieczór, kiedy jak zwykle powinni wyruszać, Obidhen zawołał do swoich synów i pomocników:

- Wbijcie długie paliki.

A potem z dłońmi zatkniętymi za szeroki pas podszedł do Ma-raka i powiedział:

- Zgadzam się. Będzie wiało. Tej nocy nigdzie nie jedziemy.
- Ach, tak - odparł Marak. - Rozumiemy.

Na tę wiadomość wszyscy w jego namiocie dali wyraz uldze, która od razu udzieliła się też całemu obozowi, od namiotu do namiotu. Bezimienny strach przybrał teraz kształt i Marak słyszał, jak inni twierdzą, że wyczuli złą pogodę, a nawet spierają się, komu udało się to zrobić najwcześniej. Wybiegi i kłamstwa, do których się uciekali, dyscyplina, jaką sobie narzucili, by nie zdradzić swej przypadłości, zostały odrzucone. Zaczęli współzawodniczyć ze sobą w szaleństwie. Zbiórczym wrogiem była pustynia, a ich wewnętrzne demony stały się przewodnikami, obrońcami, sprzymierzeńcami.

Niewolnicy rozpakowali długie paliki i dodatkowe liny; Marak polecił mężczyznom pomóc w ich rozkładaniu, podczas gdy syn przewodnika karawany i niewolnicy wbijali długie kotwiczące paliki głęboko w piach. Przymocowali do nich liny, które następnie poprowadzili serią węzłów ponad sklepieniem namiotu na drugą stronę. Kiedy powieje wiatr, utworzona w ten sposób mocna sieć z lin uchroni płótno przed rozdarciem. Słońce zaszło w ogień, rozświetlając cały zachodni horyzont: Hati miała rację.

Na koniec wyjęli z pakunków boczne klapy i przywiązali je wzdłuż boków namiotu, by, gdy tylko nadejdzie wiatr - a nadejdzie na pewno - mogli je od razu rozwinąć.

To będzie pamiętny wiatr, mówili niektórzy w swej nowo nabytej mądrości.

Będzie ciężko, mówiła Hati i jej ocenie Marak z łatwością zaufał. Obidhen polecił dać beshti dwa pakiety wody, słodkiej wody, którą wieźli dla siebie, starannie odmierzoną.

Strach nie zniknął. Wszyscy ludzie, czy to pochodzący z nizin, czy lakhtanie, bali się zachodniego wiatru w lecie, ale byli dobrze przygotowani. Niektórzy żartowali. Żarty dźwięczały pusto w atmosferze oczekiwania na burzę, która niemal zdusiła dobry humor, a mimo to wzbudzały śmiech.

Burza zbliżała się, a oni nie mogli zrobić nic ponad to, co już zrobili.

Marak na przykład postanowił odpocząć, wykorzystać noc, kiedy nie podróżowali, i przespać się jeszcze kilka godzin. Powietrze było duszne, nieruchome; mężczyźni siedzący w drugim końcu namiotu bez ścian rozmawiali przyciszonymi głosami. Au'it, która opisała przygotowania, teraz pisała o czymś innym, póki miało nikłe światło.

Hati położyła się obok Maraka, tak jak robiła to od paru dni.

Teraz jednak w przeczuciu burzy, które uciszyło cały namiot, Norit też przysunęła swoją matę i wyszeptwała:

- Boję się.
- Połóż się - rzekł Marak. - Namiotom nic się nie stanie. Plemiona przeżywają te wiatry wiele razy w roku.

Hati przesunęła się, by zrobić miejsce Norit. Było gorąco i cicho.

Marak pomyślał, że Norit nie wybrała akurat jego, lecz że Hati nawiązała z nią przyjaźń. Norit została jej zastępczynią, tak jak Hati została zastępczynią Maraka, i polubiła tę odpowiedzialność. W Tarsie odrzucona żona była niczyja i niczym, nie miała honoru, posiadłości, żadnego wsparcia. W Hati Norit znalazła schronienie przed burzą innego rodzaju.

A przy okazji Marak dorobił się nieprzewidzianych zobowiązań. Hati przyłączyła go do siebie, ustawiając się między nim i całą resztą. Teraz dołączyła do nich Norit i Marak stwierdził, że, podobnie jak w wizji, przypadkowe kawałki stworzyły niespodziewaną konstrukcję, i to nie taką, którą sam by wybrał.

Norit cierpiała przez swoje szaleństwo. Już nie śpiewała głośno do siebie, ale mówiła coś cicho do własnych wizji. Nikt jej nie czesał: za dnia, kiedy siedziała w siodle, obsesyjnie przeczesywała swą czarną grzywę palcami, aż zaczynała układać się w jakim takim porządku na jej ramionach. Czesła ją teraz, leżąc na wznak i patrząc na pojawiające się wizje. Pociągała się za palce, jakby zdejmowała pierścienie. Mówiła do czegoś niewidzialnego. Spośród wszystkich osób w grupie na pewno nie była najzdrowszą osobą.

Jeśli jednak Norit miała jakąś zaletę, to był nią upór, nawet w tym, że żyła, i Marak szanował to i znosił jej dziwactwa. Ze wszystkich podróży, jakie odbyli szaleńcy do świętego miasta, ich była najtrudniejsza, nadzorowana przez najgorszych z ludzi Iii, wiodąca przez prowincje niegdyś jej wrogie, gdzie pamięć o rebelii wciąż była świeża. Zwykli ludzie Iii traktowali szaleńców jak wrogów,

jak diabły, i nie mieli litości. Niektórych przed śmiercią doprowadzali do utraty resztek rozsądku. Miłość, śpiewała Norit. Znajdźmy miłość.

Wyprawiona w kolejną długą drogę bez udziału swej woli, Norit odzywała się tylko do Hati, ale jeśli Hati machnęła ręką, Norit przynosiła to czy tamto, albo jeśli trzeba było przesunąć jakiś bagaż, Norit go przesuwiała. Czasami jej wzrok był utkwiony w czymś, czego nie mógł się domyślać nawet inny szaleniec. Nauczyła się obchodzić z beshą i pewnie siedziała w siodle. Norit robiła wszystko, co robiła Hati. Jeżeli Hati wtrącała się do gotowania stawy przez niewolników, Norit podchodziła i słuchała.

- Narasta - powiedziała Norit w gęstniejący mrok. - Narasta.

Zabiera ze sobą wioski.

Marak słyszał też rozmowy mężczyzn. Nikt w namiocie się nie poruszał. Ciężko pracowali, wbijając długie paliki. Pod piaskiem pod tym namiotem znajdował się piaskowiec. Splatając liny w sieć i przymocowując ją, zdarli sobie skórę z dłoni. Teraz leżeli, dmuchali na pęcherze i słuchali delikatnego szelestu płótna.

- Może nie nadejdzie - odezwał się garncarz.
- Zamknij się - zareagował sadownik. - Przynajmniej będziemy mieli kilka godzin snu więcej. Czas włókl się niemiłosiernie.

Drobne podmuchy tarły płótnem namiotu o sieć lin. Zwierzęta stękały i przesunęły się za namioty, gdzie znalazły schronienie przed wiatrem.

Marak wstał i wyszedł przed namiot, by w nikłych resztkach światła zobaczyć, co nadchodzi.

Połowę nieba zajmowała czerwona ściana pyłu, złudna w samych swych rozmiarach.

Hati też wyszła, i Norit, a za nimi pozostali. Wiatr szarpał ich odzieniem.

Przy pierwszych podmuchach wiatru z pozostałych czterech namiotów wyszli chłopcy i niewolnicy. Zaczęli naciągać sieć z lin, które rozciągnęły się pod wpływem ciepła.

- Odwińcie boki! - krzyčeli. Była po temu pora. Rozwinęli boki namiotów i przymocowali je, przewlekając linki przez kółka.

Wtedy wszyscy weszli do przytłaczająco ciemnych namiotów i trwali tam w oczekiwaniu. Pojawiło się światło burzy, niezdrowy blask widoczny przez jedyny pozostawiony otwór. Na rozkaz Maraka wszyscy złożyli swoje bukłaki z wodą ze wspólnymi zapasami; niektórzy ociągali się, ale go posłuchali. Następnie czekali, gotowi całkowicie zasznurować namiot, kiedy zerwie się wichur. Światło padało na krawędzie twarzy i ciał: patrzyli w jego stronę, jakby było mającym zaraz zniknąć cennym towarem.

Zwierzęta wtórowały zawodzeniom wiatru, który uderzał w płótno z nagłą furją.

- Możemy jeść swoje racje co rano i co wieczór - rzekł Marak na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Popatrzcie, gdzie są wasze maty i gdzie znajduje się jedzenie oraz woda. Przy wódzie będzie spała au'it. Woda będzie co dzień o tej samej porze i żadnej innej, więc niczego nie planujcie. To może potrwać kilka dni i będzie ciemno, więc zapamiętajcie, jak wszystko wygląda, zanim zniknie światło.

Nikt nie protestował. Zjedli swoją południową kolację. Będą jedli zimne posiłki, nie mogąc w obliczu całkowitego braku słońca pozwolić sobie na luksus gotowania i nie mając zbyt wiele wody pitnej. Nawet wioski znały nizinne burze i bały się ich jak samego boga.

Podmuchy niosły ze sobą piasek; wiatr czerwienił coraz bardziej i zamazywał wszystkie szczegóły znajdujące się między nimi i światem. Światło powoli gasło, tak z powodu zachodu słońca, jak i burzy, aż ciemność panująca na zewnątrz stała się głęboka i aksamitna, zostawiając najlepszym oczom ledwie zarys wejścia.

Marak spuścił klapę i zasznurował ją po omacku. Wiatr wył, a płótno łopotało i trzeszczało. Któryś z chroniących się w namiocie mężczyzn zaczął jęczeć - przestraszony ludzki głos wzywający boga - i zaraz w płaczącym staccato przyłączyli się do niego pozostali.

- To tylko wiatr - powiedział Marak, wracając do swojej maty. - Maszty są ustawione, a paliki wbite głęboko. Uciszcie się. Słuchajcie, wy z wioski: na Lakht powstają burze, jakich nigdy nie widzieliście. Ta może potrwać dwa, a może trzy dni. Burze często pojawiają się w lecie na Lakht, ale paliki wytrzymają, a my ją przetrwamy. Odpoczywajcie. Dobrze się wyśpijcie.

Pod koniec wiatr prawie zagłuszał jego słowa. Marak nie widział już żadnego światła. Gdyby nie wiedział, gdzie leży jego mata, nie odnalazłby jej.

Usiadł. Wiatr zaczął szumieć głosami, które nieustannie rozbrzmiewały mu w głowie: *Marak, Marak, Marak*. Poczul dotyk Hati i położył się na wznak, słuchając głosów i łopotu płótna. Za plecami

miał buklaki i wszystkie racje żywnościowe namiotu; tuż przy nich siedziała au'it, bezstronny, nieprzekup-ny strażnik.

Marak miał nadzieję, że synowie przewodnika karawany i jego niewolnicy dobrze wykonali swoją robotę. Nie mógł im niczego zarzucić. Teraz jednak wiedzieli, że są bardzo mali, a pustylny wiatr to potężny diabeł, który uderza i naciera na krawędzie ich schronienia, usiłując wepchnąć palce między zasznurowane poły.

Przez prawie pół godziny Marak leżał i wsłuchiwał się w narastającą furję.

Z lewej strony objęła go czyjaś ręka, a ciepłe ciało dopasowało się do jego ciała; poznał kto to i poruszył ręką, by odesłać ją na jej matę.

Przeszkodziło mu w tym jednakowoż kolano i usta, które odnalazły jego nagą szyję.

Hati szepnęła coś, muskając oddechem jego szyję. Może powiedziała mu, że zmierzają donikąd. Może powiedziała, że nikt nie zobaczy ani nie usłyszy, co robią, i że to, co ich otacza, kwalifikuje się jako dach. Marak przetoczył się, chwycił szczupłą rękę i przyciągnął kobietę blisko do siebie; mając ręce pełne długich warkoczy, wiedział już na pewno, że to Hati.

Wtedy wziął głęboki oddech i przysunął usta do miejsca, gdzie spodziewał się zastać jej wargi. Nie pomylił się.

Objęły go kobiece ramiona, a usta zaczerpnęły tchu, kiedy im na to pozwolił, po czym kontynuowały pocałunek, zanim się nań przygotował.

W tej samej chwili gibkie ciało pozbyło się szat i wsunęło pod niego.

- To nie jest dach - zaprotestował Marak, zirytowany takim pogwałceniem ich umowy. Ludzie odpoczywający wokół nie mogą być aż tak głusi, nawet jeśli są ślepi.

Ciemność jednak była tak nieprzenikniona, a wycie wiatru i łopot płótna tak ich ogarnęły, że Marak nie miał pewności, czy go usłyszała. Dotknął jej nagich piersi, skóry tak gładkiej, tak delikatnej, słodkiej i miękkiej, jak się spodziewał. Otoczyło go jej ciepło, a płótno namiotu łopotało wokół nich.

Po co się sprzeciwiać, mówiła burza, po co odmawiać, dlaczego miałyby to kogoś obchodzić? Zostaliśmy odrzuceni, ale wciąż żyjemy.

I Marak, i Hati znaleźli drogę wśród tkanin. Poczul jej siłę, ujrzał płonące linie swoich złudzeń, a wśród wycia wiatru usłyszał głosy, które oboje przyprawiały o szaleństwo. *Marak*, mówiły. *Marak. Hati. Hati.*

Gdyby szaleństwo wspólnego widzenia przebiło ciemności, mogli ich zobaczyć pozostali. Oni oboje nie mieli żadnych tajemnic, niczego nie ukrywali, aż po długie, hałaśliwe uderzenia wiatru nad nimi, a potem odpłynięcie w mrok, dźwięk i ciepło ciała.

Marak wtedy skończył, ale ona знаła sposoby: dmuchnęła leciutko w jego ucho i wetknęła wąż język, co w zdumiewający sposób przyciągnęło uwagę Maraka. Sumiennie zrewanżował się leniwą dłonią, a tymczasem Hati znalazła miejsca, których nie próbowała przedtem dotykać żadna kobieta i do których żadnej kobiecie nie udało się dotąd dotrzeć.

Wtajemniczona - o, tak, była nią, ale i on, też nie żółtodziób, znalazł takie miejsca, których dotykanie raz po raz wywoływało u niej długie dreszcze.

Sądził, że została zaspokojona: mężczyzna może płonąć szybciej, lecz jej wciąż było mało, a z pewnością nie brakło jej pomysłowości... czyż nie mówiło się o an'i Keran, że wystarcza im energii na całą noc?

Wtem pojawiło się więcej dłoni, niż Marak doliczył się poprzednio, i jeszcze jedna, delikatniejsza obecność. Zdenerwowała go myśl, że Norit przestraszyła się burzy. Szukała pociechy i wyraźnie znalazła więcej, niż się spodziewała: natychmiast się wycofała.

Ale Hati... Marak był pewien, że to Hati... objęła ich oboje ramionami, więc Norit została, drżąc i kurczowo ich ściskając.

Marak nie zamierzał narzucać się uczciwej żonie. Uspokajał ją, obejmując nagą ręką, i natknął się na jej ramię, jak sądził, też nie całkiem odziane. Nie wiedział, kogo ma za to winić, Hati czy Norit, ale leżąca w poprzek niego noga była naga, a po chwili pojawiła się jeszcze jedna, z drugiej strony, omotana szatą. Przycisnęły się do niego natarczywie nagie piersi zbyt obfite, by należały do Hati.

Nie miał w zwyczaju obcować z więcej niż jedną kobietą naraz. Było to jednak w zwyczaju Hati, w zwyczaju an'i Keran, i czy to ona pchnęła Norit w jego ramiona, czy Norit miała własny plan, jej ubranie znalazło się tam, gdzie ubrania pozostałej dwójki.

Jeżeli Norit się odezwała, Marak jej nie słyszał, ale oplatało go jej ciało. Jej wymagania dorównywały na swój sposób wymaganiom Hati. Chciał zaspokoić ją dłońmi i ustami... chciał tego, ale gorący wiatr uderzający w namiot i gorączka splecionych ciał napełniły pulsującym rytmem otaczającą ich noc. Gorączka ogarnęła go tak, jak po zranieniu. Znalazł drogę do ciała Norit -a może

to było ciało Hati - a potem oddał się im obu, podczas gdy mózg płonął mu i pulsował gorączką. Nie chciała opaść, choćby zależało od tego jego życie, nawet na chwilę potrzebną do zaczerpnięcia tchu. Marak zaczął się bać, że to nowy wymiar jego szaleństwa, że pięknie mu od tego serce. Bał się, że przeniesie się na innych i opęta szaleńcem niczym zwierzęta w rui; nie miał jednak pojęcia, co robili ze sobą nawzajem lub z samymi sobą.

Nikt im nie przeszkadzał przez wiele godzin, a w miarę upływu czasu, bez świtu, łączyli się, ilekroć ktoś z nich odczuwał taką potrzebę. Ulegali sobie nawzajem, najpierw on Hati i No-rit, a potem szczupła an'i Keran i miękka wiejska żona jemu. W wypełnionej rykiem burzy ciemności zламаł wszelkie prawa moralne, lecz od czasu do czasu znajdował między tymi kobietami spokój i odpoczynek, słodką przystań. Tam, chociaż głosy wymawiały ich imiona, chociaż pojawiały się i znikwały wizje wieży, gwiazdy i jaskini, Marak chronił się przed burzą. Cały świat wirował szaleńczo ku wschodowi. Wiatr był szybszy od nich i włókł ich swoim śladem, lecz Marak był bezpieczny. Bezpieczny i chroniony jak nigdy przedtem, bez żadnych tajemnic, żadnej winy, żalu i strachu.

Spali w jednym nagim, rozgorączkowanym kłębowisku, wy-pacając w siebie nawzajem cenną wilgoć, aż wreszcie podszedł do nich ktoś wybrany przez kilkoro z pozostałych mieszkańców namiotu, prosząc o wodę i pytając, kiedy skończy się burza i czy już nastał świt. Musiał przekrzykiwać wycie wiatru.

- Nie jestem prorokiem! - odkrzyknął Marak, trzymając mężczyznę za ramię. - Prawdopodobnie świta. To groźna burza. Pijcie jak najmniej. Jedzcie jeszcze oszczędniej. Możecie być głodni, ale choćby to trwało pięć dni, nie umrzecie z głodu, słyszysz? - Szaleństwo podpowiadało Marakowi, że potrafi odgadnąć czas trwania burzy i bez wahania zdał się na swoje przeczucie. - Jeszcze dwa dni i będzie po wszystkim - obiecał. Był tego pewien.

- Dwa dni - krzyczeli do siebie po kolei ludzie i prosili o wodę.

W tym namiocie schroniło się dziesięć osób. Wszystkich namiotów było pięć. Zwierzęta przyzwyczajone do burz potrafiły przeżyć na zewnątrz: kiedy wiał wiatr, nie jadły, nie piły i nie wymagały opieki ani nie ruszały się spod osłony namiotów. Będą tam tkwiły z prawie zamkniętymi nozdrzami i zamkniętymi oczyma, ze stulonymi uszami i podwiniętymi nogami, praktycznie pogrążone we śnie, lecz zdolne do przemieszczania się wraz ze zmianami kierunku wiatru.

Marak owinął się kocem i wydzielił każdemu z jego osobistego bukłaka odrobinę wody, odmierzając ją do miedzianej zakrętki, w której badał poziom płynu palcem, nie rozlewając przy tym ani kropli. Wydał też niewielkie kawałki suchego placka i polecił wieśniakom jeść je bardzo powoli. Kiedy zapytał o au'it, Hati ją odnalazła i Marak dopilnował, by ona też dostała swoją porcję. Przebywali na Lakht już kilka dni, a zabrali ze sobą tyle wody, by dotrzeć do Pori bez konieczności poszukiwania studni; teraz mieli przymusową przerwę w podróży, która w razie przedłużenia mogłaby się stać poważnym problemem. Całą wodę rozdzielili dla bezpieczeństwa między poszczególne namioty i Marak wiedział, że jej zapas się zmniejsza, że sytuacja nie jest rozpacзлиwa, ale gdy dotrą do Pori, racje będą bardzo małe.

Kiedy ludzie wrócili na swoje miejsca, Marak podzielił się taką samą ilością pieczywa i wody z Norit i Hati, po czym ułożył się do snu. Tworzyli teraz jakby jedno ciało, połączone swobodnie spoczywającymi dłońmi. Na zewnątrz wciąż szalała burza.

Odzywały się potrzeby fizjologiczne: w namiocie mieli latrynę, wykopany w piasku dół w lewym tylnym rogu. Ponieważ poły zostały opuszczone, nie można było wyjść na zewnątrz, a całkowita ciemność zapewniała więcej prywatności niż zasłona.

W pewnej chwili garncarz opowiedział sprośną historyjkę, a sadownik następną.

Marak słuchał, a Hati szturchnęła go ze śmiechem w żebra i znów zaczęła się do niego dobierać, czemu się nie sprzeciwił. Norit ułożyła się z drugiej strony, miękka i delikatna, tak inna od Hati, jak noc od ciemności; w odpowiednim czasie też zaznała przyjemności... wydawało się, że nie sprawia jej różnicy, jaką owa przyjemność przybiera formę, byle ją tylko przybrała. Pocałunkiem okazała Marakowi wdzięczność.

Bał się, że inni mężczyźni w namiocie pomyślą, że jest mu za dobrze, a oni mają tylko historyjki garncarza. Muszą przecież wiedzieć, do czego doszło, i muszą im zazdrościć. Marak był jednak orni, panem, a świat już taki jest, że panowie mają przywileje, a zwykli ludzie nie.

Czyż nie takie było prawo Iii? Czyż nie takim uczyniła świat Ila od czasów Pierwszych Przybyszów?

- Czy jest już wieczór? - zapytał ktoś, chcąc się napić wody, lecz Marak odpowiedział, że nie, choć z tym pytaniem przyszły jeszcze trzy czy cztery osoby. Uważał, że ma dobre poczucie czasu i trzymał się go. Nikt mu się nie sprzeciwił.

Potem Norit pierwsza zażądała swojej porcji jego zabiegów.

Marak nabrał w ciemnościach przekonania, że Norit ma wszelkie zalety oprócz zdrowych zmysłów. Śpiewała mu do ucha. Na zewnątrz panowały ciemności, a ona mówiła o gwieździe, która poprowadzi ich na wschód.

W końcu pograżyła się w głębokim, spokojnym śnie; Marak był bardzo zadowolony, że obejmują go bezpieczne ramiona Hati przytulonej do niego mocnym ciałem. W szaleństwie Norit można było się zatopić i kawałek po kawałku zatracić. Hati była burzowym wiatrem, siłą, żądaniem ruchu i pomysłowości. W Norit natomiast mieszkaly demony i miały nad nią pełną władzę.

Obie wydobywały z niego to, co miał najlepszego: Norit cierpliwość i współczucie, które miał jedynie dla tych, których chronił, a Hati poczucie życia i wyzwanie dla samego wyzwania, które utracił gdzieś na Lakht w wojnach jego ojca. Żał mu było Norit, ale kiedy trzymał w ramionach Hati, czuł, że żyje. Pasowała do niego, w przeciwieństwie do wszystkich kobiet, jakie usiłowali mu przysyłać ambitni wieśniacy, kiedy był jeszcze synem Taina. Nie, mawiał, odrzucając niektóre z nich, podobnie jak inne odrzucał jego ojciec, wcale nie podejrzewając, że którakolwiek z tych zdrowych na umyśle dziewcząt mogłaby uznać Maraka za niedobrą partię, nie podejrzewając, że jego syn odrzucał je ze strachu przed odkryciem jego tajemnicy.

Teraz jednak uznał, że spełniła jego wymagania, dorównała mu i połączyła się z nim osoba, która nigdy nie cofnie się ani o krok przed jego najdziwaczniejszymi działaniami, nie przestraszy się jego szaleństwa, nie zawaha się.

Hati, powiedział sam do siebie.

Następnego dnia, dnia, co do którego był tak pewien, że przyniesie koniec burzy, wyrwał się jeden z masztów i na zewnątrz

musiało wyjść czterech czy pięciu mężczyzn umiejących rozstawić namiot, by naciągnąć liny. Powietrze się ochłodziło. Burza tak długo zasłaniała słońce, że powietrze i piasek zrobiły się bardzo zimne. Łamiąc paznokcie do żywego, rozgarniali suchy piach w poszukiwaniu ucha długiego palika; znaleźli go dzięki przywiązaniu do niego wystrzępionemu kawałkowi liny. Palik był jeszcze ciepły od gorąca panującego kilka dni wcześniej. Dokopali się do niego i umocowali nową linę.

Wrócili do namiotu, trzęsąc się z zimna, kaszląc i wycierając drobny piasek z oczu, nosów i kącików ust.

Wichura wciąż atakowała i to, co powiedział Marak o dwóch dniach, zakrawało na kłamstwo. Było mu wstyd, że obiecał tym, którzy mu ufali, coś, czego nie mógł spełnić. Przynajmniej ocalili namiot.

Jednak w ciągu kilku następnych godzin wichura zaczęła przycichać. Rzut oka za kłapę pozwolił Marakowi dostrzec za ścianami namiotu jakby coś w rodzaju światła, przezroczystą czerwień, świadczącą, że burza istotnie się kończy, ale nie było nic widać dalej niż do masztu najbliższego wejścia i nadal nie można było wystawić na wiatr oczu ani więcej ciała, niż było to absolutnie konieczne.

Marak schował głowę z powrotem do środka, reagując na pełne niepokoju pytania stwierdzeniem:

- Jest trochę spokojniej.

To było słychać. Huk łopocącego płótna przycichł: do tej pory hałas był tak nieznośny, że Marak bał się utraty resztek zdrowego rozsądku, a teraz towarzyszył tylko od czasu do czasu mocniejszym podmuchom wiatru.

Marak zmarzł i był podwójnie zadowolony z odnalezienia swojej maty oraz ramion Hati i Norit, które oprócz tego, że dawały mu ukojenie, strzepnęły piasek z jego włosów i ubrania.

Gardło miał tak suche, jak pył, który wdychał. Był strażnikiem pożywienia i wody i mógłby wydzielać sobie większe porcje; mógłby dać większe porcje mężczyznom, którzy pomagali przy linie, ale naprawdę nie wiedział, kto to był, i nie chciał stwarzać okazji do sporów. Po prostu i sobie, i pozostałym wydzielał takie same racje.

Zasnął, wyczerpany, a cały świat zdawał się wirować i przechylać ku wschodowi.

Z tego krótkiego snu zbudził się niemal w ciszy. Poruszył się, naciągnął szatę, ponieważ było chłodno, i owinał się aifadem, bo w powietrzu na pewno unosił się pył. Rozsznurował kłapę - wtedy zaczęli się też ruszać pozostali mieszkańcy namiotu - i wyjrzał przez poczerwieniałe, zapylone powietrze na inne namioty.

Kiedy zaczęła się burza, miał w polu widzenia cztery namioty. Teraz widział tylko trzy. Usiłował przypomnieć sobie ich położenie, sądząc, że jeden z nich wciąż może być spowity pyłem, lecz tuż obok widniała wyraźna luka.

Liny nie wytrzymały. Namiot stojący najbliżej zniknął.

Marak osłonił oczy przed piaskiem i pyłem skrajem aifadu i wyszedł na zewnątrz. Szukał na ziemi kawałka płótna, pod którym ci, którzy ocaleli, mogliby znaleźć schronienie przed wiatrem.

Z namiotu wyszła też Hati, au'it i paru mężczyzn, którzy pomogli mu go uratować.

-Zostań! - polecił Hati Marak, nie chcąc zostawiać wody i jedzenia na łasce losu oraz wieśniaków, a nade wszystko pragnąc mieć kogoś rozsądnego, kto mógłby przywołać go do namiotu, gdyby w ciągu tych kilku chwil, kiedy zamierzał znajdować się na zewnątrz, znów zerwał się wiatr.

Hati doskonale to rozumiała i nie protestowała.

- Zostańcie tu - powiedziała do innych. - Może zerwać się wiatr. Trzymajcie się blisko namiotu!

Zwierzęta przeżyły. Burze rzadko im szkodziły. Stanowiły kupki piasku z nosami skierowanymi w stronę wiatru, skupione po zawietrznej ich oraz sąsiedniego namiotu. Na widok ludzi otrząsnęły się z piasku i wstały, by rozprostować zdętwiałe nogi.

Namiot Obidhena wciąż stał - za miejscem, gdzie rozstawiono namiot, który zniknął. Marak podszedł do niego i wołał, aż ktoś rozsznurował wreszcie kłapę od środka.

Wewnątrz było dwóch niewolników. Nikogo więcej. Ani Obidhena, ani jego syna Roma, wyzwolenców czy pozostałych czterech niewolników.

- Gdzie jest przewodnik Obidhen? - zapytał Marak.

• Dajcie nam wody - poprosili w odpowiedzi niewolnicy i Marak natychmiast zrozumiał, co zaszło: bez przewodnika, który wydzielałby racje, ci dwaj głupcy zużyli cały zapas wody w namiocie. Ich cierpienie było zasłużone i bynajmniej nie groziło im śmiercią.

• Na zewnątrz i kopać - rozkazał - albo zginiecie!

Uniósł pięść, jakby chciał uderzyć najbliższej stojącego, i obaj niewolnicy poszli po sprzęt.

Marak, Marak, zawołały głosy, a cały świat stał się groźny i niebezpieczny.

Marak zostawił niewolników przy pracy i poszedł w pędzonym wiatrem pyle do czwartego namiotu, starając się nie stracić orientacji, ponieważ piąty, dalszy namiot co chwila zniknął w czerwonej mgiełce piasku.

Tam też namówił kogoś do rozsznurowania kłapy, spodziewając się ujrzeć syna Obidhena, Roma, lecz zrobili to dwaj byli żołnierze; wlewające się obok nich do namiotu światło wydobyło z mroku nieruchome, przestraszone twarze... Marak dojrzał też trzy rozczochrane, przerażone, na wpół odziane kobiety. Zaczął mu się krystalizować obraz całkowitej katastrofy. Wyobraził sobie, jak ktoś z zagrożonego namiotu dociera do przewodnika karawany, który usiłuje pomóc, a następnie wzywa swoich synów.

• Ontari. - Marak zignorował rozchełstanych żołnierzy i zwrócił się do człowieka, którego znał najlepiej, do kamieniarza, odznaczającego się zdrowym rozsądkiem. - Obejmiesz tu nadzór. - Podejrzał, co się przez te trzy dni działo między tymi kobietami i żołnierzami, a może i paroma innymi mężczyznami, i ubolewał nad tym, ale jeżeli burza ucichła tylko na chwilę, to wciąż mogli stracić życie. - Wszyscy macie wyjść i kopać. Musimy odzyskać zapasy. Ci głupi niewolnicy przez trzy dni jedli i pili!

• Orni - rzekł Ontari i przynaglił pozostałych. Był roslym mężczyzną. Marak obdarzył kobiety przeciągłym spojrzeniem, tym samym dając im do zrozumienia, że wie, co się stało, i jednocześnie zadając sobie w duchu pytanie, co może zrobić w tej trudnej sytuacji. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to poprosić

Hati, by dowiedziała się prawdy. Tymczasem życie ich wszystkich wciąż było zagrożone.

- Burza może jeszcze wrócić - powiedział do kobiet. - Bez względu na to, co tu się stało, nie wiemy, ile mamy czasu, a straciliśmy dużą część wody, zasypaną w tamtym namiocie. Wychońdzie i kopać! Wszyscy!

Marak! W głosach pojawiła się nuta paniki i serce Maraka zadrżało jak schwyte zwierzątko.

Poszedł do piątego namiotu, gdzie znalazł najmłodszego z synów Obidhena, Tofiego. Chłopak żył, a w namiocie było o dwie osoby więcej.

- Twój ojciec i bracia zginęli - rzekł Marak bez ogródek; głosy nie dawały mu chwili wytchnienia, groził nawrót burzy. -

Wyjdź i pokieruj niewolnikami! Straciliśmy ludzi i jeden namiot!

To, że być może zniknął namiot, nie było dla chłopaka nowiną. Dwie osoby uciekły ze zniszczonego namiotu i przyszły do niego; mógł mieć nadzieję, że ojciec i bracia znaleźli jakieś inne schronienie. Wiadomość, która tę nadzieję rozwiła, wyraźnie chłopakiem wstrząsnęła.

- Szukałeś w innych namiotach? - zapytał.

-Mówię ci, że zginęli! Potrzebujemy rąk do kopania. Wychodźcie!

Nie było czasu na żal ani ocenę zdarzeń. Niektórzy wzięli łopaty, a synowie Obidhena kopali gołymi rękami.

Takie historie były na Lakht od dawna znane. Kiedy wichura na chwilę osłabła, ktoś z brakującego

namiotu, namiotu Landhiego, przedostał się do Obidhena z prośbą o pomoc z narastającym problemem. Obidhen, niewolnicy i dwaj kupcy z jego namiotu wyszli na zewnątrz i bez względu na to, czy w ogóle dotarli na czas do Landhiego, czy też uniósł ich następny poryw wiatru, wiele w tej burzy ryzykowali - i przegrali. Może ktoś, kto przeżył, dotarł do czwartego namiotu i Roma, który popełnił fatalny błąd i też zaginął. Tymczasem dwaj nowicjusze z namiotu Landhiego przeżyli, ale stracili orientację i popychani przez wiatr, natknęli się na namiot Tofiego; powiedzieli mu, co się stało, ale wtedy burza rozszalała się na dobre i wyjście na poszukiwania byłoby szaleństwem. Tofi postąpił mądrze, nie ruszając się z miejsca.

Jeśli chodzi o innych, nie istniała kwestia, gdzie mogli być jacykolwiek ocaleni, jeżeli w ogóle ktoś ocalał. Kiedy tamten namiot zawalił się w strugach osłepiającego piasku, stał się kłębowiskiem na wpeł przymocowanego płótna i lin, śmiertelnie groźnym potworem z materiału i strzelających sznurów, i jeśli przynajmniej jedna strona namiotu nie pozostała przywiązana do palików, jeśli tamta sterta piasku nie skrywała płóciennego schronienia wśród bagaży i zapasów wody, to dla reszty nie było już żadnej nadziei.

Ponieważ w miejscu, gdzie znajdował się namiot, powstała wysoka pryzma piasku, Marak od początku wątpił, czy ktokolwiek przeżył, a oprócz Landhiego znajdowało się w nim dziewięć osób, nie licząc Obidhena, wyzwolenców, jego starszego syna Roma oraz czterech niewolników, którzy przyszli im z pomocą.

W namiocie Obidhena znajdowała się część wody i zapasów żywności, które w większości zniknęły; Marak nie miał litości dla dobrze odżywionych niewolników, podobnie jak Tofi, który pomstował i ich bił, kiedy ustawiali w pracy.

- Burza mogła przycichnąć tylko na chwilę! - krzyczał, odrzucając piasek łopata. - Kopcie szybciej. Wszyscy.

Kiedy zbliżyli się do zapasów, porzucili łopaty i zaczęli kopać gołymi rękami. Znaleźli pierwsze ciała. Tofi cały czas szlochał i kłął. Piętnaście zwierząt należących do utraconego namiotu schroniło się za innym i przeżyło. Zapasy, omotane płótnem, odnalazły się pod warstwą piasku głęboką na kilka piędzi. Jeden róg mocno naciągniętego płótna bardzo się przetarł, ale wytrzymał napór piasku. Woda, schowana na samym dnie, ocalała, co wszyscy przyjęli z ulgą.

Ciała większości zaginionych, także przewodnika i jego synów, omotane płótnem i przysypane piaskiem, znaleźli przy zapasach, gdzie wszyscy z tego namiotu, którzy nie znaleźli na zewnątrz bezpiecznego schronienia lub śmierci, usiłowali jakoś przetrwać. Pokrył ich i zadusił piasek, zdzierając skórę z ciał najbardziej wystawionych na jego działanie, a potem odzierając z ciała kości.

Tofi nie posiadał się z żalu.

Q7

- Mordercy! - zawołał, kiedy znaleziono jego braci i ojca. Chwycił kawałek liny i rzucił się ku niewolnikom. Rozbiegli się z krzykiem, a Tofi gonił ich w cichnącej burzy. Złapał najwolniejszego i zaczął okładać go pięściami, ale Marak podbiegł do nich i odciągnął chłopaka.

-To są niewolnicy - użył racjonalnego argumentu. - Nie mieli rozkazów. Nie mieli pojęcia co robić! - To głupcy! - krzyknął Tofi, szlochając.

- Pokieruj nimi, bo inaczej stracisz wszystko, co masz po ojcu. Co może przekazać ci ojciec oprócz tej karawany i tych dwóch niewolników? To są twoi wyszkoleni robotnicy! Potrzebujemy rąk do pracy! Nie zabijaj ich!

Siły opuściły chłopaka, który opuścił bezwładnie rękę i kopnął niewolnika leżącego u jego stóp.

- Wstawaj! Bierz się do roboty!

Niewolnik podniósł się, wciąż osłaniając głowę, i wycofał się, wolał uciec na pustynię; tymczasem wiatr wciąż nimi szarpał, głosy nawoływały: *Marak, Marak, Marak*, a wieża rosła i rosła.

Piasek niesiony wiatrem zacierał sylwetki osób stojących nieco dalej i wpychał się do oczu, tak że ludzie wazyli się patrzeć i oddychać wyłącznie przez cienkie chusty. Nie była to odpowiednia pora na bicie tych, którzy umieli rozstawiać namioty i zajmować się zwierzętami.

- Jesteś spadkobiercą swego ojca - uświadomił Marak chłopakowi, przekrzykując łopot pobliskiego namiotu w nagłym podmuchu wiatru. Trzymał Tofiego mocno za ramię, zmuszając do słuchania. - Obejmij przywództwo karawany. An'i Keran i ja możemy jechać dalej sami i prawdopodobnie przeżyjemy, ale życie pozostałych spoczywa w twoich rękach. Możesz zacho

wać lub stracić dziedzictwo swego ojca! Czego cię nauczył?

Chłopak wciąż szlochał, ale już bez łez.

- Wracajcie! - zawołał Marak do odległych cieni, w które za mienili się dwaj niewolnicy. - On was nie zabije. Umrzecie na pustyni!

Niewolnicy, wciąż będący cieniami, ostrożnie się zbliżyli.

- Bierzcie się do roboty! - krzyknął Tofi ochryplym, jeszcze chłapiącym głosem. - Bierzcie się do roboty, opite leniuchy, albo

no

obedrę was ze skóry! Teraz ja będę miał całą wodę, wy synowie szatanów! Mam całą żywność, mam namioty i, niech przekleństwo spadnie na wasze leniwe dusze, będziecie pracować za jedzenie i schronienie!

Wrócili niepewnym krokiem, z pochylonymi głowami, unikając wzroku chłopaka, ale zaczęli kopać z wielkim zapałem. Tofi wciąż szlochał i jego zawój, mokry od potu i łez, był tak oblepiony pyłem, że chłopak nie widział, gdzie kopie. Jedynym ratunkiem było przekręcanie zawoju, powstrzymanie łez i zaniechanie wysiłku, od którego usta chwytały suchy wiatr. Marak to znał. Rozumiał rozpacz chłopca, sięgając do własnej pamięci, każde uklucie zawiedzionej nadziei i wziętej na siebie winy; w żadnym razie nie była to wina Tofiego. Lakht zabija, i to nawet za drobne błędy, które popełniał także Obidhen.

Niektórych ciał nie mogli znaleźć. Ludzie ci być może pobiegli schronić się w jakimś innym namiocie i nie mieli takiego szczęścia jak ci dwaj, którzy dotarli do Tofiego, a może po prostu nie znaleźli tych, którym usiłowali pomóc. Napór piasku niesionego wiatrem potrafi pozbawić orientacji nawet doświadczonego podróżnika. Mogliby przeszukać całą otaczającą ich pustynię, ale nie mogli ryzykować tego, co mieli.

Po przeliczeniu wszystkich głów okazało się, że zginęło dwadzieścia jeden osób oraz woda i zapasy jedzenia, którymi obżerali się dwaj niewolnicy.

Karawanie zostało dwóch niewolników, cztery umocowane namioty, żelazne paliki i poplątane liny z piątego oraz wszystkie zwierzęta.

Wieczorem burza się skończyła, tak że zaczęły się pojawiać gwiazdy, najpierw te najjaśniejsze, a potem całe ich bogactwo, niczym klejnoty rozrzucone na niebie. Powietrze nigdy nie było tak przejrzyste jak po wichurze.

Dwadzieścioro jeden zmarłych oznaczało, że tyle osób nie będzie jadło i piło. To z kolei znaczyło, że mają dość wody i pożywienia. Wśród innych dobrych wiadomości była i ta, że Tofi sądził, iż zna drogę do wioski Pori; wymienił gwiazdy wytyczające im drogę, Kopa i Lute, które świeciły nad nimi czystym, zimnym światłem. Już tam kiedyś był. Sądził, że umie tam trafić, a karawanie nie zabraknie jedzenia, wody ani namiotów. Co prawda Hati stwierdziła, że Pori leży w zasięgu plemienia Ke-ran, ale ona sama nigdy tam nie była.

Jeśli jednak chodzi o sprawne ręce... tych wyraźnie brakowało.

- Daj rozkaz - zwrócił się Marak do chłopca.

- Zwijamy obóz - powiedział Tofi i dodał głośniejszym głosem, zwracając się do niewolników: - Wstawać!

Składać namioty!

Kiedy już zostały wbite długie żelazne paliki, nie było to łatwe zadanie. Należało je wykopać i była to ciężka praca. Z braku wyzwoleńców i innych, bardziej doświadczonych niewolników, kopali wszyscy, kobiety i mężczyźni. Posługiwali się wszystkim, czym mogli, chcąc jak najszybciej opuścić to złowrogie miejsce. Niewolnicy, którzy tak dobrze jedli i pili, byli teraz posłuszni i wcale nie osłabieni głodem. Można było mieć nadzieję, że zmadrzeli i nauczyli się czegoś na swoich błędach, ale Marak w to wątpił. Kiedy zrywał się wiatr i ludzie zaczęli myśleć, że inni dostaną większe porcje, nie zawsze kierowała nimi mądrość. Niewolnicy, którzy jako jedyni z grupy ratunkowej dotarli z powrotem do swego namiotu, myśleli, że i tak są już martwi, więc pochłaniali wszystko w panice, walcząc ze sobą o ostanie kęsy i nie myśląc o następnym dniu.

Według Maraka teraz albo zmadrzeli, albo obaj zginą. Kiedy chłopak zdał sobie sprawę, że niewolnicy prawdopodobnie nie mieli nic wspólnego ze śmiercią jego ojca i są winni jedynie przeżycia, mógł się nad nimi ulitować. Lakht była jednak bezlitosna nawet dla doświadczonych ludzi, takich jak Obidhen, a co dopiero dla głupców, którzy ze strachu przed śmiercią wypili całą wodę. Druga szansa trafiała się nielicznym.

Zmarłych ułożyli porządnie, przykrywając ich piaskiem wydobytym spośród zapasów. Nie wykonali jednak żadnej zbędnej pracy. Pogrzeb urządzili wyłącznie dla spokoju chłopaka, który i tak wiedział, że plugastwo piasku, podobnie jak plugastwo powietrza, jest pomysłowe i wytrwałe. Zebrani

po prostu po raz ostami wymówili imiona zaginionych i na tym ceremonia się skończyła.

Wydawało się, że następną ofiarą będzie krawiec Proffa. Przed burzą był dość silny, ale kiedy się spakowali i w środku

nocy nadeszła pora, by wsiąść na wierzchowce i odjechać, Prof-fa ledwo trzymał się w siodle.

Przywiązali go więc jak bagaż, starannie obłożywszy matami, i opiekowali się nim podczas marszu. Marakowi wydawało się, że krawcowi odmówiło posłuszeństwa serce, może kiedy zrozumiał koszt dalszego życia. Szaleńcy zdrowieli, ale Proffa nie.

Wszystkie te sprawy au'it zapisała następnego dnia w swojej księdze.

O przewodniku karawany, chociaż według pustynnych kryteriów był bogaty, nic nigdy nie napisano, a teraz au'it ze świętego miasta odnotowała jego śmierć.

- Zapisiałś jego imię? - zapytał z powagą chłopak. - Nazywał się Obidhen Anfatin.

Au'it zapisała to, a Tofi dał jej jeden ze swoich skarbów, jedną z bransolet ojca.

Zwykli ludzie stali się niezwykli, pomyślał Marak, kiedy rozbijali obóz. Nawet niewolnicy nie chcieli umierać, a teraz mieli imiona: ten mniej zwinny, ale silniejszy, którego pobił Tofi, nazywał się Mogar, a ten drugi Bosgingde.

Szaleńcy zaczęli się nawzajem zauważać. Tworzyły się przyjaźnie i niechęci. Niektórzy jechali razem, jak siostry, jak bracia. Kobiety z ostatniego namiotu, skrzywdzone przez gwałtowników w ostatnim obozie, uzbroiły się w noże i trzymały się blisko Hati i Norit.

Co więcej, kobiety odbyły długą, pełną złości rozmowę, o szczegóły której Marak się nie dopytywał.

Kiedy jednak stanęli na popas, zaproponował Tofiemu, by, mając na uwadze ewentualne użycie siły, rozbić tylko dwa namioty dla ochrony przed słońcem, i to blisko siebie. Skrzywdzone kobiety pochodziły z północno-zachodnich nizin i nie miały pojęcia, jak sobie radzić na pustyni. Marak zaproponował, by te kobiety przyłączyły się do Tofiego - którego przy okazji będą mogły podtrzymywać na duchu - i dwóch niewolników, a dwaj byli żołnierze przeszli do namiotu Ontoriego.

Lakht wydobywała z ludzi najlepsze i najgorsze cechy, a ci, którzy przez trzy dni, kiedy wszystkim groziła śmierć, źle traktowali swoje współtowarzyszki, byli głupcami. Podobnie kobiety, które to wszystko przeżyły i wciąż trzymały się na nogach, nie były głupie, a ponadto zdobyły środki do obrony.

-Jeżeli te kobiety będą się teraz skarżyć - oznajmił Marak Kassanowi, starszemu z dwóch żołnierzy, którzy według niego najprawdopodobniej byli prowodyrami - to nigdy nie ujrzycie wschodu.

Na twarzy mężczyzny odmalował się strach.

• To nie byłem ja - zaprotestował Kassan - tylko Foragi.

• A zatem spraw, by zmienił zdanie, albo go zabij. Postawiłem nad wami kamieniarza Ontariego. Jeśli któryś z was kiedykolwiek czymś obrazi te kobiety, ma moje pozwolenie, by obu was zabić.

• Orni - rzekł Kassan. Miał dość rozumu, by zrozumieć sytuację i - na co Marak miał nadzieję - bać się. Kassan odszedł, niewątpliwie po to, by ostrzec drugiego żołnierza, że grozi im niebezpieczeństwo, a jeśli to zagrożenie spowoduje bunt, Marak był pewien, że zdradzi to ich wygląd: nie sprawiali wrażenia zdolnych do snucia skomplikowanych intryg.

Po południu zwinęli obóz; żołnierze unikali wzroku Maraka i pochylali głowy.

Teraz kobiety wyglądały inaczej. Hati porozmawiała z nimi i jedna z nich, wiejska gospodyni Maol, patrzyła na tych mężczyzn płonąącym wzrokiem i dotykała czegoś schowanego pod pasem.

Jeśli chodzi o Tofiego, wciąż pogrążonego w żalobie po ojcu i braciach, Maol wraz z przyjaciółką uznały go za swego podopiecznego: przystojny, bystry młodzieniec potrzebował pociechy. Trzecia kobieta, imieniem Malin, chyba pokłóciła się z tamtymi dwiema. Nagabywała żołnierzy, którzy usiłowali nie mieć z nią nic do czynienia.

Zwinęli obóz o zachodzie słońca i ruszyli dalej, kierując się gwiazdami wymienionymi przez Tofiego.

Marak, mówiły głosy, *Marak*, *Marak*, ale nie wydawały się niezadowolone. Szeptaly już teraz co godzina i wciąż pojawiały się wizje; Marak wiedział, że gwiazdy Tofiego to te same jasne gwiazdy, którymi kierowali się dotąd.

A jeśli poranek i wieczór popychał go ku wschodowi tak niezawodnie, że nie potrafiłby pomylić drogi, to samo działo się z pozostałymi: nie zablądzi ani nie zrezygnowali z podróży i nie musieli się martwić o drogę. Młody Tofi, właściciel zwierząt i namiotów, był coraz bardziej pewien kierunku.

Podobnie Hati, która wraz z Norit dzieliła nocą matę Maraka. Od czasu burzy już się tego nie wstydził, tylko zawieszal szatę jako zasłone; słyszał, że podobnie robiły z Tofim dwie z trzech kobiet.

Lecz ta trzecia, od początku skłócona z pozostałymi, postanowiła zadowalać różnych innych mężczyzn i miała po dwóch lub trzech w ciągu wieczoru, na zewnątrz przy zwierzętach, przed

wyruszeniem w nocną drogę; Marak zastanawiał się, czy w tamtym namiocie całkowitą winę ponosili żołnierze i kto zaczął tę całą sprawę podczas burzy.

- Malin każe sobie płacić - stwierdziła Hati, kiedy zapytał ją o zdanie.
- A czym? - zapytał Marak, czując się jak żółtodziób. Żaden z mężczyzn nie miał wielu monet czy bransolet.
- Pożywieniem - odparła Hati.
- Nie będą tego robić.

Był oburzony. Pozbawianie mężczyzny części jego racji osłabiało go i wzmacniało kobietę, która dokonała wyboru i która, jeśli nie parała się prostytutką, mogła mieć na celu zemstę... albo która, jeśli była prostytutką, mogła sprowadzić na siebie zemstę innych kobiet.

- Do diabła! Powiedz im, że nie mogą używać siły. Ale nie mogą też używać swoich racji żywnościowych. Niech Malin wybierze, co będzie robić. Powiedz jej, żeby pozwoliła im zdoływać jej względy.

Marak, Marak, Marak, odezwał się niecierpliwie jego wewnętrzny głos. Miał większe zmartwienia niż Malin.

Kiedy jednak Hati porozmawiała z mężczyznami zalecającymi się do prostytutki Malin, zaczęli oni rywalizować ze sobą w drobnych przysługach: pomagali jej zsiadać z wierzchowca, nosili jej matę i rozwijali ją, jakby Malin rządziła obozem. Kobieta rozkwitła, lepiej obsługiwana niż niejedna żona, a Norit, Maol i ta druga kobieta, Jurid, patrzyły na nią jadowitym wzrokiem; Hati wzruszała tylko ramionami i z rozbawioną miną sama nosiła swoją matę oraz dźwigała siodło.

Przed burzą, kiedy była dobra pogoda, posiłki przygotowywał za pomocą słonecznych luster jeden z niewolników, któremu czasami litościwie pomagała Hati. Po jego śmierci podczas burzy kuchnia się zmieniła: przyrządzaniem jedzenia zajęły się dwie kobiety Tofiego, Maol i Jurid. Nie żałowały przypraw, co Marak uznał za wielki postęp.

Znajdował czas na takie myśli. W ramionach Hati i Norit był szczęśliwy i to też stanowiło nową myśl. Odkrył, że w swoim życiu rzadko był szczęśliwy. Nigdy nie był wolny. Teraz jednak... nie miał pojęcia, czy tak jest.

W drodze przyłapywał się na patrzeniu na Hati dla czystej przyjemności, jaką dawał mu jej widok. Norit była piękną, zgodną kobietą i mimo jej innych cech Marak ją lubił: gdyby spotkał ją osobno, to w takiej sytuacji mógłby oznajmić, że ją kocha. Lecz Hati budziła w nim coś, co nigdy dotąd się nie ujawniało. Fascynowały go wszystkie jej ruchy. Każdy wyraz jej twarzy zapadał mu w pamięć, a miała ich tak wiele. Gdyby Hati miała zrezygnować z dalszej drogi, Marak wolałby pójść za nią niż za wizjami... tak silną stanowiła pokusę.

Ponieważ jednak mieli wspólne wizje, podróżowali razem i razem zastanawiali się, co zastaną u kresu drogi.

- Myślisz, że istnieje jakaś wieża? - zapytała Hati. - A może to jest skalna iglica?
- To wieża, zbudowali ją ludzie - stwierdził. - A te gwiazdy to wyraźnie gwiazdy, którymi się kierujemy. Tylko co tam znajdziemy?
- Wielki skarb - rzekła dobrodusznie Hati i machnęła ręką w kierunku ciemności. - Nie wrócimy już do Iii. Będziemy bogaci, będziemy mieli pięćdziesiąt białych beshti i będziemy leżeć na farbowanej materii pod namiotami ze złotymi ozdobami. Pracować będzie dla nas setka niewolników i dwa razy dziennie będziemy jedli melony.

Au'it spała, lekko pochrapując. Można było bezpiecznie mówić o zdradzie.

- Zrobimy się grubi - powiedział Marak i zapytał Norit, która leżała u jego drugiego boku: - Co byś chciała mieć, gdybyś była bogata?

- Dom z winnicą - odparła Norit - i piękne łóżce z materacem.
- Żadnych niewolników? - spytała Hati.
- Och, czterech. Mogą pracować w winnicy, a każdy z nich będzie miał dom, dobre miękkie łóżko i wino do kolacji.
- Jesteś za dobra - stwierdziła Hati. - Jak nie będziesz ich biła, to poderzną ci gardło.
- Marzyłam. W marzeniach mogę chcieć, by pracowali uczciwie.
- W marzeniach - odezwał się Marak, oczarowany tym szaleństwem - możemy chcieć pokoju między Lakht i nizinami, i zdrowych umysłów dla nas wszystkich.
- Może kiedy zobaczymy to wysokie miejsce, wizje zanikną - rzekła Hati, obejmując Maraka i przytulając się do niego. - Większość z nas ma taką nadzieję. Ci, którzy w ogóle mają nadzieję. Ja ją mam.
- Mam nadzieję - powiedział Marak.

Nigdy wcześniej nie ubierał tego w słowa, ale w szaleństwie tkwiła obietnica, że trzeba coś znaleźć, coś zrobić, zobaczyć coś, co muszą zobaczyć, a kiedy już to znajdą, zrobią i zobaczą, zawsze będą zdrowi, spokojni i wolni.

To rozumowanie miało wadę, której był w pełni świadomy. Obiecał Iii, że wróci i zda relację z podróży. Co więcej, nie znał na Lakht i otaczających ją ziemiach żadnego miejsca, w które mógłby się udać, by odwlec złożenie tego sprawozdania, szczególnie, że miał pod opieką au'it.

Życie jak an'i Keran? Mógłby, ale odrzuciłby plemienny styl życia. Nie miał zamiaru walczyć w ich bitwach, skoro miał powyżej uszu walk swego ojca.

Poza tym złożył obietnicę i wciąż jej dotrzymywał; wiedział, że jego wolność będzie trwała tak długo, jak ta podróż... przynajmniej miał tę pewność, dopóki nie pojawiła się Hati; teraz jego obietnica dawała mu poplątany labirynt wyborów.

Ila obiecała mu życie jego matki i siostry.

I za co?

• A co ty chciałbyś mieć? - zapytała Norit. - Co chciałbyś mieć, gdybyś mógł dostać wszystko na świecie?

• Moją wolność - odparł.

-I nic więcej? - zapytała z rozczarowaniem w głosie Norit. Była własnością ojca, a potem męża. Marak uznał, że w jej oczach do pewnego stopnia teraz on jest jej właścicielem. Starał się ją uwolnić, ale ona nie potrafiła sobie nawet wyobrazić wolności. Kiedy mogła robić, co jej się podobało, śpiewała coś, nie patrząc na nikogo, i była najbardziej szalona ze wszystkich szalonych.

Hati jednak na pewno dobrze go rozumiała; oboje byli wolni i to w niej kochał.

• Gdybym był bogaty, zostałbym chyba Tofim, z mnóstwem zwierząt i namiotów i całą pustynią przede mną.

• To dobre życzenie - uznała Hati. Splotła swoje palce z jego, westchnęła i wyraźnie zamierzała zasnąć.

Marak zamknął oczy. Tofi oceniał, że do wioski mają jeszcze trzy dni drogi i przynajmniej zniknęła obawa, że zboczą ze szlaku. Nie zginą już w burzy i nabranie tej pewności zajęło im siedem dni od jej minięcia.

Chory mężczyzna, krawiec Proffa, zmarł następnego dnia. Ułożyli go na piasku w miejscu, gdzie spadł z wierzchowca. Marak ocenił, że nie żył już, zanim dotknął ziemi, dwa dni przed wioską Pori, gdzie wszyscy mogliby odpocząć.

Lakht nie miała litości dla słabych. To zawsze było prawdą. Plugastwo powietrza już krążyło, czekając, aż odejdą od ciała. Kiedy odleci, pojawi się większe plugastwo, a po nim owady i pelczace, które się nimi żywią.

Mimo wszystko ułożyli Proffę i oddali mu szacunek. Dzień był gorący i większość stała w cieniu swoich wierzchowców, niektórzy jednak wykorzystali tę okazję, by się przejść i rozprostować nogi, podczas gdy inni upili nieco ze swego przydziału wody. prostytutka Malin zwilżyła wodą z bukłaka szal i wytarła nim pył z twarzy i szyi.

Dwa dni do wioski i niektórzy już sądzili, że dotarcie do niej jest takie pewne... albo może, wbrew rozkazom Maraka, Malin uważała, że jej zapas wody jest taki pewny.

Do Maraka podszedł Tofi, krzywiąc się w blasku słońca odbitym od zasadowej skorupy, pokrywającej zagłębienie terenu.

- Powinniśmy rozbić obóz dalej - powiedział, chociaż zbliżała się już pora postoju. Przebywanie w pobliżu trupa oznaczało jednak kłopoty, a odległość, na jaką powinni się od niego oddalić, oznaczała jeszcze kilka godzin jazdy. Była pora największego skwaru, lecz Marak się nie sprzeciwił.

- Powinniśmy - zgodził się i przekazał rozkaz dalej. - Ruszamy. Dwie godziny.

Nowicjusze wydali pomruk niezadowolenia, a riauśniej protestowała Malin.

Marak wspiął się na siodło; za jego przykładem poszła Hati i Norit. Zobaczył, jak Malin żąda, by byli żołnierze dźwignęli ją na siodło.

Ujrzał w niej kobietę lekkomyślną i wymagającą zbyt wiele od swych dwóch głównych dłużników.

W jej wybrykach ujrzał też znak śmierci, ale nie wiedział, czy chodzi o śmierć Malin.

Rozdział 8

„Na początku dni Ila dała plemionom sekrety wody, gdzie może się znajdować i jak mogą

uczynić z gorzkiej wody słodką. Podobnie wyznaczyła im obszary i studnie, które utrzymują jako własne, pod warunkiem, że karawany mogą przechodzić przez ich tereny bez przeszkód oraz że tylko wioski mogą nakładać opłaty za wodę".

- Księga Kapłanów

„W karawanie jest jeden przewodnik i słowo przewodnika na pustyni jest jak słowo kapłana. Tę władzę nadała przewodnikowi Ila".

- Księga Iii

Następnej nocy znaleźli się na szlaku; o świcie mógł go dostrzec nawet wieśniak. Karawany podróżowały wtedy tak często, że wydeptały zagłębienie w ziemi, rów zasypywany i odsłaniany przez wielkie burze. Czasami jechało się w tym zagłębieniu całymi godzinami.

Następnego popołudnia przekroczyli wysokie wydmy, ale To-fi znów odnalazł drogę. Prowadziła na wschód.

W pewnym nisko położonym miejscu zbiegały się z nią inne szlaki. Niewysoka sterta kamieni wskazywała, gdzie, jeśli zacząć kopać, można znaleźć wodę... bo to nie wioski określały trasy karawan, lecz woda, strumyki zbyt wąskie, by utrzymać wioskę, za to wystarczające dla karawany. Tam, gdzie wznosił się teren, a potem opadał, mogły istnieć źródła, często ukryte w piasku, jak to, albo tworzące jedynie wilgotne plamy na skałach czy skorupy bieli na piasku tam, gdzie woda wypłukała minerały. W takich miejscach spotykały się trasy karawan. W takich miejscach mogły się napić beshti. Podobnie jak plugastwo; zbliżenie się do takiego zagłębienia terenu wiązało się z pewnym niebezpieczeństwem, ale szaleńcy jechali dalej. Nogi beshti kruszyły białą skorupę, głosy beshti ostrzegały groźnym rykiem okolicę.

Zebrały się u płytkiego stawu, wysysając wodę, która człowieka mogłaby zabić. Piły tak szybko, że wysuszyły stawek i musiały czekać, aż znów się napełni.

W razie konieczności mogliby tę wodę destylować, używając słonecznych kuchenek. Znajdowali się w miejscu, które mogłoby im ocalić życie, gdyby zabrakło zapasów, lecz opierając się na swojej wiedzy, Tofi powiedział, że wystarczą im stęchłe resztki słodkiej wody w bukłakach: ta studnia jest drogowskazem i wioska rzeczywiście znajduje się blisko.

Był to dziewiąty dzień po burzy i niektórzy szaleńcy macali swoje pustawe bukłaki i spoglądali niepewnie na błotnistą zupę, zastanawiając się, czy nie powinni może zlać dobrej wody razem do kilku bukłaków i nabrać tyle gorzkiej, ile się da.

Tofi powiedział, że nie, i kiedy karawana rozłożyła się na odpoczynek, ludzie zaczęli się martwić i wzajemnie obwiniać. Kończyło się jedzenie i woda; jedynie dobrze napojone beshti przeżuwały pokarm z widocznym zadowoleniem.

Kiedy jednak dziesiątego dnia szlak poprowadził obok wielkiej, szerokiej półki skalnej, całej popękanej i pokrytej głazami, i zaczął ledwo zauważalnie schodzić w dół, Hati stwierdziła, że na pewno zbliżają się do końca; wtedy Marak zrozumiał, że wysokie skały i zostawiony w tyle gorzki stawek być może oznaczają źródło wody mogące zasilać wioskę, a to podniosło go na duchu. Według wszelkich oznak Tofi nie mylił się w swoich obliczeniach.

Trzeciego dnia Tofi był na tyle pewien, że po przebyciu porannego odcinka drogi nie wydał rozkazu rozstawienia namiotów, mimo że z nieba lał się wyjątkowy żar, jak roztopiony ołów.

Karawanowy szlak, już dość szeroki, połączył się z dwoma innymi i utworzył wygodne, omiotane wiatrem zagłębienie sięgające wierzchowcom do łopatek i skracające lekko na południe. Wszyscy szaleńcy zaczęli okazywać niepokój, ponieważ doskonale wiedzieli, że powinni zmierzać prosto na wschód.

Na wschód, mówiły głosy.

Głosy nie dawały też spokoju Marakowi: *Spiesz się, śpiesz się, śpiesz się. Idź dalej. Nie zatrzymuj się.*

Cierpliwości, powiedział Marak do swoich demonów. Bądźcie cierpliwe. Martwi nie przydadzą się nikomu. Odpoczynek i woda. Nie można nam tego odebrać.

Na wschód, nagliły głosy. Marak, Marak, Marak. Idź dalej. Nie ma czasu.

Zbiegające się drogi utworzyły kilkusetletni szlak biegnący obok następnej rozsypującej się skalnej półki.

Minęli skalny grzbiet i znów zaczęli zjeżdżać w dół.

Znaleźli się między dwiema wysokimi skałami, skąd ujrzeli leżący poniżej szeroki, podwójny krąg zduszonych przez wydmy budynków i jaskrawych płóciennych daszków, a także czarną siatkę rozciągniętą nad ogrodem dorównującym wielkością samej wiosce.

• Pori - rzekł Tofi, jakby sam miał wątpliwości. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, od którego

popękała pokrywająca ją skorupa z pyłu i którym zaraził innych.

• Pori! - zawołali. - Pori.

Był to koniec lub początek Lakht, zależnie od tego, z której strony przybyło się do wioski; jak na lakhtańską osadę Pori była bogata w wodę, choć nieczęsto odwiedzały ją karawany. Te, które się tu pojawiały, przybywały z południa: Marak niejasno przypominał sobie, że wioska stanowi punkt orientacyjny, jeden z kilkunastu na Lakht, i że nieliczne karawany z odległych południowych nizin tu właśnie zaczynały wspinaczkę do Obu-ranu, a następnie skręcały w kierunku Keish-an-Dei. Tam lakhtańskie plemiona, do których należało też plemię Hati, dwa razy do roku ogłaszały pokój i spotykały się, by handlować, zawierać małżeństwa i planować sianie zamętu na swoich zachodnich granicach.

Lecz, jak nauczył się Tain, a Marak zapamiętał, plemiona ze wschodu Lakht były zawodnymi sprzymierzeńcami. Nie możemy przybyć w tym roku: studnie wyschły. Nie możemy się z wami spotkać: mieszkańcy zachodu obrazili nas. Nie możemy przysłać wsparcia: nasz kapłan jest zaniepokojony.

Jeśli chodzi o Pori, to, jak każda osada na Lakht, ceniła sobie handel i wszędzie go popierała, chyba że na przeszkodzie stawały właśnie lub pogoda. Zachowywała też neutralność. Obiecywała wszystko, ale nie przyłączyła się do Taina.

Wioska wyraźnie ucierpiała od niedawnej burzy i wciąż wygrzebywała się z piasku. Pod ścianami utworzyły się wysokie wydmy, przy niektórych domach sięgające dachów. Piasek zasypał ulice. Na dachach brakowało dachówek. Czarna siatka pozostała jednak nienaruszona. To mówiło o wszystkim. Pori będzie jej strzegła dopóki będzie żyła.

Kiedy zjeżdżali na dół wśród skał, zobaczyli w końcu wieśniaków, którzy odgarniali dachówkami i łopatami piasek sprzed jednego z domów i na widok jeźdźców przerwali pracę, wołając:

- Karawana, karawana!

Na ten okrzyk wszyscy mieszkańcy wylegli z domostw.

Tofi zatrzymał karawanę przy studni, gdzie otwierał się podwójny półksiężyc domów, otaczający rozległy, piaszczysty plac.

Stała tu obłożona kamieniami studnia z korytami dla zwierząt. Nawet tak wielkiej ilości wody, która mogła utrzymać przy życiu wioskę, nie można było zostawiać pod słońcem bez osłony, by połowa jej wyparowała w upale - była na to zbyt cenna. Mieszkańcy Pori - na nizinach nazywałyby się Kais Pori - przykryli studnię piękną kamienną kopułą o ścianach grubszych, niż mogły zobrazować rozłożone ramiona mężczyzny. Kopuła chroniła wodę, dzięki czemu prawdopodobnie wielka jej ilość gromadziła się w podziemnym zbiorniku. Wlewała się do koryt dla zwierząt tylko wtedy, gdy pozwolił na to silny mężczyzna, pociągając za dźwignię.

Nie można już było utrzymać zwierząt, które wołały słodką wodę od gorzkiej i tłoczyły się i przepychały przy jeszcze pustym korycie.

Tymczasem z domu położonego najbliżej studni, domu bogatego i o wielu ścianach, wyszły władze wioski.

- Mam list! - oznajmił Tofi, który zeskoczył na ziemię ze zręcznością właściwą swemu wiekowi, wymachując zmietym kawałkiem papieru ocalonym po śmierci Obidhena. Na papierze widniała czerwona pieczęć Iii.

Władca wioski podszedł do chłopaka, wziął list i go przeczytał.

- Karawana z Oburanu! Na koszt Iii! - zawołał i machnął ręką. - Na koszt Iii, tyle wody i zapasów, ile zapragną! Otworzyć rury!

Mistrz wody stał już na swoim stanowisku, by strzec cennego towaru lub go uwolnić, i na te słowa odkręcił zawór. Z kamiennego obramowania popłynęła do kamiennych, suchych koryt woda. Silniejsze zwierzęta ruszyły do przodu, przepychając się i ciągnąc za sobą wodze, które powinny były je powstrzymać.

Piły, postępując z zadowolenia i rozpychając się, by odpędzić mniejsze zwierzęta, które usiłowały sięgnąć zza nich do wody długimi szyjami. Nie znały litości, podobnie jak ludzie na Lakht: najsilniejsi pili pierwsi.

Ze studni wciąż wypływała woda, tak że wystarczyło jej dla wszystkich zwierząt. Do przybyczy podchodziły młode dziewczęta z czarkami wody, której mogli się napić do woli - słodkiej, chłodnej wody z podziemnego zbiornika, w dobrych mosiężnych czarkach.

W końcu wszystkie zwierzęta zostały napojone i niewolnicy Tofiego odprowadzili je dalej, ciągnąc za wodze.

Kais Tain, pomyślał Marak, rozglądając się dookoła, było właśnie taką wioską... co prawda o wiele dostatniejszą; dziwne, że tu, na skraju szlaków karawan, mogła przeżyć jakakolwiek osada. Przybysze odpoczywali teraz pod płóciennym daszkiem, chłonąc orzeźwiające powietrze, które napływało od osłoniętego zielonego ogrodu.

W Kais Tain znajdował się obok krytej studni taki sam ogród jak tu; każda wioska ze studnią miała taki ogród. Woda pozostała w korytach spływała przez specjalny otwór i wpadała do wyłożonego kamieniami dołu, gdzie zbierały się odchody i cała woda zużyta przez wioskę.

Nic się nie marnowało.

Z tego bogatego, wilgotnego dołu ogrodnicy wydobywali skarb, który, zbierany przez wieki, użył dół wypełniony piaskiem i starannie gromadzoną ziemią, głęboki dół wyłożony na dnie i po bokach kamieniami oraz przykryty plecionymi siatkami o dużych okach, dla ochrony przed plugastwem powietrza.

W Pori ogród był tak stary i głęboki, że rozciągał się poza najlepsze domy, stanowiąc źródło bogactwa i dumy. Jego kamienny mur od strony studni okalały dwadzieścia cztery wysokie, niezbyt wymagające palmy, wysysając wszelką wilgoć, jaka przedostawała się przez szczeliny w kamiennym podłożu ogrodu, i odpłacając się o odpowiedniej porze roku owocami oraz włókem.

Rządząc wszystkimi, nawet urzędnikiem, który pilnował przepływu wody, na straży rury odpływowej siedziała au'it wody, stara kobieta trzymająca w dłoniach zawiązany w supły sznur, a nie pióro, jakiego używała au'it Iii. Ona mówiła, ile trzeba zapłacić za wodę. Liczyła śpiewnie węzły przepływające jej między palcami. Tyle a tyle węzłów wody odmierzonych śpiewem tak sta- g rym, jak Lakht. Tyle a tyle czerpaków wody dla ludzi. Karawana musi zapłacić, nawet będąc pod opieką Iii, a au'it niczego nie przeoczyła, nawet w panującym chaosie.

Co więcej, mając karawanę do wyżywienia na koszt Iii, sprzedawcy rozłożyli pod palmami swoje towary. Odebranie zapłaty w wyrobach może im zająć całą porę roku, lecz będą to wyroby z miasta, i pośpiech, z jakim chcieli pokazać, co mają na sprzedaż, znalazł wyraz w szaleńczym nawoływaniu.

-Pomóżcie naszemu przewodnikowi - powiedział Marak i razem z Hati, Norit i au'it dołączył do ich młodego przewodnika, bo nie zamierzali dać się oszukać, nawet na koszt Iii. Kiedy jeden z kupców zażądał oburzającej ceny za sznur z palmowego włókna, Hati pociągnęła nosem, dokładnie obejrzała sznur i cena spadła. Norit pociągnęła nosem na dość wysoką cenę maści; dzięki ledwie zauważalnym znakom rozniosła się wieść i ceny wróciły do rozsądnego poziomu.

Tofi kupił na koszt Iii po kilka suszonych owoców na drogę dla każdego, suche pieczywo i sól. Wszystko to zostało spakowane z pozostałymi zapasami.

Lecz Marak poprosił mistrza handlu o cztery srebrne pierścienie na koszt Iii i obdarował nimi po równo Norit i Hati. To była jego jedyna niedyskrecja. Nie był zaskoczony, kiedy Norit wymieniła swoje ozdoby na piękny aifad w pasiasty wzór ze wschodu Lakht i słoiczek cynobrowego różu.

Hati kupiła dwie srebrne bransolety, symbol swego honoru. Marak chciał jej kupić właśnie to lub jakąś inną biżuterię, ale z poczucia przyzwoitości poprosił też o prezent dla Norit. Tofi, kiedy o tym usłyszał, kupił po bransolecie dla swoich kobiet, Maol i Jurid. Następnie byli żołnierze pożalowali Malin, która po chwili miała dwie bransolety. Jak to się stało? - zadał sobie pytanie Marak i polecił au'it, by się dowiedziała, skąd wzięli pieniądze, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nawet strach przed Ilą nie pomógł wyjaśnić tej tajemnicy.

Po takiej rozrzutności przybyszy całe Kais Pori wydało ucztę, na którą złożyły się suszone i świeże owoce, delikatnie przyprawiony groszek oraz gotowane bulwy pływające w rzadkim sosie, co było przysmakiem, jakiego niektórzy biedacy z północnego zachodu nie próbowali nigdy w życiu.

Siedzieli na ziemi, oblizując palce z tłuszczu i zanurzając je w soli, aż mieli dosyć obu tych rzeczy. Ich au'it i au'it wody usiadły obok siebie i rozmawiały przez cały posiłek. Wieśniacy tańczyli. Tańczyli nawet szaleńcy, prostytutka i kobiety Tofiego, a wtórowały im lekkim pomrukiem antheiri i bębenki narzucające szybki rytm.

Dźwięki bębenków zmieniły się jednak w głosy, a głosy przyzywały ze wschodu. Szaleńcy raczyli się piwem, a głosy rozsadały im uszy ich imionami. Z ognia podsycanego nawozem wyrastała wizja wieży.

Potem, bezwstydnie, we własnym namiocie z uniesionymi połami, ignorując dachy wioski, Marak ułożył się ze swymi dwiema bardzo odmiennymi kobietami. Hati, z nowymi bransoletami połyskującymi srebrzyście w nikłym świetle na tle ciemnej skóry, wypuściła swoje doświadczony dłonie na wędrowkę i naprowadziła ręce Maraka tam, gdzie pragnęła ich dotyku. Norit była nieśmiała, ale krzyczała gorsząco, dopóki roześmiana Hati nie zakryła jej ust dłonią, zerkając ze skrepowaniem ku pobliskim domom.

Oczy Norit wciąż wiele mówiły, a jej całe ciało drżało i pociło się w przyplwywie namiętności. Norit kochała się mimo szaleństwa, twierdząc, że widzi lśniącą salę ze światłami i chodzących w niej ludzi.

Sam Marak widział jaskinię ze słońcami; Hati przysięgała, że widzi to samo. Głosy krzyczały do

nich razem, wołając każde z nich po imieniu; wizje mieli te same, a cały świat obsuwał się pod ich plecami ku wschodowi.

Leżeli objęci całą noc.

Au'it oznajmiła, że Malin i pewna kobieta z wioski obsługiwały rozmaitych mężczyzn i żołnierze są niezadowoleni, więc może wyjaśniła się tajemnica bransolet Malin, ale Marak dał sprawie spokój.

Wspólna przeprawa przez pustynię sprawiała, że warto było świętować życie, że mądrzy mogli okazać się głupimi, a głupcy nabrać mądrości; jeżeli dzięki temu Malin zyskała swoje bransolety, to Marak uznał, że to jej sprawa.

Lecz nocą wizje nasiliły się, a dwaj byli żołnierze, którzy przetrwali Lakht, kochankowie Malin, po prostu wyszli z wioski na wschód.

Marak dowiedział się o tym rano, kiedy wszyscy zebrali się na obfitym śniadaniu składającym się z placków i mleka. Brakowało dwóch ludzi, Malin napawała się swoją kolekcją bransolet i kiedy Marak zrozumiał, co się stało, prawie czuł, jak ci dwaj idą, idą i idą, pozbawieni wody i ogłupiali, rozgniewani na Malin, wypiwszy o wiele za dużo alkoholu poprzedniego wieczoru i być może bardziej przywiązani do Malin niż ona do nich.

- Powinniśmy zwinąć obóz i dogonić ich - rzekł Marak. Wi
zje i głosy z każdą chwilą nękały go coraz bardziej.

-Zostaw ich - powiedziała Malin: pomyliła popularność z autorytetem i bez skrępowania wypowiadała swoje zdanie.

- Mamy tu jeszcze jeden dzień - zaprotestował Tofi.

- Oni tam umrą z pragnienia - nie ustępował Marak. Zobaczył salę i postacie, tak jak mówiła Norit. Zobaczył spacerujących mężczyzn i wizja ta przesłoniła mu myśl o dwóch byłych żołnierzach: Hati powiedziała, że wszystkie wizje są takie same, a czyż całą noc nie widziały tego, co on? - Jeżeli nie zwinimy obozu teraz, oni zginą. Mają te same wizje, co my. Wołanie idzie ze wschodu. Tym razem Kassan i Foragi mają rację.

Tofi wydawał się niezadowolony, ale nawet Maol mruknęła z dziwnym wyrazem oczu:

- Na wschód.

Oplakując więc uginające się stoły wioski, zwinęli namioty, co spowodowało niechęć obu pracujących przy tym niewolników, i spakowali się o dzień wcześniej, niż zamierzali. Rozbudzili zwierzęta, które tak samo jak niewolnicy nie były jeszcze gotowe, by wyruszyć w drogę, i podniosły wielki lament i jęki. Poza tym nie dawały się złapać niewolnikom; cała wioska, co było do przewidzenia, wyległa na dwór, by przyglądać się ze śmiechem ich zmaganiom.

Hati zmarszczyła brwi, ale Norit uznała sytuację za zabawną i też się śmiała. Hati wydała ostrym głosem komendę do zatrzymania się - A'ip! - i przyłączyła się do krążących wokół siebie niewolników i beshti. Chwyliła własnego opornego wierzchowca za ramię od kantara i przyprowadziła go. Potem złapała wierzchowca Maraka i też go przyprowadziła do wtóru wiwatów gapiów, którzy sztydził z niewolników i zachęcali pozostałe zwierzęta do nieposłuszeństwa.

Au'it uroczyście pisała swoje sprawozdanie, siedząc sztywno na stercie bagażu przygotowanego do załadunku na zwierzęta.

Beshti w końcu zmęczyły się, a niewolnicy bardzo się postarali i po kolei wyłapali zbuntowane wierzchowce. Dwa z nich sprzedali władcy Pori, a umocowawszy do siodeł boczne paliki, zmienili pozostałe nadliczbowe wierzchowce w zwierzęta juczne, którym jednak nie podobały się ani bagaże ładowane im na grzbiety, ani paliki. Ryczące beshti, narzekania i wołania o to czy tamto stworzyły straszliwy zamęt.

Au'it wody odmierzała tymczasem wodę, którą napełniali wszystkie swoje bukłaki - i osobiste, i te duże, niesione przez zwierzęta. Sami uraczyli się na koszt Iii ostatnią dużą porcją słodkiej wody, a władca wioski, nie lekceważąc dobrze płacących szaleńców, dał każdemu, nawet niewolnikom, po świeżym owocu.

Była to miła niespodzianka. Tofi był jednak przygotowany i dał władcy prezent, jedno z ich pięknych słonecznych lusterek do podgrzewania owinięte w miękką skórę.

- To też policz jako zapłatę od Iii - rzekł uczciwie Marak.

- Czekamy na wasz powrót - powiedział władca Pori, skłonił się głęboko i przycisnął duże brązowe lustro do serca.

Czy wrócimy? - zapytał się w duchu Marak. Nie zadawał sobie tego pytania podczas całego pobytu w tej wiosce. Taka jest ich misja. Ale czy wrócą?

Żona władcy przekazała karawanie tobolek suszonych owoców, co też było pięknym darem, którego Marak nie zamierzał jednak zagarnąć dla siebie; teraz jednak obawiał się, że nie wyraził się tak jasno, jak zamierzał. *Marak, Marak*, mówiły głosy; Marak ujrzał jaskinię pełną słońca i wyobraził sobie, jak Kassan i Foragi schodzą po skałach, choć grozi im niebezpieczeństwo. Krew pulsowała mu szaleńczo

w skroniach, w oczach migały ogniste konstrukcje, a słodko-kwaśny smak świeżego owocu ociekającego sokiem rozpraszał uwagę. Marak machnął na pożegnanie dłonią mokrą od soku i nie wypuścił pestki, zbyt rozproszony, by coś powiedzieć czy zażartować.

Spiesz się, mówiły teraz głosy. *Spiesz się*, jakby ktoś niecierpliwie czekał. Czy wizję Kassana i Foragiego mieli też inni? A może zwykli ludzie również widzą takie rzeczy? Będąc szalonym przez całe życie, Marak nie miał o tym pojęcia.

Zwierzęta wciąż głośno protestowały, od skraju wioski do szlaku karawan i dalej, na rozpościerającej się przed nimi płaszczyźnie. Głosy nadal jednak wołały Maraka po imieniu, a w pozostałych płonął ogień. Siła wody, świeżych owoców i wypoczętych ciał nie mogła się równać z tym, co owładnęło teraz szaleńcami, a co już pokonało żołnierzy. Teraz uległa temu nawet Malin, która być może chciała zostać w Pori. Wbiegła z płaczem między budynki, a po chwili przywlokła się z powrotem, znalazła swego wierzchowca i chwyciła wodzę. Nie miał jej jednak kto pomóc wsiąść. Usiłowała zmusić beshę do kłęk, ale zwierzę tylko krążyło z rykiem.

- Niech cię diabli! - krzyknęła. Kilku wieśniaków roześmiało się, ale szaleńcom nie było wesoło.
- Czy potrzebujemy jej? - zapytała Hati w labiryncie obrazów i hałasie głosów.

Malin namówiła dwóch wieśniaków, by ją podsadzili, co skończyło się tym, że musiała znosić dotyk ich lubieżnych dłoni.

Wylądowała jednak w siodle, choć z ubraniem w nieładzie, ujęła wodzę obiema rękami i z całych sił kopnęła krnąbrne zwierzę. Wierzchowiec odrzucił głowę do tyłu i ryknął, ale Malin mocno trzymała wodzę i zawróciła go. Wieśniacy wyli ze śmiechu.

• Ruszajmy - rzekł Marak do Tofiego, który i tak był już zmieszany nagłym wyjazdem, Malin i zaginionymi żołnierzami.

- To nie jest rozsądne - powiedział chłopak. - To nie jest wyścig, orni.

Marak też tak sądził, ale wyjazd cieszył głosy. I nawet Malin nie mogła wyśliznąć się z ich uścisku.

Rozdział 9

„Gwiazdy na niebie zostały policzone i Ila zna ich imiona”.

- Księga Oburaniu

Znaleźli obu żołnierzy na stromym łupkowym zboczu, kiedy zbliżało się południe. Mężczyźni, z błędnym wzrokiem i zdezorientowani, ledwo się wlekli. Zakrawało na cud, że jeszcze żyją.

• Dokąd idziecie, głupcy? - zapytał Marak.
• Do wieży - odparł Foragi, a Kassan dodał:
• Do jaskini.
• Dajcie im wody - polecił Marak. - Sprawiają wrażenie wystarczająco żywych, by ich uratować.
• Rosną nam w oczach różne rzeczy! - zawołał jeden z uciekinierów. Było to aż nadto prawdziwe: znał to uczucie Marak i wszyscy szaleńcy; czasami ogniste linie zdawały się rozmnażać, przyciągać uwagę, coraz bardziej narastać.

Szaleńcy przyprowadzili swoim towarzyszom niedoli osiodłane wierzchowce, ale było zbyt stromo, by ich dosiąść, a rośli mężczyźni byli zbyt ciężcy, by ich podsadzić na takiej stromiznie. Obaj żołnierze musieli zejść na dół.

• Możemy się obejść bez tych ludzi - powiedział cicho Tofi, kiedy karawana ruszyła dalej. - Przede wszystkim możemy się obejść bez tej kobiety. Oni wywołują niesnaski. W każdej karawanie zawsze się znajdzie ktoś taki.

• To prawda - przytaknął Marak. - Ale bez ich złego przykładu głupcem musiałby być ktoś inny, czyż nie?

Tofi roześmiał się niepewnie i zastanawiał się nad tym przez całą drogę po łupkowym zboczu.

Zanim zjechali na dół, nastąpiło południe, a Foragi rozciął sobie but na ostrej skale i rozkrwawił stopę. Nie wróżyło to niczego dobrego. Tofi był nie w humorze i tym razem Marak się z nim zgadzał.

• Nie powinniśmy tutaj stawać na popas - stwierdził Tofi. - Powinniśmy zabandażować ranę, wsadzić tego durnia na wierzchowca i jechać jeszcze godzinę.

• Tak zrobimy - rzekł Marak, doskonale zdając sobie sprawę z powodów takiej decyzji. Sam wydobyl zestaw leków, osuszył ranę proszkami i zabandażował ją, po czym wyczyścił but piaskiem i płynem do wcierania. Au'it zapisała odzyskanie mężczyzn i zabieg.

Tymczasem wszyscy prażyli się na słońcu, a wierzchowce stawały się coraz bardziej rozdrażnione;

nim zdążyli wyruszyć, kilka zwierząt jucznym usiadło na ziemi i wstało dopiero wtedy, kiedy zdjęto im z grzbietów ładunek. Potem trzeba było je znów objuczyć, a wszystko to do wtóru gniewnych, pełnych zniecierpliwienia pomruków.

Znajdowali się na skraju kamienistej równiny, rozciągającej się poniżej wysoczyzn Lakht, pokrytej odłamkami łupków. Wiatr nie ustający ani na chwilę przemieszczał piasek zawsze w tym samym kierunku, wielkimi czerwonymi falami popstrzo-nymi czernią. Nie było łatwej drogi przez równinę. Zwierzęta się niepokoiły. Ludzie narzekali.

Tofi przyznał, że nie ma pojęcia, dokąd mają się udać po osiągnięciu Pori, ale że gwiazda Kop wciąż będzie wskazywała wschód.

- Mamy tylko wschód - wyznał Marak dwie godziny później, w piekielnym upale nieruchomego popołudnia, Hati, Norit, au'it i z konieczności ludziom, z którymi dzielił namiot. - Wschód.

Nie wiem, co teraz robić innego.

Od czasu południowych wydarzeń załował, że opuścili Pori. Skoro odnaleźli żołnierzy żywych, choćby nawet mieli ich stracić następnej nocy, pośpiech przy wyruszeniu w drogę wydawał mu się teraz niemądry. Utracili już parę osób. Krawiec Proffa był wspaniałym człowiekiem, wartym dziesięciu takich jak ci dwaj. Maraka nękała jednak podświadoma konieczność pośpiechu. Widział ją u żołnierzy. Widział, jak rośnie u innych. Kiedy władzę przejmował ten imperatyw, znikał zdrowy rozsądek. W oczach Maraka powstawały konstrukcje. Tworzyły litery. *Spiesz się, mówily- Nie ociągaj się.*

Płoneły, przesłaniając świat

- Widzę słowa - przyznał się Hati.

- Jak możesz widzieć słowa?

- Widzę je. Jak au'it. Potrafię czytać. Spóźniliśmy się na coś. Musimy się śpieszyć. Nie wiem dlaczego. Żołnierze wiedzieli. Może też potrafia czytać, chociaż wątpiłbym w to.

Au'it zapisywała dla Iii wszystko, co mówili.

- Widzę chodzących ludzi - powiedział garncarz Kosul, który siedział nieopodal; Maraka uderzyło, że dokładnie to samo mówiła NoriL - Chcą nas wszystkich.

- Ludzie w wieży nas chcą - rzekła Norit podczas tej narady równych, którą urządzili sobie w namiocie. - Nie wiem dlaczego.

Wszyscy jej przytaknęli.

A kto powiedział, że w wieży są jacyś ludzie? Teraz jednak wszyscy w to wierzyli i wszyscy się zgadzali. Marak nie miał pojęcia, czy żołnierze potrafia czytać. Wybrali cień drugiego namiotu, wolać towarzystwo Maol, Tofiego i niewolników, którzy nimi gardzili, a nade wszystko Malin, która nie zbliżała się do Hati. Były rozstawione tylko dwa namioty.

Marak czuł mrowienie całej skóry. Chciał wstać i wyprzeć się wszelkich związków z pozostałymi wędrowcami.

Mimo to miał narastające wrażenie nie tylko zagrożenia pędzącego ku nim ze wszystkich stron świata, ale i schronienia, do którego zdążają, schronienia leżącego w sercu nękającej ich tajemnicy, schronienia, do którego muszą szybko dotrzeć, bo inaczej zginą.

Zadrzał; drzenie przeszło na Norit i Hati, a po chwili drżeli prawie wszyscy zgromadzeni w namiocie.

I naraz, bez najmniejszego powodu, Marak - a może też i pozostali - ujrzał jaskinię pełną słońc, a między nimi poruszające się cienie jakichś postaci. W polu jego widzenia rysowały się płomienistymi liniami ogniste konstrukcje.

Krzyknął. Zacisnął dłonie i ujrzał przed sobą drzwi, które poruszyły się, nie dotknięte niczyją ręką, jak drzwi Iii, ale o tym, co znajduje się za tymi drzwiami, nie wiedział nic i nie chciał wiedzieć.

Jeden z mężczyzn wrzasnął i padł na ziemię w napadzie szaleństwa.

- Widzę duchy! - zawołał. - Bóg! Bóg! Chroń nas, Ila, i wstaw się za nami! Widzę boga!

Ciało Maraka ogarnęła gorączka, przyspieszając bicie jego serca i rozbrzmiewając mu rykiem w uszach.

Marak, odezwał się pojedynczy głos, domagając się jego uwagi, i Marak usiłował się skupić, ale załapała go fala obrazów. Z drugiego namiotu dobiegły piski i krzyki.

Wieża, jaskinia i gwiazda, a każda z nich otwarła się i ukazała wnętrza pełne przemieszanych konstrukcji, kształtów, form i światła. Ściany były ze światła i ognia. Konstrukcje miały smak. Dźwięki rozbrzmiewały fakturą szorstkiego piasku.

Marak krzyknął. Zerwał się i znalazł coś, na czym mógłby się wesprzeć, gładką solidność namiotowego masztu, stanowiącego dowód na to, gdzie Marak się znajduje. Oparł o niego głowę i

trwał tak przez dłuższy czas, nie śmiejąc się poruszyć, dopóki wizje nie ustały.

Wróciła gorączka, jakby otrzymał ranę; a kiedy rozjaśnił mu się wzrok, zobaczył, że Norit zacisnęła ręce na brzuchu, a Hati spłotła dłonie przed ustami, patrząc w nicość.

Wyrwali się na pustkowia jak nowicjusze, znaleźli zaginionych, a teraz za to płacą.

W takim stanie zastał ich Tofi. Niektórzy leżeli miotani atakami, inni spokojnie wpatrzni w sufit.

- Co się stało? - zawołał Tofi i zaczął wycofywać się spod cienia namiotu, jakby w strachu o własne życie. Być może wszyscy znajdowali się w takim stanie, ale było to przerażające.

Marakowi udało się unieść głowę.

- Odpoczywamy - rzekł. - Tylko odpoczywamy. Czy już czas wyruszać?

Marak! Wrzasnęły na niego głosy, potrząsnęły nim, rozkołysały wściekle światła. *Spiesz się, spiesz się, spiesz się!*

- Czas - odparł ze strachem Tofi, na pewno tęskniąc za Pori, bezpiecznym schronieniem i normalnymi ludźmi.

Marak postawił Hati na nogi, zobaczył pustkę w jej oczach i potrząsnął nią.

- Obudź się. Obudź. Będiesz spała w siodle.

Z raz obranej drogi nie mógł ich zawrócić ojciec, matka, siostra, żona, kochanka. Przez całe życie jeden cel, jedna potrzeba. Na wschód. Na wschód. Na wschód, tam gdzie zaczyna się słońce.

Marak postawił na nogi też Norit. Au'it i Tofi obudzili pozostałych; zaczęto wyciągać paliki i składać namioty.

Okazało się, że Malin i żołnierze zniknęli, po prostu poszli dalej, kiedy pozostałych ogarnęło szaleństwo, i nikt tego nie zauważył, dopóki wszyscy nie znaleźli się w siodłach i dwa wierzchowce okazały się bezpieczne. Tak więc cały pośpiech, z jakim opuścili Pori, poszedł na marne. Nikomu zbyt nie zależało na trójce głupców bardziej szalonych od reszty.

Marakowi jednak zależało. Za wydmami teren się obniżał; suchy, popękany łupek pokrywał czarną skałę, która po południu tak się rozgrzewała, że parzyła ludziom stopy, a zwierzęta nie znosiły takiego podłoża. Gorąco dawało im się we znaki mimo ich grubych podeszew, a długie, cienkie nogi wcale nie ułatwiały ześlizgów.

Co więcej, na łupku zaczęła się pojawiać krew, a niebo ku ciemniejącemu wschodowi pstrzyły złowrogie punkciki plugastwa.

Podążali za trójgłupców. Czegóż mieli się spodziewać?

A głosy wciąż ponaglały: *prędzej! prędzej! prędzej!* Wieża rosła i horyzont płonął.

- Zostawiają krew - rzekła Hati, znajdująca się na stoku powyżej Maraka. - To nie jest bezpieczne.
- A co jest? - zapytał z dołu Tofi z niespokojnym śmiechem. Znajdowali się na strumiźnie i każdy krok wierzchowców wywoływał lawinę popękanych płytek. - Co było bezpieczne?

Ledwie to powiedziała, przemknęła obok nich z głośnym szumem ciemna chmura pyłu i łupków, a wierzchowce zaryczały i odskoczyły w kaskadzie skalnych ułamków.

Jedno ze zwierząt jucnych upadło wraz ze swoim ładunkiem, zsuwając się na sam dół stoku.

Rzucało się, ryczało i nie mogło

wstać, stanowiąc przykład tego, co może się stać po niewłaściwym postawieniu nogi.

Kiedy wreszcie pokonali długie zbocze i mogli się zająć zwierzęciem, okazało się, że ma połamane kości i trzeba je zabić. Zrobił to szybkim ciosem Bosginde, po czym przysypał przesiąkniętą krwią łupki kilkoma łopatami z trudem nagarniętego suchego piasku.

Bukłaki z wodą nie popękały. Nie utracili niczego prócz długich palików do namiotu, które, wyraźnie widoczne, leżały wysoko na niepewnym stoku, ale Tofi zdecydował, by nikogo tam nie posyłać, bez względu na ich wartość.

- Możemy pokrajać zwierzę na mięso - podpowiedział garncarz. - Możemy wziąć najlepsze kawałki.

- Nie - zaoponowała gwałtownie Hati. - Zostawcie wszystko. Zostawcie cały sprzęt. Ruszajmy. Być może ocaliliśmy tych troje głupców, ale jeżeli będziemy stać i się gapić, sami możemy zginąć!

Wiatr niósł ze sobą niepokój. Tofi kazał niewolnikom rozdzielić pakunki i czym prędzej ruszać.

Mimo to, zanim jeszcze umocowano bagaże, wśród skał pojawili się pierwsi przedstawiciele pełzającego plugastwa.

- Co to jest? - zapytała Norii, rozglądając się dookoła. Wśród skał rozlegało się skrobanie, odgłosy gwałtownej walki. - Co to takiego?

- Uczta na pustyni przyciąga zbyt wielu gości - rzekł Marak. Podążali za śladami krwi. Posoka wyciekająca z ran zwierzęcia jucznego sprawiła, że przesiąkli wonią surowego mięsa. Pustynny wiatr unosił ten zapach daleko ze sobą, przez co potrafił go wyczuć nawet człowiek. Gdyby zebrali się

padlinożercy, trzymanie przy sobie pakunków, na których mogłaby się znajdować krew, było ryzykowne.

Prędeż, mówily do Maraka głosy, żadnych opóźnień. Żadnego czekania.

Burza zapewne zapędziła plugastwo do kryjówek i zmusiła do postu, a zmiany w terenie wygnały najmniejsze gatunki z ich siedzib. Być może burza spowodowała zakłócenia wszędzie na swej drodze i droga ta przyjęła w zakamarkach umysłu Maraka

kształt w taki sam sposób, w jaki kształt burzy pojawiał się w wizjach. Wyczuwał u krążących drapieżników rozpacz. Wyzwał siebie samego od głupców za to, że nie przewidział, iż Foragi mógł już stracić rozum.

Przysłowie mówiło, że nie trzeba się bać najsilniejszego zwierzęcia na Lakht. Najsilniejsze zabierze truchło. Zbierały się też jednak słabe, i one mogły wybrać tylko to, co im zostało. Marak zauważył, że na niebie gromadzi się dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści sztuk plugastwa.

- Pośpieszcie się - rzekł Tofi do niewolników pracujących przy bagażach. - Jeśli zaatakuje nas plugastwo, będziecie pierwsi, i to na ziemi. Ruszać się, przeklętnicy!

Przy truchle zwierzęcia, leżącym w odległości zaledwie rzutu kamieniem, pojawili się pierwsi przedstawiciele latającego i pełzającego plugastwa i zaczęli szarpać mięso. Następni ześliznęli się po zboczu w deszczu łupkowych ułomków.

Najpierw przybyło plugastwo szybkie i gotowe na wszystko. Nie było najsilniejsze, tylko najwcześniejsze, stanowiąc zapowiedź tego, co przyjdzie później. Z groźnymi pomrukami wgrzyzało się w mięso, a w powietrzu narastała woń krwi, a potem trzewi.

- Pośpieszcie się! - przynagliła Hati.

- A'ip! - wrzasnął Tofi. - Jai! A'ip!

Zwierzęta, przy których pracowali niewolnicy, drżały, ale stały spokojnie.

Na ziemi siadało coraz więcej latającego plugastwa.

A rzut oka na okolicę ujawnił ukradkowy, nie dający się umiejscowić ruch, jakby ożyła sama ziemia.

Marak dopilnował, by Norit dosiadła wierzchowca, i zaczekał, by pomóc kobietom Tofiego, podczas gdy ten popędzał niewolników. Osan wstał.

Marak nie chciał opóźnić wymarszu, każąc mu z powrotem uklęknąć. Ujął wodzę, podskoczył i chwycił się za siodło, wciągając się na nie samą siłą rąk, dopóki nie wsunął stopy w pętlę ułatwiającą wsiadanie. Osan ruszył z miejsca, zanim Marak wylądował w siodle i oparł stopę o szyję zwierzęcia. Tofi wdrapał się na wierzchowca, niewolnicy dosiedli swoich z rozpaczliwym pośpiechem; zwierzęta juczne, przywiązane jedno za drugim, usiłowały ruszyć z miejsca wszystkie naraz.

Osan przyspieszył kroku, strzygąc nerwowo uszami i kładąc je płasko, kiedy poczuł niepokojącą woń. Zwierzęta wiedziały to, co wiedzieli nomadzi Lakht i co przepowiedziała Hati. Sam Marak nigdy nie widział zgromadzenia plugastwa... tylko nieliczni z przemierzających Lakht widzieli je i przeżyli.

Zwierzęta przyspieszyły kroku, stąpając na oślep i miażdżąc drobne plugastwo, które akurat znalazło się na ich drodze, stworzenia niewiele większe od dłoni. Taka była skala zgromadzenia; inne stworzenia zwracały się w kierunku tego nowego zapachu śmierci, natychmiast zaczynając pożerać trupa, gryząc i drąc pazurami inne stwory.

To, co było rozgniecionym wielonogiem, w jednej chwili zmieniło się we wciąż rosnącą kulę wielkości pięści, na którą składali się rozgorączkowany biesiadnicy.

Taki głód, pomyślał Marak, tylko o jakiś dzień drogi od bogatej oazy Pori. Burza zmieniła go w szaleństwo innego rodzaju, w naturalny szal.

Beshiti osiągnęły w biegu prędkość marszową, krok trudny dla nienawykłych jeźdźców, który niewiele się różnił od dzikiego pędu, kiedy to słabi jeźdźcy mogli pospadać z siodła. Marak powstrzymał Osana i przeciął drogę ludziom Tofiego, którzy właśnie zamierzali wyrwać do przodu.

- Nie zmęczcie ich - powiedział ostrym tonem. Hati wyjechała na przód z tą samą radą, co zdusiło w zarodku chęć ucieczki. Do piasku, który już się nie ruszał, dotarli w umiarkowanym tempie.

Wtedy uznali, że naprawdę uciekli i że mają szczęście.

Nie dogonili Malin i byłych żołnierzy.

Nie rozbili też w południe obozu. Jechali dalej z krótkimi przerwami na odpoczynek, jedząc po drodze nieco suszonych owoców i popijając je odrobiną wody, znosząc palące słońce. Nawet zwierzęta nie protestowały. Odległość od kłębówiska plugastwa wciąż wydawała się im niebezpiecznie mała; zwierzęta wciąż były płochliwe, ale jechali całe popołudnie.

Wtedy zatrzymali się na skrócony odpoczynek, nie rozbijając namiotów i leżąc na matach, dopóki nie pokazały się gwiazdy.

Gdzieś daleko zawył jakiś łowca; większość nieruchomych postaci w zaimprovizowanym obozie

poruszyła się i zwróciła ku horyzontowi, skąd dobiegał dźwięk.

Zwierzęta zrobiły to samo, unosząc głowy.

Marak widział tylko płaską, niekończącą się, omiataną wiatrem ziemię.

Z powrotem opuścił głowę, zdając się na zwierzęta, które na pewno podniosą alarm, jeżeli niebezpieczeństwo się zbliży. Głosy wciąż go poganiały, prosiły: *Śpiesz się, śpiesz się, śpiesz się!* i o odpoczynek było trudno.

Tej nocy wiatr niósł ze sobą strach. Wieża budowała się, a w jej wnętrzu znajdowała się jaskinia ze słońcami; głosy wciąż się mnożyły.

Wtem naszło Maraka przedziwne uczucie, że powinien wstać, wsiąść na swego wierzchowca i jechać dalej.

Niektórzy ze śpiących szaleńców też usiedli. Hati wstała, a za nią Norit, która ukryła głowę w dłoniach i potrząsała nią, być może odrzucając wizję, a może tylko dlatego, że była niewymownie zmęczona.

Same zwierzęta, jako że nie były szalone, nie mogły utrzymać takiego tempa. Jednak, mimo że szaleńcy mieli za sobą dzień pełen strachu i przerażenia, teraz wstawali, niepomni na nic, ogarnięci pragnieniem dotarcia do celu, które sprawiało, że ludzie szli na spotkanie-śmięci.

Malin i żołnierze byli pierwszymi z nich.

- Nie - rzekł Marak. Poszedł do stojących, chwycił dwie osoby za ręce i potrząsnął nimi. - Ocknijcie się. Nie idźcie piechotą jak Malin i Kassan. Widzieliście, co się stało z naszym zwierzęciem. Wiecie, co się stało z tymi, którzy nas opuścili. Wyruszymy za kilka godzin. Ale nie dwójkami i trójkami jak głupcy! Posłuchajcie mnie!

Usłyszały go dwie osoby. Sadownik ruszył z miejsca, za nim garncarz.

Marak złapał sadownika i powalił go na ziemię ciosem pięści. Dogonił garncarza, drobniejszego mężczyznę, i zrobił to samo. Garncarz padł nieprzytomny i tak się zakończyła jego nocna eskapada.

Sadownik siedział, obmacując sobie zakrwawioną wargę i coś mrucząc pod nosem, ale na tyle otrzeźwiony przez ból ułamanego zęba, żeby uznać się za głupca.

Marak wrócił z bolącą ręką i usiadł, ssąc rozcięty knykięć.

• Zostaw ich - powiedziała Hati.

• Po co się nimi przejmujesz? - zapytała Norit. - Po co miałby się przejmować ktokolwiek z nas?

Pozostałych ogarniała obojętność, następowało rozluźnienie spajających ich więzów, zanik rozsądku i opanowania.

- Bo powinniśmy się przejmować! - odparł Marak. - Bo kiedy przyprawiono nas z wiosek, staliśmy się zwierzętami. Nie chcę być już więcej zwierzęciem. I nie będę. Niech będą przeklęte te wizje! Może nie dotrą do wieży i niech wszyscy oni będą przeklęci. To jest moja decyzja! To się stało moją decyzją i może nie wybiorę tego, co chcą, żeby wybrać!

Hati zastanowiła się nad tym. A wizje, przynajmniej te prześladowujące Maraka, uspokoiły się.

Wydawało się, że szaleństwo opuściło na chwilę wszystkich.

• To nasza decyzja - powtórzyła Hati za Marakiem. - Potrafię ją podjąć. Zdecyduję sama.

• Nie ma sensu umierać, zanim dowiemy się, czego szukamy, prawda? - powiedziała Norit.

• Nie ma - przytaknął Marak.

Przytulili obie do siebie, Hati do swego boku, a Norit do kolan. Odkąd wyruszyli z Pori nie było w nich ognia. Przez te kilka dni szybko traciły siły. Wydarzenia toczyły się z bezsensownym pośpiechem i Marak napomniął samego siebie, że nie jest sam, że trzyma w swoich rękach życie wielu ludzi i że nie może podejmować takich decyzji, jak Kassan.

Mimo wszystko w ciągu godziny znów osiedlili wierzchowce i ruszyli dalej, ale rozsądnie, by wykorzystać chłód nocy, póki trwał, i zatrzymać się ponownie tam, gdzie przewidywał ich początkowy plan. Kiedy zrobiło się jasno, jechali dalej i mimo że ułamany ząb pozostał ułamany, wargi sadownika wyglądały na zagojone. Co więcej, sadownik i garncarz znów się kłócili i wyzywali od głupców, a cała karawana wydawała się być w lepszym humorze.

Słońce stało w zenicie, rozbili więc namioty dokładnie tak, jak powinni, na piaszczystej równinie. Wciąż znajdowali się na szlaku burzy: szczątki palm włóknistych rosnących w oazie, znalezione w miejscu, gdzie nie rosły żadne drzewa, dowodziły, jak bardzo daleko wiatr zaniósł to, co udało mu się porwać. Szczątki pochodziły prawdopodobnie z oazy w Pori. Zwykle herbatę podgrzewali na słońcu, teraz jako paliwa użyli palmowych włókien i ugotowali doskonałą owsiankę z przyprawami i dodatkowym posmakiem dymu.

Jednak po południu, zanim zdążyli zwinąć obóz i bezpiecznie złożyć namioty, znów zbudził się wiatr. Dawał ochłodę po upalnym dniu, ale jego porywy uderzały w ludzi i przysparzały im pracy przy

namiotach.

Z nastaniem wieczoru wiatr przybrał na sile. Suchy i gorący, przenikał do kości, wzbijał tumany pyłu i sprawił, że następnego dnia w południe zaczęli się poważnie zastanawiać nad użyciem długich palików, gdyby mieli rozbijać namioty.

- To zaledwie kilka porywów - powiedział Marak, kiedy Tofi się zawahał, bojąc się, by źle nie ocenić pogody. Poczucie, że nie powinni się zatrzymywać, było tak przemożne, że Maraka aż swędziała skóra. - Owińmy się matami. Możemy się obyć bez namiotów.

-Nie, omi. Jeśli źle ocenimy sytuację, zginiemy. Musimy rozbić namioty.

Marak wiedział lepiej. Tak jak przedtem znał siłę burzy, teraz znał siłę tego wiatru, więc Hati go poparła i poparło wielu innych szaleńców. Wszyscy szemrali - nikomu nie podobało się to opóźnienie. Wizje pojawiały się i znikaly, ale szaleństwo wołało: *na wschód, na wschód, na wschód!* Pojawił się gniew i chmurne miny. Tofi rozłożył szeroko ręce i krzyknął:

- Dobrze już, dobrze, nie użyjemy długich palików i niech bóg zmiłuje się nad nami!

Rozstawili dwa namioty, które wydymały się i szarpały, jakby żyły własnym życiem, pod osłoną niskiego wzgórza leżącego niejako między nimi i wiatrem. Zwierzęta zajęły się spokojnie swoim południowym posiłkiem, szaleńcy i zdrowi na umyśle ludzie zjedli suszone owoce i trochę zbożowych placków.

Marak, przemówiły głosy. Odzywały się codziennie w południe. Przemówiły do Maol, kobiety Tofiego, która stała w pyli-stym południowym słońcu, chwiejąc się na silnym wietrze. Zapomniała o Tofim, zapomniała, kim sama jest. Norit obserwowała ją, śpiewając do siebie i przesuując między palcami skraj swej szaty, jakby z jakiegoś powodu była to ważna czynność.

Wszyscy sprawiali wrażenie otepiałych. Kiedy pojawiały się wizje, znikaly siły: z każdą cząsteczką wilgoci oddawaną wiatrowi namiętności opadały i wyparowywały.

Norit śpiewała o wodzie, o strumieniu i utraconej miłości, a jej czasami dziecinny głos niósł się z wiatrem. Maol chwiała się, jakby tańcząc do tej muzyki.

Marak!

Spojrzał w górę z mocno bijącym sercem. Nagle bardziej niż żyć zapragnął wstać i ruszyć ku temu wezwaniu.

Zamiast tego z rozmysłem wtulił podbródek w ochronne zwoje aifadu i zaczął wodzić palcami po szwie buta, zatracając się we wzorku. Hati, podobnie opatulona, opierała się o jego ramię. Tuż obok siedziała i chwiała się Norit, a nieco dalej spała au'it, oczy i uszy Iii, przebywająca w towarzystwie szaleńców, którzy myśleli jedynie o zagubieniu się na pustyni i staniu się pożywieniem dla łowców.

Marak!

Teraz wstał bezmyślnie. Podobnie Hati, Norit i wszyscy szaleńcy. Spał tylko Tofi, niewolnicy i au'it.

Serce Maraka biło bardzo szybko. Nie, powiedział sam sobie. Nie! Lecz głosy ponaglały.

Hati ruszyła z miejsca. Marak wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, i chwycił Norit, kiedy go mijała. W powietrze zaczął się wznosić pył. Zasłaniał cały horyzont.

A w tym kłębiącym się pyle stał duch, zjawa, fatamorgana bez słońca, jakaś postać.

Wyglądała jak mężczyzna w grubych, przejrzystych szatach w kolorach piasku.

Nie był to członek żadnego plemienia. Tam, gdzie stał, pojawiła się w oczach Maraka wizja wieży. I zniknęła.

Marak zamrugał, zamieniając wszechobecny pył w łzy, i oparł się chęci otarcia ich, by nie zatrzeć oczu. Nieco mniejsza siła wiatru pozwoliła mu znów dostrzec tajemniczą sylwetkę.

Hati pokazała palcem. Widziała to samo. Norit stała blisko Maraka, przyciśnięta mocno do jego boku, a zjawa cały czas szła w dół stoku, stając się coraz wyraźniejsza.

- Nie pochodzi z żadnego znanego mi plemienia - stwierdziła Hati.

W ustach an'i Keran brzmiało to nadzwyczajnie. Keran byli panami Lakht, a istniało wiele sposobów rozróżniania plemion: znajomość tych różnic stanowiła kwestię życia i śmierci.

Nieznajomy śmiało kroczył w ich stronę, co też było nadzwyczajne - oraz złowróbnne.

- Możemy być bandytami - rzekł Marak. - Nie mamy żadnego wyglądu. I nie jesteśmy członkami żadnego plemienia.

Mężczyzna był ufny... albo za tym wzgórzem znajdowali się jego towarzysze.

Jego zbliżaniu się towarzyszył jednak zgiełk głosów. *Na wschód, na wschód, na wschód* zmieniło się w *tutaj. Teraz. To miejsce. Ten człowiek*. Serce Maraka waliło jak kowalski młot.

Mimo duszącego pyłu Marak odsłonił twarz w geście wiejskiej życzliwości; uniosł rękę na znak pokojowych zamiarów, a zjawa czy też mężczyzna, czy cokolwiek to mogło być, podobnie uniosła prawą rękę i weszła do obozu.

Wszyscy szaleńcy już stali i teraz cofnęli się przed tym gościem, nie daleko, ale na wystarczającą odległość.

• Togin, Kosul, Kofan, Ontori, Edan. - Gość wymienił ich imiona, jakby je znał od zawsze. - Marak, Hati, Norit. - Mężczyzna spowity w materiał ciągnął uroczyste wyliczanie, zwracając się do wszystkich po kolei.

• Tofi - to imię wymienił jako jedno z ostatnich. Nie zapomniał nawet o niewolnikach. - Bosginde i Mogar. I nie najmniej ważna au'it.

To jedyne imię pozostawało tajemnicą, jako że au'it nigdy go nie wyjawiała. Obudziła się, sięgnęła po swe przybory i, wytrącona przez tę zjawę z odpoczynku w piaskowej burzy, splunęła na kostkę tuszu i zaczęła pisać.

-Kim jesteś? - zapytał Marak. Gość ujawnił swą potęgę i znajomość ich imion, ale nie wyjawił nic z własnej natury. To niekoniecznie musiało oznaczać przyjazne zamiary. - Skąd pochodzisz?

- Mam na imię łan. - Gość uniosł rękę i odsłonił twarz. - A co do tego, skąd pochodzę, z wiatru i powietrza pochodzę, i z pustki za wiatrem.

To znaczy z ziemi duchów, jak by powiedzieli kapłani. Wielu wieśniaków nakreśliło w powietrzu znak błogosławieństwa; słowa mężczyzny nikogo nie uspokoiły, ale Marak nie zamierzał paść na twarz, by uratować życie, ani wierzyć temu człowiekowi tylko dlatego, że cytował pisma. Przybyłem na wschód, po tym wszystkim i po tak długim czasie, i to ma być odpowiedź? - zadawał sobie pytanie Marak. Ten arogancki mężczyzna z pomysłowymi zagadkami i odniesieniami do zabobonów?

A gdyby był samym bogiem, zapytał się w duchu Marak, to czy kulilby się przed pyłem i uderzeniami wiatru?

I gdyby był duchem albo bogiem, to czy łzawiłyby mu oczy?

Marak uznał, że nie.

I czy ten cały łan oznacza koniec jego wizji i całego szaleństwa?

Czy to już wszystko?

Marak zaczerpnął głęboko tchu i założył ręce na piersiach; nogi miał szeroko rozstawione, nie zamierzając nigdzie się ruszać.

- Czego chcesz? - zapytał bez ogródek łana.

Pomyślał, że nie zostało to mile przyjęte, ponieważ przybysz popatrzył na niego, długo i twardo, wcale nie zadowolony. Mógłby być jakąś ciekawostką, chwilową przeszkodą, obiektem przemijającego i pogardzanego zainteresowania.

• Ciebie - rzekł łan. - Ciebie. Maraka Trina Taina. - Przeszedł obok Maraka, spojrział na niego, po czym przyjrzał się ciekawie po kolei Norit i Hati. - One są z tobą.

• Tak - odparł Marak.

• Wy troje - powiedział łan. - Chodźcie ze mną. Reszta zostaje w obozie. Dostaniecie wszystko, czego wam trzeba.

Marak chciał zaprotestować, wyzywająco zaprotestować. *Marak, Marak, Marak*, poprosiły głosy. *Chodź.*

Jego szaleństwo zostało ukierunkowane i zaczęło skłaniać się ku temu człowiekowi, ku temu obcemu. Mógłby pobiec, krzycząc do słońca, kręcić się w kółko jak Maol. *Maralc, Marak, Ma-rak*, ogłuszało go wołanie, któremu towarzyszyły obrazy jego minionych eskapad wśród wzgórz, konfrontacji z ojcem, odejścia od wszystkiego, co znał... a także wiewatów armii i rozciągniętego, nierównego szeregu szaleńców.

Marak!

Nie robi nic, absolutnie nic, by ulec swemu szaleństwu. Nie pozwalała mu na to duma. Drżąc, zebrał siły; wiedział, że nie uda mu się odejść z pogardą i oprzeć się przyciąganiu wschodu, nie upadając.

- Chodź - rzekł łan. - Chodź.

W końcu, co rzadko się przytrafiało Marakowi, przyciąganie przez wschód zakłóciło jego równowagę i Marak bał się, że jeśli będzie mu się opierał, zostanie rzucony na ziemię. Poza tym łan proponował mu odpowiedzi, a wielokrotnym zaproszeniem wyświadczał grzeczność. Niechętnie, z oporem zaczął iść, z Hali i Norit u boku: przynajmniej mógł mieć na nie oko.

Po chwili jednak zdał sobie sprawę z obecności kogoś jeszcze, z czyichś miękkih kroków na piasku.

łan odwrócił się i rzucił szorstko:

- Powiedziałem: wy troje.

Marak też się odwrócił i zobaczył au'it; z szeroko rozwartymi oczyma i zaciśniętymi ustami przyciskała swą księgę do piersi i nie zamierzała się cofnąć.

- To au'it Iii - wyjaśnił Marak. - Ma rozkaz iść tam, gdzie ja.

- Czyj rozkaz? -Iii.

- Rozkazy Iii nie mają tu żadnej wagi - rzekł łan.

- Dla mnie mają. - Zatrzymali się na nagim wzgórzu, gdzie ich ubraniami szarpał wiatr, a grubsze ziarenka piasku kłuły odsłoniętą skórę. Ten sam wiatr niósł ze sobą zapach lana, dziwny zapach, jak rozgrzanego słońcem materiału, jak żywych roślin. - Wszyscy tu jesteście szaleni z wyjątkiem młodego przewodnika, dwóch niewolników i au'it. Mamy wizję i słyszymy głosy. A ty?

Łan patrzył na niego przez bardzo długą chwilę, jakby oceniał go dwa, trzy razy i otrzymany wynik niezbyt go zadowalał. Był dziwnym człowiekiem, dziwnie pachnącym, opalonym, z pasemkami jasnych włosów wymykających się na wietrze spod zawoju na głowie i z wąskimi oczyma o ciężkich powiekach. Marak nigdy jeszcze nie widział włosów tak wypłowiałych na słońcu i nigdy nie widział zielonych oczu, zielonych jak stojąca woda. Szaty koloru piasku były wykonane z materiału tak delikatnego, jak ten widziany na dworze Iii, a składały się z wielu kawałków różnej długości, tak że wydymały się i trzepotały na wietrze, lekkie jak pył.

Taki materiał świadczył o bogactwie. Taki materiał świadczył o potędze.

A to, że nie docierały tu rozkazy Iii, nie przekonało Maraka, by zaufał temu łanowi, mimo że uszy pękały mu od wrzawy głosów, a serce podpowiadało, że po tych wszystkich przejściach to jest właśnie cel podróży. Ila rządziła wszystkim. W Kais Tain mogli mówić, że jej rządy nie rozciągają się na nich, ale nigdy nie okazywali braku poszanowania au'it.

- Chodźcie - odezwał się łan, przechodząc nad obecnością au'it do porządku dziennego i nie zwracając na nią uwagi, i poprowadził ich dalej, przez niską wydmy. Potem szli kawałek po śladach lana - zostawiał ślady jak człowiek - w stronę grzbietu z piaskowca, a kiedy go osiągnęli, posuwali się przez dłuższy czas wzdłuż niego na południe.

Idź z łanem, mówiły głosy. Zaufaj mu. To jest właściwe miejsce. To jest nareszcie właściwe miejsce.

Pragnienie i głosy narastały, pokonując rozsądek, upał i suchość w ustach. Członki odczuwały jednak znużenie. Stopy bolały i ocierały się do krwi. Au'it, niosąca ciężką księgę, zostawała w tyle, a Norit się potykała.

Łan nie zwalniał.

-Jeżeli mamy iść całe popołudnie, to mogliśmy osiodłać wierzchowce - rzekł z rozdrażnieniem Marak, pomagając Norit.

Łan odwrócił się i przez dłuższą chwilę wbijał w niego wzrok, może w próbie siły woli.

Marakowi przyszło w tej chwili na myśl, że może łan słyszy własne głosy.

- Już niedaleko - powiedział łan i poprowadził ich, już wolniej, na następne wzniesienie.

Bardzo daleko przed nimi, przesłonięta chmurami pyłu, wznosiła się wieżyca, wyrastająca z płaskiej pustyni w miarę wznoszenia się terenu. Było to coś nienormalnego, a jednak znajomego, tak bardzo znajomego, że Marakowi przebiegły po kręgosłupie ciarki.

Hati dotknęła jego ręki, zatrzymała się na chwilę i wyszeptała:

- Iglica.

- Wieża - powiedziała Norit.

Bliżej, szeptały głosy. Bliżej, Maraku Irinie Tainie.

- Chodźcie - powtórzył łan.

Z trudem dotrzymywali mu kroku; trudno było już nie zwracać uwagi na rozkrzyczane głosy: *Szybciej, szybciej, szybciej!*

Było to trudne, lecz możliwe. Nie byli głupcami, a Marak nie był niewolnikiem swego szaleństwa. Z rozmysłem zwolnił do tempa, jakie jego zdaniem mogły utrzymać Norit i au'it. Hati też zwolniła, wszyscy więc zostali w tyle. Łan odwrócił się z niezadowolaniem, lecz żadne z nich nie przyspieszyło kroku, więc się do nich dostosował.

Jeszcze zwolnili, w miarę jak wieża coraz wyraźniej wylaniała się z powietrza. Podeszli na tyle blisko, by zobaczyć otaczającą ją kamienistą ziemię, dziwne zagłębienie na szczycie pagórka ze spopielenych skał, wśród których chwytały światło kawałki szkła.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić i kawałki szkła rozjarzyły się na czerwono, Marak, ku wielkiemu niezadowoleniu lana, zatrzymał się na odpoczynek.

Wieża przewyższała wszystkie podobne budowle w świętym mieście i nie była zbudowana z powietrza i ognia. Jeżeli jej ściany koloru piasku, odbijające blask zachodzącego słońca, zbudowano z kamienia, to nie było widać spoin.

- Nie ma okien ani drzwi - zauważyła Norit.

I czemu służy, zadał sobie pytanie Marak, dlaczego prześladuje szaleńców i co znaczy dla każdego z nich? Jako sen wydawała się mieć osobne znaczenie, być wyniesionym miejscem, drogowskazem dla szaleńców.

Jeżeli jest czymś prawdziwym, to musi do czegoś służyć, ktoś musi w niej mieszkać i musiała się tu po coś znaleźć.

Dlatego też Marak usiadł tam, gdzie stał, a Hati, Norit i au'it usiadły obok niego.

• To nie tak daleko - rzekł łan, okazując gotowość do dalszego marszu.

• Dlaczego mielibyśmy ci zaufać? - odezwał się Marak. - Dlaczego mielibyśmy pójść choć kilka kroków dalej? Zobaczyliśmy, co to jest.

• Naprawdę? - zapytał łan. - Nie widzieliście wszystkiego. I nic nie wiecie. Wstawajcie.

Wstawaj, wstawaj, wstawaj, powtórzyły głosy w głowie Ma-raka. Widział jaskinię ze słońcami, a teraz poruszające się w jej wnętrzu postacie opisane przez Norit. Norit i Hati trzymały go za ręce; dłoń Norit była zimna, a Hati spocona. Au'it pisała, zgarbiona nad księgą, by osłonić ją od wiatru.

- Jesteś uparty - rzekł łan. - Dotarła do nas twoja reputacja.

Nie zamierzam jednak stać tu całą noc. Jeżeli o mnie chodzi, możecie tu siedzieć jak długo wam się podoba, a potem wrócić i wymyślać jakieś kłamstwa dla pozostałych. Być może spośród was tylko au'it ma odwagę zbadać, co to za miejsce. Pójdziesz, au'it?

Au'it przestała pisać, uniosła głowę i zastanowiła się nad tą propozycją.

Marak uznał, że nie można jej zignorować. Prawda była taka, że nie mógł stąd odejść, nie poznawszy odpowiedzi na kilka pytań. Nie zamierzał jednak wchodzić do jakiegś warowni, nie obejrzawszy jej i nie przemyślawszy sytuacji, choćby tego, że wieża najwyraźniej nie ma słabych punktów, nie widać żadnych środków łączności ze światem zewnętrznym i że pod względami obronnymi jest bardzo podobna do Beykaskh.

Zamiast jednak zamknąć księgę, au'it spojrzała na Maraka. Wszyscy na niego spojrzeli, jakby uznali, że to on powinien znać ryzyko. Nie znał go i wiedział, że może się jedynie domyślać, co ich czeka.

Wstał.

- Wracaj do pozostałych - polecił Hati. - Weź ze sobą Norit.

Przeznaczeniem au'it, podobnie jak jego, było wypełnianie rozkazów Iii: w tej sprawie nie miał nad nią żadnej władzy. Hati jednak mu się sprzeciwiła.

- Przybyłam, by zobaczyć to miejsce - rzekła, uświadamiając mu prostą prawdę, że nie jest osamotniony w swej obsesji i wizjach. Hati doświadczała ich z równą mocą, a Norit z moją jeszcze większą. Żona z Tarsy ostatnia wstała i podeszła do łana.

Marak westchnął z irytacją i też wstał, a wraz z nim Hati i au'it, i wszyscy troje poszli tam, dokąd prowadził ich łan, nieco pod górę ku podstawie odległej wieży. Wszędzie wokół leżały bryłki szkła: zupełnie jakby armia dmuchaczy upuściła na piasek jego gorące kawałki, które stygnąc wchłaniały ziarenka, tworzyły dziury i bąbelki. Gdyby musieli tu iść w ciemności, droga mogłaby być uciążliwa, ale w zachodzącym słońcu widniała szeroka droga z bezpiecznego, czystego piasku. Cienie wydłużały się do granic możliwości, nawet cienie kawałków szkła rozsypanych na piasku.

- Już to widziałam - szepnęła Hati. - Widziałam już takie szkło.

On też, dawno temu, kiedy był z armią.

• W Oburanie - powiedział. - W Oburanie, kiedy wiatr oczyścił zachodnią równinę.

• Na nizinach niczego takiego nie ma - rzekła Norit, przywarłszy do ramienia Maraka. - Na nizinach nie ma nic podobnego.

Tymczasem łan szedł miarowym krokiem przed nimi. Otwarty piach był powoli wycieraną tabliczką, poprawianą za każdym razem, kiedy wiał wiatr, lecz na drodze biegnącej przez szklaną równinę widniały ślady stóp prowadzące w obie strony: Mara-kowi to nie umknęło, podobnie jak fakt - kiedy weszli na drogę i dodali swoje ślady do już istniejących - że wokół szklanej niecki i poza wydmą niedługo odbywał się ruch.

Wątpił, by umknęło to też i Hati, ale nic nie mówił, a jedynie zachował w pamięci jako wskazówkę,

że w okolicy może być więcej niż jeden cel podróży, może za tym wzgórzem, które przesłaniało im widok całego terenu leżącego za nim, i że może jest tu coś więcej niż ta wieża. Ślady wiodły dookoła rozsypanego szkła

i na drugą stronę wzgórza, gdzie ginęły z pola widzenia, albo na rozległej równinie, albo w kolejnej niecce. Podstawa wieży znajdowała się w najwyższym punkcie okolicy.

Z takiej odległości zapełniała im całe pole widzenia, a ślady stóp prowadziły pewnie ku nagiej ścianie u jej podstawy, gdzie delikatne rysy mogły świadczyć o istnieniu drzwi.

A więc są tu doczesne udogodnienia, takie jak drzwi, pomyślał Marak. Ian nie przechodzi przez ściany ani nie spodziewa się tego po nich.

Rysa pękła, nim do niej dotarli; wylało się przez nią ciepłe, jasne światło, bardziej przyjazne niż groźne. Spore kwadratowe drzwi podobne do drzwi Iii gwałtownie cofnęły się do środka i przesunęły na bok, nie dotknięte niczyją ręką.

W środku, wzdłuż sklepienia bardzo długiego korytarza, biegł szereg świecących kul.

To była jaskinia ze słońcami. Marak ją rozpoznał i na chwilę stanęło mu serce. Znajdowali się wewnątrz wizji. Hati i Norit na pewno zdają sobie z tego sprawę.

Ian szedł przed nimi, stukając butami w podłogę podobną do szkła, pod oślepiającymi słońcami, które teraz przybrały śmiertelną skalę i okazały się unoszącymi się kulami jaskrawego, zimnego światła.

- To jest to miejsce - wyszeptała Norit drżącym głosem. - To jest to, co zawsze widzę.

Marak uściśnął jej dłoń, a potem dłoń Hati. Au'it trzymała się blisko nich. Wstydił się, że drży, i podwójnie się wstydił, że Hati i Norit o tym wiedzą, ale mimo to drżał. Znajdował się tu, w wizji towarzyszącej mu przez całe życie, i mógł myśleć jedynie o tych wszystkich nieszczęśliwych godzinach, wszystkich dniach i nocach, kiedy uciekał z domu ojca, usiłując ukryć swoje szaleństwo; o nocach na Lakht, podczas kampanii, kiedy usiłował ukryć przed swoimi ludźmi, że bez końca, nieustannie słyszy głosy i widzi to miejsce.

Wszystko to... wszystkie te długie lata, utrata tożsamości i dumy... sprowadzały się do tego korytarza i okazywały się nie szaleństwem, lecz prorocstwem. I po co? zadał sobie z gniewem pytanie. Po co?

Uwolnił dłoń z uścisku ręki Hati i opuścił skraj aifadu, by lepiej widzieć, by odetchnąć zimnym i dziwnym powietrzem tego miejsca. Pachniało delikatnie wodą, ziołami i jakby asfaltem.

W tym świetlistym korytarzu były drzwi, mnóstwo drzwi; znajdowały się też na jego końcu.

- Ian - odezwał się ktoś za nimi.

Marak zatrzymał się; wszyscy się zatrzymali i odwrócili. Za nimi stała kobieta w takich samych szatach barwy piasku.

- Czy to Marak? - zapytała, a jego głowę zalała nieoczekiwana fala gorąca, wypełniając mu twarz, szyję, całe ciało ciepłem gorączki. Bez najmniejszego powodu poczuł pulsowanie w skroniach. Gorąco zrodziło się w nim samym, ale spowodowało je to miejsce, ta kobieta.

Marak, powiedziały głosy, Marak Trin Tain, Hati Makri an'i Keran, Norit Tath oraz bezimienna au'it należąca do Iii.

Słowa te krążyły wokół nich i odbijały się echem znad słońca.

Nagle korytarz pociemniał. Twarda szklana podłoga zetknęła się z prawym kolaniem Maraka. Norit, a potem Hati runęły obok niego, a on usiłował uchronić je od zderzenia z twardą podłogą. Przeleciały mu przez ręce. Oszołomiony, sięgnął po nóż - zwałił się, po prostu zwałił się na ziemię, uderzając o zimną, szklistą podłogę ramieniem, a potem głową.

To było głupie, pomyślał ze złością. Upadł jak dziecko, które zapomniało, jak się chodzi. Nie było powodu do takiej słabości. Nic mu się nie stało. Nie czuł bólu. Nie powinien upaść.

Marak, Marak, Marak, powiedziały głosy. W głowie zawirowały mu wizje. Głosy ogłuszyły go jakimiś bzdurami, rycząc niczym huragan.

Oczywiście, że miał broń. Idąc za Ianem, przybывая tu, zabezpieczył się przynajmniej w ten sposób.

Teraz jednak wiedział, że nosił swą klęskę w sobie, że to jest to samo niewolnictwo, które ciągnęło go przez pustynię.

Tę sprzeczkę wygrał jego ojciec. „Bezwartościowy” powiedział, a słońca płonęły i wypalały oczy Maraka, a każde z nich miało w swym jądrze dziwny, rozpalony do białości wzór.

-Marak - rzekł Ian i wyciągnął do niego rękę. Marak nie mógł się ruszyć. Widział rosnące wieże, rysowane poszarpanymi,

czerwonymi liniami, a pod nimi jakieś litery, nic jednak z nich nie rozumiał. Litery z każdą chwilą wpływały coraz głębiej w ciemność wież, w ich kręte korytarze.

- Głupiec - powiedział ojciec.

Upadł podczas ćwiczeń w pył dziedzińca. Jeśli nie wstanie, ojciec go uderzy. Starał się. Bardzo się starał.

Rozdział 10

„Cały metal należy do Iii. Kiedy pęknie, trzeba zapisać jego przekucie oraz wagę, niezależnie od tego, czy jest to żelazo, srebro, złoto, czy miedź. Cały metal Ila daje dla dobra wioski. Ziemia go nie rodzi. Nie wypływa na powierzchnię jak woda. Jeśli jakaś wioska lub plemię znajdzie jakiegokolwiek metal, musi zawiadomić kapłana. Jeśli zostanie wymieniony, musi to zapisać au'it. Jeśli zostanie sprzedany, musi to zapisać au'it. Jeśli wpadnie do studni, studnię trzeba osuszyć. Podobnie, jeśli zaginie w piasku lub uniesie go zwierzę, musi to zapisać au'it i trzeba go znaleźć”.

- Księga Oburaniu

Gorączka rozpaliała skórę Maraka, płynęła żyłami ognia przez jego ciało. Bolały go kości. Nozdrza atakowały obce zapachy. Miejsce to śmierdziało jak doły z ługiem albo kadź garbarza w południe.

Leżał w czymś w rodzaju łóżka, nie mogąc poruszyć rękoma.

-Hati - powiedział, a potem dodał sumiennie, z poczucia obowiązku, by nikomu nie uchybić: - Norit?

W pobliżu nie wyczuwał niczyjej obecności. Zastanawiał się, gdzie są kobiety.

Zastanawiał się, gdzie jest on sam.

Pomyślał też przelotnie o au'it i pozostałych szaleńcach, których na jego prośbę wysłała z nim Ila, ale to nie oni stanowili przedmiot jego największej troski.

Pomyślał o Tofim, który podczas tej podróży stracił wszystko. O Malin, Kassanie i Foragim, głupcach, którzy poszli na pustynię.

Mężczyzna w szatach barwy piasku wywabił ich z bezpiecznego obozu, gdzie Marak miał przynajmniej sprzymierzeńców. Głupio zrobił, że się od niego oddalił, a jeszcze głupiej, że wszedł do wieży. Tyle myślał o podążaniu za wizją, że w końcu zapomniał o rozsądku.

Szalony, powiedział Tain. „Nie mój syn. Nie moja krew. Mieszkał w moim domu, jadł moje pożywienie”.

Kiedy zawiódł oczekiwania Taina, ten nie miał już dla niego miłości. Kiedy jednak je przestał, wzbudzał zawziętą zazdrość Taina. Armia wznosiła na jego cześć okrzyki, a Tain boczył się w swoim namiocie, pełen niechęci.

Czy nigdzie nie było dobrej drogi?

Marak zobaczył swoją siostrę siedzącą w pyle, matkę pozostawioną w domu bez syna.

Zobaczył twarze ludzi swego ojca, kiedy Tain go oskarżał, wpatrzone w niego, ponure i nieodgadnione.

„Nie mój syn”.

Po pewnym czasie usłyszał wokół siebie kroki. Poczul obce, ostre zapachy. Ryk w uszach narastał do powodującego mdłości bólu głowy.

Może umiera? Taka możliwość jakoś go nie zaniepokoiła. Poza głową nic go raczej nie bolało, a dotąd przeżył już wiele takich ataków.

Jeśli jednak umiera - nie otrzymał pewnych odpowiedzi, a to jest nie w porządku.

Jeśli umiera - przyprowadził tu Hati i Norit, a one potrzebują go przytomnego, nie oślepiałego i na wpół pozbawionego zmysłów. Ich nieobecność była źródłem żalu i zmartwienia i kiedy Marak o nich myślał, martwił się jeszcze bardziej, choć głowa bolała go mniej.

- Hati - powiedział i spróbował się poruszyć.

Do niego lub wokół niego odezwały się jakieś głosy. Kilka razy poczuł drobny, dokuczliwy ból. Od zapachów zrobiło mu się niedobrze i własna bezradność złościła go coraz bardziej. Gdyby walczył, mógłby otworzyć oczy. Gdyby walczył, mógłby myśleć. Gdyby walczył, mógłby sobie przypomnieć, dlaczego się tu znalazł i dokąd poszła Hati.

Głosy się oddaliły. Przez chwilę panowała całkowita cisza. Trudno było podtrzymywać walkę. Chęć do niej opuściła go, po prostu go opuściła.

Obudził się tak po prostu, nie mając żadnego poczucia związku z tym ciemnym miejscem, w brązowym pokoju o gładkich ścianach.

Leżał pod lekkim przykryciem, na łóżku śmierdzącym ługiem czy czymś podobnym, pod płonącym słońcem, które oświetlało cały pokój, i był kompletnie nagi.

Usiadł na najcieńszym i najgładszym materiale, jakiego kiedykolwiek dotykał, i równie czystym, choć śmierdzącym. Sam był czysty, ogolony, miał umyte włosy i cuchnął alkoholem oraz ługiem. Poparzenia słoneczne na dłoniach i nowe pęcherze na stopach zmieniły się w niewielkie skrawki łuszczącej się skóry, co znaczyło, że leży tu ładnych kilka godzin - wiedział, jak szybko goją mu się rany - i że ten mroczny sen mógł wcale nie być snem.

Postawił stopy na podłodze.

Na lśniącym metalowym krześle stojącym w nogach łóżka leżały szaty koloru piasku. Przypomniały Marakowi, że to łan go tu przyprowadził.

- łan! - krzyknął, przeklinając go za swoją zdradę. - łan!

Nie spodziewał się reakcji. Wątpił, czy łan zechce się w tej chwili znaleźć przy nim.

Skoro jednak leży tu ubranie, to z pewnością jest przeznaczone dla niego, bo sam nic nie ma, a było czystsze od reszty i przynajmniej nie pachniało niczym gorszym niż zioła.

Marak włożył spodnie, koszulę i pas, usiadł, by wciągnąć buty... w każdym szczególe wyglądające jak buty, w których przyszedł, lecz były nowe, jakby zostały odtworzone do ostatniego szwu.

Zawahał się przy przejrzystej szacie, ponieważ szaty oznaczały plemię, a plemię przynależność; nie był jednak przyzwyczajony do paradowania w niekompletnym stroju; kiedy ją wziął do ręki, zauważył, że mocny szew na ramieniu spaja warstwy materii w szatę, którą można z łatwością narzucić na siebie bez zakłócania układu fałd.

Aifad też był z podwójnej warstwy przezroczystej materii. Marak nie miał wątpliwości, jak ma go zamotać na głowie. Sprytne, pomyślał, bardziej niż sprytne. Zostawił aifad na ramionach, nie widząc w tym sterylnym miejscu żadnej potrzeby, by się nim owijać.

Delikatne tkaniny, dziwne zapachy, płonące światła... to nie słońce przeświecało przez sufit. Za półprzezroczystymi płytami było kilka źródeł światła. Ten pozbawiony okien, gładki pokój przypominający pudełko stanowił niewątpliwie część tej jaskini ze słońcami, znajdował się we wnętrzu wieży. Marak nie znajdował się daleko od miejsca, w którym upadł, i niedaleko, miał nadzieję, od Hati i Norit... nie zapominał też o au'it, która raczej nie była przyzwyczajona do tak poniżających sytuacji.

Drzwi były zamknięte - czysta brązowa płyta, podobnie jak ściana pozbawiona jakichkolwiek wyróżniających ją cech oraz urządzeń umożliwiających jej otwarcie. Była zimna jak żelazo. Marak pomyślał o metalowych drzwiach Iii, o ich potędze, i nie dał się zastraszyć. Już się zetknął z taką zagadką; poszukał płytki, której mógłby dotknąć.

- łan! - wrzasnął do drzwi i uderzył je dłonią.

Drzwi się otworzyły. Pojawiła się jednak Norit, odziana tak jak on w półprzejrzystą materię barwy piasku. Po prostu tam stała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Marak. Jej milczenie, jej brak radości przyprawił go o zimny dreszcz. Objął ją, jak mężczyzna powinien powitać swą żonę, a ona zachowała się, jakby nigdy przedtem jej nie dotykał. Odsunęła się od niego, podeszła do łóżka i usiadła.

Nic nie było tak, jak trzeba. Nagle Marak usłyszał ryk w uszach, zachwiał się, a Norit na chwilę wydała mu się całkowicie obca.

Drzwi wciąż były otwarte. Wyrzwał na zewnątrz i popatrzył wzdłuż metalowego korytarza przypominającego wizję jaskini.

Nie był to jednak ten sam korytarz: od tamtego różnił się drobnymi szczegółami, liczbą słońc i drzwiami. Znajdowali się mniej więcej w jego połowie, w bocznym pokoju.

- To korytarz - szepnęła Norit. - Tylko korytarz. Jaskinia ze słońcami nie była niczym więcej.
 - Widziałaś tu wszystko? Spotkałaś kogoś? Kim jest ta kobieta?
 - To Luz. - Norit była prostą wieśniaczką, niedoświadczoną w sprawach świata zewnętrznego, a co dopiero, jeśli chodzi o jądro tajemnic. - Ma na imię Luz.
 - Gdzie jest Hati?
 - Chyba gdzieś w pobliżu.
 - Rozmawiałaś z nimi?
 - One mówią do mnie - odparła Norit i wzdygnęła się. - Słyszę je.
- On nie słyszał. W uszach miał tylko ryk.

- Co to za miejsce?

Znów się wzdrygnęła i zaczerpnęła tchu.

- Kobieta imieniem Luz. Powiedziała mi, że ma na imię Luz.

Chce, żebym się teraz uciszyła i dała jej mówić.

Gdyby przez całe życie nie był szaleńcem, mógłby po prostu potrząsnąć głową i nie chciał zrozumieć. Oboje jednak byli szaleni. Ten pokój był szalony. Szalone były rzeczy, które widzieli i słyszeli od lat.

A teraz kobieta imieniem Luz chciała do niego mówić ustami Norit i Norit była przerażona.

- Czego ona chce?

To pytanie wydawało się bardziej niż trudne. Norit się z nim zmagala; przyłożyła dłonie do skroni, jakby nieznośnie bolała ją głowa.

• Nie wiem - odparła. - Chce porozmawiać. Chce porozmawiać!

• A więc pozwól jej na to - powiedział Marak, myśląc tylko o tym, że Norit cierpi ból, ale w następnej sekundzie pożałował swojej rady.

Norit skrzywiła się, wyprostowała plecy i utkwiała w nim wzrok.

- Marak.

Był z nimi ktoś inny. Ktoś inny wypowiedział to słowo ustami Norit.

• Widzę cię - rzekła obca.

• Nie rób jej krzywdy - ostrzegł ją Marak, nie mając najmniejszego pojęcia, jak mógłby oddzielić tę obcą osobę od Norit. — Nie rób jej krzywdy.

Przez moment żadna z nich się nie odzywała.

• Ona nie robi mi żadnej krzywdy - rzekła w końcu Norit -tylko mnie przeraża. Chce, żebym powiedziała... chce, żebym wypowiadała dokładnie słowa, nie myśląc o nich. Te wszystkie rzeczy. Jestem przerażona. Ale ona mówi, że dopóki nie wstanę, będę bezpieczna. Chce z tobą porozmawiać.

• No to, niech ją diabli, dlaczego sama do mnie nie przyjdzie?!

• Mówi, że uwierzysz, jeżeli usłyszysz to z moich ust. Mówi, że chce ciebie. Przede wszystkim chce, żebyś jej wysłuchał.

Marak nie był tu dobrze nastawiony do nikogo. -Poco?

• Chyba... - zaczęła Norit. - Chyba... nie wiem. Nie wiem, czego chce.

• A czego chce ktokolwiek z nich? — wypalił w złości na moce znajdujące się za ścianami. Norit zacisnęła powieki i przycisnęła dłonie do uszu. - Do diabła, gdzie jest Hati?

Marak, Marak, Marak!

Narastający ryk ogłuszył go; Marak rzucił się na łóżko, objął Norit i tulił ją do siebie, kołysząc się; oboje kołysali się w rytm przyptywów dźwięku, światła i hałasu. Nie odda im jej, nie odda im Hati ani siebie.

- Prześnię! - krzyknęła Norit, odpychając go. - Prześnię, prześnię, prześnię!

Zrozumiał, że Norit krzyczy na niego. Rozluźnił uścisk ramion, pozwalając jej wyswobodzić się, i spróbował uciszyć głosy w swojej głowie. *Marak, uspokój się* - mówiły kiedy jego spokój był na rękę wyłącznie im, a nie jemu.

- Jesteśmy szaleni - rzekła Norit, zaczerpnąwszy nieco tchu -jesteśmy szaleni, ponieważ mamy we krwi te stworzenia. Oni też je mają w sobie. Ma je Luz, są bardzo, bardzo małe, tak małe, że ich nie widać; ale poruszają się w naszej krwi, w naszych uszach i oczach, i to przez nie mamy wizje. One wywołują gorączkę. Uzdrawiają nas. One wytwarzają dźwięk, ból i one tworzą linie, które widzimy: prowadzą je po powierzchni naszych oczu i wszeptują je w nasze uszy. Zbierają słowa z powietrza, z wieży, do jednego miejsca na niebie, do nas, gdziekolwiek jesteśmy.

• Dlaczego?

• Są naszym darem.

• Darem, tak? - Odsunął Norit, by na nią spojrzeć, by przekonać się, czy widzi na jej oczach jakiś ślad tych linii. - To dar, być wyrzuconym z każdej cywilizowanej wioski? To dar, być gnany batami przez pustynię i umrzeć w odległości jednego dnia podróży od wioski?

• Jestem Luz - szepnęła kobieta w jego ramionach, to ciało, (ctóre obejmował czule w nocy, a teraz trzymał na wyciągnięcie ręki, jakby było jakimś jadowitym zwierzęciem. - Powiadam, że to dar. Dar, który dajemy, Maraku Trinie Tainie, ryzykując własne życie!

• Niech diabli ten wasz dar! - powiedział i potrząsnął kobietą, a potem się przestraszył, bo zranił

Norit. - Niech diabli wezmą ten wasz dar. To my umieramy z jego powodu. Przez ten wasz dar umrze moja matka i siostra! Przez ten wasz dar zaprzysiągłem własne życie Iii! Odbierzcie go! Pozwólcie nam odejść!

- Potrzebujecie go.

- Po co?

- To życie - wyrzekły, wyszeptaly wargi Norit. - To życie, jeśli go przyjmiecie. To życie dla większej liczby ludzi niż ta, którą przyprowadziłeś. Jeśli tylko posłuchasz.

Kiedyś ścigał prawdę. Nie chciał znaleźć jej w tym, co oznajmiała Luz. Nie chciał przyjmować jej słów za prawdę, ani jej pragnień czy zasad, ani jej połowicznych obietnic, jak jakiejś przekupki na bazarze. Nie ma mowy. Wstał z łóżka albo zaczął wstawać, ale Norit sięgnęła do jego ręki.

Odrzuciłby jej gest. Powstrzymał go niezręczny, rozpaczliwy uścisk, który zarazem przypomniał mu, że Norit też cierpi z powodu tego, co on mówi i robi.

- Chce, byś jej wysłuchał - rzekła. - Proszę cię, posłuchaj.

W rękach Iii, w rękach Luz było wielu, bardzo wielu zakładników.

I dokąd mógłby się udać? Co mógłby zrobić dla znalezienia Hati i uratowania Norit?

- Czego mam wysłuchać? - zapytał nie Norit, lecz Luz.

- Ona chce ciebie - odparła Norit. - Chce ciebie, bo jesteś Marakiem Trinem Tainem, bo zna twoje imię i wie, kim jesteś, wie, co zrobiłeś podczas wojny, i wie, że wysłała cię Ila.

- Owszem, wysłała mnie Ila. Ila zebrała wszystkich szaleńców i wybrała mnie, bym znalazł dla niej odpowiedź, bym się dowiedział, co widzimy i dlaczego odchodzimy w pustynię, żeby umrzeć jak jacyś przeklęci głupcy. - Poczul falę złości, złości będącej przekleństwem Taina i jego, i zdusił ją, ponieważ gdyby jej uległ, jedynie by zranił Norit. - Jak więc brzmi ta wielka prawda? Dlaczego przez całe życie cierpimy katusze, komu przynosi to jakkolwiek korzyść i dlaczego ta Luz albo Ila miałyby się martwić o garstkę szaleńców?

- Dała nam dar - powtórzyły wargi Norit, drżąc przy każdym słowie. Oczy miała ogromne, ciemne i pełne przestachu. Zacerpnęła głęboko tchu, zamknęła oczy i drżenie ustało. - Mielśmy swoje trzydzieści lat. Trzydzieści lat na zebranie tych, którzy zechcą słuchać, trzydzieści lat na zgromadzenie waszej wiedzy, żebyście wiedzieli... i nie... nie zginęli. - Tu przerażenie zawładnęło Norit. Wargi drżały jej tak, że nie mogła mówić, jakby odrzucała wszystko, co przepływało przez jej usta.

Powodowany litością Marak uniośł dłoń do jej policzka i bardzo delikatnie wytarł z niego łzę.

- To nie twoja wina - rzekł. - Norit. To nie twoja wina.

- Kocham cię - odparła. - Byłeś dla mnie miły i kocham cię. Pamiętaj o tym, jeśli ja nie będę mogła.

To było jak pożegnanie. Nie dawało mu to spokoju. Nie mógł nic zrobić, by jej pomóc. Musnął jej policzek, przyglądził włosy.

- Niech przemówi do mnie - zaproponował. - Niech przemówi. Może coś z tego zrozumiemy. I niech diabli tę Luz. Jak skończy, musi ci oddać twój umysł.

- Słyszę — odpowiedziały usta Norit. W jej oczach malowało się cierpienie.

-To powiedz prawdę! Dlaczego jej to robisz? Przyjdź tu i odezwij się do mnie sama!

Marak! ryknęło mu w głowie. *Marak, Marak, Marak!* - tak głośno, że aż się wzdrygnął.

- Mów do mnie, przeklęta, a nie krzycz!

- Mówię do ciebie - powiedziały wargi Norit - od niemal trzydziestu lat, a ty nie chcesz mnie słuchać. Słyszysz to, co chcesz słyszeć. - Norit zawahała się, drżąc. - Zmieniasz wszystko w to, co chcesz usłyszeć. Jesteś bardzo uparty.

- To dziedzictwo mojego ojca - odparł. Głaskał policzek Norit i zauważył, że drży mu ręka. - Jestem tu. Powiedz mi, czego ona sobie życzy, Norit. Kocham cię. Posłucham ze względu na ciebie.

- Nie mogę myśleć! - powiedziała Norit słabym głosem. -Widzę różne rzeczy i nie mogę o nich myśleć, słyszę słowa i nie mają one sensu. Ona mnie nienawidzi; mówi, że to nieprawda, ale ja wiem, że tak jest!

- Zostaw ją! - krzyknął Marak do tej, która zawładnęła Norit - Mów do mnie, a ją zostaw!

- Z Norit jest o wiele łatwiej. - Nagle głowa Norit opadła, a jej całe ciało zwiotczało mu w ramionach, tak że Marak przez chwilę bał się, że Norit umarła... leżała jednak w jego uścisku przytomna, oddychając tak ciężko, jakby biegła w strachu o życie.

-Luz chce, żebyś słuchał - wyszeptala mu w pierś Norit, szczękając zębami. - Luz chce, żebyś słuchał, a nie sprzeciwiał się jej.

- Óóó... Spróbuję.

Spróbował. Zamknął oczy i spróbował zrozumieć szept rozlegający mu się pod czaszką.

- Ona myśli o wielu sprawach - powiedziała Norit, ledwo panując nad językiem. - Chce wielu

rzeczy. W uszach mi szumi. Jest zła, bo nie chcesz jej słuchać.

• Staram się! Niech nam odda Hati. Niech zrobi coś rozsądnego, niech przyjdzie do tego pokoju i porozmawia z nami twarzą w twarz. To ją widziałem w tym metalowym holu, tak? Jest z krwi i kości jak reszta z nas. Dlaczego nie chce tu przyjść?

• Pyta, czy będzie bezpieczna.

• Przysięgam, że tak. Tylko niech da ci spokój. - Odgarnął kosmyk włosów z policzka Norit. - Luz! Słyszysz mnie?

Gdzieś otworzyły się drzwi. Ich drzwi się zamknęły. Marak podniósł wzrok znad głowy NoriL

- Zamknęły nas - stwierdziła słabym głosem NoriL

- Zawsze tak było - powiedział. - Całe to przekłete miejsce

jest jak więzienie.

Pomyślał o Hati, która doświadczyła dachu dopiero w samym Beykaskh. Pomyślał o Hati zamkniętej w małym pomieszczeniu, bez żadnej drogi wyjścia.

• Mówi... - szepnęła Norit. - Mówi... że mam mówić dokładnie te słowa, a ty musisz słuchać.

• Słucham.

• Musimy wracać. Obiecałeś Iii, że wrócisz, i musimy to zrobić. Musimy powiedzieć Iii... musimy powiedzieć Iii...

Nagle ściany pokoju poczerniały i pojawiła się na nich wizja gwiazd. Norit krzyknęła. Marak przytulił się do niej i doznał wizji gwiazd oświetlonych błyskawicą.

Wieża zjechała po tym błękitnym ogniu na ziemię, wyciągnęła ramiona i wkopała się w nią, potężna jak góra, na szklanej równinie.

A oni wciąż siedzieli na jasnym, obcym łóżku, przywierając do siebie.

-Początek - odezwał się nad nimi głos. - Wasz początek. Pierwsi Przybysze.

Marak zerwał się, ale otaczała go pustynia odmalowana na ścianach, poruszający się obraz pozbawiony wiatru i zapachu, za to zamknięty w sześcianie.

Z wieży wyruszyli na pustynię piechurzy.

Wizja zamglila się; karawany przemierzały swe szlaki i wszystko wydawało się zwyczajne.

• Widzisz to? - zapytał Norit, która wciąż siedziała na łóżku. Jej mina mówiła, że tak; potem skinęła głową i częściowo ukryła twarz w dłoniach.

• Wieża Beykaskh - rzekł głos.

Odwrocił się powoli, Norit też się odwróciła, i znów zobaczyli wieżę, stojącą na tle czerwonego, zębatego grzbietu Quarain.

Czyżby zatoczyli krąg? Czy tu właśnie dotarli po całej tej podróży? Czy są w Beykaskh?

Wieża stała, a wizja wzniosła się na skrzydłach niczym ptaki powietrza i obracała się, aż Marak się zachwiał, a Norit zerwała się i przywarła do niego, by nie stracić równowagi.

Wieża przykryła się kopułą, a oni opadli do poziomu piasku, oszołomieni i niezdolni zatrzymać pędzącą wizję.

Wieża wypuściła z siebie mury, które zaczęły się wznosić, podobnie jak kopuła, po czym załśniły od słońca.

- Stąd - powiedział głos Luz - bierze się wszystko inne.

Z Beykaskh wylała się nagle Łaska Hi, tworząc obramowany sitowiem staw, taki, jakim go widział Marak, lecz nieznacznie zmieniony.

Piły z niego stworzenia podobne do beshti; Marak zajrzał w wodę i zobaczył tam poruszające się stworzenia, i zobaczył spirale, punkciki i łańcuchy, łączące się z coraz mniejszymi łańcuchami, a w końcu z niewielkimi stworzeniami, nie jak te budowle z wizji, powstałe z ognia.

Te konstrukcje składały się z kropek, które mnożyły się i rozplływały w coraz większe struktury, groźne i wszechogarniające, aż w końcu zobaczył, jak kropki stają się niewielkimi pakietami, a te pakiety rzędami, rzędy płachtami, a one z kolei skórą człowieka, jego uchem, twarzą, głową i ciałem. Marak nie miał pojęcia, dlaczego ta wizja tak go przeraziła, ale te gwałtowne zmiany oszołamiały go i przyprawiły o lęk.

• Oto stwórcy - rzekła Luz. - Ila rozumie. Teraz wiecie to, co ona. Stwórcy wypłynęli do stawu i zwierzęta, które przyprowadziła, piły, rozmnażały się i zmieniały tak, jak chciała Ha. Zwierzęta zmieniły się i ludzie się zmienili, by dopasować się do tej ziemi. Czyż wasze pisma nie mówią, że Ila oddzieliła zwierzęta od plugastwa?

• Nic o tym nie wiem - odparł Marak, ponieważ nic z tego nie miało sensu i nic go nie obchodziło oprócz ucieczki z tego miejsca razem z Hati i Norit. Próba rzucenia go na kolana takim widowiskiem nie była aktem przyjaźni. - Nie wierzę w pisma ani kapłanów. A jeśli chcesz czegoś od nas, to otwórz drzwi. Przywróć ściany. Oddaj nam Hati. I au'it.

• Stworzyła staw i rozesłała tę nową rasę ludzi pod przewodnictwem poinstruowanych przez siebie kapłanów pięćset trzydzieści osiem lat temu - ciągnęła Luz. - Pierwsi Przybysze zajęli ten świat i ukryli się przed swoimi wrogami pięćset trzydzieści osiem lat temu.

To było coś nowego.

• Przed jakimi wrogami? - zapytał Marak.

• Stworzonymi przez jej poprzedników. Znalazła pustynię i ją przekształciła. Wysłała stworzycieli i dzięki nim jej dzieło przetrwało. Ustanowiła kapłanów, by uczyli pisanej przez nią historii. O ile istnieje jakiś bóg kapłanów, ona jest tym bogiem, a diabeł waszej wiary to jej wróg. Obaj są fałszywi. Naszym celem nie jest jednak dyskusja filozoficzna. Mamy ocalić, ile zdołamy, zanim jej wróg zniszczy to, co stworzyła. Jesteście dla nas ratunkiem, dla nich zagrożeniem, i zyskaliście chwilę wytchnienia: zdobyliśmy ten świat, zdobyliśmy szansę uratowania was - jeśli tylko nas wysłuchasz. Dlatego cię tu wezwaliśmy... chcemy uratować wam życie.

Za dużo tego było do ogarnięcia naraz. Wszędzie wokół Ma-raka, a nawet w jego ramionach, znajdowały się dowody intencji nie tak dobrotliwych, jak ta obietnica. I cała jego wiedza to kłamstwo? Nie zamierzał paść na ziemię i oddać czci ich prawdzie.

• Co o nas myślisz, Maraku Trinie Tainie? Chcesz słuchać dalej?

• Posłucham - odparł. - Tylko trzymaj swoje przeklęte ręce z daleka od nas. I sprowadź tu Hati!

Na ścianach pojawił się blask słońca, pobielał i wizja zniknęła. Marak zauważył, że drzenie Norit przeniosło się na niego. Nic, co wie, nie jest prawdziwe? Gdzie zaczynają się i kończą kłamstwa?

Drzwi się otworzyły. Spodziewał się jakiegoś potwora. Zamiast niego ujrzał zupełnie zwykłą kobietę w domowym stroju, bez szaty, jak prostytutka. Była w nieokreślonym wieku. Odziana w szatę mogłaby wypiekać chleb, lepić garnki, tkąć. Była bardzo blada. Tylko Ila miała taką skórę.

Ha i, jak się domyślił, Luz.

• Marak - powiedziała Luz własnym głosem, z lekkim obcym akcentem. - Norit. - Skinęła głową jego towarzysze, kurczowo trzymającej się jego ręki.

• Czego więc chcesz? - zapytał Marak. Przytulił Norit, a po chwili zastanowienia ją odsunął. Kiedyś ściągnął na siebie błyskawice Iii. Mógł ściągnąć błyskawice tej kobiety: spodziewał się tego, ponieważ nie wiedząc, co się dzieje z Hati, nie był w nastroju do kłaniania się. - Jeden złodziej nazywa drugiego kłamcą. Co to znaczy dla człowieka, który stracił swoje srebro?

• Złe wieści - odparła Luz. - Ila mogłaby ci powiedzieć, ale przed pięciuset laty wymazała wszystkie zapisy. Osiedliła się w miejscu, gdzie nie miała prawa się osiedlać. Jej wrogowie ją znaleźli, postanowili zetrzeć z powierzchni tej ziemi całe życie, a my powiedzieliśmy, że potrafimy zniweczyć jej stworzycieli i stworzyć dobrotliwą odmianę. Rozumiesz?

• Rozumiem, że chcesz czegoś od nas, i wątpię, czy mówisz więcej prawdy niż Ila.

• Czy chcesz dla niej umrzeć?

• Nie, nie chcę umierać. Podobnie jak pozostali.

• A jednak obiecałeś, że do niej wrócisz.

• Mam powody.

• A zatem wrócisz.

• Być może.

• Gdybyś to zrobił, mógłbyś uratować wiele istnień. Ostrzegam jednak, że możesz stracić własne życie. Tu jest bezpiecznie, a jeśli stąd odejdziesz, ryzykujesz, że nie wrócisz na czas. Do zniszczenia brakuje paru chwil.

• A to jest bezpieczne miejsce?

• Takim pozostanie. Jej wrogowie się zgodzili. Zostawili nas tu, byśmy mogli rozpracować ten problem.

• Problem - wtrącił z drwiną w głosie Marak.

• Dzielę go wraz z łanem. Zgodziliśmy się zostać tu na dole. Zgodziliśmy się nigdy nie opuścić tego miejsca. To niemało.

• Tu na dole. Gdzie jest „tu”?

• Poniekąd na tym świecie. Na tej ziemi. Tym skrawku ładu. Znajdujesz się na okrągłym świecie krążącym wokół gwiazdy, Maraku Trinie Tainie. To wiedza, którą przejęła od dziadów twoich dziadów.

• Czy ma to jakieś znaczenie? - Wątpił we wszystko, co mówiła. - Czy ma to jakieś znaczenie poza tym, że wydam się stąd z ludźmi, z którymi przybyłem?

• Jesteś bezpośredni i konkretny. Znam twoją reputację. Rozumiem, dlaczego tu dotarłeś. Czy mogę mieć nadzieję, że właśnie ty mógłbyś wrócić?

- Mam powiedzieć Iii, co tu zastałem.

-Powiedz jej. Może sama zechce tu przybyć.

Ila miałaby podróżować przez pustynię? Dołączyć do szaleńców?

- Nie zechce.

- Nie bądź taki pewien. Wyślę z tobą wiadomość. Może jej wysłucha.
- Jaką wiadomość?
- Taką samą, jaką wysłała do mnie.

We wszechwiedzy tej kobiety była jednak jakaś luka. Choć wydawała się niewielka, Marak uchwycił się jej, czerpiąc z niej złośliwe zadowolenie.

• Nic ci nie wysłała. Nawet nie wie o twoim istnieniu.

• Ależ owszem, wysłała. Nie wie, kim jestem, ale wysłała ciebie, żebyś się tego dowiedział. W ten sposób daje znać, że rozumie, co zrobiliśmy, rozumie, że przeciwstawia się to jej dziełu stworzenia, rozumie, że jej stwórcy zawiedli w starciu z naszymi i że jest jasne, iż próbowała uleczyć szaleńców. Nie może jednak tego zrobić. Zebrała wszystkie wizje. Wie, co oznaczają. Wie, że ktoś tu jest, a z tego, że pokonaliśmy jej stwórcy, domyśla się, kim jesteśmy. Chce jednak wiedzieć, co zamierzamy zrobić i dlaczego, i to właśnie masz jej powiedzieć.

• A co zamierzacie zrobić?

-Zebrać tych, co przeżyli. Utrzymać ich przy życiu. A kiedy ondat zmienią ten świat tak, że nic, co wyzwoliła, nie przeżyje, wypuścimy nowych stwórcy, takich, jakich zaaprobuje ondat.

-Ondat?

- Jej wrogowie.
- A nasze życie?

Luz milczała przez chwilę.

- Żałuję, że znów trzeba je zaryzykować. Jeżeli jednak istnieje jakaś sDa, która może zwołać resztę do miejsca schronienia, to nie będzie nią garstka szaleńców wzywająca władcę wioski do przybycia do nas. Ona może ich wezwać. Mogą to zrobić jej kapłani. Nie mogliśmy wypowiedzieć jej wojny: jej twierdza jest zbyt dobrze zabezpieczona. Możemy jednak wykorzystać wpływ, jaki ma na własne dzieło stworzenia. Bóg tego świata może sprowadzić tu ludzi i ocalić im życie. Jesteście jednak niemal spóźnieni... jeśli już nie jest za późno. Mogę wami pokierować. Mogę zapewnić wam bezpieczną podróż i mogę porozmawiać z wami i z ondat, ale oni nie mogą się dowiedzieć, że sprowadzam tu samą Ilę. To ryzyko.

• To dlaczego je podejmujesz?

• Nie jest tak niewinna jak reszta z was - to nie ona wylała stwórcy na świat ondat, nie należała do ich grupy, ale miała w tym swoją rolę. Jej najgorszym grzechem było ocalenie życia... waszego życia. Schroniła się tu. Ale polityka... - Luz potrząsnęła głową. - Pięćset lat sprzecznania się o wasz los, a wy nikomu nie zagrażaliście. Ona nikomu nie zagrażała. Nie może odejść. Przekonaliśmy ondat do kompromisu: oni mogą zmieniać ten świat, żeby stwórcy zostali zmuszeni do zmian, ale my możemy te zmiany kontrolować: możemy usunąć zagrożenie i zapewnić ondat, że potrafimy to zrobić. Jej współpraca ułatwiłaby nam działanie. Powiedz to. Powiedz jej, że powitam ją z radością. Powiedz, że istnieje droga ucieczki, wąska droga, i że okno może się zamknąć, zanim z niej skorzysta. Dostaliśmy trzydzieści lat i kiedy Ha przysłała nam ten nieoczekiwany prezent, ów czas się skończył. Wie, że wypuściliśmy nowych stwórcy. Powiedz jej, żeby cię wysłuchała, żeby wysłuchała mnie i przybyła do wieży, póki jest jeszcze czas.

• Z szaleńcami? Ila z Oburanu ma mieszkać z szaleńcami?

• O, jak najbardziej - odparła Luz. - Nie trzeba wymazywać historii. Wystarczy, że zaniedba się naukę jednego pokolenia dzieci. Przy zaniedbaniu dwóch pokoleń zniszczenia powiększają zasięg. Może zasługiwać na potępienie za to, co zrobiła, ale uczyniła to być może po to, byście się cieszyli choćby z tych ograniczonych rzeczy, które mogła wam dać. By zrobić z was dobrych służących. I utrzymać was przy życiu, sobie do towarzystwa.

Ziemia okrążająca gwiazdę i wojny z jakimś plemieniem o nazwie ondat, kropki i stworzenia wpuszczone do ich własnej krwi. Kiedyś Marakowi wyjaśniała świat przyroda, ale nigdy nie rozumiał, dlaczego przyroda jest taka, jaka jest. Nigdy nie rozumiał plugastwa albo tego, skąd pochodzą ludzie, poza tym, co mówili kapłani - że Pierwsi Przybysze spadli z nieba i oddzielili zwierzęta od plugastwa.

• Gdzie są ondat? - zapytał.

• W górze, tam gdzie nie można do nich sięgnąć. Uwierz mi: stanowią zagrożenie dla pokoju. Nie

idzie o wasze ziemie. Wroga to nie obchodzi. Idzie o to, że istniejecie według planu Iii i że Łaska Iii wciąż dostarcza stwórcy; według nas to mija się z celem, ponieważ i tak przeciążacie ziemię i nigdy nie staniecie się czymś więcej niż jesteście, ale wojnę przedłuża wasze istnienie. Wy uwolniliście stwórcy w ich świecie. Oni tego nie zapominają. Życzą wam śmierci.

Marak zrozumiał wszystko do słów „w ich świecie”. Nie miał pojęcia, gdzie to jest. Wiedział jednak, co to jest zemsta. Wiedział, że nie ma sensu błagać o jej zaniechanie i że do przeżycia potrzebni są sojusznicy.

- Dali nam trzydzieści lat - ciągnęła Luz - na wypuszczenie naszych własnych stwórcy i zebranie ludzi, dóbr i zapisów. Potem ten świat zmieni się w coś innego. Wzięliśmy się do pracy trzydzieści lat temu. Trzydzieści lat temu wyruszyliśmy przez Lakht do tych wiosek, do których mogliśmy dotrzeć. Wypuściliśmy nowych stwórcy, umieściliśmy ich w waszej krwi, a oni wzięli się do roboty, umożliwili wam słyszenie nas i wielu sprowadzili do nas. A wtedy Iia, jak ją nazywacie, dała nam ten ostateczny dar, ciebie. Odsyłamy cię więc z powrotem do niej z wiadomością. To ostatnia szansa. Więcej nie musisz wiedzieć.

- Żeby tu przybyła. Bo ją o to prosisz.

- Dam ci jedno słowo: nanocela. No. Czy mówi ci to wszystko, czego potrzebujesz?

Marak był urażony. Wiedział, kiedy się z niego kpi. I kiedy ktoś, z kim nie może walczyć, czeka, by się do tego przyznał.

- Nic mi to nie mówi.

- A więc nie mogę ci powiedzieć więcej, prawda? Nie zmuszam cię do powrotu. Jeżeli jednak się wybierzesz, powiedz jej, że wszystkie odpowiedzi są tutaj, że tu jest schronienie dla wszystkich, których sprowadzi ze sobą. Nigdy nie planowaliśmy jej przybycia. Gdybyśmy jednak mieli jej zapisy, jej wiedzę, jej pamięć, to moglibyśmy zrobić o wiele więcej.

Jak gdyby Ila mogła przybyć i unieść jeden wypielegnowany palec, by się targować. Marak objął przytuloną do niego Norit.

- To ty uczyniłaś z nas szaleńców - powiedział do Luz. - Ty to zrobiłaś. Dlaczego mielibyśmy w cokolwiek uwierzyć? Co nas obchodzą jakieś nanocela?

Pole widzenia wypełniła mu ciemność i jakiś wirujący w niej obiekt, który zmierzał ku lśniącej, odległej kuli. Obiekt wciąż spadał, spowity w ogień, i nagle Marak ujrzał go z dołu, na tle niebieskiego nieba, w kierunku Quarain. Norit krzyknęła. Marak się wzdygnął.

Gwiazda. Czy to spadająca gwiazda?

- Powiedz, że daję ci nową wizję - rzekła Luz. - A będzie ich więcej. Trzydzieści lat dobiegło końca. Powiedziałabym, że nie ma nadziei. Że zebraliśmy wszystkich, którzy przeżyli, by do nas dotrzeć. Ale ponieważ byłeś nasz i ponieważ w ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że wyruszyłeś do Iii, nabraliśmy trochę nadziei.

- Kto ci powiedział?

- Twój własny głos. To, co słyszałeś. O, do czasu, kiedy zacząłeś wojować z Ilą, nie wiedzieliśmy, kim jest Marak Trin. Od początku wątpiliśmy w twój sukces. Z drugiej strony baliśmy się, że wszystko możesz zniszczyć. Mimo to przekazaliśmy ci nasze ulepszenia; stwórcy pilnowali, by twoje rany dobrze się goiły. Możemy przywołać tych, którzy słyszą nasz głos, ale ty nie chciałeś nas słuchać. Sądziliśmy więc, że jednak do nas nie przyjdiesz. Dzięki niej stało się inaczej; mamy też wszystkich, których przyprowadziłeś ze sobą. Ona jednak może wysłać wiadomość do plemion i wioski. Może sprowadzić cały Oburan - jeżeli potrafisz ją przekonać. Możemy dostać ją i jej zapisy. Sprowadź je.

Wciąż był wstrząśnięty, oszołomiony wrażeniem spadania razem z gwiazdą. To, o czym mówiła Luz, wiązało się z prostą czynnością, lecz jej uzasadnienie było niezrozumiałe, a podejrzenie Maraka, stare jak jego rozumienie świata, nie pozwalało mu wierzyć jej słowom.

- Świat się skończy, Maraku Trinie. To miejsce jednak prze trwa. - Luz podeszła do drzwi. - To takie proste: możesz tu zo stać albo wrócić i uratować wszystko, co się da.

- Dla czyjego dobra?

- Powszechnego - odparła Luz. - Teraz i w przyszłości. Jeżeli postanowisz wyruszyć, możesz zawrócić, jeśli niebezpieczeństwo stanie się zbyt wielkie. Przyjmiemy was z powrotem. Zrozum: przybywacie bardzo późno. Nie jestem pewna, czy w ogóle tam dotrzecie albo czy wróćcie z kimś, czy sami - jeśli będziecie mieli dużo szczęścia. Ondat czekali trzydzieści obrotów tego świata wokół jego gwiazdy. Spodziewałam się, że atak rozpocznie się dwadzieścia dni temu.

- Mamy broń?

-Żadnej. Nie będzie walki. Tylko bezpieczne schronienie. Gdyby ludzie zaczęli ratować się

ucieczką, niektórzy mogą uciec do nas. Przypadkiem mogłoby to się udać Pori. Jeśli chodzi o pozostałych... umrą. Natomiast Ila... zapewniam cię, że wasza Ila rozumie, kim jesteśmy. Dlatego was posłała. Chce poznać warunki, chce się dowiedzieć, czy zdoła pokonać naszych stwórcy, a więc czy istnieje dla niej nadzieja. Jeśli postanowisz wyruszyć, powiedz jej, że mamy umowę z ondat: możemy przekształcić to, czego nie uda się spalić ogniom. Świat się tak zmieni, że jej projekt nie przetrwa. Mogę jednak uratować ją samą. Założyła to jako obóz na drodze do świata ondat, ale nigdy ich nie zaatakowała. Istnieje wybaczenie. Możemy to załatwić.

Tego nie dawało się ogarnąć rozumem. Nie było żadnego powodu, dla którego ta zwykła kobieta miałaby przekonać Maraka do tych rzeczy. W co jednak miał wierzyć?

- Czy możemy uratować ludzi, którzy przybyli ze mną?
- Oni już są bezpieczni, w obozie na zewnątrz. Ochrońmy ich.
- A Kais Tain? Wioski?

• Powiedziałam ci. Czas już się skończył. Masz go tyle, ile uda ci się ukraść. Każda godzina spędzona na tej dyskusji jest godziną odebraną z ich przeżycia. Jeśli Ila zwoła wioski, to czy nie zwoła ich więcej w swoim imieniu, niż ty w swoim?

Miała rację.

Ten atak był jednak nieuczciwy. W tym, co Luz mówiła o świecie, nie było logiki, rozsądku ani sprawiedliwości.

A jednak powiedziała, że to jest wyznaczone schronienie przed tym, co się zbliżało, cokolwiek to było.

- Gdzie jest Hati? - zapytał Marak.
 - W pobliżu. Może chodzić tam gdzie chce. Każdy tu może chodzić tam gdzie chce.
- Aau'it?

• Też może wybierać. - Luz położyła dłoń na drzwiach, które się otworzyły. - Nie wszystko jest ciemnością. Jeśli nie zginiesz od razu, stwórcy ci pomogą żyć na tyle długo, byś miał szansę. Powiedz to Iii albo zostań tu, gdy będzie spadał ogień. Weź ze sobą au'it albo wyślij ją samą. Wszystko zależy od ciebie.

- Au'it nigdy nie dotrze tam sama.
- Prawdopodobnie nie - odparła Luz i wyszła, nie zamykając za sobą drzwi.

Marak podszedł do nich. Luz była w połowie metalowego korytarza ze słońcami. Nie wiedział co powiedzieć. W jednej chwili Luz postawiła wszystko na głowie, a potem zaczęła powtarzać to, co powiedziała, po czym Marak poznał, że dotarli do końca.

- Hati! - krzyknął w pustkę. Przedtem ogarnął go gniew, a teraz strach.

Wzdłuż całego korytarza widniały inne drzwi, wszystkie zamknięte. Luz otworzyła jedno z nich i wyszła.

- Hati!

W dalszej części korytarza otworzyły się kolejne drzwi.

Wyszła przez nie Hati, ubrana tak jak oni w cienkie szaty. Zobaczyła ich i ruszyła biegiem. Marak chwycił ją w ramiona i przycisnął jej szczupłe, twarde ciało, wdychając zapach, będący niezaprzeczalnym zapachem Hati. Miał w ramionach wszystko, czego potrzebował do życia.

- Gdzie byłaś? - zapytał.
- Tutaj - odparła. - W tym pokoju. Powietrze nie się poruszało. Widziałam ciemność, a w niej coś, co spadało na coś innego. Myślałam, że to ja spadam. Poznałam kobietę imieniem Luz. Powiedziała, że świat umrze, ale my możemy być bezpieczni albo wrócić do Oburanu i przyprowadzić tu resztę.

- Tak powiedziała.
- Widziałeś ją?

- Ufasz jej? - zapytał Marak. Nie: „wierzysz jej?”. To była jedna sprawa. Ale „czy jej ufasz?” to co innego. Pozostanie w tym hipotetycznym azylu bardzo go kusilo: wydawało się to jedyną rozsądną odpowiedzią w szalonym świecie przeznaczonym śmierci, jedyną uczciwą odpowiedzią dla Hati, Norit i Tofiego.

Ale nie dla niego. Miał matkę, siostrę, ojca, a wszyscy polegli na jego obietnicy powrotu. Miał w pamięci wioski i ludzi, których znał, nie mówiąc już o tych, z którymi dorastał. Miał też słowo obcej i obietnicę wroga, i był najbardziej szalony ze wszystkich szaleńców, ale wiedział, z czym może żyć, a z czym nie; niezależnie od tego, czy było to słuszne, niesłuszne, czy niesprawiedliwe względem Hati, nie mógł zostać.

- Nie ufam obcym - rzekła. - Nie ufam jej.
- Muszę wracać. Mam uratować przeklętą przez boga Ilę. -Nie miał jasnego planu postępowania, poza tym, że musi wrócić po własnych śladach, wejść do sali Iii i powiedzieć, że kobieta bardziej szalona od niego przysłała niezbyt pomyslną wiadomość. Mimo że było to szaleństwo, poczucie konieczności podjęcia go narastało jak wizja wieży. - Muszę to zrobić. Muszę. Powiedziałem, że wrócę. Ona obiecała przez rok chronić moją matkę i siostrę. Nie wiem, czy dotrzyma słowa, ale wiem, że ja muszę to zrobić.

Hati obejmowała go coraz mocniej.

- Czy wiesz, jak stąd wyjść? - zapytała.

Uważał, że wie. To było poczucie kierunku, tak jak wiedział, gdzie leży północ, jeśli się nad tym zastanowił. Po przeciwnej stronie znajdowały się drzwi i Marak odwrócił się do nich, jednym ramieniem obejmując Hati, a drugim Norit. Pomyślał o au'it i o tym, czy może dołączy do nich po drodze; na skrzyżowaniu z następnym korytarzem pojawiła się au'it we własnych czerwonych szatach, najwyraźniej też zażyła kąpieli. Miała ze sobą księgę i przybory do pisania. Ruszyła szybkim krokiem ze swoimi towarzyszami; razem doszli do końca korytarza i kolejnych drzwi.

Otworzyły się bez ostrzeżenia. Za nimi stał łan.

- Szukacie drzwi? - zapytał. - Chodźcie za mną.

Nie był mile widziany, ale zaprowadził ich do następnych drzwi i otworzył zaledwie dotknięciem.

Na zewnątrz leżał świat, słoneczny blask, bładniebieskie niebo oraz ciągnące się bez końca czerwone wydmy i piaskowce.

Na zewnątrz leżał obóz białych namiotów, rozłożony u stóp obsypanego szkłem wzgórza, na którym stała wieża.

Wychodząc z niej, Marak nie zwracał uwagi na łana, a ten nie odezwał się już do nich ani słowem. Marak usłyszał, jak zamykają się za nimi drzwi, i poczuł na twarzy znajomy, gorący wiatr; schodzili ku namiotom coraz szybciej, z każdym krokiem coraz bardziej pragnąc znaleźć się między nimi, a nie w wieży.

-To Tofi - powiedział Marak. Poznał zwierzęta wygodnie rozlokowane obok tych obcych białych namiotów i spiętrzony tam bagaż. Były rozbite dwa namioty, wyglądające, jakby nie miały nic wspólnego z czerwonymi skałami i pyłem.

Spod tych dwóch namiotów z podwiniętymi połami wyszli im na powitanie szaleńcy, wszyscy odziani w takie same na wpół przejryste szaty, machając z zadowoleniem rękami i ciesząc się z ich bezpiecznego powrotu.

- Malin - powiedziała ze zdumieniem Hati. - To jest Malin.

Byli tam też Kassan i Foragi, dawni żołnierze. Dotarli tu wbrew wszelkim oczekiwaniom.

Nadbiegł Tofi. Miał na sobie własną brązową szatę w zielone pasy i niebieski aifad - inni, pozbawieni wszystkiego, przyjmowali dary, lecz Tofi włożył, co miał najlepszego, i Marakowi jego widok sprawił przyjemność.

- Powiedzieli, że dobrze się czujesz - rzekł Tofi, ściskając mu rękę. - Ja jednak stwierdziłem, że powinni cię wypuścić. Przy szedł do nas taki obcy mężczyzna. Jest tu mnóstwo wody i lu dzi, ludzi z całej...

Wokół nich skupili się inni.

- Gdzie byliście? - padały pytania. - Co widzieliście?

- Światła - odparł Marak. - Kobietę.

Były też te nowe wizje, ale jeśli nawet inni szaleńcy również je mieli, nie można było wyczytać tego z ich twarzy, na których malowało się szczęście, a entuzjazm zgromadzonych sprawiał, że mówili wszyscy naraz.

- Mamy te ubrania i jedzenia oraz wody do woli.

- Możemy się myć. Możemy się nawet w niej myć. -I owoce - wtrącił sadownik - bez jednej płamki.

- W namiotach powietrze jest chłodniejsze - rzekł kamieniarz.

- To raj.

Weszli między namioty w zamęcie paplaniny i nowych ubrań, a z cienia białych namiotów wypływało nienaturalnie chłodne powietrze. W cienistym wnętrzu jednego z nich stały stoły, na których leżały resztki bogatej uczt.

Na szaleńców, wyrzutków świata, spłynęło bogactwo i woda. Marak zobaczył, że ich wizje przyniosły im jedynie korzyści. Obejrzał się na wieżę, która była ogromna i w której zgodnie z jego

obserwacjami mieszkali tylko łań i Luz.

Tyle bogactwa do rozdania.

„Raj” powiedział kamieniarz.

Ale czy rzeczywiście? Gdzie jest sad, który dostarcza tego wszystkiego? Ta wieża musi kryć w sobie o wiele więcej, niż pozwolono im zobaczyć. Muszą istnieć odpowiedzi, których nie otrzymali, pytania, których nie zadawali.

Były też wizje i wyjaśnienia prowokujące kolejne pytania. Przesłaniem Luz była śmierć.

• Dali nam za darmo jedzenie i wodę - wychwalał Tofi ich gospodarzy - i te ubrania, i tyle jedzenia, ile chcemy. Jedzcie. Bierzcie, co chcecie. - Tofi podniósł ze stołu chleb, żeby im go pokazać. - Cokolwiek zjemy, dają nam tego więcej. Nic się nie psuje. Nie przychodzi tu żadne plugastwo.

• Ilu tych obcych widzieliście? - zapytał Marak.

• Tych, którzy przynoszą nam jedzenie i odwiedzają nas? To ludzie, jak my. Są zewsząd, także z Pori i z plemion. Są tu Malin, Kassan i Foragi, widziałeś ich? Nie pamiętają, jak znaleźli to miejsce. Obudzili się tutaj, w białym namiocie.

Wszyscy szaleńcy. Wszyscy, którzy wywędrowali z wiosek, nakarmieni, odziani i bezpieczni - jeśli przetrwali na pustyni.

Marak był oszołomiony, czuł przesyt tą szczęśliwą paplaniną.

Hati i Norit zostały porwane w wir pytań i szczegółów dotyczących owego bogactwa, au'it usiadła i otworzyła księgę, by zapisać te cuda, a Marak, czując nagłą potrzebę ucieczki, wyszedł na słoneczny żar, gdzie przysiadły zwierzęta, nakarmione i zadbane, przy stawie pełnym wody, który nie miał prawa tu się znajdować.

Słońce grzało mu ramiona. Idąc po niezliczonych śladach stóp na piasku, wspiął się po pochyłym piaskowcu, by zyskać lepszy widok i poczuć dotyk rozgrzanego słońcem wiatru tego świata.

Musiał zapytać samego siebie i swoje demony, co powinien zrobić z ostrzeżeniem Luz, co jest prawdą, co jest bezpieczne, a co mirażem zabijającym głupców, którzy w niego wierzą... tego właśnie szukał, zwykłej samotności, na bezpiecznym, uczęszczanym szlaku.

W miarę jednak, jak wchodził coraz wyżej, dostrzegał coraz szerszy poblask bieli. Po drugiej stronie wzgórza, na którym stała wieża, rozciągało się na piasku miasto z białego płótna.

Białe namioty. Schronienie. Ludzie. Rzeka wody obramowana zielenią, ocieniona przez palmy.

Marak usiadł. Nawet nie zwrócił uwagi, kiedy to zrobił. Po prostu siedział i wpatrywał się w ten obraz z osłupieniem, które stopniowo brało go we władanie niczym zimno wypływające spod namiotów.

Rozległy się za nim kroki, tak zwyczajne, że nie zareagował na nie. Do Maraka podeszła i usiadła przy nim Hati, a potem No-rit, a potem to samo zrobiła au'it. Przez dłuższą chwilę nie odzywało się żadne z nich; patrzyli na ten obraz, wyraźny dowód, że to, co mówiła Luz, przynajmniej częściowo jest prawdą.

Nie mógł nie wypróbować tej wizji. Wstał i zaczął schodzić po pochyłości piasku nagromadzonego pod piaskowcem dobrze ubitą ścieżką, która doprowadziła go do tych porządnie ustawionych, białych namiotów. Hati poszła za Marakiem, a za nimi Norit i au'it, aż do skraju obozowiska, gdzie znajdował się staw o zielonych brzegach. Wokół niego chodziły swobodnie beshti; były bez kantarów i wyglądały tak, jakby do nikogo nie należały. Dzieci biegały, bawiły się i pluskały w wodzie.

Nagle przystanąły, wpatrując się w obcych. W darowanych szatach wyglądali jak wszyscy inni w zasięgu wzroku, lecz ich au'it się wyróżniała. Kiedy weszli między rzędy namiotów, ludzie przerywali pracę i ich obserwowali.

Ludzie ci byli podobni do mieszkańców wszystkich wiosek. Garncarz lepił garnki, tkaczka tkła. Ludzie zajmowali się zwykłymi czynnościami.

• Skąd jesteś? - zapytał Marak garncarza, a ten wskazał oblepioną gliną ręką na siebie i paru dorosłych wokół niego.

• Z La Oshai - powiedział, zerkając niespokojnie na au'it. Mówił o wiosce z północnego zachodu. - Moja żona pochodzi z Elgi. - Ta leżała na zachodnim skraju LakhL - Poznaliśmy się tutaj. A wy skąd jesteście?

• Kais Tain - odparł Marak. Poszedł dalej z Hati i Norit, a au'it szła za nimi. Pytał o imiona, o pochodzenie. Ludzie stanowili tu zbieraninę i o ile mógł stwierdzić, tak było w całym obozie.

• Spadnie ogień - powiedział nagle jeden z tkaczy, wymieniwszy nazwę swojej wioski. - To jedyne bezpieczne miejsce. To jedyne miejsce.

-Jesteś tu szczęśliwy? - zapytała Norit i pełen wyraźnego niepokoju uśmiech mężczyzny zniknął.

• Chciałbym, żeby tu przyszła moja żona. Chciałbym do niej pójść i jej to powiedzieć.

• A nie możesz? - zapytał Marak.

- Nie znam drogi.

Był to jedyny przejaw smutku, z jakim się zetknęli w tym miejscu; był on nadto bolesny i przypominał o tym, co mówiła Luz, że wszyscy, których tu nie będzie, zostaną zaatakowani i że nikt ich nie uratuje.

Marak odwrócił się i wyszedł na słoneczny żar. Wrócił do stawu, wszedł na grzbiet wzgórze, a Hati, Norit i au'it podążały jego śladem.

Stał się nicością, tabliczką z piasku, na której nic nie było napisane.

Ten nieszczęśnik wśród namiotów, tkacz, nie miał pojęcia o kierunkach. Może przyszedł tu za wizją. Nie miał nikogo, kto zaprowadziłby go do domu, do żony.

Marak wspinał się po piaszczystej stromiźnie na grzbiet i popatrzył na bogactwo większe, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał, na wodę obramowaną zielenią, na setki białych namiotów, oraz na setki ludzi wyrwanych ze swego życia i przeniesionych do raj...
był to jednak raj bez ukochanych osób. Żadna wioska, żadne miasto, żadne plemię nie miało pojęcia o Luz i o tym miejscu.

„Spadnie ogień”, usłyszał Marak w głowie i nagle pojawiła się wizja, głaz i lśniaca kula.

Marak, powiedziała kula. *Marak, Marak*, stary refren, stary niepokój. Spokój nie dawał tu pociechy.

- Muszę wracać - powiedział do Hati, Norit i au'it. - Szaleństwo mnie nie opuści. Muszę iść. Muszę zdać relację z tego, co tu zastałem. Moja matka i siostra, żona tego człowieka... kto im powie, jeśli nie pójdę?

Zszedł po zboczach ku własnemu obozowi, pod biały namiot, a Hati i Norit usiłowały dotrzymać mu kroku: nie dały się odstraszyć deklaracją szaleństwa. Przyłączyła się do nich też au'it i tak utworzona grupa wtargnęła jak nóż prosto w serce ich niewielkiego obozu. Marak sądził, że będzie sam. Chciał być sam w swoim szaleństwie.

Natknął się na Tofiego, który radośnie uniósł ku niemu kosztowny kielich.

• A więc widziałeś ten widok z grzbietu. Podobno dołączymy do reszty. Czekaliśmy na ciebie. Siadaj i napij się.

• Potrzebuję zwierząt - powiedział Marak - mojego i dwóch zwierząt jucznych, palików i płócien.

Bez względu na to, jak bolesny był jego wybór, miał coraz większą pewność, że jest słuszny. Doprowadził szaleńców i zagubionych do bezpiecznego miejsca, a z uszami pełnymi hałaśliwych głosów i niepokojem, jaki zasiała w nim Luz, nie mógłby tu zostać, pasąc się dostarczoną karmą jak zwierzę. Nigdy nie potrafił siedzieć z założonymi rękami i czekać, by na stole ładowały słodkie owoce.

Ale wyruszyć stąd? Luz chciała jego bezwarunkowej zgody, całkowitej wiary; nie dał tego nawet własnemu ojcu. Kim są łan i Luz, by o to prosić?

Kielich zatrzymał się po drodze do ust Tofiego, który opuścił go na kolano i zapytał, błyskawicznie wytrzeźwiający:

• Dokąd się wybierasz?

• Z powrotem - odparł Marak, a Tofi wyraźnie się przestraszył. - Do Oburanu.

• Bez przewodnika?

• Znam gwiazdy. Potrafię znaleźć drogę.

Wiedział, że Hati i Norit stoją obok niego, ale one nic nie mówiły. Poinformował Tofiego, co zabiera, i poszedł odszukać wśród rozleniwionych zwierząt Osana.

Przyprowadził go do miejsca, gdzie na nietkniętym bagażu leżały siodła.

Na spotkanie wyszła mu Hati. Na ramieniu niosła swoje siodło, a drugą ręką ciągnęła siodło Norit, która szła za nią.

• Dokąd jedziesz? - zapytał.

• Do Oburanu - odparła Hati. - Norit też. A ty?

Na chwilę zabrakło mu słów, a potem wzruszył ramionami i powiedział ze ściśniętym gardłem:

- Chyba do Oburanu.

Hati poszła po wierzchowce dla siebie i Norit. Tak po prostu. Marak znalazł swoje siodło, wybrał trzy siodła juczne, swój zwinięty namiot i bukłaki, wciąż pełne wody z Pori. Nadszedł Tofi z niewolnikami.

• Jeden namiot - powiedział Marak. Zamierzał zabrać własność Tofiego bo nie widział żadnego powodu, by ten zabronił mu korzystać z tego, co było nieużywane, zbyteczne w raj.

• Mówisz, że jedziesz do Oburanu.

• Tak - odparł Marak. - Hati i Norit też, i au'it też jedzie. Jeden namiot. Pięć, sześć zwierząt.

Tofi zmarszczył brwi i spojrzał na horyzont, a potem znów na Maraka, jakby przygotowywał się do targów.

- Jestem głupcem — rzekł w końcu, wzdychając. - Mój ojciec jednak powiedział Iii, że wróci. Inaczej nie da mi spokoju. To przeklęty starzec. Tak jak moi bracia.

Tofi mówił o nich, jakby wciąż żyli, i patrzył na pusty horyzont, ale może coś tam widział. Istnieje wiele rodzajów szaleństwa.

-Ludzie w wieży mówią, że świat się kończy - zauważył Marak - i że musimy wszystkich ostrzec.

- Słyszeliśmy o tym - rzekł Tofi.

- Ja to widzę - powiedział Marak. - Hati, Norit i ja, wszyscy troje to widzimy.

Tofi wzruszył ramionami.

- Ja nie. Ale ja nie jestem szalony.

- Więc tu zostań. Tu będzie bezpiecznie. Przynajmniej tak mówią. - Po chwili dodał, zerkając ku wieży: - Pozwolą ci zostać. Nie musisz być jednym z nas.

- Może nie, ale nie jestem też jednym z nich. Boję się. Nie mówię, że nie. Nie ma tu jednak dla mnie nic, dopóki nie zakończę tej podróży. Wciąż słyszę mojego staruszka... jak wy wasze głosy. Mówi: „Wstawaj, wstawaj, wstawaj, chłopcze. Jeszcze tu nie skończyłeś” Wstydzi się mnie. Jeśli ktoś wróci, by dotrzymać umowy, a ja tego nie zrobię, to wiem, że nie da mi spokoju.

Głaz uderzający w kulę, uderzający po wielokroć. Marak zamrugał, czując wewnętrzny chłód.

- Możesz zginąć. Ludzie w wieży mówią, że już się ku nam zbliża jakaś katastrofa. Możemy nie zdążyć dotrzeć do miasta, a co dopiero tu wrócić.

- Nie szkodzi - odparł Tofi. - Wszyscy inni nie żyją. - Wciąż cierpiał i przez chwilę odzwierciedlało się to w drzeniu jego podbródka. - Zrobię to, powiadam. Wtedy mój ojciec się zamknie.

- A zatem jest nas pięcioro - stwierdził Marak.

- Siedmioro - poprawił go Tofi. - Ci niewolnicy należeli do mojego ojca. Teraz są moi. Nie odjadę bez nich. Są mi coś winni. Są mi winni ich nędzne żywoty. Spłacą mi ten dług bez względu na to, gdzie skończymy.

Rozdział 11

, Jla ani się nie starzeje, ani nie podlega chorobom: z niej wypływa całe życie, a życie i zdrowie jest jej darem dla tych, co przestrzegają jej praw".

- Księga Kapłanów

Tofi sprzeczał się z niewolnikami. Przymiłał się, podnosił harap, groził.

- Pakujcie się - mówił. - Tu jesteście głupcami. Nie macie za wodu, nie macie krewnych. - Nic nie wskórał. - Kiedy dotrzemy do Oburaniu, uwolnię was. Jak wrócicie, będziecie wyzwoleńcami.

Żadnej reakcji.

- Niech was, po wyzwoleniu będę wam płacił pensję! Niewolnicy spojrzeli po sobie i zaczęli się podnosić.

- Ruszać się! - krzyknął Tofi. Posłuchali i zabrali się do pracy.

Wzięli wszystkie beshti, cały dobytek Tofiego. Zwierzęta nie były zadowolone, że ktoś czegoś od nich chce, ale nie bardziej niż zwykle. Były wypoczęte, napojone i przez kilka dni pobytu pod wieżą jadły do woli. Ich całe życie sprowadzało się do napychania żołądków i ruszania w drogę, a teraz pakunki były lżejsze; dzięki prostemu zabiegowi umocowania dwóch długich palików przy każdym wolnym siodle sprzęt został rozdzielony między wierzchowce nie niosące jeźdźców. Ładunki stały się tak lekkie, że biorąc pod uwagę siłę beshti, zwierzęta pewnie w ogóle nie czuły ciężaru.

Szaleńcy wylegli, by popatrzeć. Niektórzy domyślili się, że ktoś odjeżdża, i proponowali swoje towarzystwo.

Kiedy jednak wszystko zostało już powiedziane i ustalone, wszyscy co do jednego wybrali suto zastawione stoły i obietnice bezpieczeństwa. Gdy cała siódemka odjeżdżała, ich byli towarzysze ustawili się szeregiem przed chłodnym skrajem namiotu, machając i wykrzykując życzenia powodzenia. Maol, jedna z dwóch kobiet Tofiego, pobiegła za odjeżdżającymi, by podać im świeże owoce na podróż i wylać nieco łez z powodu rozstania.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję za życie.

Pozostali tylko patrzyli na odjeżdżających, zupełnie jakby chcieli dać do zrozumienia, że uważają

swoich byłych przewodników za najbardziej dotkniętych szaleństwem z nich wszystkich.

Za namiotami zwierzęta szły już normalnie, dzięki czemu mogły pokonywać dzienne tak wielkie odległości. Niewolnicy jechali na końcu, obładowani żywnością, którą ochoczo jedli, przez nikogo niepowstrzymywani. Wody mieli więcej, niż jej potrzebowali, by dotrzeć do Pori, a żywności dość na całą drogę; mieli też całe bogactwo namiotów Tofiego.

Pogoda była piękna.

Kiedy zatrzymali się na popas tego południa, rozbili tylko jeden namiot, podgrzali wodę na herbatę i kolację, a resztę bagaży przygotowali do umocowania na grzbietach zwierząt. Au'it wciąż pisała, rzadko unosząc głowę. Pracowała w wielkim pośpiechu i skupieniu. \

Niebo miało kolor czystego błękitu i było wolne od pyłu. Wiał delikatny wiatr, dający lekki przewiew pod płótnem. Jeżeli nawet światu groziła zagłada, to dzień ten był niezwykle piękny, spokojny i wolny od wszelkiej rozpacz.

Luz powiedziała, że czas już się skończył, a Norit to słyszała. Może jednak mieszkańcy wieży nie byli nieomylni albo po prostu kłamali, by zwabić w tę rajską pułapkę wszystkich innych?

Marak pomyślał, że jeśli istnieje ktokolwiek, kto mógłby coś wiedzieć, to prawdę o tym wszystkim powinna znać Ila. Musi istnieć jakieś wyjście, coś poza zakładaniem rąk i siedzeniem pod białymi namiotami.

Świat ma być zdmuchnięty? Wygaszony przez jakiegoś bezimiennego wroga? Przez tych ondat? A oni powinni go oddać na jedno słowo Luz?

Marak nie zgadzał się na to. Nie chciał się zgodzić. Spróbuje uratować świat.

Leżąc tak obok Hati i Norit, czuł, jak zamykają mu się oczy. Właściwie to tak naprawdę od dawna nie spał naturalnym snem i teraz ogarniało go nieodparte zmęczenie, jak narkotyk.

Wtedy usłyszał głosy: *Marak, pośpiesz się. Pośpiesz się, Marak.* Nie miał sił, by otworzyć oczy. Niczym koszmar pojawiła się wizja.

Wielkie obiekty uderzały o siebie raz po raz, bez końca. Marak znajdował się na jednym z nich, który wciąż spadał i spadał; kula stała się ładem i pustynią, a pustynia wybuchnęła fontanną piasku, kłębiącego się jak chmura, pędzącego nad ziemią, nad wydymami i wioskami.

Pojawiła się nowa wizja: przez pustynię, po czarnych, spalonych skałach płynęła woda. Jakiś strumień spadał wodospadem. Marak słyszał kapanie kropel, szum i bulgotanie wody płynącej po skałach i wpływającej do wielkiego zbiornika wody, który wciąż się powiększał.

Widział dom swego ojca w Kais Tain, wiosce zbudowanej z błotnych cegieł i rozłożonej wokół ogrodów o głęboko sięgającym podłożu oraz studni, z których pochodziły te dźwięki, te cudowne, bogate dźwięki, tak przerażające we śnie.

Marak odwiedził własne pokoje i słyszał śmiech kobiet przygotowujących posiłek dla całej rodziny - na stole pojawiało się zawsze dużo jedzenia. Zawsze były dzieci.

Widział podwórko przy stajni i zwierzęta, które kochał; jego siostrzyczka Patya karmiła Osana z ręki. Musiała się nauczyć wyginać dłoń, bo inaczej straciłaby palce. Śmiała się, czując dotyk niecierplivej wargi Osana. Ten śmiech przesładował Mara-ka i przypominał mu, że ostatnio w jego domu nie wszystko szło dobrze.

Nie widział matki ani ojca. Poszukał ich w domu.

Ze skał górujących nad zabudowaniami spływała o każdej porze roku wystarczająca ilość wody; gromadzili ją w drugim zbiorniku. Z niego przepływała do ogrodu, który uprawiała cała wioska. Każdy dom miał własne drzewo i pnącza i wszyscy widzieli, które rośliny są czyje i czyje rosną najlepiej. Gospodarze dzielili się takimi sekretami oraz nadwyzkami plonów. Zanim wioska sprzedała jakąś żywność, najadała się sama. Taki był zwyczaj.

Pnącza i krzewy wielkiego domu też rosły w ogrodzie oddzielnie, i opiekowało się nimi kilkoro niewolników, a według domowych zapisów - wyzwolenców. Bardzo jednak lubili swoją pracę w ogrodzie i świadectwem ich wolności było to, że wykonywali pracę, którą kochają. Marak nauczył się od tych mężczyzn i kobiet, że skoro nie mogą być właścicielami ogrodu, to będą najbardziej szczęśliwi, pracując w nim za rozsądne wynagrodzenie i część owoców. Byli bogatsi od Iii w jej pałacu, mądrzy w swojej dziedzinie, szanowani w całej wiosce za rady i umiejętności ogrodnicze.

Poza ogrodem nie mogli jednak o niczym decydować... i nie mieli żadnej władzy nad własnym losem.

Tain natomiast urodził się do sprawowania władzy. Tain musiał utrzymywać swoje zdobycze siłą, walcząc z tymi, którzy chcieli odebrać ludziom jedzenie, walcząc z bandytami i poborcami podatków Iii; Tain więc walczył, a pod jego rozkazami walczyli wieśniacy i okoliczni mieszkańcy. Niektórzy ginęli, zostawiając po sobie wdowy i dzieci, które bez pomocy Taina nie dałyby sobie rady. I w końcu

Tain wyrzucił swoją żonę i syfia.

Może lepiej byłoby być takimi wyzwolonymi niewolnikami, cieszącymi się swoimi pnączami i wzajemnym towarzystwem. Mieli tyle owoców, ile chcieli... a to było lepsze pożywienie niż to, jakie stanowiło codzienną strawę wielu osób. Mieli pewność, że będą spać w łóżku, i codziennie wiedzieli, co mają robić, to znaczy przycinać pnącza i pielęgnować drzewa. Każdy rok ich życia był taki sam, jak poprzedni.

Tak wyglądało życie szaleńców pod wieżą: stoły zastawione wszelakim dobrem, a praca tylko w razie potrzeby. Mieszkańcy białych namiotów przynieśli ze sobą nazwy swoich wiosek. Uprawiali swoje zawody. Pobierali się, płodzili dzieci i być może zobaczą, jak one dorastają.

Skąd jednak brały się prawa, kto przygotowywał jedzenie i jeśli nadejdzie katastrofa, jak długo będzie do niego taki łatwy dostęp?

Skoro zależy to od dobrej woli Luz i lana, jak długo będą jedli tak dobrze i mieli wszystko, czego zapragną?

Marak obudził się z mocno bijącym sercem i niejasnym poczuciem winy, że nie namawiał szaleńców do towarzyszenia im w drodze. Jemu raj nie wystarczał. Wydawało się, że nie wystarczał też Norit i Hati ani Tofiemu. A już najmniej au'it, całkowicie oddanej Iii.

Co jednak wystarczało? Co mogłoby uwolnić Maraka od tych snów, tych głosów, tej naglącej potrzeby działania, ucieczki, ruchu?

Późnym popołudniem bardzo szybko się spakowali i całą noc jechali tym samym szybkim tempem. Przed południem rozbili obóz.

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy, jakby niezadowolone z popasu. Głosy, które słyszał w ciągu dnia, brzmiały jak głos Luz; kiedy rozbijali namiot, Marak zakrył uszy dłońmi, starając się nic nie słyszeć, i mocno zacisnął powieki, aż w oczach zamigotało mu czerwienią.

Musimy spać, pomyślał ze złością na Luz. Chciał, by zrozumiała, by choć trochę pojęła, że wymaga od niego wysiłku przekraczającego jego wytrzymałość, lecz Luz nie dała najmniejszego znaku, że go słyszy.

Z nieba spadnie woda, powiedziała mu Luz, kiedy rzucał się i przewracał z boku na bok, usiłując zasnąć.

Hati obudziła się i objęła go; wtedy starał się już nie ruszać, ale głosy nie milkły.

- Słyszysz głosy? - zapytał Hati.

- Tak - szepnęła w odpowiedzi. - Słyszę obietnice. I groźby. To chyba Luz. Co to za miejsce, gdzie znajduje się tylko dwoje ludzi, a ono jest tak ogromne? To bez sensu.

Norit tymczasem spała. Marak przytulił Hati i spróbował zasnąć, ale wstał wcześniej, kiedy słońce jeszcze paliło, i zbudził Tofiego oraz niewolników. Trzeba było jechać dalej.

Zwierzęta były niezadowolone. Tofi narzekał, że się nie wyspali. *Spiesz się, spiesz się, spiesz się*, mówiły głosy. Luz dręczyła ich groźbami, wizjami, obietnicami; Norit też cierpiała, a z jej oczu wycierały zmęczenie i troska.

Dotarli do stromizny, prowadzącej na Lakht, i do ścieżki, na której stracili zwierzę.

- To tu upadła besha - rzekł Tofi, wskazując ręką. - To nasz szlak.

Spojrzeni w górę, lecz na rumowisku nie zostało nic, ani jedna kość, kawałek materiału czy resztki siodła. Nie było też śladu plugastwa. Pożywiło się i rozproszyło... może walczyło między sobą. Osobniki pozostałe przy życiu najadły się. Oprócz pojedynczej jasnej rysy na stoku, gdzie naruszony łupek świadczył o śmiertelnym ześlizgu zwierzęcia, krusząca się skała nie zdradzała śladów minionej tragedii.

Tak jak liczyli, do stóp wzniesienia dotarli przed południem. Zsiedli z beshti i prowadzili wierzchowce, wspinając się z dużą ostrożnością: ktokolwiek wyznaczył tę niepewną ścieżkę - prawdopodobnie myśliwi z Pori - ubił kruchą skałę, a oni sami ubili ją po drodze do wieży jeszcze bardziej, lecz była stroma i wąska, i nie można było sobie pozwolić na żadne potknięcie, a wierzchowce miały skłonność do tłoczenia się za zwierzęciem znajdującym się wyżej.

Niewolnicy, idący na samym końcu, wcale nie pomagali.

- Głupcy! - zawołał Tofi, spojrzawszy w dół. Ryzykując żyć cie, szedł ze ścieżki, by przytrzymać jedno zwierzę, dopóki je go poprzednik nie zrobi mu miejsca.

Dotarli na grzbiet. Znaleźli się na Lakht. Tofi, w zszarganym i zakurzonym ubraniu, wszedł na grzbiet ostatni.

- Powiedziałem, żebyście szli przed nimi! - krzyknął na niewolników. - Kazałem je przytrzymywać! Mówiłem, że macie być przejściem, a nie otwartą bramą! Czy mam uwolnić głup

ców? Jak będziecie żyć na tym świecie?

Skarceni niewolnicy zwiesili głowy, ale Marakowi przyszło z nagłą siłą na myśl, że Tofi wierzy w przetrwanie świata i że on sam w to wierzy w głębi serca... podczas gdy jeśli Luz ma rację, to nie będzie dalszego ciągu, zginie znany im porządek życia...

Jeśli Luz ma rację, obietnice Tofiego są mirażem, obietnice Tofiego, przekonania Maraka... wszystko to jest mirażem, wszystko to jest ślepą wiarą. Po odpoczynku pełnym koszmarów i wizji pytanie Tofiego trafiło Maraka niczym kamień rzucony w serce i na chwilę go ogłuszyło: „Jak będziecie żyć na tym świecie?”.

Jak sobie poradzicie ze zmienioną pustynią, wrogiem i ochroną Luz?

Co Marak powie Iii, jeśli uda mu się do niej dotrzeć?

Czy Luz mówi prawdę? To będzie pierwsza kwestia.

Znaleźć matkę... tam właśnie się uda.

Tylko po co? Dla jakiego lepszego życia?

Marak usiadł na płaskiej półce skalnej i usiłował nie szukać odpowiedzi na dręczące go pytania. Musiał odpocząć; wszyscy musieli odpocząć. Zwierzętom drżały po wspinaczce nogi, więc przysiadły na ziemi. To nie pora na długie rozmyślenia, które mogły doprowadzić jedynie do rozpacz.

- Powinniśmy rozbić namiot - powiedział Tofi, podchodząc do Maraka. - Mamy mnóstwo wody i jedzenia. Słońce nie jest jeszcze w zenicie, ale rozsądnie byłoby się zatrzymać.

Czy rzeczywiście? Skoro Luz mówiła, że już może być za późno na dostarczenie ich wiadomości? Rozpacz i chęć wyruszenia zmagaly się w umyśle Maraka jak zimno i gorączka, grożąc wybuchem paniki.

Nie ma sensu okulać zwierząt, a ludzi doprowadzać do skrajnego wyczerpania. To na pewno nikomu nie pomoże.

- Rozbijcie namiot - polecił Marak i postanowił już tak nie pędzić, ale systematycznie przeć do celu. Nocą dotrą do Pori i aż do Oburanu mogą liczyć na nieprzerwaną podróż: ponieważ wciąż mają dostateczną ilość wody i mnóstwo zapasów, nie będą nigdzie skręcać ani zatrzymywać się przy studniach. Mieli dobry czas, już skróciwszy podróż o dwa dni.

Kolację spożyli w palących promieniach południowego słońca, które wkraadały się pod połę namiotu. Zjedli dobrą, nawet wystawną kolację, a potem położyli się spać.

Jednak wczesnym popołudniem Norit gwałtownie usiadła na posłaniu, budząc Maraka i Hati.

• Nie powinniśmy jechać do Pori - rzekła.

• Nie jechać do Pori - powtórzyła ze zdumieniem Hati; był to ich główny wodopój w drodze do świętego miasta. Marak na wpół spał i musiał zmusić swój mózg do logicznego działania.

• Nie powinniśmy tam jechać - powtórzyła szeptem Norit i zapatrzyła się w dal, na coś, czego nie mogli dostrzec. - Kiedy

sprowadzimy pozostałych, Pori będzie nam potrzebne, ale nie teraz. Jedźcie na północ.

To nie Norit miała im wydawać rozkazy. Do tej pory rzadko się wypowiadała. Marak przykląkł na jedno kolano, wyciągnął rękę i delikatnie obrócił głowę Norit ku sobie, tak by na niego patrzyła.

- Nie ma czasu - powiedziała. - Nie możemy czekać. Obierzcie szlak północny. Tofi będzie go znał.

Od kiedy Norit zna jakieś szlaki na Lakht?

• Luz! - zawołał Marak; Norit zamrugła i głęboko zaczerpnęła tchu.

• Posłuchajcie mojej rady - rzekła Norit, unosząc podbródek, jakby była bogiem na ziemi.

Wysunęła ramię spod jego ręki, jakgdyby miał ją skazać swoim dotykiem.

Zaniepokojona Hati położyła dłoń na nożu, ale Marak mocno chwycił Norit za rękę.

• Obudź się - nakazał i Norit zamrugła dwa razy, jakby zdumiona swoim zachowaniem; wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

• Mówiła przez ciebie Luz - stwierdziła Hati.

• Słyszałam - odparła Norit. Zadrzała i sięgnęła rękoma do włosów, które zaczęła ścisnąć i szarpać z rozpaczą. - Ja ją słyszę. Nie chcę jej słyszeć.

• Niech diabli wezmą Luz - rzekł Marak. - Pojedziemy do Pori. Nieważne, czego chce Luz.

Norit zerknęła na niego z przerażeniem.

- Nie - powiedziała.

Wszystkich troje przeszył ból, wypełniając całe ich ciała. Marak został sprowadzony do

bezrozumnej istoty, tarzającej się na ziemi tam, gdzie upadła. W oczach błyskały mu światła, a bębni uszu kaleczył ryk.

- Słuchaj rady - odezwała się ostro w tym hałasie Luz, podczas gdy Norit pochylała się nad Marakiem z rzadką u niej gwałtownością. - To się już zaczęło! Nie mogę tego powstrzymać! Rób, co każę!

Marakiem wstrząsał ból. Z trudem wstał, przerażony i zły. Wyszedł spod namiotu na słońce i na oślepie zaczął kopniakami oblu-zowywać paliki, zanim jeszcze niewolnicy zebrali swoje rzeczy.

- Zaczekaj, zaczekaj! - krzyknął Tofi, wymachując rękami. - Co jej się stało? Co się stało wam wszystkim?

Marak wiedział, że jego czyn jest równie szalony, jak to, co robiła Norit. Ból dotarł mu do uszu, pod czaszkę i uderzał weń falami. Z rozrzuconymi ramionami zawirował wokół własnej osi, patrząc w oko niebios, jakby leciał, jakby podtrzymywało go tylko błękitnobiałe powietrze, jakby tkwił między młotem słońca a kowadłem ziemi. Chciał się rzucić na ziemię i umrzeć, nim całkowicie oszaleje. Chciał rzucić się ze skał, nim stanie się bezrozumnym niewolnikiem głosów.

- Nic nie dostaniecie! - krzyczał w niebo. - Nic ode mnie nie dostaniecie!

Ból głowy przerodził się w ból piersi, kręgosłupa i wnętrzości, a ryk w uszach rozpałił się słonecznym blaskiem. Marak wirował, aż wreszcie padł na ziemię.

Leżał na spalonym słońcem piasku, cały, nie połamany.

Wtedy odezwała się Luz: *Posłuchaj mnie. Istnieje zagrożenie dla życia. Już się zaczęło. Ktoś się zajmie Pori. Idź na północ, omijając niebezpieczeństwo.*

Hati położyła sobie na kolanach jego głowę, oceniając go własnym ciałem, chłodząc mu twarz drogocenną wodą.

- Marak. Marak. Obudź się. Obudź się! Nie opuszczaj nas.

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas.

- Marak - powiedziała Hati z przestachem w głosie. - Obudź się, Marak. Słyszysz mnie?

Nie mógłby opuścić zagubionej Hati. Nie mógłby opuścić Norit opętanej przez diabły, nie rozumianej przez nikogo.

Odetchnął głęboko kilka razy i powoli zamrugał, wpatrzony pod słońce w pograżoną w cieniu twarz Hati. Za jej ramieniem dostrzegł Norit, niewyraźną dla oślepionych oczu pospolitą, słodką kobiecą twarz i rozczochrane włosy ujęte w słoneczną aureolę.

Podparł się z tyłu rękoma i dźwignął do góry, podsuwając pod siebie kolano. Pomogła mu Hati, a potem Tofi.

Spojrzał oszołomiony na Norit, zastanawiając się, czy patrzy jednocześnie na Luz.

Pomyślał, że jeżeli w tym ciele nie ma też jednocześnie Norit, to Norit nie miałaby się gdzie podziąć i cokolwiek nosi w sobie,

on nie może się zwrócić przeciwko niej. Nie miał dość mocy, by pozbyć się własnych wizji. Z pewnością nie miał jej dość, by uwolnić od nich Norit.

- Ominiemy Pori - powiedział do Tofiego, do Hati, do kogokolwiek, kogo to obchodziło. Wraz z tą obietnicą ucisk w jego głowie zelżał i Luz zamilkła. Tofi miał wystraszoną minę.

Marak wstał chwiejnie i potykając się, podszedł do namiotu, by kontynuować wrywanie palików z piasku. Wciąż był oszołomiony od patrzenia na słońce. I nie był przyzwyczajony do porażek.

Wspomnienie tego, co zrobił, paliło go wstydem.

Dlaczego? - pytał sam siebie. Dlaczego?

Tofi wrzasnął na niewolników, by pomogli Marakowi, i sam wziął się do pracy. Przyłączyły się też Hati i Norit; wspólnie złożyli i spakowali namiot. Przymocowali bagaże na grzbietach zwierząt, które następnie poderwali na nogi.

- Ten szlak północny - zagadnął Marak Tofiego. - Znasz go?

- Jest skrót przez płaskowyż - odparł przewodnik. - Ojciec nigdy nim nie jeździł. Mogę spróbować go znaleźć.

Spróbować, w bezlitosnej głuszy. Marakowi wydawało się jednak, że Tofi wie, co mówi.

I Luz znała tę drogę. Luz dokładnie wiedziała, gdzie się znajdują i dokąd ich posyła.

Tofi miał zatroskaną minę i wyraźnie chciał usłyszeć: „Nie, nie, wybierzmy rozsądną drogę”, ale czekał na próżno.

- Mamy wskazówki - powiedział Marak. Nigdy w życiu nie był bardziej zły, ale też nigdy w życiu

nikt nie zasługiwał na je-gb prostą odpowiedź bardziej niż młody Tofi. - Ta kobieta z wieży przemawia do Norit. Nie ufam jej, ale każe nam jechać do Oburanu. Przynajmniej w tym się zgadzamy.

- Chyba mamy dość wody, by móc popełniać błędy - rzekł słabym głosem Tofi, potrząsnął głową i podszedł do swego wierzchowca.

Podsadzili au'it na siodło i pomogli wsiąść Norit, która wyglądała na oszołomioną i pełną wahania: bez względu na to, czy jej ciało zamieszkiwała Luz, czy Norit, mogły się połamać kości Norit, więc zmusili beshę to wstania i umieścili kobietę bezpiecznie na jej grzbiecie.

Kiedy wszyscy znaleźli się w siodłach, Tofi zwrócił się ku północy. Zwierzęta, które spodziewały się, że pójdą inną drogą, ryczały z niezadowoleniem pod niebiosa, jakby chciały powiedzieć, że pamiętają Pori, a głupi ludzie zapomnieli, gdzie jest woda.

Protesty stopniowo ustały. Słońce zaszło i zniknęło w złocistym zmierzchu.

- Patrzcie! - powiedziała Hati na widok spadającej gwiazdy.

Spojrzeli w górę, szukając spadających gwiazd, wróżących klęskę i zmianę, i zobaczyli jeszcze jedną, i trzecią, i czwartą.

A potem piąta rozciągnęła na niebie nierówną linię ognia. Zaniepokojone zwierzęta uniosły łby.

Szósta i siódma, równie jasne, zostawiły po sobie ślad od horyzontu po horyzont.

Marak patrzył na pierwsze spadające gwiazdy jak na ciekawostkę, ale teraz zobaczył, jak spada ósma, jasna i zostawiająca za sobą ślad.

Dziewiąta. Wśród gwiazd trzasnął grzmot i wszyscy podskoczyli, a potem roześmieli się, przyłapani na niemądrym strachu.

Wszyscy już widzieli spadające gwiazdy. Zdarzały się w szóstym i ósmym miesiącu, spadając gęsto co noc, ale, pomyślał Marak, to jest czwarty miesiąc, i to sam jego początek, a niebo raz po raz rozpala się jasnymi szlakami, przemieszanych z jasnymi, przerywanymi liniami.

Spadła jeszcze jedna gwiazda, tym razem z trzaskiem grzmotu, i rozprysnęła się w chmurę, która przesłoniła gwiazdy leżące na jej trasie.

- To będzie trwało - odezwała się Norit tonem zimnym i pewnym siebie, choć drżał jej podbródek. - To będzie trwało. Praw dopodobnie ominie Pori, lecz równina leżąca za oazą nie jest bezpieczna.

Ślady spadających gwiazd znaczyły teraz niebo tak gęsto, że Marak nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu widział coś podobnego. Cały czas na niebie pojawiały się kolejne gwiazdy, potem pięć, dziesięć naraz i z każdą chwilą przybywało ich szybciej, niż można było je policzyć.

- Czy to koniec świata? - zapytał Tofi. Objął rękami głowę, jak by to mogło uchronić go przed spadającymi gwiazdami. Kolejna, z tych jaśniejszych, przecięła niebo, ciągnąc za sobą długi warkocz ognia, i niewolnicy krzyknęli ze strachu.

- Nie zatrzymujcie się - rzekła Norit, i wtedy pojawiła się nowa, przytłaczająca wizja głazu wbijającego się w kulę, a potem roju głazów, raz po raz. - To najmniejszy z opadów. To się wydarzy tutaj, a po drugiej stronie świata będzie o wiele gorzej.

Marak prawie stracił równowagę, porównując głazy z wizji z gwiazdami spadającymi mu z oszałamiającą prędkością nad głową. Były tej samej wielkości.

A co to za kula?

- Spadające głazy - powiedział: nie umiał znaleźć innych słów na określenie tego, co widzi, a ich znaczenia nie potrafił przyrównać do żadnego ataku, jaki kiedykolwiek widział. - Kule.

- Śmierć nas wszystkich - jęknął Tofi, osłaniając głowę. Niewolnicy podjechali blisko do nich, pokazując największe gwiazdy, czekając na śmierć.

- Patrzcie! - wołali, nie mogąc się nadziwić. - Patrzcie!

Trwało to godzinami: czasami wydawało się, że spadają tysiące gwiazd naraz, aż całe niebo pokrywały smugi światła, chociaż już wschodziło słońce. Norit objęła się ramionami jak zbite dziecko i kiwała w siodle w rytm kroków beshy.

Słońce wstało i osiągnęło zenit.

Dotarli do płaskiego terenu i rozbili namiot, ale wbijając paliki, wciąż spoglądali na rozpalone do białości niebo. Stracili do niego zaufanie. Długo nie mogli zasnąć, a kiedy niebo zaczęło ciemnieć, obudzili się i wyszli z namiotu, by zwinąć obóz.

Spadła kolejna gwiazda, zwiastun następnej takiej nocy.

Niewolnicy krzyknęli. Au'it otworzyła swą księgę i zapisała upadek. Zaraz spadła jednak druga i

trzecia gwiazda.

- Ruszajmy - rzekł Marak do Tofiego. - Jeśli spadnie niebo, co na to możemy poradzić? Jedźmy.

Niewolnicy przystąpili do pracy, cały czas zerkając z przestrachem w górę, a zwierzęta, niechętnie do współpracy, stawiały zdecydowany opór, rycząc i nie pozwalając umocować ładunków.

Nagle na niebie rozległ się huk i beshti rozbiegły się w panice.

- Wiedzą, że zginą! - krzyknęli niewolnicy. - Wszyscy zgi niemy!

- Wyzwolę was teraz! - zawołał Tofi. - Będę wam płacił od tej chwili! Łapcie je!

Niewolnicy ruszyli biegiem. Hati dogoniła i złapała swego wierzchowca, wdrapała się na siodło i wyprzedziła większość sposzonych beshti, po czym zawróciła je uderzeniami harapa. Tofi wylewnie jej podziękował. Niewolnicy złapali pozostałe zwierzęta i przyprowadzili je z powrotem, ciężko dysząc i potykając się, prawdopodobnie zbyt zmęczeni i przerażeni, by usiłować na nie wsiąść.

Tymczasem z nieba nadal spadał deszcz ognia, a tam, gdzie wybuchła gwiazda, zawisła dziwna chmura.

Marak podsadził Norit i au'it na ich wierzchowce. Sam wsiadł na Osana, podczas gdy niewolnicy męczyli się z pakunkami; razem z Hati pilnowali młodszych zwierząt, a niewolnicy zmuszali starsze do klękania i troczyli bagaże.

Widząc, że inne zwierzęta spokojnie przysiadły, płochliwa młodzież zaczęła klękać z własnej inicjatywy, co było charakterystycznym postępowaniem tego gatunku.

Zwinęli namiot i załadowali na grzbiety beshti resztę bagażu.

A potem jak najszybciej ruszyli w drogę pod wałącym się niebem.

Rozdział 12

„Na popołudniowym niebie trzeciego dnia trzeciego cyklu pierwszej pory roku pojawiło się dziwne blade światło, a słońce wydało się zachodzić na wschodzie w pełnym blasku dnia. Światło wciąż przypominało zachód słońca i zanikało stopniowo tak, jak zanika blask zachodzącego słońca, lecz cały czas było blade. Władca plemienia zapytał babek, czy plemię powinno udać się w poszukiwaniu źródła tego światła, ale zbliżał się czas cielenia i babki orzekły, że taka daleka droga byłaby ryzykowna dla cieląt i ich matek. Władca plemienia zapytał, czy powinni powiedzieć wiosce, ale babki uznały, że wioskowy kapłan będzie sprawiał plemieniu kłopoty”.

- Ustne przekazy Andesarów

Niebo rozjaśniło się i z nastaniem dnia dotarli do zasadowej równiny. Nie potrzebowali wody, ale nawet w najbardziej rozpaczliwej sytuacji nie czerpaliby jej ze studni, którą mogliby tu wykopać. Wykorzystali po prostu kamienne podłoże do rozbicia południowego obozu z dala od łatwo przylegającego białego proszku. Au'it zasiadła do pisania, co pewien czas strzepując ze stronic księgi biały pył przyniesiony wiatrem.

Dwaj niewolnicy sprzeczekali się z Tofim, który przysięgał, że wcale ich nie wyzwolił, a tylko powiedział, że może to zrobić, jeśli złapią wszystkie zwierzęta, jednak Marak, który dostrzegł niezadowolone i zgryźliwe robotników, wziął ich stronę.

- Wyzwoliłeś ich. To wolni ludzie. Teraz muszą zarobić na swoje wyżywienie.

Żadnej ze stron nie spodobało się to do końca. Zwierzęta przysiadły, porykując ze złością, a Tofi i niewolnicy, teraz już wyzwolenicy, targowali się w palącym słońcu o płacę.

- Zapłać im tyle, ile płacisz każdemu najmnicie! - zaproponował Marak, by zakończyć spór. - I nic ponadto! - Wskazał au'it i zrobił gest, jakiego nie powstydziliby się sama Ila. - Zapisz to! Poza tym świat się kończy. Cóż znaczy jakaś drobna rozrzutność?

Au'it pisała.

Po raz pierwszy ubrał to w takie słowa. Niewolnicy zamilkli, podobnie Tofi. Kiedy zwierzęta zostały rozsiadane, a namiot rozstawiony, Tofi rozwiązał sznurek i odliczył złote pierścienie.

- Jeśli macie choć trochę rozsądku - mruknął do nowych wyzwoleńców - to nie wydawajcie tego na picie. Kiedy dotrzemy do Oburaru, kupcie jakiś towar i sprzedajcie go tam, dokąd po

jedziemy. Wiecie, jak to się robi. Choć świat się kończy, wciąż można robić interesy. Pomyślcie, czego nie mają białe namioty, kupcie to jak najtaniej, a potem sprzedajcie.

- Panie - wciąż tak go nazywali, kiedy byli z niego zadowoleni.

Odeszli i porównali swoje pierścienie, uszczęśliwieni, jakby świat mimo wszystko miał trwać.

Marak ułożył się obok Hati i Norit i, podniesiony nieco na duchu przez praktyczną wiedzę Tofiego, wyciągnął się wygodnie do snu. Tymczasem au'it oparła się ze swoją księgą o maszt namiotu i rozpakowała nową kostkę tuszu - zużyła już całą poprzednią, z której zostały tylko rogi. Naostrzyła nowe pióro.

Wszyscy byli wyczerpani pościgiem za przerażonymi beshti i obserwowaniem, jak niebo rozpada się na kawałki - tym razem przywiązali zwierzęta do długich palików, dzięki czemu mogli spać mocno i spokojnie.

Marak, odezwały się głosy, a Norit obudziła go potrząśnięciem.

Wciąż było dość światła. Rozespany Marak spojrział na kąt padania promieni słonecznych i skrzywił się, ale Norit już obudziła Hati i Tofiego.

Spiesz się, nagliły głosy, zbyt natarczywe, by mógł dalej odpoczywać. Tofi wyglądał jak żywy trup. Hati nachmurzyła się, a niedawni niewolnicy stękali i narzekali. Obudzili się jednak wszyscy. Mają powód, pomyślał Marak, po czym wstał i wyszedł na słońce, które pokonało tylko ćwierć swojej drogi od zenitu do horyzontu, oraz na powietrze wciąż drżące nad piaskiem.

Przeklinanie na nic by się nie zdało. Norit robiła to, co kazała jej Luz, i sama była wyczerpana. Złożyli swój jedyny namiot, objuczyli zwierzęta i, złani potem, wykopali paliki.

A potem rozpoczęli codzienny marsz ku zachodowi, pod niebem wciąż zbyt jasnym dla gwiazd. Marak spał, kiwając się w siodle. Hati i Tofi również drzemali, z przerwami, aż nieco odpoczęli, dzięki czemu poprawił im się nastrój. Norit też sobie radziła; przynajmniej opadała jej głowa, a Marak miał na nią oko, bojąc się, że może spaść. Nic się jednak nie stało i Norit w końcu się rozbudziła, przetarła oczy i osłoniła je aifadem. Trochę rozmawiali, urozmaicając sobie monotonię jazdy.

Po pewnym czasie Hati pokazała ręką coś, co Marak właśnie zaczął dostrzegać daleko na zachodzie, w blasku zachodzącego słońca. Była to szczególnie jasna smuga światła. Żadne z nich nie miało jednak pojęcia, co to takiego. Mimo kołyszącego kroku jej wierzchowca au'it pisała przy resztkach światła, ściskając swoją księgę, pióro i kostkę tuszu.

Słońce zaszło i pojawiły się gwiazdy, ale jasna poświata nie zniknęła.

- Jak ogień - odezwał się jeden z wyzwoleńców. - Co się tam może palić?

Nikt tego nie wiedział. W ciemności znów zaczęły spadać gwiazdy, ale nie te hałaśliwe. Spadały równomiernym, łagodnym, bezlitosnym deszczem.

• Czy spadną wszystkie? - zapytała w końcu z niepokojem Hati, przeszukując wzrokiem niebo. Pokazała jasną Almar. -Widzicie, Almar jeszcze tam jest.

• To nie gwiazdy spadają - odezwała się Norit. - Nie będzie wśród nich Almar.

• No więc co to jest? - zapytał Marak, zły nie na Norit, lecz na Luz. - Co to jest? Czy to kolejna wizja?

• Woda - odparła Norit. - Woda, żelazo... kamień i metale. Bogactwo żelaza.

Może odpowiedziała mu Norit z głębi swego szaleństwa. Albo Luz powiedziała nieprawdopodobną prawdę.

Nie dowiedzieli się, co tak płonęło. Następnego dnia, kiedy rozbili namiot i ułożyli się na swoich matach, Norit odwróciła się do nich obojgą plecami.

Marak i Hati spojrzeli pytająco po sobie, ale żadne nie miało pojęcia, co mogą dla niej zrobić. Marak wiedział jedynie, że Norit schwytana w pułapkę woli Luz cierpi, i ta świadomość nie pozwoliła mu zasnąć.

Zastanawiał się nad tym. Usiłował wymyślić, co ma robić.

Au'it spała. Tofi i jego ludzie spali. Nie było świadków. Marak uściskał dłoń Hati, jak towarzysz proszący towarzysza o pozwolenie, i przysunął się do Norit. Pogłaskał ją po ramieniu, a po chwili odgarnął jej włosy z ucha i szepnął:

- Norit. Chcesz się kochać?

Norit wzdrygnęła się i zasłoniła oczy.

Spotkał się z odmową, ale nie, jak sądził, ze strony Norit, która nie miała wyboru, jeśli chodzi o Luz czy wizje. Nigdy jeszcze nie zniewolił kobiety. Znał jednak spustoszenia wyrządzone przez

szaleństwo, wiedział, jak pożera ono sen i nie daje odpoczynku, jak zużywa ciało, nie dając mu żadnego ukojenia. Spostrzegł, że coś takiego dzieje się z Norit, objął ją więc i pocałował w usta.

- Puść mnie! - zawołała Luz. Uderzyła go nasadą dłoni, usiłując się wyrwać.

- Puść Norit - odparował; nie ustawał w wysiłkach, chociaż ciało Norit walczyło, a z jej ust wylewały się przekleństwa, jakich Norit nigdy nie używała, słowa nie mające sensu w żadnym dialekcie.

Szamotanina i krzyki Norit obudziły Tofiego, niewolników i au'it, która z przerażeniem patrzyła na to, co się dzieje. Czyż Marak nie potępił żołnierzy za właśnie coś takiego?

Nie tracił czasu na wyjaśnienia. Porwał Norit w ramiona i wyniósł ją, kopiącą i szamoczącą się, z namiotu. Położył ją delikatnie - ze względu na Norit - na ocienionym piasku i kontynuował dzieło.

- Niech cię diabli! - zawołała Luz.

Przestał używać siły dopiero wtedy, gdy Norit zaczęła go okładać pięściami i spazmatycznie chwytać powietrze, a potem

po prostu już leżała w jego ramionach, płakała i szlochała. Bardzo nie chciał jej skrzywdzić.

- Nienawidzisz mnie - łkała. - Nienawidzisz mnie!

- Nigdy, Norit - odparł i dodał szczerze: - Nie jestem tego pewien co do Luz.

Zamierzyła się na niego, ale z łatwością chwycił jej pięść, była taka mała i słaba. Uniósł jej twarz i usiłował zmusić Norit, by na niego spojrzała, ale zamknęła oczy.

- Powiedz mi prawdę, Norit. Powiedz mi prawdę. Słyszysz mnie? Spójrz na mnie i powiedz prawdę. Czego chcesz ty, a czego Luz?

Zacisnęła powieki. Nie wrywała się już, ale i nie reagowała, kiedy poprawiał jej ubranie i delikatnie przyglądał włosy. Nie miał pojęcia, co zdobył ani czy zdobył jakiegokolwiek wytchnienie dla Norit - liczył na to, że jeżeli uda mu się na godzinę sprowadzić ją z powrotem, to Norit może mieć jakąś szansę, a z tego, co kipiało mu we własnym umyśle, wiedział, że miała mniejszą szansę, jeżeli Luz jest tam zawsze.

Teraz jednak żałował swego czynu. Starał się pomóc Norit. Nie miał pojęcia, czy nie przestraszył jej zamiast Luz albo czy jej nie obraził, albo jaką zemstę mógł sprowadzić na nich wszystkich.

Zaprowadził ją z powrotem do namiotu i puścił, a ona usiadła na swojej macie. Najpierw długo wpatrywała się w płócienną ścianę, a potem się położyła, szczelnie owijając całe ciało szatą.

Tofi i jego ludzie prawdopodobnie nie spali, ale udawali, że jest inaczej. Au'it obudziła się i pisała w skupieniu.

Hati leżała z ręką pod głową, patrząc przez płótno na słońce.

- Luz mają przez cały czas - powiedział Marak, układając się obok niej. - Nie wiem, z którą miałem do czynienia. Usiłowałem pomóc. Chyba mi się nie udało.

- Norit wie, co robisz - zauważyła Hati. - Norit potrzebuje pomocy.

- Chyba tak, ale nie potrafi wypchnąć Luz.

- Norit nie potrafi odmówić nikomu, a już najmniej Luz. Ciebie jednak pragnie. Pragnie cię najbardziej na świecie.

- A co ja mogę zrobić? Jakie jest dla niej lekarstwo?

- Nie będzie go, dopóki Norit nie powie Luz „nie”.

Odwróciła się, rozwarła ramiona i mimo upału przyciągnęła Maraka do siebie.

Na ten drobny ruch Norit zerwała się, odepchnęła au'it, wytrącając jej pióro z ręki, i wybiegła z namiotu.

Marak i Hati też się poderwali, ominęli au'it, niemal potknęli się o Tofiego oraz jego pomocników i rzucili się za Norit, by ją zatrzymać.

Minęła odpoczywające zwierzęta, marnując w upale siły; Marak biegł przed Hati. Dalej znajdowała się skalna półka, na której nieostrożny krok groził upadkiem, i Norit biegła prosto ku niej, może wiedząc, co się tam znajduje, a może zapominając o niebezpieczeństwie.

Marak z trudem dogonił ją tuż przed krawędzią. Przewrócili się jak dżdżownicy na kamienisty grunt.

Ubranie uratowało skórę Norit, ale jej dłonie krwawiły. Krwawiła ręka Maraka. Norit ogarnęło szaleństwo. Kiedy wstał i pomagał jej zrobić to samo, mocno go uderzyła, a potem drugi raz, już bez przekonania.

- Chcę umrzeć! - zawołała, kiedy ją podtrzymywał, ale przy następnym oddechu odezwała się Luz, usiłując się wyprostować:

- Nie uda się jej. Nie pozwolę jej zrobić sobie krzywdy.

Wciąż trzymał Norit za nadgarstek. Podeszła do nich Hati, a za nią Tofi i jego dwaj ludzie. Na widok ich przerażonych min Marak potrząsnął głową i ruszył w

stronę obozu, prowadząc za sobą Norit.

Nic nie mówiła ani się nie sprzeciwiała, kiedy posadził ją na jej macie i ostrym tonem zakazał się z niej ruszać. Krew na rękach Norit była wciąż świeża, ale rany już przyschły, jakby miały kilka godzin.

Au'it nie odeszła daleko od namiotu. Obserwowała ich powrót, a teraz usiadła i z uporczywym skrzypieniem pióra opisywała rozpaczliwy bieg Norit ku śmierci.

Marak, Marak, Marak, rozbrzmiało mu w głowie. Spodziewał się odwetu, bólu, czegokolwiek, ale doświadczył jedynie naglącej chęci wyruszenia w drogę. *Śpiesz się, mówią głosy. Śpiesz się. Dosyć.* Znowu pojawiła się wizja spadającej gwiazdy.

Marak wyszedł na zewnątrz i z wściekłością kopał w paliki.

Tofi i Hati, którzy jeszcze nie weszli do środka, zaczęli mu pomagać. Szarpiąc jeden z palików, skaleczył się do krwi w rękę, ale ból ledwie do niego docierał.

- Niech ich diabli! - krzyczał w rozpalone do białości niebo. - Niech ich wszystkich diabli!

Nikt jednak nie odpowiadał, nikt nie podsuwał rozsądnych wyjaśnień. Hati weszła do namiotu po Norit, au'it i ich maty.

Namiot wydał się i spłaszczyl, byli niewolnicy złożyli go, spakowali i przymocowali na grzbiecie beshy w rzadkiej, pełnej przestrachu ciszy. Kiedy dosiedli wierzchowców i ruszyli w drogę, słońce stało jeszcze wysoko; zwierzęta, nieświadome błędów popełnionych przez ludzi, burczały, że tak wcześniej przerwano im przeżuwanie.

Całe popołudnie mijało niejako w otępiele, sztywnej ciszy, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz, jakby Maraka i Norit omijało nawet szaleństwo. Może Luz była przerażona atakiem?

Dłoń Maraka się zagoiła. Kiedy zapadł zmrok, rana była już zasklepią. Norit nie miała żadnych widocznych obrażeń. Zaczęły spadać gwiazdy i spadały do świtu.

Przez kilka następnych dni głosy milczały, być może wyczerpane. A może Luz, przebywająca daleko w swej wieży, knuła jakąś zemstę? Niczego nie zdradzała. Może myślała o nim, leżąc na swoim łóżku? Może kochała się z lanem? Maraka to też nie obchodziło. Może słyszeli go tak, jak on słyszał wizje. Chciał tylko, by nadal milczeli. Norit bardziej przypominała siebie, bała się spadających gwiazd, do wszystkich odnosiła się łagodnie i niczego nie przepowiadała.

Dotarli do samego serca Lakht i widzieli już łańcuch Quarain oraz granicę Anlakht; co noc spadały gwiazdy, znacząc drobnym ściegiem wieczorne i nocne niebo, a czasami wybuchając ogniem. Au'it pisała codziennie, i to dużo, ale co miała do powiedzenia, Marak nie wiedział.

Dnie stały się gorące, najgorętsze ze wszystkich, jakie pamiętali. Niebo wisiało im nad głowami mosiężną kopułą; mając mnóstwo wody, pozwalali wiatrowi wysuszać pot ściekający im po członkach. Zwierzęta jednak zrobiły się nerwowe z gorąca, które dawało się we znaki wszystkim: kiedy odpoczywali, odpoczynek upodabniał się raczej do otępienia, był raczej rozpaczliwą bez-przytomnością niż snem. Namiot z podniesionymi bokami dawał cień, ale gdy zamierał wiatr, przynosił o wiele niniejszą ulgę. Upał unosił się z piasku rozedrganymi falami. Światło odbijało się od skał, a pod płótnem gromadziło się gorące powietrze.

Ku swemu zmartwieniu Marak stwierdził, że zupełnie stracił rachubę dni, ale bardziej zmartwił się tym, że przestało go to obchodzić. W tym ciężkim powietrzu zwyczajnie, od których zależało samo życie, traciły wagę. Przez te wszystkie dni au'it nie odezwała się ani razu. Norit stawała się coraz cichsza i trudno było ją rozbudzić. Hati ta pogoda przygnębiała. Oparzenia słoneczne i brud postarzyły Tofiego o dziesięć lat, a byli niewolnicy siedzieli apatycznie w cieniu, wspominając białe namioty i bezpieczne schronienie. Znaleźli gorzkie źródło, ale dobrze napojone beshti wzgardziły nim. Co prawda ich zapas wody zaczął stanowić, przynajmniej marginalnie, przedmiot troski, i od tamtej pory zdecydowali oszczędzać dobrą wodę i nie poić zwierząt. Tofi ukrywał, że coś go gryzie, ale wciąż twierdził, że zna drogę, choć Marak zaczął podejrzewać, że jest inaczej.

Milczenie głosów zaczęło wydawać się oznaką nie wolności, lecz porzucenia, spowodowanego - jak sądził Marak - atakiem na Norit. Zadawał sobie pytanie, czy Luz skazałaby na zagładę cały świat za jego zbrodnię przeciwko niej, i zaczął codziennie myśleć o śmierci. Nie dlatego, że miała dla niego jakikolwiek powab, tylko że wydawała się prawdopodobnym zakończeniem całej sprawy.

Co noc niebo przecinały smugi spadających gwiazd, które czasami rozpadały się na kawałki, i to niekiedy tak blisko, że słyszeli ich wizg.

Marak uznał, że widział już tyle dziwnych rzeczy, iż powinien czuć zadowolenie. Tak jednak nie było. Po drodze do wieży, kiedy jeszcze nic nie wiedział, dzielił z Hati apetyt na życie. Teraz patrzyli na siebie poprzez identyczne wizje, czasami się kochali, częściej jednak splatali palce, tylko palce, leżąc blisko siebie, ale nie przytuleni: otaczający ich upał dusił, wysysał wszystkie siły. Razem zajmowali się Norit i troszczyli o nią, oboje niezdolni do uratowania jej.

Jechali, rozstawiali namiot, jedli zbożowe placki. Zrobienie czegoś ponadto wymagało sił, które oszczędzali. Siedzieli. Jedli.

- Niebo - odezwała się nagle Norit.

Do jej ciała wróciła energia, a do oczu świadomość; wstała, wpatrzona w zachodni kraniec namiotu.

Palce Hati zacisnęły się na rękawie Maraka - to było jej roszczenie, gdy zaprzętało go cierpienie Norit.

- Może się zabić - powiedział i nagle poczuł, że wymknął mu się czas i że zaraz pojawi się wizja.
- Ona się nie zabije - stwierdziła Hati. - Czyż Luz tak nie powiedziała? Zrobiła się na to zbyt twarda. Nawet jeśli głosy milczą, to ona patrzy na wszystko, co robimy, i słucha wszystkiego, o czym mówimy.

Norit wyszła z namiotu i stanęła w palącym słońcu. W końcu Marak wyszedł za nią, wziął ją na ręce i wniósł do środka. Kiedy postawił Norit na ziemi, gwałtownie usiadła, wpatrując się w światło dnia.

- Luz - powiedział Marak, klękając przy Norit i potrząsając nią. - Luz, ty ją zabijasz. My ją kochamy, a ty ją zabijasz.

Nie zauważył żadnej świadomej reakcji. Norit tylko patrzyła.

Zrezygnował, zabrał rękę, lecz po chwili naciskiem obu dłoni zmusił ją, by się położyła. Została w takiej pozycji, a Marak wrócił na swoją matę obok Hati.

Au'it spała. Tofi i wyzwoleni niewolnicy spali. Wzmagający się wiatr poruszył ich płóciennym schronieniem i wszyscy oprócz Norit wstali, by to zobaczyć. Od wielu dni nie widzieli niczego żywego, nawet ptaka w locie. Otaczająca ich ziemia wydawała się martwa.

Płótno poruszyło się lekko.

Wtedy zaczął wiać południowo-zachodni wiatr, lecz był to podmuch jak z pieca, równie nieprzyjemny, co miniona cisza. Spakowali się i ruszyli w drogę mimo protestów zwierząt; wieczorem wiatr wiał już z zachodu, prosto w twarze, unosząc piasek. W nieckach niespokojny pył płynął strumykami po twardszej powierzchni piasku.

Kiedy zapadał zmierzch, wjechali na szeroki, stopniowo wznoszący się grzbiet. Przed nimi, jak daleko sięgali wzrokiem, na płaskiej, zarzuconej kamieniami równinie Lakht pojawiły się dziwne nowe rany, kręgi bladego piasku w piasku starym i ubitym; dwa najbliższe kręgi nachodziły na siebie.

Czy jakaś zrozpaczona grupa podróżnych, równie zagubiona,* jak oni, usiłowała kopać studnie na całej równinie?

- Co za stworzenie to zrobiło? - zapytała Hati Tofiego. - Widziałeś kiedyś coś takiego?
- Nie - odparł przewodnik, sprawiając przez chwilę wrażenie małego chłopca. - Nigdy w życiu.

Ścieżka wiodąca w dół prowadziła obok takiego bladego miejsca, płytkiego zagłębienia w piasku z rozrzuconym wokół niego ciemnoczerwonym, świeżym piaskiem. Zwierzęta opuściły łby i obwąchały teren, co już było dziwnym zachowaniem, a potem trochę grzebały nogami w piasku, lecz niczego tam nie znalazły.

Ruszyli przez równinę, chcąc czym prędzej oddalić się od tego miejsca. W południe następnego dnia, kiedy rozbijali z opóźnieniem obóz, znajdowali się już daleko od tajemniczych zagłębień.

Ziemia zatrzęsa się, jak otrząsa się zwierzę; wszyscy, którzy naciągali linę, oraz dwaj wyzwolenicy, którzy wbijali kołek, przerwali pracę.

Stanęli w bezruchu, wszyscy oprócz Norit; od kiedy zaczęli pracę, siedziała na ziemi jak kamień. Kołek, wbity do połowy, wyszedł z piasku.

- Co to było? - zapytał Tofi.
- Ziemia będzie się trzęsła - odezwała się Norit, przerywając kilkudniowe milczenie. - Ziemia pęknie jak dzban i wyleje się z niej ogień.

Marak spojrział na Hati i na Tofiego, który stał z palikiem w ręce. Na jego twarzy malował się strach.

- Czy powinniśmy wbić długie paliki? - zapytał.
- Tak zróbcie - rzekł Marak. Sam nie miał pojęcia, co nastąpi. Gwiazdy spadały. Ziemia okazała się niepewna. Nie miał pojęcia, czy długie paliki potrafią przymocować do ziemi i utrzymać im schronienie nad głowami.

Kiedy je wbijali, ziemia zatrzęsa się ponownie; wyzwolenicy upuścili młotki i wyglądali, jakby chcieli rzucić się do ucieczki, gdyby tylko mieli pojęcie, dokąd biec.

- Co to przyniesie? - zapytał Marak Norit, która nie ruszyła się ze swego miejsca. - Co to oznacza?
- Koniec świata. - Nie wytrzymała i zaczęła cicho szlochać, zakrywając twarz dłońmi. - Luz tak nie myśli, ale ja tak.

Był to szept dawnej Norit, wolnej w tym momencie. To dodało Marakowi otuchy.

- Może to i jest koniec świata, ale umrzemy najedzeni i napięci. Wejść do namiotu, Norit. Proszę.

Posłuchała go bez protestu. Jej zadaniem, jeśli była w stanie je wykonać, było wypakowanie ich południowego posiłku: suszonych owoców i zbożowych placków oraz herbaty, jeżeli postanowili grzać wodę.

Marak chwycił za młotek; Hati mu pomagała.

- Do roboty! - ponaglił Tofi swoich pomocników. - Jesteście wolnymi ludźmi. Zachowujcie się jak wolni!

Ziemia się zatrzęsała; zwierzęta zaryczały z niepokojem, a maszty chwiały się i napinały liny namiotu. Zaczęli je naciągać i znaleźli się na piasku. Wstrząs był bardzo gwałtowny, lecz krótki i nie poczynił widocznych szkód. Jeżeli ziemia miała pęknąć, nic tego nie zapowiadało.

Marak, który upadł na plecy, roześmiał się.

- No cóż, ziemia próbuje, ale jakoś nie potrafi nas z siebie strząsnąć.
- Co zrobimy, jeżeli pęknie? - zapytała Hati z prawdziwym strachem w głosie. - Może jednak zginiemy?
- A może nie - powiedział, siedząc na piasku naprzeciwko niej. - Ja w każdym razie nie zamierzam. Jeśli ty chcesz to zrobić, to twoja sprawa.

Hati roześmiała się niepewnie, podrzuciła głowę i wstała, otrzepując się z pyłu.

- Nie tak łatwo mnie zabić - stwierdziła.

Weszli w cień namiotu, a Tofi i niewolnicy poszli w ich ślady. Łamali zbożowe placki i najedli się do syta, obficie popijając. Kiedy spali, ziemia budziła ich drganiami jeszcze dwa razy.

- Może to już wreszcie koniec - zaryzykował Marak, kiedy zapadła ciemność, a oni wciąż obozowali. Nie chcieli wyciągać długich palików i wychodzić na zewnątrz.

Właśnie wtedy ziemię przebiegło kolejne drżenie, tak że ani ona, ani niebo nie wydawały się pewne tej nocy.

-! co tu mówić o pechu - mruknął Marak.

Tofi wyszedł pod podniesionym bokiem namiotu, by zajrzeć do zwierząt, i zaraz wrócił biegiem.

- Gwiazdy zniknęły! - zawołał.

Marak wstał z niepokojem, Hati i Norit też się zerwały, i rzeczywiście, kiedy wyszli poza namiot, całe niebo było czarne. Cała ziemia była ciemna.

- Spadły wszystkie gwiazdy - powiedziała z lękiem Hati.
- One tam są - odparła spokojnie Norit. - Spadające gwiazdy wzbijały pył ku niebu. To wszystko.
- Aż tyle pyłu? - zapytała Hati, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Marak widział w smolistej ciemności tylko cienie na tle ognia.

Wtem daleko na zachodzie mrok rozświetlił się poszarpaną linią białego ognia i rozległ się grzmot, co czasami zdarzało się podczas wielkich burz na zachodzie.

Rzeczywiście, nadciągała burza, a Maraka zawiodło wyczucie pogody. Teraz był bardzo zadowolony, że wbili długie paliki.

- Powinniśmy opuścić boczne poły - powiedział. Chociaż po ciemku było to trudne, wzięli się do pracy.

Jeszcze zanim skończyli, nadeszło nagle uderzenie wiatru, który szarpnął płótnem z głośnym łopotem.

- Umocujcie liny! - krzyknął Tofi do byłych niewolników. -

Tym razem zróbcie to dobrze, bo inaczej wyjdziecie na zewnątrz sami, by je poprawić!

Zwierzęta wstały i ułożyły się po zawietrznej namiotu. Żywność i wodę trzeba było wnieść do środka, by nie przysypał jej piach niesiony wiatrem; z reszty bagażu utworzyli mur, mocno też przytwierdzili boczne poły namiotu. Wymacując sobie drogę w ciemnościach, na wszelki wypadek przywiązali jeszcze do bagażu i drugiej linii palików wbitych w ziemię wewnątrz namiotu jego boki i dach.

Wtedy usiedli pod tym murem ze swoich rzeczy, gotowi na wstrząsy ziemi i zmiecenie nieba.

Nad nimi zaryczał wiatr i huknął grzmot. Płótno wydymało się i łopotało, przytrzymywane długimi palikami i przytwierdzone do bagażu wewnątrz namiotu. Ponieważ pracowali ciężko i szybko, a teraz nie mieli już nic do roboty, zjedli w całkowitej ciemności dodatkową porcję słodkich suszonych owoców i zbożowych placków, po czym usadowili się, by w miarę wygodnie przeczekać wiatr i burzę.

Powietrze znacznie się ochłodziło, nawet oziębiło, i dziwnie pachniało pyłem i wodą.

- Pachnie tu jak we wnętrzu studni - zauważyła ze zdumieniem Hati.

Rzeczywiście. Deszcz jednak nigdy nie padał na Lakht, a na zachodnie niziny zawiał za życia Maraka tylko dwa razy.

Huknął nad nimi grzmot i zawył wiatr; niebo się waliło i Ma-rak przytulił do siebie Hati. Chcieli objąć też Norit, lecz ta, podobnie jak au'it, trzymała się osobno, gdzieś obok największego masztu, i czekała. Zaczęła śpiewać w ciemności jakąś pozbawioną melodii piosenkę, jak wiatr, zagłuszana od czasu do czasu przez grzmoty i trzeszczenie płótna.

Przez szwy namiotu było widać błyskawice. W uszy ludzi wdarł się straszliwy huk gromu.

A potem rozległ się stukot, jakby na namiot spadały kamyki.

Lecz w hałasie, jaki robił deszcz kamyków, Marak zorientował się, że rozlegający się tak blisko śpiew niedawno umilkł.

Wstał i zbliżył się po omacku do masztu, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała Norit.

- Norit? - zapytał, ale usłyszał tylko szum i grzmot.

Gdyby to była Hati, pomyślałby, że po prostu oddaliła się za potrzebą w kącie namiotu. Przed chwilą jednak Norit śpiewała, a teraz zniknęła. Mogło to znaczyć, że coś się stało.

Wtem poczuł nagły powiew i nabrał pewności. Kłapa namiotu poruszała się w ciemności, trzaskając poluzowanymi troczkami i wpuszczając do środka trochę mniej nieprzenikniony mrok oraz migotliwe błyski, które rozświetlały horyzont.

Marak wyszedł na dwór, w deszcz kamyków. Nie uderzały na tyle mocno, by zranić, ale było to dość nieprzyjemne, a kiedy dotknął dłonią swej nagiej skóry, poczuł, że jest śliska i pokryta piaskiem, który natychmiast do niej przywierał. W świetle błyskawic zobaczył leżące wokół drobne twory, lśniące jak drogie

kamienie. Inne odskakiwały w chwili uderzenia, kłuły i odbijały mu się od czaszki.

- Norit! - zawołał ze złością, przekrzykując wiatr i spadające kamyki, nabrawszy ostatecznie ochoty, by zostawić ją Luz.

Usłyszał jednak jej głos, szloch albo śmiech, albo i jedno, i drugie naraz.

- Nadchodzi! - krzyknęła Norit.

Błyskawica wydobyła jej sylwetkę tańczącą na szczycie wzniesienia.

Na jej widok Marak rzucił się biegiem przez kamyki spadające z nieba, wiedząc, że tylko głupcy i samobójcy oddalają się od namiotu podczas burzy. Dobiegł do niej, chwycił w ramiona i obrócił się do tyłu, celując dokładnie w wejście do namiotu, niewidoczne w nagłym, oślepiającym mroku.

- Tędy! - krzyknęła Hati.

Ruszył ku temu głosowi i kiedy dotarł do namiotu, chwyciły go mocne, znajome ręce. Seria trzech błyskawic ukazała mu twarz Hati.

- Głupcze! - krzyknęła, zagłuszając wycie wiatru. - Do środka! Do środka!

Kamyki posiniaczyły mu plecy i głowę. Trzymając Norit w ramionach, wpadł razem z podmuchem wiatru do namiotu, w panujący w nim otępiający spokój i czerń.

• Co na nas spada? - zapytał Tofi.

• Kamyki - odparł Marak. O ile potrafił to stwierdzić, wszyscy troje krwawili. Posadził Norit na matach, usiłując zbadać, czy odniosła jakieś obrażenia głowy: znalazł w jej włosach piasek i wilgoć, bo aifad został porwany przez wiatr. Wyczuwał wilgoć na własnej skórze i ubraniu. Cała trójka wtuliła się w siebie, drżąc z zimna. Na zewnątrz srożyła się burza.

Po pewnym czasie Marak rozgrzał się i trochę odpoczął. Burza była niezwykła i przed świtem wszystko się uspokoiło. Tofi wstał i wystawił na zewnątrz głowę, by sprawdzić, co się dzieje.

-Gwiazdy wróciły i teraz spada ich jeszcze więcej! - zawołał.

Marak pomyślał, że po tym nic go już nie zdziwi. Wstał, przekonał się, że Tofi nie kłamie, i wrócił na swoje miejsce ze świadomością, że na niebie są przynajmniej gwiazdy. Konwulsje nieboskłonu ustały, choć zmieniły się w systematyczne dzieło zniszczenia.

Marak, Marak, odezwały się głosy, które zaraz wróciły po długim milczeniu; głązy i kule zderzały się, a niebo spadało. Marak o mało się nie rozpląkał. Nie zginęli. Głosy wiedziały, jak go znaleźć. Wróciły wizje. Nigdy nie sądził, że się z tego ucieszy. *Na zachód*, powiedziały głosy. *Na zachód, z odchyleniem ku północnemu zachodowi*.

- Słyszysz? - zapytał Hati. - Słyszysz je?

Poruszyła głową wspartą na jego ramieniu. Uznał to za potwierdzenie.

Nieubłagane słońce wzeszło jak zwykle. Podnieśli poły namiotu od zawietrznej i wpuścili do środka

światło, z radością je witając. Tam, gdzie Marak spodziewał się na wpół zagojonych ran, ciało nie było ani rozpalone, ani spuchnięte. Tam, gdzie spodziewał się krwawych śladów po kamykach, nie zobaczył żadnej krwi, a raczej mozaikę brudu na rękach i ubraniu swoim, Norit i Hati, jakby zostali obrzuceni kuleczkami błota.

Wyszedł na zewnątrz - ziemia i płótno były podobnie poplamione i spryskane. Czerwone i rdzawe zabrudzenia odznaczały się szczególnie wyraźnie na płowym namiocie. Zwierzęta, których grzbiety pokrywała warstwa wysuszonego błota, przedstawiały oplakany widok.

- Krople deszczu! - zawołał Marak ze zdumieniem. Oczekiwał krwi i sińców, a ujrzał siebie poznaczonego jak jakiś głupek. - Krople wody. Nic dziwnego, że byliśmy wilgotni!

- Na dalekiej północy - rzekła Hati - słodka woda spadała jako twarde kamyki i w słońcu znów stawała się wodą. Tak opowiadają dziadowie.

Z namiotu wyszła Norit, a teraz dołączył do niej Tofi i jego ludzie. Norit też miała na sobie rdzawe placki, a w pewnej chwili chyba się rozpląkała, bo czerwone smugi na jej twarzy przecinały ślady łez. Teraz jej oczy, czerwone jak ogień, płonęły tak samo jak oczy Hati.

- A więc na Lakht spadł deszcz - odezwała się cichym, ochryłym głosem - i będzie padał ponownie. Przeleje się przez zasta wy niebios. Od nadmiaru wody można umrzeć.

To niemal wyczerpało resztki cierpliwości Maraka. Ze wszystkich wypowiedzi Luz ta jedna wydawała się groźna, ta jedna wydawała się mieć na celu przerażenie ich; wciąż miał posiniaczoną głowę i przysiągł sobie, że to było jego ostatnie poświęcenie dla Norit jako nosicielki Luz. Po chwili jednak dostrzegł pod brudem i za płonącymi oczyma żonę z Tarsy i pomyślał, że jej głowa jest prawdopodobnie posiniaczona bardziej od jego i że rozbrzmiewa w niej coś więcej niż głosy oraz pożyteczne wskazówki, dokąd mają podążać.

- Usiądź i zaczekaj - powiedział łagodnie do Norit, a nie do Luz. - Odpocznij. Otrzep się. Niedługo wyruszamy.

Trzeba było wyczyścić zwierzęta, żeby pod pakunkami nie obcierał ich piasek. Trzeba było zmieść błoto z namiotu, bo inaczej stanowiłby za ciężki ładunek dla niosącego go zwierzęcia. Kiedy skończyli pracę, krwawiły im dłonie i bolały ich ręce, ale wykopali długie paliki, spakowali namiot, przepakowali bagaże i wreszcie wyruszyli, jadąc najpierw pod górę, a potem w dół przez okolice poznaną tysiącami małych zagłębień.

Tego ranka widzieli jednak dzikie stworzenia, cienie umykające na ich widok pod skały: przywiódł je na tę równinę opad wody. Na skałach rozkwitła garść roślin, po czym zwiędła w upale dnia, zostawiając po sobie złocisty życionośny pył. Woda rozpryskująca się na kamieniach. Kule wpadające na kule. Złocisty pył roznoszony przez wiatr.

Na zachód, z odchyleniem ku północnemu zachodowi. Pośpiesz się. Pośpiesz się. Pośpiesz się, Maroku.

Marak podciągnął wygodnie stopę i oparł ręce na kolanie, a na nich czoło. Jechał tak, usiłując nie myśleć, nie słyszeć, nie chcąc sobie wyobrazać, jaki byłby ich los, gdyby znajdowali się na tej równinie, kiedy spadały gwiazdy.

Luz nie żywiła do nich urazy. I czy mógł za coś winić Norit? Czy stało się coś złego? To była tylko woda. Tylko duma. Śmiały się i ten śmiech, choć na wpół szaleńczy i słaby, uzdrowił ich.

Czy doprowadzając Norit do skraju załamania Luz, udało się uratować ich przed spadającymi gwiazdami? Czy zachowała ich życie tak troskliwie, jak chroniła Norit przed nią samą, i czy skierowała ich z dala od rejonu największych zniszczeń? Zastanawiał się, co się stało z Pori i równiną leżącą za oazą.

Na niebie pojawił się ognisty warkocz. Gwiazda spadła w biały dzień, dymiąc po drodze. Spadła na południu: przynajmniej było widać wyraźnie, dokąd leci, kiedy zniknęła za wzgórzami niczym drogowskaz.

Po dwóch dniach znów ujrzeli Quarain przed wschodem słońca, a dzień później natknęli się na jeden ze szlaków karawan, prowadzący do świętego miasta.

Au'it nauczyła się poddawać chwiejnemu krokowi swego wierzchowca i teraz zapisywała obserwacje nie tylko podczas popasów.

To też zapisała.

Zapisywała wszystko, co widzieli i co robili. Wszystko to przedstawi Iii: niesłychany opad deszczu i błota, a także opad gwiazd.

I co powie jej księga?

Że spadały gwiazdy? Że ich nadzieje na bezpieczeństwo spoczywają w wieży, w białych namiotach?

To pierwsze Ila chyba widziała sama, a na to drugie, pomyślał Marak, nie mieli dowodu, nawet dla siebie.

Rozdział 13

„Widzieliśmy, jak spadały tysiące gwiazd. W księżde nie ma takiego wydarzenia”.

- Księga Oburanu

Poszarpany grzbiet Quarain, stanowiący granicę Anlakht, wyrastał murem po ich prawej ręce. Znajdowali się na skraju pustkowia.

Następnego dnia weszli na niedawno używany karawanowy szlak i wraz z nim ostro skręcili na północ, ku Oburanowi.

Marakowi wydawało się, że już tędy przejeżdżali, że rozpoznaje rozległą, zarzuconą kamieniami nieckę i leżące obok niej skały.

Tofi też ją rozpoznał.

- Besh Karat - oznajmił z podnieceniem, pokazując chudą ręką grupę zaokrąglonych skał po lewej stronie szlaku, przypominających z wyglądu właśnie obładowane bagażami, ponure zwierzę. - Jesteśmy w Besh Karat, przy gorzkim źródle. A te ostatnie ślady powstały ledwie wczoraj. Jakaś inna karawana.

Chwilę potem Norit ściągnęła nagle wodze swojego wierzchowca, który przyjął to z głośnym protestem i rzucaniem głową.

- Zatrzymajmy się - powiedziała. - Zatrzymajmy się tu.

Marak cofnął nogę i ściągnął wodzę. Osan zatrzymał się, najpierw nadstawiając, a potem kładąc uszy. Właśnie przejeżdżali przez skały, idealną kryjówkę dla plugastwa, i znajdowali się w pobliżu gorzkiego źródła. Nie było to zwykle miejsce na popas i zwierzęta o tym wiedziały.

- Trochę dalej - rzekł Marak, słuchając głosu rozsądku. - Nie wśród skał.

- Nie. Tutaj. Teraz.

Norit usiłowała zmusić swego opornego wierzchowca, by ukląkł; ten jej nie słuchał i już miał zbończyć ze szlaku z uporem charakterystycznym dla swego gatunku, ale zatrzymał się, gdy Norit zaczęła z niego zsiadać.

• A niech to - mruknął Marak, ześliznął się na ziemię i ruszył Norit na pomoc. Tofi i Hati też zsiadli, a Hati pomogła zejść na ziemię au'it. Stanęli na popas. Wyzwolenicy poszli w ślady pozostałych.

• Na co teraz czekamy? - zapytał Marak Norit, jednocześnie zaniepokojony i zniecierpliwiony.

Odpowiedziała mu zimnym, jasnym spojrzeniem, które mówiło, że słucha go raczej Luz niż Norit.

Pojawiła się wizja wpadających na siebie skał i kul; w punkcie zderzenia na kuli pojawił się ogień i rozrastający się pierścień zniszczeń, jakby do fontanny wrzucono kamień.

• Zmusz zwierzęta, by przysiadły.

• Po co? - zapytał.

Norit nie odpowiedziała, tylko sama usiadła ze skrzyżowanymi nogami, lekko unosząc kolana, by nie dotykały rozpalonego piasku.

Marak spojrział na Hati, niemal gotując się ze złości i strachu. Znajdowali się tak blisko Oburanu, na szlaku prowadzącym do świętego miasta, a teraz zbliża się kolejna katastrofa?

- Czy ona nie może, do diabła, wyjaśnić? - mruknął pod nosem, mając na myśli Luz. Nie skarżył się nikomu konkretnemu, a jedynie wiatrowi i upałowi pustyni. - Czy potrzebujemy na miotów? Czy ma nam spaść na głowy jakaś gwiazda?

Zatrzymali się tuż przy Besh Karat, gdzie bez wątplenia chroniło się plugastwo... Marak miał nadzieję, że jest małe i płochliwe.

Wizja ognistego kręgu naszała go tak wyraziście, że przesłoniła słońce. Przetarł pięściami oczy, chcąc na powrót ujrzeć i chwycić wodze, i potrząsnął głową, by rozjaśnić myśli.

Zmusił Osana do ułożenia się na piasku, a skoro zrobił to Osan, to w jego ślady poszły z niechęcią wierzchowce Hati i au'it. Zwierzęta juczne przysiadły zawsze z ochotą w nadziei na zdjęcie pakunków, ale tutaj zachowywały się niespokojnie, zataczały kółka i wprowadzały zamęt. Dwa z nich chciały wyłamać się z szeregu. W końcu jednak dały się opanować.

Tofi i wyzwolenicy nie rozpakowali jednak bagaży, co wywołało niechęć zwierząt, wyrażaną kwikiem i pomrukami.

Siedzieli tak więc wszyscy jak jacyś głupcy, czekając i czekając na to niebezpieczeństwo, a urażone, nie rozsiadane i nie roz-juczone beshti wierzciły się i hałasowały. Zamiatały ogonami ziemię, waliły nimi w piasek.

Nagle znów zaczęły ryczeć.

Ziemia mocno zadrżała, wierzchowiec Tofiego zaczął wstawać w panice i na powrót ciężko przysiadł. Nic mu się nie stało, ale przewracał oczyma i ryczał na cały głos.

Norit siedziała z rękoma na podołku i rozczesywała chwast przy chuście.

Drżenie ustało. Tofi zaklął i ukrył twarz w dłoni, a po chwili podniósł wzrok, jakby chciał się upewnić, że już po wszystkim.

Norit nie wykazywała chęci, by się ruszyć z miejsca.

- Mamy jechać dalej? - zapytał ją Marak.
- Jeszcze nie - odparła.

Patrzyła w pustkę, zapomniawszy o chwaście.

Kula zderzyła się z większą kulą. Pierścień zniszczeń się rozrastał. Marak go widział i wiedział, że widzi go Hati. Zacisnęła dłonie na harapie, aż pobiełały jej kostki.

Au'it, która wytrzymała jedno trzęsienie ziemi, chwyciła z zaciętą miną swoją księgę oraz kostkę tuszu i zaczęła pisać, przygotowana na kolejne wstrząsy.

Mijał czas.

- Mamy rozbić namioty? - zapytał w końcu Tofi. Słońce stało wysoko. Wyglądało na to, że nie opuszczą tego miejsca przed południem.
- Nie - rzekła krótko Norit tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Siedź spokojnie.

Marak wzruszył ramionami i zajął się ostrzeniem noża, który trzymał za cholewą buta, a Hati i obaj pomocnicy ułożyli się snu.

Norit rozczesła jeden chwast, a potem trzy czy cztery następne.

Wtedy Marak zauważył na zachodzie jakąś mgielkę, niewyraźny szew na horyzoncie, który z każdą chwilą stawał się szerszy.

- Hati - powiedział. A potem dodał: - Burza.

Niech diabli Luz, nie było czasu na rozbięcie namiotu. Burza nadchodziła niczym piasek spływający ze wzgórza - szew zmienił się w pas, a następnie w potężną ścianę szybciej, niż poruszały się wszystkie burze, jakie widział Marak, przypominając raczej osuwanie się ziemi. Ledwie umysł pogrążony w panice zdołał o tym pomyśleć, a ta ściana wypełniła całe niebo i runęła na nich z niezwykłym smrodem ziemi.

Zwierzęta nie usiłowały wstawać, lecz odpychając się kolejno kolanami i tylnymi nogami, i nie zwracając uwagi na swoje ładunki, odwróciły się grzbietami do nadchodzącego wiatru.

W ludzi zaczął uderzać piasek, kłując odsłoniętą skórę.

- Skupmy się! - zawołał Tofi, obejmując ramionami Maraka i Hati. Au'it zamknęła księgę, odłożyła przybory do pisania i razem z Norit przysunęła się do pozostałych. Dołączyli do nich dwaj ludzie Tofiego i wszyscy razem przywarli do rozgrzanej ziemi, tworząc jeden pagórek starannie osłonięty szatami.

Poruszający się piasek ogłuszył ich i zabrał światło. Marak osłonił oczy zawojem, ale kiedy usiłował coś przezeń dojrzeć, widział jedynie mrok. Oddychanie przez warstwy materiału stało się uciążliwe. Wszystko wokół pachniało burzą piaskową, rozgrzanym piaskiem i spalenizną.

Nic nie zostało z powietrza; łączywie chwyтали oddech, tracąc siły, aż w końcu powietrze pojawiło się z powrotem, smakując jak podmuch z kuźni.

Leżeli z twarzami wtulonymi w swoje ubrania i z trudem oddychali, walcząc o hausty powietrza pełnego pyłu. Póki wył nad nimi wiatr, nie śmieli się poruszyć, a wiatr wiał nieustannie.

Na szczęście mogli oddychać, chociaż powietrze było dostępne tylko jako cienki strumyk sączący się przez materiał, a niesiony nad skulonymi ludźmi piasek zaczął osadzać się w fałdach ich szat. Czuli jego wagę. Dostawał się między nich, w zagięcia rąk i nóg, tworzył wygodne podpórki, znajdował nie wypełnione jeszcze szczeliny, groził, że żywcem ich pogrzebie.

Walczyli, by pozostać za ścianą piasku, która utworzyła się przed nimi, i by nie pogrążyć się w piasku gromadzącym się pod nimi. Wydawało się, że upłynęły całe wieki, nim przeszedł front najsilniejszych podmuchów, a oni mogli wygrzebać się z wydmy, odurzeni wichrem i oślepieni piaskiem, ale zdolni utrzymać się na nogach.

Zwierzęta ucierpiały. Jedno leżało przygniecione ładunkiem, żywe, ale nie potrafiące uwolnić się o własnych siłach. Kiedy zdjęli z niego bagaże, okazało się, że zwierzę leżało tak długo, iż całkowicie zdrewniało. Musieli je rozkołysać, wyprostować i postawić na nogi. Trzy wierzchowce miały bolesne otarcia od piasku na zadach, gdzie skóra została pozbawiona owłosienia i zaczerwieniła się, a płótno, którego kilkoma warstwami owinęli pakunki - poświęcili na to część namiotów - było na jednej krawędzi całkowicie przetarte.

Wszyscy cudem przeżyli. Przeżyli, choć niebo wciąż było ciemne, a powietrze pełne piasku i pachniało jak rozgrzane żelazo.

- Jeżeli rozbijemy namiot - rzekł niewyraźnie Tofi, szczelnie owinięty dla ochrony przed piaskiem i pyłem - nie utrzyma się. Najlepiej zrobimy tak, jak teraz, postawmy ścianę z bagaży i rozciągnijmy płótno od niej. Nigdy nie widziałem, żeby burza nadeszła tak szybko.

- Będzie jeszcze jedna? - zapytał ostro Marak. Norit nie odpowiedziała. - Co mamy robić? Luz? Co teraz?

W jego umyśle powtórzyła się kilka razy bzdurna wizja rozrastających się pierścieni.

Nastąpił kolejny wstrząs, potężny i długi; jedyne zwierzę, które stało, zachwiało się i ryknęło z niepokojem.

- Norit! - zawołała Hati.
- Rozbijcie obóz - rzekła Norit.

Zmuszeni do znajdowania nowych rozwiązań, razem z niewolnikami uwolnili zwierzęta od bagaży i rozciągnęły płótno między stertą pakunków i kilkoma palikami, przywiązując je tak, by piasek, którego przybywało z każdą godziną, ześlizgiwał się z materiału.

To zapewniło im niejaką wygodę. Spali, ale na zmiany, by ktoś zawsze mógł wyjść na zewnątrz i oczyścić dwa wejścia. Piasek nie pędził już z zawrotną szybkością, ale wisiał w powietrzu, co sprawiało, że było ciemno. Nastął prawdziwy zmierzch, a potem noc tak głęboka i zimna, że przytulili się do siebie, mężczyźni i kobiety, wolni i wyzwolenicy.

Kiedy przez mrok przedarł się ranek, nie było mowy o wyruszeniu w dalszą drogę. Ludzie przywykli do pustyni umieli przeczekiwać burze i potrafili okazywać cierpliwość nawet tak blisko celu. Czekali więc, uznając w końcu, że ziemia przestała drzeć na tyle, by spróbowali wyciągnąć kolki. Rozbili namiot i namaścili pokryte zaskorupiałym piaskiem otarcia zwierząt.

Wtedy i ludzie, i zwierzęta mogli odpocząć w odpowiednich warunkach. Ci pierwsi owinęli się szatami dla ochrony przed zimnem, jakiego jeszcze w życiu nie zaznali.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - oznajmiła Hati, trzęsąc się z zimna. - Takiej burzy nie widziałam w najdzikszych rejonach pustyni.
- Jutro będzie mniej piasku w powietrzu - odezwała się Norit.

Marak nie miał najmniejszych wątpliwości, że Norit dokładnie wie, co się stanie. Przynęła się blisko do niego i wtedy Luz zniknęła. Pozostawiona sama sobie, Norit pochyliła głowę i w milczeniu otarła oczy z łez. Marak nie mógł jej niczego ofiarować. Wyciągnął do niej rękę, ale Norit gwałtownie się odsunęła. Jej widok rozdzierał mu serce.

Hati potrząsnęła głową, jakby czytała w jego myślach, i zaczęła masować mu ramiona. Marak uświadomił sobie, że mięśnie ma stwardniałe na kamień. Hati miała zręczne palce i wiedziała, gdzie naciskać. W końcu Marak ułożył się wygodnie i zasnął. Na kilka godzin wizje dały mu spokój.

Następnego dnia burza nieco przycichła, lecz powietrze wciąż smakowało siarką. Wiatr śmierdział i palił oczy. Jedli w namiocie, starannie osłaniając żywność przed paskudztwem spadającym z nieba, w żółtawym mroku, w którym południowe słońce stanowiło zamgloną plamę.

- Trawa i zboże zwiędła - rzekła Norit. - Cały zachód został spustoszony. Ale to jeszcze nie jest najgorsze.

Na zachodzie leżało Kais Tain. Całe gospodarstwo ojca leżało na zachodzie. Marak chciał pobić Norit do nieprzytomności. Zrobił tyle w swoim życiu i mnóstwo przeżył, a Norit spokojnie im mówi, że na zachodzie nie ma życia.

Marak, odezwały się wśród tego wszystkiego głosy, domagając się jego uwagi. *Marak*.

- Powinniśmy już jechać - powiedziała Norit.
- Kiedy ona stała się bogiem? - zawołał Tofi. Pył sprawiał, że ich głosy stały się chrapliwe i nieprzyjemne, i głos Tofiego się załamał.
- Słuchaj jej - rzekł ze znużeniem Marak. - Dokąd chcesz iść?
- Do piekła - odparł ponuro przewodnik. - Wszyscy zmierzamy do piekła.

Popędził jednak wyzwolenców, którzy zaczęli przygotowywać pakunki i zmusili zwierzęta do wstania.

Kiedy się pakowali, spomiędzy zagrzebanych w piasku skał wyszło coś małego, zasyczało i z

powrotem zanurkowało między kamienie. Jeden z mężczyzn rzucił kamieniem w szczelinę widoczną w Besh Karat.

- Samo zdechnie - stwierdziła Norit.

Gorzkie źródło przykrywała gruba warstwa piasku. Woda popłynie zeń dopiero wtedy, gdy dokopie się do niej plugastwo. Same beshti, na pewno spragnione, nie wykazywały jednak żadnej chęci, by jej szukać.

Kiedy odjeżdżali z tego miejsca, Maraka gnębiła przepowiednia Norit.

Czy powinna zginąć nawet ta złośliwa istota w swoim kamiennym domu? Czy takie wiatry powinny zasypywać studnie? Z tego przeblysku zrodziło się w umyśle Maraka prawdziwe zrozumienie zasięgu zniszczenia.

Żałował, że nie został w białych namiotach. Żałował, że nie kazał tego zrobić Hati. Żałował, że w ogóle podjął się tej bezsensownej misji z Norit. Z tej sytuacji nie ma wyjścia. W ogóle nie ma bezpiecznego miejsca. On jest głupcem i poprowadził wszystkich ku zagładzie.

Jak dotąd przeżył jednak dzięki nakładaniu na swoją śmierć surowych ograniczeń.

Nie umrze i nie zostawi Hati i Norit, by same stawiały czoło temu, co nadchodzi. Takie miał zasadnicze postanowienie. Nie umrze, nie porozmawiawszy z Ila i nie przekazawszy jej tego, co chciała usłyszeć. Na tym polegała jego misja; poza tym cel jest już niedaleko. Bez względu na to, co robi Ila, przynajmniej spróbują wrócić, a jeśli jej gniew mu to uniemożliwi, to do wieży wrócą oni. Rozbudzi w Tofim strach i każe mu to obiecać.

Sam sobie obiecał te dwie rzeczy, stawiając Osana na nogi i zwracając go w kierunku świętego miasta.

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy. Przed południem minęli kości wystające z piasku. Były to szczątki beshy już objedzonego przez plugastwo. Natknęli się na kolejne truchła, czwarte i piąte, oraz na kości dwóch ludzi leżące z drugiej strony karawanowego szlaku, lecz te kości były rozgryzione w poszukiwaniu szpiku i rozrzucone, wykopane z piasku przez jakieś stworzenie. Pod odległym głazem leżał kawałek płótna, który wyglądał tak, jakby przyniósł go tu wiatr i zbił w kłęb u podstawy głazu. Być może dał on komuś schronienie, lecz jeśli tak było, to ten człowiek już nie żył i nie mogliby mu pomóc. Na wizje składały się teraz obrazy ognia: ognia wypływającego niczym woda z rozbitego kurka, ognia płynącego przez ziemię i powodującego jej erozję.

Znajdowali też inne ślady, jakby wiatr i piasek pokonał kawałek po kawałku całą karawanę idącą przed nimi. Pod skałami z dala od szlaku leżały inne szczątki, zaniezione tam wiatrem, a sam szlak był tak gładki, jakby przed nimi nie przeszła tędy żadna karawana. Kiedy pustynia coś niszczyła, zachowywała to i jednocześnie usuwała ze świata, nawet tak blisko świętego miasta.

Miraż, który zwykle raniem je zapowiadał, nie pojawił się. Niebo było brudnożółte, a powietrze zimne. Wydzielili zwierzętom odrobinę wody i zastanawiali się, co ich czeka.

Marak znalazł sposób, by porozmawiać z Tofim sam na sam, jadąc przez pewien czas obok niego. Hati została w tyle z au'it.

• Mam dla ciebie propozycję - zaczął. - Obaj złożyliśmy Iii pewną obietnicę. Ona może jednak nagrodzić ciebie. Jeśli sprawy przyjmą dla mnie zły obrót, co może się zdarzyć, weź Hati i Norit i jak najszybciej wracaj.

• Do wieży? - zapytał Tofi.

• Tak. Tutaj nie jest bezpiecznie. Przecież sam to wiesz.

• Teraz tak - odparł ze smutkiem przewodnik. Młodzieniec, który na początku tej wyprawy myślał, że świat przetrwa, w tej chwili miał odmienne zdanie. - Tutaj nie jest bezpiecznie. Mamy szczęście, że to nie nasze kości leżą na piasku.

• Zostaliśmy ostrzeżeni. Oni nie. To my mamy Norit. Słuchaj jej.

• Pytanie: co tam jest? Czy tam jest lepiej niż tu?

• Norit będzie to wiedziała. Myślę, że najlepiej ze wszystkich zna stan wieży. Jeśli ktokolwiek potrafi doprowadzić cię tam żywego, to tą osobą jest Norit.

Marak pomyślał o obietnicy Iii, że uratuje jego matkę i siostrę, ale teraz już wiedział, że wciągnięcie Iii w zagmatwane sprawy jego rodziny mogło narazić Hati i Norit na niebezpieczeństwo; jeśli w oczach Iii sprawy potoczą się źle i ona postanowi obarczyć winą Maraka, to na pewno nie wypuści z rąk jego krewnych: nie taki jest model sprawiedliwości Iii. Nie mógł prosić Tofiego, by w takim wypadku uratował jego matkę i siostrę - nie istniało żadne prawdopodobieństwo, że chłopak potrafi wyrwać je z rąk Iii, a tym bardziej uratować jego samego. Ale Hati - o Hati Ila nawet nie wiedziała.

• Kiedy dotrzemy do miasta, nie pozwól Hati iść ze mną - poprosił Marak. - Jeśli będziesz musiał powstrzymać ją siłą, zrób to. Udawaj, że należy do twojej rodziny.

• Czy możesz jej to powiedzieć?
- Tak zrobię. Powiem jej, żeby zaopiekowała się tobą. Dostosuj się do tego.
- Zrobię, co w mojej mocy - odparł Tofi i sam zaczął się za-
stanawiać, jak doprowadzić wszystkich z powrotem do wieży. -
Jeżeli ludzie Iii zapytają, skłamię i powiem, że to moja żona.

Taka była miara odwagi Tofiego, jego lojalności względem obcego człowieka... że okłamię ludzi Iii i uratuje Hati. To przytrafiało się ludziom odbywającym wspólnie kampanię; Tofi nie był już chłopcem, najmłodszym synem, uginającym się pod ciężarem mężczyzny. Byli niewolnicy słuchali go... szanowali.

Teraz Marak odkrył u Tofiego odwagę większą od odwagi któregośkolwiek z jego dawnych towarzyszy broni. Podjechał do Norit i zrównał się z nią.

- Powiedz Luz, że jeśli coś się nie powiedzie, to powiesz To-
fiemu, żeby zaprowadził cię do wieży. Będiesz też potrzebować
Hati. Bądź pewna, że bez niej nigdzie nie dotrzesz. Hati pochodzi z plemion. Sama nie wiesz o pustyni
tyle, by przeżyć na niej jeden dzień. Twoje rady są niebezpieczne dla niedoświadczonych. Norit
spojrzała na niego z przestachem, jako że na jej życie na jawie składał się chaos strachu i obecności
Luz. Przez chwilę patrzyła na niego Norit, tylko Norit. A potem strach przygasł i wróciła Luz.

- Rób to, po co wróciłeś - rzekła ostro i nie chciała powie-
dzieć już nic więcej, zostawiając Maraka pogrążonego w myślach pełnych złości i zarazem troski.

Opóźniał rozmowę z Hati. Wiedział, że będą się sprzeczać.

Spiesz się, odezwały się głosy. Nie zatrzymuj się. Nie odpoczywaj.

Brudnożółty kolor nieba zmienił się dopiero wieczorem, kiedy słońce zaszło w takiej czerwieni, jakiej żadne z nich nie widziało nigdy w życiu; tej nocy chmury skryły gwiazdy. Od czasu do czasu gdzieś w dali błyskał warkocz ognia, a raz po równinie przetoczył się potężny grzmot.

Dzień wstał szary i ponury, poprzecinany wysoko na niebie pasmami brudnej żółci.

Tofi patrzył na niebo z otwartymi ustami, podobnie jak Hati. Au'it zaczęła pisać, ale nagle jakby straciła serce do pracy pod takim ołowianym niebem i zamknęła księgę.

Norit nie miała nic do powiedzenia.

- Powinniśmy jechać - rzekł Tofi. - Miraż nas zawiódł. Wiem jednak, że jesteśmy już blisko.

Żółty pył zachodnich równin był w ruchu. Czasami jego świeżo spadłe drobiny pędziły po ziemi, tworząc na niej cienką warstwę, pasma przecinające czerwone piaski Lakht.

Przed południem na północnym horyzoncie pojawiła się ciemna mgielka, a w południe czerwone skały Quarain przesłonił ścielący się nisko czarny całun.

- Ogień - odezwała się Hati. - Dym.

Widzieli samo miasto. Nie dostrzegali żadnych wysokich, smukłych wież. Miasto było ich pozbawione, a otaczało je pole ciemnej szarości i rdzawego brązu, który ich oczy wzięły za piasek.

Na skraju świętego miasta stały namioty... wiele, wiele rozłożonych wokół niego namiotów.

Świętego miasta jednak nie było. Wszystkie jego piękne domostwa, bogactwo, cała potęga Oburanu zmieniła się we wzgórze ruin.

Rozdział 14

„Rozmiary klęski spadłej z nieba nie są jeszcze znane, lecz Oburan otworzył swe bramy
zrozpaczonym: każdy, kto przybywa do Łaski Iii, może wejść do środka”.

- Księga Oburanu

Nie odpoczywali. Beshti pamiętały wodę, a może wyczuwały ją w powietrzu, i nawet po tak długiej drodze wyciągnęły się w równym biegu, który te dbające o siebie zwierzęta rzadko długo wytrzymały. Czasami zwalniały, lecz wciąż szły, dopóki nie złapały tchu. Wtedy jeden z wierzchowców nabierał ochoty do biegu i znów ruszały szybciej ku odległym zgliszczom, utrzymując tempo tak długo, jak pozwalały im na to płuca.

Nim dotarli na skraj miasta, ołowiane niebo zabarwiło się czerwienią zachodu. Tym złowróżbnym kolorem powlekły się wszystkie namioty w zasięgu wzroku - a mijali właśnie pierwsze z nich - oraz

oni sami.

W jednym miejscu zgromadziły się namioty Ogarów, okrągłe, z jednym centralnie umieszczonym masztem; inne były namioty z zachodu, dłuższe niż szersze. Widzieli też namioty z głębi Lakht, kwadratowe, oplecione siecią lin, oraz te z północnego zachodu, w kształcie stożka, zrobione ze skór.

- To nie są namioty tylko z Oburanu - zauważył Marak. Widok tej zbieraniny wzbudził w nim nadzieję. - Te są z nizin.

- A te z Keran - rzekła Hati, unosząc się w siodle i pokazując grupę stojącą na uboczu, na skraju. Było tu jej plemię, a ono rzadko opuszczało głębie pustyni.

- Kopa - Tofi wymienił z podnieceniem nazwę plemienia z południa. - Drus. Patha. I Lett!

Przybyli tu ludzie przerażeni tym, co się dzieje - najpierw z miejsc, gdzie zaczęły spadać gwiazdy, a potem ze wszystkich zamieszkałych ziem. Zabrali ze sobą letnie namioty, zadaszenia wykorzystywane podczas świąt, żniw czy narodzin. Wszyscy ściągnęli do świętego miasta w poszukiwaniu odpowiedzi, tysiące ludzi, armia zrozpaczonych i wstrząśniętych, z dobytkiem, domowymi stadami, z beshti, ze wszystkim, co mogli zabrać ze sobą.

Namioty stojące na obrzeżach stanowiły różnorodną zbieraninę; były różnych rozmiarów i stylów, a poza tym ucierpiały podczas niedawnej burzy. Wiele z nich było do połowy przysypanych piaskiem.

Jednak gdzieś w sercu całego tego zamieszania istniała jakaś władza, o czym świadczyła szeroka droga, na którą owe namioty nie wkraczały i która była wolna od piasku dzięki czyjejś pracy, a nie działaniu przyrody. Ktoś powiedział: obozujcie tu, a nie tam. Niektóre z plemion były zwaśnione, a żadne nie znajdowało się w stanie całkowitego pokoju z Oburanem, ale tu obozowały razem.

Czy Kais Tain też tu jest? Ojciec Maraka podpisał papier Iii, jej rozejm. Czy mógł zgromadzić ludzi ze swego rejonu i przybyć tu w poszukiwaniu schronienia przed spadającymi gwiazdami i burzami? Czy Marak może mieć nadzieję, że chociaż zachód ucierpiał, jego ojciec tu przybył?

A może i plemię jego matki? Namioty Haga, chociaż Haga odwiedzali Lakht, były jak reszta namiotów zachodnich, długie, z lekkiego, zwykłego płótna, brązowe z farbowanymi zielonymi pasami. Marak rozejrzał się dokładnie wokół, ale nie umiał ich znaleźć; namioty okalały jednak całe miasto i były ich tysiące, więcej, niż mógł ich ogarnąć jednym spojrzeniem: wylewały się za mury, za Łaskę Iii. Nad samym stawem otoczonym sitowiem stało tyle namiotów, że nie było go widać. O tym, że tam jest, świadczyła jedynie niewielka przerwa w bezmiarze płótna koloru zachodzącego słońca.

Wjechali do obozowiska, między grupki zaniedbanych ludzi, którzy nie zwracali na nich uwagi, dzieci, które się na nich gapily, dorosłych, którzy w ogóle na nich nie patrzyli. Byli tylko kolejnymi przybyszami. Jakie mogli wzbudzać zainteresowanie?

Zwierzętom była w głowach tylko woda. Opierały się pociągnięciom wodzy, zajęte wyłącznie swoim pragnieniem i perspektywą pozbycia się pakunków.

Marak, powiedziały głosy. Przez jego pole widzenia przelał się ogień. *Marak!* - zawołały głosy, podczas gdy jego wzrok błędził desperacko w zapadającym mroku, przebijając się przez obrazy podsuwane przez wizje. *Marak, Marak, Marak!*

Wizje chciały tylko jednego. Miał zrobić tylko to. Gdyby ktokolwiek mógł znaleźć w tej masie ludzi jego matkę i siostrę, to taką osobą była Ila; gdyby ktokolwiek mógł uratować komuś życie albo mu je odebrać, mogła to zrobić Ila. Musi najpierw udać się do niej i podjąć to ryzyko.

A gdyby przestrelono mu teraz serce, beshti nadal szukałyby wody, która wylewała się z Łaski Iii na końcu tej pojedynczej ulicy, za tym całym chaosem namiotów, spod zwieńczonych szklęmurów miasta.

Mury te właśnie wyłoniły się znad namiotów, popękane i rozbite. Brama była otwarta, a same wrota stały na stercie gruzu; woda wylewająca się z Łaski Iii moczyła popękane płyty i wsiąkała w spragniony piasek. Kręcili się tu ludzie z dzbanami i bukłakami, tłocząc się nie tylko wokół misy z wodą do picia, ale i przy leżących poniżej korytach przeznaczonych dla zwierząt.

Wszyscy rozstępowali się przed pokwikującymi, groźnymi beshti. Mężczyźni i kobiety uciekali przed Osanem i wierzchowcami Hati oraz Tofiego, które parły do koryta. Zagarniając ostatni cenny dzbanek wody i chwytając na wpół wypełniony bukłak, ludzie uciekali w bezpieczne miejsce przed beshti byłych niewolników, Norit i au'it, bezceremonialnie przepychającymi się z opuszczonymi łbami do wody, którą piły łapczywie, jakby miała przestać istnieć. Potem do koryta dotarł cały szereg zwierząt jucznych; one także zaczęły walczyć o dostęp do wody, szarpiąc za krepujący ich ruchy sznur: dwa splątały się ze sobą i zaczęły się z kwikiem gryźć, czym wywalczyły sobie miejsce przy korycie. Dwaj byli niewolnicy rozplatali linę, ryzykując życie i kończyny.

Marak zsunął się na ziemię. Osan zasysał wodę równomiernym strumieniem, nie unosząc głowy ani nie zauważając, że Marak przecisnął się między wysokimi zwierzętami i pomógł zsiąść Norit, po czym

wycofał się z nią za linię zadów.

Hati pomogła ich au'it... ich au'it: tak właśnie przywykli o niej myśleć. Podeszła do niego, a po chwili dołączył do nich Tofi, rozglądając się po tym, co zostało z miasta.

Gdy dojeżdżali do niego, zachód słońca zmienił się w zmierzch. Teraz w kilku namiotach stojących najbliżej wody, w sercu obozowiska, zapłonęło światło - białe namioty rozjarzyły się od wewnątrz.

W Oburanie wciąż było bogactwo i potęga. Choć na jego obrzeżach panował chaos, władza wciąż istniała.

Nad namiotami wznosił się popękany i zniszczony mur, a za nim, za otwartą bramą, znajdowało się zrujnowane wzgórze, zawalone mury, cegły i kamienne bloki, połamane i ciśnięte niczym na śmietnik.

Nawet o tej porze wśród ruin kręcili się ludzie z lampami, kruchymi światełkami, podskakującymi i poruszającymi się po całym wzgórze aż po jego szczyt.

Być może to mieszkańcy świętego miasta szukali w gruzowisku swoich zmarłych, a może nędzarze ze wszystkich wiosek świata chcieli ocalić, co tylko się da.

- Musi gdzieś tu być Ha - rzekł z niepokojem Tofi. - Orni, musimy znaleźć jej dowódców. Nie odważę się zostawić tu na szych namiotów.

Tofi miał rację. Namioty i zwierzęta stanowiły teraz o przeżyciu. Woda była dostępna dla wszystkich, ale żywność i schronienie to zupełnie co innego.

- To nasza ucieczka - powiedział Marak. - Każdemu, kto za pyta, mów, że wynajęła je Ila. Odjedziemy stąd jak najszybciej. I pilnuj Hati. - Może jest tu jej plemię; ale ją oddało i ona na razie nie przejawiała chęci, by je odszukać. - Miej też oko na Norit.

Tofi rozejrzał się i pokazał na uzbrojonych mężczyzn, stojących w mroku przy największym z namiotów.

- Ludzie Iii.

- Nie odchódź - odparł Marak i ujął au'it za rękę. - Hati, po móz Tofiemu.

Szybkim krokiem podszedł do strażników, którzy natychmiast stanęli na baczność. Au'it, ich au'it, odziana w swoje czerwone szaty i z księgą przyciśniętą do piersi, po prostu weszła do namiotu, a potem skinęła na Maraka ręką.

Strażnicy nie poruszyli się. Marak wszedł do oświetlonego lampami wnętrza, gdzie druga grupa strażników przepuściła au'it, lecz jemu zastąpiła drogę.

Wtedy ku swemu niezadowoleniu zorientował się, że i Hati, i Norit poszły za nim. Nie mógł nic zrobić. Obecność straży Iii nie stanowiła dobrego tła do dysputy o tym, kto wykonał rozkazy, a kto powinien pozostać poza zasięgiem Iii.

- Jestem Marak Trin - rzekł głosem łamiącym się od suchości w ustach i wyczerpania. - Wykonuję zlecenie Iii razem z jej au'it.

Niemal poprosił mężczyznę, by go zapowiedział, lecz zanim zdążył to zrobić, ich au'it odsunęła jedną ręką zasłonę, drugą trzymając swoją księgę, i skinęła głową, by szli za nią. Strażnicy jej nie zatrzymywali.

Tak więc znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu między zasłonami. Stał tu przy połowym stoliku, krzesła i lampie zatroskany, zmęczony oficer - jeden z dowódców Iii.

• Marak Trin - odezwał się kapitan Memnanan, jakby zobaczył zmarłego. - Marak Trin Tain.

• Mam wiadomość z drugiego końca Lakht - rzekł Marak. - Obidhen nie żyje. Jego syn miał możliwość pozostania w bezpiecznym miejscu, po drugiej stronie Lakht, ale wrócił... powiedział, że spełnia ojcowski obowiązek. Potrzebuje pomocy: ma dwóch wyzwolenców i zbyt wiele beshti, by trzymać je przy studni. Te dwie kobiety - dodał Marak w ostatnim przeblysku sprytu, mając na myśli Hati i Norit - mogą mu pomóc. Ila będzie potrzebować tych zwierząt. Oraz przewodnika.

Memnanan wysłuchał tego wszystkiego ze znużoną, oszołomioną miną, a potem podszedł do zasłony i wydał żołnierzom zwięzłe, jasne rozkazy, by wzięli paru niewolników i pomogli przy studni.

Potem opuścił zasłonę i spojrzał na zakurzoną, brudną grupkę, stojącą w tak nieskazitelny miejscu; Hati i Norit ani myślały go opuszczać.

- Jestem au'it Iii - odezwała się au'it miękko, rzadko przez nią używanym głosem - i mam jej księgę.

Mogłaby powiedzieć: „Jestem prawą ręką boga”. Tak to zabrzmiało.

• Wejdz - rzekł Memnanan i gestem ręki powstrzymał Mara-ka. - Czy zważywszy na to, co widzisz

na zewnątrz - zapytał - masz jakąś odpowiedź wartą dostarczenia?

• Mam jedyną odpowiedź wartą dostarczenia - odparł Marak. Przynajmniej udało mu się zaskoczyć oficera.

Wtem zadudniła, zadrżała ziemia i ściany nawet tego namiotu wydeły się i poruszyły. Na zewnątrz, w całym obozie, zabrzmiały okrzyki przepelnione paniką.

Marak zobaczył stawy ognia płonące w ciemności, ściany ognia pędzące przez ziemię.

Cierpliwości, powiedział do swoich głosów i w rozpaczy im zagroził: *Zamilknijcie, albo niczego nie osiągniecie.*

Gdy tylko ziemia się uspokoiła, Memnanan odchylił zasłonę. Służący odsunęli ją dalej z brzękiem złotych kółek, na których wisiała. Za nią znajdowało się biurko oraz następni służący i czarna zasłona. Rozsunęli ją.

Ukazała się zasłona czerwona.

Niewolnicy pośpiesznie ją unieśli, zbierając jej fałdy, a potem odsunęli na boki kilka fotelików i lampę.

Za zasłoną znajdowała się Ilija, która siedziała na złotym tronie, ustawionym na szerokim, lecz o wiele niższym podwyższeniu. Miała na sobie czerwoną szatę, rękawiczki i dopasowaną czapeczkę. U jej stóp siedziała po turecku au'it - nie ich au'it.

Stali całą trójką na krawędzi bezcennego dywanu, w zdartych, pokrytych pyłem butach, w zakurzonych, lekkich szatach z wieży Luz.

Tu znajdowały się resztki władzy. Nad głowami mieli białe płótno, oświetlone zbyt kłócznie przez spizowe lampy. Mimo spustoszenia miasta wszędzie wokół widzieli oznaki bogactwa i kontroli nad życiem ludzi.

Nad ich głowami jednak grzmiało niebo, a pod stopami trzęsła się niespokojna ostatnio ziemia.

Ilija uniosła rękę i skinęła nią, a zza pograżonej w mroku zasłony wyszła au'it ze swoją księgą i pośpiesznie usiadła u stóp Iii - była to ich au'it, zakurzona i brudna.

- Marak Trin - odezwała się Ilija.

Postąpił naprzód trzy kroki, cztery, aż zareagowali strażnicy stojący daleko z lewej i z prawej strony Iii, aż sama Ilija zwróciła ku niemu grzbiet uniesionej dłoni. *Zatrzymaj się.* Zatrzymał się więc. Hati i Norit przystanąły gdzieś za nim.

Ilija spojrzała na niego, oceniając to, co widzi, lub uświadamiając sobie to, co widzi: Marak nie miał pojęcia, jak dużo wiedzą o sobie nawzajem skłócone Ilija i Luz. Mając na względzie wszystkich innych, czekał, zadając sobie pytanie, gdzie ma szukać właściwych słów, tych nielicznych słów, które mogą zyskać jej uwagę i wiarę.

- Co znalazłeś? - zapytała Ilija.

Od czego zacząć? Najważniejsze - od czego zacząć.

- Za krawędzią Lakht jest wieża - powiedział Marak - którą rządzi kobieta imieniem Luz. Mówi, że jest twoją kuzynką. - Do strzegł, że Ilija bierze głęboki oddech. To była jedyna oznaka emocji. - Co więcej - ciągnął, wszystko ryzykując - ona mówi poprzez nas. Myślę, że przez nas widzi. Przeprowadziła nas przez burzę no wą drogą. Szaleńcy zostali w wieży... z Luz... tylko że oni nie są już szaleni. Mają tam wodę. Słodką wodę i namioty, i obozują tam wszyscy szaleńcy, którzy kiedykolwiek opuścili swoje wioski, tak zdrowi, jak... - Jak my wszyscy, niemal powiedział do tej białej, nieprzejednanej twarzy, i w porę się powstrzymał. - Wybrała nas troje i zabrała do wieży. Jej drzwi otwierają się bez niczyjego dotyku. Światła płoną bez ognia. Rozmawiała z nami. Przekazała nam wiadomość dla ciebie. Posłała nas, bo nie jest jeszcze za późno.

Głazy uderzające w kule i jeziora ognia. Marak był pewien, że w tej chwili Luz jest świadoma całej ich trójki. Luz wyglądała przez oczy Norit, tylko czy on ośmieli się uświadomić ten fakt Hi? Co robi Norit, jeśli się o tym dowie?

- Nanocele - odezwała się Norit i, zaskakując wszystkich strażników, postąpiła Krok do przodu. Mężczyźni drgnęli, lecz Ilija uniesieniem dłoni zapobiegła wydobyciu oręża i pozwoliła Norit stanąć u boku Maraka.

- Rozumiesz to słowo - rzekła Norit zimnym, wyraźnym, strasznym głosem. - Wiesz, co zrobiłaś, wiesz, co twoi poprzednicy zrobili ze światem ondat. Zaczęli z zemsty przekształcać ten świat, ale z nami, twoimi kuzynkami, utrzymują pokój. Przyszłam tu, by zaproponować ci wybór, jaki pozwalają ci zaproponować.

- Opanowuje ją Luz - powiedział Marak, zerkając z niepokojem na Norit. Jej błada, nieruchoma twarz była pełna przerażenia. - Nic nie może na to poradzić. To kobieta z Tarsy; nigdy nie opuszczała swej wioski. To nie ona to robi.

- To niebezpieczna kobieta - rzekła z rozwąga Ila, nie opuszczając dłoni. - To nadzwyczaj niebezpieczna kobieta.

- Jestem twoją nadzieją na wybawienie - powiedziała ostro Norit. - Jesteś zgubiona. Twoi wrogowie cię znaleźli. Targowaliśmy się z nimi o twoje życie. Pracujemy tu od trzydziestu lat, by uratować cokolwiek z tego, co zbudowałaś, po pierwsze, ponieważ z powodu twoich strażników i zabezpieczeń nie mogliśmy zbliżyć się do ciebie bardziej, po drugie, ponieważ nie sądziliśmy, że zechcesz nas wysłuchać, i po trzecie, ponieważ nie chcieliśmy stracić reszty przy próbie uratowania ciebie. Kiedy dowiedzieliśmy się, że wśród szaleńców mamy Maraka Trina, usiłowaliśmy zająć Lakht i przyciągnąć twoją uwagę, ale on nie mógł dotrzeć do swego ojca, a jego ojciec nie mógł dotrzeć do ciebie.

- Z armią Taina? - Ila roześmiała się. Śmiała się z jego ojca, z jego całego rodu i wszystkich jego wysiłków, a to bolało. - Od samego początku to było nieprawdopodobne.

- Ale ty dotarłaś do niego - rzekła Norit, podczas gdy Marak stał sparaliżowany tym ujawnianiem kolejnych faktów z jego życia, prostego procesu składającego się z logiki i historii. - Wiedząc, czym go uczyniliśmy, ale nie wiedząc, że to nasze dzieło, wybrałaś go na swego posłańca. Zupełnie rozsądne. Nie było nikogo lepszego, nikogo bardziej prawdopodobnego. A skoro wysłałaś posłańca, zakładam, że zamierzałaś zrobić coś więcej niż życzyć nam powodzenia.

Luz ośmieliła się rzucić wyzwanie Iii, zakwestionować jej postępowanie. Strażnicy, cała komnata wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jej odwet.

- Ponieważ - rzekła Ila, jakby nie miało to żadnego związku, ze skrzytem nadgarstka, jakby odbijała cios. - Ponieważ chcieliśmy go wysłać, kuzynko. Ponieważ rzuciłaś nam poprzez niego wyzwanie. Ponieważ jest mniej szalony od pozostałych i ponieważ zrozumiałam, że jeśli ktokolwiek z tego stada wróci przez Lakht, to najprawdopodobniej zrobi to on. A jeśli wszędzie pojawiali się szaleńcy, to był to wyraźny znak, że coś przybyło. Tak, wysłałam go. Wysłałam go po to, by znalazł odpowiedź na szaleństwo i by je wyjaśnił, a on zrobił to ponad wszelką wątpliwość.

- Ci jednak, których zatrzymałam, nie są już szaleni. Są bezpieczni. Będą bezpieczni podczas tego, co nadejdzie. TV znasz istotę ich głosów. Znasz źródło ich wizji. Nie muszę ci tego wyjaśniać. Co więcej, bałaś się, Ila Jao, bałaś się, że to my jesteśmy ondat. Nie jesteśmy nimi.

- Ale im służycie.

- Nie, tylko zawarliśmy z nimi pokój. Wiesz, czego i z jakiego powodu się boją i dlaczego chcą przekształcić świat

Ila patrzyła przed siebie z kamienną twarzą.

- Mogę się domyślać.

- Omatbarat. Mówi ci to coś?

- Mówi. Nie było mnie tam.

- Wiemy o tym. Nie było cię tam.

- A jednak przybywają tu, by zniszczyć świat.

- By go przekształcić. By zamieszać w kotle i mieć pewność, że to, co wyrośnie z ziemi tego świata, będzie ukształtowane przez ten świat, a nie przez ciebie, Ila Jao. Zawieszenie broni nabierze mocy i ondat przyznają, że ich wojna się skończyła, dopiero wtedy, kiedy im powiemy, że stwórcy, których wypuściliśmy, zadziałali na ten świat. W oczekiwaniu jednak na to my, garstka twoich pobratymców, zainstalowaliśmy się tu, skazaliśmy się na potępienie razem z tobą, za grzechy twojego ojca, Ila Jao. Osobiście nic do ciebie nie mamy, a co więcej, jeśli nie okażesz się głupia, możemy cię uratować.

Nastąpiła chwila ciszy.

Biała dłoń Iii uniosła się nagle i gestem nakazała ciszę, jako że wśród oficerów rozległ się ściszony pomruk. Pióra szybko stawiały kreski - obie au'it przerwały pisanie.

- A ci inni szaleńcy? - zapytała Ila.

- Zostali przy wieży - odparła Norit.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała Ila Memnanana, po czym dodała, patrząc wprost na Hati: - Czy ty też jesteś prorokinią?

- Nie, Ila. Ale widziałam tę wieżę. Widziałam otaczające ją namioty, białe namioty, w których jest chłodno. Widziałam rzekę o zielonych brzegach.

- Białe namioty - odezwał się Marak, ściągając uwagę Iii na siebie - i tyle wody, ile dusza zapagnie. Rzemieślników. Rolników. W tym obozie są wszyscy, którym udało się dotrzeć do wieży.

Luz chce, byś tam przybyła, nim będzie za późno. Chce, by przybyli tam wszyscy.

Ila popatrzyła wprost na Norit oczyma płonącymi w bladej, gniewnej twarzy.

• Wysłuchaj go - rzekła Norit... nie, Luz. - Przecież wiesz. Wiesz, Ila Jao. Nie masz nic do zyskania. Przegrałaś swoją wojnę. Wiedziałaś, że ją przegrałaś, kiedy przybyłaś tu przed pięciuset laty, i wiedziałaś, że sytuacja jest beznadziejna, kiedy twoi stwórcy nie potrafili pokonać tego, co wypuściliśmy my. Nie potrafiłaś uleczyć szaleńców. Próbowiałaś, ale ci nie wychodziło, więc wysłałaś jednego z nich, by dowiedział się, kim jesteśmy. Sytuacja nie jest jednak beznadziejna. Proponuję ci schronienie przed tym, co sprowadziłaś na samą siebie.

• Wyprowadzić tę kobietę! - rzekła Ila i strażnicy rzucili się, by wykonać rozkaz.

Norit uniosła nagle dłoń, odwróciła się i podeszła do zasłony. Tam zatrzymała się, zachwiała i upadła jak martwa. Marak bez namysłu ruszył ku niej, ale strażnicy dotarli już do Norit i badali jej puls.

• Zemdląca - stwierdził jeden z nich.

• Jest w niej Luz - rzekł Marak, zwracając się do Ili ze strachu przed konsekwencjami, jakie mogłaby ponieść Norit. - Ciało należy tylko do Norit. To uczciwa kobieta, nieśmiała i łagodna... ona nigdy nie powiedziała tego, co mówiła Luz. Nie wiedzieliby, jak ci odpowiadać.

- A czy ty jesteś Marakiem i tylko Marakiem?

Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Było to przerażające pytanie.

• O ile wiem.

• A to? - Ila machnęła dłonią w kierunku Hati.

• Hati. An'i Keran. Zna pustynię. Drogę do wieży zna tak dobrze, jak ja. Pomogła mi dotrzeć do Oburaniu. - Nie miał pojęcia, dlaczego Ila o to pyta, jakie mogłaby mieć później zamiary ani czy lepiej dla Hati jest być ważną czy niewidoczną, ale teraz nie miał już wyboru. - Na równinach widzieliśmy po drodze dwie burze. Gwiazdy spadały tysiącami. Minęliśmy miejsca, gdzie w piasku powstały leje. Widzieliśmy deszcz na Lakht. Luz powiedziała, że świat się zmieni. On już się zmienia. Ziemia drży. Takich burz nikt jeszcze nie widział. - Z trudem myślał o zniszczeniach istniejących na zewnątrz tych płóciennych ścian, ale one ją zewsząd otaczały: jak Ila może o nich nie wiedzieć? - Luz mówi, że czas prawie się skończył. Że nadchodzi coś gorszego.

• Ufam, że wszystko, co widziałeś podczas tej podróży, znajduje się w księdze au'it - rzekła Ila, zerkając na ich au'it, która lekko skinęła głową. - Dobrze. Przeczytam o tym w wolnej chwili.

• Wszystko, co widzieliśmy w naszych wizjach - ciągnął Marak, rozpaczliwie potrzebując czasu, by dopiąć swego - wszystko, co widzieliśmy, ziściło się. Wszyscy szaleńcy mieli te same wizje. A teraz my troje, Hati, ja i Norit, o ile wiem, jako jedyni widzimy w wizjach więcej. Widzimy pierścienie ognia rozchodzące się nad wioskami. Luz jednak twierdzi, że jeśli przybędziemy do wieży, wszystkim zapewni bezpieczeństwo. Nie znam prawdy. Nie wiem, kto ma rację. Powiedziałem, że wrócę, i wróciłem z raportem, na jaki było mnie stać. Nie wiem, co jest słuszne.

• Podejdz tu - rzekła Ila, przywołując go trzykrotnie dłonią, aż stanął z nią twarzą w twarz.

Ziemia lekko zadrżała, co zdarzało się co godzina.

- Połóż tu rękę - rozkazała Ila i wskazała oparcie swego fotela.

Marak nie miał wątpliwości, że grozi mu niebezpieczeństwo, a jednak posłuchał. W siedzibie Ili wykonywanie jej poleceń stanowiło jedyną gwarancję bezpieczeństwa.

- Kapitanie - rzekła, wyciągając w bok rękę. - Twój nóż.

Marak się nie poruszył. Kiedy Memnana podawał jej nóż, który nosił u pasa, Marak patrzył Ili prosto w oczy.

Zacisnęła dłoń i wbiła klingę w przedramię Maraka. Nie umiała obchodzić się z bronią. Czubek noża zaplątał się w tkaninę i obrócił, choć wbił się w ciało dość głęboko. Z rany wypłynęła krew i jej strumyk rozdzielił się przy nadgarstku, skapując po obu stronach oparcia fotela.

Być może była to demonstracja jej władzy robienia krzywdy. Marak zademonstrował swoją władzę nie uginania się pod jej groźbami.

- Możesz się cofnąć - rzekła spokojnie Ila i oddała nóż kapi tanowi.

Marak odstał od tronu z krwią ściekającą mu z palców. Nie zniżył się do jej tamowania. Wiedział, że to jakaś próba albo kara, ale doświadczał już gorszych, i wciąż patrzył Ili w twarz. Mierzyli się wzrokiem przez bardzo długi czas.

Następnie Ila gwałtownym gestem wszystkich odprawiła.

-Zajmijcie się nimi! Udzielcie im mojej gościnności. Nie bandażujcie rany.

Marak pomyślał z ulgą i zdumieniem, że to dziwne polecenie. Skłonił się i razem z Hati poszedł tam, gdzie skierował go Memnana; kółka zaśpiewały na drążkach, a potem jeszcze raz, kiedy służący z powrotem zaciągnęli zasłony. Strażnicy wynieśli za nimi Norit, nieprzytomną, niczego nieświadomą,

obojętną... lecz bezpieczną.

Służący skierowali ich do wąskiej komnaty znajdującej się w ogromnym namiocie, wydzielonej zasłonami i ciepło oświetlonej przez lampy.

Tam Memnanan odsunął zasłonę i służące Iii zajęły się Norit; chciały ich rozdzielić, więc strażnicy zaprowadzili Maraka do pomieszczenia obok. Najwyraźniej kierowały nimi względy przyzwoitości, więc nie oponował.

Memnanan został z nim przez chwilę, kiedy służący rozbierali go z powiewnych szat, i zapytał:

- Skłamałeś?
- Nie - odparł Marak.

Służący odwinęli dywany, odsłaniając leżący pod nimi piasek i kazali Marakowi na nim stanąć, po czym jęli go myć mokrymi ręcznikami, przesyconymi zapachem ziół. Podczas ataku Norit na dwór Iii nie padło jedno wielkie pytanie; zadanie go mogło pociągnąć za sobą konsekwencje na razie z niczym nie związane - lecz niezadanie go mogło zaprzepaścić szanse Maraka na uczynienie tego w ogóle. Chodziło tu o uczciwość Iii i Luz.

Marak przypomniał sobie miarę prawdy i dotrzymywanych obietnic.

- Nie skłamałem. Ila obiecała, że jeśli wrócę, to zapewni bezpieczeństwo mojej matce i siostrze. Czy to prawda? Czy moja matka tu jest? A moja siostra?

Niewolnicy przerwali pracę. Memnanan popatrzył na Maraka, przygryzając wargę.

- A gdybym powiedział, że tak?

Memnanan nie był głupcem, żeby z góry pozbywać się atutów Iii; był jednak przyzwoitym człowiekiem i Marak już to kiedyś wyczuł. Teraz w to uwierzył, widząc, jaką walkę toczy ze sobą Memnanan.

- Gdybyś to powiedział, to uwierzyłbym ci - odparł Marak. Memnanan zmienił temat.
- Ramię przestało ci krwawić.

To był drobiazg. Marak zgiął rękę i zerknął na nią, spodziewając się tego, co zobaczył: rana wyschła szybciej niż krew. Ciało wokół niej było rozpalone i spuchnięte.

Przez całe życie zaprzeczał, że bardzo szybko zdrowieje - to było głupie. Teraz wiedział, że to, co żyje w jego krwi, utrzyma go przy życiu w o wiele groźniejszych sytuacjach. To mogło się okazać niekorzystne.

• Ila wysłucha cię jeszcze raz - rzekł Memnanan na odchodnym. - Jestem tego prawie pewien. Ją zapytaj o swoją rodzinę.

• Ci ludzie na zewnątrz... - zaczął Marak i Memnanan przytrzymał zasłonę. - To ona ich wezwała, czy przybyli sami?

-Przybyli sami. Kiedy zaczęły się kłębki, dokąd mieli się udać, jak nie do Oburanu? Wioski mijały się po drodze od najdalego zachodu ku centrum, od południa ku północy. Struga zmieniła się w powódź. Większość płonów została na polach. Zjedli większość swoich zapasów. Teraz uszczuplają zapasy Oburanu. - Memnanan wyjawiał własne troski, obawę przed nadchodzącym, niezaprzeczalnym ubóstwem. - Jakiś czas wytrzymamy. Ta wieża, którą widziałeś... ta rzeka o zielonych brzegach... czy potrafi wyżywić wszystkich ludzi na świecie?

- Nie wiem. Już żywi bardzo wielu. Jeśli ona mnie wysłucha... Jeśli mnie posłucha, to mamy pewną szansę. Powiedz jej to, jeże li cię zapyta. Mogłem tam zostać. Postanowiłem wrócić po moją matkę, by uratować ją i wszystkich innych, których zdołam.

-Alla?

• Złożyłem jej obietnicę. Jestem tu. Wróciłem.
• Rzeczywiście.
• Czy zechce mnie wysłuchać?
• Zatrzęsła się ziemia. Wszystko runęło w gruzy. Nie wiem, czego ona chce. Domyślałeś się jednak słusznie. A ta kobieta powiedziała o wiele za dużo.

Memnanan sam mu powiedział o wiele za dużo. Opuścił zasłonę i zostawił Maraka ze służącymi.

• Omi - powiedzieli i przynieśli misę, z której wylali na niego czystą wodę i umyli mu włosy.
• Sama się mogę umyć! - rozległo się zza zasłony i Marak nabrał otuchy. Hati nie dawała sobą pomiatać. Hati to Hati.

Nie wiedział natomiast, co się dzieje z Norit. Przyznawał Memnananowi rację, że Norit grozi niebezpieczeństwem. Nie wiedział, jak może jej pomóc poza tym, co już zrobił - o czym świadczyła jego rozcięta ręka. Mógł się sprzeczać z Ila o życie Norit. Gdyby Ila chciała skorzystać z tego, co proponował, mógłby dopiąć swego.

Ale co powstrzymywało Luz? Co nie pozwalało jej pogarszać sytuacji?

Służący osuszyli mu włosy i wytarli go, dali mu szatę do spania z pięknego błękitnego materiału i odsunęli zasłonę. Siedziała tam Hati, jeszcze nie ubrana, z ciemną skórą lśniąca od wody. Rzuciła palące spojrzenie służącym, wyrwała im szatę z rąk i włożyła ją, nie zwracając sobie głowy spinaniem.

Służące wycofały się z pomieszczenia, a Hati podeszła do Maraka. Chciała obejrzyć jego rękę, która już spuchła i się zaczerwieniła.

- Zagoi się - powiedział. Hati jednak wiedziała o tym równie dobrze, jak on. - Gdzie jest Norit?

Nie widział jej nigdzie w pomieszczeniu.

- Zabrali ją. Nie wiem, dokąd.

W pomieszczeniu kąpielowym Hati znajdowało się złocone łóżko, do którego Marak ją poprowadził; położyli się pod spiżowymi lampami, zmęczeni, mogąc nareszcie odpocząć. Na niebie rozległ się grzmot, a ziemia kilka razy lekko zadrżała. Pobliskie ruiny obsunęły się z trzaskiem kamieni.

-Jest zbyt dumna, by słuchać - rzekła Hati, leżąc w ramionach Maraka. - Straciła wszystko, co miała, i moim zdaniem jest zbyt dumna, by przyjąć tę ofertę.

• Miałś wyjść do beshti - powiedział Marak. - Miałś być z Tofim, bezpieczna, żebym nie musiał się martwić.

• Ja to widzę inaczej.

• Widziałaś swoje namioty. Są tu Keran. Mogłabyś pójść do nich?

Hati potrząsnęła głową - płatanina wilgotnych warkoczy na jego ramieniu, woń olejków i ziół.

• Nie. A jeśli Ha zgodzi się być rozsądna i wyruszy, to pojedziemy wszyscy. Jeżeli tak nie zrobi, to pójde do Keran i powiem im prawdę, a potem zobaczymy, co zrobią.

• Nie groź jej. - Przesunął dłonią po warkoczach Hati i pogłaskał jej czoło. - Uciekaj z tego miejsca. Możesz stąd wyjść, zmienić szatę i stać się jedną z dziesięciu tysięcy ludzi.

Hati westchnęła głęboko; w westchnieniu tym zawierało się rozważenie możliwości przemocy i strasznych działań - a także ich odrzucenie.

- Tylko razem z tobą. Jeśli chcesz, bym odeszła, mój mężczyzno, to oboje udamy się do mojego plemienia.

-Memnanan dał mi do zrozumienia, że może tu być moja matka i siostra.

-Świetnie. Uratujemy je. Pojedziemy na wschód. Wiemy, gdzie spadają gwiazdy, i przez tę okolice przejedziemy szybko.

Wypowiadała na głos swoje marzenia.

Było to też niebezpieczne, wzięwszy pod uwagę otaczające ich zasłony. Całe życie Maraka stało się nagle delikatne i całe życie, któremu ufał, całe życie, które uznawał za swoje, spoczywało w jego rękach, w szczupłych, twardych ramionach Hati, w pewnym sobie spojrzeniu. Być może jest tylko to. W każdej chwili mogą umrzeć. Jeszcze nigdy życie nie miało dla Maraka większej wartości.

• Ila wie o gojeniu się, prawda? - zapytała Hati.

• Teraz chyba tak - odparł.

Nad namiotem rozległ się grzmot, a gdzieś w ruinach spadł jakiś kamień. Marak był zbyt znużony, żeby się kochać. Uznał, że Hati też. Patrzyli po prostu na siebie, aż oczy zaczęły jej się zamykać i wreszcie zasnęła.

Mimo pomrukiwania nieba i ziemi, ze względu na Hati leżał nieruchomo, a kiedy zbliżał się świt, również zasnął.

Potem przyszli służący i przynieśli im ubrania, suszone owoce i świeży chleb z masłem, które stanowiło rzadki przysmak.

A potem pojawił się Memnanan.

- Maraku Trinie - powiedział. - Chodź. Ila pragnie z tobą mówić.

Hati natychmiast się zaniepokoiła i już chciała wstawać, by iść z Marakiem, ale Memnanan miał wiadomość i dla niej.

- Zostań tu. Tak będzie bezpieczniej dla niego.

Hati na powrót usiadła na posłaniu i spojrzała na Maraka, jakby pytając, czy się z tym zgadza.

- Zrób, o co prosi kapitan - rzekł Marak.

Rozdział 15

„Wolą Iii jest, by istnieli abjori, a pewnego dnia, kiedy przyjdzie jej na to ochota, przestaną istnieć: tej bowiem godziny są utrapieniem dla jej ludu, gromadząc wszystkich jej nieprzyjaciół, by wszyscy ich poznali”.

- Księga Au'it Iii

Memnanan sam go przeprowadził przez labirynt zasłon, zatrzymał w wąskim pomieszczeniu i trącił w ramię, by zwrócić na siebie uwagę.

• Ila spędziła całą noc z au'it - powiedział. - Uważaj na siebie. Powściągnij ten swój gniew. Tym razem nie przysłuży się ani tobie, ani kobietom.

• Dlaczego mnie ostrzegasz? - zapytał Marak, usiłując spojrzeć oficerowi w oczy. - Przecież jesteś człowiekiem Iii?

• Czy odbyłbyś tak daleką drogę, czy tyle byś przeszedł, żeby ją okłamać?

To była szczerza prawda, jak sam to odkrył. Nie pragnął zniszczyć Iii.

„Więc w co nie wierzysz?” - chciał zapytać Memnanana, widząc, że jak dotąd żołnierz mu wierzył. „W co nie wierzysz ty, a w co ona?”.

Memnanan był jednak człowiekiem Iii.

- Chodź ze mną - rzekł i poprowadził Maraka przez ostatnie trzy zasłony do komnaty, w której siedziała Ila, tak jak zeszłego wieczoru, z au'it u stóp. Inna au'it - to mogła być ich towarzysza - siedziała nieopodal, na dywanie z boku komnaty. Wciąż płonęły tam lampy zawieszane na złotych łańcuchach, ale przy oświetlonym świetle sączącym się przez płótno wydawały się mniej jasne niż poprzedniego dnia.

- No, no - odezwała się Ila. Wyciągnęła dłoń w czerwonej rękawiczce i skinęła na Maraka. - Podejdz. Pokaż mi swoją rękę.

Marak zbliżył się i podciągnął rękaw; podobnie jak Ila, wcale nie był zaskoczony widokiem różowego ciała.

• Ach tak - rzekła Ila.

• Szybko zdrowieję - powiedział, opuszczając luźny rękaw. - Zawsze tak było.

• Ach tak - powtórzyła Ila. - A czy rozumiesz tych stwórczyli, jak nazywa ich ta Luz? Te nanocele?

• Nie. Wcale.

• Spadające gwiazdy - zauważyła drwiąco Ila. Marak był przyzwyczajony do wstydu związanego z wizjami. To jednak nie były wizje. Widział leje, gdzie spadały gwiazdy, i nie zamierzał dać im sobie wyperswadować.

• Owszem.

• A więc ta Luz ogłosiła się naszym zbawieniem. Naszym bogiem. I chce, bym przyszedł do niej.

• Chce, by przyszedli wszyscy.

• O, niewątpliwie! Wciąż jesteś szalony - rzekła Ila. - Rozejrzałeś się po tym namiocie? Widzisz rozmiary tego obozowiska? I chcesz nas wszystkich poprowadzić na skraj Lakht?

To było pytanie, bardzo straszne pytanie. Au'it zapisały je w swoich księgach.

• Jeśli musimy to zrobić, to musimy - odparł cicho Marak. - Obozowisko tworzą wioski. Mają namioty, które wykorzystują podczas żniw, i dość beshti, by tu dotrzeć. Są plemiona, które wiedzą, jak dotrzeć dokądkolwiek im się zamarzy. Wystarczy, że powiem im „za Pori”, a będą wszystko wiedzieć.

• A czy ta Luz zatrzyma spadanie gwiazd?

• Nie wiem. Chyba nie potrafi. - Taka uczciwość stanowiła jego utrapienie. Przez nią ściągał na siebie setki ojcowskich kar, zanim nauczył się rozwagi. Brnął jednak dalej. - Nie wiem, co potrafi, a czego nie. Albo co ty potrafisz. Ona jest obca. Przyszedłem, by zapytać ciebie, czy potrafisz to powstrzymać?

Może nikt jeszcze nie prosił Iii o zrobienie czegoś, co było dla niej niemożliwe. Zmarszczyła czoło i przez długą chwilę patrzyła surowo na Maraka.

• Taka wiara.

• Nie mam wiary. Nie wierzę obcym.

• Albo mnie.

• Przynajmniej nie jesteś obca.

- A więc chce, żebym tam przybyła. Po co?

Było to zasadnicze pytanie, a on nie potrafił na nie odpowiedzieć.

• Jeśli zostaniemy tutaj - rzekła Ila, i w tej samej chwili zadrżała ziemia, tak że aui'it mocniej chwyciły księgi, w których pisały - jeśli zostaniemy tutaj, zginiemy. Wierzysz w to?

• Wiem, że to prawda - odparł Marak, usiłując zebrać myśli, oszołomiony obecnością Ili i niepokojem ziemi. - Znam drogę do wieży za Pori.

Uderzyło go, że Ila wysłała go do Pori, nie na zachód, nie na północ ani na południe, ale właśnie do Pori. Wiedziała, gdzie jest wieża. Wiedziała to, zanim go wysłała.

Co jeszcze wiedziała, zanim go wysłała?

-1 możesz nas zaprowadzić - rzekła Ila.

- Jeśli nie, to mam Norit.
- Ty masz Norit - powiedziała drwiąco Ila. - Luz ma Norit.
- Kiedy Luz z nią skończy, będzie moją żoną.
- Twoją żoną!
- Norit nie ma nic wspólnego z tym, co robi Luz.
- A ty? - zapytała ostro Ila. - Masz coś wspólnego z tym, co robi Luz?

Sam zadawał sobie to pytanie. Potrząsnął głową

- Nie. - I dodał, ponieważ była to absolutna prawda: - Nie ufam Luz.

Ila uniosła podbródek i spojrzała w dół na Maraka twardym, podejrzliwym wzrokiem.

- A mnie ufasz bardziej?

- Ty mi nigdy niczego nie zaproponowałaś. Ila zetknęła dłonie czubkami palców.
- Ależ zaproponowałam;

Potrząsnął głową.

• Poprosiłem cię o przysługę, a ty się na nią zgodziłaś. Nigdy niczego mi nie zaproponowałaś.
• A więc wysłałam ciebie, człowieka, który przez trzy lata wymykał się moim patrolom, a ta Luz przejęła cię, gdy tylko cię zobaczyła. Albo jeszcze szybciej. Wiedziała, kim jesteś. Wątpię, czy musiała słuchać plotek, by rozpoznać w tobie wielkiego Ma-raka Trina Taina. Jesteś dla niej cenną zdobyczą. Co ci zaproponowała?

• To, co wszystkim. Raj w białych namiotach nad zieloną rzeką. - Wrócił do niego ten obraz, lecz wizje katastrofy były wyraźniejsze. - To było, zanim spadły gwiazdy. Nie mam pojęcia, co się stało z tym miejscem. Myślę, że wciąż jest bezpieczne. Norit zachowywałaby się chyba inaczej, gdyby coś jej się stało. Przez całą drogę Luz nie opuszczała jej na dłużej niż kilka chwil.

Ila przytknęła usta do swoich złączonych palców. Jej ciemne, głębokie oczy płonęły.

- Mam twoją matkę, Maraku Trinie, i twoją siostrę. Oraz twoje ojca.

Ach tak. Już przedtem postanowił, że nie będzie się o nich martwił. Że uodpomi się na cokolwiek, co mogłoby się stać w jej rękach bronią.

• Tak jak obiecałaś - rzekł cicho. Miał podejrzenia wobec wszystkiego, co powiedziała, wobec wszystkich jej motywów. -Ja też dotrzymałem swojej obietnicy.

- Prawdziwe z nas przykłady prawości.

Wyraźnie prowokowała go do odpowiedzi. Nic nie przychodziło mu do głowy. Po prostu milczał.

- A gdybym tak powiedziała, byś poprowadził tych wszystkich ludzi do wieży, Maraku Trinie. Co byś zrobił? Jak byś się do tego zabrał?

Zaczerpnął głęboko tchu, zyskując króciutką chwilkę do zastanowienia się nad tym, co najważniejsze, a co drugorzędne.

- Mam ci odpowiedzieć szczegółowo?

-Tak.

- Najpierw daj przywództwo nad każdą grupą temu, kto ją tu przyprowadził. Jeśli ludzie mają zwierzęta, zatrzymują je. Jeśli mają namioty, też je zatrzymują. Jeśli mają bukłaki, tak samo. To sprawiedliwe. Potrafią przewidywać. Dzięki temu mają większą szansę przeżycia. Dopilnuj, by wszyscy zrozumieli porządek marszu i obozowania. Wyślij plemiona przodem: będą poruszać się najszybciej. Ten, kto porusza się najwolniej, zostanie w tyle, a kto pozostanie w tyle... nic na to już nie poradzimy. Umrze.

- To takie proste.
- Nie ma nic prostszego. Lakht to Lakht. Bez względu na to, kto pyta, nigdy nie jest inna.

Ila opuściła złączone dłonie na kolana.

- Kapitanie.
- Ila - odpowiedział Memnanan z tyłu, gdzie stał przy zasłonach.
- Pomóż mu w tym przedsięwzięciu.

Marak zamrugał, myśląc: Na pewno nie, nie tak łatwo, nie tak szybko.

Nie ja, nie nad tym wszystkim.

Nastąpiła jednak cisza. Zrozumiał, że został odprawiony, i zaczął się wycofywać.

-Marak!

Zatrzymał się.

- Ila - powiedział za przykładem Memnana.
- Kiedy ci ludzie wyruszą?

Termin nie spoczywał w jego rękach. Termin zależał od spadania gwiazd i katastrof na ziemi.

Marak, Marak, Marak, zakrzyczały głosy. Norit wiedziała, co zostało uzgodnione. Był pewien, że tak jest.

A potem nabrał pewności, że Hati też wie.

- Dziś wieczorem - odparł. - Radziłbym, byś dla twego bezpieczeństwa używała zwykłego namiotu, takiego, który potrafi rozstawić i spakować dwoje ludzi. Byś zabrała więcej żywności i wody niż broni.

Rada ta spotkała się z nieprzejednaną miną.

-Chciałbyś dać każdemu segmentowi karawany prawo do podejmowania własnych decyzji.

Nie zadawał sobie pytania, dlaczego podjął taką decyzję. Wydawała się oczywista. Teraz jednak się zastanowił.

- Linia marszu za bardzo się rozciągnie. Przywódcy nie będą mogli być wszędzie wzdłuż niej. Najszybsi muszą iść pierwsi. Udzielę im jednak wszelkich wskazówek. Schronienie, woda, żywność, a dopiero potem broń. Beshti nie będą słuchać rozkazów Iii: to one ograniczają ładunek.

Au'it przestały pisać. Wszystko zastygło w bezruchu.

Ila uniosła dłoń i wykonała nią gest w kierunku drugiej au'it, rozkazując jej wstać; drugi rozkaz był mniej wyraźny.

Au'it podeszła do zasłony znajdującej się za fotelem Iii i ją odsunęła. Znajdowały się tam sterty książek, zapisanych przez au'it - setki, tysiące książek - skórzane okładki i płócienne, księgi poplamione i księgi ozdobne, wystrzępione przez lata użytkowania.

- To jest wiedza - rzekła Ila. - Co za nią da ta cała Luz? I jak przewieziesz te wszystkie księgi, Maraku Trinie? Powiedz mi, jak to zrobisz.

Był oszołomiony. Taka sterta ledwie zmieściłaby się w woskowym domu. Jego głosy domagały się uwagi, *Marak, Marak, Marak*, ale on nie miał pojęcia, o co im chodzi albo czy Luz rozumie, co zobaczył i co to oznacza. Były to księgi au'it, cała wiedza, cała zapisana historia.

-To jest mój warunek - rzekła Ila; ziemia zadrzała, jakby uderzyło serce. - Nie ten namiot, nie ten mebel. Do diabła z nimi. Gdzie ja się udam, udadzą się te księgi. Potrafisz znaleźć dość zwierząt?

- Coś wymyślę - odparł i wziął głęboki oddech.

Ila spojrzała na niego z namysłem.

- Zrób to - rzekła i poruszyła palcami w geście odprawy. -

Zrób to do wieczora.

To było wszystko.

Marak, mówiły głosy. Spróbował prawidłowo się wycofać. Prowadził go Memnanan, przytrzymał dla niego zasłonę, ujął go za ramię. Marak zobaczył ogień i zniszczenia.

Do wieczora.

- Potrzebuję tych dwóch kobiet - powiedział do Memnana.

- Nie ojca? - zapytał oficer. - Nie matki?

- Nie mam czasu.

Przypomnił sobie, jak pożegnał go ojciec, i wcale mu się nie chciało z nim zobaczyć. A na matkę i siostrę nie było czasu.

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy, nagle oswobodzone. Znów pojawiła się wizja: pierścienie ognia rozrastały się raz po raz, płonęły czerwienią jak żelazo w kuźni i Marak prawie czuł zapach dymu.

Z wysiłkiem zmusił się do myślenia i przygotowania list.

- Potrzebuję Tofiego. Potrzebuję Hati i Norit. Chcę, by za go

dzinę wszyscy przywódcy plemion i wioski spotkali się ze mną na skraju obozowiska, na karawanowym szlaku prowadzącym na południe.

Memnanan spojrział na niego, po czym wydał rozkaz czekającemu w pobliżu podwładnemu.

• Zajmij się tym spotkaniem - rzekł oficer i skinął dłonią, a żołnierz zgarnął ze sobą jeszcze dwóch ludzi. Zatem sprawa się rozniesie, i to bez ich pomocy. Memnanan jednak był niewzruszony.

• Te dwie kobiety. Oczy i głos Luz.

• Jedna jest głosem Luz - rzekł Marak. - Ta druga to an'i Ke-ran. Jeżeli któreś z plemion przeżyje i dotrze do wieży, to będzie nim właśnie ono. Jeśli są tu moja matka i siostra, pozwól im udać się do Haga. Jeśli tu są, to nie potrzebuję wiedzieć nic więcej. Będą bezpieczniejsze, niż mógłbym zadbać o to ja.

• Oraz Tofi ze względu na jego umiejętności? To chłopiec.

• Od śmierci ojca już nie. Chcę jego i jego dwóch ludzi. On jedyny ze wszystkich przewodników dokładnie rozumie, co tam jest. Chcę, żeby opiekował się namiotami Iii. Naszymi namiotami.

• Zwierzęta do przeniesienia ksiąg?

Kapitan być może zrobił własne wyliczenia, ile musieliby mieć beshti; stanowiłyby potężną karawanę, lecz nie mogłyby nieść ani żywności, ani namiotów.

- W głębokiej pustyni - rzekł Marak - straciliśmy beshę na stromym zboczu, co wywołało wyrojenie się plugastwa. Nie zo stawilo ani kosteczki, ani kawałka skóry. Beshha była wyższa od nas obu. Najwięksi przedstawiciele plugastwa, które się w nią wgrzyzało, nie sięgali człowiekowi do kolan. Nie zostaliśmy, by popatrzeć, ale wyobrażam sobie, że beshha mogłaby zniknąć na naszych oczach.

• Niezwykły widok - zgodził się Memnanan. - Cud boski, że przeżyliście. Co chcesz powiedzieć?

• Że do przeniesienia ksiąg nie trzeba zwierząt. Trzeba najsilniejszych, najbardziej wytrzymałych ludzi z każdej wioski i każdego plemienia.

Memnanan przez chwilę nic nie mówił; zmarszczył czoło, a błysk w jego oczach świadczył, że się nad czymś zastanawia.

• Oddać księgi w ręce plemion?

• Chcesz je dowieźć na miejsce? - zapytał Marak i spostrzegł, że oficer uważnie go słucha. - Czy te księgi będą rozstawiać namioty i zajmować się połsetką beshti? Ludzie robią to o wiele lepiej. Księgi będą miały tysiące nóg, a jeśli zaginie jedna z nich, pozostałe ocaleją. - Zacerpnął tchu, zyskując czas do namysłu. - Ta karawana nie może obozować w kręgu. Rozciągną się jak paciorki naszyjnika. Nic na to nie poradzimy. Jeśli głupcy wypiją całą swoją wodę, nic na to nie poradzimy. Trzeba porządnie napoić zwierzęta. Nakarmić je. Napełnić każdy bukłak w obozie. Nawet gorzkie studnie są niepewne.

-To ocali wioski. Sam Oburan ma bardzo niewiele namiotów... i niewiele zwierząt, poza stadem hodowlanym. To ludzie z miasta. Nie znają pustyni.

- Trzeba rozdzielić ważne rzeczy, takie jak książki, po kilka na każdą grupę. Jeśli będzie za wielu pieszych, mają iść na końcu, jako siła robocza do wbijania palików; wystarczy im jeden beshha do niesienia namiotu i pilnowania właściwego kierunku, jeśli zostaną w tyle.

Wystarczy choćby podmuch wschodniego wiatru czy odrobina zapachu unosząca się nad szlakiem, by zwierzęta wyczuły drogę do tych, które znajdują się przed nimi. Za tak dużą karawaną na pewno będzie ciągnął się zapach. Zostawi ona za sobą szlak odpadków, zniszczonych przedmiotów, plugastwa i zbyt wielu żywotów.

Memnanan, podobnie jak Marak, był człowiekiem mającym władzę, kimś, kto dostrzegał nieprzyjemne konieczności, gdy zwracano mu na nie uwagę, kto wiedział, jak tworzyć zasady dla dobra ogółu. Osobiste współczucie było u nich obu wadą kulturowaną w tajemnicy.

- To jest jakaś szansa - stwierdził Memnanan.

Marak domyślał się, że oficer zna pustynię, tak jak ludzie Iii ogólnie znali ją na tyle, by przeżyć... znali ją jako miejsce, gdzie są obcy, w drodze do jakiegoś miejsca, nigdy nie czując się na niej swobodnie. Na pustyni egzystowały wioski - one właściwie nie zatraciły swych umiejętności. Kiedy wiały potężne wiatry, mogące zabić dziesięciu mężczyzn, którzy poszli umocować sieć nad sadem, kiedy piach mógł zasypać nie osłoniętą studnię, kiedy myśliwi zaskoczeni na otwartym terenie mogli z łatwością zginąć, jeśli nie podjęli właściwych kroków... znajomość pustyni nie była aż tak odległa.

- Jeśli masz domowników - poradził Marak kapitanowi Iii - umieść ich wśród plemion. Albo w moim namiocie, z Tofim i je

go ludźmi. Sądę, że będziesz zajęty w towarzystwie Iii, a ja będę miał miejsce.

Memnanan spojrział na niego.

• Zbyt wiele starszych osób, które nie mogą chodzić. Żona w szóstym miesiącu ciąży. W mieście jest ich o wiele za dużo.

• Umieść ich u mnie - rzekł Marak. - Zdobądź dla nich beshti. Będziemy im pomagać przy wsiadaniu i zsiadaniu. Martw się o Ilę. Bądź samolubny, człowieku. Zrób sobie ten jeden prezent. Należy ci się. Ja sam poprosiłem o kilka. Będziemy musieli dostarczyć książki na zgromadzenie. Daj je przywódcom. Przywódcy przeżywają. To ich obowiązek.

Memnanan nic nie odpowiedział. Wyprowadził Maraka przez zasłony i w pomieszczeniu z biurkiem znalazł podwładnego

- Sprowadź an'i Keran - polecił mu - i tę wieśniaczkę, proro kinie.

Hati przysła sama, spodziewając się zastać Maraka i Mem-nanana. Za nią pojawił się skonfundowany strażnik. Szaleństwo miało tę przewagę, że nikt jej nie uderzył; podeszła do Maraka, chwyciła go za ramię i spłotła swoje palce z jego. Memnanan odprawił strażnika, a po chwili inny przyprowadził Norit. Jej spokojna, nieruchoma twarz świadczyła, że jest pod całkowitą władzą Luz. Tego strażnika Memnanan też odprawił.

- Wyjdziemy na zewnątrz obozu - oznajmił Marak Hati i Norit - by porozmawiać z przywódcami. Wyruszymy wieczorem z Ilą i plemionami.

Nie kwestionowały jego słów. Wszyscy troje wyszli z Mem-nananem z namiotu pod ciemnoszare, groźne niebo. Ludzie nadal czerpali wodę z Łaski Iii. Kilku biedaków wynosiło przez bramy miasta jakieś tobołki, uginając się pod ich ciężarem. Zbierali te dobra na próżno.

Memnanan wysłał ludzi po beshti i wózki do przewiezienia cennych ksiąg na skraj obozu.

- Przenieśli je tu kapłani - powiedział. - Mogą je zawieźć na zgromadzenie. Odpoczniemy tu, aż będą gotowi. Bóg jeden wie, że dzisiejszej nocy nie będzie odpoczynku.

Kiedy tak czekali, ziemia lekko drżała. Siedzieli na matach pod daszkiem, tak, jak spędzają czas bogacze; pierwszeństwo przy Łasce Iii miały bukłaki dworu Iii i jej stada.

Podczas drugiego wstrząsu służący przynieśli im coś do jedzenia i picia. Zadrżały maszty i płótno wszystkich namiotów. Za oczyma Maraka rozlało się jezioro ognia, który przelewał się przez jego brzegi i pędził po skałach pustyni. Widział spadające gwiazdy. Jadł jednak i pił, bo mógł to być ostatni posiłek w ich życiu. Od czasu do czasu Memnanan odchodził na bok i wydawał swoim ludziom szczegółowe rozkazy.

Przejechał obok nich ktoś na oklep, jak chłopiec, a po chwili zjawił się na beshy Tofi. Jego widok sprawił im przyjemność; przewodnik najwyraźniej nie spodziewał się ujrzeć ich siedzących jak jacyś bogacze w popołudniowych podmuchach wiatru, z Łaską Iii wylewającą w pobliżu obfitość wody i ludźmi przeszukującymi ruiny miasta za rozwalonym murem.

Błysk rozpoznania zastąpiła natychmiastowa powaga i formalne zachowanie w obecności Memnanana; Tofi lekko zeskoczył z siodła, zdumiony i zaniepokojony.

• Ludzie polecieli mi przybyć, orni.

• Owszem - rzekł Memnanan.

• Obóz wyruszy tej nocy. - Marak wstał ze swego miejsca pod daszkiem i wyszedł na poświęte bladego, zachmurzonego słońca. - W karawanie tych wszystkich obozów ty pojedziesz wśród pierwszych, wśród plemion. Możesz to rozgłosić między innymi przewodnikami karawan w obozie: jeśli dowiedzą się o tym plemiona, nic nie szkodzi. Zapłatą za ich usługi będzie życie nas wszystkich, a ty znasz prawdę nie gorzej ode mnie. Powiedz im to. Jeśli o mnie chodzi, plotki mi nie przeszkadzają. Zbierz wszystkie swoje namioty, zwierzęta i ludzi.

• Dokąd mamy iść, orni? Z powrotem?

• Z powrotem, i to jak najszybciej. Zaopiekujesz się osobami, które wskaże ci Ila: au'it, samą Ilą, jej służbą i ludźmi. Zatrzymałeś tych wyzwolenców?

• Zapłaciłem im - odparł Tofi - i nie wiem, jak to zrobili, bo nie działa żadna gospoda, ale są pijani.

• Wynajmij ich albo nie, ale przede wszystkim zdobądź sprawną pomoc, zanim reszta przewodników się zorientuje. Gdzie rozbiłeś obóz?

• Na południowo-zachodnim skraju - rzekł Tofi. - Na równinie. Nie ma tam innego przewodnika.

Niektórzy wypuścili swoje zwierzęta, by same się pasły. Ja nie. Ja czekam.

• Dobrze. Weźmiemy nasz namiot, ten sam, który mieliśmy poprzednio. Jest wystarczająco duży.

Najlepszy daj Iii i au'it. Jej ludzie będą obozować z nami, rozumiem, że ze swoimi rodzinami, w namiotach, których sami dostarczą. - Memnanan nie sprzeciwił się, więc Marak uznał, że jego polecenia obowiązują. Ila przeniesie się z tej białej wspaniałości do zwykłych, brązowych namiotów, które potrafi w pośpiechu rozstawić i zwinąć dwoje ludzi, a jej ludzie dostaną namioty, jakich zwykle używa się na pustyni. - Zajmij się tym.

Tofi skłonił się dwukrotnie.

- Omi. Kapitanie - powiedział i wdrapał się na siodło czekającego beshy, zmuszając go do wysunięcia nogi.

Po chwili Tofi ruszył ulicą, energicznie używając harapa.

Rozdział 16

„Księgi au'it nie może otwierać nikt oprócz au'it i nie może jej odczytać ludowi nikt oprócz au'iL Jeśli jakaś wioska chce się dowiedzieć, co jest w księdze au'it, niech ludzie zapytają au'it".

- Księga Kapłanów

Kapłani przybyli do namiotu Iii ze swoimi wózkami ciągniętymi przez beshi. Główny kapłan, wyniosły starzec, minął z gniewem Memnanana, wszedł do namiotu i wyszedł z niego po chwili, kierując swoją wyniosłość wyłącznie do młodszych kapłanów, a Memnanana traktując z wielką pokorą.

• Będziemy opiekować się biblioteką - oznajmił kapłan, wypowiadając każde słowo z wysiłkiem. - Gdzie mamy ją złożyć?

• Zaprowadzą was moi ludzie - odparł Memnanan i dodał, skinąwszy głową w kierunku Maraka: - W tej sprawie Ila dała władzę jemu.

Kapłan spojrział z niezadowoleniem na Maraka, po czym wydał rozkazy młodszemu kapłanowi. Z namiotu wyszła au'it z księgami w rękach, więc kapłani i służący weszli do środka, tworząc łańcuch ludzi podających sobie nawzajem oprawne w skórę tomy poprzez woale i zasłony wnętrza namiotu, a służący przekazywali księgi kapłanom i żołnierzom czekającym na zewnątrz i układającym je ostrożnie na wózki, które na miejskim bruku spisywałyby się bardzo dobrze. Teraz zapadały się pod coraz większym ładunkiem w wilgotnym piasku otaczającym Łaskę Iii i beshi musiały ciężko pracować, by ruszyć je z miejsca.

• Nie tak dużo na jeden wózek - rzekł Memnanan i dodał pod nosem: - Głupcy.

• Na zewnątrz! - wołali żołnierze, napelniwszy kolejny wózek. Memnanan wysłał oficera z dokładnymi instrukcjami, a Marak siedział ze swymi towarzyszkami na matach w cieniu daszka i odpoczywał, prawdziwie odpoczywał w tym hałaśliwym zamieszaniu. Norit spała najdłużej, zwinęta w kłębek. Hati obudziła się i ostrzyła nóż. Żadna z nich nie miała na razie nic do roboty. Sam Marak zwiesił głowę i drzemał; powinien panować skwar, lecz było chłodno i przyjemnie.

Do namiotu przybyli ważni mężczyźni i kobiety i Marak uniósł głowę, podsłuchawszy, że w obozie nagle zaczęły krążyć plotki o wyruszeniu karawan.

- Karawany rzeczywiście mogą zacząć wyruszać - powie dział im Memnanan. - Na waszym miejscu zająłbym się swoimi stadami i napoił zwierzęta, zanim przy Łasce zrobi się tłoczno.

Białe szaty kapłanów były teraz poplamione u dołu brązową ziemią ze źródła, zakurzone i pobrudzone pleśniejącą farbą z ksiąg; pracowali jednak dalej, okazując się w ocenie Maraka lepszymi ludźmi, niż na to wyglądali.

Au'it w swoich charakterystycznych czerwonych szatach pracowały razem z nimi, a kiedy załadowano ostatnie wózki, dwie z nich ruszyły obok nich jedyną prostą drogą prowadzącą od Łaski Iii przez obóz; jeśli teraz nie trząsał się on od plotek, to ciekawość jego mieszkańców mogłaby wzbudzić chyba dopiero gwiazda spadająca w sam jego środek.

Wokół wejścia do namiotu Iii kręcili się służący z zatroskanymi minami. Na jej rozkaz wysłali wszystkie swoje skarby pod ołowiane, przygnębiające niebo. Sami strażnicy sprawiali wrażenie zdesperowanych; spodziewali się kolejnej katastrofy i kiedy trzęsła się ziemia, rozglądali się dookoła, jakby teraz zdali sobie sprawę, że klęska dosięgła istoty ich życia.

Ruch wokół fontanny zwiększył się do granic paniki: służący karawan uzupełniali zapasy, służący rodzinni nabierali wodę do dzbanów, przepychając się ze zwykłymi ludźmi i wieśniakami, bo jeśli

jedno gospodarstwo czerpało wodę, to chcieli to robić wszyscy. Wszędzie kręciły się powarkujące i burczące beshti wraz ze swymi opiekunami.

Do wodopoju przybyły też beshti zamówione przez Memna-nana. Marak z zadowoleniem zauważył wśród nich Osana; pozostałe zwierzęta też były pięknymi sztukami, przystrojonymi w rzędy lśniące od mosiądzu i wspaniałych barw.

Wrócili ludzie Memnanana z wiadomością, że wózki znalazły się za miastem i są pod strażą kapłanów. Nadszedł czas, by wyruszyć.

Norit spała jak zabita, nadrabiając zaległości w odpoczynku, więc dotąd jej nie budzili. Teraz jednak Marak potrząsnął ją delikatnie za ramię i przez chwilę zobaczył jej łagodną, rozsądną twarz. W przerwach, kiedy zachowywała jasność myśli, miała tak przerażoną minę, jak Marak tylko potrafił sobie wyobrazić. Norit zanurzała się w szaleństwo głęboko, a potem nękały ją sprawy, które w połowie pamiętała, a w połowie rozumiała.

Unióś jej twarz i pocałował ją, a Norit oddała mu pocałunek, kurczowo splótłszy swoje palce z jego.

• Kapłani już poszli - powiedział łagodnie. - Z ostatnimi księgami. Pojedziemy z kapitanem i jego ludźmi. Wstaniesz czy mam ci pomóc?

• Chcę pojechać - zabrzmiała jej odpowiedź: odpowiedź Norit, jakby do tej pory słyszała wszystko tylko w połowie, albo jakby chciała powiedzieć, że powrót do wieży jest jej decyzją, niezależną od życzeń Luz.

• Chodź - rzekł Marak i delikatnie pomógł jej wstać. Razem z Hati wybrali łagodnego wierzchowca i podsadzili Norit na siodło, a potem sami dosiedli zwierząt.

Wtedy Memnanan poderwał swojego beshę na nogi i reszta oddziału poszła za jego przykładem: dobrych dwudziestu chłopca, wprawnych, zręcznych jeźdźców, z bronią ukrytą pod szatami i, jak zauważył Marak, z ciężkimi harapami, nie tylko na beshti.

- Kazałem zawieźć książki na wzniesienie obok drogi - oznajmił Memnanan, który podjechał blisko do Maraka. Właśnie ob jeźdzali fontannę, przeciskając się przez tłum. - Tam właśnie ka załem posłańcom wezwać przywódców wiosek i plemion, by nas wysłuchali. Gdybym ja to robił, sprowadziłbym Ile, by do nich przemówiła, ale ona twierdzi, że najlepiej ludzi przekonają kapłani. Ona swoje polecenia wysyła przez kapłanów. Ja mam mniej zaufania.

- Do kapłanów? - rzekł Marak. - Ja go w ogóle nie mam.

Przez chwilę wizje dręczyły go obrazami ognia i przyszłych zniszczeń... a potem zniknęły i Marak, nagle zdeorientowany, nie potrafił sobie wyobrazić nawet kilku następnych chwil. Wierzył w to, co widział w danym momencie... a potem zobaczył tylko katastrofę, jaką mogła się zakończyć próba wyprawienia takiej masy ludzi w drogę w jakimkolwiek porządku, bez ofiar śmiertelnych. Pewnie nikt nie weźmie książek. Nikogo nie będą obchodzić. Razem z Memnananem rozmyślnie rozpuścili plotki na temat wyruszenia karawany i przy fontannie, gdzie plotka kwitła, strach zabarwił wodę goryczą. Teraz fala zatroskanych ludzi wykrzykiwała do nich pytania:

- Dokąd wybierają się karawany?
- Co zrobi Ila?

Marak nie miał pojęcia i nie chciał tracić czasu na pytania, nie teraz, nie tutaj, na tej pełnej chaosu drodze prowadzącej przez obóz.

-Zaczekajcie! - zawołał do natrętów. - Wasi przywódcy zbierają się, by wszystkiego wysłuchać. Zostańcie tu! Spakujcie swoje rzeczy!

Muszą dać się ponieść zapałowi, ulec dzikiemu, szalonemu, niepowstrzymanemu impulsowi: Marak go wyzwolił i wiedział, co zrobił.... Jeśli przywódcy mu się sprzeciwią, będą ich naciskać sami ludzie, domagając się wyjaśnień, a można je uzyskać tylko w jednym miejscu. Było to jednak działanie niebezpieczne. Mogłoby się skończyć plądrowaniem, morderstwami, traktowaniem ludzi; niektórzy mogliby nawet zostać obrabowani, za-kłuci lub zastrzeleni. Wiedział o tym każdy przywódca. Każdy przywódca, który nie odpowiedział na wezwanie, miałby świadomość, że musi iść na spotkanie, że musi się dowiedzieć prawdy o sytuacji.

Ta sprawa nie mogła czekać do następnego dnia.

- Ryzykujesz - rzekł Memnanan.

- Oni muszą wyruszyć - odparł Marak. - Nie mają wyboru.

Napierało na nich coraz więcej ludzi. Jeszcze trzy razy powiedział im to samo, a potem plotka tak się rozniosła po obozie, że widok Maraka i Memnanana stanowił jedynie potwierdzenie, demonstrację władzy, zapowiedź bliskiego wymarszu.

Wyszli z obozu na zagrożone przez plugastwo otwarte piaski. Jeźdźcy poruszali się szybko. Do przywódców dołączyło stosunkowo niewielu ciekawskich, zaniepokojonych, przestraszonych przedstawicieli poszczególnych rodów. Wylegli setkami na piaszczysty grzbiet, stanowiąc tłuszczyk żadną nie krwi, lecz informacji, i z wszelkimi oznakami hysterii parli naprzód. Gdzeniegdzie w obozowisku już składano namioty.

Piaszczysty grzbiet ciągnący się wzdłuż skalnej ściany: to tam Memnanan kazał kapłanom i aui'it złożyć ich ładunek cennych ksiąg, a także zgromadzić się przywódcom. Pojawili się ludzie Iii, by dać ochronę kapłanom i aui'it, i rozciągnęli się wzdłuż stoku, zagradzając drogę innym.

Kapłani usiłowali zagarnąć władzę dla siebie, wykrzykując, że nadeszła dla miasta godzina sądu.

• To wszystko zesłał bóg! - krzyczeli do wiernych. - Bóg postanowił wydać osąd! Żałujcie swego buntu i cheiwości, a Ila wstawi się za wami!

• Musimy położyć temu kres - rzekł Marak, kiedy zbliżyli się tak, by wszystko słyszeć. - O niczym nie mają pojęcia, a władzę tylko nad książkami. Ucisz ich.

Memnanan miał strapioną minę, ale dotarwszy do grzbietu, wydał swoim ludziom rozkazy: strażnicy zbliżyli się do kapłanów i kazali ich przywódcom zejść na dół, gdzie stały wózki. Tam młodszy kapłani rozciągnęli się w obronną linię zszarganej bieli, broniącą dostępu napierającemu tłumowi.

Tłum zbierał się coraz większy; tysiące ludzi nadchodziły pieszo tak z obozu, jak z drugiej strony miasta, a towarzyszyli im członkowie plemion na beshti. Wszyscy parli do jednego punktu, jednego źródła.

- To jest niebezpieczne! - zawołała do Maraka Hati. - Wszyscy chcą wiedzieć, co się dzieje. Co się stanie, jak się dowiedzą?

- Dowiedzą się - odparła głośno Norit: to krzyknęła Luz. - Oto dzień sądu! Wysłuchajcie Maraka! Wysłuchajcie posłańca! Słuchajcie go!

Ale nawet Luz nie potrafiła przekrzyczeć tłumowi; żołnierze odpędzali harapami ludzi, których wypychali do przodu ci stojący dalej.

W tej chwili Marak przestraszył się, że jemu i jego towarzyszom grozi śmierć. Uzmysłowił sobie, że zbyt szybko uruchomił za wiele spraw. Beshti, na których siedzieli, czuły zapach tłumy, dotykali zapach strachu, i zwracały łby to w jedną, to w drugą stronę, gotowe do walki, wyczuwając zagrożenie. Szaleńcy już nie mieli wyłączności na szaleństwo. Tłum rozciągał się niemal do namiotów. Niebo zasnuło się chmurami. Przywódcy, którzy przybyli na spotkanie, przepchnęli się do podnóża grzbietu. Członkowie plemion i niektórzy wieśniacy przyjechali na beshti, lecz większość przyszła pieszo; teraz pchali się i krzyczeli, spierając się z kapłanami i odpychając żołnierzy, których harapy tylko złościły ciżbę i wcale nie utrzymywały jej w ryzach.

Memnanan wyciągnął wtedy z kabury przy siodle strzelbę i wypalił kilka razy w ołowiane niebo. Strzały odbiły się echem od skał, co przestraszyło beshti i przyniosło chwilę ciszy.

• Marak Trin Tain! - zawołał Memnanan. - Odpowiedź Iii na wasze pytania. Zamilknijcie! Bóg przemawia przez Iłę i bóg wyznaczył drogę ucieczki dla swego ludu! Uspokójcie się. Stójcie w miejscu!

• To Aigyan - rzekła Hati, podjeżdżając do Maraka i pokazując palcem. - Ten z czerwoną szarfą. Przywódca an'i Keran. Widzi mnie. Może podejrzewać zemstę. Będą kłopoty.

W panującym wokół pomruku nikt ich nie słyszał. Marak spostrzegł okutanego przywódcę, członka jednego z garstki plemion z głębi Lakht, na których przychylności zależało mu najbardziej i które najmniej chciał mieć przeciwko sobie. Znał wyzwanie, przed którym stawał, lecz Memnanan dał mu chwilę, jedną jedyną chwilę, więc podjechał na środek grzbietu, patrząc na tysiące zaniepokojonych, nieufnych twarzy. Ludzie stojący niżej od niego spojrzeli w górę - w tym momencie tłum spodziewał się jakiegoś wyjaśnienia, cudu.

- Bezpieczeństwo! - zawołał Marak w nagłym natchnieniu. - Bezpieczeństwo! Jest go mniej niż wody na Lakht! Schronienie, w poszukiwaniu którego wszyscy tu przybyliście, woda, pożywnie i schronienie dla każdej rodziny! Ja, Marak Trin, przebyłem z karawaną Lakht i znów tam wyruszam, by wszystkich was zaprowadzić do miejsca, gdzie możecie się schronić, za krawędzią wyżyny, za wioską Pori! Widziałem to miejsce! Widziałem rzekę obsadzoną zielonymi palmami. Widziałem beshti chodzące bez upręży. Widziałem rzemieślników w namiotach, którzy pracowali dla chwały swego rzemiosła! Widziałem serce wieży,

która żywi tych ludzi i nie pozwala gwiazdom spadać na jej ziemi! Byłem w tej wieży i wiem, że ona istnieje!

Podniosły się krzyki, bo ci, co go nie słyszeli, chcieli dopchać się bliżej, trując przy okazji swoich sąsiadów.

- Powiadam: bezpieczeństwo! - powtórzył Marak do tych, do których mógł dotrzeć jego krzyk. - Powiadam: karawana opuści święte miasto i uda się do oazy, gdzie będziecie żyć wy i wasze dzieci!

To wywołało kolejny wybuch wrzawy; ludzie podawali dalej zasłyszane słowa, a jeźdźcy, okrążeni zewsząd przez napierające ciała, starali się opanować zdenerwowane zwierzęta.

- Najpierw wyruszają plemiona! - krzyknął Marak; w oczach miał obraz wrzącego, kłębiącego się ognia, a wyobraźnię atakował mu smród rozgrzanej skały. - Keran i Haga z głębi Lakht jako pierwsze. Potem karawana Iii. Za nią plemiona. I wioski! Niech wszystkie plemiona, wszystkie wioski, wszyscy ludzie zapomną o waśniach! Jak brzmi prawo Lakht? Jak brzmi prawo boga? Że kiedy zrywa się wiatr, do namiotu może wejść każdy, bez względu na wszelkie waśnie, aż namiot się zapełni! Żaden sprawiedliwy człowiek nie może odmówić innemu schronienia!

Ponurzy mężczyźni z zasłoniętymi twarzami skinęli głowami. Takie było prawo. Teraz po raz pierwszy tłum ogarnęła cisza. Ci, którzy mogli cokolwiek usłyszeć, pochylili się.

-Keran to krewniacy mojej żony, a Haga mojej matki! -krzyknął Marak najgłośniej, jak potrafił. - Im powierzam przewodnictwo karawany. Ha pojedzie ze mną, w mojej grupie. Następnie pozostałe plemiona, w kolejności, jaką ustalą zgodnie ze swoim poczuciem honoru, a dalej wioski w porządku, jaki uznają za stosowny. Jeśli chodzi o ludzi z miasta, nie mających namiotów ani pojęcia o pustyni, to każdy wiejski namiot przyjmie do siebie kilkoro z was, a ci, którzy muszą iść pieszo, pójdą za beshti. Jeźdźcy będą was strzec i narzucać tempo marszu. Każdy przywódca plemienia będzie rządził swoim plemieniem, każdy przywódca wioski będzie rządził swoją wioską. - Ogień, mówiły do niego wizje. W myślach pojawiały mu się przypadkowe, cudze słowa, ostrzegające o takiej czy innej katastrofie, ale Marak je zdusił, walcząc o zdrowy rozsądek i własne rozeznanie. - Co więcej... co więcej! Każdy silny, szanowany i bogobojny mężczyzna będzie niósł, oprócz swej dziennej racji wody, mądrość au'it, jedną księgę! Ci silni mężczyźni przyniosą mądrość au'it na nową ziemię, a ich imiona oraz imiona ich rodów zostaną zapisane na zawsze! Jedna księga, jedna księga na człowieka, grupę albo plemię zapewni jej strażnikowi wstęp do raj, w którym będzie rządził Ila! Jeśli jakiś mężczyzna z plemion czy wiosek pragnie nieść taki ciężar, niech podejdzie teraz do kapłanów i przedstawi się au'it, która powierzy mu ten zaszczyt! Rozgłoszcie to! Raj dla powierników ksiąg!

Kapłani żadną miarą nie zdawali sobie sprawy, do jakiego świętokradztwa zamierzał dopuścić Marak. Może wyobrażali sobie, że sami będą opiekowali się księgami, ciągnąc swoje wózki przez otwartą pustynię. Może spodziewali się przynajmniej większego porządku, sporządzenia list; tłum jednak nie był w nastroju do ustawiania się w długie kolejki i starannego zapisywania imion.

• Nie! - zawołał główny kapłan, a z grzbietu rozniósł się pomruk aż na sam dół, zagłuszając niechętnie burczenie beshti i samotny, przestraszony głos, wznoszący się w krzyku:

• Co powiedział, co powiedział?!

• Raj! - wrzasnął Marak. - Woda i jedzenie dla was i waszych dzieci! - Uniósł ręce i krzyczał na całe gardło, na wpół kłęcząc na siodle Osana: - Kiedy ludzie myślą, że wszyscy umrą, gromadzą się, by nie umierać w samotności. Przybyliście tu, by umrzeć, nie chcąc umierać samotnie, ale mamy dla was lepsze wieści! Znamy drogę do raj! Wyruszamy o zachodzie słońca.

Nie umrzemy. Nie chcemy umierać! Ci, którzy przeżyją tę podróż, będą żyć, i to w raj na ziemi!

Jakiś młodzieniec zerwał się i stanął boso na siodle, wymachując rękoma i krzycząc z podniecenia.

Nie on jeden. Ludzie machali rękoma i wrzeszczeli. Ci, co znajdowali się z tyłu zgromadzenia, wciąż usiłowali się dowiedzieć, o czym jest mowa, lecz mężczyźni stojący z przodu zobaczyli księgi i rzucili się do nich; nie zważając na kapłanów, w zapale ratowania się chwyтали po dwie, trzy sztuki.. Pod naporem ciał pękła oś jednego z wózków i księgi wysypały się na piasek. Kapłani rzucili się, by je ocalić, a tłum całkowicie już zalał wózki.

Nad jego krzyki wybił się głos Norit. Miała szeroko rozwarte oczy i bez wątpienia była szalona.

- Nadchodzi ogień z nieba! - zawołała. - Słuchajcie Maraka Trina! Przygotujcie się do drogi!

Kapłani krzyczeli do swoich własnych szalonych słuchaczy:

- W imię Iii, szanujcie boga! Wierni odpowiadali:
- Bóg i Ila, bóg i Ila, jego regentka!

A Marak miał wciąż przed oczyma deszcz ognia.

Teraz już wiedział, że mieszkańcy miasta pójdą za pozostałymi, i to z zapalem wynikającym z wiary; nieważne, w co wierzą, lecz że w ogóle wierzą i że siła tej wiary udzieli się ich ciałom. Rzeczywiście uratuje ich bóg, ponieważ wyruszą w daleką drogę, wierząc w raj.

Marak, Marak, Marak, brzmiało mu natrętnie i nie w porę w uszach, drażniąc go i ponaglając do przedwczesnego działania, do poprowadzenia tej tłuszczy, kiedy jego największym pragnieniem było posłużenie się zdrowym rozsądkiem.

- Dzień sądu nad ziemią! - wołała Norit. - Zbliża się ogień z nieba! Widzisz to, Maraku, widzisz to?! Zbliża się! Tracimy czas!

Luz się bała. Samą Luz ogarnął strach. Marak zobaczył obraz spadającego głazu, który w coś uderza, a potem rozszerzającego się spod niego pierścienia ognia; w ustach poczuł smak miedzi. *Spiesz się, spiesz się, spiesz się*, rozbrzmiewało mu w głowie, niemal odbierając zdolność myślenia, zupełnie jakby jakaś wiadomość czekała tak długo, jak tylko się dało, a teraz, skoro dokonano najważniejszego, Luz wyjawiała to, co deprymowało nawet ją.

Marak spostrzegł, że ta wizja podobnie dręczy Hati, która zatkała uszy dłońmi; sam walczył o uciszenie własnych rozwrzeszczonych głosów, usiłując zaprząć zdrowy rozsądek do tego, co jeszcze należało zrobić.

• Kapitanie! - krzyknął do Memnanana. - Jak najszybciej sprowadź Iłę do nas, tam gdzie obozuje Tofi, na południowo-za-chodnim skraju, na równinie. On czeka na nas. Będzie mu potrzebna pomoc: ma beshti i musi je utrzymać!

• Mam ci dać oddział? - zapytał Memnanan.

• Sam będziesz go potrzebował dla własnego bezpieczeństwa! - odkrzyknął Marak. - Jedź!

Odwrocił głowę Osana i spróbował powiedzieć coś spójnego przywódcom plemiennym, już mniej rozproszony przez okrzyki dochodzące z dołu i hałas panujący w jego głowie czy płonące pierścienie przesłaniające mu wzrok.

Memnanan poprowadził swoich ludzi ku północy, zjeżdżając z grzbietu. Natomiast z drugiej strony na grzbiet wjeżdżał przywódca Keran, wciąż znajdujący się wśród przybyłych najwcześniej. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Norit, zostań z nami! - polecił Marak i obrócił Osana, znałszy się nagle mimo wszechobecnego harmideru w zasięgu głosu męczyny owiniętego aifadem. Obaj dosiadali wierzchołków i górowali nad panującym poniżej pandemonium. - Nazywam się Marak Trin Tain! - krzyknął. - Poślubiłem tę kobietę. Nigdy nie skarżyła się na twoją uczciwość. O Keran słyshałem tylko same dobre rzeczy i chcę, byś jechał jako pierwszy, orni! Wybacz, że proponuję ci to, nie prosząc o okazanie dobrej woli, ale niebo nie daje nam czasu na takie grzeczności.

Mężczyzna z zasłoniętą twarzą patrzył surowo na Maraka, nie na Hati.

- O co prosisz, wieśniaku?

-Poprowadź karawanę na wschód, za Pori, za krawędź Lakht, gdzie nie grożą spadające gwiazdy. Nikt nie zna wschodniej pustyni lepiej od Keran. Ona jest tego dowodem.

• Marak Trin Tain, tak?

• Cały świat przybył tu w oczekiwaniu śmierci. Jeśli ktoś nie odprowadzi świata w inne miejsce, wszyscy umrą z głodu, jeśli najpierw nie zniszczą ich gwiazdy. Nie będzie płonów. Gwiazdy będą spadać coraz gęściej. Wkrótce zabraknie żywności dla takiej masy ludzi.

- Krwawię z rozpacz. Odjedziemy bezpieczni. Przybyłeś tu, przyszedł Marakowi na myśl odpowiedź. Przybyłeś tu, bo tak robili wszyscy...

Tak jednak nie przekona człowieka. Nie jego.

• Dziwi mnie, że nie wystarczy ci twoja duma - rzekł Marak, opierając łokieć na kolanie. - Hati powiedziała, że zechcesz zapewne prowadzić, a nie podążać za kimś.

• Prowadzić te szumowiny?

-Ku wiecznej chwale. Karawanę. Karawanę złożoną ze wszystkich ludzi na świecie, zdążającą do bezpiecznego schronienia. Nikt nie zapomni twego imienia. Aigyan, będą mówili. Aigyan-omi, wielki przywódca plemienia, najsłynniejszy człowiek spośród wszystkich plemion. Nie zostaniesz sławny,

jeżeli nie będzie nikogo, kto o tym opowie.

- Podobno jesteś tak szalony, jak ona.

Aigyan po raz pierwszy uznał Hati.

• Co najmniej - rzekł Marak - ale oboje dowodzimy siłami Iii. Mężczyzna, który właśnie odjechał, to sam Memnanan. Znasz to imię?

• Marak Trin Tain dowodzi armią Iii, a kapitan Memnanan przyjmuje od niego rozkazy. Ila też jest szalona.

• Nie. Ila odzyskała zmysły. Chce żyć. Proszę cię: prowadź. Pojedziesz pierwszy, potem inne plemiona, a dalej Ila i moja grupa.

-Ta biała dziwka! W swoim pieprzonym białym namiocie!

• Żadnych dużych namiotów: tylko małe, odpowiednie na pustynię. To nasza jedyna szansa.

• A co jest na końcu drogi? Za Pori nie ma żadnej oazy!

• Byłeś kiedyś za Pori? Bo ja tak.

• Mój ojciec był. Tam nic nie ma.

Kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Powstał sensowny obraz.

-Trzydzieści lat temu. To zaczęło się trzydzieści lat temu. Byli następni Przybysze. A ja widziałem wieżę. Widziałem rzekę, Zieloną oazę, za Pori i o kilka dni drogi za krawędzią Lakht. - Mógł próbować przekonać tylko oczy widoczne nad aifadem, ciemne i dzikie jak u Hati, i Marak zaryzykował. - Mówię ci to, doskonale wiedząc, że sam mógłbyś tam trafić i zostawić wioski, by zginęły. Przybyłeś tu w nadziei, że Ila ma odpowiedź na spadanie gwiazd. Przybyłeś, bo wiesz, jak zła jest sytuacja. My też to wiemy. Właśnie przeszliśmy Lakht. I wiemy, że najlepszą dla nas pomocą są twoje umiejętności.

Oczy widoczne nad aifadem zwięziły się. Po raz pierwszy omiotły spojrzeniem Hati, przyjmując do wiadomości jej istnienie.

• To naprawdę jest Marak Trin Tain.

• Marak Trin, już nie Trin Tain - rzekła Hati - ponieważ Tain jest głupcem. Bądź cierpliwy. Jeszcze zrobi z ciebie uczciwego dziadka.

Co takiego?

An'i Keran odsłonił twarz i splunął na bok. Była to oznaka zabobonu, sposób na usunięcie z okolicy diabłów. Aigyan -mężczyzna z oczyma zmęczonymi od słońca, mężczyzna z głębokimi bliznami na twarzy i okrutnymi ustami - zmierzył wzrokiem Maraka i Hati.

- Córka diabła. A więc teraz mam iść za tobą, tak?

-Przyłącz się do mnie - poprosił pośpiesznie Marak, nie chcąc, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. - Poprowadź karawanę. Zajmij zaszczytne miejsce na skraju Lakht. Czyż mężczyzna może prosić o więcej?

- Twoja matka to Haga.

Aigyan równie dobrze mógł to słowo wypluć. Między ich plemionami istniała stara waśń, tak stara, jak granice wód.

- Jasne, że jego matka to Haga! - rozległo się z dołu, skąd przedzierało się ku nim sześciu czy siedmiu członków plemienia Haga jadących wierzchem, odzianych w brązy i zielenie.

Jeden z jeźdźców nagle skierował swego beszę do Maraka.

- Mój wróg - stwierdził Aigyan; Menditak, przywódca Haga, także odsłonił twarz.

-Złodziej wody! - syknął.

- Przestańcie - rzekł Marak i wjechał między nich. - Tobie, orni, przywództwo - zwrócił się do Aigyana. -I Hati pojedzie ze mną. A ty, orni, kuzynie matki... - Te słowa skierował z głębi serca do Menditaka z Haga - zarezerwowałem dla ciebie zaszczytne miejsce. Mam nadzieję, że są z tobą moja matka i siostra. Wiedziałem, że jeśli mogą się gdzieś czuć bezpiecznie, to z tobą, i wiem, że jeśli ktoś może przeprowadzić całe swoje plemię, to jesteś nim ty. Dlatego chcę mieć ciebie z jednej strony, a Keran z drugiej, ponieważ jesteście najmądrzejszymi, najsprytniejszymi i najszybszymi przywódcami, jacy chodzą po ziemi, a ja potrzebuję was obu, niejednego czy drugiego, ale obu w pełni waszych władz umysłowych i zdolnych do słusznego osądu! Od tego za leży życie waszego ludu, życie nas wszystkich!

-Nowa ziemia, powiadasz! Raj! - Odezwał się szyderczo Menditak z Haga. Tylko nieliczne plemiona wierzyły w boga stojącego za Ila. Miały swoje własne zwyczaje, własny raj i własne diabły, a jednym z tych ostatnich była właśnie Ha.

• Każdemu co się mu należy! - Słyszeli się prawie normalnie, ponieważ tłum zaczął nagle odpływać spod grzbietu. Członkowie plemion dobyli mieczy i tak wieśniacy, jak kapłani umknęli z ich otoczenia nie dlatego, że stanowili cel, ale że łatwo mogli zostać stratowani przez jeźdźców, którym mogło nie chcieć się ich omijać. - Proponuję wam wodę i bezpieczeństwo! Wróciłem, by uratować tyle ludzi, ile się da! Nie miałem nadziei na zawiadomienie plemion, ale sami się pojawiliście i teraz widzę szansę dla wszystkich zgromadzonych pod tym nieszczęsnym niebem! Jest gorzej i jeszcze się pogorszy, możecie mi wierzyć. Raj wody, cienia, wszystkiego, co materialne, oraz honor! Nie zapominajcie o honorze i szacunku wszystkich wiosek, a także plemion. - Słuchali go obaj i żaden nie rzucił się na drugiego. - Chcecie pozbawić się honoru? Chcecie pozbawić się sławy większej, niż cieszył się nią jakikolwiek mężczyzna? A może chcecie pojechać na czele największej karawany, jaką widział świat?

• Pojedziemy pierwsi - oznajmił Aigyan.

• A wy obok ludzi Iii - rzekł Marak, zanim Menditak mógłby się poczuć urażony - z nie mniejszym honorem. Odkładając

na bok waśń o wodę, tylko wy dwaj możecie pokazać wszystkim plemionom, jak mogą zachowywać się ludzie o wielkich duszach. Żaden z was nie istnieje bez drugiego! Potrzeba was obu i obaj będziecie cieszyć się tą reputacją. Już zawsze, kiedy ludzie będą mówić o mądrych umowach, powiedzą: Jak Aigyan i Menditak. Staniecie się przysłowiem dla mędrców. Zawstydzicie wszystkich innych, sobie wstydu nigdy nie przynosząc.

Wahali się. Gdyby wiatr powiał z innego kierunku, gdyby prychnął jakiś besha, gdyby cokolwiek przechyliło szalę w drugą stronę - nastąpiłaby katastrofa. Wiatr jednak wiał równo.

• Moi ojcowie - rzekł Marak, tak jak zwracają się członkowie plemion do innych ludzi, z szacunkiem. - Potrzebujemy was.

• Do Pori - przypomniał mu Aigyan. - A jak mamy prowadzić tych głupców z miasta?

• Tak jak prowadzicie plemiona. Jeśli ktoś zostanie w tyle, to zostanie. Obierzcie dziś wieczorem drogę południową i zaczekajcie na mnie przy Besh Karat. Znacie ją?

• Jak własny tyłek - odparł Menditak.

• Wierzę - rzekł Marak, nie bojąc się żadnego pochlebstwa, byle tylko utrzymać zgodę. - Ja muszę zebrać beshti Iii. Gdyby coś mi się stało, wyprowadźcie tylu ludzi, ilu uda wam się utrzymać przy życiu, i jedźcie do wioski Pori. Znacie północny szlak? Jest bezpieczniejszy.

• Podobno istnieje jakaś północna trasa - powiedział Aigyan.

- Może pamiętają ją nasi najstarsi. Jeśli nie, i tak sobie poradzę.

• Ha! - skwitował to Menditak.

• Jedźcie do Pori, a potem na wschód, poza Lakht, i wciąż na wschód z odchyleniem dziesięciu znaków na południe. Tam jest schronienie!

• Tam nic nie ma! - zaoponował Menditak.

Marak opierał się wołaniu głosów o pośpiech. Przy zdrowych zmysłach utrzymywał go jedynie opór.

- Teraz jest. Drugie Przybycie.

-I jeszcze jedna Ila? - Dla plemion nie było to nic dobrego.

- Do diabła z tym, osesku siostry!

- Bogata kraina. Woda. Palmy tak grube, jak tylko sobie wy marzysz. Jak Oburan, zanim wyrosło miasto. To serce nowej

krainy, wuju, serce ludu, który plemiona będą zaopatrywać w towary. Co tu zostawiasz, wuju? Co zostawisz, kiedy Lakht stanie się dymiącym pustkowiem, a stanie się nim na pewno? Stanie się, wuju! Bardziej, niż widzieli to szaleńcy! Wszyscy widzieliście to, przed czym was ostrzegaliśmy, a teraz my wam mówimy, że istnieje wyjście, i to dobre, życie tak dostatnie, jak Iii, dla każdego z was, jeśli tylko tam dotrzecie, ciesząc się wdzięcznością ludu. Wdzięczność ludzi jest lepsza od złota i o wiele od niego potężniejsza. Żyćcie! Nie gardźcie tym, o czym mówię. Ludzie teraz was potrzebują. Kto inny może nas uratować?

• Pochlebca!

• Stałem się prorokiem, wuju. I obu wam mówię prawdę. Zachowajcie pokój i czekajcie przy Besh Karat!

Niczego przed nimi nie tał. Skoro miał możliwości, to wyjawiał je wszystkie tym, którzy wiedzieli, jak je wykorzystać.

Wierzył jednak w siłę własnych argumentów i dłużej nie zwlekał.

- Hati! - zawołał. - Norit!

Uderzył Osana harapem, ufając mu, że znajdzie drogę, ufając dwóm zwaśnionym przywódcom, że znajdą drogę do własnych plemion, Memnananowi, że znajdzie Ilę, oraz dwóm swoim kobietom, że będą się trzymały za nim.

Drogę zastąpiła mu jednak grupa jeźdźców Haga. Marak dostrzegł wśród nich swoją siostrę, a ona zobaczyła jego, u samego podnóża grzbietu.

- Patya! - krzyknął Marak ze zdumieniem, zatrzymał Osana ściągnięciem wodzy i zeskoczył na ziemię, przytrzymując się pętli przy siodle. Jego siostra ześliznęła się w dół, zatrzymała ze stopami w odległości kolana od ziemi, ale nic o tym nie wiedziała - głupiutka dziewczyna - i nadal trzymała się siodła.

Marak po prostu porwał ją w ramiona jak dziecko, obrócił w prawo, by się jej przyjrzeć, i mocno przytulił do piersi.

- Marak! - Obok nich zsiadła na ziemię jego matka, Kaptai, w wirze brązowych zawojów i brzęku bransolet. Ją też chwycił i zakreślił się z obiema w objęciach, z furkotem szat. Przycisnął ich twarze do swojej, wdychając zapachy domu i ogniska - tego, co trzymało go przy życiu podczas wędrówki do Oburanu.

- Jesteście bezpieczne - stwierdził. - Ila dotzymała obietnicy!
- Usłyszałyśmy, że wróciłeś - rzekła Patya, wciąż go obejmując. - Nikt oprócz nas nie wierzył, że wrócisz.

- Kocham cię - powiedział do niej. - Kocham cię - zwrócił się do matki.

O ile pamiętał, nigdy tego nie mówił żadnej z nich, a już na pewno ojcu, ale teraz słowo to stało się jego własnością; kiedy je wypowiadał, wiedział, że w chwili, kiedy znów się znalazł w domu, zanim wszystko się zmieniło, zapomniał o Hati.

- Wróciłeś - powiedziała matka. - Powiedziałeś, że wrócisz, i dokonałeś tego.

Co on takiego powiedział? Kiedy je opuszczał, złożył setki obietnic, a wszystkie były kłamstwami; mimo jednak ich nieprawdopodobieństwa, dotrzymał wszystkich.

Hati zsiadła na ziemię. Poczul, jak go obejmuje. Ujął jej rękę i włożył w dłoń matki.

- To jest Hati - powiedział z radością, po czym dostrzegł niepokój i taksujące spojrzenie matki.

An'i Keran, plemienny wróg pod tym obcym niebem.

Lecz jego matka, pochodząca z plemienia Haga, wahała się tylko przez jedno uderzenie serca, po czym objęła Hati, podzwa-niając bogactwem córki i żony przywódcy: ona uratowała wszystko, podczas gdy Hati miała tylko bransolety, które dał jej Marak.

Patya też objęła Hati.

- Za Maraka. Za niego - powiedziała.

Obok nich znajdował się ktoś jeszcze: Norit, którą też przedstawił matce.

- To jest Norit, z Tarsy. Mam dwie żony.

- Dwie? - zdziwiła się Patya, dziecko zachodu. Matka nawet nie mrugnęła okiem.

- Córko - rzekła i wtedy zadrżała ziemia. Kaptai wyciągnęła w górę rękę, jakby chciała uścisnąć Norit, ale ta z sobie tylko znanych powodów nie zsiadła, za to nadjechał Menditak, chcąc czym prędzej wyruszyć.

- Niech diabli te wstrząsą! - powiedział. - Układy z orni Keran! Jedźmy już! Czekacie na jakieś święto?

- Wsiadamy.

Marak podrzucił siostrę na siodło. Matka, podobnie jak Hati, nie potrzebowała żadnej pomocy. Zmusił Osana do wysunięcia nogi, chwycił rzemień i dosiadł beshy, brawurowo i z dumą, niczym członek plemienia - przed tym aroganckim starcem. Hati zrobiła tak samo.

- W drogę! - zawołał Menditak, przekrzykując dudnienie niebios i ziemi. Poprowadził swoją grupę ku północy i wschodowi, a Marak jechał przed Hati i Norit na północ i zachód.

- Niech zemsta boga spadnie na wrogów Iii! - krzyknął ze zbocza jakiś zapóźniony kapłan. - Zbawienie dla sprawiedliwych! Módlcie się za Ilę! Módlcie się o nasze zbawienie!

Na krawędzi obozu zaczynało już składać namioty, co powiększało zamęt o nieprzewidziany element: znikwały punkty orientacyjne. Chaos był coraz większy. Marak przejechał przez malejący tłum

i minął krawędź obozu, już zatartą przez kręcących się wszędzie ludzi, usiłujących odnaleźć zaginionych. Krzyczeli do siebie, machali rękami, przeklinali albo błagali. Hałas wzbijał się pod niebo.

Ktoś rozpoznał przejeżdżających. Podbiegli do nich ludzie, chwytając ich za nogi, za uprzęż wierzchowców. Pytali, co mają robić, co może zrobić Ila. Samozachowawcza gorączka, którą Marak pomógł wywołać, stawała się niebezpieczna.

- Spakujcie się i zbierzcie na południowej drodze! - krzyknął Marak i mocno uderzył harapem Osana po zadzie.

Wierzchowiec skoczył do przodu, roztrącając ludzi, którzy gromadzili się przed nim, a Marak tylko miał nadzieję, że Hati przypilnuje Norit i że obie będą się trzymały za nim. Jakiś mężczyzna przewrócił się na ziemię. Marak utrzymał wizję w ryzach, powiedział wszystko, co wiedział, dwóm plemionom liczącym po dwadzieścia osób, a teraz, skoro nic już nie musiał mówić, nie potrafił myśleć ani widzieć niczego poza pierścieniem ognia.

Marak, zawołały głosy, żądając od niego czegoś więcej, naprzykrzając się tą nową, źle wyliczoną w czasie wizją. *Marak!*

Tę panikę wywołał razem z Memnananem. Zasiłali wśród ludzi strach, niepewność i poczucie jedynej możliwości uniknięcia złego losu, wskazywali im jedyne wyjście - prowadzące na południe. Marak użył każdej taktyki, każdego podstępu, jakim dysponował, z naglącej potrzeby powiedzenia i obiecania czegokolwiek, by zachęcić ludzi do wyruszenia w drogę, i sam już nie pamiętał, co mówił. Opuścił własną matkę i siostrę, by same zapewniły sobie bezpieczeństwo i teraz miał ze sobą jedynie towarzyszek w szaleństwie: skończył z ludźmi zdrowymi, niedoinformowanymi, zrozpaczonymi.

Brakującym elementem konstrukcji, którą miał zbudować, był Tofi: on widział wieżę i miał namioty, a Marak wiedział, gdzie ma szukać tego młodego człowieka, garstki zwierząt i dwóch niewolników, na których polegał - po drugiej stronie równiny, na południowy zachód od miasta, gdzie zagrażali mu ludzie rozpaczliwie potrzebujący namiotów i środków transportu.

Dajcie mi spokój! - rozszło się na głosy i wizje, i dotąd tarł oczy, aż zobaczył ciemne i czerwone gwiazdy. *Dajcie mi spokój! Dajcie nam spokój! Pozwólcie mi widzieć i słyszeć!*

- Jest Tofi! - zawołała Hati, podjeżdżając do niego i pokazując ręką przed siebie, na równinę, gdzie wedle jego własnych słów miał być Tofi.

Poprzez mgielkę pyłu i sylwetki ludzi biegnących do swych namiotów Marak dojrzał zwierzęta spokojnie odpoczywające na ziemi, gotowe do przyjęcia bagaży, i Tofiego, który gorączkowo do nich machał. Obok jego dobytku wciąż przebiegali zdezorientowani i zdenerwowani ludzie.

• Orni! - zawołał Tofi, kiedy podjechali wystarczająco blisko. - Orni, tu jesteśmy. Mamy wszystko. Co robimy?

• Zostajemy na miejscu - odparł Marak, chociaż Tofi wyraźnie był gotowy do natychmiastowego działania. Towarzyszyli mu byli niewolnicy, Mogar i Bosginde, oraz starsi mężczyźni, poganiacze znający się na swoim fachu, a także młodzi, silni niewolnicy. Wszystko to Marak ogarnął jednym spojrzeniem. -Kapitan wraca do Iii i się nią zajmie. Przybędzie z własnymi namiotami.

Zanim opuścił dogodny punkt obserwacyjny, jaki stanowił grzbiet Osana, obrócił zwierzę dookoła. Miał obok siebie Hati,

ale nigdzie nie było widać Norit, a Hati patrzyła z niepokojem do tyłu, przepatrując kłębiący się tłum.

Marak nie od razu dostrzegł Norit, ale wiedział, że się zbliża, wyczuwał jej obecność. Zobaczył, jak przejeżdża przez niesioną wiatrem chmurę pyłu, i zamachał do niej ręką.

Jechała w ich stronę, a jej śladem z trudem podążali piechotą kapłani odziani w białe szaty. Wołali coś do niej, ale drogę przecięła im fala biegnących ludzi.

Norit dołączyła do Maraka i Hati na wierzchowcu drżącym z przerażenia i toczącym wokół dzikim wzrokiem. Znów jednak stanowili jedność, znów byli we troje i na razie nic im nie zagrażało.

Połączyło ich szaleństwo i tam, gdzie znajdowało się jedno z nich, zaraz pojawiali się pozostali, a tam, gdzie była Luz, cała trójka zaraz знаła jej intencje: Marak nabrał już pewności, że mimo swobody poruszania, jaką miała Norit, nie ma możliwości, by ją zgubili.

• Wszyscy oszaleli - lamentował Tofi, stojąc obok Maraka. -Jeśli się nie ruszymy, możemy zostać ograbieni!

• Może stać się coś o wiele gorszego - odparł Marak, świadom ołowianego nieba nad głowami i tłumem wracającego w nieładzie do obozu, tłumem kłębiącego się na granicy paniki, na wąskim skrawku przestrzeni między zachętą, jakiej trzeba było, by poruszyć tę liczbę ludzi, i strachem, że może się to skończyć całkowitą paniką. - Nie zsiadajcie na ziemię - polecił Marak Hati i Norit. - Wszyscy pozostali, na siodła. Niech nikt tędy nie przechodzi. Macie harapy. Niech maruderzy obchodzą nas i

nasze bagaże!

Luz była zadowolona, wyczerpana. Głosy i wizje nękające dotąd Maraka uspokoiły się.

Po szarym niebie przemknęła pod chmurami spadająca gwiazda, błyskając ogniem. Ludzie Tofiego krzyknęli i pokazywali ją rękami, a kapłani, otoczeni tłumem, unieśli wysoko ręce w modlitwie.

- Kapłani mogą przychodzić do naszego obozu - rzekł Marak. - Są pożyteczni. Jeśli jednak chodzi o pozostałych, nie żałujcie nikogo. My znamy drogę. Nasze zapasy są dla nas i dla Iii. Bez nas wszyscy pozostali zginą.

Wygłaszając te słowa, widząc rozgrywające się przed nim sceny, stojąc naprzeciwko ruin miasta otoczonych jak okiem sięgnąć namiotami, Marak poczuł chłód. Zrobił wyjątek dla kapłanów. Żywił głęboką nadzieję, że jego matka i siostra są bezpieczne, ale wiedział, że matka potrafi jeździć i że bez względu na okoliczności obie będą bezpieczniejsze u Haga: bliskie towarzystwo Iii groziło niebezpieczeństwami, do mierzenia się z którymi musiał być wolny.

A przede wszystkim lepiej będzie, jeśli nie będą go oglądać w takim stanie, trawionego szaleństwem i czasem znękanego ponad miłość do kogokolwiek.

Jeśli chodzi o resztę, to utrzymać razem tę masę ludzi mogła tylko jedna osoba - kobieta odziana w czerwień, ich odwieczny wróg, tkwiąca pośrodku tej płataniny płótna, lin i spanikowanego tłumu.

Choćby z miasta nie uciekł nikt inny, to ona musi z niego wyjść, i to wkrótce, ponieważ jeśli ta masa ludzi zmieni się w tłuszczykę, to stanie się równie bezrozumna, jak plugastwo atakujące na pustyni, pozbawiona rozsądku, za to przepelniona determinacją i egoizmem, i dla zaspokojenia panicznego głodu będzie pożerać siebie samą, a oni będą musieli dotrzeć do drogi i wysforować się do przodu albo zginą.

Byli niewolnicy dosiedli swoich wierzchowców. Zdrowy rozsądek Tofiego sprawił, że, nawet nie wiedząc, jak rozwinie się sytuacja, rozłożył się z dala od wygodnego szlaku prowadzącego wzdłuż krawędzi obozowiska, za to blisko południowej drogi. Kiedy więc ludzie zbaczali ze swojej trasy, by zainteresować się ich stertami bagaży albo rzucić rozpaczliwe, pożądliwe spojrzenia na ich zwierzęta, można było mieć pewność, że nie są to niewinne przypadki: brali wtedy harapy i odganiaли intruzów. Niedoszli złodzieje nie grzeszyli odwagą i szli rabować bardziej bezradne ofiary.

Harapy jednak nie wystarczą po zapadnięciu zmroku, kiedy ludzie zaczną wyciągać paliki, związać namioty i kłócić się na śmierć i życie, kto ma jechać, kto ma iść piechotą i co trzeba zostawić.

Marak był pewien, że nastąpi krótki okres plądrowania: kiedy ten ogromny obóz wreszcie zostanie zwinięty, mądrzy zostawią

to, co głupcy uznają za rozpaczliwie potrzebne, i nastąpi selekcja dóbr. Niektórzy też zdecydują się zostać wśród ruin, szukając w nich schronienia, ignorując prorocтва tak samo, jak ignorowali naoczne dowody. Ci nieliczni może nawet będą mieli rację. Zostawione tu bogactwo i tunele, jakie mogłoby wydrążyć wśród strzaskanych kamieni Beykaskh, mogłyby ich ocalić.

Marak nie postawiłby na to własnego życia.

Słońce zachodziło w chmurach. Cały czas omiatał wzrokiem południowe okolice miasta, gdzie miała się uformować karawana, usiłując wypatrzeć, czy plemiona już się ruszyły. Był pewien, że pierwsze oznaki świadczące o tym, że któreś z plemion wyruszyło w drogę, zmuszą innych, by zajęli swoje miejsce w marszu. Marak wyznaczył termin na zachód słońca, ale bał się opóźnienia, ponieważ tej nocy ludzie pozbawieni środków do życia, drapieżcy i ofiary, rozpętają w ruinach piekło.

Czekał i czekał, a czerwień zachodzącego słońca ogarniała coraz szersze pasmo chmur. Garstka lepiej zorganizowanych szumowin przypuściła zdecydowany atak na ich dobytek. Marak zobaczył, co się święci, więc dołączył do Tofiego i jego ludzi, którzy teraz używali już nie tylko harapów, ale i noży. W gruncie rzeczy żadne z ostrzy nie splamiło się krwią: umiejętnie smagnięcie ręki czy głowy ciężkim harapem stanowiło znakomity środek zapobiegawczy i byli niewolnicy z radością oddawali to, co kiedyś sami dostawali. Napastnicy podali tyły, by się przegrupować i opatrzeć obrażenia.

- Marak - odezwała się Norit, pokazując mu coś palcem.

Między leżącymi na ziemi namiotami zjeżdżali ze wzgórza jeźdźcy. Długi wąż wysokich wierzchowców sunął przez pełen dymu chaos obozu z klasyczną arogancją beshti. Pierwsi jeźdźcy mieli broń, a ci w środku kolumny byli cali w czerwieni.

Ściągnęli na siebie uwagę wszystkich w obozie, a rozproszeni kapłani znaleźli punkt zaczepienia dla swoich modlitw kierowanych w niebo.

Wielu spośród ludzi związających obóz rzuciło się ku Iii, by oddać jej cześć, stanowiąc przy tym poważniejsze zagrożenie niż bandyci. Straż władczyni oczyściła dla niej drogę, błyskając srebrem w gasnącym blasku słońca.

Tak więc Ila i jej dwór zjechali ze wzgórze.

- Objucie zwierzęta! - zawołał Marak do Tofiego, który po ostatniej utarczce siedział w siodle spocony i blady. - Pakujcie się! Koniec czekania! Mamy teraz zbrojną eskortę. Wkrótce wyruszamy!

Rozdział 17

„Dać schronienie wrogowi to jak trzymać nóż za klingę”.

- Przysłowie Miga

Marak pomyślał, że być może Ila nigdy w życiu nie siedziała w siodle, teraz jednak jechała u boku Memnanana, mając za sobą zastęp aui'it - szeroką plamę pięknej czerwieni kontrastującą z brązem, rudością i żółcią krajobrazu, pod mrocznym niebem. Za nimi jechała straż Iii oraz jej dwór, łącznie ze służącymi.

Następnie kroczyły zwierzęta juczne; było ich około setki; wszystkim kierował Tofi, któremu pomagali jego wyzwolenicy i niewolnicy: ludzie Iii nie mieli pojęcia o rozbijaniu namiotów.

Jak na tak dużą grupę, która wiozła ze sobą nawet namioty dla straży, była to skromna liczba zwierząt: Memnanan najlepiej ze wszystkich rozumiał wymagania Lakht i być może zmusił Iłę do zaakceptowania jego decyzji. Tofi był na tyle przewidujący, by zebrać pomocników w chwili, gdy wykwalifikowana pomoc stała się tak cenna, jak woda.

Żadne z poczynań Tofiego nie wymagało wyjaśnień. Marak tylko zaczął, aż linia jeźdźców przetnie kłębiący się tłum, po czym zwrócił się w ich stronę.

W końcu po prostu uniósł rękę - mimo niedawnej zbrojnej potyczki był zupełnie spokojny - na wszelki wypadek dając Memnananowi znak, gdzie jest. Kapitan odpowiedział mu takim samym gestem.

Teraz należało skierować tę masę ludzi w jakim takim porządku na południe.

Hati podjechała na chwilę do Tofiego, lecz Norit trzymała się blisko Maraka, patrząc, jak ludzie przewodnika pośpiesznie umocowują pakunki przy siodłach.

- Hap-hap-hap - usłyszał Marak wołanie, które tak dało się szaleńcom we znaki podczas marszu do Oburanu, lecz teraz był to przyjemny dźwięk, obiecujący wolność. Zwierzęta wstały z burzeniem.

Tofi przyniósł Marakowi bukłak z wodą, a dwóch wyzwolenców zrobiło to samo dla Norit.

- Spakowałem wszystkie twoje rzeczy - rzekł Tofi.
- Jestem twoim dłużnikiem - odparł Marak. Uważał Tofiego za bystrego młodzieńca i nie był ani zaskoczony, ani zawiedziony. - Jeśli w tym życiu będzie można spłacić jakiegokolwiek długu.
- Wystarczy, że ocalisz nas przed Iłą - powiedział Tofi półgłosem. - Nie pozwól jej obciąć mi głowy, a będę ci wdzięczny.

Tofi zajął się swoimi sprawami. Hati podjechała do Maraka, a kolumna Iii powoli wciniała się prostą linią w tłum, zbliżając się do nich.

- Ustawcie się! - zawołał Marak, kiedy uznał, że nadeszła od powiednia chwila.

Tofi krzyknął na pomocników, którzy już znali swoje miejsce w karawanie.

Nadjechała Ila i Marak dał sygnał ręką, skręcając jednocześnie na południe i nie tracąc czasu na żadne uprzejmości. Razem z Hati i Norit gładko dołączył do czoła kolumny.

Ila znajdowała się za nimi, w sercu stworzonej przez nich ochrony. Któraś z aui'it, jak się okazało ich własna au'it, zrównała się z nimi, jadąc, pisała w księdze rozłożonej na kolanie.

- Jedź ze mną - poprosił Marak Memnanana. - Czy twoja rodzina jest z tobą?
- W kolumnie. Przyjdą do ciebie, jak rozbijemy obóz. Powiedziałem im. Masz moją dozoną wdzięczność. A twoi krewni?
- Są z Haga - odparł Marak. - Mam nadzieję. - Po raz pierwszy pomyślał o tym drugim pytaniu. - A mój ojciec?
- Wypuszczony - powiedział kapitan, a Marak doznał dziwnie mieszanych uczuć. - Mielśmy do wyboru albo to, albo go zabić. Nie dopuszczę go w pobliże Iii.

- Doskonale to rozumiem - rzekł Marak. Gdzieś w zakątku jego serca krył się żal, że nie widział Taina, a także chęć, by zatrzymać się i poczekać, aż przejedzie Kais Tain. Mógłby wtedy powiedzieć: „Popatrz, ojczu, zrobiłem coś pożytecznego ze swoim życiem. Ocaliłem was wszystkich”.

A gdzie indziej kryło się pragnienie, by powiedzieć: „Uratowałem się. Wciąż żyję. Tak jak moja

matka i siostra, niech cię diabli".

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Kolumna jechała drogą, mijając zdeptany teren wokół piaszczystego grzbietu, rozbite wózki, gdzie nie została ani jedna księga, a jedynie ciało pokryte plugastwem. Być może młodszy kapłan nie został, by pochować swego głównego kapłana albo, co byłoby godne pochwały, zostali, ale źle ocenili nieustępliwość plugastwa. Tak czy owak, nawet gdyby zanieśli ciało do miasta na pogrzeb, plugastwo i tak by nim zawładnęło z większym czy mniejszym nakładem sił.

Z tą myślą Marak odłączył się od kolumny i spojrzał na miasto.

Nad wzgórzem będącym niegdyś Oburanem i nad jego byłym sercem, wieżą Beykaskh, unosił się całun dymu. Słońce zaszło już niemal całkowicie. Szklana kopuła i wyłożone szkłem mury nie odbijały żadnego światła. Ich ogień i ich życie zgasło. Ogromny obóz został zwinięty, a beshti połapane i na powrót przymuszone do dźwigania jeźdźców oraz bagaży.

Niektórzy nie mieli nic. Ludzie przybyli z wioski mieli wierzchowce, ale opuszczali na nich obóz tylko wtedy, jeśli okazali się dość silni i stanowczy. Na podstawie całego swego doświadczenia desperata Marak wiedział, że zwierząt dosięgą desperaci i ludzie twardzi, a praw wyrozumiałych i łagodnych nikt nie będzie bronił.

Upadek Oburanu okazał się dla mieszkańców miasta sitem, przez które przeszedł tylko jeden rodzaj ludzi, i to nie ten najlepszy, tyle że ci najłagodniejsi mieli teraz obrońców bardziej bezwzględnych niż ci najgorsi... a Ila, jako ta najbezwzględniejsza, wysunęła się na czoło pochodu. Podobnie jak Marak. Lecz Lakht taka, jaką się teraz stała, była o wiele gęstszym sitem, próbą, której nie przechodzili głupcy i ci prowadzeni przez głupców, a przywódca, który miał za wiele litości dla nielicznych, mógł przyczynić się do śmierci wszystkich mu ufających. Dowodem tego była karawana, którą kiedyś minęli: kości, nagie kości na piasku i przewodnik, który powinien znać się na rzeczy, a źle wyliczył siłę burzy i odległość do bezpiecznego schronienia. Ich ostrzegła Norit... oni to wykorzystali.

Marak ujrzał plemiona rozciągnięte wzdłuż drogi, różniące się pod względem proporcji zwierząt i dobytku od wiejskich karawan, ponieważ plemiona posiadały mniej, używały mniej, i pod każdym względem były do siebie podobne. Miały podobną ilość bagażu. Istniały subtelne różnice w kolorach i wzorach, ale plemienne desenie, nawet te najbardziej jaskrawe, stapiały się ze zwierzętami, skałami i ze sobą nawzajem, jakby wszystkie je pokrywała ta sama mgielka pustynnego pyłu. Ila i au'it wyróżniały się w tym towarzystwie plamą czerwieni, kapłani, którzy przyłączyli się do marszu, lśnili bielą, a za nimi ciągnęła reszta plemion. Słońce zapadało w ołowianą śmierć, a pył na wpół zacierał co bardziej przydymione odcienie.

Jeśli chodzi o wieśniaków, znajdujących się poza zasięgiem wzroku Maraka, ludzie wszelkich kolorów i wzorów, nieobznajmionych z beshti i na głębokiej pustyni stanowiących ryzyko dla siebie i innych, mógł on jedynie im życzyć, by jak najszybciej weszli na drogę i trzymali się jak najbliżej za plemionami. W tych ciemnościach nie zamierzał zawracać, by sprawdzić, jak im się wiedzie, jakiego dokonali wyboru, co robią. Jeżeli chcieli przeżyć, kierując się przykładem i radami plemion, byli zdani na siebie.

Hati jechała obok Maraka, a Norit jej miejsce w szyku niewiele obchodziło. Oboje wiedzieli, gdzie jest: z tyłu, z pozostałymi, a jednocześnie nigdzie, unosząc się myślami w ciemnym, zimnym, spokojnym miejscu z dala od nich.

Marak, Marak, Marak, odezwały się głosy, jakby znajdował się o kilka dni marszu dalej, a one nigdy nie były zadowolone.

Minęli znajome formacje skalne. Tej nocy gwiazdy nie spadały. Zaslaniały je chmury.

Wioski obozujące wokół ruin będą wyruszać w drogę przez całą noc. Może nawet rankiem, kiedy sygnał do zatrzymania przebiegnie drżeniem wzdłuż kolumny i dotrze do tych, co właśnie się ruszyli. Wracając do Oburanu, sądzili, że z lekko objuczonymi zwierzętami będą jechać szybciej, lecz wydarzenia, jakie miały miejsce w drodze, znacznie opóźniły tempo ich marszu. Teraz, podróżując ze zwierzętami tak obciążanymi namiotami i wodą, żadną miarą nie będą mogli narzucić szybszego tempa. Stanowiło to niezamierzony akt miłosierdzia dla piechurów, lecz pozostałym groziło niebezpieczeństwem, a i tak ci idący na końcu mogli nie przeżyć... jeśli jednak pozostaną w tyle, drogę będzie im wskazywał wyraźny szlak - dopóki nie zatrze go i nie zasypie gorzkich studni piasek wiatrem.

Marak zasnął, ukołysany na grzbiecie Osana, bezpieczny w towarzystwie Hati. Czasami to ona zasypiała, a on czuwał, lecz oboje byli wyczerpani.

Po północy podjechał do nich Memnanan.

• Ila pyta, kiedy staniemy na dłuższy odpoczynek - powiedział. - Chyba znam twoją odpowiedź, lecz ci ludzie nie są przyzwyczajeni do siodeł.

• W południe - odparł Marak. - Jeżeli nie będzie żadnych opóźnień. Powiedz jej, że przykro mi z powodu niewygód, ale to jej uratuje życie. Przyjemniejszej odpowiedzi nie przyniesie nawet dwadzieścia czy trzydzieści poranków.

Memnanan zawrócił.

Marak nie miał pewności, jak Ila przyjęła odpowiedź, ale wtedy dogoniła ich Norit i jechała z nimi przez chwilę, śpiąc w siodle: w końcu nauczyła się to robić... nauczyła się utrzymywać równowagę, zaparłszy się w siodło, i odpoczywała z taką swobodą, jakby pochodziła z któregoś z plemion.

Spadający obiekt uderzył w kulę, a potem jeszcze raz, i jeszcze. Jezioro ognia spływało po skałach jak uwolnioną źródło.

Norit się obudziła, ale cały czas milczała.

Kiedy wzeszło słońce, co dało się poznać po narastaniu światła wzdłuż grzbietu Quarain, Marak podjechał do przodu. Minął swoją kolumnę z Hati u boku, nie przynaglając beshy do szybszego kroku, lecz powoli i bez wysiłku wciąż przesuwał się do przodu. Wjechali do kolumny Haga.

Zobaczyła ich Patya. Zbliżyła się nieco do nich, czekając na jakiś sygnał, ale nie potrafiła precyzyjnie kierować swoim wierzchowcem. Hati pomachała jej ręką. Marak nie chciał przyznawać się do jakichkolwiek bliskich związków, nie teraz, nie podczas marszu, ale Patya mogła podjechać do niego i Marak miał nadzieję, że jeśli je dogoni, to Patya i jego matka z nim porozmawiają. Nie musiał pytać, czy matka jest bezpieczna: będąc o wiele lepszym jeźdźcem, zbliżyła się na odległość wzroku, dając mu do zrozumienia, że jest cała i zdrowa, ale ona też chciała zachować dumę przed swoimi nowymi sąsiadami, przed krewnymi. Jak długo jest Patya, która mogła między nimi pośredniczyć, będzie trzymała się z daleka.

• Czy naprawdę jedziemy na koniec świata? - zapytała Patya, jakby wśród tych wszystkich przywódców i ludzi tylko ona mogła wydobyć z Maraka prawdę. - I czy ta kobieta z tobą jest prawdziwą prorokinią?

• Masz na myśli Norit - powiedział; miał świadomość, że Norit jedzie w pewnej odległości za nim. - Ona ma na imię Norit. To moja żona. Czy tak mówią kapłani?

• Tyle, ile są warci. - W Kais Tain nigdy nie darzono kapłanów wielkim szacunkiem. - Ale jeśli powiesz, że tak, to ci uwierzę. I na dodatek jest twoją żoną. Przyłączyłeś się do plemion jak my.

Członkowie plemion mogli mieć więcej niż jedną żonę.

• Chyba tak - przyznał.

• Jest bardzo ładna - orzekła Patya, mając chyba na myśli Ha-ti, ale ta nic nie powiedziała. - Gdzie ją poznałeś?

- Na drodze - odparł. - Po tym, jak Ila wysłała nas na wschód.

Stwierdził, że nie śmie powiedzieć siostrze o wielu sprawach:

o Luz, o wieży, i że nie chce jej zdradzić choćby najmniejszego szczegółu. Teraz żałował, że tu podjechał i że pytania przybrały taki obrót. Niech plotkuje Tofi albo nawet Hati, jeśli zechce, ale jego słowa ludzie będą powtarzać jako słowa autorytetu, które mają swoją wagę; ludzie będą je rozważać, omawiać, sprzeczać się o nie, dzielić je i odrzucać ich części albo zastępować własnymi pomysłami. On nie mógł tego robić.

- Ojciec was odesłał czy po prostu odeszłyście? - zapytał Patyę.

- Miałyśmy taki zamiar, ale ojciec... - Patya zawahała się

i lekko zachmurzyła. - Przybyli jednak ludzie Iii i zaaresztowali nas. I pojechaliśmy do Oburanu.

• Dobrze was traktowali? - On do Oburanu nie jechał; to przynajmniej oznaczało, że Patyi powiodło się lepiej.

• Och, dali nam wszystko. Nigdy nie widziałeś takiego jedzenia. I pięknych strojów, i w ogóle. Mama jednak chciała odejść.

• Nie dziwię się.

• Wtedy niebo zaczęło robić to, co robi. - Patyę rozsadzały emocje, na określenie których prawdopodobnie brakowało jej słów. - I wszyscy się bali. Dlaczego tak się dzieje?

• Nie wiem - odparł.

-Zaczęły przybywać plemiona. I wioski i w ogóle. Ojciec spakował Kais Tain i wyjechał. Tak przynajmniej słyszałyśmy. Mieszkałyśmy w Beykaskh, dopóki się nie zawalił, a potem w namiotach, a potem służący powiedzieli, że jesteśmy wolne i że możemy iść do Haga, na zewnątrz obozu.

- O to właśnie poprosiłem Memnanana.

- Co miało się z nami stać? Czy rzeczywiście jest jakaś wieża?

Jego siostra wiedziała, że Marak potrafi kłamać. Jego siostra chciała usłyszeć prawdę, której Ila, plemiona i wszystkie wioski mogły z niego nie wydobyć. I chciała ją powtarzać.

• Jest wieża. Ta wieża istnieje naprawdę. Patyi wyraźnie ulżyło.

- Powiem matce.
 - Dobrze.
 - Możesz ze mną jechać - zaproponowała Patya, zostając nieco w tyle, jako że Marak lekko przynaglił Osana. - Mógłbyś podjechać do matki.
 - Ona wie, że wszystko jej opowiesz. Mam tu co robić.
- Potraktował niewinnego Osana harapem, choć besha nie potrzebował tak energicznej zachęty, ale Marak chciał jak najszybciej się oddalić. Hati dotrzymywała mu kroku.
- Wygląda na miłą dziewczynę - powiedziała. Słońce zwróciło kolory ziemi wokół nich. Wschód słońca na Lakht był tak gwałtowny, że kiedy Marak rozmawiał z Patyą, pustynia odzyskała szczegóły.
 - Taka jest. Ale zadaje mnóstwo pytań.
 - Tak jak Aigyan - rzekła Hati. - Też nie będę mu odpowiadać. Wolałabym nie posuwać się tak daleko.

Doskonale to rozumiał.

- Masz matkę? Ojca?

-Oboje zginęli. Na wojnie, z moimi wujami. Walczyliśmy z Miga o południowe studnie. Miga nie żyją. Podobnie jednak większość rodu Aigyana. Nie jedź tam jeszcze. Nie rozmawiaj z nim. Będzie się tylko klócił. Nie rozmawiaj też dziś z Mendi-takiem. To tylko wzbudziłoby podejrzenia Aigyana. Niech dojdą ze sobą do ładny na szlaku. Niech Aigyan określi swój obóz bez niczyich rad. To już niedługo.

Marak, zabrzmiały mu w głowie głosy wznoszącym się echem, ostrzeżeniem.

Wróciła wizja, upadek gwiazdy, pierścien ognia.

Przyjął ostrzeżenie. Ściągnął wodze i zjechał na bok kolumny. Wystarczyło, że zaczekają do chwili, kiedy będą mogli po prostu dołączyć do Tofiego i Norit.

- Wszystko w porządku? - zapytał przewodnik.
- Jako tako - odparł Marak, a au'it, która jechała blisko nich, coś zapisała.

Jechali cały ranek. W pewnej chwili ziemia lekko zadrżała, koło południa na horyzoncie spadła gwiazda, zostawiając za sobą pod rozproszonymi chmurami jasny przerywany ślad, a potem rozległ się głośny huk, który przeraził niewolników Tofiego. Dwaj wyzwolenicy i sam Tofi już się przyzwyczaili do takich sytuacji.

Nadeszło południe; słońce stanowiło białą plamę w szarej chmurze, a piasek był gorętszy od powietrza. Daleko na przedzie Aigyan zatrzymał kolumnę.

Haga stanęli i grupa Tofiego poszła w ich ślady. Cała kolumna rozbije obozy gdzie się da, być może aż do samego miasta: niewykluczone, że karawana jest aż tak rozciągnięta.

Powietrze było chłodne. Powstało pytanie, czy w ogóle trzeba rozstawiać namioty; plemiona mogły z nich zrezygnować, ale wygodniej było rozwiązać ewentualne problemy nowej grupy w spokojnym powietrzu niż w nasilającej się wichurze, którą mógł przynieść następny dzień. Lepiej też było pozwolić nowym współmieszkańcom namiotów znaleźć swoje miejsca i oswoić się z sytuacją. Marak wydał Tofiemu rozkaz, po czym wszyscy razem z żołnierzami rozpakowali i rozstawili namioty.

Memnanan przyprowadził do namiotu Maraka swoją żonę i cztery starszki. Żona miała na imię Elagan, a starszkami okazały się matka Memnanana i jej trzy owdowiałe siostry.

Nowe mieszkanki ich namiotu cierpiały jak wszyscy niewprawni jeźdźcy, a na dodatek Elagan była w szóstym miesiącu ciąży. Kobiety chciały jedynie spać; starsze już czuły się bardzo źle i Marak był pewien, że obudzą się niezdolne do marszu. Zachęcił je, by przed snem obficie się namaściły.

Położył się na własnej macie. Ciepły piasek, chłodne powietrze i wyzwolenie od miasta wywoływały poczucie dziwnego luksusu, a bliska obecność Hati i Norit jeszcze je wzmagaly. Po raz pierwszy od wielu dni spał jak zabity - obudził się raz, kiedy ziemia lekko zadrżała, a potem zastanawiał się, czy to nie było tylko złudzenie, wywołane wyczerpaniem.

Był to pierwszy postój w podróży i niewprawni jeźdźcy oraz ci, którzy tak gorączkowo pracowali nad wyprawieniem ich w drogę, pogrążyli się w jednakowym głębokim śnie. W całym obozie było słychać tylko niespokojne pomrukiwanie któregoś z beshti i odpowiadający mu z oddali głos innego wierzchowca.

Marak obudził się późnym popołudniem, wstał i wyszedł z namiotu. Haga też już się ruszali.

Dołączyli do niego Hati i To-fi, a także dwaj niewolnicy i paru wynajętych pomocników.

- Pakujcie się - polecił Marak. - Wyruszamy. W tych sprawach my rozkazujemy Iii.

Tofi spojrział na niego niepewnie, ale zapędził swoich ludzi do pracy. Beshti podniosły zwykłe protesty. Żołnierze i garstka kapłanów wychynęli spod swojego namiotu. Ila jeszcze się nie obudziła, ale zanim pierwszy namiot, namiot Maraka, znalazł się z łopotem płótna na ziemi, przysłała au'it ze skargą.

- Powiedz Iii, że zostajemy w tyle i jesteśmy spóźnieni - odparł Marak na zastrzeżenia au'it. - Nie ma czasu na sen. To dla jej własnego bezpieczeństwa.

Au'it wróciła do namiotu Iii, lecz po kilku chwilach wróciła. Ich au'it też już wstała i obie kobiety zaczęły się cicho naradzać. Delikatne głosy kobiet zupełnie ginęły w łopocie pobliskiego namiotu, zwijanego przez niewolników.

Au'it Iii wróciła do siebie.

Po kilku chwilach pojawił się Memnanan z wiadomością, że Ila nie jest zadowolona.

- Powiedziałem jej jednak, że musimy wyruszać - rzekł. - Mam nadzieje, że tak jest.

- Musimy teraz - odparł Marak, gotów wykazać się nieubłaganym uporem - i będziemy musieli wyruszać najlepiej o tej samej porze codziennie przez następne trzydzieści do pięćdziesięciu dni, a jeśli wtedy nie dotrzemy jeszcze do wieży, to prawdopodobnie zginiemy, więc dalszych żądań nie będzie. Powiedz jej, że musi nauczyć się spać w siodle. Wszyscy tak robimy. Może rządzić Oburanem, ale na pewno nie rządzi Lakht ani niebem.

- Bardzo niechętnie zaniósę jej taką wiadomość.

Maraka to rozbawiło.

- To zachowaj ją na lepszą okazję. Musimy jednak spakować namiot. Życzę ci powodzenia.

- A ja tobie długiego życia - odparł kwaśno Memnanan i oddalił się, by przekazać niemiłą wiadomość.

Ludzie z wiosek znajdujący się za nimi na pewno też się nauczą, kiedy mają wstawać i wyruszać, by nie stracić swego miejsca w karawanie.

Niektórzy jednak nie wykorzystali postoju na sen: pewna liczba kapłanów przesunęła się wzdłuż kolumny do przodu, nie mając ani namiotów, ani przewodników. Wyczerpani pieszą wędrówką, położyli się po prostu na swoich matach przed namiotem Iii. To głównie na jej rozkaz przemierzali kolumnę wzdłuż i wszerz.

Marak patrzył na nich z niepokojem. Główny kapłan zginął przy rozdzielaniu ksiąg au'it i od tego czasu, o ile orientował się Marak, kapłani nie mieli przywódcy. Teraz się obudzili i zwijali swoje maty, nie mając żadnej wody, żywności ani wyposażenia niezbędnego na pustyni. Bez względu na to, czy pójdą teraz za Ila, czy mieli jakieś własne sposoby kontaktowania się z bogiem w sprawie co bardziej niejasnych i boskich przekazów, Marak wolałby, by nie kręcili mu się pod nogami.

Co więcej, wolałby, żeby nie otrzymywali racji żywnościowych z obozu Iii.

Z namiotu znów wyszedł Memnanan.

- Wyruszy - oznajmił.

- A kapłani? - zapytał Marak. - Powinni zostać w tyle i znaleźć jakąś wioskę, która ich przyjmie.

Co zamierzają pić? Modlitwy?

- Modlitwy - przytaknął Memnanan. - I korzystać z łaskawości Iii. Podobnie jak au'it, są przydatni.

- I piją wodę. - Marak był o wiele mniej przekonany. - Wypiją taką ilość wody, jaka odpowiada połowie ich wagi, i narażą Ila na niebezpieczeństwo. Muszą mieć nad sobą jakąś zwierzchność.

- Porozmawiam z nimi - obiecał Memnanan.

Zanim wyruszyli w drogę i zanim wszystko ustalono, kapłani udali się na audiencję pod jedyną nie zwiniętą płócienną daszkę Iii: Marak widział, jak klęczą, kłaniają się i coś mówią. Chciał ich oddać plugastwu pustyni: źle się stało, że przyplątało się do nich tych kilkunastu kapłanów, teraz było ich dwa razy więcej, a zupełnie nie wiadomo, ilu białoszatych pałęta się wśród namiotów karawany.

Według Maraka kapłani co do jednego byli pasożytami.

Ila wezwała go zaraz potem, jak odprawiła kapłanów. Jej namiot wciąż był nie zwinięty, chociaż zasłony zostały już zdjęte. Podczas jednak gdy Haga już kończyli pakowanie, Ila siedziała na swym fotelu, jedynym fotelu na pustyni — chyba że niektórzy wieśniacy też okazali się takimi głupcami, by zamiast żywności pakować meble - i sączyła herbatę.

Marak wszedł do namiotu i usiadł. To samo zrobiła jego au'it, a au'it Iii siedziała ze skrzyżowanymi nogami u jej stóp, z otwartą księgą i piórem w dłoni.

- Kapitan powiedział ci, że powinniśmy wyruszać - odezwał się Marak, zanim Ila zdołała otworzyć usta.

W tej chwili postanowił, że nie będzie się płaszczył ani odgrywał dworaka posłusznego kaprysom Iii. Nie przysłuży się w ten sposób ani jej, ani sobie, ani tysiącom zagrożonych ludzi. Rozważył możliwości odwrotu, gdyby miało do niego dojść, i wiedział, że nie wszyscy ludzie Iii są w stanie lub chcieliby powstrzymać jego, Hati i Norit przed dołączeniem do plemion jadących na przedzie, skąd mogliby dowodzić karawaną, całkowicie ignorując Ila. Życie wszystkich czworga było zbyt niepewne.

Nie zamierzał do tego doprowadzić. Nie zamierzał też jednak pozwolić, by Ila codziennie opóźniała wymarsz jakimiś protestami. Albo by ktoś inny zużywał ich zapasy.

- Kapłani to marnotrawstwo wody - rzekł. - Mogą pakować namioty.
- Kapłani pójda do wioski z moim słowem - odparła Ila, podobnie spokojna o swoją absolutną władzę, i złączyła uřka-wiczone dłonie przy ustach. - Będa też informować mnie o sytuacji za nami. Jak się miewa twoja matka?

- Dobrze.
- Słyszałam, że udzieliłeś schronienia żonie Memnanana.
- To kwestia wdzięczności.

Był ostrożny. Życie ludzi zależało od kaprysu Iii. On mógł być bezpieczny, ale inni nie.

- Oraz osobistej przysługi - rzekła Ila zza złączonych palców. - Czy ty go przekupujesz?
- To on oddaje przysługę tobie - stwierdził Marak. - Kapitan jest ci bardzo oddany. Dla mnie to sprawa osobistego długu i spłacam to, co jestem mu winien.

-Za co?

- Za to, że nie jest o mnie zazdrosny. A mógłby, widząc, że dałaś mi dowództwo nad karawaną. Jest jednak uczciwym człowiekiem.

- Wiem o tym. Stu padło, a Memnanan stoi. Wciąż słyszysz głosy?
- Czasami.
- A gorączka?

Nie był pewien, czy kiedykolwiek mówił jej o gorączce. Natychmiast obudziła się w nim czujność. W mgnieniu oka przypomniał sobie wszystko, co powiedział, i znów zadał sobie pytanie, czy Ila byłaby na tyle głupia, by zagrozić śmiercią jemu czy komukolwiek z jego bliskiego otoczenia.

- Gorączka z powodu rany? - zapytał. - Zniknęła. Czuję się zupełnie dobrze.

Przez chwilę Ila patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Chroniła swoją niezwykle białą skórę nawet gdy niebo było zachmurzone. Nigdy nie była tak biała, jak teraz. Jeśli ktokolwiek w obozie mył się wodą zamiast piaskiem, to tą osobą była na pewno Ila. Wokół niej wciąż unosił się zapach Beykaskh, perfum albo kadzidła, niczym ślad świętości. Marak wyczuwał go nawet w oleistym, rozgrzanym i ciężkim powietrzu namiotu.

- A sama rana?

Podciągnął rękaw. Rana całkowicie zniknęła, nie zostawiając po sobie nawet blizny. Nie miał pojęcia, co sobie pomyślała Ila na ten widok, ale wydawało się, że nie jest z niego całkowicie zadowolona. Uniosła dłoń.

- Możesz odejść - rzekła, nie zapytawszy o trasę ani o tempo marszu.

Marak wyszedł ze swoją au'it, która przez cały czas nie odezwała się ani słowem.

Uciekwszy z namiotu i sprzed oblicza Iii, Marak zawołał Hati i Norit, nie odzywając się słowem do Memnanana.

Podszedł do nich Tofi. Haga podrywali swoje zwierzęta na nogi, gotowi do wymarszu.

- Myślę, że możesz już spakować namiot - rzekł Marak. -Porozmawiaj z kapitanem.
- O co pytała? - zapytała Norit po odejściu Tofiego.
- Ja ją zapytałem o kapłanów, a ona mnie o żonę Memnanana.
- O nic więcej?
- O głosy, o ranę, o gorączkę.

Norit nic nie powiedziała, ale przy tym ostatnim słowie zmarszczyła brwi.

- A bo co? - zapytał Marak. Stali we trójkę pośród krzątających się ludzi; au'it pisała w pewnym oddaleniu.

Norit nie udzieliła odpowiedzi od razu. Marak już prawie przestał jej oczekiwać, ponieważ Norit często całkowicie pograżała się w swoich rozmyślaniach. W końcu jednak odezwała się:

- Stworzyciele.
- Co: „stworzyciele”?
- O nich pytała. Mówiąc o ranie.

Popatrzyli na nią z Hati z niepokojem. Wyraźnie nie mówiła tego Norit. Nie Norit zadała pytanie, a Marak od kilku dni podejrzewał, że Norit nie jest sobą.

- Chciała się dowiedzieć o stworzycieli, po to zadała to pytanie. O to, czy ci obcy stworzyciele wciąż funkcjonują w twojej krwi. Dlatego zapytała o gorączkę.

- Zapytała, czy jestem wyleczony z szaleństwa.
- Dokładnie o to?

- Czy wciąż słyszę głosy - poprawił się.

-Tak.

- A myślała, że nie? Jakby po dotarciu do Oburanu szaleństwo po prostu nas opuściło?
- Może cię zatrąła swoim nożem? - rzekła Norit.

Marak był przerażony i zadał sobie pytanie, czy Norit była tam po to, by zobaczyć atak.

- Żeby sprawdzić, czy stwórcy. Luz leczą też z zatrucia?
- Potrafią to robić - powiedziały usta Norit, podczas gdy sama Norit patrzyła niewidzącym wzrokiem na horyzont. - Ona o tym wie.
- Podejmowałyby takie głupie ryzyko? - odezwała się ze złością Hati. - Czy trwałyby jedyne osoby, które znają drogę?
- To zależy od trucizny - odparła Norit tym samym nieobecny tonem.
- Jak to zależy od trucizny?
- Umieściła swoich stwórcy w twojej krwi. Ale ty wciąż słyszysz głos z wieży. Wciąż słyszysz mnie. Wciąż masz wizje. Zapytała o gorączkę, a ty powiedziałeś, że opadła. Wie, że jej stwórcy zostali pokonani i przestali zwalczać stwórcy z wieży. Wie, że jej się nie udało.
- Co jej się nie udało? Kazać jej stwórcy, by odzywali się w mojej głowie?
- Szczerze wątpię, by to potrafiła. Pierwsi Przybysze mieli takie umiejętności, ale brakowało im tu środków. Nam natomiast ich nie brakuje. Owszem, spróbowała się z tobą zmierzyć, ale teraz wie, że została pokonana. Teraz możemy udowodnić ondat, że potrafimy ją zwyciężyć, i możemy im pokazać, jak to zrobić. Jest to także dowód na to, że nie ma potrzeby strącać gwiazd, ale oni tego nie przerwą: nie chcieli nawet słuchać naszych zapewnień, że potrafimy zapobiec tej konieczności. Przekształcają świat, ponieważ dysponują odpowiednią mocą, a poza tym, szczerze mówiąc, to po prostu kwestia polityki. Żeby ich lud poczuł się bezpiecznie, musi zobaczyć wroga całkowicie pokonanym. Ila została jednak pobita, w otwartej walce i będąc u szczytu formy.
- Ponieważ twoi stwórcy prowadzili we mnie wojnę. I wygrali ją.
- Dzięki gorączce. Tak, wygrali. To bardzo dobrze, że ona próbowała. Potwierdziła nasze przypuszczenie, że jednak możemy ją pokonać. Udowodniliśmy to także jej, z czego nie jest zadowolona.
- To znaczy... - Patrzenie na Norit prawdopodobnie miało się z celem, ale Marak zrobił to odruchowo, ze złością. - To znaczy, że zapraszacie ją do waszego schronienia, wiedząc, że ma tych stwórcy w sobie i że spróbuje czegoś innego, by ich umieścić w nas wszystkich.
- Być może spróbuje kilka razy. Ale przegra - znowu. O, nie łudź się. To będzie kilka bitew. Najpierw wysłała cię do nas ze stwórcy, którzy nie przeżyli... wszyscy na świecie mają w sobie jej stwórcy. Teraz znów tego spróbowała, w bezpośrednim działaniu, posługując się tym, co stworzyła najlepszego, i znów przegrała, tracąc stwórcy.

Marak uznał, że istnieje granica tego, czego chce się dowiedzieć o tej wojnie, w której polem bitwy była jego dusza i ciało.

- Chcesz powiedzieć, że dalej będzie to robić, a wy podejmiecie próby pokonania jej.
- Nie mam wątpliwości, że ma coś jeszcze w zanadrzu. Jesteśmy równie zdecydowani udaremnić jej wysiłki.
- Atak na nas. Wewnątrz nas. Ponownie.
- Obawiam się.
- Zalała go fala gniewu.
- Posłuchaj mnie. Niech te wasze głosy lepiej dadzą mi spokój, kiedy mam coś do zrobienia. Nie ma potrzeby, żeby tak mi terkotać w głowie. Ty sobie siedzisz w tej wieży. Możesz to powiedzieć tym głosom. I daj spokój Norit! Zostaw ją! Ona nie należy do ciebie!
- Stanowi doskonały punkt obserwacyjny. Ty za bardzo lubisz naginać wszystko do tego, co chcesz powiedzieć. Poza tym rozpraszasz się i nie słuchasz. Muszę wiedzieć, gdzie jesteście.
- Cholernie dobrze wiesz, gdzie jesteśmy! Daj jej spokój! Zostaw ją przynajmniej w nocy!
- To jest zbyt ważne - odparła Luz. - Nie zamierzam stracić was wszystkich tylko dla jej spokoju.
- Więc mów przez jakiś czas do mnie! - rzekła Hati.
- Jesteś tak samo do niczego jak on.
- Daj jej trochę odetchnąć! - Maraka zaniepokoiła cała ta rozmowa o stwórcy walczących ze stwórcy. Nie widział żadnego wyjścia, ale przynajmniej poprawa losu Norit wydawała się znajdować w zasięgu ich możliwości, o czym mogli przekonać Luz. - Rozchoruje się, jeżeli dalej będziesz ją tak traktować.
- Pozwolę jej odpocząć - powiedziała cicho Luz.

Norit natychmiast zamrugała kilka razy i znów wydała się sobą; była lekko strapiiona, nieco zagubiona, trochę zdezorientowana. Kiedy Marak i Hati ją objęli, Norit zadrżała, uroniła kilka łez, a potem po prostu usiadła na piasku i się rozplakała.

- Wszyscy - powtarzała niezrozumiale. - Wszyscy.
- Co możemy zrobić? - zapytała Hati z troską.
- Nie wiem - odparł Marak.

Nie miał teraz pojęcia, czy dla Norit gorzej jest mieć świadomość i wiedzieć to, co wie, czy może w chwilach opętania przez Luz Norit po prostu gdzieś się chroniła, w miejscu, w którym Luz nie mogła jej dokuczać, a sama Norit zdawała sobie sprawę z tego, co przez nią przepłynęło dopiero wtedy, kiedy się budziła... ale cokolwiek widziała Norit, wydawało się to straszne. Marak przykucnął przy niej i otarł jej łzy, ale one płynęły nieustannie: z powodu tego, co Norit widziała w wizjach Luz, z powodu tego, co się jej przydarzyło, i po prostu z wyczerpania.

- Znajdź Lelie - powiedziała Norit.

Marak przypomniał sobie, że kiedyś, w chwilach największej rozpacz, Norit wykrzykiwała to imię.

- Proszę cię, znajdź Lelie.
 - Gdzie mam jej szukać? - zapytał, ale oczywiście wiedział, że powinien udać się do Tarsy. W dniach sprzed marszu do wieży Norit знаła jedynie Tarsę.
 - Kto to jest Lelie? - zapytał, ale Norit mu nie odpowiedziała.
- Po chwili wstał i wymienił spojrzenia z Hati.
- Spróbuję - stwierdził.
 - Jeżeli tak będzie dalej - rzekła Hati - to ona rzeczywiście oszaleje, i to bardziej niż my. Myślę, że to jej zaginiona siostra. Może przemówi jej do rozsądku ktoś, kogo zna z wioski.

Kiedy Tofi i jego ludzie spakowali namiot Iii, a Memnanan i jego ludzie umieścili Ilę i au'it na grzbietach wierzchowców, Marak, Hati i Norit dosiedli swoich beshti. Norit wydawała się już spokojniejsza, choć Marak nie miał pojęcia, czy to nie spokój wymuszony przez Luz. Keran już zaczęli się ruszać, zostawiając za sobą wolną przestrzeń.

Wszędzie wzdłuż linii marszu musiały się teraz tworzyć podobne przerwy, spowodowane różnicami w stopniu przygotowania do drogi. Niektórzy piesi mogli nawet zawrócić po rozbiciu pierwszego czy drugiego obozu, tracąc odwagę w obliczu trudów. Marak stwierdził, że nie chce znać osobistych historii ludzi znajdujących się za jego grupą. Nie chciał znać twarzy ludzi przeznaczonych śmierci, nie chciał, by nawiedzały go we śnie i na jawie.

Podjechał jednak do Memnanana i poprosił o jednego z jego ludzi.

- Potrzebuję kogoś, kto by się cofnął aż do Tarsy i znalazł niejaką Lelie - powiedział.
- Po co? - zapytał Memnanan.
- To chyba jakaś krewna Norit. Nie wiem. Chcę jednak odnaleźć tę Lelie. Proszę cię o przysługę.

Zostawił to wyjaśnienie bez żadnych upiększeń. Ludzie oddawali sobie przysługi, oni też to przecież robili. Memnanan bez słowa komentarza zawołał jednego z żołnierzy.

- Dowiedz się, kto to jest Lelie, a jeśli w grupie z Tarsy jest jakaś Lelie, przyprowadź ją ze sobą i strzeż jej od wszelkich nieprzyjemności. Chce się z nią zobaczyć członek grupy tego pana.

Żołnierz wyjechał z kolumny i zawrócił. Nie było wiadomo, gdzie w karawanie może znajdować się Tarsa. Poszukiwanie mogło zająć kilka dni.

Rano człowiek wysłany przez Memnanana jeszcze nie wrócił. Wtedy Marak zaczął rozumieć, że poprosił wcale nie o drobną przysługę, a po południu, po odpoczynku, kiedy żołnierzowi najłatwiej byłoby ich dogonić, zaczął się o niego martwić.

Kiedy spotkał się z kapitanem, nie znalazł żadnych słów pocieszenia, a jedynie wzruszył przepraszająco ramionami i wyraził nadzieję, że żołnierzowi nic się nie stało i że wróci bezpiecznie.

- Kolumna jest bardzo długa - odparł Memnanan. - Może to trochę potrwać.

Lecz nikt, nawet ci, którzy mieli doświadczenie w ocenianiu liczebności grupy na oko, nie wiedział, ilu ludzi jest w karawanie. Wszelkie metody liczenia zawodziły w obliczu skali przedsięwzięcia, jakim było zaprowadzenie wszystkich mieszkańców świata do bezpiecznego schronienia. Marak uznał się za dłużnika Memnanana oraz posłańca, który na pewno też nie miał pojęcia o rozmiarze postawionego przed nim zadania.

Ranek przyniósł silny wiatr od wschodu, który wzbijał pył i ciskał go im w twarz. Rozstawienie namiotów w południe okazało się o wiele trudniejsze.

Podczas odpoczynku wzdłuż kolumny rozchodziły się plotki, przekazywane przez sąsiadujące grupy. Jakiś starzec spadł z wierzchowca i złamał sobie nogę. Kobieta z którejś wioski urodziła dziecko, przez cały czas dźwigana na noszach przez mężczyzn.

Zycie w karawanie toczyło się bez względu na jego trudy.
Posłaniec jednak nie wrócił i tego ranka, a żadna z plotek nie zapowiadała jego przybycia.

Rozdział 18

, Jeśli dobra studnia zacznie dawać gorzką wodę, wioska umrze: nic tego nie odwróci".
- Kapłan w swej Księdze

Wiatr, który tak utrudniał rozbicie namiotów, przynajmniej przegonił chmury. Kiedy obudzili się po południowym odpoczynku i ujrzeni błękitne niebo, Tofi się roześmiał.

- Myślałem, że już nigdy nie zobaczymy słońca - powie
dział. Usiłował mówić lekkim tonem, ale ulgę czuli chyba
wszyscy.

Norit wydawała się spokojniejsza i przestała płakać. Najwyraźniej zapomniała o Lelie, a oni jakoś nie wspomnieli jej o po-słańcu. Jechała razem z nimi, bez końca przesuując między palcami zdobny we frędzle rąbek aifadu, zagubiona w myślach swoich albo Luz - tego nie wiedzieli. Głosy milczały.

Tej nocy gwiazdy spadały w całej swej strasznej chwale. Wiele z nich, zanim spadło za horyzont, znaczyło swój ślad srebrem i złotem, przecinając czarne niebo ognistym szwem.

Przez jakiś czas Memnanan jechał razem z nimi. Posłaniec wciąż nie wracał.

- Żałuję, że poprosiłem cię o tę przysługę - odezwał się Ma-rak. - Mogło mu się coś stać.
- Może tak, a może nie - odparł Memnanan. - Jeszcze się nie martwię. To po prostu może tyle trwać.
- Mam nadzieję, że jest bezpieczny - powiedział Marak. Norit jechała blisko nich, ale jeszcze jej nie powiedział o poszukiwaniach.

- Czy przedtem też spadały tak gęsto? - zapytał Memnanan, patrząc w górę. To był człowiek, który przedtem mieszkał w sercu miasta, gdzie światła przesłaniały niebo.

- Ostatnio to nic niezwykłego - rzekła Hati. - I chyba tak już zostanie przez dłuższy czas.

- Nie - odezwała się nagle Norit. - To jest niezwykle. Dlatego musimy się śpieszyć. Spadnie ogień z nieba.

- Ogień z nieba - powtórzył Memnanan.

- Bardzo duża gwiazda - wyjaśnił Marak; tak rozumiał słowa Norit. - Gdzie ona spadnie, Norit? Na Lakht?

Czasami wydawało się, że Norit wtrąca się do odpowiedzi Luz albo ich nie rozumie.

Odwróciła się i pokazała za siebie.

- Nie na Lakht. W gorzką wodę.

- A zatem nie na nas - stwierdził z ulgą Memnanan.

- Ale bez względu na to, gdzie będziemy, dosięgnie nas wiatr, a przy takim wietrze przestanie świecić słońce i znikną gwiazdy. Ziemia zadźwięczy jak kowadło. Nie możemy wtedy przebywać na Lakht. Jeśli nie uda nam się nic innego, musimy znaleźć się poniżej pustyni. Wicher na górze będzie straszny.

- Czy to prawda? - zapytał Memnanan.

- Że musimy zejść z Lakht, nim spadnie ta wielka gwiazda? - wtrącił Marak. - Nie mam pojęcia o słońcu i gwiazdach, ale ona już nam ratowała życie.

Pod smugami spadających gwiazd pustynia ochłodziła, a kiedy zbudził się wiatr, kąsał zimnem. Piasek pędził po powierzchni gruntu, tworząc lekką warstewkę delikatnego pyłu; przy wieszczonych słowach Norit uderzyła Maraka ze szczególną siłą myśl, że od wyjazdu z Oburanu nie widział żadnych ptaków, żadnego plugastwa ani jego śladów. Było to co najmniej dziwne, a to, co dziwne, stawało się ostatnio złowieszcze.

- Czy uda nam się dotrzeć przedtem do krawędzi? - zapytał Memnanan.

- Jeśli utrzyma się pogoda - odparła Norit. - Jeżeli zwróci się przeciwko nam, nie wiemy. Nie potrafimy zapobiegać burzom.

Memnanan roześmiał z dziwnego brzmienia tego „nie potrafimy zapobiegać”, jakby uznał te słowa za jakiś ponury i zuchwały żart, lecz Marak rozumiał je inaczej. Luz na pewno chciała

zapobiegać burzom. Jeśli ktokolwiek mógłby to zrobić, to właśnie ona, ale przed chwilą powiedziała im, że jest to poza zasięgiem jej umiejętności.

Ich własna grupa, trzecia w kolejności, poruszała się w tempie bardzo dużej karawany, to znaczy bardzo powoli, wbrew ostrzeżeniom Norit. Marak zamierzał spowolnić marsz i nie dopuścić, by Keran, Haga i pozostałe plemiona, mające wierzchowce zaprawione w podróżach, urządziły sobie wyścigi ze szkodą dla wszystkich ludzi z wiosek idących za nimi, którzy nie przyzwyczajeni do takiego wysiłku i mający wielu osłabionych na pewno nie mogły poruszać się szybciej, a przede wszystkim piesi nie potrafiliby dotrzymać kroku plemionom.

Teraz jednak Marak zastanawiał się, czy ta uprzejmość względem znajdujących się na samym końcu nie stanowi ryzyka dla nich wszystkich.

- Moglibyśmy jechać trochę szybciej - powiedział do Norit, kiedy Memnanan już odjechał - ale to prawdopodobnie oznaczałoby śmierć idących pieszo. Co powinniśmy zrobić?

Przez chwilę Norit wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale tylko potrząsnęła głową.

A Marakowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że wszyscy szaleńcy słyszeli po drodze te same głosy i mieli jednocześnie te same wizje, takie same jak Norit. Teraz jednak z niezwykłą ostrością zdał sobie sprawę z tego, w co zaczęli skrycie wierzyć, nigdy tego nie wypowiadając: że Norit otrzymuje specjalne ostrzeżenia i specjalne wizje oraz że stałe podleganie Luz różni się od tego, co gnębiło pozostałych.

Właściwie Marak wiedział o tym od wielu dni; zrozumiał to, kiedy Norit ostrzegła ich przed burzą, o której zbliżaniu się nie miał pojęcia. Zrozumiał, kiedy Norit wybiegła pod niebo szalona i samotna.

Nie chodziło o to, że twardo stąpa po ziemi i nie chce słuchać ani że razem z Hati są zbyt odporni na głosy - ale o to, że głos Norit jest szczególny i zaczął taki być w wieży, gdzie Marak razem z Hati i Norit spędził jakiś czas.

Teraz wierzył, że Luz coś zrobiła Norit. Zrobiła coś szczególnego i okrutnego i Norit już nie była taka, jak dawniej. Wciąż coś słyszała, a ten ciąg obrazów, który niegdyś jednoczył szaleńców, teraz do nich nie docierał, dręcząc jedynie Norit.

Mogli dla niej tylko znaleźć te zaginioną osobę imieniem Le-lie. Norit przecież o to prosiła. Nie było jednak pewności, czy nadal będzie choćby się nią przejmować. Za każdym razem, kiedy Marak starał się wyrwać ją spod wpływu Luz, jej zawładnięcie Norit było dziksze i mocniejsze.

Spojrzał na Hati, jadącą nieopodal, ale nie znalazł żadnej lepszej odpowiedzi. Już nie wiedział, co robić, ale wiedział, że nie chce radykalnie uciąć tego wpływu - od niego zależało ich życie. Nawet życie Norit zależało od nieustannego rozbrzmiewania głosu Luz.

Gwiazdy spadały całą noc, czasami przesłaniane pasmami chmur, ciemniejącymi na niebie. Nad ranem pasma te zapłonęły różem, potem lekkim fioletem, a na koniec bielą.

Rankiem wciąż nie mieli żadnej wiadomości od młodzieńca wysłanego na poszukiwanie Lelie. Marak usiłował sobie wyobrazić, jak długa jest karawana i czy rzeczywiście ciągnie się aż do samego świętego miasta.

Teraz musiał jednak liczyć się z tym, że może młodzieńcowi coś się stało... coś nie mającego nic wspólnego z plugastwem czy bandytami. W wioskach nie lubiano ludzi Iii.

W połowie ranka do czoła karawany dotarło piechotą dwóch młodszych kapłanów. Byli zdyszani i wyglądało na to, że chcą zadać Iii jakieś pytania. Należeli do niewielkiej grupki kapłanów przygarniętych przez wioskę Kasha, posuwającej się tuż za plemionami, i, jak powiedzieli, nie zwracali uwagi na ruch odbywający się wzdłuż karawany.

- Widzieliście może młodego strażnika Iii? - zapytał ich później Marak.

- Tak, omi - odparli. - Ale tylko jak zdążył pod prąd, z po wrotem już nie.

Marak zastanawiał się, o co pytali Ilę albo o czym jej donieśli, ale nie miał odwagi ich o to zapytać.

Pozdrowili Norit i życzyli jej bożego błogosławieństwa, prosząc ją tym samym, jak przypuszczał Marak, o oświecenie.

- Miałaś jakieś inne wizje? - zapytał ją najstarszy kapłan.

- Spadnie ogień - oznajmiła. - Musimy się śpieszyć.

Z tymi słowami odprawiła ich gestem ręki, obojętna na ich modlitwy i nie mając dla nich żadnego radosnego proroctwa ani rady.

- Orni - zwrócili się kapłani do Maraka, a potem do Hati, wi dząc, że są razem. Marak przypuszczał, że złożyli swoje uszano wanie jemu i Hati raczej ze względu na ich związek z Norit niż dlatego, że prowadzili całą grupę, ale ich gest poprawił mu sa mopoczucie. Wrócili do swoich towarzyszy, po prostu wyłamu jąc się z szeregu i siedząc spokojnie tyle czasu, ile zajęło im do

tarcie do Iii.

Au'it zapisała potem ich wizytę, ale więcej informacji nie zdobyli: Norit nie postawiła kapłanom żadnych pytań, Ha nie proponowała żadnych odpowiedzi, a nie ufający kapłanom Marak też szczególnie ich nie wypytywał.

Słońce paliło gorączką. Wydawało się, że powietrzem oddycha się trudniej niż zwykle. W południe Marak położył się pod namiotem, wyłączył umysł i pocił się: odpoczywał z ramieniem przerzuconym przez głowę, bezpieczny w obecności Hati, leżącej obok niego. Au'it i Norit spały za jego plecami.

Podobnie było przez dwa następne dni: nocą spadały gwiazdy, a za dnia paliło słońce. Kapłani pojawili się jeszcze raz. Marak zadał im pytanie zachowane na tę okazję: co widzieli i czy ludzie utrzymują karawanę w całości. Usłyszał, że tak. Posłaniec Iii jednak nie wrócił, a kapłani nie mieli o nim żadnych wieści.

- Obawiam się, że sprowadziłem na tego człowieka nieszczęście - rzekł Marak do Memnanana, kiedy omawiali sytuację. - Nie wiem gdzie ani jak taki doświadczony człowiek napotkał trudności, ale jest mi z tego powodu bardzo przykro.

- Pustynia jest niebezpieczna - odparł żołnierz, wzruszając ramionami, i to był koniec rozmowy: Memnanan nie wykazywał nadmiernej chęci do wysłania następnej osoby, a Marak nie chciał go o to prosić. Tak więc nie mieli żadnej wiadomości o Lelie. Nie było sposobu, by odnaleźć posłańca, nie ryzykując kolejnego, a plotki, które kursowały wzdłuż karawany - na temat narodzin, śmierci i nieszczęść: podczas postoju do zapasów żywności jednej z wiosek wdarło się plugastwo, ale część prowiantu ocalała - przez dwa dni niczego nie przyniosły, więc stracili nadzieję. Luz milczała, au'it opisywała właściwie tylko żmudne czynności związane z rozbijaniem obozu i gotowaniem oraz jedno drżenie ziemi, które trwało dłużej od dotychczasowych. Nie wyrządziło żadnych szkód; zawalił się tylko namiot żołnierzy i zdenerwowały się beshti, których narzekania niesły się od obozu do obozu.

Następny dzień wstał wietrzny i wszystko pokrywała pylista mgiełka. Rano w eskorcie dwóch wieśniaków przybyli do obozu kapłani; chcieli zobaczyć się z Ila, ale o tej porze nie było mowy o audyencji - wiatr zgasił płomień pod kuchenką, na której podgrzewano herbatę Iii, i władczyni źle się czuła - więc przyszli do Norit.

- Wioska Pesha straciła dwa namioty - oznajmili w imieniu dwóch ponurych i nieufnych wieśniaków. - Co mamy robić?

- Czy Pesha straciła też swoją wodę i żywność? - zapytała Norit, nie porozumiewając się z nikim, chociaż obok stał Marak, który przysłuchiwał się tej rozmowie.

Człowiek z Pesha stwierdził, że nie, i usiłował przedstawić więcej argumentów za otrzymaniem namiotów od jakiejś innej wioski.

- Mamy starszych - oznajmił. - Nasz przywódca jest stary.

Potrzebujemy tych namiotów.

Norit uniosła rękę autokratycznym gestem, jakiego nie powstydziałaby się sama Ila.

- Jeśli stracili dwa, nie dawajcie im innych namiotów, by i te mogli utracić. Niech wszyscy przejdą do innych namiotów, w wiosce, która jest teraz za nimi.

Marak był zdumiony, a wieśniacy nie posiadali się z oburzenia. Marak zorientował się, że to nie była decyzja Norit.

- To niesprawiedliwe! - zawołali mężczyźni.

- Pustynia jest niesprawiedliwa. Ci, którzy stracili dwa namioty, powinni mieć lepszych przywódców.

- Mają księgę - rzekł kapłan, nie zwracając uwagi na protesty wieśniaków. - Czy powinni ją zachować? Czy też powinna przejść do ich gospodarzy?

- Powinna przejść do ich gospodarzy - orzekła Luz ustami Norit, lecz według Maraka to Norit dodała: - a przywódca powinien błagać wioskę Pesha o wybaczenie, że stracił namioty. W sprawach swojej wioski może być mądrym człowiekiem i kiedy dojdziemy do wieży, gdzie będziemy bezpieczni, znów może objąć przywództwo, ale rozbijanie obozu powinien zostawić tym, którzy zachowali wszystkie swoje namioty, i podziękować im za udzielenie schronienia jego ludziom.

Kapłani i zmartwieni wieśniacy skłonili się i odeszli.

Dobrze osądzone i dobrze powiedziane, pomyślał Marak. Nawet Luz mogła się nauczyć wymogów stawianych przez pustynię i nawet Norit potrafiła łagodzić ostre wyroki Luz.

To jednak nie była najgorsza katastrofa. Tofi przyniósł bardziej ponure wieści, przekazane mu przez plemiona: z tyłu, wśród wiosek, do szlaku karawany zbliżyło się drobne plugastwo i przez ostatnie dwa dni wykazywało się coraz bardziej niepokojącą odwagą. Plemiona znajdujące się najbliżej wiosek

ostrzegły je, by bardziej uważały na odpadki, a kapłani wykazali się brakiem rozsądku, nic o tym wszystkim nie mówiąc przy okazji odwiedzin w sprawie utraconych namiotów.

Tofi jednak zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji i czekał, by Marak znalazł jakieś rozwiązanie.

Wilgoć i odpadki karawany wabiły plugastwo. Zawsze ciągnęło ono za karawanami, ale nigdy - prawie nigdy - nie atakowało ich w ruchu: odstraszał je hałas, a same karawany były zbyt groźne. Plugastwo interesowało się wszystkim, co karawana zostawiała po sobie... poczynając od latryn i drobnego owadziego plugastwa, które je drażyło, poprzez większe, żywiące się owadami, a kończąc na największym plugastwie, które przybywało, by pożywić się tym większym. Na przeciętnych trasach stanowiło stałe utrapienie i nic więcej, w najgorszym przypadku zaskakując jakiegoś podróżnego zajętego własnymi sprawami w namiotowej latrynie podczas trzydniowego postoju.

Nikt jednak jeszcze nie widział karawany, która przechodziła obok danego punktu przez cały dzień, a nawet dłużej. Nikt nie wiedział, co może się stać, kiedy zasada, że plugastwo nigdy nie atakuje dużej karawany, zderzy się z zasadą, że plugastwo zawsze zbiera się na opuszczonym obozowisku.

W tej samowystarczalnej karawanie tylko grupa Hi i plemiona oraz ludzie z wioski idący z przodu szli po czystym piasku. Za pierwszą pięćdziesiątką obozów cała trasa stawała się jednym obozem i Marak przeraził się, że nikt ani razu nie pomyślał o tej groźnej sytuacji. Okazali się głupcami.

Spojrzał na Tofiego i naciągnął lekko aifad na twarz, by ukryć niepokój. Oczy piekły go od pyłu, a samo powietrze pachniało jak rozgrzany piach.

• Oni idą po starej ziemi - stwierdził Marak. - O ile wiem, nigdy nie było tak dużej karawany, by po zwinięciu obozu jej koniec szedł po własnym śladzie.

• Musimy rozciągnąć się na co najmniej dzień marszu, może dwa - powiedział Tofi, przekrzykując łopot pobliskiego namiotu, składanego przez niewolników. - To się stanie, prawda?

Ludzie z miasta, piesi... Marak wzdrygnął się na myśl o położeniu ludzi znajdujących się na końcu: beshti stanowią jakąś obronę. Ale dla pieszego...

- Powiem Memnananowi - rzucił i natychmiast odwołał ka pitana od jego ludzi. Stali przesłonięci wirującym pyłem, chroniąc się częściowo za namiotem Iii.

Memnanan wysłuchał go z ponurą miną, równie przerażony, jak Marak. Walczył na pustyni. Znał niebezpieczeństwo grożące ze strony plugastwa oraz zasady utrzymywania obozu w czystości i pojmowanie sytuacji przez mieszkańców miasta nie miało znaczenia.

• Zaczekaj - powiedział i poszedł do Iii, nie zważając na jej zły nastrój. Wrócił po kilku chwilach pełnej napięcia rozmowy.

• Ila rozumie — stwierdził Memnanan. - Pozwala nam zrobić to, co konieczne.

• Jeśli jeszcze zwiększymy tempo - rzekł Marak - to na pewno zginie parę osób. Ale jeżeli tego nie zrobimy, to stracimy całe wioski. Poślij na tyły list. Powiedz ludziom, by latryny kopali tak głęboko, jak tylko się da. Niech wszystko, co zostawiają po sobie, przykrywają tak grubą warstwą ziemi, na ile mają sił

kopać. Niech silni kopią za słabych. Kopanie opóźni plugastwo i zyskamy na czasie.

Zatrzęsa się ziemia. Wszyscy już się prawie nauczyli nie zwracać na to uwagi.

• Może byłoby lepiej zostawić słabych od razu - powiedział Memnanan - i nie przeciągać tego, co nieuniknione, przez wiele nieszczęśliwych dni.

• Jeszcze lepiej byłoby ich wszystkich dziś wieczorem otruć - odparł Marak, przekrzykując łopot płótna - a nie zostawiać na pożarcie żywcom plugastwu. Jesteśmy jednak ludźmi i nie poddajemy się. Czasami wygrywamy. Czasami wygrywają nawet wieśniacy.

• Ty już byłeś bezpieczny w wieży - rzekł Memnanan. - Jeśli było tam bezpiecznie, wiedziałeś, że ryzykujesz wszystko. Dlaczego wróciłeś?

- Dla mojej matki. Dla siostry. Ty byś tak nie zrobił?

- Przecież je masz. Dlaczego nie odjeżdżasz z nimi przed wszystkimi?

Marak nie miał pojęcia, dlaczego został. Znów jednak potrząsnął głową, myśląc o tysiącach bezradnych, o wszystkich matkach, ojcach, siostrach, braciach i dzieciach świata.

• Robimy, co możemy - odparł ze wzruszeniem ramion - bo inaczej nic nigdy nie zostałoby doprowadzone do końca, prawda? Nic nie zostałoby doprowadzone do końca i nikt nie zostałby ocalony, gdybyśmy chociaż przez jakiś czas nie byli głupcami. A może ty popędzisz do wieży z kilkoma ludźmi i najlepszymi wierzchowcami? Dlaczego nawet Ila jedzie w tym tempie? Jesteśmy głupcami, to wszystko.

• Wyślę do tyłu posłańców - rzekł Memnanan. - Nie ufam twojej pisemnej wiadomości.

Marak miał wizję rozciągającej się, coraz bardziej podzielonej karawany, wizję silnych, którzy

opuszczają słabych, i efektów zrozumienia tej sytuacji przez ludzi z wioski.

- Powstanie panika - stwierdził, myśląc o ostatnim posłańcu, którego wysłali. - Mógłbyś zapytać o Tarsę, jeśli ktoś dotrze aż do tej wioski. Powiedz im, żeby jechali przez kolumnę, a nie po bokach.

- Zrobimy, co się da - obiecał Memnanan, po czym mężczyźni rozeszli się do swoich zajęć.

Zadanie Maraka było proste - dopilnować, by wszyscy z jego namiotu dosiedli wierzchowców i byli gotowi do wymarszu. To-fi spakował namioty. Beshti i czekający jeźdźcy stali w niesionym wiatrem piasku niczym duchy.

Marak nie chciał sobie wyobrażać sytuacji, gdyby całe plugastwo świata zaczęło kierować się ku jedynej karawanie na świecie jako jednemu źródłu pożywienia. Nie wspominał o tym ani słowem Hati, Norit i pozostałym: jeżeli Luz nie chciało się wyjawić im bezlitosnych szczegółów, to on dotrzyma tajemnicy. Na pytające spojrzenie Tofiego wyjaśnił:

- Kapitan wysłał do tyłu instrukcje.

Zanim wyruszyli, tuż za Haga i Keran, pył wiał im mocno w plecy, a znajdujący się na samym przedzie Keran na pewno otrzymali wiadomość od pierwszych posłańców Memnana; wiatr im pomagał, więc narzucili szybsze tempo. W ciągu tych pierwszych godzin silny zachodni wiatr popychał słabszych, lecz suche poddmuchy odbierały im zarazem wilgoć i zmuszały do częstszego picia. Wiatr nie służył słabym, z których kilkoro na pewno tego dnia umrze. Marak nie mógł się opędzić od tej myśli.

Ziemia drżała trzy razy tego ranka, lecz karawana nie zwalniała. W południe stanęli na zwykły odmierzony popas, po którym ruszyli dalej.

Przez cały dzień Ha odzywała się rzadko i była na wszystkich zła. Aui't jechały przestraszone, a ich au'it była prawdopodobnie zadowolona, że służy u nich; opisywała niewiele więcej nad przebieg dnia, być może nie wiedząc, co Memnanan powiedział Iii. Późnym popołudniem Marak pojechał do matki i siostry; okazało się, że słyszały wieści - Keran powiedział wszystkim w swoim obozie.

- Czy grozi nam niebezpieczeństwo? - zapytała Patya.

- Nam nie - odparł. - Ostatnim szeregom tak.

Znajomość sytuacji położyła się cieniem na ich spotkaniu.

Kais Tain mogła się znajdować wśród ostatnich. Marak ani razu nie widział w karawanie ludzi z własnej wioski. Nikt jednak

nigdy nie wspominał ani o niej, ani o Tainie. Zwolnił, by dołączyć do Hati i Norit; Luz milczała, znając grożące im niebezpieczeństwo: na razie mogło im nic nie grozić, ale Marak i tak im powiedział.

- Nadciąga plugastwo. Ludzie na końcu karawany są zagrożeni.

Nad aifadem widział tylko oczy Norit, ale wyobrażał sobie, jak bardzo musi się ona martwić. Nie wzbudził jednak żadnych nadziei, nie wspominał ani słowem o zaginionej Lelie; Norit też milczała.

Pod wieczór wiatr znacznie przycichł. Keran znaleźli wśród skał źródło gorzkiej wody i pogłębili je. Napoili beshti i oznaczyli miejsce dla następnych plemion i wioski. Źródło ledwie zaspokoili pragnienie beshti, a woda nie nadawała się do picia dla ludzi, ale beshti, których mocz był trujący nawet dla plugastwa, były zadowolone.

Rano nad niesionym wiatrem piaskiem pojawiła się chmura, a kiedy rozbili obóz, tak urosła, że słoneczne lustra okazały się bezużyteczne i nie mogli ugotować jedzenia ani zagotować wody. Tylko Ila napiła się herbaty, używając jako paliwa cennej oliwy do lamp.

Oczywiście w długim szeregu wszystkich namiotów ocalałych na świecie wyróżniał się tylko jej namiot, jarzący się od środka w zapadającym mroku plamami światła lamp. Marak ocenił, że zapalono chyba wszystkie - cóż za rozrzutność i marnotrawstwo.

-Ila nie powinna używać paliwa do gotowania herbaty - ośmielił się napomknąć Memnananowi. - Ani do lamp. Może nam się przydać w czasie burz. Na razie mieliśmy szczęście. Czy ktokolwiek może przemówić jej do rozsądku?

- Jest zła - wyznał Memnanan. - Chodzi o herbatę, chmury, wiatr, pył i o całą tę sytuację. Za nami umierają ludzie. Ona za pala lampy. Chce pić herbatę. Nie wiem dlaczego. Czasami myślę, że w ten sposób się martwi.

Przez cały dzień wracali posłańcy Iii z wiadomościami o utraconych namiotach, odłączających od karawany pieszych i natrętnym plugastwie; powiedzieli też, że czterech młodych wieśniaków umarło lub umrze z własnej głupoty, napiwszy się gorzkiej wody - na razie jednak nie było żadnych

katastrof poza utratą kilku worków ziarna, podziurawionych przez plugastwo o kostnym pancerzu. Nie było aż tak źle. Dziwnie zabrzmiała uwaga Mem-nanana, że żyjąca bogini się martwi i sący herbatę.

Marak zauważył też, że kapitan nie odwiedził swojej żony ani matki. Rozmawiał z nimi tylko na zewnątrz namiotu, obsesyjnie przestrzegając swoich obowiązków lub też będąc do tej obsesji zmuszonym. A Ila wciąż się martwiła.

- Lepiej by było, gdyby oszczędzała paliwo - stwierdził Marak. - Tak daleko z przodu karawany nie widzieliśmy nadmiaru plugastwa i to jest dobra wiadomość. Ale nic nie możemy po wiedzieć o pogodzie.

Wiatr wiejący równo z zachodu coraz bardziej go niepokoił. Od dwóch dni nie miał wizji, ale kiedy to powiedział, zobaczył pierścień ognia.

Co więcej, pierścień zmienił się w płamę, a potem w ścianę ognia wysoką jak sięgający nieba wał pustynnej burzy, i ruszył nad ziemią. Marak, pozbawiony zdolności normalnego widzenia i zmysłu równowagi, wstrzymał oddech.

- Co się stało? - zapytał Memnanan.

Po drugiej stronie płaskiej niecki Marak zobaczył, jak spadająca gwiazda przebija smugą chmurę i uderza w ziemię. Zadrżał. Nie był pewien, czy to zdarzyło się naprawdę.

• Mam porozmawiać z Iłą? - zapytał. - Wiem, jak przekazywać jej złe wiadomości... i jak nazywać ją głupią. Jeśli mnie zabije, straci przewodnika.

• Nie teraz - orzekł trzeźwo Memnanan. - Nie dzisiaj. Nawet nie ty.

• Co poza pośpiechem?

• Pośpiech, wiatr, to wszystko - odparł Memnanan i ciężko westchnął, spojrzawszy na piasek pod stopami i zerknąwszy w górę, podał czwarty powód. - Przybyli kapłani. Nazywają twoją żonę prorokinią. Ila nie jest zadowolona.

Marak wiedział, że krążą posłańcy. Pamiętał odwiedziny pieszych kapłanów. Nie uznał ich za przyczynę złego nastroju Ili, ale miało to sens.

• Porozmawiam z Norit - powiedział, uświadomiwszy sobie, że jeśli postępowanie Ili robi się niepewne i szkodliwe, to będzie musiał porozmawiać o tym niebezpieczeństwie z Luz.

• Nic o tym nie mów - poradził mu Memnanan. - Sprawa jest już załatwiona i wyciszona. Jeśli pośle po ciebie, nigdy nie widziałeś takich audiencji, jak ja. A po twoją żonę na pewno nie pośle.

To stwierdzenie wymagało pytania.

• Dlaczego?

• Twoja żona mówi w imieniu wieży. Ila jest coraz bardziej rozstrojona. Dla niej ten związek jest nie do zniesienia.

• Podobnie jak dla mojej żony - wyznał Marak. - Nie podoba jej się to, co się jej przytrafiło. Jednak będąc szalona, jak pozostali z nas, jakoś to toleruje. Nic na to nie może poradzić. I jest naszą przewodniczką.

• Och, Ila bardzo dobrze o tym wie. Powiedziałbym nawet, że wybacza twojej żonie - gdybym wierzył w jej wybaczenie.

- A nie wierzysz.

-Nie.

-I mimo to jej słyszysz.

- Tak jak ojciec mego ojca. Do tej pory wiodło nam się bardzo dobrze.

Rozstali się. Każdy poszedł w swoją stronę. Memnanan zatrzymał się na chwilę rozmowy z żoną, ciotkami i matką. Marak ułożył się obok Hati i Norit i wszyscy troje zapadli w spokojny, głęboki sen.

Marak, odezwały się jego głosy po raz pierwszy od wielu godzin, budząc jednocześnie wszystkich troje. Marak. Zobaczył pierścień ognia.

Norit zatopiła twarz w dłoniach i odgarnęła włosy, zaniepokojona i niezadowolona.

• Do gorzkiej wody - rzekła. - Wielki upadek. Nadchodzi wstrząs. Już wkrótce.

• To nie stanowi zagrożenia dla nas - powiedział z nadzieją, że tak jest.

• Nie - odparła Norit, ale po kilku chwilach ziemia zadrżała jak besha otrzepujący się z kurzu.

Namioty zachwiały się,

a beshti zaryczały zaniepokojone. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy.

Wiatr już się wtedy znacznie uciszył. A kiedy Marak wyszedł z namiotu, by ocenić uszkodzenia, z ołowianych chmur spadło kilka kropli zimnej wody. W oddali na wschodzie niebo rozświetlało się błyskawicami, a kiedy z namiotu wyszła Hati, krople deszczu zaczęły robić znaki w piasku wszędzie wokół nich.

Marak roześmiał się nerwowo.

- Co cię tak bawi? — zapytała Hati. Przez ostatnie dni bardzo się martwiła. Patrzyła teraz na Maraka, jakby znów stał się szaleńcem.

Zanim jednak wytłumaczył swoje zachowanie, deszcz nasilił się i Hati najpierw zrobiła dziwną minę, a potem wybuchnęła nieopanowanym śmiechem.

- Masz rację - wykrztusiła i śmiała się dalej, aż z namiotu wyszedł Tofi i wyzwoleńcy, żeby zobaczyć, co ją tak śmieszy. - Teraz się potopimy.

- Co się dzieje? - zapytała z kolei Norit, całkowicie poważna, co znów rozśmieszyło Maraka i Hati i wywołało nawet nieśmiałe parsknięcia Tofiego i wyzwoleńców, jakby zrozumieli żart.

- Utopimy się albo zostaniemy pożarci - powiedziała Hati ze śmiechem. Norit po prostu sprawiała wrażenie zdziwionej i z troską.

- Nadciąga burza - oznajmiła. - Ale mała.

Marak uznał, że to odezwała się Luz, i kazał Tofiemu zwinąć namiot, nie chcąc dopuścić, by płótno nasiąkło wodą i nabrało wagi. Keran też zwinął swoje namioty; tymczasem przybył jeden z posłańców Memnana i Marak poszedł dowiedzieć się, jakie przyniósł wiadomości.

- Straciliśmy kontakt z najdalszymi obozami - powiedział żołnierz, kiedy posłaniec zdał mu relację. Deszcz przeszedł teraz w mżawkę, delikatną jak mgiełka. - Niczego jeszcze nie wiemy. Miałem nadzieję, że wysłannik cofnął się aż tak daleko, ale tego nie zrobił. Zmieniła się pogoda, a on się zaniepokoił i wrócił z raportem.

- Możliwe, że zostali tak daleko w tyle - rzekł Marak.

- Albo że pożarło ich plugastwo. Plugastwo nie jest jednak naszym jedynym zmartwieniem. W karawanie są bandyci. Na pewno dobrali się do resztek Oburana. Jeżeli zaczynają teraz dobierać się do naszej kolumny, nic nie możemy na to poradzić. Oskubią słabych.

- Jak reszta plugastwa - powiedział Marak, nie czując już żadnej wesołości. Było to rozsądne podejrzenie, ale nie uwzględniały go ich plany. - Jeśli to już się zaczęło, to nasza karawana będzie się skracała. Albo będą nas śledzić, biorąc sobie to, co zechcą i kiedy zechcą. Nie możemy zmienić marszruty, by się nimi zająć. - Marak znał taki rodzaj wojny, takie bandyckie nękanie. Sam je uprawiał wobec karawan Iii. W ten sposób wyposażył wiele oddziałów.

- To nie spoczywa w twoich rękach - zgodził się Memnanan. - Nie będziemy już jednak nikogo tam wysyłać.

- Gdybym mógł coś powiedzieć, powiedziałbym, że to mądre.

- O, to ty jesteś pustynnym mistrzem, Maraku Trinie. Ja słucham.

Nazwał go pustynnym mistrzem, ponieważ abjori atakowali z pustyni, a Memnanan z miasta, zawsze z miasta. Poza tym kapitan pamiętał, co oznaczają znaki na palcach Maraka.

- Nie znalazłbym lepszej rady - rzekł Marak. - O ile wiem, nie ma też jej Luz.

Ila nadal nie wychodziła z namiotu i wciąż była rozdrażniona. Memnanan wrócił z ponurą miną do swoich obowiązków. Krótkotrwały deszcz przemoczył ich, a potem chmury rozwiały się ze zdumiewającą gwałtownością.

O zachodzie słońca na horyzoncie pojawił się jasny pasek koloru i nie zniknął nawet po zapadnięciu ciemności.

To chmury, mówili niektórzy. Widzieli ich już mnóstwo przedtem.

Ogień, powiadali inni. Blask jednak przygasł w mroku, więc uznali, że to była chmura przepowiadająca pogodę.

W wizji Maraka kula uderzyła w kulę. Hati była równie przybita jak Norit i podczas jazdy cały czas oglądała się do tyłu. Spadały gwiazdy: nieliczne, ale duże, a jedna z nich zostawiła za sobą długą przerywaną smugę.

O świcie dogoniły ich i chmury, i wiatr, który mocno wiał im w plecy, wzbijając tumany pyłu.

- Jak będzie? - zapytała Hati Norit, która zaczęła przepowiadać pogodę najlepiej z nich. - Jak długo to będzie trwało?

- Powinno trwać - odparła Norit cicho. - Ale nie będzie mocno wiało. Nie dość mocno, byśmy mieli się bać.

To znaczy nie dość mocno, by się zmagać z długimi palikami, ale mimo wszystko, kiedy zaczął się wzbijać pył, Marak zastanawiał się, czyby ich nie użyć, ponieważ ze względu na wszystkich pozostałych nie ważył się ryzykować życia swojej grupy i jej prowiantu. Wydawało się jednak, że Norit ma rację: całe jego wyczucie pogody mówiło mu, że dzień będzie wietrzny i wstanie pył, to przekleństwo niecek, gdzie jedwabście drobny miał mieszał się z zasadowymi osadami i nabierał gorzkiego smaku.

W południe w powietrzu znajdowało się już pełno pyłu. Ke-ran jadący z przodu stanowili cienie za jego zasłoną, ale to Ma-raka jeszcze nie martwiło: dzień wciąż był jasny, nie spowijał go ten przytłaczający mrok wielkich burz, a beshti nic sobie z pyłu nie robiły, od czasu do czasu wydmuchując go głośno z nozdrzy. Rozbili obóz bez wbijania długich palików, a ponieważ ludzie Iii zamocowali nawietrzne poły jej namiotu, Marak zarządził to samo przy swoim namiocie.

Dało to im kilka godzin wytchnienia od wiatru. Pył przesypywał się zza pojedynczej ściany, ale było go o wiele mniej. Marak i Hati nawet kochali się w południowej ciszy, zapewniwszy sobie dyskrecję przez rozwieszenie szat na linkach rozciągniętych od najbliższego masztu do ściany. Norit i au'it mogły to widzieć, ale żyłasta, drobna au'it poszła spać, a Norit leżała odwrócona do nich tyłem.

Marak potem zasnął, obejmując Hati ramieniem; Norit cicho chrapała, nikomu nie przeszkadzając. Podmuchy wiatru i łopot płótna nabrały spokojnej monotonii.

Wtem ktoś przybiegł. Marak obudził się z półsnu z wrażeniem, że ktoś biegnie i że wpadając do namiotu, ten ktoś przeszkodził w odpoczynku rodzinie Memnanana.

Marak usiadł i rozsunął zasłonę. Tofi i jego ludzie siedzieli na swoich matach, wyrwani ze snu.

Była to młoda kobieta... jego

siostra Patya, z wlokącym się za nią aifadem i rozwianymi na wietrze włosami. Jej mina mówiła, że stało się coś strasznego.

Marak zerwał się na nogi, chwycił ze sznura szatę i narzucił ją na siebie.

- Marak - odezwała się Patya. - Matka... - Wybuchnęła płaczem.
- Co się stało? - zapytał.
- Ojciec. Pojawił się ojciec. Powiedziała mi...

To mu wystarczyło. Zdjęty przerażeniem, wybiegł z namiotu, a za nim Patya i Hati. Au'it też chwyciła swoje przybory, ale Marak się na nią nie oglądał.

Pędził przez unoszony wiatrem pył, przeciął własny obóz, wbiegł między namioty Haga, między mężczyzn i kobiety gwałtownie wyrwanych z południowego snu. Patya chwyciła go za rękaw i zaprowadziła prosto do centrum obozu.

- Kazała mi biec - udało jej się wyjaśnić po drodze. - Powie działa, żebyś biegła, więc to zrobiłam.

Widać było tłum, cienie w kłębach pyłu, zapowiedź najgorszego. Marak przepchnął się do przodu i ujrzał leżącą na ziemi kobietę, ich matkę.

Padł na kolana i porwał Kaptai w ramiona. Unosząc ją, wiedział, że życie jeszcze się w niej tli, i natychmiast poczuł na dłoniach splecionych za jej plecami wilgoć krwi.

-Marak - powiedziała, tylko tyle, mając na wpół otwarte oczy. A potem zwiotczała.

Tylko tyle. Nic więcej. Już wiele razy trzymał zmarłych w ramionach. Znał tę zdecydowaną zmianę wagi. Kaptai była martwa.

Patya zaszlochala i rozcierając dłonie matki, usiłowała przywrócić jej życie. Marak poszukał wilgotnymi, zakrwawionymi dłońmi pulsu i zrozumiał, że lzy Patyi nigdy już nie sprowadzą ich matki z powrotem.

Położył matkę na ziemi i wstał, świadom obecności otaczających ich świadków, Haga, samego Menditaka... świadom wściekłości, żalu i tego, że umysł obsuwa mu się w szaleństwo.

- To był ojciec - rzekła Patya. - On to zrobił. Wszedł do namiotu, kiedy wszyscy spali. Chciał, by matka wyszła z nim na

zewnątrz, i ona go posłuchała, ja też, wiedziałam, że stanie się coś złego, a ona kazała mi biec.

Kaptai mądrze zrobiła, opuszczając męża. Do końca jednak ceniła dumę i nie zawołała, nie obudziła swego plemienia. Wyszła na zewnątrz i zajęła się nim sama, a córkę wysłała w bezpieczne miejsce, po pomoc. Skończyło się tym, że zginęła, a to samo mogło spotkać Patyę.

Dlaczego? Dlaczego nie chciała zwrócić Haga przeciwko Tai-nowi? Zasłużył sobie na to. Całkowicie zasłużył na wstyd i na przepędzenie jak natrętne plugastwo.

Z miłości? Z miłości, jeszcze teraz, wyszła na spotkanie z nim, choć wiedziała, że musi odesłać Patyę w bezpieczne miejsce?

- Nie udało nam się go złapać - odezwał się ponuro Mendi-tak. - Wysłaliśmy za nim ludzi.
- Zajmij się Patyą! - polecił Marak Hati, odwrócił się i popędził do namiotów Tofiego z taką samą szybkością, z jaką przybiegł do Haga. Oślepił go pył, który przywierał mu do twarzy i zbierał się wokół oczu.

Znalazłszy się w namiocie, chwycił swój aifad leżący na posłaniu i omotał nim głowę. Owinął się pasem, chwycił machai i bukłak - wszystko, czego potrzebuje na pustyni abjori.

Tofi stał, patrząc na niego z niepokojem.

- Obudź kapitana - polecił Marak, odmierzając oddechy i po

rzządzając informacje, jakby z powrotem znalazł się na wojnie, ukrywając się i walcząc wśród wydym. - Tain zabił moją matkę. Powiedz mu!

Tofi pobiegł do Memnanana.

Au'it wróciła z Marakiem i teraz siedziała na piasku, zapisując wszystko w księdze. Wróciły Hati i Norit, prowadząc ze sobą Patyę zalaną łzami; łzy Maraka zaczęły już wysychać, a jego umysł porządkował zagadnienia w drobne, porządne paczuszki.

- Przeszedł na południową stronę kolumny - rzekł do Hati. - Prawdopodobnie znów ją przetnie, kiedy dotrze do jakiejś wiejskiej grupy, a potem zrobi to jeszcze kilka razy, by zatrzeć ślad. Będzie się trzymał z boku i czekał na okazję zaatakowania mnie, Patyi i Iii. Powinienem załatwić z nim sprawę, zanim wyszliśmy.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Hati.

- Znaleźć go. I zabić.

- Nie - rzekła ostro Norit. Właściwie nie Norit, tylko Luz. -Nie! Cięży na tobie odpowiedzialność.

- Do diabła z moją odpowiedzialnością! - Wypadł na zewnątrz, za nim Hati; Patya chwyciła go za ramię. Odtrącił je obie i odwrócił się do Norit, która zatrzymała się w wejściu do namiotu. - Do diabła z moją odpowiedzialnością za cały przeklęty świat! To moja sprawa. To jest moja odpowiedzialność! Możesz robić to, co ja. Słyszysz Luz. Teraz mówi do ciebie. Więc słuchaj jej! I, Hati, ani się waż iść za mną! Nie rób mi tego. Znam jego sztuczki. Będzie polował na mnie, a potem na ciebie i Ilę. Liczę, że podejmiesz środki ostrożności i zapewnisz temu obozowi bezpieczeństwo! - Najbardziej polegał na Hati, musiał uciąć jej chęć pomocy, najważniejsze było dla niego życie Hati, nawet nie Patyi. - Strzeż mojej siostry. Słyszysz? Nie dopuść, bym stracił i ją. Patya, zachowuj się przyzwoicie. Wróć.

- Nie idź tam sam! - zawołała Hati. - Weź Memnanana.

- Ja wiem, co zrobi mój ojciec, a ludzie Iii nie. Wiem, że nie jest sam. Nie chcę mieć ze sobą ludzi Memnanana: to rozdrażniłoby starych abjori i dałoby ojcu to, czego chce. - Znalazł wśród beshti Osana i poderwał go na nogi. Siodło leżało nieopodal. Wrzucił je zwierzęciu na grzbiet, poprawił wyściółkę. - Uda się do swoich popleczników w innych wioskach. Przekona ludzi tu i tam, by wyszli poza kolumnę. - Dociągnął popręg. - Weźmie ze sobą namioty, sprzęt i beshti i stworzy sobie armię, by nękać karawanę. Wypowiedział wojnę. W wioskach, które spróbuje przeciągnąć na swoją stronę, żołnierze Iii nie są zbyt lubiani, ale ja mam tam przyjaciół. Zaufaj mojej wiedzy. - Zmusił Osana do wysunięcia nogi, chwycił pętlę do wsiadania i dosiadł wierzchowca. Zobaczył zbliżających się Memnanana i Tofiego. - Wyjaśnij mu to - rzekł do Hati. - Ty tu rządzisz.

- Uwważaj, Maraku! - zawołała Patya. - Nie umrzyj tam! Proszę cię, nie umrzyj.

-Rób wszystko, co powie ci Hati. Trzymaj się blisko niej i nie bądź głupia.

Ujął harap i mocno uderzył Osana, odjeżdżając, zanim musiałby cokolwiek wyjaśniać. Ila mogłaby mu nie wybaczyć. Podobnie jak Memnanan.

Mógłby nie wybaczyć sam sobie, gdyby pozwolił ojcu zrobić tym wszystkim ludziom to, co, jak wiedział, zamierzał im zrobić.

Rozdzielił ich pył. Spowił ojca. Teraz spowił jego.

Rozdział 19

„Gorzkie drzewo należy ścinać. Jego cień został skażony. Ziemia, na której wyrosło, będzie wykopana i odrzucona. Jego liści ani owoców nie można jeść ani wyciskać z nich wody. Cała jego materia i potomstwo zostaną spalone”.

- Księga Prawa

Tropem Taina puścił się już niewielki oddział Haga. Nawet mimo pędzonego wiatrem pyłu i gwałtownego wyrównywania powierzchni piasku, ich ślady były wyraźnie widoczne. Prowadziły w dziewiczym terenie, między wydmy, a potem zwracały wzdłuż szlaku karawany.

Marak kierował się jednak czymś więcej niż samymi tropami. Besha potrafił iść za swymi pobratymcami: wystarczyło nakierować go na ślad i wyperswadować powrót do głównej karawany, co

było jego początkowym przemożnym odruchem, a kierując się wzrokiem czy węchem, szedł za każdym śladem zostawionym przez inne beshti, wybierając jednak ślad najsilniejszy i najlepiej utrwalony. U zwierzęcia pochodzącego z głębi Lakht był to pożyteczny instynkt. Pożyteczny tak dla samych zwierząt, jak i dla jeźdźców, i Marak jechał szybko, ufając zmysłom Osana.

Nie znalazł jednak Taina Trina Taina. Na końcu tego szlaku leżało wśród wydm czterech Haga, martwych, na wpół przysypanych piaskiem. Plugastwo już dobierało się do ich ciał. Rozpierzchło się na widok Maraka, ale on się nie zatrzymał. Znał sztuczki Taina i skóra między łopatkami napięła mu się w oczekiwaniu zasadzki. Szybko zawrócił Osana, chcąc znaleźć się po tej samej stronie wiatru, co ojciec.

Wśród wydm znalazł jednak tylko tropy beshti, prowadzące do karawany, do której, jak to beshti, wróciły z wiadomością o śmierci jeźdźców. Jeden trop wiódł jednakże ku zachodowi, wzdłuż szlaku karawany. To ojciec Maraka, postępujący zgodnie z przewidywaniami syna.

A więc teraz rachunek wynosił pięć osób.

Być może rozważnie i roztropnie byłoby wrócić do Haga, rozpalić w nich oburzenie za to zaborstwo i poprowadzić ich tropem ojca, ale taka potężna wyprawa nigdy nie przyniosła pożytku w starciu z subtelnością Taina. Marak miał jeden świeży ślad prowadzący z powrotem do namiotów i wiedział, że Tain szybko zgubi się tam, skąd wydobyć go musiałoby się odbyć kosztem czyjegoś życia.

Postanowił nie wracać. Ruszył śladem Taina, jak sądził, który zaprowadził go do namiotów, lecz nie przeciął jeszcze linii marszu, prowadząc do tyłu, wzdłuż plemiennych obozowisk.

Wśród tych znajdujących się na przedzie ani teraz, ani jeszcze przez dłuższy czas nie było widać żadnych oznak rychłego wymarszu. Cokolwiek się działo - czy Haga złapali cztery beshti pozbawione jeźdźców i odłożyli pogrzeb jego matki, by samemu udać się na polowanie - było jeszcze wcześniej w ich rozkładzie postojów. Plemiona znajdujące się za Haga jeszcze spały, nieświadome tego, co się stało w obozie Haga.

Marak wiedział, że jeśli zgubi ślad Taina, to może stracić więcej, niż już stracił. Tain mógł natychmiast zawrócić do przodu, by zaatakować obóz Tofiego, podczas gdy on szukał go z tyłu; albo gdyby jechał za szybko, Tain mógłby się zorientować, kto go tropi, i zacząć się na niego.

Marak spodziewał się zasadzki lada minuta, pewien, że Tain na niego czeka. Unoszący się w powietrzu pył zamieniał namioty i odpoczywające beshti w cienie. Zwierzęta stanowiły pokusę dla człowieka mogącego potrzebować świeżego wierzchowca, ale Tain jeszcze tu nie uderzył: beshti, którym zakłócono odpoczynek, nie zachowywałyby się tak spokojnie, zaalarmowałyby swoich właścicieli i postawiły obóz na nogi, a nic takiego się nie stało.

Marak, Marak, zaszeptały do niego głosy. Przyszło mu do głowy, że odzywały się już wcześniej, a on nie uważał... myślał

jedynie o wymaganiach i niebezpieczeństwach pościgu. *Wracaj*, powiedziały głosy.

- Idź do diabła - powiedział do Luz. - Chodzi o moją matkę.

Rozumiesz? Czy ty miałaś matkę?

Marak, szepnęły głosy.

• Idź do diabła! - odparł i, znalazłszy się na chwilę między wydmami, skierował Osana do plemiennego obozu. To byli Rhonan, sprzymierzeńcy Haga. - Rhonan! - zawołał, budząc obóz i wyciągając mężczyzn spod namiotów. Pojawili się pełni niepokoju, ściskając miecze i pistolety.

• Nazywam się Marak Trin - powiedział do Rhonan. - Jeśli chodzi o ścisłość, Marak Trin Tain. Moja matka to Kaptai z Haga, kuzynka Menditaka, żona Taina Trina Taina. Nie żyje.

• Czego chcesz od Rhonan? - zapytał przywódca.

• Tain zamordował moją matkę w obozie Haga i zabił z zasadzki czterech członków plemienia, którzy pojechali za nim. Proszę, byście wysłali do pana Menditaka posłańca z wiadomością, że jego ludzie nie żyją. Powiedźcie mu, że jestem na tropie Taina, że chcę go zabić i że nie mogę zgubić śladu.

• Montendzie - zwrócił się mężczyzna do jednego ze swoich ludzi. - Pojedziesz do Haga. Antagu, razem z braćmi udasz się z tym człowiekiem.

• Jestem twoim dłużnikiem - rzekł żarliwie Marak - za wodę i pokój. Szanuję cię jak mego dziada, omni. Ale oni będą musieli pojechać za mną. Wiatr zaciera ślad, a ja nie mogę czekać tak długo.

Zwierzęta zostały rozsiodłane na południowy odpoczynek. Kiedy Marak odjechał, by podjąć trop, ludzie rzucili się biegiem do pracy. Niebawem Antag i jego czterech bracia wyłoniли się z tumanów pyłu

za nim, uzbrojeni w myśliwskie włócznie, miecze i jedną długą strzelbę owiniętą płótnem dla ochrony przed pyłem. W tej sytuacji była to broń warta dziesięciu ludzi i dla zdobycia jej Tain byłby gotów zabić.

- Omi - przemówił pierwszy jeździec. - Nazywam się Antag. To są moi bracia.
- Jestem waszym dłużnikiem. - Nie zatrzymał się, prawie nie odrywał wzroku od tej części

horyzontu, dokąd, jak się domyślał,

prowadził ślad. - Mój ojciec zamierza wywołać wojnę w łonie karawany. Gdzieś będzie musiał przejechać w poprzek obozów. Są ludzie, którzy mogą się do niego przyłączyć.

- Ila nie jest naszą przyjaciółką - stwierdził Antag. - Haga naszymi przyjaciółmi są.
- Rozkazy Iii mnie nie dotyczą. To sprawa krwi. Oraz naszego życia i śmierci. Jeżeli Tain rozpocznie wojnę między wioskami i Haga, a ci wieśniacy zaczną się zachowywać jak głupcy, to przeleją krew i wszyscy nakarmimy nią plugastwo. Jego to nie obchodzi. Jest zły, a teraz zaatakował plemię, które dotąd było mu przyjazne.

- Jesteś pewien jego śladu, orni.

Była to cicha zgoda, szacunek dla niego. Oraz zasadnicze pytanie.

- Nie ma drugiego zwierzęcia, chyba że zdobył je u Haga, ale

ja go nie wykryłem.

Była to plemienna sztuczka, mająca na celu zmylenie pogoni: ukraść drugiego beszę, a swojego wypuścić, by błąkał się po pustkowiu, myląc trop.

- Haga to przyjaciele - rzekł Antag i czterej Rhonan zostali

z nim, podążając śladem Taina wśród wydmy.

Unoszący się w powietrzu pył coraz bardziej utrudniał trzymanie się tropów, ale wciąż były to tropy pojedynczego wierzchowca. Minęli jedno, dwa plemiona; ślady czasem się do nich przybliżały, a potem oddalały. Tain stwierdził, że beshti umieszczone w kręgu namiotów, bo plemiona tak właśnie chroniły cenny dobytek, są zbyt niespokojne.

• Powinniśmy zawiadomić mijane plemiona - rzekł Marak. - Dziś wieczorem ich inwentarzowi, jeśli nie życiu, zagraża niebezpieczeństwo. Czy ci w pobliżu to wasi krewniacy?

- Tak, kuzyni.

Antag wysłał dwóch młodszych braci do mijanych po drodze obozów, w których dzięki pokrewieństwu mogli spotkać się z mniejszą liczbą pytań i szybciej zyskać zrozumienie. Sam wraz z trzecim bratem został z Marakiem, zagłębiając się między wydmy i licząc na to, że młodszy bracia odnajdą ich, idąc po śladzie.

- Szybko jedzie - ocenił Antag, kiedy trafili na czysty trop, a Marak się z nim zgodził: tak się poruszał człowiek, któremu bardziej zależy na odległości niż sprycie.

- Nauczył mnie wszelkich sztuczek - rzekł ponuro. - Nie wpadł w panikę. Ma ich jeszcze mnóstwo.

Usiłował nie planować tego, co zrobi albo powie, kiedy odnajdzie Taina. Planował jedynie, że zabije go, zanim padną jakieś słowa, które nawiedzałyby go we śnie. Miał na rękach krew swej matki i uznał, że sprawa zostanie załatwiona dopiero wtedy, gdy będzie miał na nich i krew ojca. Przyrzekł to sobie i poczuł przyływ szaleństwa taki sam, jak wtedy, gdy słyszał głosy. Luz chciała, żeby wrócił. Próbowwała, ale on się opierał, stale się jej opierał i resztki zdrowego rozsądku nakierował na jeden cel, na piaszczystą mgiełkę i swego ojca.

Minęli ostatnie plemię i jechali wzdłuż wiejskich obozów. Tu ślad Taina skierował się ku karawanie i biegł obok namiotów najpierw jednego, a potem drugiego obozu.

Następnie, czego mogli się domyślić, trop poprowadził na środek kolejnego obozu, przeciął go i zagłębił się w następny.

Tutaj Tain mógłby zmienić beszę i ukraść kilka zwierząt, ale na razie nie znaleźli żadnych na to dowodów; poza tym trop zaczął zanikać. Osan wyczuwał zapach dziesiątków swoich pobratymców i tracił koncentrację: będą musieli podjąć trop na zewnątrz obozu, a to będzie trwało.

Pod namiotami poruszyli się śpiący ludzie, unieśli głowy. Chyba że od ostatniej wizyty nie zdążyli mocno zasnąć.

- Przejechał tędy człowiek - rzekł Marak do wieśniaków. -

Dokąd się udał?

Kilka osób pokazało w tę samą stronę, do tyłu wzdłuż karawany, a nie na bok.

- Które wioski udzielił mu schronienia? - zapytał Antag, kiedy wyruszyli nowym tropem.
- Zachodnie - odparł Marak.

Przypomniał mu się dom, bezpowrotnie stracone mury Kais Tain. Sąsiednie wioski, czerwone mury

i znajome studnie, przyjaciele z dzieciństwa, figle i cień wioskowych ogrodów.

Marak, powiedziała Luz, usiłując go odzyskać. Okazał słabość, a ona ją znalazła. *Marak, Marak, Marak*, posłuchaj mnie.

Bronił się.

Usiłował nie myśleć o wioskach, o tamtych czasach, o latach, kiedy kochał i szanował tego człowieka jak boga swego życia. W dzieciństwie słońce wstawało co rano nad ramieniem Taina i cały świat był taki, jaki powinien być... albo byłby, gdyby tylko Marak potrafił być dość szybki, twardy i silny, by zyskać aprobatę Taina.

W owych latach wszyscy zachodni panowie byli sprzymierzeńcami Taina i nic nie wskazywało na możliwość wybuchu późniejszych kłótni, które poróżniły abjori. Wszyscy walczyli przeciwko wiecznym rządóm Iii, tak mało mającym wspólnego z opieką nad wioskami oraz ich potrzebami. Walczyli w słusznej sprawie.

Zachodnie wioski leżące przy krawędzi Lakht poszły na wojnę. Zdobyły przychylność licznych plemion, które same gardziły prawem Iii. Tain utrzymywał bliskie i przyjazne stosunki z Haga, zdobył sobie nawet żonę z tego plemienia.

Teraz jego przedstawiciele chcieli go ścigać na kraniec świata.

Tain utracił wszelkie zalety w oczach prawa plemiennego. Uderzył w kobietę, która przez trzydzieści lat prowadziła mu dom i dzieliła z nim łożę, która rodziła mu dzieci i bandażowała jego rany... uderzył w nią, ponieważ wojna przygasła, ponieważ w strukturze sojuszy, które zbudował Tain, powstały rysy.

Uderzył w nią, ponieważ Tain nie mógł stanowić źródła szaleństwa; Tain nie mógł być winien przegrania wojny.

Zatem Tain podkradł się do spokojnego, sprzymierzonego obozu i wywołał kobietę, ale nie po to, by pogodzić się i błagać o wybaczenie, co powinien był zrobić i czego Kaptai mogła się słusznie spodziewać, lecz by ją zamordować, a potem uciec jak przestępca, którym się stał, prowokując wszystkie plemiona, by chciały jego śmierci.

Nie było przebaczenia. Nie został już nikt, kto mógłby prosić o nie dla Taina.

Dogonili ich dwaj bracia Antaga, wyłaniając się z mgiełki z głośnymi okrzykami, by potwierdzić tożsamość. Ostrzeżenie

przekazali. Plemiona już wiedzą i same wysłały posłańców i myśliwych.

W każdym mijanym obozie pytali, czy widziano tam przejeżdżającego mężczyznę, i w pięciu obozach odpowiedź była taka sama, lecz w szóstym zauważyli konsternację i króciutkie wahanie.

- Jestem Marak Trin Tain - rzekł Marak. - Gdzie jest mój ojciec?

Ludzie z tej wioski, wioski z zachodniej krawędzi, stali nie-poruszeni jak posągi patrzące na niego przerażonym wzrokiem. Tain był znany z krwawego mszczenia się na zdrajcach. Czyż on o tym nie wie?

Lecz jedna kobieta pokazała na skraj obozu.

- Nic nie mówiłaś - rzekł Marak. - Jeśli litujecie się nad nim, robicie błąd. Plemiona są przeciwko niemu. Ila prowadzi was ku wodzie, spod spadających gwiazd. Tę karawanę prowadzi jego własny syn. Chcecie umrzeć?

Za odpowiedź musiał uznać nieruchome spojrzenia postaci szarpanych wiatrem; wraz z czterema Rhonan skręcił w miejscu wskazanym przez kobietę.

Biegły tam nikłe ślady. Tain przejechał na stronę, po której jechał poprzednio; śledzili trop gwałtownie zanikający w pyle niesionym wiatrem, a potem zlewający się z innymi, pozostawionymi wzdłuż obozu przez ludzi i zwierzęta niczym jakiś skomplikowany zapis.

Żaden trop nie prowadził na zewnątrz: trasa Taina wiodła po zdeptanym gruncie, do następnego obozu, lecz cały ten obóz okrążały i przecinały takie ślady.

-Trzymajcie się go, jeśli tylko zdołacie - polecił Marak i wjechał samotnie do wioskowego obozu, by zapytać, czy ktoś przezeń przejeżdżał.

• Nie - odpowiedzieli mu mieszkańcy Kais Mar.

• Ktoś przejeżdżał - powiedziało jakieś dziecko i pokazało ręką.

Marak obrócił Osana i wrócił do Antaga oraz jego braci, jadących wzdłuż zewnętrznej krawędzi.

- Między obozami wciąż są luki, które mógłby wykorzystać - podsunął Antag.

Szczególnie na tym odcinku obozy nie przylegały do siebie: wioski często rozbiły namioty w zamięcie, nie zachowując porządku, i w jednym miejscu kończyły się bliżej, a w innym dalej; między

nimi istniały zadeptane przestrzenie, na których można było zgubić ślad.

Teraz w obozach nastąpiło poruszenie: to zapewne Keran wyruszyli w drogę.

Poszukiwacze przybyli do kolejnego zachodniego obozowiska, do wioski Dal Ternand, i tu Marak zawołał:

- Mora!

Tak się nazywał przywódca Dal Ternand, z którym chciał rozmawiać, a kiedy starzec wyłaniał się z cienia namiotu, wszędzie wokół młodzi pakowali sprzęt.

- Znasz mnie, Mora. Szukam ojca.
- W złych zamiarach - ocenił Mora. - Teraz jesteś człowiekiem Iii.
- Jestem przewodnikiem tej karawany i moim zadaniem jest doprowadzić ją do bezpiecznego miejsca. Tain właśnie zabił moją matkę i uciekł jak tchórz. Chcę go złapać!
- Zabił Kaptai?
- Zabił ją ciosem noża w plecy, nie mając odwagi spojrzeć mi w oczy i nie dbając, czy ta karawana przeżyje, czy nie... czy przeżyją wszyscy ludzie na świecie. Gdzie on jest?
- Przejechał wzdłuż obozu. Wiem tylko tyle.
- Roześlij wiadomość. Tain przelał krew Haga, i to uderzając w plecy. Szukają go. Ja też.
- Szukają go Rhonan - rzekł Antag - ze względu na Haga. Podobnie Dashingar. Rozgłoś to. On już jest martwy.

Marak skierował Osana na szlak wskazany przez Morę z Dal Ternand i dotarł do dwóch następnych wioskowych obozów.

W trzecim poznał, że przywódca kłamie, a poza tym podejrzanie brakowało tam silnych mężczyzn zwijających namioty: była to wioska Kais Vanduran, gdzie jego ojciec miał swoich weteranów i gdzie swoich weteranów miał też Marak, ludzi tych jednak tam nie było.

- Gdzie jest Duran? - zapytał starego Munasa, przywódcę wioski. - Gdzie jest Kura?

Kura, jego równolatek, jeździł razem z nim.

Munas nie odpowiedział, tylko spojrzał na niego z niepokojem.

• On zabił Kaptai - wyjaśnił Marak twardym, opanowanym głosem. - I czterech Haga. Ścigają go plemiona i ja, Munasie. Chcemy go zabić. To nie jest wojna z Ilą. To wojna między nami. Jeśli będziesz miał jakieś wiadomości od Kury, ściągnij go z powrotem. Durana też. Nie chcę jego krwi, tylko Taina.

- Nie ma ich tu - powiedział z uporem Munas. - Nie widziałem ich.
- Puściłeś z nim większość swoich ludzi - stwierdził Marak. - Wiatr się wzmaga. Co zrobisz, kiedy ruszy piasek? Albo kiedy jakiś namiot będzie potrzebował pomocy? Czy mój ojciec o to pytał?

Trafił celnie. Munas jednak uparcie zaciskał szczęki.

-Grozi wam niebezpieczeństwo - rzucił Marak i odjechał z Rhonan, wiedząc, że stało się to, czego się obawiał: Tain zebrał swoich weteranów i ogłosił wojnę z Ilą, karawaną i własnym synem.

Jechali wzdłuż karawany na wietrze. Spod nóg beshti umykały co większe sztuki plugastwa: mniejsze, mniej czujne, ginęły na miejscu i znikwały w pyłe pędzonym wiatrem. Kiedy znów zbliżyli się do linii karawany, zauważyli, że niektórzy wieśniacy przygotowali bagaże i, gotowi do wymarszu, czekają na wioskę przed nimi.

- Widzieliście przejeżdżających tędy jeźdźców? - zapytał ich Marak, a kiedy zaprzeczyli, na chwilę przystanął. -Jeżeli jesteście gotowi, a sąsiedzi przed wami nie, omińcie ich! Cała karawana nie może czekać na najwolniejszych! Rozbijcie obóz jak najdalej na przedzie, a jeśli zajdzie taka potrzeba, rozłóżcie się po obu stronach linii marszu na czystym piasku, żeby uniknąć plugastwa.

Wiedział, że w nocy może to wywołać sprzeczki, ale rady nie wycofał: żadnego czekania, kiedy karawana rusza. Żaden wieśniak nie wyprzedzi plemion, ale Marak widział, jak zaraźliwe stają się opóźnienia wśród tych niedoświadczonych ludzi.

Pojechali dalej, pokręcili się między wydymami i zawrócili do karawany, sieczeni piaskiem niesionym przez silny wiatr, zmuszający ich do podciągnięcia aifadów pod same oczy: nie znaleźli żadnych śladów, tylko pomykające wszędzie plugastwo. Wrócili do wioski i znów skierowali się na tył karawany, jadąc po coraz szybciej zasypywanych śladach.

Po minięciu dwóch kolejnych wioski jechali już pod prąd, więc ruch najwyraźniej ogarnął całą karawanę. Każdej wiosce Marak zadawał to samo pytanie: widzieliście mijających was ludzi? W jednej przyznano, że faktycznie minęli ją jacyś jeźdźcy, ale uznano ich za ludzi Iii.

Uzbrojeni ludzie. Marak nie był zaskoczony.

Teraz mijali wioski szybciej, ponieważ karawana na dobre ruszyła w przeciwnym kierunku: przejechali obok Kais Goros, Kais Tagin i Undar. Wioski najbardziej wysunięte na zachód nie znajdowały się na końcu.

Minęli Kais Karaś i Kais Madisar, a wiatr wciąż się wzmaczał, uderzając w porywach, które czerwieńczyły powietrze piaskiem. •*■»» Przybyli do miejsca, gdzie gruba warstwa osadów kończyła się suchym alkalicznym podłożem i gdzie z prawej strony kolumny było mało miejsca. Wtedy zaczęły się już gromadzić cienie, a słońce ginęło w mroku.

Na skale Marak dostrzegł jednak jasne rysy, gdzie ześliznął się jeździec, i jeszcze jedną, gdzie znów wspiął się na szczyt i prawdopodobnie zjechał z drugiej strony, w stronę niskich skalistych grzbietów.

- Nie wiadomo, czy to był Tain - rzekł Antag i Marak pomyślał, że ma rację. Mógłby się założyć, że gdyby poszukał po drugiej stronie obozu, ujrzalby inne ślady i że Tain wysłał człowieka, by zmylił pościg, a sam pojechał inną drogą.

- Przejechał prosto przez obóz - domyślił się nagle i przeciął ruchomą kolumnę, klucząc między wierzchowcami i zwierzętami jucznymi.

Tu było tak samo: ślady po drugiej stronie, może kolejny zwód. Co więcej, była to wioska Mortan z zachodniej Lakht i zniknęło z niej dwóch mężczyzn, o których zapytał z imienia.

Pojechali dalej. Przeszukali dwie kolejne wioski: niczego się nie dowiedzieli, niczego nie znaleźli. W następnej widziano jeźdźców, ale nikt nie wiedział, kim oni są; podejrzewano, że to jacyś bandyci.

Możliwe, że Tain już nie mylił tropów i pojechał prosto do Kais Tain, bez względu na to, gdzie się znajdowała w porządku marszu.

Milczące dotąd głosy wykorzystały jednak tę chwilę wątpliwości i zaczęły rozbrzmiewać Marakowi w głowie natarczywym wezwaniem Luz: *Marak, Marak, wracaj. Jesteś za daleko.*

Mijali świeże groby. Kije podróżne oznaczały miejsce, gdzie ktoś z wioski, prawdopodobnie starszy wiekiem, po prostu poddał się podczas ostatniego postoju. Plugastwo już wykopało ciała zmarłych i teraz walczyło z warkotem nad dołami, co nie stanowiło przyjemnego widoku. Na zdeptanej ziemi ciągnącej się wzdłuż namiotów nie było już jednak widać śladów zostawionych przez grupę jeźdźców jadących w jedną czy drugą stronę. W tej chwili jakichś dziesięciu ludzi mogło przecinać obozy i robić na piasku świeże ślady, by zmylić pościg.

Marak! - nie ustawały głosy, zniecierpliwione jego dezercją. Wiedział już, podobnie jak Antag i jego ludzie, że zgubili trop Taina.

- Może zawrócić - powiedział Marak, kiedy zatrzymali się na chwilę obok przesuwającej się karawany. - Nie mogę was prosić o nic więcej ponadto, co już zrobiliście. Może zawrócić dziś wieczorem, on sam albo razem z kilkoma ludźmi. Uciekł nam.

- Zasługuje na swoją reputację - zgodził się Antag, opierając się na kolanie nogi umieszczonej w zgięciu szyi beshy. - Teraz, skoro nasze plemię zwróciło się przeciwko niemu, może nas zaatakować.

- Wracajcie. Rozpuście wiadomość wśród waszych sprzymierzeńców, wśród wszystkich plemion i wiosek, że będzie próbował zabić przewodników karawany - jedynych ludzi, którzy wiedzą, dokąd idziemy. Będzie próbował poderwać starych abjori, wszystkich, jakich uda mu się znaleźć, by samemu objąć przywództwo. Wtedy poprowadzi ich z dala od jedyne go bezpiecznego miejsca, jakie istnieje na świecie. Nie wie, co nam grozi, i nie wierzy w to, co wie. - W wizji Maraka pierścień ognia rozrastał się raz po raz. - Nic, co dotąd widzieliśmy, nie dorównuje temu, co się zbliża. - Zadrzał na wietrze.

- Wrócisz z nami, orni.

- Chcę jechać dalej. Muszę znaleźć Kais Tain. To także moja wioska, nie tylko jego.

- To niemądre. Będziesz jechał w ciemności.

- Jestem wieśniakiem. Znam tych ludzi. Potrafię rozmawiać z ich przywódcami.

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy, ale nie zwracał na nie uwagi.

Antag zapytał swoich braci o zdanie, lecz ci wrzucyli ramionami. Powiedział:

- Zostaniemy z tobą przez jakiś czas. Jak na jednego z naszych przewodników, podejmujesz zbyt wielkie ryzyko.

- Wiem. Na przedzie są jednak moje żony. One wszystko wiedzą.

-I tak zostaniemy z tobą - oznajmił Antag. - Chcemy mieć pewność, że wrócisz. Łatwo zajechać na tył kolumny. Trudno ją dogonić, kiedy jest w ruchu.

To była prawda. Beshti też miały swoje ograniczenia i Marak prawie poddał się głosom, prawie chciał zawrócić.

Nie mógł jednak tego zrobić, kiedy jego ojciec był na wolności, kiedy mogła ucierpieć cała karawana, a on miał szansę temu zapobiec.

Mijali wioskę za wioską, on, Antag i bracia Antaga, przedstawiając się z imienia i mówiąc to, co mieli do powiedzenia. Jechali obok przywódców każdej wioski tylko tyle czasu, ile zajmowało przekazanie tych wiadomości, a potem ściągali wodze i cofali się, szybko niknąc w pyłe i zmroku.

Marak znalazł jeszcze dwóch przywódców wioski: Kefana z Kais Kefan i Tagę z Kais Men.

- Zabił Kaptai? - zapytał Taga tonem wielkiego oburzenia. -

To była dobra kobieta.

Taga zawsze kochał Kaptai, zawsze był przyjacielem domu, a Kaptai zawsze witała starca z radością.

- Jest bardziej szalony, niż kiedyś byłem ja - powiedział Marak. - Teraz to ja jestem zdrowy, a on usiłuje nas wszystkich zabić. Zatrzymaj go, jeśli go zobaczysz. Może uda ci się namówić resztę, by nie szli za nim.

Mimo, że cofnęli się już bardzo daleko, nie natknęli się jeszcze na Kais Tain. Zatrzymali beshti obok poruszającej się kolumny, pozwalając im przysiąść na chwilę. Niektóre z mijających ich wioski wysyłały delegację, by się dowiedzieć, kim są, a oni odpowiadali i informowali o Tainie i groźnym wszystkim niebezpieczeństwie.

Tymczasem pył nie opadał, a wiatr wciąż wiał, popychając karawanę do przodu... było to o wiele lepsze niż wiatr od czoła. Piasek gromadził się przy nogach beshti, a wokół krążyło plugastwo, prowokując co pewien czas zwierzęta do tupania i ryku.

Podczas tego odpoczynku podzielili się częścią swoich zapasów - wodą i jedzeniem, jakie każdy członek plemienia ma zawsze przy sobie, na wszelki wypadek.

Wkrótce zapadła noc przesycona pyłem; Marak uznał, że dalszy marsz to szaleństwo dla wioski. Słabi zostawali w tyle i gdyby nie beshti idące z przodu, inne z łatwością mogłyby zboczyć ze szlaku i zgubić się wśród wydm. Gdyby znajdował się na przedzie, bezpieczny między plemionami, mógłby nie zdawać sobie sprawy z toczącej się tu walki, z nietrwałego kontaktu między ustającymi wioskami, mającymi wioskowe beshti, zwierzęta wcale nie najszybsze, nie przyzwyczajone do długich podróży, nadające się raczej do noszenia ładunków na małe odległości, miękkie jak ich opiekunowie.

Tak jak nie zdawali sobie z tego sprawy Keran i Haga. Ani Hati. Spróbował przemówić za pośrednictwem Luz do Norit, ale to nigdy mu się nie udawało. Luz patrzyła jego oczyma bardzo rzadko i z trudnością, a jeśli wtedy mówiła, to ciszej i mniej realnie niż wiejący obok niego wiatr. Wioski nie śmiały się zatrzymywać, a plugastwo dostawało się między beshti, walcząc o latryny i miejsca, gdzie były kuchnie; stawały się one kłębówiskiem małych, obrzydliwych ciałek.

Nie mieli pojęcia, jak długo jada. Nie było gwiazd, dzięki którym mogliby odmierzać czas, żadnego światła na niebie. Ziemia krótko zadrżała, wyrwijąc z ust idących ludzi ciche okrzyki niepokoju.

Pojawiło się przy nich chyłkiem coś średnich rozmiarów, ale przstraszyło się beshti i umknęło. Potem kilka podobnych przedstawicieli plugastwa uciekło przed beshti, znikając w py-listej ciemności.

Antag i jego bracia byli odważnymi i wcale nie głupimi ludźmi. Już od dawna musieli wiedzieć to, do czego przyznanie się zajęło Marakowi tyle czasu.

- Nie ma w tym żadnej nadziei - odezwał się, zatrzymując Osana. - Uciekł nam. Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to włączyć się do karawany i stopniowo zbliżać się do jej czoła, mówiąc w każdym obozie, że Tain został wyjęty spod prawa. Przy takiej pogodzie dotarcie do naszych własnych namiotów może potrwać dłużej niż jeden dzień.

- Jak chcesz, orni - Antag nie powiedział nic więcej, ale Ma-rak był pewien, że wraz z braćmi odczuł ulgę. Włączyli się do karawany i powiadomili mijaną właśnie lakhtańską wioskę z południa, Faran, gdzie Tain nie znalazłby wielkiego poparcia - podczas wojny Tain rabował jej towary oraz karawany i syn Taina nie był tam mile widziany: mówił tylko Antag. Marak z ulgą opuścił towarzystwo tych wieśniaków, zdążając ku przodowi, ale była to tylko kolejna lakhtańską wioska, o której nic więcej nie wiedział.

Następnie dogonili wioskę, z którą jeszcze nie rozmawiali, ponieważ jej mieszkańcy minęli ich, kiedy odpoczywali.

- Co to za wioska? - zapytał Marak, a usłyszawszy, że Tarsa, zapytał o przywódcę, nie mając pojęcia, kto nim jest.

Okazał się nim bardzo stary mężczyzna, Agi, otulony wiatrem, pyłem i nocą, drzemący w siodle.

- Orni - zagadnął go Marak, podjeżdżając bliżej, i opowiedział mu o Tainie oraz buncie w łonie karawany, nie wiedząc, jak Agi mógłby zareagować w kwestii wojny Taina i abjori. Był głosem w ciemności. Podobnie jak Agi.

- Będziemy mieć na to oko - rzekł starzec.

- Słyszałeś, gdzie może być Kais Tain? - zapytał Antag. Pytali o to każdego.
- Nie mam pojęcia. Przed nami albo za nami, mnie tam wszystko jedno. Ta wędrówka do innej wieży to strata czasu. Głupota. Jesteś Marak, prawda? Syn Taina? Taina Trina Taina?

Nie inaczej.

- Dureń. Głupio zrobiłeś, wyprowadzając nas z Oburanu.
- Oburan jest martwy - rzekł Marak. - Nie ma innego miejsca, innego celu podróży dla karawan. Ja byłem w tej wieży. Wiem, że istnieje. Wiem, co tam jest.

- Jesteś prorokiem.

- Jestem człowiekiem Iii. Razem z Hati an'i Keran. I z kobietą imieniem Norit.

Zauważył tylko, że starzec odwrócił głowę, by na niego spojrzeć. Aifady, piasek i noc nie pozwalały im dostrzec emocji rozmówcy. Tego człowieka nie da się udobruchać jakimś gestem. Marak miał tylko tę jedną szansę, by z nim porozmawiać, a wiedział, że Norit nie jest wdową: była zamężna i w oczach prawa dopuścili się cudzołóstwa.

- Norit din Karda nie żyje. Jej matka nie żyje. Jej ojciec nie żyje. Wszystkie jej ciotki nie żyją. I ona też nie żyje.

- Nie żyje dla Tarsy. Starzec nie odpowiedział.

- Czy Lelie nie żyje? Wciąż żadnej odpowiedzi.

- Wyjawiała nam to imię - rzekł Marak. - Czy to jej siostra?

Matka? Córka?

Starzec wciąż nie kwapił się z odpowiedzią, ale Marak czekał cierpliwie.

- Dziewczynka jest u swego ojca - powiedział w końcu. -

Tak jak powinna.

- A zatem córka.

-Tak.

- Czy ojciec traktuje ją dobrze? - Doskonale znał sytuację niechcianego dziecka, dziecka wciągniętego w sprawy polityki i złości przywódców.

- Żyje - odparł beznamiętnie Agi.

A zatem sytuacja nie jest dobra. Marak podjął szybką decyzję, decyzję rozpaczliwą i niebezpieczną, ponieważ jeżeli istniała jedna osoba, od której zależało życie tysięcy ludzi, była nią Norit, przez którą Luz przemawiała najłatwiej; a jeśli istniała jedna osoba, której zdrowiu psychicznemu zagrażało największe niebezpieczeństwo, też była nią Norit.

- Jeśli ojciec nie jest zadowolony, oddaj ją mnie, orni. Zwolnij ojca z jego obowiązku i dobrze się nią zajmę.

Starzec zastanowił się nad tą propozycją.

- To wielki pan - odezwał się Antag poprzez wiatr. - Jeśli mówi, że coś zrobi, to się z tego wywiąże, orni.

Starzec odjechał na bok, do jednego ze swoich ludzi, i chwilę z nim porozmawiał.

Wtedy ten mężczyzna, wcale nie wprawny jeździec, z trudem zawrócił do karawany z Tarsy, walcząc z wichrem, ciemnością i uporem beshy w unikaniu wiatru.

Nikt nic nie mówił. Prowadzenie rozmowy wymagało zbyt dużego wysiłku, a było jasne, że Agi nie ma zbyt wielkiej chęci konwersować. Marak czekał, zastanawiając się nad tym, że wjechał w karawanę, by odebrać życie bliskiej osobie, a teraz chce uratować kogoś, kogo nawet nie zna.

Posłaniec Memnanana tu nie dotarł. Dlaczego tak się stało, Marak wciąż nie wiedział i nie widział też sensu w zadawaniu pytań: winę ponosiła pustynia, abjori, jego ojciec albo sam Agi, ale teraz, w obecnych warunkach, nie mógł tego naprawić. W pewnym stopniu postępował głupio, że wtrącał się do tego, co już zostało ustalone, że myślał o zabraniu ze sobą małego dziecka. Droga była wystarczająco niebezpieczna dla niego i Rhonan, a nie miał pojęcia o stanie umysłu Norit. *Marak, Marak*, szalały jego głosy. Zamknął oczy. Jechał, nie zwracając uwagi na nikogo. Czekał.

Do przodu przesuwali się jacyś ludzie, z których jeden mógł być posłańcem starca, a drugi mógłby mieć jakąś wiadomość o dziecku. Obaj stanowili w gwałtownej ciemności obramowanej piaskiem cienie pozbawione twarzy.

- Gdzie jest ten Marak Trin? - zapytał jeden z nich. - Kto chce tego dziecka?

Marak nie zauważył, by mężczyzna trzymał jakieś dziecko.

- To ja jestem Marak Trin Tain - powiedział. - Chcę tego dziecka dla kobiety, która o nie pytała.

- Moja żona nie żyje - rzekł mężczyzna; Marak nie znał jego imienia, chociaż wydawało się, że dzieląc z nim to, co dzielił, winien znać ów drobny fakt.

po

• Chcesz zatrzymać dziecko dla siebie? - zapytał. - Nie przyjechałem tu po to, by je zabrać, jeśli je chcesz. Powiadam ci jednak, że jest ktoś, kto rozpaczliwie go pragnie.

• Czy to moja Norit?! - krzyknął mężczyzna. - Czy to ona jest tą prorokinią? Czy to naprawdę Norit?

• Tak, jest prorokinią. I dobrze o tobie mówi. Tęskni za Lelie.

• Mam nową żonę - oznajmił mężczyzna. - Moja Norit nie żyje.

• Kocha cię — powiedział Marak. - Ma się dobrze. Ale cierpi.

• Czy jest zdrowa na umyśle? - Przekrzykiwanie wiatru pozbawiało głos intonacji. To mogło być oskarżenie. Albo tęsknota płynąca z głębi serca.

• Na tyle, by nas wszystkich prowadzić! - odrzyknął. - Poczucie obowiązku nie sprowadzi jej tu z powrotem, tym bardziej, że ożeniłeś się drugi raz. Jeśli dziecko sprawia ci kłopot, oddaj je. Jeśli nie, bądź dla niego ojcem. A jeśli chcesz odzyskać Norit... - Marak nie miał takiej władzy, by komukolwiek oddać Norit. - Podjedź do przodu i sam ją zapytaj.

• Mam nową żonę - odparł mężczyzna. Rozchylił szatę i niezręcznie zbliżył swego beshę do Osana, by podać niewielkie zawiniątko, na wpół bezwładne dziecko, które, wystawione na porywy wiatru, obudziło się i zaczęło wyrwać.

Marak sięgnął i wziął dziecko pod ramiona; było lekkie, pomyślał, że to dziewczynka, może roczna, może dwuletnia. Wydawała się lekka jak na swoje rozmiary.

• Chcesz ją oddać?! - krzyknął do ojca, do męża Norit. - Nie rób tego, jeśli nie chcesz! Jestem tu po to, by proponować i prosić, a nie rozkazywać! Był tu z pytaniami człowiek Iii. Słyszałeś go?

• Niczego nie słyszałem - odparł mąż. - Ale Norit była szalona, więc Lelie może być taka sama. Moja nowa żona jej nie chce.

- Zabiorę ją zatem do matki - rzekł Marak, po czym rozchylił szatę i wsunął dziecko do ciepłego schronienia. Dziewczynka wyrwała się i Marak mocno ją przytulił, by się uspokoiła. Mi mo to bał się, że obrabował ojca, ale jeśli ten mówił prawdę, to może zaoszczędził dziecku wojny z nową żoną, która nie chciała żadnych pamiątek po małżeństwie rozwiązanym niechętnie przez ojca, wieśniaka, który nigdy nie doszedłby do takiego układu, jaki on i Hati mieli z Norit - Zajmę się nią. Czy mam coś powiedzieć Norit?

- Ona nie żyje.

Tylko tyle powiedział mąż, podobnie jak Agi, i jak mogliby powiedzieć wszyscy w tej wiosce.

• Antag! - zawołał Marak, zbierając swych towarzyszy, i ruszył na przód karawany, mając za plecami burzę; przecięli wolną przestrzeń, jaką zostawiła za poprzednią wioską ociągająca się Tarsa. Marak czuł, że powinien wytłumaczyć swoje postępowanie, nie miał jednak żadnego wyjaśnienia, które wydałoby się sensowne obcym ludziom.

• Szukaliśmy tego dziecka - powiedział, czując, jak drobne ciało porusza mu się na piersi. Wiatr zagłuszał jego krzyki i strach. Trzymał je zbyt mocno, więc rozluźnił chwyt i poklepał je pod szatą, usiłując ukoić płacz dziecka. Jej płacz. Lelie nie była już abstrakcyjnym pytaniem i stała się żywym elementem rozpraszającym uwagę, osobistym szaleństwem.

Gdyby był sam, mógłby sobie powiedzieć, że chciał znaleźć coś więcej niż Tarsa. To nie jej szukał. Znalazł ją jednak i zajął się sprawą, która nie była jego problemem, poznał człowieka, którego nigdy nie chciał poznać, i otrzymał odpowiedź, która już kosztowała jedno życie.

A teraz, gdyby nie wrócił do Iii, ryzykował nie tylko swoje życie, ryzykował życie innych ludzi i coś jeszcze. Usiłujące go kopać, wijące się u jego boku zawiniątko świadczyło o tym, ile już zaryzykował, i przypominało mu, że oprócz długu krwi jego matki i jego bólu istnieją jeszcze inne zobowiązania. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego... gdyby mógł zrobić to, co chciał, oddałby dziecko Antagowi i pojechałby dalej. Mógłby to zrobić.

Lecz pomyślenie o czymś oznaczało zastanowienie się nad tym, a po zastanowieniu Marak doszedł do wniosku, że jeśli już przybycie tu było nierozważne, to coraz bardziej zagłębia się w terytorium ojca, między wioski i ludzi o niepewnej lojalności. Śmierć Maraka mogłaby oznaczać śmierć wszystkich pozostałych, a on ma po co żyć... ma dwie kobiety, młodego mężczyznę i nawet kapitana Iii, który powierzył mu wszystko, na czym mu osobiście zależało.

Nie mógł się cofnąć do Kais Tain. Zobaczywszy, jak ojciec rozstaje się ze swoją córką, a wioska się z tym godzi, nie mógł już dłużej się oszukiwać, że Kais Tain kiedykolwiek przyzna się do winy, że go wydała. Wieśniacy nigdy nie zmieniają zdania ani nie wypowiedzą posłuszeństwa Tainowi. On sam uratował Le-lie, ale nikt nie uratuje jego, jeśli dalej będzie brnął w teren, gdzie słowo Taina ma

większą wagę od jego słowa i gdzie człowiek mówiący w imieniu Iii jest wrogiem.

Przytulił dziecko delikatnie. Była to żywa nagroda zdobyta na wyprawie, która zaczęła się od śmierci. Wiedział, że Kaptai przytuliłaby Lelie. Kaptai miała wielką duszę. Kaptai kochała jego ojca, co wymagało szczególnej wytrwałości i cierpliwości - zbyt wiele cierpliwości i zbyt wiele wiary. Marak teraz wiedział to, czego ona nigdy nie wyznała: że nigdy nie powinna była opuścić swego plemienia, a teraz leży gdzieś przed nim w ciemności, co spotkało ją za całą jej miłość i lojalność... nie wydana na pastwę plugastwa, nie teraz, nie jak ci inni pochowani w płytkich grobach... nie wtedy, gdy piasek jest tak wzbijany wiatrem, a Haga, wiedząc o tym, wnoszą nad swymi zmarłymi kopce. Piasek ją przykryje, uczyni z niej serce wydmy, zmieni ją w jednego z tych dziwnych umarłych, których piasek rzadko oddaje. Kochała otwartą pustynię; teraz pustynia przyjęła ją do siebie, a on nie mógł nic zrobić, by odwrócić jej śmierć i sprowadzić ją z powrotem.

• To dziecko mojej żony - wyjaśnił Antagowi, przekrzykując wiatr. - Jest rozwiedziona z mężem. On zachował dziecko, ale go nie chciał. Przynajmniej tyle.

• To dobrze - odparł Antag. Właśnie mijali następną wioskę. Płacz dziecka był przez chwilę głośniejszy od wycia wiatru. - Zapewne się boi. Wiatr nie jest kołysanką.

• Zaśnie - stwierdził Marak. Wyrwanie się dziecka było męczące, ale nie dla niego. - Zmęczysz się.

• Tak jak beshti! - odkrzyknął Antag. - Tej nocy możemy jeszcze nadrobić trochę drogi, ale w południe powinniśmy zatrzymać się z jedną z wiosek i może zdobyć trochę mleka dla dziecka. Nie mówiąc już o przewinięciu go.

Oto młody człowiek, który ma zdroworozsądkowe podejście do niemowląt. Postój w wiosce także stanowił rozsądniejsze rozwiązanie niż to, o którym myślał Marak.

Chętnie na nie przystał.

• Powinniśmy teraz wybrać jakąś grupę i dotrzymać jej kroku! - krzyknął do Antaga i jego braci. - Nie ma sensu męczyć beshti. Prześpijmy się, rano trochę nadrobimy drogi, a jeśli damy radę, pojedziemy dalej.

• Dobrze! - odkrzyknął Antag.

Zrównali się więc z trzecią grupą, licząc od miejsca, w którym się znaleźli. Była to zachodnia wioska Kais Kurta, a jej przywódcą był Andisak: jeden z weteranów ojca Maraka, człowiek z jego pokolenia, który jednak już wcześniej zerwał z Tainem. Spotkawszy się z Andisakiem i poznawszy, gdzie się znalazł, Marak mocno się zaniepokoił.

• Możliwe, że nie powinienem tu być - rzekł. - Tain zabił w obozie Haga moją matkę. Ścigałem go tak daleko, jak pozwalały na to tropy, i nie natknąłem się na nic, co pozwoliłoby mi sądzić, że dopadnę go tej nocy. Wracam więc do mojego obozu, ale tej nocy tam nie dotrę. Nie przybyłbym tutaj, gdybym wiedział, że to Kais Kurta. Czego chcesz? Czy przyjmiesz nas do swego obozu do następnego postoju? Czy mamy jechać dalej? Nie obrażę się, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej.

• Zostańcie z nami - zaprosił ich Andisak, a jako że zrobił to osobiście i pochodził z zachodu, mogli nie obawiać się zdrady, groziła za nią bowiem śmierć. Stawką była reputacja Andisaka. - Opowiedz mi, jak się mają sprawy między tobą i moim dawnym sprzymierzeńcem.

Marak zaczął mówić; wiatr akurat na chwilę przycichł. Jechali równym tempem przez całą noc, czasami odpoczywając i rozmawiając, kiedy pozwalał na to wiatr. Trzymali się bardzo blisko ludzi z wioski idących przed nimi, mieszając się nawet z jej mieszkańcami w zamęcie spowodowanym przez wiatr i niesiony nim piasek. Andisak był mądry i nie pozwalał, by między nim i poprzedzającą go wioską powstała przerwa, ale to dotyczyło tylko Kais Kurta. Gdyby jakaś wioska dopuściła do pozostania z tyłu, mogłaby w trakcie burzy zboczyć ze szlaku, stracić kontakt z resztą karawany i nigdy już nie odnaleźć drogi.

To było przerażające odkrycie. Marak po raz pierwszy zrozumiał, jak wąty jest łańcuch życia na końcu karawany. Plemiona nigdy nie zboczą ze szlaku i się nie zgubią... ale wioski nie miały żadnego doświadczenia w prowadzeniu karawan. Dla większości ich mieszkańców jedyną podróżą, jaką odbyli w życiu, było dotarcie do Oburanu uczęszczanym szlakiem handlowym. Teraz najsłabszy wioskowy przywódca i jego niewłaściwe decyzje mogły sprowadzić śmierć na wszystkich innych ludzi na świecie, a zagrożenie zaczęło też stanowić plugastwo, o wiele bardziej zuchwałe niż zwykle, o wiele bardziej zuchwałe niż w czasach wojny, kiedy gromadziło się wokół walczących i żywiło się rannymi. Plugastwo potrafiło zmieniać obyczaje i zaczęło pojawiać się nawet na trasie marszu, gdzie nogi beshti kruszyły jego pancerze i gdzie masy stworzeń kotłujące się w ciemności nocy i w niesionym wiatrem piasku wskazywały latryny zostawione przez poprzednie plemię.

To nie było normalne. Nic takiego nie było normalne.

I gdzie jest Kais Tain? Gdzieś na końcu linii marszu, a przynajmniej tak daleko z tyłu, że wioski nie dało się zlokalizować po całym dniu jazdy pod prąd wędrujących wieśniaków. Kais Tain znajdowała

się w niebezpieczeństwie, a ci, którzy szli piechotą, byli skazani na śmierć.

- Widziałeś jakichś posłańców? - zapytał Marak Andisaka, który odpowiedział twierdząco.
- Pojechali dalej do tyłu, ale już nie wrócili. A kapłani Iii przychodzą i odchodzą. Kapłanów nigdy na zachodzie nadmiernie nie kochano.
- Mamy jedną z ksiąg Iii - zauważył w pewnej chwili Andisak. - Wzięliśmy ją, zachęceni przez ciebie. Jeśli zapytasz mnie, jest piekielnie nudna. Protokoły dworskie. Czy wszystkie są takie?
- Z tego, co wiem, prawdopodobnie tak - odparł Marak.
- Nie jestem pewien, czy chcę zostać zapisany w księdze Iii -stwierdził Andisak. - A gdybym tak ją zatrzymał?
- Na pewno nie na wiele ci się przyda. Liczy się to, co w niej zapisano; liczą się wszystkie księgi razem. Tego chce Ila.

Tego samego chciała Luz. Tego samego bardzo chciała Luz, która cierpiała przez całą tę rozmowę i nie dawała mu spokoju, wciąż powtarzając jego imię: *Marak, Marak*, aż go zdenerwowała. *Na wschód, na wschód, na wschód*, besztła go, zniecierpliwiona opóźnieniem.

Rozdział 20

„Każde dziecko musi być zapisane przez au'it, a jego stan opisany. Kiedy urodzi się dziecko, musi je zobaczyć kapłan”.

- Księga Au'it Iii

Marak i przywódca Kais Kurta czasami rozmawiali. Jechali niezbyt szybko przez całą noc, piaszczysty, ciemny świt i ranek, pozwalając beshti odpocząć po długiej podróży na tyły karawany.

O świcie, kiedy Lelie zaczęła się wiercić, Andisak znalazł ko białą, która mogłaby się zająć dziewczynką Norit, i Marak przeka zał jej dziecko. Nie wiedział, jak ciężkie było to brzemię, i to pod każdym względem. Kiedy oddał głodne, niespokojne dziecko obcej kobiecie, zasnął w siodle. Zasnął snem wyczerpanego człowieka, podobnie jak Antag i jego bracia, ufając honorowi Andisaka.

Marak budził się raz po raz przez całe rano. Bez przerwy wiał wiatr, pędząc tumany piasku. Jechali przez stale zmieniającą się pustynię, co zniechęcało plugastwo i coraz bardziej utrudniało mu ciągłe polowanie na odpadki. Im bliżej końca karawany, tym bogatsze stawały się zbiory.

I tam też gromadziły się kłopoty. Tam byli ludzie, którym groziło największe niebezpieczeństwo. Czy to możliwe, by w razie ataku całe plugastwo świata mogło się nasycić garstką wiosek i oszczędzić resztę? *Marak, Marak*, upominały go głosy, ale dość łagodnie. Marak był pewien, że Luz ma już niejaki pojęcie, gdzie się znajduje i że wraca do swoich obowiązków. Wydawała się zadowolona. Bardzo wątpił, czy powiedziała Norit, jaki wiezie ze sobą prezent; zupełnie nie wiedział, czy Luz pochwala jego czyn.

Był jednak zadowolony z głosów jako przewodnika, jako znaku, że Hati i Norit mają się dobrze. Nie miał pojęcia, co się dzieje z jego siostrą, ale oddał ją pod opiekę Hati i Norit, a jeśli im nic się nie stało, to wszystko jest w porządku.

- Wracam - mruknął głośno do Luz. - Nic mi nie jest.

W południe zsiadli z beshti, rozsiedłali je i chwilę odpoczywali, podczas gdy Kais Kurta rozstawiała swoje namioty. Marak wziął Lelie od kobiety i ułożył ją obok siebie.

- Znasz to dziecko? - zapytał przywódca Kais Kurta, siadając nieopodal. - Czy je znalazłeś?
- To córka mojej żony - odparł i dotknął malutkiej rączki... to niewiarygodne, że ręka może być tak mała; obok jego dłoni pociemniała od słońca i poznaczonej symbolami śmierci, po jednym na każdym palcu. Dziewczynka bawiła się nimi jak Patya, kiedy miała roczek. Przypominał to sobie.
- Mieliśmy już dość wojny - odezwał się Andisak i westchnął. Pojawił się szeroki cień: to pracownicy młodzieńcy opuścili boczną klapę ich namiotu, by dać im nieco osłony przed ciągłymi porywami wiatru. Przed nimi rozbiła obóz następna wioska, a południowe słońce rzucało ponury, żółtawy blask.

Teraz jednak wiatr stał się chłodniejszy, co miało czasami miejsce przed większą burzą. Pośpieszcie

się, mówiła pogoda. Nie zwlekajcie ani chwili. Ziemia zadrżała jak besha, którego coś zaswędziało.

- Ja też - wyznał Marak - miałem dość wojny. Wielu rzeczy.
- Czy to cała prawda? - zapytał Andisak. - Czy jest bezpieczne miejsce?
- Ja tam byłem - odparł Marak. - Widziałem rzekę, wodę. Wszyscy są nakarmieni. Wszyscy mają schronienie. Ci, którzy poszli ze mną, zostali tam, wszyscy oprócz Tofiego i jego wyzwolenców.

• Widziałem cię na tamtym skalnym grzbiecie. Dobrze było usłyszeć, jak mówi to ktoś, kogo znamy.

- To wszystko prawda, orni. Nie kłamałbym, by sprowadzić na pustynię tylu niewinnych ludzi.
- Wiem - rzekł Andisak i skinął głową. - A plemiona nie są głupie. Są na czele wszystkiego. Umi z

Rhonan: witajcie.

Antag skinął głową i opuścił aifad. Bracia poszli za jego przykładem i wszyscy odślonili twarze. Lelie spała na kolanie Maraka.

Zjedli wspólnie posiłek, ale nie do syta. Musieli jechać dalej. Po godzinie dociagnęli popręgi i przygotowali się do odjazdu, żegnani uprzejmie przez Andisaka i jego domowników.

Zmęczone beshti podniosły jedynie symboliczny protest. Nie czuły się dobrze wśród miejscowych zwierząt i poza swoim obozem były niespokojne.

Tak jak oni wszyscy. Kiedy Marak wdrapywał się na siodło, głosy w jego głowie nieustannie hałasowały.

Wziął Lelie z rąk Antaga; dziewczynka obudziła się i zaczęła się wyrwać i płakać. Łzy ciekły jej po zakurzonych policzkach, ale Marak schował ją pod szatę, wziął aifad i owinał materią jej twarzyczkę, chroniąc ją przed piaskiem.

- Jesteśmy twoimi dłużnikami - rzekł do Andisaka. Aifad dała mu kobieta, która opiekowała się Lelie. Zegnała ich jako jedną z pierwszych, nie bez żalu, pomyślał Marak, być może bardzo pragnie tego dziecka, ale Lelie należała do Norit; kiedy znalazła się na swoim miejscu na łęku siodła, owinięta płaszczem Maraka, uspokoiła się.

Odjechali. Marak nie dokonał niczego, co sobie zaplanował, a zdobył coś, na co wcale nie liczył.

Jechali przez pył, walcząc z wiatrem. Kiedy Lelie otworzyła ramionka i mocno chwyciła Maraka za koszulę, poczuł zadowolenie i objął dziecko, niczym pilnie strzeżony sekret.

Ziemia zadrżała; jeden ze wstrząsów był na tyle mocny, że beshti się zachwiały. *Marak, Marak, Marak*, odezwwały się głosy.

W takich sytuacjach nauczyli się nisko się pochylać. Nikt nie spadł. Beshti nie lubiły tego uczucia; kilka młodszych zwierząt w kolumnie poniosło i trzeba było ściągnąć im wodze.

Lelie obudziła się i rozplakała; Marak rozchylił płaszcz i przemówił do niej:

- Cicho. Nie pozwól ci spaść.

- Mama - powiedziała dziewczynka. - Mama, mama, mama.

Nie papa. Marak usłyszał te słowa wystarczająco wyraźnie, co uzasadniło odebranie jej ojcu.

- Cicho - powtórzył, ocierając jej łzy i zostawiając w ich miejsce błoto. - To tylko wiatr. To tylko ziemia porusza skórą, jak besha. Ostatnio takie rzeczy się zdarzają.

Sam się wzdrygnął, kiedy coś huknęło, a ziemia zatrzęsała się niczym stół pod uderzeniem pięści - cała pogrążona w mroku, w którym było widać tylko cienie, skulone namioty z niekiedy opuszczonymi połami, podczas gdy inne były tylko w połowie pokryte płótnem, pełniąc rolę zasłon od wiatru, co w razie pogorszenia się pogody nie było bezpiecznym rozwiązaniem. Lepiej było wbić więcej palików i rozciągnąć więcej płótna.

Marak mówił to wioskom mijanym podczas długiej, długiej jazdy; mogły posłuchać ludzi wyglądających na pochodzących z plemion, jako że wieśniacy zawsze słuchali mądrzejszych od siebie. Teraz nie poganiali już beshti, nie prosząc zwierząt o więcej, niż mogły im dać. Zwykle jechali na zewnątrz kolumny, z jej lewej lub prawej strony, po nie zdeptanej ziemi; beshti płoszyły plugastwo, które zwykle pomykało wokół rozstawionych namiotów... rozgniotły kilka sztuk, zamieniając je w warczące kule innego plugastwa. Gdyby Marak nie słyszał tego, co mówili kapłani, byłoby niepokojące, że plugastwo jest tak szybkie i że pojawia się znikąd. Robiło się głodne. Znalazło źródło pożywienia.

Podczas jazdy mijali kapłanów chodzących między namiotami i wymieniali z nimi powitania... ludzie, którymi niegdyś pogardzał, okazali się wytrzymali i zaradni, a poza tym roznosili i wiadomości. Przekazał im w imieniu Iii polecenie, by w czasie burzy wieśniacy nigdy nie stawiali samych osłon przed wiatrem, a kapłani uroczyście kiwnęli głowami i obiecali wszędzie tę wiadomość

powtarzać.

Mijali namioty. W przerwach między podmuchami wiatru

i

Marak rozmawiał z Antagiem i jego braćmi; mówili głównie o błahych sprawach, o rzeczach, o których można rozmawiać z nieznanymi... prostował plotki, odpowiadał na pytania o wieżę, o tamtejszą ziemię, o obóz i naturę obcych... i tak dalej. Lelie zrobiła się niespokojna i chciała zejść na dół, a potem przykucnęła w piasku, otoczona pięcioma mężczyznami, którzy strzegli jej w tej chwili bezbronności. Przy okazji wszyscy zaryzykowali i zanim jeszcze skończyli, Marak zauważył pięć czy sześć żuków nawiedzających takie miejsca oraz jednego z żywiących się nimi pełzaków - chociaż niesiony wiatrem piasek szybko przykrywał każdą plamę wilgoci.

Nie wyglądało to dobrze.

Pojechali dalej; wiatr był coraz silniejszy, a oni zmagali się z beshti, które kulily się pod uderzeniami wichru i chciały zawrócić. Lelie najpierw płakała, a potem zmęczyła się i zasnęła. Oni jednak jechali dalej. Czas mijał i Marak pomyślał, że obozy mogą zacząć się budzić i pakować, ale z przodu nikt się nie ruszał.

Zamglona kula nikłego blasku w mroku, która była słońcem, przebyła już połowę drogi ku horyzontowi, a wciąż nikt się nie ruszał. *Marak, Marak, Marak*, mówiły jego głosy, i Marak zaczął się bać, że Luz wstrzymuje całą karawanę dla niego. Z jednej strony być może mądrze byłoby przeczekać tę burzę, ale z drugiej była to strata czasu, cennego czasu, czasu wartego życie wielu ludzi. Marak nie miał żadnych przeczuć, że sytuacja się polepszy, wręcz przeciwnie, a kiedy zamykał oczy, obwiezione skorupką powstała z pyłu, piasku i stale płynących łez, raz po raz widział pierścień ognia. Wizja ta stawała się coraz gorsza, w miarę jak narastało jego zmęczenie.

Kiedyś wizje te przerażały Maraka same z siebie. Teraz miał u boku ciepły ciężar, a zapytani przywódcy wiosek mówili mu, że wszystko rozumieją, o, tak, i że podjęte przez nich środki ostrożności są wystarczające.

Zaczął rozumieć ten rozmyty rodzaj strachu, nie ostry, lecz rozpowszechniony, powstające wokół nich poczucie katastrofy. Zaczął rozumieć, że zależy mu na czymś więcej niż abstrakcja, że zależy mu na ciężarze trzymanym w ramionach, i że jest on zbyt wielki. Nie potrafił zawrócić do samego końca tej masy ludzi; zrozumiał, że aby ich ocalić, trzeba zrobić więcej, niż podola temu jeden człowiek, niż podola temu nawet dziesięciu ludzi.

Jego ojciec miał jedną odpowiedź. Ila też mogła mieć jedną. Luz miała jedną odpowiedź i wprowadzała ją w życie. Tylu współzawodników i plugastwo gromadzące się, by pożywić się ich trupami.

Najlepszą rzeczą, o jaką mógłby prosić, było to, by jego ojciec zebrał wszystkich niezadowolonych, trzon abjori, i jechał za kolumną. Wtedy być może fakt, że dotarła ona do bezpiecznego schronienia oraz że ziszcilo się to, przed czym ostrzegała Luz, zmusiłby Taina do zrozumienia i zmiany taktyki, ponieważ potem nigdy już nie będzie karawan, na które można by napadać.

Nikt tu jeszcze tego nie rozumiał. Nikt nie rozumiał, że za wytwórcami bogactwa będą podążać ci, co żywią się ochłapami, i że będą oni coraz bardziej zdesperowani. Ziemia nie będzie taka sama, a dzieci takie jak Lelie nie odziedziczą niczego.

To właśnie trzymał w ramionach. To właśnie oddychało i wierciło się niespokojnie przy jego sercu. To była przyszłość. To co stanie się później, uparcie zadające swoje jedno pytanie i z płaczem protestujące przeciwko całej sytuacji.

Uświadomiło to Marakowi, że jego własna wizja urywała się na ogniu z nieba głoszoną przez Norit, raz po raz powtarzającą się w jego oczach. Docierała do tego punktu i urywała się, po prostu urywała się na zmieceniu z powierzchni ziemi wszystkiego, co znał. Antag i jego bracia zadawali mu pytania: co będziemy robić? Gdzie będziemy handlować, kiedy się tam znajdziemy? A on nie potrafił odpowiedzieć na żadne z nich. Śmiał się tylko i mówił, że pewnie będą leżeć pod palmami w raji i jeść, dopóki nie przyjdzie im do głowy jakiś pomysł.

Antag roześmiał się z tego żartu uprzejmie, choć nieco rozpaczliwie. Marak sięgnął pod szatę, położył dłoń na plecach Lelie i wyczuł jej spokojny oddech. Teraz on się bał tego, co będzie. Co się stanie z Lelie? Z dziećmi? Z księgami, bezpiecznymi teraz pod opieką całej starszyny?

Antag zapytał go kiedyś: „Co będziemy robić, kiedy tam dotrzemy?“, a on odpowiedział: „Leżeć

pod palmami", ale wraz z wizjami potępienia krążyły mu w głowie obrazy budowy miasta wokół Wieży, miasta jak Oburan.

Zbudujemy miasto. Nabierzemy sił. Zbudujemy, kobieto, i stworzymy, nie oglądając się na tego wroga, o którego nigdy nie prosiliśmy. Będziemy walczyć przeciw naszej zagładzie, kobieto. Nasze dzieci odziedziczą to, co zbudujemy, a my będziemy żyć. To ja daję ci wizję. To właśnie musimy mieć.

Marak, Marak, pośpiesz się, mówily teraz głosy. Czekamy. Przybywaj. Pogoda się zmienia. Spiesz się, spiesz się, spiesz się.

Kiedy dotarli do pierwszego obozu plemiennego, ruszył szybciej. Karawana wciąż czekała, mocno przyduszona linami do ziemi ze względu na nadciągającą burzę. Jeśli tak będzie dalej, Osan odpocznie u celu tej drogi, a jeśli nie, jeśli Marak będzie musiał zatrzymać się na odpoczynek, to rozłoży się obok poruszającej się karawany i zaczeka, aż wierzchowiec nabierze sił. Antag i jego bracia nie zadawali żadnych pytań. Trzymali się go, a Lelie zawodziła mu przy sercu, co chwila wołając mamę.

Czy wołała ją cały czas od momentu, kiedy ludzie Iii zabrali ją ze sobą?

I czy mężczyzna z piosenek Norit tak szybko wziął sobie inną żonę?

- Ucisz się - powiedział Marak do Lelie, nie przekrzykując wiatru i na tyle cicho, by nie usłyszeli go jego towarzysze. - Ucisz się.

Twoja matka czeka, powiedział w myślach do Lelie. Luz nie będzie teraz skupiała na sobie całej jej uwagi. To, co robi twojej matce, jest nie w porządku.

- Bądź spokojna i cierpliwa - powiedział. - To tylko wiatr, a beshti widzą drogę, nawet jeśli my jej nie widzimy. Zawsze potrafią ją odnaleźć.

Mijali obóz za obozem i beshti zaczęły już coś rozpoznawać albo wyczuły, że ich własna grupa jest blisko. Coraz bardziej przyspieszały kroku, mijając kolejne dwa obozy plemienne.

Dotarli do Rhonan. Antag i jego bracia ściągnęli wodze, chcąc zamienić kilka słów.

- Życzymy powodzenia matce i dziecku - rzekł Antag. - I to bie, Maraku Trinie, dokądkolwiek się udasz.

-Dziękuję wam i waszemu przywódcy - odparł Marak. -Mój namiot zawsze będzie schronieniem dla was i waszego plemienia.

Takie słowa wypowiadały przyjazne plemiona. Rhonan byli zadowoleni - Marak widział to pomimo ich owiniętych twarzy.

- A nasz dla twojego - zareagowali z rytualną uprzejmością.

- O każdej porze.

Burza szarpała ich ubraniami. Powiedzieli wszystko, co trzeba było powiedzieć. Marak znajdował się już blisko własnego obozu, więc dał Osanowi sygnał, by ruszył z miejsca.

• On może gdzieś tu być - usłyszał za plecami słowa Antaga. - Tain to sprytny mężczyzna. Bądź ostrożny.

• Dobrze.

Oddał Osanowi wodze; jechali obok kolumny, Marak i Lelie. Ludzie w obozie Haga opuścili boczne poły namiotów. Norit przekazała ostrzeżenia o pogodzie albo plemiona same wyczuły zagrożenie; nie był to pusty strach. Pył co chwila wszystko przesłaniał; słońce znajdowało się już przy horyzoncie, za plecami Maraka, i w gęstym powietrzu nie było żadnego cienia.

W końcu znalazł się obok własnych namiotów i Osan ruszył żwawym kłusem do beshti, które znał, do bezpieczeństwa własnego stada. Boczne poły tych namiotów też zostały opuszczone: wiatr był zimny i Marak miał nadzieję na pomoc. Zatrzymał Osana wśród beshti swojego namiotu i zaczął zsiadać.

Rozległ się strzał. Marak zatrzymał się w pół ruchu, z Lelie na rękę, myśląc o tym, że będzie sam musiał rozsiadłać beszę, kiedy stało się coś dziwnego: w miejscu, gdzie trzymał Lelie, jego ciało przeszła kula. Osan spłoszył się i wyrwał spod Maraka, kończąc za niego proces zsiadania.

Ruch Osana i kierunek, z którego padł strzał, sprawiły, że Marak runął na plecy. Pamiętał, że trzymał Lelie, ale nie był pewien, czy nie wypuścił jej po drodze na ziemię. Zdziwił się taką odmianą losu.

A potem z całą siłą uderzył plecami i głową w piasek, i usłyszał krzyk i przekleństwa Hati... chyba Hati. Leżał bez tchu, niemrawo usiłując sprawdzić, czy wciąż jeszcze trzyma dziecko, świadom, że dziewczynka próbuje płakać, już nie kapryśnie, ale na poważnie - podobnie jednak jak on była pozbawiona tchu.

• Łapcie ich! - krzyknęła do kogoś Hati; pod głową Maraka natychmiast znalazła się czyjaś dłoń i

ktoś spróbował go unieść.

- To niemowlę - usłyszał czyjś głos. - Też jest postrzelone, na wylot w nóżkę.

Marak był wstrząśnięty i zły; usiłował zobaczyć, jaką szkodę wyrządziła mu kula, ale nie mógł unieść głowy. Nie chciał puścić

Lelie. Trzymał i ochraniał ją cały czas, dopóki Hati nie odciągnęła jego ręki od dziecka. Jej ufał. Norit też zaufa.

Jeśli został postrzelony, to była to robota jego ojca. Nie mógł tego zrobić nikt inny. Wszyscy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

- Złap go - usiłował powiedzieć Hati. - Schowaj się. Niech ktoś go dopadnie.
- Ścigają go ludzie kapitana - odparła Hati. Zrozumiała Ma-raka. Ktoś przyciskał do jego boku, tam, gdzie przytulał Lelie, kawałek materiału, i chciał wziąć dziewczynkę na ręce. - Puść - powiedziała Hati. - Maraku, puść. Daj nam się nią zająć.

- To dziecko Norit - powiedział. - To ta Lelie, o którą pytała. Jej dziecko.

Nie był jednak pewien, czy Hati usłyszała. Nie miał pojęcia, gdzie kto jest, a jeśli chodziło o jego żony, było to niezwykle. Głosy go opuściły. Całe jego odczuwanie świata zanikało. Zanikało poczucie ich obecności.

- Wysła plecami - usłyszał głos Tofiego. - To dobrze.
- Mogła wciągnąć do jego ciała jakieś nitki. Podgrzejcie trochę oliwy.

Lelie też została trafiona - niewinna osoba, jeśli na świecie w ogóle istniał ktokolwiek taki. Kula, zanim dosięgła Maraka, przeszła przez nią. Chciał ją uratować, zawiódł ją jej ojciec, a jego ojciec chciał go zabić i w ten sposób wszystko to się zbiegło. To jego własny ojciec spowodował całe zło, jego ojciec wygrał tę partię. Marak nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Po tych wszystkich latach jego ojciec był sprytniejszy, wciąż sprytniejszy. Ojciec wygrał, przynajmniej walkę między nimi, a on sam mógł umrzeć. Pozostanie przy życiu było jedynym sposobem zrobienia na złość Tainowi. Tak sobie mówił Marak.

Wokół niego wciąż biegali i krzyczeli mężczyźni. Beshti głośno protestowały, co stanowiło dźwiękowe tło połowy jego życia. Usłyszał płacz, piskliwy, rozpaczliwy płacz niemowlęcia; wydawało mu się, że jest przepojony skrajnym oburzeniem, co było jak najbardziej uzasadnione.

- Jak źle jest z dzieckiem? - zapytał Hati, kiedy pochyliła się nad nim.

- Też została postrzelona - odparła. - Norit. Norit, weź ją, do licha! Nie stój i nie gap się jak głupia!

Dziecko wciąż płakało, ale gdzieś dalej. Kawałki wspomnień Maraka rozsypały się jak monety po podłodze.

- Niech ktoś rozsiodła Osana — powiedział. - Ma na sobie siodło od wczoraj. Może dłużej. - Nie pamiętał. - Rozetrzyjcie mu nogi.
 - Zajmiemy się nim - obiecała Hati.
 - Czy on umrze? - To był głos jego siostry. Nie pamiętał, skąd się tu wzięła. - Czy on umrze? - Usiłował sam jej odpowiedzieć, chociaż jej nie widział.
- Nie.

Wtedy kilku mężczyzn podniosło go, trzymając za krawędzie szaty, i zaniósł do namiotu, gdzie stała lampa oliwna.

Położyli go na ziemi. Oddychał i z tego się cieszył. Wiatr tu nie dochodził. Było mniej hałasu i pyłu. Z przyjemnością pograżyłby się we śnie.

Przyniesiono jednak gorącą oliwę i wiano ją do rany w kilku dawkach. Rana zapulsowała ostrym bólem i Marak poczuł, jak przytępią mu się zmysły.

- Puchnie — ktoś powiedział. - Nie chce przyjmować oliwy.

To pracowali stwórcy. Jego stwórcy. Jego obrońcy.

Co do dziecka, nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Po prostu leżał nieruchomo, zamknął oczy, usiłował wytrzymać ból, podczas gdy oczyszczano mu ranę: zemdłał, odzyskał przytomność, znów zemdłał, ale kiedy ocknął się po raz wtóry, ranę przykrywały wilgotne kompresy i nie lano już na nią gorącej oliwy.

Hati była przy nim. Nie odczuwał potrzeby mówienia. Przez chwilę ból był wszystkim i Marak nie potrafił ułożyć swoich myśli na tyle, by chcieć czy pragnąć czegokolwiek. Po prostu leżał nieruchomo, zastanawiając się, czy czekali z wyruszeniem ze względu na burzę, czy na niego. Niejasno wiedział, że Hati mogłaby odpowiedzieć na to jedno pytanie, ale nie chciał rozpoczynać rozmowy, której nie zdołałby poprowadzić dalej. Zaczynał majaczyć w gorączce, a głowa bolała go bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Uznał, że chce umrzeć, o ile nikt nie będzie mu przeszkadzał ani

nie urazi go w głowę. Ciśnienie krwi w żyłach przebiegających przez jego skronie i uszy było tak wielkie, że zdawało się, iż lada chwila pękną, a z piekących oczu Maraka ściekały łzy, po prostu dlatego, że tylko tak mogło rozładować się ciśnienie.

Pomyślał, że tym razem stwórcy mogą nie wygrać, a jeśli tak, to musi natychmiast zebrać siły i porozmawiać z Hati. Musi wydać pewne polecenia.

• Nie możemy tu obozować - rzekł, a usiłował powiedzieć: -Gdy tylko pogoda pozwoli, musimy stąd wyruszyć. Coś się zbliża.

• Wiem - powiedziała Hati. - Leż spokojnie. Śpij.

• Słyszałaś mnie? - starał się zapytać. Wciąż słyszał płacz Lelie i na chwilę stracił wątek, ale zastanawiał się nad nim, odpoczywając.

Marak, powiedziały głosy i tym razem próbował słuchać i się uczyć. Miał nadzieję, że Luz do niego dotrze, coś wyjaśni, zrozumie ich sytuację i zaprowadzi w bezpieczne miejsce. Zobaczył przed oczyma punkciki, ale była to jedna z wizji, które jego zdaniem pochodziły z gorączki, a nie od Luz.

Następnie punkciki, głównie czerwone i niebieskie, nabrały wagi, indywidualności. Poruszały się i układały we wzory. Od nich zależało życie; tworzyły łańcuchy wijące się spiralami jak stado latającego plugastwa.

To z pewnością gorączka. W jakimś zakamarku umysłu Marak wiedział, że nawiedziły go majaki.

Marak, powtórzyły głosy. *Marak*.

- Słucham - powiedział na głos w swoim śnie. - Powiedz, co mam robić.

Byłeś głupi, stwierdziła Luz.

- *Wiem* - odparł, ale był zahipnotyzowany przez punkciki, całkowicie nimi pochłonięty, jakby stanowiły właśnie wyjawiony mu sekret całego świata.

Patrzysz na nanizmy, poinformowała go Luz. *To są stwórcy. Czy tym razem słuchasz?*

- *Tak. Pomóż nam się stąd wydostać.*

Kiedy jesteś ranny, one cię uzdrawiają. To są moje stworzenia, które naprawiają uszkodzenia spowodowane przez ciebie.

- *Przeze mnie. To nie ja jestem im winien, tylko mój ojciec.*

Mała różnica.

- *W porządku. Wyzdrowieję. Odejdź. Za bardzo mnie boli, że bym mógł rozmawiać.*

Na opuchliznę nic się nie poradzi. Tak reaguje twoje ciało, kiedy nanizmy zbierają się przy uszkodzeniu: jest ich tak dużo, że wywołują zatory. Trzeba ci wiedzieć, że one się różnią między sobą: stwórcy nie są jedynym ich rodzajem. Stwórcy wytwarzają innych stwórcy; można powiedzieć, że niektórzy z nich są własnymi nanizmami ciała.

- *Jeśli przeżyję, na pewno to docenię.*

Oczywiście. Czy teraz mnie słyszysz? Tak rzadko udaje mi się skupić na sobie całą twoją uwagę.

- *Staram się.*

Jestem tego pewna. Musisz jednak wiedzieć, że nosisz te nanizmy wszędzie ze sobą i rozsiewasz je do gleby i wody. Albo do krwi. W krwiobiegu działają bardzo skutecznie.

- *To miłe.*

Podjąłeś się sprowadzenia dziecka Norit. Zaryzykowałeś życie wszystkich ludzi na świecie dla jednego dziecka.

- *Podobnie jak ty, by dotrzeć do Iii.* - Teraz ocknął się niemal do granicy świadomości i przez chwilę punkciki i ich poruszenia nie stanowiły całego świata. - *To niemowlę to dziecko Norit.*

Ona za nim tęskni. Czy to tak cię razi?

Na pewno stanowi dla niej kłopot. Mamy teraz jednak tę dziewczynkę: twoja krew przeniosła w nią twoich stwórcy, nie tych starych, nie takich, jakie otrzymała z ciała Norit, a raczej tych nowych, których daliśmy ci w wieży. Niezamierzony dar. Nie otrzymujemy od niej prawie nic sensownego, ale się stara.

- *Niech cię licho, zostaw to dziecko w spokoju.*

Wyzdrowieje dzięki twoim stwórcy. Podobnie jak ty.

A ty na każdym kroku będziesz rozsiewał swoich stwórcy. Ciągłe zrucasz ich na piasek; zbierają je żuki... niewiele z nich pożytku. Ale możemy sterować ich budową. Rozsiewasz je wszędzie. Zaczęłaś to, co zarządził ondat. To ty jesteś tą zmianą. Prowadzisz wojnę z Ila, po prostu oddychając.

Punciki budowały złożone konstrukcje, ruszały się, przesuwały, budowały wieże i łańcuchy,

dzieliły się. Niektóre trzepotały jak uwięzione ptaki, tylko o wiele, wiele szybciej. Inne obracały się i rozsiewały fragmenty samych siebie. Aktywność tych poruszających się kształtów stała się niewiarygodnie groźna.

Dużi zjadacze pożerają małych zjadaczy i nasi stwórcy, stwórcy Iii, przechodzą dalej. Niosą ze sobą wojnę, która rozszerza się dokądkolwiek się udajesz, i zmieniają to, czego dotkną. Jeśli Ila podaje komuś kubek wody, to te nanocele, ci stwórcy, przenoszą się przez jej dotyk.

Jeśli mężczyzna wraca do swej wioski i śpi ze swoją żoną, to stwórcy rozprzestrzeniają się, i rozprzestrzeniają się, kiedy żona przygotowuje posiłek albo idzie do studni, albo całuje swoje dziecko. Na całym świecie ci stwórcy odnawiają się i stają się nowymi rodzajami.

Ila robi te wszystkie rzeczy, ponieważ nosi w sobie swoich wzorcowych stwórcy. Tak jak ty nosisz w sobie moich stwórcy. A moi są bardzo ważni. Ty musisz żyć.

- Miło wiedzieć.

Musisz żyć. Tain stał się moim wrogiem, a jej przyjacielem.

- Tainowi nie spodobałoby się zostanie przyjacielem Iii.

Słyszysz mnie? Powtórz to, co mówię.

-Powtórz, powtórz, powtórz. Boże, mam w sobie twoich stwórcy! Ila ma swoich. Ty jesteś przeciwko mojemu ojcu, a on z jakichś powodów jest za nią. Ja tego jednak nie rozumiem. I guzik mnie to obchodzi. - Chciał, żeby gwałtownie poruszające się punkciki znieruchomiały, zwolniły, przerwały swoje działania. Nie zamierzał jednak okazać słabości. Jedną z pierwszych lekcji, jaką dał mu jego ojciec, było nigdy nie okazywać słabości, nigdy się do niej nie przyznawać.

Czy małomówność i oszustwa pomogły Tainowi? Czy to rozsądny sposób na życie dla mężczyzny, który ma nadzieję na miłość?

- Ćśśś... - szepnęła Hati i wytarła mu czoło. - On śni.

Świat stał się skarbem leżącym wysoko na półce, czymś, czego mógł niemal dosięgnąć, ale nie był dość wysoki. Matka kładła rzeczy w miejscach, w których nie mógł ich dosięgnąć. Siadywał pod blatem, niezadowolony z tego, co miał w zasięgu rąk. Pamiętał kafelki przy kuchennym stole. Jeden był pęknięty. Nie leżał całkiem poziomo. Z takich właśnie niewiarygodnych, drobnych szczegółów człowiek buduje swoje życie, wspomnienia, miłości i wrogości.

Raz wypuszczeni na świat, rzekła Luz, a Marak siedział i słuchał, stwórcy przechodzą na wszystkie istoty, wysoko postawione czy nisko. Twoja Ila przybyła tu ze środkami, które teraz uważamy za prymitywne. Ukształtowała beshti takimi, jakie są. Ukształtowała ludzi, by przetrwali w trudnych warunkach tego świata. Teraz my was kształtujemy.

- Powiem ci, że nie rozumiem. Mówisz, że Ila ma w sobie te drobinki, które umieściła we wszystkich istotach żywych. Ty jednak umieściłaś we mnie inne drobinki, ja je rozsiewam wszędzie, dokąd idę, a inne stworzenia je podejmują. To w czym jestem inny od Iii? W czym jesteś inna ty?

Nie jesteś inny. Ja też nie. I o to chodzi, prawda?

- Straszne bzdury - powiedział Marak do Luz we śnie.

Ale to jest właśnie ta trudna część. Jej stwórcy przystosowali ludzi i zwierzęta nie tylko do życia na tym świecie... ale i do zniszczenia ondat. Tego boją się ondat: ukrytej instrukcji. Dlatego upierają się przy zniszczeniu tego świata. Nanocele mogą po prostu leżeć w ukryciu; garstka stwórcy, którzy nie będą się rozmnażać bez odpowiedniego sygnału, a ten sygnał może nadejść z zewnątrz albo z wewnątrz nich samych, może nadejść dzisiaj, jutro albo za sto lat. Rozumiesz, dlaczego się martwią?

Marak leżał zalewany falami bólu i płonącej gorączki, zaśluchany, w ogłuszającym wyciu wichru i łopocie płótna. Słuchał tak uważnie, że chłód, wiatr i ból przestały dla niego istnieć.

Jeśli jednak zmienia się świat, ciągnęła Luz, zmieniają się stwórcy. Życie zmienia życie. Życie zmienia stwórcy. Musi tak być. Takie jest ich zadanie. Zmień świat, a zmienisz wszystkie jego składniki. Zmień świat, a zmienisz wszystko, co robią stwórcy. Tak zmienić ten świat, że całkowicie zmienią się reguły przetrwania - tak właśnie ondat zamierzają zniszczyć dzieło stworzenia Iii i wyjałowić je z wszelkiego życia. Przekonaliśmy ich jednak, że jesteśmy tu potrzebni. Oni nie znają poczucia winy ani skruchy. Nie wiedzą, co to odkupienie. Nie są tacy, jak my. Wiedzą jednak, co to potrzeba i wiedzą, że gdybyśmy chcieli zrobić im krzywdę, to byłibyśmy dla nich niebezpieczniejsi niż Ila. Potrzebu-

ją naszej wiedzy do naprawienia tego, co zrobili im tacy, jak Ila; aby zdobyć tę wiedzę i nie dopuścić, byśmy jeszcze raz zrobili to, co Ila, zawarli z nami umowę. To bardzo delikatny element całej tej sprawy. Od niego zależy wasze życie, Iii też. Od niego zależy cały ten świat. Rozumiesz to?

- Nie. W najmniejszym stopniu.

W swoim śnie spróbował odwrócić wzrok od mnożących się punkcików, od czerwonych, błękitnych i żółtych punkcików, trzepoczących i wirujących bez końca. Nie potrafił znaleźć wśród nich nieba.

Wszystkie żywe istoty mają w sobie stwórcy, rzekła Luz. Po upływie odpowiedniego czasu niebo się uspokoi, a ziemia zazieleni i okryje chmurami. Niektóre z tych spadających gwiazd to woda, tylko woda. Kiedy świat będzie nowy, oazy będą się ciągnąć od horyzontu po horyzont.

- Raj - mruknął Marak. Nie miał pojęcia, dlaczego miałaby go nękać taka piękna myśl i budzić w nim tęsknotę za czymś mniej bezpiecznym. Wtedy przyszło mu na myśl odpowiednie słowo. - *Wolność. A co z wolnością?*

Wolność jest względna, odparła Luz. Możecie opuścić swój świat? Możecie zobaczyć to, co widziałam ja? Oddałam swoją wolność dla ciebie, ty przekłety niewdzięczniku! Tak jak lan! Doceń ten dar!

Marak roześmiał się. Nie widział w sytuacji Luz ani swojej żadnego komizmu, ale znalazł u tej kobiety duszę, a było to więcej, niż się spodziewał. Ostatnie jej słowa były prawdziwe i Marak jej wierzył.

- *Ty też nie lubisz raj* - stwierdził.

Przez chwilę wizje i głosy całkowicie zanikły. Ziemia zatrzęsa się - był to jeden z tych drobnych, częstych wstrząsów - ale zaraz się uspokoiła.

Wasz raj jest moim piekłem, rzekła Luz. lan i ja przybyliśmy do tego piekła dla spokoju naszych sumień, by naprawić to, co zrobiła wasza Ila, głupia Ha.

Nastąpiła kolejna krótka przerwa, podczas której wiatr zagłuszał myśli i cichy szept Luz, a ziemia była niespokojna. Marak niemal się obudził, lecz po chwili znów zapadł w sen.

U plugastwa widzisz skutki zdziczenia stwórcy. Mnoży się zbyt dobrze. Umiera zbyt rzadko. Zjada świat, a każde pokolenie stwórcy jest coraz biegłęjsze, coraz sprytniejsze w tym, co robi. Jej stwórcy bardzo dobrze opanowali sztukę życia.

Podobnie jak moi. Po kolejnych pięciuset latach jej stwórcy zniszczyliby ją. Ją i wszystko, co zrobiła. Moi jednak ten świat uzdrowią.

Wiatr szarpał namiotem. Coś uderzyło w płótno i przestraszyło Maraka; może był to kawałek materiału albo jakaś luźna mata. Serce biło mu mocno. Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o Tainie.

Bardzo cię cenimy, rzekła Luz. Mówię ci, że bardzo byśmy żalowali, Maraku Trinie, gdyby ogień spadł, zanim dotrzesz do bezpiecznego miejsca. Zdrowiej. Teraz zaśnij i wyzdrowiej.

- Akurat - odparł.

Spróbował się poruszyć. Była przy nim Hati. Myła mu twarz cenną wodą, a gdzieś w oddali na niebie coś huknęło i trzasnęło.

- *Ćśśś* - powiedziała. - Rozmawiasz z Luz, ale ja jej nie słyszę.
- Ona oddziela nas od siebie.

To, że wszyscy słyszeli jedno, było ciekawostką, a potem stanowiło pociechę w ich szaleństwie, a teraz to tracili. Stwórcy zmienili sytuację. Zmienili się sami stwórcy. Czy nie to właśnie mówiła Luz?

- *Ćśśś*, mówisz bez sensu.
- Gdzie jest Lelie? Co się z nią stało? Gdzie jest Norit? - Sięgnął do dłoni Hati i mocno ją chwycił. - Mijałem Tarsę. Byłem tam! Ludzie kapitana nie dotarli tak daleko. Zapytałem. Jej mąż ma inną żonę. Oddał dziecko. - Chciał zobaczyć Norit z dziewczynką. Rozpaczliwie tego pragnął, ale nie mógł unieść głowy. Przypomniał sobie. - Mój ojciec ją postrzelił, razem ze mną.

• Ma gorączkę. Kula przeszła jej nogę. Być może ma jednak własnych stwórcy. Powinna umrzeć, a jej stan się polepsza.

• Moja krew dostała się do jej ciała - stwierdził Marak. - Nasi stwórcy pokonują wszystko, co umieściła w nas Ila. Tak mówi Luz. Do licha! - Ból na chwilę odebrał mu głos. - Czy Pa-tyi nic się nie stało?

Hati skinęła głową.

- Jest tam. Nie opuściła cię. Norit jest z dzieckiem. I Patya też.
- To dobrze.

Spróbował zerknąć w tamtym kierunku, ale zabołał go bok i plecy.

Jeśli zdrowiał w swoim zwykłym tempie, czekała go noc i dzień bólu. Spodziewał się długiego, bardzo długiego cierpienia.

Wtedy jednak ból zaczął ustępować, obraz Hati bardzo przybladł, a on sam nie mógł zabrać dłoni z

jej ręki.

- Czy on zemdlał? - zapytała Patya, pochylając się nad nim. - Nic mu nie jest?
- Chyba nie - odparła Hati. - Teraz chyba już będzie dobrze. Stworzyciele działają. Weź dziecko.

Norit je zostawiła.

Tyle było ostrości w jej tonie. Tak bardzo chciał wyzdrowieć. Już wolałby ból niż taką gonitwę myśli i odrętwienie ciała.

Wciąż miał otwarte oczy. Zobaczył, jak Hati bierze Lelie z rąk Patyi, przytula i kołysze dziewczynkę, i mówi coś do niej, bo Norit odeszła. Dziecko było tak nieruchome, jak on, i być może wszystko słyszało.

Luz! - spróbował krzyknąć, ale nie mógł wypowiedzieć ani słowa. *Luz, zostaw tę kobietę w spokoju! Mówisz, że Ila jest okrutna... niech cię diabli, zostaw Norit w spokoju! To nie pora, by do niej mówić...*

Luz nie dała jednak żadnego znaku, że go słyszy, a Norit stała na granicy jego pola widzenia, wpatrzona w ścianę namiotu, sam na sam z Luz, pogrążona w rozmowie z nią, niepomna na ból i strach Lelie.

- Leż spokojnie - odezwała się Patya. - Hati, on się bardzo poci. Czy nic mu nie jest?
- Wszystko będzie dobrze. To normalne dla nas, szaleńców, kiedy zdrowiejemy. Nie bój się o niego. Nie bać się o niego. Nie bać się o Norit, Lelie albo Hati? Jest tyle powodów do obaw.

Gwiazda spadła z nieba, i jeszcze raz, i jeszcze, i uderzyła w kulę, i rozszedł się od niej pierścień ognia.

I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

Rozdział 21

„Każde dobre zwierzę i każda trawa, która rodzi ziarno, i każde drzewo, które rodzi owoce, to dar Iii. Trawy i drzewa dała wioskom i kazała im wybudować ogrody oraz kryte kanały i niecki z wypalanej cegły”.

- Księga Pori

Marak wracał do zdrowia, w bólu i gorączce. Była przy nim Patya, a silny wiatr wył i szarpał płótno. Przyszedł Tofi, położył dłoń na dłoni Maraka i spokojnie, drobiazgowo przedstawił mu stan obozu oraz nastrój Iii.

Au'it siedziała w pobliżu i wszystko to zapisywała.

Przyszedł też Memnanan i stając nad chorym, zapytał w imieniu Iii, jak się czuje. Marak to usłyszał. Nie widział odpowiedzi Hati, ale słyszał ją i wyobraził sobie wzruszenie ramion, które było jej charakterystyczną reakcją na tajemnice.

- Zdrowiejcie - powiedziała kapitanowi i, poprzez niego, Iii.

Ta wizyta oznaczała, że burza nie sroży się na tyle, by uniemożliwić Memnananowi dotarcie do nich z namiotu Iii. Oznaczała, że pozostają w obozie, a Marak wiedział, że muszą ruszać: coś nadchodziło. *Na wschód, na wschód, na wschód*, znów rozlegała się stara śpiewka, nagląco i często. To, że nie mógł się poruszać, było torturą zesłaną na niego za grzech dezercji.

Przyszli go obejrzeć kapłani. Tego już nie potrafił wytłumaczyć i myślał, że ową wizytę może sobie wyśnić w gorączce. Zobaczył, jak trzej kapłani siedzą w swoich białych szatach na macie i się mu przyglądają. Ta sytuacja coraz bardziej go niepokoiła, lecz wciąż nie mógł się rozbudzić na tyle, by odesłać ich do diabła.

Rzucał się i pocił i w końcu Memnanan wraz z kapłanami zostawili go w rękach Hati, stwierdziwszy, że w zdrowieniu jego i dziecka wyraźnie jest coś nadzwyczajnego.

Au'it pisała. Norit nie ruszała się ze swego miejsca. Gdzieś dalej wciąż płakała Lelie.

- Niech ktoś weźmie ją na ręce - spróbował powiedzieć Marak.
 - Norit! Zajmij się dzieckiem! - powiedziała ostrym tonem Hati, ale Norit siedziała nieruchomo, zagubiona w swoich wizjach. Hati wstała, podniosła Lelie i położyła ranne dziecko Norit na kolanach.
- Zajmij się nią!

Norit nie ocknęła się, ale przytuliła Lelie; jej ręce wykonywały bezwiednie ruchy, jakie mogłaby wykonywać matka. Spojrzenie wciąż miała utkwione gdzieś w przestrzeni pełnej ognia i strachu, doświadczając miejsca i czasu, które widziała wyraźniej niż to, co ją otacza.

• Musimy wyruszyć - rzekła Norit i powtórzyła to kilka razy. Marak chciał, by to powiedziała, skoro on nie mógł tego zrobić. - Musimy wyruszyć, Hati.

• Wiem. Wszyscy wiedzą, że musimy wyruszyć. W tej ciemności nie zobaczymy nawet własnych stóp. Ruszymy, jak robi się jasno.

Dobrze. Przynajmniej Hati wie. Marak zaczął wtedy błądzić myślami i nie mając nic innego do obserwowania, patrzył na Norit i Lelie. Cieszył się, że Norit powiedziała to za niego. Cieszył się, że Hati zgodziła się, że nie powinien spowalniać karawany.

Mógł poruszać jedynie głową. Podeszła do niego Hati i zmarnowała trochę wody na obmycie mu twarzy. To ekstrawagancja, pomyślał. Dała mu się napić. Miał ogromne pragnienie. Zawsze je miał, kiedy zdrowiał.

Lelie zasnęła. Zwisiała z rąk Norit jak lalka; teraz Norit ocknęła się ze swoich wizji i zaczęła przemawiać do dziecka.

Marak wreszcie ujrzał matkę, którą chciał odnaleźć dla Lelie, i teraz Norit może uświadomiła sobie, jaki dar przywiózł jej z takim wysiłkiem.

- Moje dziecko! - zawołała, a po twarzy ciekły jej łzy. - Lelie, Lelie, Lelie!

Marak był zadowolony. Świat wydawał się o wiele miłszy po przywróceniu jego naturalnych praw. Marak zaufał mu na tyle, że na chwilę zamknął oczy, choć przechył wciąż go niepokoił, choć rozpaczliwie pragnął powiedzieć Hati, Norit i Tofiemu, by wsadzili go na Osana i w tej samej godzinie, w tej chwili, poderwali karawanę do marszu.

Coś jednak przytłumiało jego zmysły, między nim i mową wyrósł jakiś mur, a chęć mówienia wyraźnie osłabła. Mówiła za niego Norit i nawet ją niepokoiła ciemność oraz wycie wiatru.

Obudził się, kiedy go przenoszono nad czymś twardym leżącym na ziemi. Okazało się, że to drążek noszy. Dwaj wyzwolenicy wynieśli go na wiatr, na przesłonięte piaskiem słońce; Marak nie potrafił określić, czy to ranek, czy wieczór, ale uznał, że nastał świt.

Wciąż gorączkował, a ruch wywołał ostry ból, więc wiedział, że tym razem wraca do zdrowia dłużej i że ta rana jest prawdopodobnie najpoważniejsza ze wszystkich, jakie dotąd otrzymał. Pomyślał, że powinien wstać i dosiąść wierzchowca; leżał i czekał, aż ktoś przyjdzie i się nim zajmie.

Tymczasem przed jego oczyma przesuwwały się dziwne obrazy. W obozie znajdowało się wielu Haga - przecież wciąż są w obozie Iii. Potem pomyślał, że się myli, że to są Keran. Dziwne. Wydawało mu się, że są to raz jedni, raz drudzy, a w ogóle nie powinno ich tu być.

Tymczasem ludzie spakowali namioty i umieścili je na grzbietach beshti. Po raz drugi Marak spróbował wstać i przejść parę kroków, by samodzielnie znaleźć się w siodle i zaoszczędzić wszystkim wysiłku umieszczenia go tam niczym jakąś martwą kłodę.

Uniółszy ramiona nad matę może na szerokość dłoni, po prostu opadł na nią z powrotem. Był słaby, głowa pulsowała mu bólem, pustynia wokół niego to ciemniała, to rozświetlała się słonecznym blaskiem, a plemiona wciąż przychodziły i odchodziły.

Uznał, że to nie spadanie gwiazd: to jego własna głowa, sprawiająca wrażenie, jakby się rozrosła, a wraz z nią rozrastało się i kurczyło całe niebo.

Być może zemdlał. Po chwili - a może tak mu się tylko wydawało - usłyszał jednak, jak Hati wydaje jakieś rozkazy, a Memnanan i Tofi krzyczą. Uspokajające, zwykłe odgłosy. Obóz wyruszał w drogę. Lada moment będzie musiał wstać i dosiąść wierzchowca.

Wtedy ktoś rzucił na niego cień i uniół drążki noszy.

Był to kapłan, którego obecność wydała się Marakowi prawie tak dziwna, jak pojawiający się i znikający członkowie plemion. Nie widział, kto trzyma drążki przy jego głowie, ale pomyślał, że prawdopodobnie inny kapłan.

To Ila wydawała polecenia kapłanom i jeśli wykonywali oni pożyteczną pracę, to zapewne należy się cieszyć.

Ale dlaczego kapłani?

Przynieśli też Lelie i położyli ją Marakowi na piersiach. Była ciężka i sprawiała mu ból, ale w sumie nie stanowiła zbyt wielkiego brzemienia. Mocno spała; Marak widział ranę w jej nóżce, paskudną i spuchniętą... lecz gojącą się, tak jak goiła się jego rana.

Był tym faktem oszołomiony. Ich krew się mieszała. Stworzyciele walczyli ze sobą. A może stworzyciele Norit znajdowali się w dziecku, silni od chwili poczęcia. Czy stworzyciele mogą być przekazywani w ten sposób... poprzez krew matki, jeśli nie przez ojca?

Marak, Marak! Na wschód, na wschód, na wschód! Świat zawirował, Marakowi zakręciło się w głowie; padł na plecy. Zobaczył, jak skała uderza w kulę, raz po raz. Usłyszał rytmiczny szum wody i zobaczył brzeg, gdzie niekończąca się woda wdzierала się na piasek.

Możliwe, że to było gorzkie morze. Wpadały do niego gwiazdy i natychmiast gasły. Pióropusze wody i dymu łączyły się z chmurami. Słońce zapadało w ponurej czerwieni, spadały kolejne gwiazdy.

Marak przypomniał sobie, gdzie muszą się znaleźć. Muszą dotrzeć do Pori. Usiłował powiedzieć to Hati, by upewnić się, że pamięta prawdę i nie dał się ponieść wizjom. W Pori była woda, woda potrzebna wszystkim tym ludziom, maszerującym całymi szeregami przez równinę sieczoną gwiazdami, ludziom, których zmarli leżeli rzędem obok drogi.

Co pewien czas kapłani się zmieniali. Marak w takich chwilach się budził, mrugał i zastanawiał nad tym, co widzi. Od czasu do czasu karawanę nękał porywisty wiatr, przecinając pole widzenia Maraka czerwonymi sznurami piasku. Kapłani potykali się i czasem szarpali noszami. Po jednym z takich szarpnięć Lelie obudziła się, przestraszona, głodna i niezadowolona.

-Ćśśś - powiedział, patrząc na zalaną łzami twarzyczkę, a dziewczynka poznała jego głos i wybuchnęła głośnym płaczem; cierpiała i wołała matkę. Jej matka znajdowała się jednak w mocy Luz; Marak mógł przywieźć Lelie do Norit, ale nie potrafił odzyskać Norit... Nie był w stanie tego dokonać, więc usiłował chociaż pocieszyć dziecko.

Lelie jednak wciąż płakała, sapiąc mu w pierś, słaba i nieszczęśliwa.

-Zawołajcie Norit - polecił kapłanowi idącemu z przodu i skrzywił się, ponieważ Lelie uraziła go w ranę. Zanim jednak kapłan zdecydował się, czy go posłuchać, Lelie nagle zasnęła, może dzięki Luz. Wtedy i Marak zapadł w sen.

Kiedy się obudził, właśnie zmieniali się niosący go kapłani; Lelie wciąż spała, z elfią twarzyczką osłoniętą aifadem. Słońce świeciło na czystym niebie.

Marak uznał, że jest popołudnie. Usiłował obliczyć, gdzie się znajdują, wpasowując linię marszu na wschód w odległy skalny grzbiet i płaską połąć piasku podziurawionego upadkiem gwiazd. Odkrył, że może unieść głowę. Poruszył nogą i ramieniem, które nieznośnie zeszytywniały, ściśnięte między drążkami noszy, i stwierdził, że ból w boku i plecach zmniejszył się, podobnie jak opuchlizna.

Wyglądało, że wojna stworzycieli o jego życie i zdrowie została wygrana. Tylko gdzie się znajduje karawana? I ile dni upłynęło? Marak poczuł strach i zaczął się zastanawiać, dokąd doszli. Pomyślał, że jeśli nie zmierzają w stronę Pori, to będzie musiał coś zrobić. Musi się dowiedzieć.

- Dokąd idziemy? - zapytał kapłana, którego miał przy głowie, ale spojrzawszy na niego, zobaczył tylko plecy, i nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Na granicy pola jego widzenia przesuwali się jeźdźcy. Tak powinno być.

Spojrzał ponad stopami na drugiego kapłana, mężczyznę silnego i cierpliwego.

-Być może mógłbym wstać - powiedział, czując na sobie ciężar spokojnie śpiącej Lelie. - Żeby dosiąść beshy, jeśli nie iść. Zatrzymajcie się.

Kapłani stanęli, zeszli z drogi jeźdźcom jadącym tuż za nimi i położyli nosze na ziemi. Znajdowali się w sercu kolumny i besh-ti musiały ich omijać, górując brzuchami i długimi nogami nad Marakiem, który właśnie przesunął Lelie i usiłował się podnieść.

Nie od razu udało mu się usiąść. Nabrał tchu, przetoczył się na kolano, potem przeniósł oba kolana i dłonie na pylisty piasek, czego drążki noszy mu nie ułatwiały. Następnie powoli, poruszając się sztywno w ubraniu pokrytym zakrzepłą krwią, spróbował wyciągnąć spod Lelie połąć koszuli i wstać. Spóźniona pomoc kapłanów tylko mu utrudniała zadanie i Marak odtrącił podawane ramię, oparł ręce na kolanie i dźwignął się na nogi.

Kiedy udało mu się uwolnić koszulę, Lelie obudziła się i też usiadła, trąc oczy zakrwawioną, brudną piąstką. Marak spojrzał otepiały na swą maleńką zdobycz i zadał sobie pytanie, co ma z nią zrobić i gdzie jest Hati.

Marak, odezwały się jego głosy, rozpoczynając zwykłą litanię. Powróciło też wrażenie przechylenia, niezawodne jak wschód słońca i niszczące równowagę. *Na wschód, na wschód, na wschód.*

Zobaczył, jak Lelie też usiłuje odzyskać równowagę i siedzi oszołomiona, z oczyma i ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

-Wszystko w porządku - powiedział do niej: wydawało się, że szaleństwo wykielkowało w dziecku niczym z nasionka. -Jest tu twoja mama. Nic ci nie będzie.

Rozpłakała się. Nie miał sił, by się po nią schylić. Wyciągnęła rączki, by ktoś ją podniósł. Zrobił to drugi kapłan.

- To dziecko Norit - rzekł Marak. - Mojej żony. Norit. Niech dziecko jedzie z nią. - Nie miał pojęcia, gdzie kto jest, ale nie chciał iść pieszo. - Gdzie moja żona?

Obaj kapłani, ten trzymający Lelie i ten drugi, patrzyli na niego, jakby zobaczyli zmartwychwstańca.

I może, pomyślał, stawiając chwiejnie pierwszy krok, prawie tak jest. Wiedział, gdzie znajduje się wschód. To wiedział. Wtedy rzucił na nich cień jakiś jeździec nadjeżdżający z tyłu

- Hati, która natychmiast ześliznęła się na piasek w wirze falu

jących zawojów.

- Co robisz?! - zawołała.

- Ci ludzie nabawili się pęcherzy - powiedział, mając na myśli kapłanów. Zobaczył jednak jej twarz pełną wyczerpania i troski, i dodał: - Nic mi nie jest, żono. Zaufaj mi. Nic mi nie jest.

Hati nie przytuliła go, nie przy obcych i kapłanach, ale podeszła i objęła go, prowadząc wśród innych pieszych, w drugiej ręce trzymając wodzę beshy. Podjechał do nich Bosginde, jeden z wyzwoleńców.

- Przyrowadź Osana - rozkazała mu Hati, podnosząc wzrok.

- Mój mąż pojedzie.

Bosginde oddalił się pośpiesznie, używając harapa; jeźdźcy wciąż ich szybko mijali.

- Być może ktoś będzie musiał mnie podsadzić - przyznał się

Marak, ale tylko Hati; odzyskawszy zmysły, jeszcze raz zauważył, że otaczający go ludzie wyraźnie się zmienili. Otaczało go więcej jeźdźców, ciemno odzianych jeźdźców. Członkowie ple

mion. Wcale mu się to nie śniło.

Potknął się.

- Chyba nie dam rady - powiedział.

- Ktoś ci pomoże - odparła Hati. W jej głosie brzmiało napięcie. Przebrała się w ciemno prążkowane szaty swojego plemienia, a na jej ramionach błyskały złotem bransolety. - Myślałam, że mimo stworzycieli umrzesz.

- Albo stworzycielom na złość. - To był kiepski żart; zobaczył to w zmartwionych oczach Hati.

Wśród nagromadzonego zamętu świata nie był pewien, ile upłynęło czasu. - Stworzyciele nie pozwolą mi umrzeć. Zeszłej nocy wydawało się to niekorzystne, ale szybko powracam do zdrowia. Chcę jechać. Gdzie jesteśmy?

- Dwa dni od miejsca, w którym nas znalazłeś.

- W kierunku Pori.

- W kierunku Pori - potwierdziła i uspokoiła go przynajmniej pod tym względem.

- Są tu plemiona. - Najwyraźniej była to karawana Iii. Był tu Bosginde. Widział znajome zwierzęta.

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, skąd wzięło się złoto Hati i zmiana stroju. Sam stał w innym ubraniu, w luźnej koszuli, spodnie miał nie włożone do butów... wisiały luźno wokół kostek, szarpane wiatrem.

- Keran przyłączyli się do obozu?

- Kiedy zostałeś postrzelony. Przybyli Haga. Byli źli, ponieważ ludzie Iii nie potrafili ochronić obozu. Wtedy Aigyan usłyszał, że są tu Haga, więc przybył mimo burzy i odbył rozmowę z Menditakiem. Potem wdali się w gwałtowną sprzeczkę z kapitanem Iii, a ja powiedziałam, że wszyscy są głupcami.

Marak wyobraził sobie tę scenę. Hati potrafiła powiedzieć coś takiego. A Memnanan, który wcale nie był głupcem, i Aigyan z Menditakiem byli w jednej radzie.

- Menditak coś ci dał - powiedziała Hati i puściła jego ramię,

by odwiązać od siodła zwinięty kawałek materiału. Strzepnęła go i oczom Maraka ukazał się płaszcz w barwach Haga. Kiedy go tak trzymała przed nim, mijały ich beshi, a służący Iii patrzyli na ten fragment prywatnego życia przywódców. Marak włożył płaszcz - był ciężki i ciepły - i zaniepokoił się jego wymową, deklaracją plemiennych kolorów, lecz zanim sformułował do końca tę myśl, Hati zarzuciła mu na szyję bardzo piękny aifad w barwach Keran. - Dar Aigyana - wyjaśniła.

Oznaczyli go zatem oboma zestawami kolorów. Było sprawą bezprecedensową, by plemienne obozy mieszały się ze sobą, a co dopiero z ludźmi Iii, z odwiecznym wrogiem. Cała ta podróż była jednak bezprecedensowa. Podobnie jak obecność Iii wśród plemion.

Marak padł od kuli Taina; można było zdobyć władzę i do ataku ruszyli tak Haga, jak i Keran, dopięli swego i strzegli tej władzy, dawali Marakowi to, czego potrzebował. Czyż mógł ich winić za to, że dbają o swoje interesy? Przy zagrożeniu, jakie dla karawany stwarzał Tain, Memnanan mógł być jedynie wdzięczny za otaczające go dodatkowe siły, ale Marak widział wiele powodów, dla których Memnanan mógł nie czuć się swobodnie w powstałej sytuacji; zaczynał rozumieć, dlaczego kapitan mógł stanąć nad jego zdrowiejącym ciałem... by ocenić szanse jego powrotu do zdrowia oraz to, czy odbierze z powrotem tę władzę - i czy będzie w stanie to zrobić.

Musi przy najbliższej okazji porozmawiać z Memnananem -kiedy tylko przestanie mu się kręcić w głowie.

- Jak długo będzie trwał ten rozejm między plemionami? -zapytał.
- Zostają tu - odparła Hati. - Aigyan i Menditak zaprzysięgli wieczysty pokój wodny. Połączyli swoje obozy. - Hati machnęła ręką. - Aigyan prowadzi. Upiera się przy tym. - Machnęła do tyłu. - Menditak jest tuż za ludźmi Iii i zarządza obozem. Za nim są służący i kapłani, którzy mogą wyprzedzić plemiona tylko wtedy, gdy Menditak im na to pozwoli.

Trwały pokój. Wspólny dostęp do studni, zjadale bronionych od pokoleń. Ila niemal uwięziona w obozie i praktycznie pozbawiona swoich kapłanów. Zniknęła na kilka dni i wszystkie zasady marszu się zmieniły.

- Co na to powiedziała Ila? Co powiedział Memnanan?
- Kapitan przyjął propozycję ze względu na Ilę. Co miał robić? Powiedziałam mu, że Ila nie powinna wydawać plemionom żadnych rozkazów, że są one zbyt cenne, by je obrażać, skoro ty jesteś nieprzytomny, i ostrzegłam kapitana, że nie będą z nią rozmawiać, więc niech się tego nie spodziewa. Rozmawiały jednak z kapitanem, a on pogadał ze swoimi ludźmi, jesteśmy więc strzeżeni ze wszystkich stron. Nie zamierzają dopuścić, by ktoś strzelał do ludzi w tym obozie. Chcą, żebyśmy ty, ja i Norit nosili plemienne barwy. Nie będziemy wtedy takim łatwym celem.

- Piekielnie dobry pomysł - skwitował Marak. Obecność plemion bardzo zagęszczała czoło kolumny i utrudniała celny strzał. Poza tym zjednoczenie Haga i Keran niosło ze sobą bezprzykładną siłę plemienną. Jeśli czyn Taina wytrącił plemiona z równowagi i jeśli Haga i Keran rządzą teraz obozem Iii, to jej obóz stał się obozem plemiennym: jeżeli Tain go zaatakuję, zostanie wyznaczona cena za jego głowę w imieniu wszystkich plemion.

Plemienna jedność - i to wokół Iii.

Oraz wokół niego, Hati i Norit... Norit, która dorzucała do tego wszystkiego wioski i, jak zauważył Marak, też miała na sobie płaszcz w ciemne prążki.

- Nie było łatwo - rzeki do Hati, wdzięczny za jej zrównoważenie.
- Nie - odparła. - To było piekło. Nie zostawiaj mnie tak. Nigdy mnie tak nie zostawiaj.
- Dobrze - obiecał. - To było szaleństwo. Oszalałem na kilka dni, a ty nie. Nie słuchałem nawet Luz. Ale teraz już odzyskałem zmysły. I nigdy już nie będę szalony. Obiecuję ci.

-Trzymam cię za słowo. - Znajdowali się w zasięgu słuchu wszystkich robotników Tofiego, pakujących bagaże. Jej ręka, którą podtrzymywała Maraka, była spokojna, tak jak i druga, którą prowadziła beshę, ale w jej głosie brzmiała miękka nuta, łagodne przebaczenie. - Niech Tain jeździ sobie tam i z powrotem, gdzie jest plugastwo. Niech ryzykuje pożarcie żywcem. My wszyscy cię potrzebujemy. Ja cię potrzebuję. A Ila też cię nie dopadnie.

- Nie - zgodził się.

Zobaczył, jak jeden z niewolników Tofiego podjeżdża z uwiązany z tyłu Osanem, osiodłany i gotowy do drogi. Za nim jechali Bosginde i Mogar, którzy zsiadli za ziemię, by pomóc Marakowi usiąść w siodle i powstrzymać Osana przed jego zwyczajowym krokiem do przodu.

To oznaczało, że Osan zachwiał się pod ciężarem jeźdźcy, co przyprawiło Maraka o zawrót głowy; od razu zapomniał o plemionach, ciemnych jeźdźcach i gromadach plugastwa.

Trafił na siodło i nieміłe uczucie minęło. Ujął wodzę i stwierdził, że dobrze jest się znaleźć na grzbiecie Osana, choć miejsce jest chwiejne. Było to o wiele lepsze niż leżeć pod ciężarem Le-lie i od czasu do czasu znosić wstrząsy aplikowane przez niezręcznych kapłanów. Zauważył, że podnieśli nosze i idą obok Osana, wciąż niosąc Lelie.

- Podajcie mi dziecko - zażądał Marak.
- Upuścisz ją - zaprotestowała Hati i miała rację: bolał go bok i nie odzyskał jeszcze pełni władzy w ręce. W końcu Hati dosiadła beshy i wzięła dziecko na swoje siodło. Potem przeprosiła, dogoniła Norit i oddała Lelie matce.

Marak pozwolił Osanowi wyprzedzać innych i spotkał Hati w połowie jej drogi powrotnej. Ponieważ zostali nieco z tyłu, teraz z obu stron otaczali ich ludzie w barwach Haga.

Pojechał z Hati naprzód i też wyprzedził Norit, która go nie zauważyła. Jechała z Lelie na wpół trzymaną w ramionach, na wpół siedzącą na wymoszczonym łęku siodła, i przemawiała do swojej córeczki.

Marak był pewien, co rzadko mu się zdarzało, że w tej chwili w ciele ubranym w szaty Haga znajduje się tylko Norit. Luz milczała w jego myślach i uszach; miał nadzieję, że milczała też w myślach i uszach Norit.

- Luz - powiedział półgłosem, oszołomiony osobliwością tego dnia, lecz zadowolony z tego, co widzi, z tego, że Norit jest szczęśliwa i przez chwilę wolna od szaleństwa. - Widzisz, co się dzieje, Luz? Wstałem i jadę. Wyruszyliśmy. Otoczyły nas ple

miona, by strzec tego obozu. W tej chwili nie ma zagrożenia.

Możesz dać spokój Norit. Daj jej jeden dzień. Dzień z nią samą.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, chciał jednak właśnie tej ciszy. Wtedy dogonił ich Tofi.

- Żyjesz - zachwycił się chłopak. - I jedziesz! To cud boski!

- To sprawka tej przeklętej wieży - odparł Marak. - Gdybym uważał, że to zrobił bóg, poskarżyłbym się kapłanom i Iii. Bolało jak diabli.

Tofi początkowo uznał, że to zabawne, i roześmiał się, ale po chwili zrobił minę, jakby coś stało mu w gardle.

- Cieszę się, że wyzdrowiałeś, orni. Wszyscy się cieszymy.

- Ja też. - Marak usłyszał to „orni”. Zobaczył, jak uczciwy szacunek ustępuje zwyczajnemu strachowi, którego jednak nie chciał widzieć u bliskich mu ludzi.

To jego ojciec pragnął takiego strachu wśród swoich podwładnych... strachu i czci. Tain nie ufał nikomu, u kogo nie wywoływał grozy, lecz syn Taina nie ufał nikomu, kto się go bał... taką miał zasadę. Nigdy nie pragnął stać się przedmiotem czci ani skupiać wokół siebie półgłówków, którzy chcieli, by kierował nimi strach. Był kompletnym głupcem, że wyprawił się za ojcem samotnie, wiedząc, jacy są ludzie otaczający Taina, ludzie, w oczach których morderstwo Kaptai musiało być usprawiedliwione, ponieważ takie musiało być wszystko, co robił Tain. Był głupcem, stosując się do zasad ojca na jego terytorium. Teraz już to wiedział. Miał szczęście, że natknął się na Rhonan zamiast na ludzi ojca, ponieważ to nigdy nie byłaby uczciwa walka.

- Nie powinienem za nim jechać - rzekł Marak do Tofiego. - Ale przeżyłem. Tain uciekł, i dobrze.

To piekielne marnotrawstwo. Całe jego życie to piekielne marnotrawstwo. Tak jak życie jego ludzi.

- Zabicie ojca ci nie posłuży - ośmielił się zauważyć Tofi. - Nie posłuży ci, orni, bez względu na to, co zrobił twój ojciec. Nie możesz go zabić. Nie wracaj tam.

Mógł się obrazić na Tofiego za wtrącanie się do jego prywatnych spraw. Tofi miał jednak odwagę, prawdę i stałość, której Marakowi nie dały nauki Taina. Jeżeli już, to dała mu je Kaptai.

- Nie zamierzam tego robić. Ciesz się, że nie jesteśmy bar dziej z tyłu. Tam jest piekło. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie utracimy połowy karawany, jeżeli jakiejś pochmurnej nocy lu dzie po prostu nie zboczą ze szlaku. A jeśli tak się stanie, to nic nie będziemy mogli zrobić. I dlatego to jest takie straszne.

Spojrzał ku skrajowi kolumny, poza osłonę członków plemienia Haga, jadących na obrzeżach karawany. Droga prowadziła między niskimi wydmami, po twardym terenie, w zagłębieniach zbyt płytkich, by mógł się w nich ukryć jeździec.

To dobrze. I dobrze, że Haga dodatkowo strzegą obozu Iii. Marak usiłował sobie przypomnieć, jak rozległy jest ten teren i gdzie się znajdują. Nie miał pojęcia, ile czasu spędził na noszach.

- Byłem nieprzytomny tylko dwa dni - powiedział.

- A przedtem dwa dni cię nie było, orni - rzekł Tofi.

Marak doznał wstrząsu i stracił poczucie czasu. Poczucie umiejscowienia w przestrzeni mieszało mu się z wyprawą na tyły karawany i z powrotem, oraz z gorączką. Przez pełną panikę chwilę miał nawet trudności z przypomnieniem sobie, dokąd teraz zmierza i którym z dwóch możliwych szlaków jadą. To chwilowe zaćmienie świadomości go przeraziło.

Przypomniał jednak sobie: fakty znał doskonale. To szlak północny. Zbliżają się do rejonu zasadowych nieck, gdzie ukrywanie się będzie znacznie trudniejsze. Otwarty teren stanowił osłonę... przez jakiś czas i jeśli dopisze pogoda. Oraz wystarczy im wody. Marak miał nadzieję, że może znajdą trochę wody w nieckach. Po drodze do Oburanu nie próbowali jej szukać.

Marak, odezwały się głosy, choćby tylko po to, by przypomnieć mu o swej obecności. Wraz ze słowami *Na wschód, na wschód, na wschód* zakręciło mu się w głowie i musiał chwycić się lęku.

- Czy naprawdę zabiłbyś swojego ojca? - zapytał go ni z tego, ni z owego Tofi. Trzymali się w grupie, Marak i Hati, Norit i Tofi, a nieopodal jechała Patya. Jego rodzina. „Czy zabiłbyś ojca?” - zapytał Tofi, a Marak spojrzał na horyzont, usiłując umocnić się w tej odpowiedzi i ataku Tofiego na jego postanowienie.

- Tak - odparł, usiłując mówić to szczerze, próbując przekonać samego siebie, że wszystko, co zrobił, było dobrym pomysłem.

Nagle jednak odkrył granicę pogardy dla ojca i może granicę miłości do matki - miał teraz żony, ludzi polegających na nim. Odkrył, że zgadza się z Tofim... i że ma nadzieję, że kwestia śmierci matki skurczy się do wieczystej waśni, nie wiążącej się z żadnym dalszym działaniem.

Zastrzeliliby Taina, gdyby musiał... tak, wciąż sądził, że po tym wszystkim, czego dopuścił się jego ojciec, byłby w stanie to zrobić. Sądził, że zrobiłby to bez żalu. Wiedział jednak, co do niego mówi Tofi, syn, który niedawno pochował ojca. Marak za żadną cenę nie chciał być matkobójcą czy ojcobójcą, a spór, jaki oni toczyli, nigdy nie był jego sporem. Nie miał pojęcia, jakie były jego korzenie, znał tylko jego gorzkie owoce.

- Bałam się, że go nie zabijesz - odezwała się półgłosem Hati, an'i Keran, od urodzenia o wiele twardsza od Tofiego. - Przez ten cały czas, kiedy cię nie było, tym się martwiłam najbardziej.

- Sam sobie zadawałem to pytanie - odparł. Czas spędzony wśród abjori, symbole śmierci na jego palcach ukierunkowały go na jedno, lecz Kaptai ukierunkowała go na coś przeciwnego, rok po roku zmieniała całą pracę, jaką włożył w jego wychowanie ojciec. Marak uznał, że właśnie to stanowi ostateczną i osobistą klęskę Taina. Teraz wszystkie długi przejęła na zawsze Kaptai; ojciec nie miał u niego już nic, zniknęło nawet pragnienie, by go zastrzelić. - Wiem, że teraz bym to zrobił, gdybym musiał, ale nie będę go szukać. Nic mnie nie obchodzi, czy będzie żył, czy zginie; do tego się to wszystko sprowadza. Nic mnie on nie obchodzi, mam tu ważniejsze obowiązki. Nie będę ryzykował drugi raz.

Uznał, że to zadowoliło Hati. Chciał wrócić na swe poprzednie miejsce, na stanowisko, które opuścił - nie dlatego, że miał do niego prawo, lecz dlatego, że lepiej niż kiedykolwiek rozumiał obecne wyważenie swoich zobowiązań. Teraz sobie mówił, że nadaje się na przywódcę. Nadaje się na przywódcę: rozumie sytuację lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Deprimowała go jednak myśl o tym, że ma pojechać do przodu i zdać sprawozdanie Iii. Widział daleko na przedzie czerwone szaty, lecz wciąż odczuwał lekkie zawroty głowy i chwiej-ność równowagi. Były to skutki przebytej gorączki; Marak poza tym wątpił, czy da sobie radę z subtelnoscią i groźbami władczyni. W głosach, które rozbrzmiewały mu w uszach i odwracały jego uwagę, jakby chciały powiedzieć, że zaniedbał też i tego obowiązku, przysparzając kłopotów sobie oraz wszystkim, którzy mu podlegali, też wyczuwał pewną niechęć. Wyobraził sobie, że Luz nazywa go głupcem, i podjął wysiłek zapytania Hati i młodego Tofiego o stan zapasów oraz jak daleko, ich zdaniem, jest jeszcze do Pori... wiedział, że kontrolują sytuację, a on stracił wszelką rachubę i dostęp do informacji.

Prosto na wschód od nich leżał skalisty grzbiet nie do pokonania. *Na wschód!* - wołały głosy, ale podążać *na wschód* było niemożliwe, a leżąca na południu Pori była bardzo ważna... nie mogli iść na przelaj tak jak w drodze powrotnej z wieży: muszą dotrzeć do Pori, muszą bez względu na to, czego domagają się głosy. Tamtejsza studnia ze słodką wodą to życie. Marak widział słabość obozów znajdujących się z tyłu. Teraz pojmował, jak daleko rozciąga się karawana, jak bardzo jest zagrożona, jak niewiele znaczą umiejętności wioskowych przywódców w głębi Lakht

Gdyby utrzymywali takie tempo marszu, jak w drodze do Oburanu, do Pori dotarliby z tej kamienistej równiny w jakieś dwa, trzy dni. Marak poznał ten grzbiet. Zaczął orientować się, gdzie leży krawędź Lakht - tuż za linią horyzontu, za tym nieubłaganym, niepokonalnym grzbietem.

Tymczasem Memnanan ściągnął wodzę swojemu beshy, zrównując się z Marakiem, Hati i pozostałymi.

- Masz się lepiej - zauważył kapitan. - Wydaje się, że cudom nie ma końca.
- Jest lepiej, niż się spodziewałem - odparł Marak.
- Ila nie była zadowolona.
- Przepraszam - rzekł Marak, lecz bez zbytej skruchy; jego upór nie pozwalał mu się przyznać przed Iłą do tego, czego dowiedział się o sobie. - Dobrze, że plemiona wkroczyły tam, gdzie mnie nie było. Jak Ila zapatruje się na naszą eskortę?

- Wie o niej - odparł Memnanan. - Nie obchodzi jej, gdzie znajdują się plemiona.

To była odpowiedź charakterystyczna dla Iii. Oznaczała, że Ha wie, iż nie ma żadnej praktycznej możliwości powstrzymania ich i że nie będzie tego próbować.

- Chce z tobą porozmawiać - rzekł Memnanan.

- Nie wątpię - odpowiedział Marak.

Był obolały i zupełnie nie miał ochoty stawać tego dnia przed Iłą. Kręciło mu się w głowie. Cenił sobie jednak dobrą wolę Memnana i wiedział, że przez ostatnie kilka dni wystawił ją na ciężką próbę.

- Jeszcze nie wyzdrowiał - wtrąciła się Hati. - Potrzebuje od poczynku.

Bezużyteczne wymówki, jeśli chodzi o Iłę.

- Nie, stawię się - stwierdził Marak.

- A więc pojedę z tobą - zaproponowała Hati.

• Lepiej nie. - Hati i Ila były pory wcze, a cierpliwość obu została ostatnio mocno nadweryżona. - Oddaj mi przysługę i zostań tu.

Hati zmarszczyła brwi. Marak zapamiętał to chmurne spojrzenie i odjechał z Memnananem, kierując się prosto między czerwone szaty.

Na czele grupy jechała sama Ila, spowita w czerwień, z dłońmi osłoniętymi rękawiczkami przed słońcem.

- Ila - przemówił Memnanan. - Przeprowadziłem go na twój rozkaz.

Marak zbliżył się do kapitana.

- Jestem.
- Posłałam po ciebie zeszłego wieczoru! - rzekła z irytacją Ila. - Gdzie byłeś?
- Umierałem.
- Zasłużenie! Odjechałeś wbrew mojemu rozkazowi!
- Teraz jestem przy tobie. - Była to stara wymiana ustępstw, a nie bezrozumny gniew. Zamiary, zachowanie Ili oraz jej panowanie nad gniewem uspokajały Maraka. - Chciałaś czegoś?

• Co to za dziecko?

• Córka mojej żony - odparł. - Moja córka. Przyjmuję ją za swoją.

Ila nie spojrzała na niego, lecz pociągnęła nosem i patrzyła prosto przed siebie; Marak nie wiedział, o czym myśli, dopóki nie zapytała:

• A Tain? Strzelił do ciebie Tain. Tain cię pokonał, Maraku Trinie.

• Owszem. - Nie dało się temu zaprzeczyć. - Haga stracili w pościgu czterech ludzi, zastrzelonych z zasadzki, więc nie sądzę, że był sam. Rhonan pomagali mi go szukać w tyle karawany tak daleko, jak chciałem, ale on kluczył w poprzek kolumny. Zgubiliśmy ich podczas burzy.

• Tych, którzy mu pomagali.

• Wiem, że zgromadził popleczników. Nie jest to chyba armia. Gdybym tak uważał... byłbym zaniepokojony.

• Wioskom zaczyna brakować wody - rzekła Ila, wciąż w kapryśnym nastroju, i poruszyła dłonią w czerwonej rękawiczce, kreśląc elegancką spiralę ulotności, wznoszącą się w niebo. - Nawet do picia. Tak słyszałam. Ty podczas swoich podróży mogłeś odkryć wodę.

• Znajdziemy ją w Pori. Tak jak planowaliśmy. Jest tam studnia, jedyna dobra studnia, na jaką się natkniemy.

• Nie musisz mi mówić, gdzie są źródła - rzekła wyniośle Ila. - Wiem o Pori.

• Wszystko toczy się zgodnie z planem - stwierdził Marak. - Mniej więcej. Niektóre wioski być może wypłyły więcej, niż powinny. Nie mają doświadczenia na Lakht. Co możemy jednak zrobić poza ograniczeniem własnego zużycia? - Mówił to do

kobiety, która codziennie brała kąpiel, której codzienne picie herbaty opóźniało marsz kolumny. - Luksus dla jednej osoby może oznaczać życie lub śmierć całej wioski, Ila.

• Luksus, powiadasz.

• Nie myj się, Ila! Do wody nie jest tak daleko. Trochę pyłu da się wytrzymać.

• Ty to potrafisz?

• Wszyscy potrafimy, Ila. Zrezygnuj z południowej herbaty. Ponieś jakąś ofiarę!

• Po co? Czy idącym na końcu przybędzie od tego wody? Zawiesz im ją? Zostawisz ją dla plugastwa? O, ja znam te wasze wioski. Niektóre mogą zacząć rabować sąsiadów, a na dodatek kręci się tam Tain Trin Tain i wzbudza niepokoje. Niektóre wioski postanowiły się klócić, kiedy nawet niepiśmienne plemiona łączą się, by nas bronić.

-Plemiona nie będą szanować przywódczyni myjącej ciało wodą, którą mogliby wypić ludzie - odparł Marak. - Taka jest prawda, Ila.

• A czy szanują człowieka, który przestaje prowadzić karawanę dla jakiegoś kaprysu w przyływie gniewu?

• Moje żony znają drogę. Ani razu nie zabłądziliśmy. Ufaj choćby Norit.

• Ufaj Luz - rzekła drwiąco Ila. - Ufaj wszystkowidzącej Luz, która przygotowuje nam schronienie, która pertraktuje z ondat i ich okłamuje. Powiedz mi, dlaczego powinieneś żyć.

Przyszło mu to na myśl jak jedna z jego wizji, oszałamiająca, wyraźna i wszechogarniająca: powinien bać się tej groźby, ale zupełnie na niego nie zadziałała.

- Ponieważ, Ila, nikt inny nie służy jednocześnie tobie i Luz, a bardzo niewiele osób mówi ci prawdę. I ty, i ja wiemy, że już dawno mógłbym zabrać ludzi ze sobą i zostawić cię sam na sam z niechętnymi ci plemionami; wiesz, że już pierwszego dnia

mógłbym odjechać z własnym namiotem i garstką przyjaciół - ale tego nie zrobiłem. Nie zrobiłem tego, ponieważ jesteś ważna dla świata, a cóż ja wiem poza tym? Tylko tyle, ile mówi mi Luz, a nie sądzę, by wystarczyło to do przeżycia reszty życia, chcę więc, byś dotarła tam żywa. Chcę, żebyście razem z Luz załatwiły sprawę z ondat i ocaliły tych z nas, którzy jeszcze zostali przy życiu. Zostają więc i mówię ci prawdę. Prześnią się kąpać w naszej wodzie, zwracaj uwagę na to, co ci mówią plemiona, a przede wszystkim zdobądź ich lojalność, Ila! Żadną miarą nie zrobisz tego, kąpiąc się w wodzie do picia. Zdobądź ich lojalność, ponieważ nas stworzyłaś, i bądź bogiem na ziemi. Znasz nas jako nasza matka i nasz bóg. To ty stworzyłaś stworzycieli, którzy uczynili ten świat, i bez ciebie nie mamy nadziei na poznanie, kim jesteśmy, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy robić. Jeśli chcesz poznać tajemnice, którymi dziele się z moimi żonami, wezwij au'it i jeśli uznasz, że zagrażam twemu życiu albo władzy, każ Memnananowi mnie zastrzelić. Ja jednak sądzę, że cię wspieram. Sądzę, że chcesz, by ktoś ci mówił to, co ja, by mówił nieprzyjemne prawdy, bo inaczej nie wezwałabyś mnie na rozmowę. Ani ty, ani ja nie jesteśmy szaleni. Oboje jesteśmy straszliwie, niezdrowo zdrowi na umyśle, i będziemy żyć, ponieważ nie mamy żadnych złudzeń i strzelanie do nas nie kończy się naszą śmiercią, prawda?

Nastała cisza, a czerwony półprzezroczysty zawój krył wszelkie zmiany wyrazu twarzy Iii. Marak widział ją z profilu; zastanawiała się nad jego słowami.

• O, my mamy wiele złudzeń - rzekła w końcu. - Kształtujemy je i stwarzamy, a teraz jedno z nich urosło na tyle, by nazywać się równym mnie.

• Równym tobie i Luz - poprawił ją. Czy opętała go Luz, czy też sam rzucał się ku śmierci, w tej chwili postępował z najwyższą lekkomyślnością, ale ujrzał całe życie wiszące na włosku i miał już dosyć zagrożenia, jakie stwarzała ta kobieta. - Bo beze mnie i bez Hati obie siedziałybyście spokojnie, a większość świata by zginęła. Ty nie wiesz, jak być kochaną. Mogę ci powiedzieć: uratuj tym ludziom życie. Jeśli potrafisz, użyj swoich stworzycieli: wzmocnij ludzi na tyle, by dotarli do wieży, a co potem zrobicie sobie nawzajem z Luz, to wasza sprawa. Dopóki tam nie dotrzemy, sprawa jest moja.

-Maraku - odezwał się cicho Memnanan ze spóźnionym, rozpaczliwym ostrzeżeniem w głosie. - Uspokój się.

- Śmiesz mu rozkazywać, by się uspokoił? - zapytała Ila. - Śmiesz?

• Jest naszym przewodnikiem, Ila. Musimy zapewnić mu bezpieczeństwo.

• Zatem dopilnuj, by się nie oddalał - rzekła ostro Ila. - Dopilnuj, by nie był takim głupcem.

• Dobrze - odparł Memnanan.

• Tain wie, który namiot jest mój - rzekł Marak, przewidując, że zaraz zostanie odprawiony. - On czekał w zasadzce. To oznacza, że obserwuje. Zna rozkład tego obozu, a to oznacza, że wie, który namiot jest twój. - Zauważył, że Ila po raz drugi skupia na nim uwagę. Wiedział, że Memnanan go słucha. - Tain może znajdować się w pobliżu, prawdopodobnie śledzi nas i zastanawia się, co może zrobić ze strzegącymi cię Haga i Keran. Jeśli towarzyszący mu ludzie są rozsądni, to widzieli plemiona w tym obozie i wiedzą...

• Nie jestem głupia!

• A zatem posłuchasz rady.

• Ilu twoim zdaniem on ma ludzi?

• Dwudziestu, może więcej. Rzadko lubi poruszać się w większej grupie. Ilu może być lojalnych względem niego... naprawdę lojalnych... może stu. Wątpię, żeby zebrał więcej mężczyzn na tyle silnych, by jechać u jego boku.

• Znasz ich imiona?

Nagle, znając bezwzględność Iii, zrozumiał, do czego to zmierza. I nie zgodził się na to.

• Szaleństwem byłoby tam wrócić i rozprawić się z nimi. Popełnij jeden błąd, zgładź jednego niewinnego człowieka, a wybuchnie wojna.

• Kapitanie!

• Ila - odparł Memnanan, a otaczające ich au'it gorliwie pisały.

• Słuchaj, jakie wydaję mu polecenia! Nie oddalaj się ponownie, Maraku Trinie Tainie. Nie wolno ci opuszczać tego obozu bez mojego pozwolenia. Zapiszcie to!

• Nie zamierzam - rzekł Marak. - Chyba że nagle dostrzegę jakiś sposób na wyeliminowanie zagrożenia Iii.

• Czy ci tego nie zakazałam? Chyba zakazałam!

• Strzeliliby do ciebie zamiast do mnie, gdyby mógł przeniknąć tak daleko w głąb obozu i miał

pewność, że się zeń wydostanie!

Nie jest głupcem. Chce rządzić, a nie zginąć. Nie jestem pewien, czy ty wiesz, czego chcesz.

- Maraku - znów upomniał go Memnanan.

-Nie, niech mówi, co chce. I niech słucha! Uratowałam wszystkich żywych tego świata.

Zachowałam życie dzieci ich dzieci i ze względu na moją wygodę i długie życie było to rozsądne posunięcie. A teraz wygląda na to, że obraziłam wrogów, których nigdy nie poznałam, z którymi nigdy nie walczyłam. Luz wini mnie za to, że ci wrogowie chcą zniszczyć ten świat. Tain Trin Tain wini mnie za ściąganie podatków. A jednak kiedy wichura kładzie plony na polach, przychodzi do mnie rolnik i mówi: „Ila, nie mamy jedzenia”. I co ja powinnam powiedzieć? Że nie mamy magazynów? Czy Luz będzie miała magazyny? I w czym ona jest lepsza ode mnie? W czym niby jest lepszy Tain i co zrobiłby dla świata na moim miejscu?

• Nie mogę rozmawiać o Tainie - stwierdził Marak słabym głosem. - Nie rozumiem Luz. Ja tylko wiem, gdzie jest woda i bezpieczne schronienie. Więcej nic nie wiem, ale to wystarczy, żebym tu był równy tobie. Kiedy doprowadzę cię do Luz, moje zadanie się skończy i stracę wszelkie znaczenie. To moje największe pragnienie, stracić wszelkie znaczenie.

• Nieprawda.

• Co nim zatem jest?

• Ujść z życiem - rzekła Ila. - Jak drogie będzie ci to pragnienie za sto, dwieście, trzysta lat? Jak drogie ci ono będzie, kiedy dwa, trzy razy będziesz świadkiem śmierci całego świata? I jak będzie cię kusiło wyeliminowanie partactwa, głupoty i piekielnego marnotrawstwa u głupich stworzeń, które powtarzają te same błędy, umierają i karmią następne pokolenie stworzycieli, a potem jeszcze jedno i jeszcze jedno... Ja was prowokuję, a wy nic nie robicie! Depczę was, a wy becycie, że mnie potrzebujecie! Ocalam wasz świat, a wy niczego się nie uczycie! Chcesz mojej władzy? Weź ją sobie, a nim upłynie połowa mego życia, będziesz się kąpał w pitnej wodzie.

Ila jechała obok niego, otulona szatami, stanowiąc zagadkę zamiarów, mając pod bronią oddanych ludzi, w drodze do schro-

nienia oferowanego przez wroga, którego głębszych pobudek nie znał także Marak.

Całe jego doświadczenie mówiło mu, że nie ma nic gorszego od okłamania Iii, że jej zdrowie psychiczne jest równie niepewne jak jego i że w każdej chwili, kiedy Ila nie zastanawia się nad jego słowami, jemu, Memnananowi i wszystkim, których kocha, grozi niebezpieczeństwo.

• Należysz do mnie? - zapytała Ila.

• Nie należę do niej - odparł.

• A gdybym ci powiedziała, że to ona jest wrogiem ondat?

• Gdyby to była prawda, dlaczego mieliby ocalić jej wieżę, a zniszczyć twoją?

Ila odrzuciła zawój i wystawiła twarz na wiatr.

• Doprawdy? Skąd wiesz, że robią to, co robiliby rozsądni ludzie? A czy ci ondat to twoi przyjaciele?

• Nie - odparł. - To mało prawdopodobne. Co do tego się zgadzamy.

• Ach. Coś takiego. Czy zatem ona jest wrogiem ondat, którzy niszczą nas, by wypełnić swoje prawo... a reszta nam podobnych - a są tacy, Maraku Trinie! - pozwala im na to w swoim niedbalstwie? Ale żebyś tak się nad tym zastanowił, Maraku Trinie, powiem ci coś, co moim zdaniem rozumie też Memnanan. Jeśli nie, wyjaśnij mu to. Wierzę wyłącznie we własny dobrze pojęty interes. Moim zdaniem odkryłeś, co nim jest dla ciebie i dla mnie. Zapewniłeś sobie bezpieczeństwo w moim towarzystwie. Uczyniłeś z siebie osobę niezbędną, osobiście niezbędną. Zabawiaj mnie dalej, Maraku Trinie. Na tej nitce wisi twoje życie i dalej będzie wisiało. Od stu lat nie miałam męża. Uważasz się za szczęśliwca?

Marak, odezwały się z oburzeniem głośno. *Marak, Marak, Marak*, jakby nie chciały mu pozwolić na głębsze myśli, na głębsze pytania, na działanie zgodne z tymi myślami i pytaniami albo na trzeźwe przyjęcie oburzającej propozycji Iii. Świat gwałtownie przechylił się na wschód, *na wschód!* Marak zachwiał się w siodle, prawie zemdlął od zawrotu głowy i musiał się chwycić łęku siodła.

Podtrzymał go też Memnanan, który jechał blisko z lewej strony.

• Zdenerwowałam Luz - rzekła Ila do Maraka. - Biedna Luz. Pociesz ją. I nie oddalaj się od kolumny.

• Ila - powiedział; nie miał pojęcia, co myślała Luz albo Ila, i co obie chciały powiedzieć. On mówił o bezpieczeństwie wszystkich ludzi na świecie, a Ila sprowadzała to do osobistej sprzeczki.

To zupełnie jak kąpiel w wodzie do picia. Sprowadzało to kwestię przeżycia do kwestii jedności.

Ale czy odmawiali picia wody? Nikt nie odmawiał.

Ściągnął wodze. Rozumiał warunki Iii i jej argumenty. Robiła to, na co jej pozwalali, a pozwalali jej, ponieważ była bogiem na ziemi... ponieważ bez niej nie mieli boga ani diabła, oprócz ondat, a nikt z całej karawany nie chciał zastanawiać się nad stawieniem im czoła: większość ludzi nawet nie rozumiała, że ondat istnieją. Dla nich Ila była wszystkim i nawet Luz nie była rzeczywista.

- Memnananie - rzekła Ila, kiedy Marak się wycofał. - Pilnuj go. Jeśli ci życie mile, pilnuj go. Nie pozwól, by złamał rozkaz.

Memnanana nic nie chroniło. Ila groziła własnemu kapitanowi. Jeśli tylko istniał jakiś środek nacisku, to go znajdowała.

I miała rację: ci, którzy zniszczyli tyle istnień, nie są przyjaciółmi. Ci, który chcą zniszczyć tyle istnień, nie nadają się na rządzących. To była cała odpowiedź, jaką Marak zdołał wykrzesać ze swego poobijanego rozumu: że ich nadająca się do rządzenia władczyni jest bardziej szalona od szaleńców i że kiedyś w swym długim życiu była zdrowsza, ale że wciąż - z przyczyn, których większość nigdy nie rozumiała - jest ich bogiem, ich drogocenną władczynią, definicją tego, czym są. Czy to, że ze wszystkich sił starała się, by ją znienawidzili, a kiedy nie udawało im się jej zabić, oszczędzała ich, zawdzięczali jej cnotom, jakimś resztkom rozsądku?

On, z drugiej strony, nosił w sobie stwórcy Luz. I co właśnie spróbował zrobić? Pojechał za Tainem, a teraz przeciwstawił się Iii.

Postanowił dokonać jeszcze jednego szalonego czynu i pojechał w kierunku czoła kolumny, zmuszając Osana do biegu. Bolał go bok, drgały mu nawet korzenie zębów, ale Marak nie skończył z szaleństwem. Wjechał między członków plemienia Hati i zbliżył się do grupy, w której jechał Aigyan i jego domownicy, wszyscy na wysokich, bogato przystrojonych wierzchowcach. Towarzyszył im dźwięk dzwoneczków. W słońcu lśniły miecze, a czasem długa lufa. Była to uzbrojona potęga, z którą musieli się liczyć tacy jak Tain i sama Ila, i która nie słuchała ani Hati, ani jego.

Przybyła jednak do jego obozu i rozstawiła namioty wokół Maraka; chciał, by ta potęga uzasadniła swoją obecność.

- Orni - powiedział, skłaniając się z szacunkiem w siodle, a au'it, jego au'it, która pognęła za nim na spotkanie z Ilą, a te raz go dogoniła, otworzyła swoją księgę, ledwie zdążył wypo wiedzieć to jedno słowo.

Marak, powiedziały jednak głosy; czy au'it mogła zapisać, że Luz jest poruszona, może oburzona? Chciała, by skupił na niej uwagę. Ila ją rozbudziła i teraz Luz wróciła, a wraz z nią nieustanny harmider głosów. Marak odsunął Luz i jej pretensje w zakamarki umysłu. Zamierzał odzyskać panowanie nad własnym obozem.

• Obudzony i żywy - zauważył Aigyan, oglądając się na Maraka. - Kule mają zatem nad tobą równie małą władzę, co rozkazy Iii.

• Szaleńcy szybko wracają do zdrowia. - Rozgniewane głosy wzniosły się niemal do granicy szaleństwa i Marak z uporem walczył o przeprowadzenie swego zamiaru. - Przybyłem, by złożyć należne wyrazy szacunku, omi. Kiedy się cofnąłem, by załatwić sprawę z moim ojcem, otrzymałem pomoc od ciebie, od Haga i Rhonan. Oni też wysłali czterech mężczyzn i stracili ich w starciu z Tainem; jestem im winien ich życie oraz życie mojej matki. - W stosunkach z plemionami rachunek przysług i krzywd miał znaczenie i Marak miał tego świadomość na długo przedtem, nim poznał Hati. - Kiedy odzyskałem córkę mojej żony Norit, byli ze mną Rhonan. Dziecko przebywało w wiosce Tarsa. Rhonan pomogli mi je odzyskać, ale nie udało mi się odszukać Taina. Jeśli chodzi o moje tutejsze zobowiązania, miałem pełne zaufanie do an'i Keran, mojej żony. Nic nie rozczarowało ani mnie, ani jej, ani moich krewnych. Kończy nam się woda, ale nie jesteśmy już tak daleko od Pori.

Aigyan wzruszył ramionami, zupełnie tak, jak robiła to Hati, co oznaczało odpowiedź na wiele rzeczy: przyjmuję to, co mówisz, z zadowoleniem albo nie.

• Przekaż moje pozdrowienia Menditakowi, kiedy się z nim zobaczysz... jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś.

• Dobrze. - To było pytanie oraz prośba o informację, co uznał za ważniejsze: pokrewieństwo czy oficjalne zwierzchnictwo; odpowiedź Maraka, wskazująca, że nie widział się jeszcze z Menditakiem, chyba ucieszyła Aigyana. Powody, dla których Aigyan i Menditak zawarli pokój wodny, mogły sięgać dalej i głębiej, niż przyznawali. Wykorzystywali swoich krewnych. Przybyli do nich i żaden z przywódców nie pozwolił drugiemu zagarnąć wszystkich korzyści. Teraz oba plemiona dzierżyły władzę. - Doprowadź nas do Pori, orni. Za oazą jest szlak prowadzący przez krawędź. Nie można zgubić drogi. Ale najpierw woda. Wioski rozciągają się daleko w tył i sytuacja tylko się pogorszy. Bez względu na to, co robi Ila, bez względu na to, co usłyszycie od kapłanów czy kogokolwiek innego... - Głosy czyniące hałas w głowie Maraka już się z nim spierały. - Musimy dotrzeć do wody.

Aigyan przyglądał się mu przez chwilę.

- Poza krawędź Lakht - powiedział. Żadne rządzące plemię nigdy jeszcze nie opuściło Lakht, tego centrum jego terytorium. - Do tej wieży na środku niziny. Mamy więc znaleźć ten raj, tak? Życz temu złodziejowi wody, twemu wujowi, spokojnego dnia.

- Dobrze. - Marak rozumiał tę niełatwą umowę, w której Aigyan pokładał umiarkowane zaufanie. Aigyan rzucił mu wyzwanie, ponieważ Marak przybył do niego i ustalił kierunek podróży. Postawił się na równi z Aigyanem, jeśli nie z Ilą, i będąc w jego oczach parweniuszem, nie doczekał się od Aigyana pełnej kurtuazji. Plemiona znajdowały się tu ze względu na pokrewieństwo z nieżywymi i wzajemną rywalizację, ale nie po to, by ratować Maraka. *Marak, Marak, Marak*, mówiły głosy, przynaglając go do skierowania się na wschód. Im też się przeciwstawił. - Pori -powiedział. - Jeśli dotrzemy w to miejsce, ci, którzy zechcą, mogą tam zostać albo się odłączyć. - Był przekonany, że ci, którzy

zostaną albo odłączą się od karawany, zginą. Odpowiadał za karawanę, a głosy popędzały go *na wschód*, nie zważając na to, że na wschodzie ciągnął się długi, niemożliwy do pokonania grzbiet, a za nim urwisko. *Pori*, powtórzył z uporem Marak i ściągnął wodzę, zostając w tyle. - Do zobaczenia w Pori.

Zwolnił, oszołomiony, osaczony przez sprzeciwiające się głosy, pozbawiony wszelkiej zdolności do sprzecznania się z Aigya-nem, ale bez względu na kaprysy Iii, kapłanów i wolę Luz, przekazał głównemu przewodnikowi swoje życzenia co do kierunku i zrobił to z mocą. Au'it, która przyjechała za nim, zwolniła teraz, mocując się ze swoim beshą, który chciał iść za innymi. Marak po prostu jechał coraz wolniej i dawał się wyprzedzać kolejnym beshti, aż w końcu znalazł Norit i Hati.

Teraz jechała obok nich Patya, niewątpliwie zastanawiając się, czy jej brat znów oszalał.

- Czego chciała Ila? - zapytała Hati. - I co z tym wspólnego miał Aigyan?

-W obu przypadkach chodziło o uprzejmość. Chcieli wiedzieć, jak wielkiego dumia chęć z siebie zrobić po tym wszystkim. Nie mogą jednak obrazić Menditaka. Zaraz wracam. -Rzucił okiem na Patyę. - Zostań z nimi. Cały czas bądź w zasięgu wzroku Hati i Norit, słyszysz? Jeżeli dostanie cię w swoje ręce twój ojciec...

- To ty jesteś szalony! - zawołała Patya. - Uważaj na siebie!

- Masz rację - odpowiedział, a au'it wszystko zapisała. - Już więcej tego nie zrobię. Ale ty nie bądź równie szalona. Słyszysz?

Pamiętał to, czego Patya nie mogła pamiętać: zmartwioną matkę, kiedy urodziła córkę, i ponurego Taina, który całą noc pił i rozbijał gliniane naczynia, ponieważ miał córkę, a nie drugiego syna.

Pamiętał też rzeczy, jakie mogła pamiętać i Patya, która już bardzo wcześniej skarżyła się mu, że nie urodziła się jako chłopiec. Ona jedna w rodzinie nie miała złudzeń. Była zdrowa na umyśle i wiedziała, że ojciec jej nie kocha. Tych rzeczy au'it nie mogła zapisać. Nawet Hati nie wiedziała o bólu, jaki zadawał Tain na długo przed zamordowaniem Kaptai.

- Teraz jest nas w domu czworo - powiedział Marak, jadąc obok Patyi i zamykając się na głosy. - Tain nie jest już naszym ojcem. Hati i Norit są twoimi siostrami. To dziecko to Lelie, nie chciane przez ojca. Nie jestem pewien, czy chce ją Norit, kiedy ogarnia ją szaleństwo. Pomóż jej.

W oczach Patyi wciąż czały się cienie śmierci Kaptai i nienawiści Taina, była też w nich jednak odwaga. Zawsze tam była, lepsza, spokojniejsza odwaga od odwagi Maraka.

- Wszystko w porządku - powiedziała Patya, zaciskając usta w wąską linię. - Zdobędę męża. Jeśli nie spadnie na nas ta skała z nieba. Wyjdę za kogoś do pomocy.

- Mam dość pomocników - odparł. - Wyjdź za mąż z miłości. Chciałbym, żebyś zapewniła domowi nieco spokoju. I trzymaj się środka obozu. Nie zbliżaj się do zewnętrznej krawędzi, a ja ci obiecuję samo.

Od tej chwili co noc i co dzień oboje będą musieli się bać, że ich własny ojciec może czyhać na życie któregoś z nich albo kogokolwiek, o kim Tain będzie sądził, że im na nim zależy. Ubrał to w słowa i wiedział, że kiedyś ta waśń będzie musiała zakończyć się rozlewem krwi.

Ale nie dzisiaj. Nie w tej chwili. *Marak, Marak*, nagliły głosy. *Na wschód, na wschód*, kiedy życie i woda leżały na południu. Luz będzie doprowadzała go do coraz większego szaleństwa. Będzie nękać Norit i Hati - które muszą słyszeć to samo wołanie i na pewno jest im trudniej mu się opierać - by sprowadziły karawanę z urwiska. Marak nie pozwoli, by Luz rządziła życiem Patyi. Patya zawsze i niezmiennie była zdrowa na umyśle.

- Zostań z Hati - polecił siostrze. - Wróć, zanim rozbijecie obóz. Nie będę się zbliżał do skraju. Hati?

Hati natychmiast zwróciła na niego wzrok.

- Woda - powiedział. - Woda, w Pori, przede wszystkim.
- Coś się stanie - rzekła Hati, a Norit dodała z szalonym spojrzeniem:
- Nie ma czasu, Maraku.
- Akurat.

Drugi raz ściągnął Osanowi wodze; au'it trzymała się blisko niego. Coraz bardziej zostawali w tyle, mijani przez tabor Iii i wszystkich jej służących, urodzonych w mieście mężczyzn i kobiet odzianych w biel pod ostrym, jaskrawym słońcem. *Marak*, powiedziały głosy, a skała uderzała w kulę, wyraziście, uporczywie. Luz denerwowała się coraz bardziej.

- Rozumiem cię - mruknął do niej. - Ale chyba chcesz dostać te przekłete księgi, prawda? Z każdą ginącą wioską tracisz jedną z nich.

Wizja powtarzała się raz po raz, oślepiając go. Przetarł oczy. Znajdował się już wśród Haga, najlepiej znanego mu plemienia.

Odszukał Menditaka. Przywódca jechał owinięty aifadem, zamyślony, pograżony w żalobie lub gniewie - trudno było stwierdzić. Ramiona pokrywała mu warstewka pyłu. To była oznaka żaloby po Kaptai, po czterech zacnych mężczyznach. Marak nie miał pojęcia, kim mogli być, jego wujami czy bliskimi Menditaka. Miał tu do spłacenia dług i przyjechał z odsłoniętą twarzą, szalony, rozprasany przez wizje.

• Orni - odezwał się do Menditaka, zgarniając przytomność umysłu na jedną zwartą stertę. - Musiałem wrócić. Zaryzykowałem karawanę, by go ścigać. Nie poddałem się jednak. Zdałem sprawę Iii i Keran, ale to ty, orni, jesteś moim ojcem. Nie mam innego.

• Tain Trin Tain umrze - rzekł Menditak z aifadu. - Wieści już się rozeszły.

• Przyłączyli się do nas Rhonan - poinformował Marak; to „nas” oznaczało plemię. - Pomagały mi też niektóre wioski. Tain przegrał. Nie będzie mile widziany tam, dokąd zmierzamy. Dotrzemy do wody w Pori i zejdziemy z krawędzi, a jeśli on zostanie na Lakht, to umrze. Umrze, jeśli zbliży się do nas. Nie ma wyboru, omi. Ode mnie nic nie wydobędzie.

• Umrze - powtórzył Menditak i zapytał ostrożnie, co powiedział Aigyan, a także o Rhonan i ich przywódce; cały czas syn Menditaka był w pobliżu i wszystkiego słuchał, podobnie jak wszystko zapisywała au'it.

• Nic nie wiem o twoim raju - rzekł Menditak. - Ten złodziej wody Aigyan wkroczył do akcji w tym samym czasie, co my, i twierdzi, że przewodzi karawanie. To nie pora na kłótnie. Ta dziwka w obozie kąpie się w wodzie, a uczciwym matkom brakuje jej do picia. Ale my czekamy, Maraku. Czekamy. Powiedz to Iii. Znadjemy ten twój raj.

- Przedtem będzie Pori - powiedział Marak, a głosy w jego głowie podniosły taki sprzeciw, że rozboleły go skronie. - Ty przeżyjesz, a Tain nie.

Nie potrafił dobrać zwrotów grzecznościowych ani iść zawilim tropem plemiennego obyczaju. Po prostu nagle pojechał naprzód; jego ręce robiły jedno, a umysł pograżył się w wizjach, którym towarzyszył nieustający szept w głowie.

Mijał szeregi jeźdźców. Na spotkanie wyjechała mu Norit.

- Zbliży się - powiedziała. - Nadchodzi. Nie da się zatrzymać.

Norit często majaczyła właśnie o czymś takim.

- Gdzie jest dziecko? - zapytał szorstko, usiłując przywołać do rozsądku i siebie, i ją. - Gdzie jest Lelie?

Tylko wprawił ją w pomieszanie. Norit cofała się wzdłuż karawany, wykrzykując, że zbliża się ogień z nieba, i budząc przerażenie wśród sług Iii.

Podjechał do przodu, do Hati i Patyi, która trzymała na siodle przed sobą Lelie.

- Czy Norit cię znalazła? - zapytała Hati i spojrzała za plecy Maraka, ale Norit tam nie było.

Możliwe, że au'it zapisała i to.

• Mam za nią pojechać?

• Wiem, gdzie jest - odparł. Nie potrafili się pogubić. W chwili, kiedy zaczął się zastanawiać, znał już odpowiedź i wydawało się, że tak samo ma się sprawa z Hati.

• Ja też - powiedziała. - Córką jej nie obchodzi. Norit chciałaby się nią zająć, ale Luz nie. Patya obiecała pomóc. Lensa też się włączy.

To matka Memnanana, która jechała z jego żoną, Elagan: nazywali ją Laga, a była to kobieta

silniejsza, niż wydawało się to możliwe. Wytrzymała jazdę dzień po dniu, czasami dzielnie się uśmiechając - podczas gdy Memnanan musiał demonstrować swą wierność gdzie indziej, a ona coraz bardziej zbliżała się do chwili rozwiązania. Lensa i ciotki, słabe, a jedna chorowita, miały dość własnych zajęć, a Marak przywiózł Lelie ku utraeniu wszystkich... by walczyć z Luz o zdrowie psychiczne Norit, a teraz Norit pojechała na tyły karawany, głosząc zniszczenie, marnując siły swojego beshy i strasząc wszystkich, którzy chcieli jej słuchać, wśród służących Iii i plemion, bo tylko do nich potrafiła dotrzeć.

Do nich i do kapłanów, pomyślał Marak.

Właśnie im zaniósła swoje przesłanie, a oni przekazywali je wszystkim innym, prosto, wyraźnie, bez zniekształcania czy interpretowania. W tym tkwiła ich wartość dla Hi - oraz dla Luz.

Wieść będzie się rozchodzić tak szybko, jak szybko można przekazać słowo podczas południowego odpoczynku, tak szybko, jak pojedynczy kapłani będą mogli dotrzeć do pierwszych wiosek i wioskowych kapłanów, a ci do wiosk posuwających się za nimi.

- Powiedz im, że w Pori jest woda - mruknął Marak do Luz. - Niech zrobi coś pożytecznego.

Straszenie wszystkich jest diabelnie nieużyteczne.

Na wschód, usłyszał w głowie. *Na wschód, na wschód, na wschód*, a wraz z tymi słowami owładnęło nim wszechogarniające wrażenie konieczności, lecz Marak mu się oparł. Oparły mu się potrzeby całej karawany, której zaczynało brakować wody. Celem jej podróży była Pori.

Rozbili obóz. Musieli, a Marak osiągnął granice swych odzyskanych sił. Siedział na ziemi, póki niewolnicy rozstawiali namiot, i pozwolił, by Osana rozsiodłał Hati.

Dziwna rzecz, ale choć niebo niczym nie groziło, w każdym namiocie rozwinięto boczne poły ze wszystkich stron, z wyjątkiem tych zgodnych z kierunkiem marszu, co zarówno dawało głęboki cień, jak i nie pozwalało na swobodny ruch powietrza.

Zasłaniało to także widok każdemu, kto chciałby znaleźć wewnątrz namiotów jakiś cel.

Wróciła Norit, mniej szalona niż wtedy, gdy odjeżdżała. Usiadła pod namiotem i Patya podała jej niespokojną i zdezorientowaną Lelie; w tych okolicznościach jej zachowanie było naturalne.

Jeszcze przed południowym posiłkiem Lelie zasnęła na kolanach Norit, która głaskała ją po delikatnych włosach.

- Chodźcie - powiedział Marak do Norit, do Hati. - Połóżcie się. Dziecko też.

Posłuchały. Ich maty leżały obok siebie. Lelie wierciła się, wciąż nękana gorączką, i znalazła sobie nowe miękkie miejsce między Norit i Marakiem. Matka Memnanana i jej towarzyszki siedziały w jednym rogu namiotu, a Tofi i grupka Maraka w drugim, ale kiedy wszyscy wyszli, by wraz z innymi napełnić miski u wspólnego kotła, a potem wrócili do środka, usiedli w jednym kręgu.

Lelie, wciąż niespokojna, znalazła wtedy współczucie u matki Memnanana; przestała drapać gojącą się ranę i dała się utulić na kolanach staruszki. Matka szacownego kapitana samej Iii karmiła wiejską przybłądę, a jego brzemienna żona, której było niewygodnie w każdej pozycji, patrzyła na to z uśmiechem zmieniającym jej zwyczajną, szczupłą twarz w oblicze niezwyklej kobiety.

Patya i Tofi siedzieli obok siebie i rozmawiali. Marak położył się z Hati, tylko z Hati, zostawiony na chwilę w spokoju. Czasami zastanawiał się, jak to jest, że może przeżyć taki dzień i nagle pomyśleć o kochaniu się ze swoją żoną. Na myśleniu się jednak skończyło.

Chodź do łóżka, Norit, pomyślał, ale tego nie wypowiedział.

Dzieci tak szybko rosną i się zmieniają. Może Norit nie wiedziała, gdzie zniknęły brakujące tygodnie. Dwa, trzy miesiące i dziecko już nie było niemowlęciem, które pamiętała. Nikt z nich nie odzyskał tego, co stracił. Wszystko tak szybko wymykało im się z rąk.

Przed oczyma Maraka przetoczył się ogień. Ogniste pierścienie rozchodziły się jak kręgi na wodzie...

Marak, powiedziały głosy i dodały coś jeszcze. Kochanie stało się niemożliwe.

Niech piekło pochłonie Iłę, Luz i ondat. Marak zaczął widzieć wznoszące się konstrukcje. Odciał się od Luz, przypominając sobie muzykę, głosy, przypominając sobie dziedziniec i ogród i starych niewolników zbierających owoce. Idź do diabła, powiedział do Luz. Linie zmieniły się w podstawę muru ogrodu. Głosy stały się szmerem wody.

Ziemia zadrżała, przypominając mu, że to jest jednak Lakht, a godziny snu są bezpowrotnie straconymi godzinami życia.

Rozdział 22

„Anlakht to ziemia śmierci, ale także matka studni i wód. Na szczęście dla świata za Quarain leżą góry i przechwytyją wodę, która wznosi się na wietrze. Ten dar przechodzi przez twardą skalę Quarain i zasila studnie Lakht.

W ten sam sposób Lakht zsyła wodę na niziny, zmieniając gorzką wodę w słodką. Najmniej gościnna ziemia żywi wszystkie inne. Dzięki temu żyje cały świat.

Ja jestem Anlakht, którą sama stworzyłam”.

- Księga Iii

Kiedy jechali tej nocy poprzez wydmy, spadały gwiazdy, mnożąc smugi światła na nocnym niebie. Niektóre gwiazdy znikwały za odległym grzbietem, za krawędzią Lakht. Inne tonały w zimnych falach piasku rozpościerającego się przed karawaną.

Jedna wybuchła im nad głowami, zostawiając za sobą powoli wirujący ślad.

Marak, Marak, Marak, mówiły bezustannie głosy, nie dając mu żadnego odpoczynku. Norit jechała z Lelie śpiącą na łęku siodła; miała zamknięte oczy, słuchając albo mając wizje, Hati natomiast spuściła głowę i uparcie starała się zasnąć.

Wraz z upływającym czasem wydłużał się grzbiet widniejący na wschodzie. Piasek ciągnął się na południe równą płaszczyzną. Prowadziła tędy droga ku krawędzi, którą jechali poprzednio, omijając Pori. Noc oszalała, przecinana raz po raz smugami ognia.

Na wschód!

Głosy nagle zdwoiły wysiłki, jakby wieża właśnie obudziła się ze snu i odkryła, gdzie znajduje się karawana.

Marak! Na wschód! Już!

Marak zagryzł wargę i nie zbaczal z wyznaczonego przez siebie szlaku, tak jak polecił przywódca Keran, który był głuchy na głosy i ślepy na wizje.

Lelie zaczęła płakać, być może nękana prorocstwem nawet w tak młodym wieku.

Norit nagle ściągnęła wodzę swojego beshy i skierowała go w bok, zajeżdżając drogę jadącym za nią. Tofi i Patya ledwie uniknęli zderzenia.

Marak podjechał bliżej i pochylił się w siodle, uchylając się przed gniewnym kłapnięciem szczęk beshy. Chwycił wodzę i zawrócił Norit, która szarpała rzemieniem i chciała przejąć kontrolę nad wierzchowcem.

- Na wschód - powiedziała z naciskiem. - Ogień z nieba. Musimy jechać na wschód.

- Wiemy - odparła Hati, całkowicie już rozbudzona i zła. - Wszyscy wiemy, że to się zbliża. Ale nie jedziemy na wschód. Nie mamy wody. Wytłumacz to Luz. Nie możemy zabić wszystkich ludzi z wioski.

Lelie kopała i krzyczała. Patya, która była o wiele lepszym jeźdźcą od Norit, podjechała bliżej i wyciągnęła ręce. Zbliżyły się też krewne Memnanana, oferując pomoc i pytając, co się stało. Karawana nie zatrzymywała się ani na chwilę, rozstępując się i ponownie zamykając po minięciu przeszkody. Dzieci robiły się niespokojne. Rodziny prowadziły dyskusje. Nikt się nie wtrącał do cudzych spraw.

- Podaj dziecko Patyi - poleciła ostro Hati. - Podaj je Patyi!

Jak tak dalej pójdzie, to je upuścisz.

Norit nie posłuchała. Mocno przytuliła Lelie, uciszając dziewczynkę, a wyraz jej oczu w świetle nieba przecinanego smugami gwiazd mówił o piekle strachu i opuszczenia.

- To nie jest bezpieczne.

- Nic nie jest bezpieczne - odezwał się Marak. - Nie będziemy bezpieczni, jeśli połowa wioski umrze z pragnienia.

Głaz uderzał w kulę raz po raz. Marak, na chwilę oślepiiony, wyrwał jednak wodzę z dłoni Norit; szarpnięty za pysk beshy kwiknął, cofnął się i rzucił głową, boleśnie ściskając palce Maraka.

Ten jednak nie wypuścił wodzy. Kopnął Osana i ruszył do przodu, a beshy, być może zadowolony z ruchu zgodnego z ruchem reszty stada, poszedł za nim, bez względu na to, czy Norit chciała tego, czy nie. Wciąż trzymała Lelie w ramionach.

- Umrzemy! - zawołała. - Musimy jechać na wschód, musimy zejść z krawędzi!

- Zamknij się! - powiedziała Hati. - Jeżeli upuścisz dziecko, uderzę cię!

Marak nie zwracał uwagi na ich sprzeczkę ani na Norit. Prowadził, oślepiiony wizjami zgodnymi z

argumentami Norit, i wiedział, kiedy minęli znany mu szlak skręcający na północ od Pori, że je ominęli

-Umrzemy - mruknęła Norit. - Żadnego bezpieczeństwa. Żadnego.

• Będzie woda - powiedział Marak, zmęczony słuchaniem jej i zdenerwowany wizją spadającej gwiazdy. - Będzie woda, a my dotrzemy tam rankiem. Wyruszymy natychmiast ku krawędzi, rozbijając tylko jeden obóz. Nie możemy zrobić więcej.

• Żadnego bezpieczeństwa - powtórzyła Norit.

Nie mówił do kobiety zdrowej na umyśle. Bał się, że jeśli wypuści wodzę z ręki, Norit pomknie przez kolumnę, wywołując panikę; już teraz służący Iii patrzyli na nich z ukosa, a niewolnicy ze strachem.

Wkrótce pojawił się Memnanan z pytaniem, co się stało, po czym zawrócił z wiadomością o wizji Norit. Au'it zapamiętywała wszystko, by zapisać to w księdze o wschodzie słońca.

-Nadejście najgorsze - mruknęła Norit i przytuliła Lelie, a umierające gwiazdy setkami smużyły się po niebie. - Ziemia popęka i wypłynie z niej krew. Dym zasłoni słońce. To nadchodzi i nic już tego nie powstrzyma. Jesteś głupcem, Maraku. Idź na wschód.

• Nie - odparł.

• Czego ona się po nas spodziewa? - zapytała Hati. - Niech da nam wreszcie spokój i pozwoli iść własnym tempem.

• Kto wie, czy ondat naprawdę istnieją? - rzekł Marak, zrozpaczony i wyczerpany, i zaraz pożałował swoich słów, wiedząc, że Luz go słucha. - Prawdopodobnie istnieją - poprawił się.

- Ktoś rzuca w nas gwiazdami - spróbowała zażartować Hati. - Jeśli nie ci ondat, to zapewne ich kuzyni. Może wujowie.

- To jaśniejsze niż cokolwiek, co powiedziała nam Luz.

Norit mocno przytuliła córkę i śpiewała jej, nie piosenkę szalonej kobiety, lecz zwykłą, cichą kołysankę.

Śpij głęboko w mych ramionach, dziecko.

Nic cię tu nie skrzywdzi.

Śnij o źródłach bogatych w wodę,

Śnij o palmach dających cię i owoce.

Śnij o polach złotych od zboża.

Śnij o chłodnych powiewach.

Nasz dom jest zamknięty na noc.

Nasze drzwi są mocne, a okiennice szczelne.

Gwiazdy świecą jasno.

Kiedy śpiewała, na horyzoncie wybuchła gwiazda. Niebo zajaśniało tak, jakby na północy weszło słońce; kolumna ludzi i zwierząt zaczęła rzucać cienie.

Potem zerwał się wiatr, wiejący od tyłu po grzbietach besh-ti, wiatr z Anlakht, gdzie spadł cios, ale nikomu nie zrobił krzywdy.

O świcie au'it zaczęła pisać i pisała przez długi czas, walcząc ze stronicami księgi poruszonymi przez lekkie podmuchy.

W południe Norit miała kolejny atak, ale Marak zdążył chwycić jej wodzę i całkowicie opanował sytuację.

Skały strzępiące horyzont były skałami, z których spływała woda do Pori.

Na wschód, na wschód, na wschód, mówiły denerwujące głosy i Marak nie mógł już dłużej wierzyć, że Luz jest ślepa i głucha na ich położenie.

- Jadę naprzód - powiedział do Hati. - Muszę coś zobaczyć.

Zrzekł się już odpowiedzialności za Norit: kobieta znajdowała się w rękach Luz. Byli wystarczająco blisko, by rozpoznawać charakterystyczne elementy krajobrazu; Hati szybko orientowała się w sytuacji na Lakht, a Marak odzyskał siły i nie mógł już ignorować podwójnej presji na swój instynkt. Do krawędzi mieli jeszcze dzień marszu i żadnej nadziei na wodę po zejściu z wyżyny, które samo w sobie na pewno pociągnie za sobą ofiary, a wioski coraz bardziej traciły siły. Muszą rozbić obóz. Pori pozwoli im odzyskać siły potrzebne do zejścia z Lakht, zebrać się w wielkiej masie i przekazać instrukcje potrzebne przy schodzeniu; a jeśli wioska Pori już nie istnieje, to została po niej woda. Był przecież kamienny zbiornik. Na pewno był zbiornik.

Pojechał do przodu, mając u boku Hati. Zatrzymali się tylko po to, by poinformować o swoich

zamiarach Aigyana.

- A co z Tainem? - zapytał przywódca. - Co z zasadzkami?

Możliwe, że Tain przedostał się przed nich. Taka możliwość zawsze istniała. Będzie istniała do końca ich życia.

- Mamy przecucie - wyjaśniła Hati - i musimy wiedzieć, dokąd prowadzimy karawanę, omi.

Musimy zyskać pewność co do Pori. Wrócimy przed rozbiciem obozu w południe.

- Dam wam eskortę - rzekł Aigyan i wyznaczył im do towarzystwa dwóch mężczyzn i dwie kobiety, ludzi podobnych do Hati, o śniadej skórze i owiniętych w ciemne prążkowane szaty swego plemienia, oraz uzbrojonych w dwie strzelby.

Marak nie protestował. Popędzili beshti i podjechali do przodu, odłączając się od innych. Dogonił ich jeszcze jeden jeździec. Norit, mocno przytulająca Lelie, też chciała popatrzeć, ale nie odzywała się ani słowem. Marak skupił całą uwagę na terenie, wodził wzrokiem po każdej zastygłej fali piasku, po każdym głazie mogącym kryć zasadzkę: ataki abjori umożliwiały płowe szaty i dobrze urządzona zasadzka. Marak był na to wyczulony.

W taki sposób rabowali karawany Iii i zabijali jej żołnierzy. W taki sposób narzucali wioskom wolę Taina i na większą część dekady uczynili z zachodu niełatwe miejsce do podróży dla ludzi Memnanana. Marak nie dostrzegł jednak żadnych śladów zasadzki, a jedynie ukradkowe ruchy plugastwa, które znikają niczym duchy w skalnym rumowisku, zwodząc wzrok.

- Paish - rzekła Hati. Był to jeden z większych gatunków, się gający kolan beshti, silny i tropiący głównie za pomocą węchu.

Marak zobaczył, jak tuż przed nimi stwór znika z rudobrazowym błyskiem ciała i ogona za krawędzią.

Rzadko się je widywało.

Beshti przyśpieszyły kroku - albo samodzielnie, albo subtelnie kierowane przez jadących na nich Keran. Przez pół godziny, godzinę, a może dłużej wjeżdżali i zjeżdżali ze skalnych grzbietów, coraz bardziej zbliżając się zgodnie z ogólnym nachyleniem terenu ku krawędzi Lakht.

Za dnia spadły dwie gwiazdy, ciągnąc za sobą równoległe jasne smugi i znikając za wzgórzami. Od towarzyszącego temu hukui zadrżało powietrze i rozpląkała się Lelie.

Jeszcze jeden grzbiet - a za nim dziwny widok połamanych drzew, poszarpanych krawędzi ścian.

Spadła tu gwiazda. Studnia została rozbita i wyciekająca z niej woda rozlewała się na piasek.

Marak zatrzymał Osana na skalnym grzbiecie. Pozostali poszli za jego przykładem. Stali i patrzyli na to, co niegdyś było oazą, a teraz zmieniło się w staw, w którym odbijało się niebo i wokół którego kłębił się czerwony piasek. W rozmaitych miejscach wokół brzegu stawu odrywały się zlepki ciał i rozbiegały na zewnątrz... setki, tysiące sztuk plugastwa gromadziły się i parły do słodkiej wody, tworząc żywy dywan drapieźników i padlinożerców walczących między sobą i żywiących się ofiarami starc, czekających tylko, by woń śmierci czy odpadków przyciągnęła je żarłoczną chmurą.

- Nie żyje - odezwała się słabym głosem Norit. - Pori nie żyje.

- Marak - powiedziała Hati błagalnie, chcąc, by czym prędzej zawrócił i odjechał.

Obrócił głowę Osana - ręce poruszyły się same, zanim ogarnął wzrokiem niebezpieczeństwo. Mylił się. Cały czas się mylił.

- Jedźmy cicho - powiedziała jedna z towarzyszących im kobiet. - Cicho, proszę, omi.

Marak sam to wiedział. Dźwięk, zapach, jakakolwiek oznaka obecności mogła przyciągnąć ku nim gromady plugastwa. Do tego miejsca zbliżała się cała karawana i Marak mógł się tylko cieszyć, że Norit obudziła w nim wątpliwości, oraz żałować, że nie posłuchał ani jej, ani Luz, ani ostrzeżeń, które usiłowała im wcześniej przekazać ta ostatnia.

Powoli cofnęli się za grzbiet. Lelie zaczęła się wiercić i płakać. Norit zakryła jej usta dłonią i mocno przytuliła córkę. Nie chodziło tylko o ich ucieczkę. Nie śmieli pociągnąć za sobą plugastwa, a niespokojne beshti chciały przyśpieszyć kroku, rzucić się biegiem do reszty stada... tak sytuację widziały beshti: dotrzeć do stada i popędzić ku horyzontowi szybciej niż plugastwo.

Osan wyrwał się. Norit, zbyt słaba lub niewprawna, nie potrafiła opanować swojego beshy, który szarpnął wodzą i niemal wyciągnął Norit z siodła, ale jedna z towarzyszek chwyciła ją, zanim zdążyła spaść na ziemię... chwyciła ją jedną ręką za szatę, ale besha wyśliznęła się spod Norit. I Lelie, i Norit wylądowały na piasku, a besha uciekł, wlokąc za sobą wodzę.

Hati zatrzymała się przy nich razem z Marakiem, ale zanim zdążył zejść z siodła, Hati zeskoczyła na ziemię i chwyciła Lelie w ramiona. Dziewczynce na chwilę zabrakło tchu, ale zaraz go odzyskała i zaczęła krzyczeć, nie zważając na wysiłki Hati, by ją uspokoić. Tymczasem jeden z dwóch

towarzyszących im mężczyzn zeskoczył na ziemię, by postawić Norit na nogi. Przez cały czas nie wypuszczał wodzy z ręki.

Marak minął Hati, chwycił dziecko jedną ręką i mocno przycisnął do piersi, by zdusić jego krzyki, jednocześnie obracając Osana dookoła. Czas jakby się zatrzymał. Hati usiłowała uspokoić swego spłoszonego beszę, by wrócić na siodło; udało jej się to dzięki wieloletniej praktyce. Chwytała się uprząży i w mgnieniu oka znalazła się w siodle, zostawiwszy Norit na ziemi, oszołomioną po uderzeniu głową o piasek. Podniósł ją jednak i podtrzymał jeden z eskortujących ich mężczyzn, podczas gdy drugi podjechał bliżej, by opanować jego wierzchowca.

Wszystko rozegrało się w kilka chwil, lecz narobili przy tym zbyt wiele hałasu, o wiele za dużo hałasu, niż było to bezpieczne; kiedy mężczyzna podtrzymał Norit przy boku swego beszy, Marak z niepokojem dostrzegł złowrogi, gorączkowy ruch wśród otaczających ich skal.

- Wsiadaj! - zawołał. - Luz! Wsadź ją na siodło!

Chociaż brakło jej tchu, Norit udało się chwycić pętli przy siodle, a jej wybawca pchnął ją z dołu tak, że wylądowała na nim jak bagaż; besha ruszył z parsknięciem i Norit nawet nie próbowała normalnie usiąść. Spośród skal wylało się plugastwo: jeden besha skoczył do przodu, a za nim pozostałe. Walczyły o życie.

Mężczyzna nie wypuścił z rąk pętli do wsiadania i biegnący be-sha pociągnął go ze sobą z szybkością większą, niż mógł biec zmęczony człowiek; mężczyzna trzymał się siodła, od czasu do czasu dotykając nogami ziemi.

-Dalej! Dalej! Dalej! - wołali wszyscy Keran, łącznie z chwilowo spieszonym.

Kurczowo trzymał się pętli do wsiadania; zanim Marak, obciążony Lelie, zdołał podjechać mu na pomoc, jego współplemieniec zbliżył się do niego z lewej strony, chwycił go za rękę, pochylił się i poderwał z piasku. Mężczyzna przerzucił ramię za Norit i wciągnął się na siodło za nią.

Następnie objął kobietę, przytrzymując ją, by nie spadła, a drugą ręką sięgnął po wodzę. Był to wyczyn, jakiego nie mógłby dokonać żaden wieśniak; pozwolił wszystkim na pełny galop.

Nikt nie krwawił, nikt nie zginął, żadna krew nie przyciągała plugastwa: odległość od niego rosła, a kiedy Marak obejrzał się, zobaczył za sobą czysty piasek.

Zwolnił. Odjechawszy na tyle, by mieć pole manewru, znacznie zwolnili, ale się nie zatrzymywali. Marak trzymał Lelie. Hati i Norit były bezpieczne.

Besha Norit tymczasem dawno zniknął za horyzontem, pędząc na złamanie karku do karawany i znajomego stada. Zniechęcone plugastwo w większości zawracało ku wodzie. Kilka sztuk może pójdzie tropem, który na pewno zostawią - będą to mniej dominujący zwiadowcy, bardziej desperacko poszukujący wilgoci lub padliny albo żywych ofiar.

Wciąż im groziło niebezpieczeństwo, ale uciekli przed największym zagrożeniem.

Marak w końcu zdał sobie sprawę z tego, że mocno przyciskana Lelie chce się oswobodzić. Cały czas uważał, by jego uścisk nie przeszkadzał jej w oddychaniu; teraz uciszył jej szloch pełen przestachu i bólu i osłonił ją płaszczem, tak jak wtedy, kiedy wioził dziewczynkę za pierwszym razem.

Podziękował bogu, w którego wąpił, że kierując się przeczuciem, wybrał się na zwiad, zanim sprowadził do Pori całą powolną karawanę z jej słabymi i bezradnymi podróżnymi.

Nie mieli jednak wody.

- Hati - rzeki Marak. - Jedź. Weź ze sobą kobiety. Ostrzeż pana Aigyana. Nie mamy wyboru - musimy skrócić ku krawę dzi. Każ im skrócić, nie rozbijajcie obozu, a my was dogonimy na nowym szlaku.

-Zobaczymy się później - zgodziła się Hati, krzyknęła do kobiet i zamachnęła się harapem. Zjechała z grzbietu następnego wzgórza i zniknęła w kłębach pyłu wzbijanego przez beshti.

• Ostrzegałam cię - odezwała się Norit cicho. Siedzący za nią mężczyzna pomógł jej już usiąść w siodle.

• To prawda - przyznał Marak.

Nie chciał klócić się z Luz. Wąpił, czy nawet Luz wiedziała, jakie niebezpieczeństwo czeka na nich w Pori, bo inaczej Norit mogłaby ich ostrzec w o wiele jaśniejszy sposób. Prawda była taka, że Luz nic nie wiedziała, aż do tej chwili nie miała pojęcia o zgromadzonym plugastwie. Głosy jednak popędzały: *Na wschód, na wschód, na wschód!* Jakby zawsze miały rację.

Powiedział, miał nadzieję, że trzeźwo i spokojnie:

- No cóż, to jasne, że nie możemy nabrać wody w Pori. Norit miała jednak rację: nie możemy rozbić obozu i odpocząć. Musi my poprowadzić tę masę ludzi jak najdalej na wschód. Jeśli

skończy nam się woda, to koniec z nami. Zrobimy, co się da.

Na wschód. Poddanie się Luz ustawiło Maraka na znanych torach. Znał drogę prowadzącą z urwisk na wschód od Pori i wiedział, że zgromadzenie się plugastwa właśnie skazało sporą część karawany na walkę, na stoczenie której bez odpoczynku i wody ludzie mogą nie mieć siły.

Gdyby jednak odgłos kroków ostatniej karawany na świecie odciągnął uwagę plugastwa od Pori, gdyby przypadkowy podmuch wiatru poniósł jej zapach, gdyby plugastwo ciągnące za kolumną spotkało się z plugastwem pożywiającym się na ruinach Pori... gdyby zdarzyła się jedna z tych trzech rzeczy, to to, co było nie do pomyślenia, stałoby się faktem.

Marak prowadził. Tylko lekko zbczyli ze szlaku, który obrali w drodze do Pori, i prawie przez godzinę jechali po dziewiczym piasku.

Kiedy przebyli płytką nieckę, zgodnie z nadzieją Maraka zobaczyli pod linią odległego grzbietu mgiełkę unoszącego się pyłu.

To mgliste zakłócenie monotonii Lakht oznaczało poruszającą się karawanę, która w istocie skręciła na wschód.

Hati dotarła do nich bezpiecznie. Aigyan posłuchał ostrzeżenia.

Słońce stało w zenicie, a karawana parła na wschód, bez rozbijania obozu, bez odpoczynku.

Marak utrzymywał tempo, nie poganiając własnej grupki. Beshti były zmęczone, znużone długą drogą, a teraz na dodatek zawrócone od wody, którą miały w zasięgu wzroku.

Nie wrywały się jednak do wody w Pori: same widziały niebezpieczeństwo i poczuły zapach, od którego zjeżyła im się sierść na grzbietach. Marak zauważył tę delikatną linię u nasady szyi Osana na chwilę przedtem, nim sam się zorientował w sytuacji. Zwierzęta lekko uniosły ogony, które jeszcze teraz miały zjeżone. Beshti cicho zawróciły do własnej karawany, ulegając w walce pragnienia z instynktem samozachowawczym temu ostatniemu. Zatrzymały się w ciągu następnej godziny tylko raz, wbijając nogi w ziemię i wężąc w powietrzu. Ziemia zatrzęsa się lekko, ale ponieważ nie stało się nic gorszego, podjęły marsz ku odległej karawanie.

Lelie, której zabrakło już łez, chwyciła wtedy szatę Maraka i nie puszczała jej, jakby od tego zależało jej życie. Kiedy spadła na ziemię, posiniaczyła się i podrapała, ale stworzyciele na pewno już się tym zajęli. Nie mogli jednak wyleczyć rany jej duszy, spowodowanej przez beztroską obojętność matki: Norit ani razu nie poprosiła, by jej oddać dziecko, i Marak głaskał je teraz delikatnie po włosach i mówił mu cicho, że wszystko jest dobrze, że zjadą w bezpieczne miejsce... wszystko to były na wpół kłamstwa, mające sprawiać wrażenie, że wszystko jest łatwe, że stanie się to jutro, kiedy w pojmowaniu świata Lelie jutrem była następna chwila, a jej matka jechała oszołomiona, zagubiona w wizjach Luz.

Wkrótce, jutro, już niedługo.

Ilu ojców musi dziś składać tę rozpaczliwą obietnicę, ojców pozbawionych wody i sił, i ilu ojców musi dzisiaj oddawać dzieciom swoje racje żywnościowe, nie wiedząc, kiedy się to wszystko skończy, nie wiedząc, czy mądrzej jest wypić wodę samemu, by zachować siły, ani jak wiele niedostatku może znieść dziecko?

- Luz - powiedział do osoby kryjącej się za szklistym spoko jem Norit. - Czy możesz dostarczyć nam wodę po zejściu z kra wędzi? Potrzebujemy twojej pomocy. Zbyt wielu z tych ludzi umrze. Czy możesz przysłać lana? Czy możesz nas doprowadzić do wody gdzieś bliżej skał?

Błagał o pomoc. Handlował ich losem. Duma w jego rachunku nie istniała. Modlił się do drugiej bogini na ziemi o cud, którego ich Ha nie potrafiła uczynić, a cały czas świerzbiła go skóra na plecach, jakby nie całkiem pozbyli się plugastwa idącego ich tropem. Czuł, że wokół nich kluje się jakaś katastrofa, a ludzie, za których był całkowicie odpowiedzialny, popadają w coraz większy zamęt.

W odpowiedzi usłyszał tylko zwykłe *Marak, Marak, Marak* w wykonaniu swoich głosów. Dwa razy zobaczył kulę, skałę i pierścienie. Taką pomoc dawała mu Luz. Zdarzało jej się spisywać lepiej. Już kiedyś do niego dotarła, a teraz nie miała nic do powiedzenia oprócz *idźcie, idźcie na oślep*, nie podając żadnych powodów.

Podejrzał, że wina leży po jego stronie, że przez większość czasu był głuchy i zamknięty na nią...

Jak jego ojciec. Jak Tain, głuchy na rzeczy, które jak najbardziej powinien usłyszeć.

Co jednak było niepodobne do Taina, Marak przerwał milczenie.

• Norit - powiedział błagalnie. - Czy Luz mówi coś o wodzie? Czy proponuje nam jakąkolwiek pomoc?

• Nic nie ma - odparła Norit, siedząc w objęciach mężczyzny, który ją uratował. - Nic nie mogę zrobić.

Norit ani razu nie zapytała, jak się czuje jej córka po tym upadku. Nie zrobiła tego nawet Luz. Luz wcale się nie interesowała sytuacją poszczególnych osób, nic ją nie obchodziły tajniki serca Norit. Później Norit będzie ronić łzy, lecz Luz nie pozwalała, by robiła to teraz.

- Nadchodzi - mówiła dalej Norit. - Już się zbliża. Mamy dwa dni. Tylko dwa dni. Nie dotrzecie do wieży w dwa dni.

To była naga prawda, która jednak nie dawała im wody ani żadnej pomocy. Marakowi przyszło na myśl, by zapytać Luz, czy podejmowanie tej próby ma jakikolwiek sens, ale zaraz też pomyślał, że nie interesuje go ani pozytywna, ani negatywna odpowiedź - nic nie zmieni jego zamiarów. Nie mógłby sobie siedzieć w raju. Nie mógłby też sobie siedzieć w piekle. Zamierzał spróbować dotrzeć do wieży... zamierzał spróbować sprowadzić wszystkich swoich ludzi z Lakht, na niziny, zanim z nieba spadnie ogień. Zamierzał doprowadzić ich tak blisko bezpiecznego schronienia, jak tylko mu się uda. Uważali go za przywódcę i tego oczekiwali.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego, nim pojechaliśmy do Pori?

To pytanie jednak zadał.

-Nie słuchałeś. Teraz słuchasz. Zjedźcie poniżej urwiska. Schowajcie się za jakieś skały. Wbijcie paliki. Nie wiem, co się może stać. Usiłuję się dowiedzieć, gdzie spadnie ogień. Tam, gdzie spadnie, nie będzie dobrze. Nie będzie też dobrze dla drugiego krańca świata i tym musimy się martwić. Ziemia pęknie w obu miejscach i stopi skały w swej kuźni.

To Luz tworzyła wizje. Norit opowiadała je najlepiej jak umiała, opierając się na tym, co widziała. Cóż więcej mogła zrobić? Czasami były to rzeczy, jakich nikt nigdy nie widział, i Norit usiłowała je opisać, posługując się skąpym doświadczeniem wiejskiej żony.

- Prorokini - mówili do siebie Keran półgłosem, mając na myśli Norit. Plemiona nie považowały kapłanów, ale Keran nauczyli się, że ta kobieta mówi w imieniu mocy, która ich prowadzi, i z trwożnym podziwem przysłuchiwali się tej dziwnej rozmowie, tej praktycznej konsultacji ich wyroczni.

Lecz nic, co mogła powiedzieć Norit, nie niosło otuchy.

Jechali w kierunku tej mgielki pyłu, oznaczającej monotony przemarsz karawany.

Mimo że Marak czuł niepokój na myśl o tym, co ma za plecami, uświadomił sobie dzięki temu widokowi, że wie, gdzie jest Hati. Wiedział to tak dobrze, jak dobrze znał położenie Norit obok siebie, a wiedza ta była równie niezachwiana, jak gwiazdy przewodnie w ogólnym chaosie nieba. Znajdowała się w sercu kolumny. Konstelacje mogły ulegać wstrząsom, ale on nigdy nie zgubi się w świecie, w którym znajdują się pozostałe części jego osoby.

Karawana nie potrzebowała jeszcze jednego marzyciela, jeszcze jednego przewodnika tak szalonego jak Norit.

Potrzebowała zwykłego szaleńca, który mówiłby tylko: Już tam byłem. Mogę was poprowadzić. Znam drogę na dół. Nie wahajcie się, nie rozbijajcie obozu.

Potrzebowała też syna Taina, który by mówił: Nie żałujcie umierających. Nie wahajcie się. Kiedy karawana ruszy, ruszajcie razem z nią.

Podjechał do kolumny i w chwili, gdy miał się do niej włączyć, gdy miał wkroczyć w strefę bezpieczeństwa wśród wolno kroczących beshti, uświadomił sobie, że podczas odwrotu w ich grupce brakowało jednej osoby. Tak się przyzwyczaił, że za nim, Hati i Norit zawsze podąża au'it, że nie zauważył, iż tym razem nie opuściła karawany razem z nimi.

• Nie pojechała za nami żadna au'it - powiedział do Keran. -Nie widzieliście, żeby towarzyszyła nam jakaś au'it?

• Nie, orni.

Przynajmniej jej nie zgubili. Tak właśnie myślał.

Wjechał między sługi Iii, w pobliże Iii, i podjechał do Hati.

- Powiedziałaś Aigyanowi - odezwała się pierwsza. - Zna sytuację. Będzie utrzymywał karawanę w ruchu. Schodzimy z krawędzi.

Spojrzała w bok. Keran zсадził Norit ze swojego beshy; Tofi też znalazł się na ziemi. Nie było zaskoczeniem, że beshy Norit szedł z pozostałymi, pozbawiony jeźdźca. Tofi zawołał do Bos-gindego, by złapał zwierzę i je przyprowadził. Karawana tymczasem szła dalej. Uczestnicy takich drobnych wydarzeń zostawali na parę chwil w tyle, a potem doganiali swoich, ponieważ beshti szukały własnego stada.

Jeśli jednak ktokolwiek miał mieć w sobie własnych stwórcy Iii, tak jak jej kapłani i służący, jeśli w jej służbie znajdował się ktoś, kto był świadom jej kaprysów, tak jak Marak był świadom

nastrojów i pragnień Luz, to tymi osobami były au'it.

Jej kapłani, jej służący znali życzenia Iii i je spełniali.

Au'it zaniósł Iii sprawozdanie, ot, co.

Marak obejrzał się i zobaczył, że Norit znów siedzi w siodle. W otaczającej ich ciżbie nie wyczuwało się entuzjazmu. Zapał, radość, gniew i reszta motywów, które pędziły ludzi w kierunku nieznanego, z dala od katastrofy, zostały zastąpione zubożniałą rozpaczą.

- Podaj mi dziecko - powiedziała Patya, podjeżdżając do Maraka. - Potrzymam je.

Marak z przyjemnością zrzekł się tej odpowiedzialności.

- Podczas schodzenia może ją wieść Norit - powiedział i do dał, dzięki własnym doświadczeniom litując się nad Norit: - Jej matka niczego nie wie. Odeszła tam, dokąd zwykle odchodzi.

- Czy będzie kiedyś...? - zapytała Patya swego szalonego brata, usiłując dobrać odpowiednie słowa.

- Zdrowa na umyśle? Czy odzyska zmysły? Mam nadzieję. -

Jednak ani teraz, ani na przyszłość nie widział żadnych tego oznak. - Jeśli nie, to zajmiemy się nią Hati i ja. I ty. - Widział, jak Patyę ciągnęło do maleństwa. - Tobą też się zajmiemy. Jesteśmy rodziną.

Musiał to jej obiecać. Przewidywał jednak, że jej związek z nim może wkrótce stać się dla Patyi ryzykowny, może zagrozić jej życiu. Podejrzał, że ich au'it sporządziła obszerny, być może niepoehlebny sprawozdanie, że jej cały raport już się znalazł u Iii, i przed rozpoczęciem tego ryzykownego schodzenia, zanim do Iii zaczną przychodzić ludzie oszaleli z pragnienia i przerażenia spadającymi gwiazdami, Marak musiał wiedzieć, co Ila zamierza z tym sprawozdaniem zrobić.

Jechał obok Hati, nie meldując się ani Memnananowi, ani Iii.

Czekał, by Ila, którą miał w zasięgu wzroku, posłała po niego.

Czekał, by Memnanan zapytał, co Marak tam widział albo dlaczego wrócili w takim nieładzie.

Nawet jeśli Aigyan powiedział kapitanowi o wszystkim, czego się dowiedział od Hati, rozsądnie było przynajmniej zapytać naocznego świadka, co widział i dlaczego zmienił plany co do Pori.

Żadne z nich niczego nie chciało wiedzieć. Au'it -jakaś au'it -jechała obok nich, owinięta aifadem, jak to miała w zwyczaju, wyłaniając się z pyłu.

To, dlaczego ich opuściła, pozostawało tajemnicą, w której sercu - tego Marak był pewien - tkwiła Ila, a całości dopełniało milczenie Memnanana.

• Ha o nic cię nie pytała? - zapytał Hati.

• O nic. Rozmawiałam tylko z Aigyanem.

-Nie odwracaj się - powiedział cicho. - Wróciła au'it. Czy widziałaś ją od razu, gdy wróciłaś?

• Nie. - Hati wydawała się zaskoczona. - Chyba nie pojechała z nami. A może ją zgubiliśmy?

• Jedna z nich jest teraz przy nas. Coś się stało. Nie wiem co, nie wiem dlaczego, ale coś się stało.

• Coś z Ilą?

-Nie chciała się niczego dowiedzieć o Pori. Wykorzystała tylko łatwą okazję do odwołania au'it, może po to, by przeczytać księgę. Teraz au'it do nas wróciła. Nie wiem, czy to ta sama. Memnanan się do nas nie odzywa. Widzę go. Nawet nie patrzy w naszą stronę. Dostał rozkazy.

• A więc nie możemy mu całkowicie ufać.

• Nigdy nie mogliśmy mu całkowicie ufać - odparł Marak. Usiłował dociec, z jakiego powodu Ila mogła nie potrzebować wieści o Pori, i jedyne, co mu przychodziło do głowy, to to, że Ila już wcześniej wiedziała o bezcelowości ich zamiaru. Albo potrzeba otrzymania raportu au'it na ich temat przerosła jej potrzebę dowiedzenia się, co robili w Pori.

Może była to konsultacja przed zejściem z wyżyny, pragnienie poznania wszystkiego, co mówili w sekrecie, zanim sama wejdzie na teren Luz. Może sama Ila dostrzegała zbliżanie się ognia i zastanawiała się nad rezygnacją z pomysłu Maraka, chcąc skrócić na wschód. Ona miała dość wody, a we krwi stworzycieli. Ona sama mogła być szalona.

Lecz jeśli Ila dowiedziała się czegoś o zamiarach Luz, to nie poinformowała jej o tym au'it, ponieważ oni nie mieli o nich pojęcia i po prostu nie mogli o nich rozmawiać.

Ila zarzuciła codzienne kąpiele. Służący Iii już nie gotowali dla całego obozu ani nie parzyli dla niej herbaty. Prawdopodobnie przez ostatnie kilka dni Ila jadła takie same suche racje, jak oni.

Być może Ila miała zamiar rozprawić się z Luz i wszystkimi, którzy jej służą.

• Sądzisz, że może nam zrobić coś złego? - zapytała Hati.

• Nie wiem, co ona myśli. Zastanawiam się, czy sama nie zaczęła słyszeć głosów.

• Głosu Luz?

• Stworzyciele mogliby to sprawić. Jej stworzyciele nie wyleczyli nas z Luz. Nasi stworzyciele zachowują nas takimi, jakimi jesteśmy. Może teraz dostali się do niej. - Zamyślił się na chwilę. - Może ona się boi, że dostaną się do niej, może nie chciała pić wody nie pochodzącej z Łaski Iii.

• Cała nasza woda pochodzi stamtąd - rzekła Hati. Jej ciemne oczy rozszerzyły się z niepokoju. - A nasza żywność pochodzi z Oburanu. Wszystko. Żywność z Pori byłaby inna. Pori należała do Luz, prawda?

-Myślę, że rozsiewamy swoich stworzycieli - powiedział Marak. - A jeśli stale ich wytwarzamy i zrzucamy jak starą skórę? A jeśli zrzucamy ich na piasek i do wody? Służący Iii gotują dla całego obozu, a przynajmniej robili to, nim zaczęły nam się kurczyć zapasy. Kapłani, jej kapłani wędrują wzdłuż całej karawany. Może to jest jakaś wojna? Co by się stało, gdybyśmy nabrali wody w Pori i wszyscy by się jej napili, a Ila by tę wojnę przegrała?

Hati po prostu patrzyła na niego.

• A więc nie poddała się.

• Chyba nie - odparł.

• Myślisz, że planuje jakiś atak na Luz?

• Nie wiem, ale Luz nas słyszy. - Trudno było pamiętać, że stale są szpiegowani, ale taka była prawda. - Luz wie o wszystkim, co mówimy. Nic na to nie możemy poradzić. Mam nadzieję, że Luz znajdzie sposób, by nas ochronić. - To ostatnie zdanie wypowiedział jak petent na wioskowym sądzie, z nadzieją, że Luz uważnie słucha. - Zaprosiła wszystkich tych ludzi, by przyszli do jej wieży. Gdyby chciała naszej śmierci, mogliśmy ją ponieść w Oburaniu. Na pewno jest coś, co może zrobić. Przecież nie zaatakuje nas z powodu Iii. Chciała ją mieć u siebie. Moim zdaniem nadal tego chce, ale Ila nie chce jej ulec.

Mówiąc to, czuł strach. Napotkał dwie nieprawidłowości w biegu rzeczy: zniknięcie au'it, a teraz jej powrót; żadna z nich nie musiała oznaczać niczego ponad to, że au'it postanowiła nie odbywać męczącej podróży, co było zwykłą, prostą decyzją.

Natomiast Ila szła na spotkanie niebezpieczeństwa w sercu własnej ochrony: Marak coraz lepiej rozumiał, że pokój między Ila i Luz jest mało prawdopodobny, i zaczynał się bardzo martwić, co może zrobić Ila, kiedy znajdą się bliżej Luz, ich podróż stanie się coraz trudniejsza, a decyzje coraz bardziej niebezpieczne.

Teraz martwił się nieprzewidzianym działaniem Iii tak samo, jak martwił się coraz mniejszymi zapasami wody, siłami beshti, siłami ludzi, którzy mieli zejść z krawędzi Lakht - martwił się tym wszystkim, co go otaczało, być może tak samo, jak tą odległą katastrofą zagrażającą światu. Uderzenie ognia z nieba wciąż było odległe, a Ila mogła podjąć niezależne działanie, zanim dotrą do urwiska, zanim wejdą na teren Luz, i mogłoby przyjąć każdą formę, nawet decyzji rozmyślnego zabicia ich wszystkich.

Poza tym ona może być szalona. Może być tak szalona, jak oni wszyscy. Mogłaby zrobić coś, co ma sens tylko dla szaleńca, tuż przed podjęciem próby zejścia z krawędzi z wieloma, bardzo wieloma ludźmi, którzy i tak nie przeżyją.

Lecz jedyną możliwą drogą coraz bardziej stawała się trasa *na wschód i w dół*. Jeśli katastrofa nadchodzi w postaci upadku gwiazdy, to z pewnością, mówił sobie Marak, będzie to coś podobnego do zjawisk towarzyszących upadkom mniejszych gwiazd. Wiedzieli już, czym one grożą: trzęsieniem ziemi, wiatrem i tumanami piasku dziesięć, sto razy gorszymi niż dotąd. I to, w przeciwieństwie do Iii, nie może się zmienić.

Marak zebrał się na odwagę, uporządkował myśli i postanowił stawić czoło Memnanaanowi, który jechał za służącymi Iii.

• Straciliśmy Pori - zaczął.

• Tak zrozumiałem - odparł Memnanaan.

• Ila wie? -Wie.

- Nadchodzi, i to szybko, trzęsienie ziemi i burza - powie

dział wprost - gorsze niż kiedykolwiek widzieliśmy. Następny

nasz obóz pozwoli nam tylko na krótki odpoczynek, bez wbijania palików. Potem... - Powoli wchodził na grząski grunt w rozmowie z człowiekiem, któremu zasadniczo ufał, a, co więcej, który kiedyś ufał jemu i którego wysłuchiwała Ila. - Potem, a nastąpi to niedaleko stąd, zejdziemy ze stromej krawędzi Lakht i spróbujemy sprowadzić na dół jak najwięcej żywych ludzi.

• Czy na dole jest jakieś źródło? Czy jest coś w pobliżu skał?

• Nic mi o tym nie wiadomo. Zrobimy jednak, co w naszej mocy. Zejdziemy z krawędzi, natychmiast wbijemy długie paliki i będziemy wierzyć, że skały nas osłonią. - Chciał o coś zapytać i jedynym wyjściem było zadanie tego pytania. - Pori była całkowicie zalana przez plugastwo. Czy Ila

wiedziała o tym wcześniej?

Ku jego niezadowoleniu Hati przyjechała za nim. Teraz oboje jechali obok kapitana, wzięwszy go między siebie, a w pewnej odległości za nimi jechała jak zawsze au'it.

Memnanan miał poważną i zmartwioną minę i nie patrzył wprost ani na Maraka, ani na Hati. I nie odpowiedział na pytanie.

• Nie potrzebujesz żadnego sprawozdania - rzucił mu wyzwanie Marak. - Dlaczego? Dlaczego nie pytasz? Czy ona nie słucha rad?

• Ila powiedziała, żeby pozwolić ci sprawdzić to co chcesz, a jeśli ci się nie uda albo jeśli nie wrócisz, to mieliśmy zejść na niziny bez ciebie. - Memnanan nie patrzył na niego. - Ona wierzy w tę twoją katastrofę. Spodziewa się burzy. Wątpiła, czy Pori da nam wystarczające schronienie. - Wydawało się, że Memnanan zastanawia się nad powiedzeniem czegoś jeszcze. - Uważa, że większość zginie, a jeśli ktoś przeżyje, to musimy założyć, że większość z tych ludzi też umrze.

• Bardziej prawdopodobne jest to, że umrzemy, jeśli będziemy siedzieć na tyłkach. Spróbujemy tego nie zrobić. Powiedz jej to. Powiedz jej, że powinna słuchać rad. - Miał jej powiedzieć, że nie do niej należy wydawanie decyzji? Powiedzieć, że nie będzie wydawała rozkazów plemionom? Nie mógł się aż tyle spodziewać po Memnananie. Jeśli spróbuje go do tego namówić, straci tego człowieka i wszystko inne. - Powiedz jej, że nie możemy odpoczywać długo. Ani chwili dłużej, niż jest to konieczne.

• Dobrze.

• Co powiedziała jej au'it w swoim sprawozdaniu? Coś dobrego czy złego?

• Nie wiem - odparł Memnanan.

• Czy z nami jest teraz ta sama au'it?

Spojrzenie Memnanana powędrowało w jej kierunku.

- Nie mam pojęcia.

- Jeżeli Ila zarządzi cokolwiek, co nie pozwoli nam zejść z krawędzi - rzekł Marak - to zaklinam cię na jej życie, nie pozwól jej na to. Nie rób niczego, co mogłoby nas powstrzymać. To już nadchodzi. W tej chwili nie wiem nic więcej. Nadchodzi.

- Powiedziałem, że opowiada się za zejściem - rzekł Memnanan. - Jak najszybciej. - I dodał cicho: - Powierzyłem ci moich domowników, Maraku Trinie.

Żonę Memnanana, jego matkę. Jego nienarodzone dziecko.

- Kiedy będziemy schodzić, przydzielę twojej żonie dobrego człowieka - odparł Marak, zadowolony, że Memnanan poprosił go o przysługę, niezupełnie się do tego przyznając. - Będzie uspokajał beszę.

Au'it podjechała bliżej. Zapisywała ich rozmowę jak wszystkie inne rozmowy przedtem, które teraz Ila dokładnie знаła - a przynajmniej te, które au'it mogła uznać za najważniejsze.

Rzuciwszy na nią okiem, Marak uznał, że to ich au'it, ale po drugim spojrzeniu jego wątpliwości wróciły.

Znał twarz i drobne nawyki ich au'it. Jak często w przeszłości była to jakaś inna kobieta, skoro au'it często zasłaniały twarz dla ochrony przed palącym słońcem i suchym wiatrem? Możliwe, że ich własna au'it wciąż zdaje relację Iii. Ila, która jechała przed nimi z au'it, mogła snuć własne plany bez wiedzy Memnanana.

A jeśli tak, to nie musi zadawać mu żadnych pytań. Czytając raport au'it, Ila przekona się, czy mogłby okłamać ją albo swoich towarzyszy, a kiedy Marak zdał sobie z tego sprawę, uspokoił się trochę: o ile pamiętał, nigdy nie skłamał. Jeśli jest zdrowa na umyśle, pozna, że nigdy nie działał przeciwko niej.

Być może Ila nawet mu ufa, o ile w ogóle jest zdolna ufać komukolwiek. To był nieoczekiwany wniosek.

Bez względu jednak na to, co myślała Ila, co knuła i jakie miała względem niego zamiary, jeśli tylko te zamiary były zgodne z jego planami sprowadzenia tej masy ludzi z Lakht zanim spadnie ogień z nieba, to Marak postanowił nie komplikować sprawy żadnymi pytaniami.

Ani sprawozdaniami.

Czy domysłami.

Przez następne godziny zamiarem Iii i zamiarem Maraka mogło być zejście z Lakht i zachowanie życia.

Na następne godziny, jeśli taki był jej zamysł, Marakowi to wystarczyło.

Rozdział 23

„W otchłani nad niebem ujrzałam śmierć. Pod niebiosami dokonałam wszelkich wyborów, jakich mogłam dokonać nie dla pojedynczych żywotów, lecz dla samego życia”.

- Księga Iii

Odpoczywali przez dwie godziny odmierzone na plemiennym zegarze, po prostu patrząc na słońce i ufając mu, że bez względu na losy świata nie zejdzie ze swego szlaku. Nie rozbijali namiotów, tylko rozwinęli maty. Keran i Haga pili bardzo mało, jak najdłużej trzymając wodę w ustach. Dali tyle słodkiej wody, ile mogli, swoim beshti. Przejrzeli nawet mizerny dobytek będący własnością plemienia, zmniejszając obciążenie beshti do minimum. Niebo nad nimi wciąż było błękitne.

Podczas tego postoju horyzont świata znajdował się tak blisko, jak nigdy przedtem. Nachylenie w kierunku falujących równin wschodu było bardzo wyraźne i wydawało się tak bliskie, że Ma-rak chętnie pojechałby ze swoimi podopiecznymi dalej, na sam dół, ale skala widoku zmieniała rzeczywiste odległości. Od horyzontu dzielił ich jeszcze jeden długi odcinek marszu i choć bardzo chcieli tam dotrzeć, nie mieli innego wyjścia jak odpocząć -oraz poprosić przez Memnanana Iłę, by wykazała się mądrością i wzięła przykład z plemion, wyrzucając wszystko, co można było wyrzucić. Plemiona utworzyły z porzuconych rzeczy niewielką stertę. Nie dołączyło jednak do niej nic z bagażu Iii, a dla niej samej jej służący rozwinęli boczną połę namiotu jako baldachim, i dla ochrony przed wiatrem jedną z zasłon: Ha nie zamierzała kłaść się na oczach innych ani rezygnować z tego, co posiadała.

Hati położyła się z zasłoną naciągniętą na twarz, jakby była martwa. Norit kołysała Lelie... kołysała ją od czasu do czasu po prostu dlatego, że była szalona, ale przez przypadek to, co uspokajało Norit, uspokajało też małą.

-Wkrótce, wkrótce, wkrótce - mówiła Norit w powietrze i trwonila siły, odmawiając odpoczynku. Marak zauważył, jak bardzo jest wyczerpana, jak wyraźne odcinają się kości na jej dłoni spoczywającej na plecach Lelie.

Nie było w tym nic dziwnego. Sam widział, jak do tego dochodzi. Winił za to Luz i miał nadzieję, że Norit ma dość sił, by zejść z urwiska. Dziecko - Lelie - stanowiło zagrożenie podczas schodzenia, kiedy źle umieszczony ciężar mógł nagle sprawić, że besha źle postawi nogę, a spadający wierzchowiec uczyniłby spustoszenie wśród znajdujących się poniżej niego. Norit jednak wzięła Lelie ze sobą. Marak przywołał całą swoją wiarę i nadzieję, że Norit się uda. Była lepszym jeźdźcem od Patyi -zdążyła nabrać doświadczenia. Marak wyznaczył mężczyznę, który miał iść obok Elagan i ją podtrzymywać, oraz jeszcze jednego do pomocy matce Memnanana i jego dwóm słabowitym ciotkom.

Ufał im. Wierzył, że jego grupa zejdzie na dół nietknięta: plemiona wiedziały, co robią, nawet jeśli nie wiedzieli tego ludzie Iii.

Jakie jednak katastrofy mogły się wydarzyć później, co mogło się stać, gdyby ogień z nieba dopadł ich podczas schodzenia, co mogło się stać, gdyby zmieniła się pogoda albo gdyby niedoświadczeni wieśniacy próbowali zjechać z urwiska w niesprzyjających warunkach - podczas trzęsienia ziemi albo w burzy... na te pytania była jedna wyraźna odpowiedź i Marak odrzucił ją jak najdalej, dusząc w sobie jednocześnie złość na upór Iii: w sprawie jej decyzji nie mógł nic zrobić.

Pomyślał, że powinien ustawić kogoś, kto sprawdzałby przed zejściem ładunki wieśniaków. Ktoś powinien doradzać niektórym z nich, niewprawnym jeźdźcom, by poszli pieszo, a innym, by poprawili pakunki i zmniejszyli ich wysokość.

Mógłby znaleźć na tyle odważnego człowieka, by został w tyle za plemionami, wśród skazanych, i ratował kogo się da. Drażniło go, że musi o to prosić członków plemion, którzy byli przezorniejsi i przez całe życie doskonale sobie radzili, i jakaś jego część mówiła mu, że nie powinien tego robić; wyobraził sobie jednak nieszczęście spadające na bezradnych i słabych, niesprawiedliwe, niezasłużone nieszczęście wieśniaków, którzy nie mieli okazji ani powodu nauczyć się postępowania na Lakht, oraz wyobraził sobie ondat, tkwiących spokojnie na niebie i ciskających gwiazdy na mężczyzn i kobiety tak niewinnych jak ci starzy niewolnicy w ogrodzie. Jeśli chodzi o możliwości poradzenia sobie z nimi, jakie mieli ludzie pokroju Maraka, ondat byli bogami na ziemi i niebie i cały rozsądek ustępował tu ślepemu szczęściu, a dla sprawiedliwości w ogóle nie było miejsca: śmierć po prostu jest, tak jak wiatr, i Marak wiedział, że nie uda mu się uratować niektórych osób.

Rozkazy, jakie otrzymał od Luz, traciły moc. Doprowadził tych ludzi aż tutaj. Zastanowił się nad aroganckim płótnem Iii i zaczął zadawać sobie pytanie, co sam jest wart, w czym jest lepszy od innych

i dlaczego miałby kazać komuś stanąć na początku zejścia i radzić wieśniakom, jak mają schodzić?

Jego zadaniem było ratować ludziom życie i wyprowadzić ich w drogę. Już to jednak zrobił. Norit zadba, by wszyscy dotarli w bezpieczne miejsce. Ona jest ich przewodnikiem. Hati potrafi robić wszystko to, co potrafi Marak.

Czyż on jest bardziej święty i prawy niż Ila pod swoim płótnem?

Wtedy spojrzął na śpiącą obok niego Hati i zrozumiał, że bez względu na okoliczności jego żona zostanie z nim. Stając osobiście na tym niebezpiecznym stanowisku, nigdy nie ryzykowałby tylko jednego życia: taką decyzją zabiłby i Hati.

A jeśli Norit nie wystarczy, jeśli stracą także Hati, to ile zdrowego rozsądku znajdą ci wszyscy ludzie u swoich przywódców?

Nie znajdują go u Iii, nie znajdują u niej niczego, co nie będzie służyło jej własnej wygodzie, a przede wszystkim jej własnemu przeżyciu. Ludzie zasługują na przywódcę, który o nich się troszczy? A czy ta cecha czyniła z niego świętego? Albo lepszego od nich?

Zabrakło mu odpowiedzi. Pomyślał, że powinien zejść na dół. Pomyślał, że powinien jak najdłużej utrzymać się przy życiu i zrobić tyle, ile się da, ponieważ zupełnie nie wie, co może się stać, kiedy znajdą się na dole i gdzie będzie się mógł przydać.

Ale jeśli tam zejdziesz, to kogo może poprosić, by tu został? I czy w ogóle może prosić kogoś, by ryzykował swoje życie?

Patrzył na byłych niewolników, na Mogara i Bosgingedego, ludzi, którzy nie mieli zależnych od siebie krewnych, ale mieli siebie nawzajem, i zastanawiał się, czy może poprosić tych dwóch, by zaryzykowali życie, nawet jeśli ich życia nie chciała cenić żadna wioska? On przecież wie, jakimi dobrymi ludźmi się stali, i że w każdym innym czasie, jeśli światu w ogóle zostanie jakiś czas, ci dwaj zostaliby przewodnikami własnych karawan... lecz dobrzy ludzie nie mieli teraz czasu na nic innego, jak trzymać się innych i zachować życie.

Jeśli zginą ci dobrzy, zostaną tylko inni. Czy to jest dobre?

Marak wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy podszedł do niego Tofi i przykucał, by porozmawiać; Marak zdał sobie sprawę, że Tofi i Patya siadywali razem z dala od innych, a teraz Pat-ya kręci się podejrzenie w pobliżu. Marak osłonił oczy od słońca i spojrzął na młodzieńca.

- Omi - zaczął Tofi. - Wszyscy możemy umrzeć.

- Ja z pewnością nie mam tego w planach.

- Ani ja - stwierdził rozsądnie Tofi, a Patya zachowywała niezwykle jak na nią milczenie. - Twoja siostra, omi, też nie chce umrzeć. Ale nie wiemy, co będzie jutro. Może spaść na nas gwiazda.

Marak nagle zrozumiał, do czego to zmierza. Zrozumiał rozpaczliwe, pełne niepokoju milczenie Patyi. Byli młodzi i rzecz w tym, że brakowało czasu na porządne porozumienia. Rozpacz wisząca w powietrzu pchała sobie w ramiona nie tylko starsze, mądrzejsze pary, chcące począć przepustkę do nieśmiertelności. Rozpacz nie dawała czasu na radość ani na nadzieję - ani na respekt dla obyczajów czy skromności.

- Wykrztuś to - powiedział Marak. - Nie ma czasu. Zużywasz go.

- Patya i ja... - Tofi zająknął się.

- Patya i ty - powtórzył Marak i spojrzął na siostrę. - Czy to też twój pomysł?

- Chcę... - zaczęła.

-Ty chcesz. Wszyscy chcą. Róbcie swoje. Powodzenia. -Wstał z maty, ujął w dłonie twarz Patyi i ucałował ją w czoło. -Wszystkiego najlepszego - powiedział i gdzieś między mozolnie kłębiącymi się w jego mózgu myślami zablęysła mu ta, że nie wolno mu ryzykować siebie, chyba że w najbardziej palącej potrzebie. Powstrzymuje go od tego nie tylko żona.

Ma też na głowie Ilę i jej porachunki z Luz. Ani Memnanan, ani Norit, ani żaden z przywódców plemion nie potrafił sobie z nią poradzić tak dobrze jak on.

Patya spłoniła się. Tofi też się zarumienił. Patya uściskała go. Marak poklepał Tofiego po ramieniu i odesłał młodych. W całym obozie nie można było znaleźć odrobiny prywatności.

Kochankowie jednak jakoś sobie radzili. Weszli między beshti. Niezły pomysł. Marak się tego po nich spodziewał.

- To było urocze - mruknęła Hati. - On mi się podoba. Twoja siostra też.

- To dobry młodzieniec - stwierdził Marak.

Walczył z rozpaczą i zmęczeniem większym, niż kiedykolwiek podczas tej podróży. Dotknął ramienia Hati, tylko go dotknął, pragnąc pocieszenia. Nie poświęcił ani pół myśli słuszności wyboru Patyi. Kaptai wydałaby swoją córkę za młodzieńca mającego lepsze widoki na przyszłość niż Tofi. Ale kto w tej godzinie miał ich więcej od Tofiego?

Marak myślał o śmierci setek, tysięcy ludzi. Zaczął uważać tę hekatombę za nieuniknioną. Jakież udział ma Patya w jego zobowiązaniach?

Wszystkie zobowiązania zwały się na niego przygniatającym ciężarem, cała pierwsza wyprawa do Pori, droga powrotna, śmierć Kaptai oraz jego niemożność uczynienia czegokolwiek dla tych, którzy najbardziej na nim polegali, dla Norit i Patyi. I dla Hati.

Marak, mówiły głosy, stale obecne przez ostatnie godziny, nagłące do ruchu, ruchu na wschód, i Marak tam pojedzie, musi to zrobić, ale w ostatecznym rozrachunku nie będzie miał mocy ocalenia słabych, niedołączonych, niedoinformowanych. Starał się nazwać to, co odczuwał w duszy, odpowiedzialnością, wykraczało to jednak poza jakiegokolwiek poczucie odpowiedzialności: po prostu robił, co mógł, tak długo, jak się da, jak człowiek idący resztką sił.

Położyli się. Norit tymczasem kołysała się, śpijąc cicho, kompletnie szalona. Głowa jej opadała kilka razy, aż wreszcie Norit zasnęła z Lelie na kolanach. Dla nich też nie mógł nic zrobić. Hati zasnęła i Marak wiedział, że jego obowiązkiem jest też odpocząć i odzyskać zdrowie psychiczne, ale w głowie rozbrzmiewało mu cały czas *Marak, Marak, Marak*, myśli ściagały się i krążyły; co robić, czy potrafi znaleźć dokładnie to miejsce, gdzie ostatnim razem zeszli z Lakht?

Przede wszystkim analizował możliwość, że kiedy będą na samej krawędzi, nadejdzie burza, że kiedy będą schodzić, zatrzę-sie się ziemia.

I piasek spadający z urwiska - zapomniał o tym. Wiatr zwiewał piasek z Lakht. Mogą zejść na dół i przekonać się, że ich zbrocze, ich szlak znajduje się pod wodospadem piasku niesionego przez wiatr, że szlak zmienia się im pod nogami, a piasek po prostu ich miażdży - ale jeśli znajdują się za daleko od urwiska, to przesycony piaskiem wiatr zabije ich. Marak usiłował wyobrazić sobie punkt równowagi, bezpieczną odległość, to, czy najsilniejszy wiatr, jaki kiedykolwiek wiał na świecie, może poderwać cały piasek. Może najlepszym posunięciem byłoby rozbić namioty bliżej urwiska i zaryzykować przysypanie?

Czy ma rację? Co o warunkach, jakich nikt nigdy nie widział, mogła wiedzieć Luz?

- Marak- powiedziała Hati. Usiadła i pociągnęła go ku sobie, chcąc, by się położył i zachowywał rozsądnie. Opierał się. Nie mógł odpoczywać. Nie z taką świadomością. Muszą zrobić coś więcej niż tylko dotrzeć na dół. Muszą rozbić taki obóz, który uratuje im życie.

A on nie może się pomylić.

Hati oparła się o Maraka, objęła go i położyła mu głowę na ramieniu.

- Luz dziś hałasuje. Powinna się zamknąć.

- Nadchodzi - odparł. - Zdecydowanie nadchodzi. Luz chce, żebyśmy wyruszyli natychmiast. Ona nigdy nie była na tej

pustyni. Nie wie, czego od nas żąda. My jednak nie wiemy, przed czym stoimy.

- Powinna się zaniknąć - powtórzyła Hati, kładąc mu głowę na piersi. - Powinna dać nam spokój. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Jeżeli na dole nie będzie wody, zanim dotrzemy do wieży...

- Troski przysłaniały rozsądek; myśli Maraka wciąż wracały do najważniejszych spraw. - Ona po prostu musi coś zrobić. Ja te go nie potrafię. Nie potrafię zmusić ludzi, by szli szybciej. Jeśli na dole nie rozbijemy obozu wystarczająco blisko skał, to zabi je nas wiatr, a jeśli z urwiska spadnie cały piasek, to może nas zasypać. Jaka jest dla nas odpowiedź? Jaka odległość jest bezpieczna?

- Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy - stwierdziła Hati. - Po prostu zejdziemy na dół, to wszystko. Zrobimy, co się da, kierując się tym, co zobaczymy.

Norit, która mogła coś wiedzieć, która mogła słyszeć odpowiedź Luz, tylko się kiwała i śpiewała.

Nigdzie nie było spokoju. Marak widział na skraju obozu ukradkowe poruszenia kilku pełzaczy, nieszkodliwych stworzeń, ale ich aktywność mogła zwabić innych przedstawicieli plugastwa - całą tę masę z Pori, która trzymała się blisko wody, pożerając się nawzajem. Wtedy w nią nie weszli. Myśl, że mogli to zrobić z wioskami idącymi z tyłu, wciąż nie dawała Marakowi spokoju. Spróbował jednak pójść za radą Hati: próbował nie myśleć.

Wiał nieprzyjemny wiatr, niosący woń siarki. Podczas tej podróży mogli przeżywać wielodniowe

burze, a zamiast tego pogoda im sprzyjała. Ślepy, szczęśliwy traf. Nawet Luz nie mogłaby tego załatwić. Marak sądził, że przytłaczają go kolejne katastrofy, ale gdy dobrze się zastanowił, dostrzegał kilka pomyślnych oznak, że szanse można ustawić korzystniej. Jeśli będzie się zwracać baczną uwagę. Jeśli rzeczywiście pomyśli o wszystkich możliwościach.

Marak pocałował żonę, oparł o nią głowę i na chwilę zamknął oczy.

- Wstawaj - powiedziała Hati po chwili, lekko nim potrząsa jąc; Marak zdał sobie sprawę, że obejmowała go, biorąc na siebie jego ciężar przez cały czas, kiedy spał, spokojny i bezpieczny. -Ruszamy.

Rzeczywiście: Keran zbierali swoje maty. Służący Iii już zwinęli jej prowizoryczny namiot.

Przez chwilę wydawało się, że krótki sen jest gorszy niż jego brak. Trudno było się poruszyć. Marak zebrał rozproszone myśli, pomógł wstać Hati, obudził Norit, ale nie Lelie - ją wziął na ręce i, wciąż śpiącą, przerzucił przez ramię, by podać ją Norit, kiedy wsiądzie na beshe.

Hati zwinęła ich maty, przywiązała je do siodeł i przyprowadziła beshti.

Marak zobaczył, jak Tofi pomaga wsiąść Patyi. Aifad zasłaniał jej twarz, ale Tofi sprawiał wrażenie szczęśliwego, a widok ich splecionych dłoni był dobrym znakiem. Patrzyli tylko na siebie.

- Bierzcie się do roboty - rzekł Marak do Bosgindego, który stał i patrzył. - On ci nie wyda żadnych rozkazów. - Miał na myśli Tofiego. - Ty tu rządzisz. Pokaż, na co cię stać.

Bosginde odszedł i razem z Mogarem zajął się zwykłymi obowiązkami, sprawdził popręgi, a potem pomógł żonie i matce Memnanana dosiąść beshti. Tofi oprzytomniał na tyle, by do nich dołączyć, ale wciąż oglądał się na Patyę.

Bosginde uśmiechnął się i szturchnął łokciem Mogara, a potem obaj pomogli Norit wsiąść na beshe i sami dosiedli swoich wierzchowców... jakby to był zwykły dzień, jakby wszystko było zupełnie normalne. Keran tymczasem już wyruszał w drogę, służący Iii usiłowali podsadzić ją na siodło, a Memnanan i jego ludzie już czekali na swoich beshti. Haga zaczęli wymijać brzegi tkwiącego wśród nich skupiska mieszkańców miasta. Marak widział to wszystko: rozbawienie niewolników, Tofiego i Patyę patrzących tylko na siebie, i rozbawienie Hati. Nagle w obozie Iii powstało zamieszanie - jej biały besha wyrwał się i uciekł, pociągając za sobą dwa inne wierzchowce.

Wszyscy zaczęli się śmiać, łącznie z Marakiem, lecz otrzeźwiły ich wstrząsy ziemi: to właśnie one spłoszyły beshti, szybko schwyte przez Keran. Ha, osłonięta aifadem i zła, pozwoliła pomóc sobie usiąść w siodle.

Wciąż mogli się śmiać - byli niewolnicy z byłego pana, członkowie plemion z ludzi miasta - śmiali się wszyscy oprócz Norit, która siedziała z obojętną miną i tępo patrzyła na całe zamieszanie. Pójdź tam, dokąd zaniesie ją jej besha. Nie dbała zbytnio o to, czy uda jej się bezpiecznie zwieźć na dół własne dziecko, ale Luz dopilnuje, by przeżyła chociaż Norit.

- Trzymaj.

Marak podjął decyzję i podał Lelie matce, na dobre czy na złe. Nic lepszego nie mógł zrobić. Dosiadł Osana i skierował go śladem Keran, a za nim ruszyła Hati, Norit, Tofi i Patya i cały obóz.

Wiatr ucichł. Popołudnie było gorące, a powietrze całkowicie znieruchomiało. Przed sobą mieli skraj świata z nienaturalnie wyraźnym horyzontem, ponieważ w powietrzu przestał unosić się piasek.

- Mów do mnie - rzekł Marak do Hati. - Odwróć moją uwagę.

Marak, Marak, odezwały się do niego głosy, i Marak ujrzał wizję, upadek chyba wielkiej gwiazdy, pękającą ziemię i ogień biegnący szczelinami.

• Chyba nadchodzi - powiedziała Hati, co wcale go nie pocieszyło. - Coś znacznie większego niż przedtem.

• Nadchodzi - potwierdziła Norit, wstrzymując oddech. Mocno przytuliła Lelie. - W gorzką wodę. Jeszcze nie teraz, ale wkrótce.

Rozmowa nie dawała pociechy poza wiedzą, że wszyscy mają tę samą dręczącą wizję. Powtarzała się wielokrotnie, a słońce świeciło im w plecy tak jasno na czystym niebie, jakby nie istniało żadne zagrożenie.

Późnym popołudniem w krawędzi świata ukazała się rysa, która wieczorem zmieniła się w krawędź urwiska, jaskrawoczer-wonego od zachodzącego słońca, oświetlającego zarazem odległe piaski na dole. Między nimi i krawędzią leżał cień.

Była to krawędź Lakht. Tędy muszą zejść na dół, lecz nie znajdowali się jeszcze w miejscu, do którego Marak miał nadzieję dotrzeć, w miejscu, gdzie schodzili poprzednio. Leżało ono dalej na południe, na szlaku niebezpieczeństw Pori.

- Zejście zaczyna się w przesmyku między skałami - powie dział Marak, podjechawszy do Aigyana zanim zdołał go po wstrzymać Memnanan lub ktokolwiek inny.

Była z nim tylko Hati; Marak wyjechał przed Keran i objął przewodnictwo karawany z Hati, a potem Norit, Tofim i Patyą, a na ostatku dołączyła do nich au'it. Teraz miał przy sobie wszystkich, którzy już raz przemierzali tę drogę.

Ściemniało się. Najmniejsze kamienie rzucały dziwaczne, długie cienie na piasek poczerwieniały jak ogień. Dzień się kończył, a oni znajdowali się dalej od ścieżki prowadzącej w dół, niż Marak liczył.

Wjechali jednak w zagłębienie prowadzące wzdłuż krawędzi skał i w resztkach światła zachodzącego słońca trafili na ścieżkę w miejscu, gdzie piasek osypywał się z krawędzi wyżyny, a skały wyrastały jak potężni strażnicy.

- Tam jest! - zawołała Hati: można było zaufać an'i Keran, że rozpozna punkt orientacyjny, który już kiedyś mijają.

To było to miejsce. *Na wschód*, wciąż ponaglały głosy, i teraz *na wschód* można było iść. Marak zawrócił Osana i spojrzął na długą linię idących za nimi plemion, na plamę czerwieni wśród bieli świty Iii, na Memnanana i na ciemne kolory Haga.

Plemiona pójda za nimi bez wahania. Wioski muszą to zrobić, na dobre czy na złe. Zejście było zdradliwie strome, wiło się skalnymi stopniami przeplatany pościami piasku, na jednej z których poprzednim razem stracili beshe: już wtedy było niedobrze, a teraz mają dodatkowo sprowadzić starych i chorych.

Marak, zawołały jego głosy, żądając, by natychmiast ruszył w dół. Serce mocno mu biło w zamęcie spowodowanym przez stworzycieli, lecz Marak i jego rodzina czekali na Aigyana.

- Zejdiesz pierwszy? - zapytał przywódca, oferując mu zaszczyt poprowadzenia ich wszystkich, lecz Marak potrząsnął głową, wiedząc, że to nie jest jego miejsce.

- Zaczekam, omi. Zejdź na dół i ustal granicę obozu bliżej skał, niż ośmieliliby się to zrobić człowiek zdrowy na umyśle, wbij długie paliki i podejmij wszelkie środki ostrożności. Nie sądzę, by piasek spadł na dół. Myślę, że wiatr go poniesie na krańce ziemi. Nadchodzi burza. To wszystko, co wiem - wiatr silniejszy od wszystkich wiatrów. Lepiej znaleźć się bliżej skał.

Aigyan wysłuchał go, zastanowił się i skinął głową, marszcząc brwi. Marak uznał, że chyba został zrozumiany.

Wahał się jednak co do Tofiego i Patyi i kiedy Aigyan ruszył w dół z całym plemieniem Keran, zaprzagnął, by jego podopieczni zeszli wcześniej i znaleźli bezpieczne schronienie.

- Trzymajcie się. Będziecie mieli nasz namiot. Pilnujcie go. Nie popełnijcie żadnego błędu.
- Tak, orni - rzekł Tofi, Patya jednak chciała o coś zapytać.
- Kiedy przyjedziesz?

-Jak zobaczę, że większość naszego obozu zeszła na dół. I Haga. Nie martwcie się o nas. Jeśli ktokolwiek wie, kiedy trzeba zejść, to wiemy to właśnie my.

Mówiąc to, wiedział, co kazało mu zostać na górze. Było to proste pragnienie zobaczenia tego, co się zbliża, chęć przekonania się, czy jak dotąd dokonywał słusznych wyborów i czy miał rację, prosząc Aigyana o to, o co właśnie go poprosił - o pogwałcenie podstawowej zasady bezpieczeństwa podczas burzy.

Nie mógł jednak przekroczyć marginesu czasu, jakim dysponowali.

- Zabezpieczcie się - rzekł do Tofiego. - Wiem, że będzie burza. Może się zatrzęść ziemia. Nie wiem, czy urwisko przetrwa, ale to nasza jedyna osłona przed wiatrem. Dopilnuj tych palików!

Patya pojechała ze swoim mężem. Marak odetchnął dopiero wtedy, gdy oboje minęli miejsce, w którym zginął poprzednio besha, i znaleźli się na łatwiejszym odcinku zejścia.

Oślepiła go znienacka wizja skały uderzającej w kulę.

Widząc tyle innych beshti schodzących w dół, besha Norit ruszył do przodu, ale Marak wciąż przytrzymał Osana w miejscu.

- Jedź z nią - powiedział do Hati. - Przypilnuj, żeby nie skręciła karku sobie ani dziecku.
- Ona mnie nie potrzebuje - sprzeciwiła się Hati. Au'it także miała kłopoty z utrzymaniem swojego beshy, ale poradziła sobie, podobnie jak Hati: były to dwie uparte, zdecydowane kobiety, każda z jakimś własnym planem. Natomiast Norit - i Luz - opuściły ich.

Rozkazami nic się u Hati nie wskóra. Marak wiedział, że Norit posłuchała głosów. Zaczął się zastanawiać nad swoją oceną sytuacji i teraz żałował, że nie wtrącił się, nie zatrzymał Lelie i nie dał jej Hati, ale Hati groziło równie wielkie niebezpieczeństwo u jego boku... wszystkim tu na górze, na krawędzi groziło niebezpieczeństwo, kiedy nadejdzie wiatr.

Podjechał do nich Memnanan. Służący Iii zaczęły wchodzić na ścieżkę prowadzącą w dół.

- Z końca karawany nadeszły złe wieści - odezwał się kapitan. - Plugastwo zaatakowało kolumnę.

Kapłani zwalniają żyjących z obowiązku grzebania zmarłych, a niektórzy tylko usiedli przy drodze. Skończyła im się woda. Dopada ich plugastwo. Sytuacja jest tam bardzo zła. Tracimy ludzi. Na litość boską, Trinie Tainie, kapłani pytają, czy możemy im pozwolić na rozbicie obozu na dole? Jak szybko będzie woda?

• Za dwa dni - powiedział. Kłamał. Nie miał pojęcia, czy zdołają tak szybko dotrzeć do wieży, co się wydarzy i jak długo będą musieli zostać w obozie pod oblężeniem nieba, kiedy już spadnie z niego ogień. - Nadchodzi burza. Tu na górze nie ma szans na przeżycie. Keran rozbija na dole namioty. Twoja matka, żona i ciotki zeszły na dół z Keran, którzy mają na nie oko. Na dole rządzi Aigyan. Kiedy się tam znajdziecie, schrońcie się w namiotach, a potem rozbijcie następne dla tych, którzy właśnie będą schodzić. Potem każcie im robić to samo, spokojnie, ale róbcie wszystko, by jak najszybciej postawić następne namioty. Będą ofiary śmiertelne. Z niebios spadnie ogień. Już jest w drodze. Nie wiem, co się może stać potem.

• Nadchodzi.

• Nadchodzi - rzekł Marak. Uspokoił się trochę, powiedziawszy to głośno do człowieka, który go rozumie. - Nic innego nie ma znaczenia.

• Kiedy zejdziemy, Ha zechce z tobą porozmawiać.

• Przyjdę, jak będę mógł - obiecał Marak. W tej chwili Ila liczyła się dla niego najmniej. - Zjedź z nią. Zejdźcie ze stoku. Na dole wydaj wszelkie potrzebne rozkazy, a w sprawach obozu słuchaj Aigyana. Dołączę do was.

Memnanan opuścił ich, a niebo cały czas zwiastowało katastrofę. Blask zachodzącego słońca, które już dawno znajdowało się za łańcuchami wzgórz na zachodzie, zmienił się w nikłe wspomnienie światła. Ci, którzy dotarli już na dół, zaczęli wyładowywać namioty, nie za daleko od skał. Tak jak mówił Marak.

Po Memnananie i jego ludziach zaczęli schodzić Haga: szlak był tak wąski, że ludzie mogli iść wyłącznie pojedynczo. Na dole znalazł się ostatni członek plemienia Haga.

• Teraz ty - powiedział Marak do Hati.

• Ty - odparła Hati głosem niewiele głośniejszym od monotonnego szmeru kroków i sporadycznych protestów od dawna znajdujących się w drodze i bardzo spragnionych beshti. - Chodź ze mną, Maraku. Nie umierajmy tu oboje. Co chcesz zrobić? Postawić na swoim miejscu Tofiego?

Mimo że młodzieniec był sprytny, była to przerażająca myśl. Tofi nie wybaczyłby mu tego. Tofi kłąłby go w żywy kamień. Patya też by mu nie wybaczyła tego, że obarczył jej męża Ila.

Pojawiła się wizja, skała i kula, tyle że teraz była prawdziwa i szybko miała się ziścić: wypełniała niebo i ziemię. Marak znajdował się gdzieś nad tym wszystkim i widział, jak nadchodzi katastrofa.

- Spada - powiedziała Hati. - Spada. To nasza szansa. Proszę cię! Chodź ze mną!

Marak, Marak, Marak, mówiły głosy do niego i może do Hati... może do wszystkich szaleńców świata jednocześnie. Nie chciał ich słuchać. Przez całe życie opierał się tym głosem.

• Schodź na dół - rzekł do Hati. Jeszcze nic się nie działo. Jeszcze mieli czas.

• Już nie możesz nikomu tu pomóc. Sam schodź albo też tu zostanę, daję słowo. Zachowujesz się jak głupiec!

Obejrzał się na tłum plemion; wiosek jeszcze nie było nawet widać, wiosek ze wszystkim, co niosły ze sobą, z całym ich sposobem życia. Wydawało się, że kolumna rozciąga się w mroku w nieskończoność, a Memnanan uprzedził Maraka o rosnącej rozpacz i słabnącej sile na jej końcu. Marak obawiał się, że tuż poza zasięgiem jego wzroku może się dziać coś znacznie gorszego - jeśli horda w Pori wyczuła przez ziemię echo tego przemarszu, wyczuła zapach tak wielu bezradnych i umierających ludzi. Czy trzeba czegoś z nieba, by ich zabić? Wystarczy plugastwo.

I tylko plemiona odrzuciły zbędne bagaże. Dla wieśniaków, mieszkających w domach, wszystko było cenne, wszystko było

potrzebne. A Marak nie mógł nawet przekazać odpowiedniej wiadomości pierwszym z nich.

- Oni nie wiedzą - powiedział z rozpaczą w głosie. - Nie mają doświadczenia...

Skała uderzyła w kulę, rozszedł się pierścień ognia i wzbila się fontanna chmur; ta kula to ziemia, woda i niebo, na którym słońce pojawiała się nad krawędzią rozległej wody...

Uderzyła. W wizji uderzyła. Wciąż nadchodziła. Marak jednak zobaczył, że uderzyła.

I nastąpiła taka cisza...

Wkrótce, wypowiedziała jedno wyraźne słowo Luz. Wkrótce.

Beshti i tysiące ludzi, powłóczące nogami, nie słyszały tego ani nic nie czuły, ponieważ nie były szalone. Au'it, wciąż na posterunku, zapisywała tylko to, co zostało powiedziane, wykorzystując

resztki słonecznego światła.

- Posłuchaj mnie - rzekła Hati. - Wiem, co robisz. Wiem, dlaczego wciąż tu jesteś. Pozostali jednak potrzebują cię na dole albo, pozostawieni sami sobie, zaczną ze sobą walczyć. Nie możesz tu stać jak jakiś głupiec, czekając, aż spadnie na nas niebo. Chodź. Chodź na dół.

Zdecydował się. Wiedział, że musi przyznać, że to już koniec, i że musi zejść. Ale czy to zawsze chciał usłyszeć, czy wiedział, że za bardzo chciał słuchać i ocalić swoje życie?

- Nie umrą tu wszyscy na górze, jeśli tylko pozbędą się nadmiernego bagażu i sprowadzą beshti...
- Niektórzy nie mają na tyle rozsądku, a jeśli zostaniemy wystarczająco długo, to zsuną się ze szlaku, spadną na nas i zgubią całą resztę karawany! Nic na to nie poradzimy!

Osan chciał już ruszać. Marak też, ale nawet wiedząc, że powinien to zrobić, nie potrafił zrzec się odpowiedzialności. Poszukał natchnienia w skałach, w piasku, na niebie i zobaczył, że au'it wciąż pisze przy resztkach światła dnia, który mógł być ostatnim dniem całego świata.

Zobaczył wysoką skalną kolumnę znaczącą początek drogi w dół, zobaczył też au'it; podjechał do niej, wyjął z ręki kostkę tuszu i zbliżył się do skały. Napluł na tusz i narysował na skale linię na wysokości swojej piersi. Potem znów napluł na tusz i napisał, mimo że Osan niecierpliwił się i nie pozwalał mu równo stawiać liter: „Bagaże tylko do tej linii. Prowadźcie beshti. Idźcie...”.

Zużyta do połowy kostka rozpadła mu się w ręce na drobne kawałki. Nadchodząca noc i tak zatrze jego ostrzeżenie. Lecz wioski będą przybywać na tę krawędź przez całą noc, a najwolniejsze, najmniej sprawne wciąż będą tu przybywać o świcie, jeśli słońce w ogóle jeszcze wstanie, a wiatr nie nadejdzie, i niektórzy z wieśniaków posłuchają.

Marak podjechał do mijającego go członka któregoś z plemion i pokazał mu napis.

- Jest tu zaznaczona bezpieczna wysokość ładunku. Napis mówi, żeby prowadzić beshti i schodzić piechotą. Trzymajcie się tego! Powiedzcie następnemu plemieniu! Powiedzcie wioskom! Zostawcie wszystko oprócz namiotów, jedzenia i wody!

- Tak, Marak-omi - rzekł mężczyzna, spojrzał na skałę i napis, odjechał i przekazał wiadomość dalej. Wielu spośród wieśniaków potrafiło czytać.

A zatem zrobił wszystko, co mógł. Wiedział o tym. Podjechał do przerwy w skałach i ruszył ścieżką prowadzącą w dół. Hati i au'it pojechały za nim.

Wtedy jednak, wiedząc, że za nimi podążają jeszcze plemiona, i atakowany przerażającymi wizjami, Marak zastosował się do własnego, świeżo ustanowionego prawa, mimo że poniżej widział wijącą się kolumnę. Ześliznął się na ziemię, by poprowadzić Osana, a Hati i au'it poszły za jego przykładem, szli więc tym trudnym, ciemnym szlakiem pieszo, mając za oświetlenie jedynie resztki ginącego blasku słońca.

Plemię znajdujące się za nimi musiało oczywiście zwolnić. Co więcej, jego członkowie sami zsiadli na ziemię i ruszyli na piechotę, odrzucając dumę na rzecz rozważań. Krawędź nocy była niebezpieczna.

To było takie proste po całym tym zamartwianiu się słabymi i niezaradnymi. Jeśli plemiona poszły za tym jednym rozważnym przykładem, to wieśniacy nie będą odważniejsi ani szybsi, a rano słońce ujawni wciąż nadciągającym ludziom napis na skale - słońce z pewnością wszędzie równie nieuchronnie, jak ogień z nieba przyniesie światu zmiany.

Z pewnością to będzie trwało. A ludzie będą schodzili na dół tak długo, jak będą w stanie się ruszać.

Okazało się też, że Marak jakby odzyskał jasność widzenia, a wzniesiony przez niego mur odgradzający go od Luz runął; słyszał głosy wyraźnie i czuł, że ulega szaleństwu, któremu się dotąd opierał - wydawało się, że cały świat znów jest w ruchu, a Luz jest wreszcie zadowolona. Marak szedł z rozmysłem, myśląc nie o tym, co mógłby zrobić, lecz pewien, że to on nadaje tempo i że nie może wywołać paniki albo zrobić fałszywego kroku.

Na zakręcie szlaku poczuł, że trzęsie się ziemia. Z góry potoczyły się drobne kamienie.

Część szlaku obsunęła się, obluźowały się też większe kamienie. Osan podrzucił głowę, usiłując zachować równowagę. Przez pierwszą chwilę Marak nawet nie próbował iść, ale potem uznał, że ma już dość czekania i bardzo, bardzo powoli podjął marsz, nie pozwalając Osanowi wyrwać się do przodu.

Za plecami miał Hati. Besha au'it nie mógł jej wyprzedzić, podobnie jak wszyscy idący za nimi. Marak się nie zatrzymywał.

Ziemia przestała drgać.

A potem wstał fałszywy świt. Jakaś spadająca gwiazda przeleciała tak blisko na niebie, że wyrwała

z ciemności całe otoczę- I nie, a cienie odbyły drogę od świtu po zenit do zachodu, jakby po niebie śmignęło słońce.

Czy to już to? - pomyślał Marak w pierwszej chwili. Czy to ten ogień z nieba? Mimo że byli uodpornieni na dziwy, nie mogli oprzeć się, by nie popatrzeć, jak gwiazda spada za równiną po- grążoną w nocy, wydobywając z niej na chwilę grupkę namiotów rozbitych z dala od skały. Niektórzy członkowie plemienia krzyknęli ze strachu.

Nie był to jednak ten upadek, którego się obawiali. Powiedziało to Marakowi jego szaleństwo; katastrofa wciąż się zbliżała, więc szedł dalej, tak jak przedtem. Umierająca gwiazda zginęła daleko na wschodnich nizinach, gdzie stała się problemem Luz. Luz jednak wciąż do niego mówiła, już spokojnie, ukazując mu wizje, które niemal nie pozwalały mu widzieć, gdzie stawia nogi.

- Właśnie spadła gwiazda - powiedział półgłosem do Luz, czując, że być może teraz go słucha, bo na pewno chce znać wszystkie szczegóły wydarzeń. - Poleciała w twoim kierunku. Widziałaś? Powoli schodzimy ze skały. Gdybyśmy przyśpieszyli, skreślilibyśmy karki. Nie popędzaj mnie. Muszę coś widzieć. Jest ciemno. Jest paskudnie ciemno, teren jest nierówny, a ziemia się trzęsie. Powiedziałem im, by namioty rozbili blisko skał: jeśli potem będzie burza, to sądzę, że wiatr poniesie piasek dalej i nie zrzuci go na nas. Mam rację?

W odpowiedzi otrzymał dwa razy powtórzony pierścień ognia. Czy to wiatr? Ogień? Czy to coś, co zna? Nie miał pojęcia. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Głosy też się jednak nie odzywały, więc może to milczenie oznaczało, że Luz się zastanawia. Było niemal zbyt późno na myślenie.

Wiedział, że Norit jest bezpieczna. Czuł jej obecność. Wydawało mu się, że czuje też obecność Lelie. Tofi zjechał na dół i rozbił namiot.

Obok Maraka przemknęły drobne kamienie, czasami uderzając go po kostkach. Ziemia pod jego nogami zrobiła się luźna i z lewej strony w szlak głęboko wgrzyzło się osuwisko. Panika gnała Maraka do przodu, każąc mu nie dbać o niebezpieczeństwo, o ile uda mu się razem z Hati go uniknąć.

Zatrzymał się jednak. Przykucnął i zaczął systematycznie przesuwać drobne kamienie, aż uznał, że wzmocnił zniszczoną krawędź szlaku. Wiedział, że ma za sobą plemiona, i miał nadzieję, że zauważą go i same zadbają o szlak pod własnymi stopami, by mogli nim przejść także inni. Zrobił, ile mógł, po czym wstał i znów ruszył w dół - bez pośpiechu, bez podejmowania ryzyka, którego mógł uniknąć.

Ziemia zadrżała i Osan, sprytnie zwierzę, po prostu szybko przysiadł; beshti idące za nim zrobiły to samo. Kamienie toczyły się po stoku; żwir zatrzymywał się na beshti.

Na górze powstało jakieś zamieszanie, któremu towarzyszył hurgot skał. Pod jednym z siedzących beshti po prostu obsunął się szlak i zwierzę zjechało po żwirowym zboczku nad zakrętem, powoli i ociężale zatrzymując się w prawie całkowitej ciemności na beshy Hati. Siedzący wierzchowiec utrzymał swoją pozycję

i nieszczęsny beshu nie zjechał dalej. Jeździec ześliznął się jego śladem, i to chyba nie z własnej woli. Przez chwilę wyglądało na to, że może się obsunąć kolejny fragment szlaku, ale zbocze wytrzymało. Jeśli członkowie plemienia znajdujący się powyżej chcieli dalej schodzić, musieli naprawić uszkodzenia. To było ich zadanie, leżące w ich możliwościach, a nie Maraka. Poradzą sobie.

Marak poderwał Osana na nogi, a beshu przyparty do stoku za nim zaczął, jak to beshu, metodycznie gramolić się na otwartą przestrzeń, spychając w dół kolejne kamienie. Wierzchowiec Hati uparcie tkwił na swoim miejscu, co beshti miały w zwyczaju, kiedy były całkowicie zdegustowane jakąś sytuacją. Marak chwycił ogłowie i rzemień uprząży obcego beshy i pociągnął za nie w chwili, kiedy zwierzę usiłowało uwolnić nogi; gwałtownie dźwignęło się w przód i wstało, napierając na Maraka i Hati.

Zawstydzony właściciel beshy dotarł do miejsca, w którym mógł stanąć; przecisnął się obok swego wierzchowca, który stał niczym bariera między człowiekiem i dalszym osuwaniem się stoku.

- Orni - odezwał się mężczyzna. Był tak wstrząśnięty, jak to tylko możliwe u człowieka jego pokroju, i Marak zadał sobie pytanie, czy to on tak źle naprawił szlak.

Hati radziła sobie dobrze. Zmusiła do wstania swego beshę, podobnie jak au'it. Marak mógł jedynie iść dalej, rozdzielony z Hati przez tego mężczyznę, ponieważ szlak był za wąski dla dwóch osób idących obok siebie.

Było trochę przerzucania się okrzykami, ponieważ członkowie plemienia, z którego pochodził mężczyzna, chcieli się upewnić, że żyje, a teraz naprawiali szlak. Marak i jego towarzysze poruszali się ostrożnie, a beshti uważnie stawiały nogi na gruncie, któremu już nie dowierzały, ale posuwały się naprzód, chcąc zmniejszyć coraz większą odległość dzielącą je od innych zwierząt. Instynkt podążania za grupą ustępował u beshti jedynie instynktowi samozachowawczemu i Marak, mając widok na koniec szlaku u podnóża skał, pozwolił iść Osanowi własnym tempem.

Po trzech kolejnych ostrych zakrętach i trzech zarzuconych kamieniami odcinkach szlaku weszli między wystające skały. Tu musieli oczyszczać sobie drogę z kamieni. Stracili z oczu ludzi podążających przed nimi: teraz znajdowali się oni w ciemności, a skały i tak zasłaniały wszystkich, którzy znajdowali się poniżej.

W końcu minęły skały, które Marak pamiętał z poprzedniego razu, i w mroku nocy, w nieruchomym powietrzu zobaczyli ludzi idących w ogniu poprzedzającego ich plemienia, oraz namioty obiecujące schronienie.

Teraz mogli wsiąść na beshti i pozwolić im iść własnym tempem, ale ludzie schodzący z góry mogliby pójść za ich przykładem, Marak prowadził więc Osana i szedł piechotą. Kiedy wyszli na płaski teren, mężczyzna, który zsunął się ze zbocza, pożegnał się z szacunkiem i zwolnił, by dołączyć do swych współplemieńców; Hati i au'it minęły go i szły rozszerzającym się szlakiem obok Maraka.

Podjechał do nich jeździec, a potem drugi i trzeci. Tym pierwszym okazał się Tofi, który obserwował szlak z oddali. W świetle gwiazd, pod ich jasnymi smugami i na drgającej ziemi pojawiało się coraz więcej namiotów; obóz błyskawicznie rozprzestrzenił się na oczach Maraka, szykował się, czekał.

Drugim jeźdźcem była Patya, trzecim Norit. Spotkali się pod rozbłyskiem spadającej gwiazdy, pod chaosem i zniszczeniem na niebie.

Marak dotknął ich dłoni. Po chwili podjechała do nich Hati i au'it, i jeżeli w ogóle istniała jakaś sprawiedliwość, była to ich własna au'it. Norit została w siodle, ale Tofi i Patya zeskoczyli na ziemię, by ich objąć. Beshti zaczęły porykiwać i mrużać, pocierać się wzajemnie szyciami i łbami, wdychać znajome zapachy, równie zadowolone jak ludzie, choć były zmęczone i zasługiwały na odpoczynek.

- Nadchodzi. Nadchodzi - odezwała się Norit. - Niech ci, którzy mogą, gdzieś się schowają.
- Gdzie jest Lelie? — Teraz mu jej brakowało, mimo że ryzyko utraty życia groziło stu tysiącom osób znajdujących się za nim. To dziecko jednak wyczuwał, podobnie jak wyczuwał Norit, jak wyczuwał pędzące na nich niebezpieczeństwo. - Gdzie ona jest?

- Z żoną Memnanana - powiedziała Patya. - Ila się wścieka. Wbiliśmy paliki bardzo głęboko i zabezpieczyliśmy boczne klapy. Norit mówi, że niebezpieczeństwo nadejdzie z zachodu, że trzeba kopać głęboko i rozciągnąć siatki. Mamy nadzieję, że paliki wkopaliśmy wystarczająco głęboko.

Marakowi mignęła wizja pierścienia ognia. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, czy unosi się w powietrzu, czy stoi... zupełnie jakby przez to, że przestał opierać się Luz, nagle nawiedziły go zgromadzone wizje, uderzenie, pierścień ognia, a teraz jeszcze fontanna chmury, coś wznoszącego się coraz wyżej, ogień, chmura czy woda - nie był pewien.

- Marak! - zawołała Hati.

Wyciągnął do niej na oślep rękę, przylgnął do żony, a cały świat wydawał się obracać i chwiać pod nimi. Po chwili Marak ruszył szybkim, zdecydowanym krokiem w kierunku namiotów; Hati szła razem z nim.

- Wszystkie namioty - mówił do wszystkich, których napotkał. - Jeśli skończycie, pomóżcie innym. Jak najszybciej. Nadchodzi burza. Jedźcie. Pijcie.

- Woda, orni - przypomniał mu Tofi. - Prawie skończyła nam się woda. Nawet Ila jej nie ma.
- Niech każdy wypije łyk i coś przegryzie, a potem pomoże przy rozstawianiu namiotów tak szybko, jak będą przybywać nowi ludzie, zanim uderzy wiatr. Wolny i niewolnik, ludzie Iii, plemiona, wszyscy. Będziemy to robić tak długo, na ile wystarczy nam czasu, całą noc i ranek - w ciszy albo mimo tego, czym ciśnie w nas niebo.

Wciąż widział jedynie pierścień ognia, powtarzający się bez końca. Tak długo stawał czoło Luz. Pojechał do Pori i z powrotem. Teraz Osan nie miał już sił i nie chciał przyklęknąć, więc ślepy i na wpół głuchy na świat Marak szedł piechotą, usiłując jedynie zachować świadomość, że ma świat pod prawie całkowicie zdrętwiałymi stopami.

Pomyślał, że Tofi i Patya z powrotem wsiedli na beshti i że au'it wypuściła wodzę z ręki, w związku z czym jej besha wyprzedził pozostałych w drodze do namiotów, ale nie szkodzi. Wszystkie beshti wiedziały, gdzie się znajduje ich stado i gdzie zostały rozbite ich namioty.

Usta i gardło miał tak wyschnięte, że prawie nie mógł przelikać; powietrze było suche jak pył i po drodze, tak blisko

bezpiecznego schronienia, Marak zaproponował Hati łyk wody, którą miał ze sobą, ale ona, kobieta roztropna, miała własną i trochę jej upiła. Marak natomiast wysączył bukłak do ostatniej kropli, mówiąc sobie, że jakoś będzie jej więcej, że po tym wszystkim, co przeszli, Luz jakoś o nich zadba, a on nie skończył jeszcze swojej pracy. Musiał jeszcze coś wycisnąć z już wyczerpanego ciała, które potrzebowało wody teraz, bez względu na późniejsze pragnienie. Nie skończy, dopóki wszyscy ci, którzy przeżyli, nie znajdą się na dole, pod namiotami.

- Wody się podniosą - usłyszał głos Norit, cienki i piskliwy, nierzeczywisty. - Gorzkie wody podniosą się jak ściana i ta ściana na dotrze do krawędzi świata i woda przeleje się przez nią! Nadchodzi! Już spada!

Marak zapragnął, żeby zamilkła. Kiedy mówiła o tych rzeczach, widział je bardzo wyraźnie. Nie miał pojęcia, co widzi, dopóki Norit ich nie nazwała, ale jej słowa nadawały obrazom straszliwej przejrzystości.

- Ziemia popęka! Gorzka woda wleje się do kuźni, a jej gorąco wzięci w górę jak rozpalony piec, jak woda rzucona na gorące żelazo!

To była ta fontanna, którą widział. Myślał, że to chmura na niebie.

- Spadnie ogień! - krzyczała Norit w niebiosa, do znajdujących się z tyłu, do kogokolwiek znajdującego się w pobliżu, kto chciał jej słuchać. - Ziemia zadzwięczy jak kowadło! Nadejdzie wiatr silniejszy od wszystkich wiatrów!

Marak odwrócił się, potykając się w miękkim piasku.

- Kiedy? - krzyknął do Norit. - Ile mamy czasu, kobieto? Czy poniesie piasek nad nami? Czy jesteśmy zbyt blisko skał?

Norit była jednak zbyt szalona na takie wyliczenia i wciąż ochrypłym z pragnienia głosem krzyczała o szczelinach w ziemi i jeziorach ognia.

Odwrócił się. Poszedł dalej. Doszli prawie do namiotów, a kiedy się odwrócili, sznur wciąż nadchodzących ludzi ciągnął się daleko w ciemność, w świetle gwiazd, aż po same skały Lakht, na szlaku, którym wciąż schodziły plemiona i gdzie wieśniacy - pierwsi wieśniacy - jeszcze nie dotarli.

Słabym prawie na pewno się nie uda. Będą upadki. Ofiary śmiertelne.

Kiedy Marak znajdzie własny namiot, nie pozostanie już nic - absolutnie nic, co mógłby dla nich zrobić.

-Zbliży się do nas śmierć! - krzyczała gdzieś daleko Norit, szalona, błąkająca się coraz dalej, niepokojąc coraz to innych ludzi, i Marak odwrócił się, by ją powstrzymać, ale Hati przytrzymała go za ramię.

- Zostaw ją. Będzie wiedziała, kiedy się schronić, lepiej od nas wszystkich, będzie wiedziała. Luz nie pozwoli jej zginać. Mobilizuje wszystkich do pracy. Kiedy słyszymy coś takiego, wszyscy musimy coś robić.

- Nie możemy dopuścić do powstania paniki. Będą nam potrzebne wszystkie ręce w obozie.

Wszystkie trzeźwe umysły.

Osan pociągnął wodzę, pragnąc wolności i słusznej nagrody, a Marak nie miał sił, by go rozsiadłać i się nim zająć. Zatrzymał się chwiejnie.

Tofi bez słowa wyjął mu wodzę z ręki, a Patya to samo zrobiła z wodzą wierzchowca Hati; Tofi zawołał Bosgindego i Moga-ra, by zajęli się beshti i je rozsiadłali.

- Będę potrzebował innego beshy - rzekł chrapliwie Marak -takiego, który nie był w Pori. Jestem zbyt zmęczony, by iść, a muszę porozmawiać z Aigyanem. Z Memnananem i Menditakiem.

- To ja też będę potrzebować beshy - rzekła mimo wyczerpania Hati. Marak nie powstrzymał jej, wiedząc, że może jej potrzebować do przekonania Aigyana. Cisza panująca w obozie, niemal dusząca nieruchomość powietrza klóciła się z chaosem panującym w jego wizjach i harmiderem w uszach, ostrzegając, stale go ostrzegając - gdyby tylko wiedział, jak jej słuchać - jak mało mają czasu... ten ciężar dźwigała jednak tylko Norit: przejmowała przesłanie całą sobą i nie zachowywała go tylko dla siebie.

Zatem Norit biegła szaleńczo między namiotami.

Jednak otaczający Maraka rozsądni ludzie... otaczający ich rozsądni ludzie wykonywali rozsądne prace, jedyne, co umieli robić. W zdumiewająco krótkim czasie pojawiły się osiodłane beshti, a nawet odrobina cennej wody. Odmowa przyjęcia jej wymagała od Maraka tyle samo siły, co ponowne znalezienie się w siodle.

Tofi podszedł do niego i bez pytania, bezceremonialnie go podsadził. Hati dosiadła swego wierzchowca prawie samodzielnie, z pomocą Mogara tylko na samym końcu. Ostrożnie manewrując na małej przestrzeni, Marak odjechał w mrok, minął odpoczywające beshti i wjechał między namioty Keran - najpierw Aigyan, za którego przewodnictwem mogą podążyć inne plemiona.

A potem Menditak, sprytny, bystry starzec, który przeżył większość swoich wrogów... i zaprzyjaźnił się z największym z nich.

A gdzieś między nimi wszystkimi Marak szukał też kapitana Iii.

Rozdział 24

„Kiedy nadchodzi burza - jakikolwiek namiot”.
- Przysłowie kerańskie

Marak, hałasowały mu w uszach głosy, głosy wibrujące niepokojem i katastrofą, podczas gdy ciemność i otwarta równina rozbrzmiewały uderzeniami metalowych i drewnianych młotków.

Wbijano długie paliki, a nad całym harmiderem niosły się chrapliwe głosy członków plemion wykrzykujących rozkazy i zabezpieczających obóz przed burzą. Namioty ustawiano tak, by dawały jak najlepszą ochronę przez zachodnim wiatrem... źródłem zagrożenia stał się zachód: Marak był tego pewien w głębi serca. Zachód to zagrożenie, wschód - zbawienie.

Beshiti głośno wyrażały swoje niezadowolenie z powodu braku wody i pożywienia. W namiotach płakały zmęczone, głodne i spragnione dzieci, ale plemiona pilnie strzegły tej odrobiny wody, którą miały, i nikomu jej nie dawały.

Namiot Iii stał dobrze zabezpieczony palikami wbitymi głęboko w kamienisty piasek. Wewnątrz niego paliły się światła, oświetlając płótno... ponieważ Ila miała olej do lamp, wożony tam, gdzie o wiele bardziej przydałaby się woda.

Zamiast niej, przypomniał sobie Marak, mieli te wszystkie księgi, których waga, gdyby były wodą, wystarczyłaby do zaopatrzenia całego obozu...

Na jak długo? Na jeden dzień, przy zmniejszonych racjach?

I

Czym jest jeden dzień? Dla tych zaskoczonych powyżej urwiska, wszystkim. Dla tysięcy ludzi stanowił różnicę między zejściem z Lakht w bezpieczne

miejsce - albo nie. Woda jednak nie mogła dać im czasu. To mogły im tylko dać niebiosy. Ten czas mogły im dać tylko jego decyzje, by rozbijać obóz, by wyruszać w drogę, wszystkie decyzje podjęte podczas całej tej podróży - a podejmował je on, balansując między różnymi potrzebami oraz siłami wieśniaków. To były jego decyzje. Nie wiedział, czy były najmądrzejsze - najbardziej ekonomiczne pod względem przeżycia.

A kiedy myślał, ilu ludzi musi jeszcze wciąż znajdować się na skałach, wciąż schodzić niebezpiecznym szlakiem w dół, uwięzionych między pragnieniem i plugastwem, ledwie potrafił pojąć ogrom tego, co obiecał zrobić i jakie konsekwencje mogła mieć każda jego decyzja.

Sam trzymał młotek, pomagając rozbijać w ciemnościach kolejne obozy. Każde plemię brało swoje młotki i rozstawiało namioty następnych przybyszy, tak że gdy tylko zmęczone plemiona docierały na skraj obozu, obóz ich pochłaniał i zdobywał robotników.

Hati uderzała młotkiem razem z nim. Jak wszyscy, jak Tofi, Mogar i Bosginde, jak Antag i jego bracia, jak wszyscy zdolni do pracy mężczyźni i kobiety, owijali sobie dłonie, pracowali i wciąż krwawili... lecz dzięki stworzycielom dłonie szaleńców puchły od gorączki i aktywności nanocel. Rany Maraka i Hati goiły się, krwawiąc, a wyczerpanie zastępowała biorąca się skądś siła. Zaczęli przybywać wieśniacy; młodzi i starzy, i zachęceni przez plemiona, włączali się do pracy.

Norit natomiast kręciła się po obozach, zawsze na skraju świadomości Maraka i Hati, podobnie jak w ich świadomości stale gościły wizje.

Uderzenia młotków w długie paliki, obraz uderzenia mającego zniszczyć ziemię. Luz stale przemawiała do szaleńców, co, choć było denerwujące, stanowiło jednocześnie potwierdzenie, że wieża wciąż stoi. Wiedzieli, że Luz jest świadoma sytuacji. Wiedzieli, że nie zostali zapomniani, jeszcze nie i jeszcze nie teraz: nadchodziła śmierć, lecz sam cios jeszcze nie spadł.

Wyrósł kolejny namiot; mężczyźni i kobiety ciągnęli za liny, krzycząc razem, gdy wzniosły się centralne maszty i kolejny płócienny szczyt wycelował w niepewne niebo. Na to narzucili siatkę, przymocowaną do długich palików i obciążoną kamieniami, jeżeli udało się je znaleźć, by delikatne płótno nie łopotało w podmuchach wiatru.

Ludzie z młotkami podeszli do kolejnego szeregu palików, kobiety podniosły kolejny toból zrzucony z siodła, a wieśniacy dołączyli do robotników jak wszyscy inni i zajęli się następnym zwiniętym namiotem, rozwijając płótno ramię w ramię z członkami plemion.

Jeszcze jeden namiot, i jeszcze jeden. Obóz rozprzestrzenił się na zewnątrz i na boki, na każdy splachetek piasku, na którym można było wbijać paliki: obóz rozszerzał się i pogłębiał w tempie, które nabrało już maszynowej powtarzalności, w tempie, od którego robotnicy tracili oddech i które wciąż przyciągało do tego szaleństwa nowych pomocników. Każdemu mężczyźnie i kobiecie, którzy potrafili rozpakowywać płótno albo ciągnąć za linę, było wstyd siedzieć bezczynnie.

Wciąż przybywali nowi ludzie i rozprzestrzeniaли się z oszalełymi prędkościami - co pewien czas któryś z robotników padał na wpół przytomny na piasek, skąd zabierano go do obcego namiotu z niedomagającymi, gdzie zajmowano się nim i udzielano pomocy, a jego miejsce zajmowało trzech czy czterech nowo przybyłych wieśniaków.

Odgłos młotków odbijał się echem od urwiska szerokim frontem. Beshti szły gęsiego; niektóre były obładowane pakunkami, a wierzchowce prowadzone przez silnych i zdrowych niosły starych i młodych. Ludzie pracowali niestrudzenie, ziemia co chwila drgała, a gwiazdy wciąż spadały tak blisko, że oświetlały niebo przedwczesnymi świtami, południami i zmierzchami. Ludzie odpoczywali, kiedy musieli, wbijali paliki, kiedy odzyskiwali siły, a potykający się wieśniacy stale schodzili z góry, niektórzy uczeplieni pętli do wsiadania, ledwie zdolni do wskazania wśród bagaży swoich namiotów. Ich spragnione beshti siadały z takim pośpiechem, że trudno było z nich zdjąć siodła.

To był powód do nieprzerwanej pracy. Nawet praktyczni członkowie plemion znaleźli uzasadnienie do dalszego wysiłku, do zapewnienia innym choćby prowizorycznego schronienia, jeśli nie życiodajnej wody; teraz, jak było to zwyczajem plemion w ciężkim położeniu, rozbijali namioty we wspólnych, długich ciągach, przyciskając je sieciami sporządzonymi z wszelkich dostępnych materiałów, aby wieśniacy mogli połączyć swe zapasy i pomysłowość, i pozostać przy życiu.

Lecz nawet ludziom, którzy przybywali, ślaniając się ze zmęczenia, udawało się naciągać sznury, zapewniając w ten sposób schronienie swoim rodzinom, a najwytrzymalsi spośród nich, ledwie nieco odetchnęli, dołączali do pozostałych, by razem z nimi uderzać młotkami, rozpakowywać bagaże, rozwijać płótna i je naciągać.

Czasem wioski bardziej zapobiegliwe i lepiej dowodzone od innych przybywały w lepszym stanie i dawały wodę obcym dzieciom, ponieważ, jak powiedział pewien młody idealista, raj był blisko i wody w nim nie zabraknie.

Raj, w przeciwieństwie do ognia z nieba, nie był blisko. *Marak, Marak*, zaczęły znów głosy i mimo że urwisko odcinało cały widok na Lakht, Marak czuł zagładę wiszącą im nad głowami. Ogień zbliżał się coraz bardziej.

Hati nadal z nim pracowała. Ustawiała paliki, a on je wbijał; czasami kierowała wieśniakami, którzy nie dawali sobie rady z linami; gdyby miała dość sił, potrafiłaby sobie poradzić z tą sztuką nawet przez sen. Jej dłonie krwawiły. Maraka też.

Marak! - nadeszło ostrzeżenie. Zobaczył pierścień ognia, który ukazał się trzy razy. Zobaczył upadek głazu na kulę i chyba wiedział, gdzie jest Norit, oraz to, że znalazła jakiegoś beszę i szybko do nich wraca.

Nie widzieli jej: wyjechała z ciemności, szalona jak nigdy przedtem, ale z nią pojawili się Tofi i Patya, prowadzący ze sobą kilka beshti.

- Gwiazda spada - rzekła Norit, rzekła Luz. - Chowajcie się! Natychmiast! Niech wszyscy gdzieś się schronią. Nadchodzi. Spada!

Własna wizja Maraka pokazała mu to, co zawsze. Uwierzył jednak Norit. Przerwał pracę i znieruchomiał, oszołomiony, widząc tych wszystkich ludzi, członków plemion, którzy oddalili się od swoich namiotów i bezpieczeństwa... jego pierwszą jasną myślą po otrzymaniu ostrzeżenia było to, że nie jest to kwestia

tylko jego bezpieczeństwa, a przede wszystkim bezpieczeństwa Hati, lecz Tofiego i wszystkich tych

ludzi.

Ale inni ludzie też usłyszeli prorokinię. W tej chwili wybuchła panika, nawet wśród odważnych.

Usiłowała też ogarnąć jego, czekając na chwilę, kiedy jej na to pozwoli.

- Hati - powiedział Marak. - Rozgłoś tę wiadomość, a potem przyjdź do domu.

Powiedział „do domu”, jak jakiś głupi wieśniak, kiedy pokazała się Norit, ich drogowskaz, ale nikt z nich nie wiedział, gdzie wśród tego morza namiotów znajduje się ich dom.

Nagle jednak Marak poczuł, że on wie. Wiedział on, Norit i chyba Hati; pomyślał, że to dziwne, ale w sercu tego świata niemowlę mające w sobie stwórcy wie, gdzie w tej chwili znajdują się ci, co je kochają.

-Lelie jest naszym drogowskazem do domu - powiedział schrypniętym szeptem, wspiął się na siodło i ujął wodzę. - Kierujcie się nim! Rozgłaszajcie wiadomość, że nadchodzi burza. Chowajcie się! Natychmiast! - Odwrócił się, pomachał ręką i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił: - Ostatnie namioty, przyjmijcie wszystkich przybywających! Rozgłoście to! Rozgłoście! Dajcie schronienie beshti! Przyjmijcie obcego! Przyjmijcie najgorszego wroga! Na całym świecie jesteśmy tylko my i ta burza!

Ludzie zaczęli krzyczeć do siebie nawzajem i metodyczna praca zmieniła się w pośpieszny, a potem gorączkowy wysiłek: ustawiano ostatnie namioty, przymocowywano ostatnie sieci, a ci, którzy właśnie zeszli na dół, zawadzili o swoim bezpieczeństwie, o bagażach i krewnych wciąż nie mających schronienia.

Marak pojechał na północ, wzdłuż granicy obozu, krzycząc na wieśniaków docierających do namiotów i wciąż pracujących ludzi. Słyszał, jak ostrzeżenie obiega szeregi namiotów i przenika w głąb obozu. *Chowajcie się, chowajcie się*, wołali ludzie; noc tymczasem wydawała się czysta jak najczystszy poranek świata, a powietrza nie mącił ani jeden podmuch wiatru.

Lecz powoli z najgłębszej czerni nocy zaczęły się wyłaniać szczegóły lin i palików, stawały się coraz wyraźniejsze i ku swemu przerażeniu Marak uświadomił sobie, że na zachodzie wstaje świt - na zachodzie, nie na wschodzie.

Spojrzał na urwisko, z którego wciąż z mozołem schodzili ludzie... schodzili, mając tak blisko do schronienia, a jednak było już za późno.

Jego głosy krzyczały do niego i może patrzył tak przez moment, przez uderzenie serca, przez mgnienie oka, a potem popędził harapem swojego beshe i zostawił przerażenie za sobą.

Nad nimi rozlało się światło i przemknęło po obliczu świata, ukazując rzeźbę odległych gór, pokazując wszystkim w jednym błyskawicznym uderzeniu cały świat i zostawiając Marakowi jedynie wolę doprowadzenia osób, które miał przy sobie, w bezpieczne miejsce, do Lelie - do centrum świata, do tego miejsca, schronienia, gdzie pójdzie Hati i Norit. Wokół siebie widział namioty i siedzące, wyczerpane beshti, które unosiły głowy, patrząc na ten dziwny świt.

Marak skulił się, gotów na trzęsienie ziemi, wiatr czy cokolwiek miało nadejść, i mijał namioty za namiotami, ludzi wracających do swoich rodzin, plemion, ludzi biegnących teraz z rozpaczą w oczach.

Światło wcale nie zanikało, lecz narastało, i kiedy Marak dotarł do ostatnich namiotów, ześliznął się na ziemię i spojrzał w górę, ujrzał na zachodzie nad urwiskiem ciemny ogień, który tak nienaturalnie rozświetlał niebo.

Zobaczył zbliżające się Hati i Norit, chwycił ich wodze i pomógł im zsiąść. Za nimi pojawili się Tofi i Patya.

- Morze się gotuje! - zawołała Norit, wpatrzona w czerwoną poświatę na niebie. - Słup chmur unosi się i płonie światłem, coraz wyżej, a gorzka woda i niebo już nie istnieją. - Uniosła nagie ramiona ku temu czerwonemu, zachodniemu świtowi i przez chwilę wydawała się pogrążona w wizji, rozciągnięta na tle nieba, skąpana w blasku.

Marak chwycił ją i pociągnął do namiotu.

Ziemia nagle zatrzęsała się tak, jakby rozpadał się świat. Beshti przysiadły, a wierzchowiec Norit się przewrócił. Marak stracił równowagę, ale osłonił Norit łokciami. Namiot znajdował się tuż obok, lecz ziemia zdawała się trząść bez końca.

Wtem znieruchomiała. Cały świat, skąpany w czerwieni, wstrzymał oddech. Powietrze było nieruchome. Marak poruszył się, podciągnął kolano, wsparł się na drugim i wstał. Namiot wciąż stał. W wejściu czekała odziana na czerwono au'it, obojętna rejestratorka wszystkiego, co widzi.

Marak wstał z pomocą Hati, Patyi i Tofiego, pociągnął Norit do wejścia, odgarnął jej ciało kłapą zabezpieczającą wewnątrz namiotu przed burzą. Za sobą miał Hati, w namiocie byli już pozostali i wszyscy usiłowali mu pomóc. Niósł Norit resztkami sił. Szybko je tracił, a kiedy dotarł do, jak sądził, swojego miejsca, swoich mat, chciał uklęknąć, ale upadł, objając sobie kolana.

Wypuścił Norit z rąk zdrętwiałych od opuchlizny.

- Lelie - odezwała się Norit. - Lelie, Lelie, Lelie!

Chciała swoje dziecko. Luz ją opuściła. W tej chwili Marak nie miał dziewczynki, by ją podać Norit, ale przynajmniej wiedział, że ona tu jest, podobnie jak Hati. W namiocie było ciemno, a po niebie pędził ogień. Marak zawołał Patyię, by upewnić się, że jest w namiocie razem z Tofim; kiedy usłyszał odpowiedzi, padł na matę i leżał tak, tylko oddychając i myśląc o wciąż osiodłanych beshti, o ludziach wciąż znajdujących się w drodze i, co najgorsze, tkwiących na urwisku w obliczu nadchodzącej burzy... ponieważ burza na pewno nadejdzie.

W ostateczności mogli się schować za skałami. Chciał, by o tym pomyśleli, by po prostu przypadli do ziemi pod jakimkolwiek płótnem, które uda im się przymocować do czegoś solidnego - nie mógł jednak im już żadną miarą pomóc. Jeśli płonie niebo - jeśli ziemia się tak trzęsie - to jaka istnieje nadzieja?

Zamknął oczy, lecz wizje nie ustępowały. Kamień uderzył w kulę. Pierścień ognia rozprzestrzenił się i to właśnie on wisiał nad nimi. Teraz Marak to wiedział. Wstał z wielkim wysiłkiem i wystawił głowę na zewnątrz, by zobaczyć, co się tam dzieje.

Nie było jeszcze żadnej oznaki burzy, tylko ten nienaturalny blask na niebie, blask na tyle silny, by rzucać cienie.

Ogień z nieba rozpalił iskrę, która rozlała się płomieniem na cały nieboskłon. Wiatr jednak jeszcze nie nadchodził. Jeszcze kilka osób może dotrze do swoich namiotów. Jeszcze kilka osób może przeżyje.

At<

Marak klęczał w wejściu do namiotu na zdrętwiałych kolanach, z ramionami i plecami trawionymi gorączką, i nagle poczuł dotyk dłoni Hati. Stale czuł jej obecność, a także obecność Norit i Lelie. Norit i Lelie odnalazły się nawzajem.

Pojawiła się nowa wizja: słup chmury, oświetlony na czerwono, rozrastający się po niebie.

Gorzka woda, powiedziała Norit. Ogień z nieba spadnie do gorzkiej wody, a wtedy wzbije się fontanna i ziemia pęknie jak garnek, wypływając z siebie ogień.

Czyż nie czuli, jak pęka ziemia?

- Świeci jak lampa - odezwała się Norit. - Gorąco rozprze strzenia się, a popioły będą spadać i spadać. Ogień spadł.

Gdyby był sam, może usiadłby w wejściu i patrzył wstrząsany dreszczami, co się stanie dalej. Czuł jednak na sobie rękę Hati, więc położył na niej swoją dłoń, wyczuł jej palce, równie spuchnięte, szorstkie i poranione, jak jego, i oderwał wzrok od straszego nieba, by spojrzeć na nią.

- Będziemy żyć - powiedziała i zacisnęła szczękę w swoim charakterystycznym grymasie, a Marak kochał ją, kochał ją w tej chwili tak bardzo, że potrafił oderwać wzrok od nieba.

Pojawiła się jednak wizja, wizja nieba i nadchodzącej ciemności, pierścienia ciemności za pierścieniem ognia.

Marak! - zawołały naraz wszystkie głosy.

Opuścił klapę i starannie zasnurował wejście opuchniętymi palcami.

Nadchodzi, nadchodzi, mówił sobie, widząc raz po raz pierścień ognia i pierścień ciemności. Wewnątrz namiotu Tofi kazał Mogarowi i Bosgindemu mocno napiąć liny burzowe, znajdujące się po nawietrznej, tam, gdzie ułożyli bagaże: były to liny połączone z siatką nałożoną na namiot i przymocowane wewnątrz namiotu, wokół bagaży. Jeżeli cokolwiek miało wytrzymać napór wiatru, to na pewno te liny, przyciskające namiot tym mocniej, im bardziej wiatr chciał go unieść.

Zajęli miejsca w środku, w ciemności, bez żadnej lampy. Napięli mięśnie. Siedzieli w pogotowiu. Marak i Hati przyłączyli się do osób naciągających liny. Żona, ciotki i matka Memnanana chwyciły jedną z lin, a Norit, Lelie i au'it chyba się do nich przysunęły.

Najpierw zagrzmiało - aż zatrzęsała się od tego grzmotu ziemia, niczym w rytm wielu kroków. Beshti ryczały w całym obozie.

Wiatr uderzył jak pięścią, uderzył i zaczął szarpać linami, usiłując podnieść namiot. Liny zaczęły wibrować i śpiewać pod naporem wichru; Marak chwycił którąś z nich, pozbawiony tchu, jakby otaczające ich powietrze zostało pozbawione siły. Poczuli ucisk w uszach, a oślepienie oczy zdawały się pęcznieć im w oczodołach. Marak zacisnął powieki i poruszył gałkami do dołu, by nie pękły. Ciągnąc za linę, czuł, jak jej wibracja udziela się jego ramionom i kościom, jak się podnosi. Być może krzyknął. Podobnie inni. Ogłuchł, a uszy mu pękały.

W namiot uderzyły jakieś szczątki, z impetem, od którego na chwilę mogło przestać bić serce, grożąc zniszczeniem ich wszystkich. Nadeszła fala zimna. Wciąż atakował wiatr, niczym nie różniący się od trzęsienia ziemi. Marak zagryzł wargę i nie puszczał liny, czując jej drzenie pod naporem

wichury. Prawie stracił słuch, ale wibracja w kościach miała głos, głos wiatru. Choć był przytłumiony przez ucisk w uszach, wdzierał się każdą szparą i wtedy jęczał, wyl, ryczał. *Marak*, szalały jego głosy, ale wiatr prawie je zagłuszał. Wizje ukazywały zniszczenia, pierścieni ognia i pierścieni ciemności - i *Marak* pomyślał, że to jest to, to właśnie musi być najgorsze.

Jego dłonie zaciśnięte na linie już nie odczuwały bólu, choć sznur wrzynał się w ciało. *Marak* nie chciał go puścić, nie chciał oddać namiotu wiatrowi. Znajdowali się na skraju półksiężycy namiotów i byli wystawieni na największą siłę wiatru spadającego z urwiska, za jedyną osłonę mając jedynie namioty stojące za nimi; jeżeli ich pozycja okaże się zła, to zginą, ale piasek ich omijał... pędził nad namiotem, niesiony wiatrem potężniejszym od wszystkich dotychczasowych wiatrów.

Jakiś kolejny przedmiot uderzył w tylną ścianę namiotu; było to coś dużego, trzepocącego, co następnie przetoczyło się po płótnie: mógł to być inny namiot porwany wiatrem, który natychmiast zabił wszystkich jego mieszkańców i poniósł ich dobra. Szwy namiotu *Maraka* napięły się, a piasek ocierający się o płótno mógł przetrzeć nitki i zrobić otwór, który wiatr mógłby szeroko rozedrzyć.

Marak trzymał linę. Przez wiele dni ignorował głosy, a teraz, jak skruszony złodziej, miał nadzieję na jakąś odpowiedź od *Luz*: w tej krytycznej sytuacji i w strachu o życie ich wszystkich błagał pokornie o jakiś głos, gotów mu się poddać, jeśli tylko usłyszy, co ma robić.

Trzymał linę, a wiatr nie niósł teraz ze sobą lekkiego chłodu i dziwnego zapachu głębokich warstw naruszonego piasku. Ten wiatr śmierdzał czymś, od czego jeżyły się *Marakowi* włoski na karku, śmierdzał nieopisaną mieszanką zapachów, czymś, co nigdy nie widziało światła, głębią zniszczeń *Pori* i *Oburanu* oraz samą gorzką wodą. Pachniał jak kuźnia pomieszana z cementarzem, pachniał wiatrem z wysokich gór i gnijącym podłożem ogrodu. Robił się coraz głośniejszy, *Marak* odczuwał coraz większy ucisk w uszach, aż pomyślał, że jeszcze chwila, a pęknie mu głowa.

Wtedy, niczym ogromny ciężar spoczywający na ich ramionach, burza zaczęła słabnąć i uleciała dalej z rykiem tak głębokim, że ziemia znów zdawała się dudnić pod jej uderzeniami.

Ktoś szlochał. *Lelie* zaczęła płakać, ale zagłuszył ją wiatr.

Wtem rozległo się ostre, przerywane wołanie o pomoc i *Marak* zaczął sobie uświadamiać, że to krzyczy żona *Memnanana*.

- Zaczęło się! - zawołała bez tchu, przerażona, i wtedy *Marak* zrozumiał, o co chodzi. Jej dziecko było w drodze, w ciemności, w burzy, w hałasie zagłuszającym wszystko oprócz najgłośniejszych krzyków.

Wiatr jednak się uspokajał. Ból w uszach się zmniejszył. *Marak* nie miał pojęcia o odbieraniu porodów, ale znał *beshti* i wiedział, że poród mogła wywołać burza, która przetoczyła się nad nimi. Jego uszy mogą się odetkać, ale ta kobieta nie zazna podobnej ulgi. Kiedy skurcze porodowe raz się zaczęły, to już nie ustawały, bez względu na to, co zrobi burza ani jak zły obrót mogły przybrać sprawy, gdyby dziecko nie było gotowe do przyjścia na świat.

Marak usłyszał, że wśród kobiet powstało zamieszanie. *Lelie*, najwyraźniej odłożona gdzieś na bok w zamięcie i ciemności, płakała przerażona. Kobiety zebrane wokół żony *Memnanana* pytały się wzajemnie o rady - *Norit* już rodziła. Podobnie matka *Memnanana*.

- Co możemy zrobić? - usłyszał *Marak* pytanie *Tofiego*, a po tem głosy *Patyi*, *Hati*, a nawet *Bosgindego*, rozmawiających z matką *Memnanana*, zagłuszane jednak przez wiatr, łopot płót na i bolesne bąble, które najwyraźniej zadomowiły się w jego uszach.

Memnanan był nieosiągalny. Próba przyprowadzenia go byłaby szaleństwem: ich namiot już nie usiłował odlecieć, ale wciąż chwiało się pod uderzeniami burzowego wichru. Powietrze było zbyt przesyczone piaskiem, by dawało się nim oddychać.

Marak ostrożnie puścił linę i zmusił zgięte, opuchnięte palce do ruchu. W ustach tak mu zaschło, że gardło sprawiało wrażenie pokrytego pyłem. Potarł warstewkę delikatnego, suchego pyłu, jaki osiadł mu na twarzy i wokół oczu, co tylko pogorszyło sytuację. Ledwie wystarczyło mu sił, by unieść ręce.

- Możemy dostać jakieś światło? - poprosiła matka *Memnanana*.

Tak jak każdy namiot, w swoich zmniejszających się zapasach mieli najbardziej podstawowy rodzaj lampy. To było coś, co mogli robić mężczyźni. Macając w ciemnościach, *Marak*, *Tofi* i niewolnicy wydobyli z bagażu potrzebne elementy.

Następnie długo zapalali lampę, podczas gdy wiatr szarpał płótnem. *Mogar* miał małe krzemienne kółko, stanowiące w pustynną noc prymitywną zapalniczkę, ale podmuchy wiatru wdzierające się przez sznurowania kłap gasiły wszystkie skrzęsane iskry.

Nie mieli szybkoznia ani niczego innego, co ułatwiłoby im zadanie. *Bosginde* jednak powiedział, że mu się uda, i w końcu mogli rozpaść suchy kłęb włókien i chyba kosmyków włosów *Bosgindego*, a

potem przenieść ogień na knot nasączony olejem. Cały czas namiot chwiał się pod uderzeniami wiatru, więc mężczyźni własnymi ciałami osłaniali płomyk.

Włókienka przeciętego sznurka lekko się rozżarzyły. Chodziło o to, by płomyk nie zgasł, zanim nie rozpali się knotek; Marak wyrwał sobie kilka włosów, by podtrzymać ogienek, ale choć Tofi poszedł za jego przykładem, płomyk i tak zgasł, bo włosy przepaliły się zbyt szybko.

Knotek jednak zajął się i w mroku oraz zagładzie świata rzucił na zatroskane twarze mężczyzn dające otuchę światło; sięgnęło ono w górę, dotykając płótna namiotu chwiejącego się pod ciągłym atakiem wiatru, i w bok, oświetlając krąg kobiet.

Marak bardzo ostrożnie odwrócił się i cały czas osłaniając światło, podał je Hati. Rozświetliło twarze kobiet, twarz rodzącej, twarz matki, ciotek, Hati, Patyi i Norit - a także przestraszonej Lelie, której drżały wargi. Była tam też au'it, marszcząca brwi i nie mająca żadnych rad - dziewicza służąca Iii.

Nagły gwałtowny podmuch wiatru wydarł z ust rodzącej okrzyk, lecz wiatr właściwie go zagłuszył. Marak siedział z nieszczęśliwą miną, słuchając okrzyków bólu, na który nic nie mógł poradzić. Będzie, co będzie. Jeśli ktoś może tu pomóc, to kobiety wiedzą, jak to zrobić.

- To jej pierwsze dziecko - poinformował Marak Tofiego, potrząsając głową. - O miesiąc za wcześnie. To przez tę burzę. Mam nadzieję, że dziecko jest dość odważne, by się urodzić.

- One nigdy się nie rozmyślają, prawda?

- Nie za często. I nie wtedy, kiedy sprawy zaszły już tak daleko.

Kobieta rodziła. Gdyby dziecko teraz się rozmyśliło, matce nie wyszłoby to na dobre.

To niewiarygodne, ale au'it otworzyła księgę i przechyliwszy ją do nikłego światła, zaczęła pisać. Zapis został podjęty. Świat toczył się dalej. Marak wziął głęboki oddech.

Tofi zaryzykował nawet zerknięcie na zewnątrz przez sznurowanie.

- Żyją - powiedział o beshti. - Nie wiem, jakim sposobem.

Siedziały bez wody, wcale nie odpoczywając. Wiatr wiał. Poród się ciągnął, aż w końcu kobiety najwyraźniej zdenerwowały się jego przebiegiem, podniosły żonę Memnanana i zaczęły oprowadzać ją w kółko po namiocie; Bosginde osłaniał lampę.

Kobieta położyła się i znów wstała.

- Czy jest choć trochę bliżej? - zapytał Marak Hati.

- Nie - odparła.

Zrobiły jeszcze jedno okrażenie namiotu, ale rodząca osunęła się w ramiona pomocnic, krzycząc z bólu, na który żadna z nich nic nie mogła poradzić, wołając męża, matkę, osoby, których nikt nie potrafił znaleźć. Lelie zaczęła płakać, huraganowy wiatr wył.

- Chce się zobaczyć z mężem - powiedział Marak. - Nie jest tak daleko.

- Omi - zaczął protestować Tofi, ale uciekł, kiedy rodząca krzyknęła, zachłystując się powietrzem.

- Jeśli zobaczę namiot, uda mi się.

- Weź linę - poprosił Tofi, który stracił ojca i braci podczas nieprzemyślanej wyprawy w burzy słabszej od tej.

Marak nie potrzebował liny; potrafił odnaleźć Hati, nawet gdyby był ślepy, a ona znajdowała się po drugiej stronie Lakht... był tego pewien. Tofi dał mu jednak zwój sznura przeznaczonego do ewentualnych napraw i Marak podał mu jego koniec.

Następnie mocno owinał się aifadem, rozsznurował klapę i uciekł przed bólem i cierpieniem w piekło szalejące na zewnątrz.

Zaczął wstawać dzień. Powietrze było przesycone czerwonym pyłem, a beshti siedziały na wpół przysypane piaskiem; rany od jego uderzeń tak im krwawiły, że oblepiała je ta sama czerwień, która barwiła powietrze.

Marak skłamał. Nie widział namiotu Iii, ale pamiętał, gdzie był, kiedy rozbijali obóz; płonął chęcią zrobienia czegoś więcej niż siedzenie i czekanie - a gdyby to była Hati, to wiedział, że chciałby wiedzieć; miał też do spłacenia dług względem Mem-nanana i jego żony. Są długi, których spłacenie wymagało podjęcia ryzyka. A u podłoża tego wszystkiego leżała potrzeba poznania sytuacji panującej w obozie, potrzeba dotarcia do kogoś spoza ich mocno zaciśniętego świata i przekonania się, że istnieje inni żywi ludzie.

Marak wyszedł spod osłony namiotu, chwiejąc się w porywach wiatru - trudno było zachować orientację, kiedy wiatr niemal zwał z nóg, a pył oślepił, jednak sam wiatr służył za drogowskaz: Marak szedł tak, by wiał z lewej strony.

Doliczył się dwóch namiotów postawionych między namiotami jego i Iii przez jej służących lub

strażników: nie zauważył, kto w nich był, ale pamiętał, że tam są.

Minał dwie grupy beshti znajdujących się w takim samym stanie jak ich własne zwierzęta: zapiaszczone, smagane wiatrem duchy w czerwonym mroku uchodzącym za światło dnia.

Teraz droga prowadziła prosto przez wąski pas niesionego wiatrem piasku, za którym stał namiot Iii i przylegające do niego dwa mniejsze.

Przez chwilę Marak był oślepiiony, ale znalazł liny i przesunął się wzdłuż boku głównego namiotu do jego osłoniętego wschodniego krańca, gdzie była mocno zasznurowana kłapa chroniąca przed burzą. Płótno trzepotało na wietrze tak porywistym i niosącym tyle piasku, że obtarł Marakowi odsłonięte dłonie. Napięta krawędź płótna już zaczynała się strzępić, a pod ścianą namiotu leżały na wpół zagrzebane w piasku kości - kości oczyszczone do cna. Obok nich było widać drobne strzępki materiału.

- Memnanaan! - zawołał Marak. - Dowódcu!

Mógł wejść do środka, rozcinając sznurki i narażając namiot na ryzyko, ale czekał przy wejściu; krzyknął jeszcze dwa razy, zanim ktoś mu odpowiedział i ktoś zaczął rozsznurowywać namiot od środka. Po chwili kłapa lekko się uniosła i na Maraka spojrział jeden ze służących Iii, wytrzeszczający oczy na zjawę, która przybyła z burzy.

Służący nie podniósł kłapy ani nie rozsznurował jej dalej, ale Marak wsunął do środka rękę.

• Jestem Marak Trin - powiedział, zsuwając aifad - i przyszedłem po Memnanaan. Jego żona rodzi. Przyprowadź go.

• Zostań tu! - rozkazał służący i zniknął.

Zostań na zewnątrz, w burzy palącej skórę, obok kości, które oczyścił wiatr i cisnął przed wejściem.

Marak odsunął kłapę, szarpiąc za sznurki, których mógł dosięgnąć, i poszerzył otwór na tyle, że wszedł do środka, do płóciennego przedpokoj oświetlonego mosiężną lampą. Miał ze sobą koniec sznura, więź łączącą go z Tofim. Rzucił sznur na dywan, otrzepał szaty z piasku, który przysypał wzory dywanu, i czekał, walcząc z suchym kaszlem.

Wyszedł do niego Memnanaan - czysty, dobrze odżywiony Memnanaan, podobnie jak służący Iii nie wykazujący żadnych oznak rozpaczliwego stanu, w jakim znajdowała się reszta obozu.

- Twoja żona - zaczął Marak i zakaszłał, zdzierając sobie i tak suche gardło. - Twoja żona rodzi. Ma pewne trudności. Mam tu linę prowadzącą do namiotu. Możesz się nią kierować.

Memnanaan wyraźnie się zmartwił, ale nie wykonał żadnego ruchu w stronę wyjścia, a tylko położył dłoń na zasłonie, przez którą wszedł, jakby lada moment miał wrócić do swoich obowiązków.

- Nie mogę - powiedział. - Nie mogę iść. Wracaj!

Wracaj. Tym „wracaj” Memnanaan przechodził do porządku dziennego nad ewentualną śmiercią własnej żony. Stał z ręką na zasłonie, jakby skrywała tajemnice nieba i ziemi.

Coś w tym namiocie było nie tak. Coś było zdecydowanie nie tak, nawet wzięwszy pod uwagę naturalne zażenowanie żołnierza, że ma dość wody i żywności.

- Czy coś się stało Iii? - zapytał Marak.

- Dla swego własnego bezpieczeństwa... - Memnanaan ściszył głos. - Odejdź.

Marak był gotów odejść. Wierzył kapitanowi. Nie miał powodów, by wątpić, że lojalność Memnanaanu względem Iii starła się z jego osobistym długiem i że Ila nie jest w dobrym nastroju.

Ale stał tak... z własnym długiem wobec tego człowieka, nawet wobec Iii, i nie chciał się zastanawiać, co naprawdę kryje się za zachowaniem Memnanaanu.

I trwało to o mgnienie oka za długo. Zasłonę przytrzymywaną przez żołnierza odsunęła au'it trzymająca księgę, zatrzymała się, spojrziała beznamiętnie na Maraka i wycofała się.

- Powie Iii, że tu jestem - stwierdził Marak. - Powie jej, że rozmawialiśmy. Ale Iii to nie obchodzi, człowieku. Idź do swojej żony, póki ją jeszcze masz!

- Wyjdź - powiedział Memnanaan. - Odejdź. W tej chwili.

Przeżyli ogień z nieba. Nie przeżyli jeszcze tej burzy, a Ila ma tajemnice, a przynajmniej ma je jej personel. Memnanaan bał się czegoś więcej niż nieba, które z rykiem groziło zniszczeniem namiotów.

Nagle rozległ się śpiew kólek, na których wisiała zasłona.

- Wyjdź! - powtórzył Memnanaan.

Ich zasłona rozsunała się w równie gwałtowny sposób, otwierając namiot aż do miejsca, w którym siedziała Ila. Obok niej stał mężczyzna nieokreślonego pochodzenia, z twarzą zasłoniętą aifadem po

same oczy, sądząc po stroju ani członek plemienia, ani wieśniak.

Marak stał jednak jak skamieniały, nie zwracając uwagi na Ila, która siedziała na swoim fotelu: widział tylko mężczyznę, postać przeniesioną z tego miejsca, sprzed Iii, w pamięć jego własnego domu, jego własnego ogniska. Ten człowiek, ta sama postać, identycznie zamotany aifad, to samo nachylenie ramion, ułożenie stóp... ten człowiek żadną miarą nie mógł być jego ojcem. Nie mógł nim być, skoro stał obok Iii, przed aui'it, wolny i uzbrojony.

Lecz towarzysz Iii uniósł rękę i zsunął z twarzy aifad - to była twarz jego ojca. To był Tain, uzbrojony i wolny, w bliskim towarzystwie Iii.

- Ojcie - powiedział Marak.

Myśli rozbiegły mu się we wszystkich kierunkach, bezradne przed domysłem, że Ila jest uwięziona, że to nieprawdopodobne zestawienie jest wizją, jak upadek gwiazdy, jak pierścień ognia i słup chmury - albo że Ila nie ma pojęcia, kim jest ten człowiek.

- Powiedziałam, że może wezmę sobie męża - odezwała się Ila i machnęła dłonią. - Czy cię obraziłam, Maraku Trinie? Czy masz coś przeciwko temu?

Marak zsunął własny aifad, by zyskać na czasie i spróbować znaleźć w tej sytuacji jakąś dobrą stronę, a nawet zdrowy rozsądek.

• Oboje jesteście szaleni - powiedział. Powiedział to on, szaleniec, stojący w obecności Taina Trina Taina, arbitra zdrowia psychicznego.

• Ma wszystkie twoje zalety - rzekła Ila. - Jest przywódcą, zna się na pustyni, i jest coś jeszcze. Nie jest stworzeniem Luz.

• Luz wie o wszystkim - przypomniał Iii, przerażony i przekonany, że Ila może ich wszystkich zgubić - co mówisz do mnie.

• O, ja to wiem. Ale ty nie wiesz o wszystkim. Ona też nie. - Ila wstała z fotela: odziana w czerwień, niewysoka kobieta o białej, bardzo białej skórze nie skażonej przez pustynię, postać spowita w ognistoczerwony jedwab. - Memnanan ma nowego dowódcę.

Przez chwilę Marak poczuł pustkę w głowie, lecz rozumne myśli szybko powróciły, zaczął oceniać teren, warunki, ryzyko. Po obu stronach fotela Iii wisiały zasłony. Marak znał układ namiotu Iii z zewnątrz i wiedział, gdzie przylegają do niego namioty służby. Znał taktykę ojca, wiedział, że gdyby ojciec nie chciał doprowadzić do tej konfrontacji, nawet gdyby pragnęła jej Ila, to tamta zasłona mogła zostać nie odsunięta.

Za tymi bocznymi zasłonami mogło stać dziesięciu, dwudziestu ludzi. Albo aui'it. Albo po prostu służący.

„Wracaj”, ostrzegł go z całą mocą Memnanan, co wiele mówiło o jego sytuacji... oraz niebezpieczeństwie.

- Moja matka ostrzegłaby cię przed takim wyborem - powie dział do Iii, nadając tym słowom wszelkie możliwe znaczenie. — Zachowujesz się głupio.

Czy dopiekl ojcu? Twarz Taina, obraz jego własnej twarzy, jaką mogłaby być w przyszłości, nie zdradzała wrogowi, a on stał się jego wrogiem. Syn Kaptai, szaleniec, powód wstydu, z konieczności stawał się wrogiem.

• Co więcej - ciągnął Marak, podsycając jakiegokolwiek wątpliwości, jakie mógł wzbudzić u Iii - czy wspominałem, że on zabił jeszcze czterech innych Haga? A czy on wspomniał, że Menditak i Aigyan zawarli ze względu na niego pokój wodny i chcą go zabić? Twój sprzymierzeniec czyni ze wszystkich żywych członków plemion twoich wrogów.

• Jestem świadoma ich zdania - odparła Ila. - Ty jednak wykonujesz rozkazy Luz. Czy to jest lepsze? Teraz możesz wykonywać jego rozkazy... albo możesz się na to nie zdecydować. Luz może mieć inne zamiary. Jakie one są?

Przezorność kazała mu skłamać, ale ze względu na sprawę, jaka stanęła między nim i ojcem, wiedział, że Tain nie uwierzy w łagodną odpowiedź.

- Zdrowy rozsądek mówi, że to martwy człowiek. On to wie. Nie chce się odezwać do mnie ani słowem, prawda? Prawda?

Otrzymał jedynie kamienne spojrzenie, kamienne, nieprzyjemne spojrzenie; Marak wiedział, po co ojciec tu przyszedł i co musiał zaakceptować, jakie warunki musiał przyjąć... oburzającą ofertę Iii: życie oraz nieprawdopodobny, kruchy sojusz.

- On się wstydzi. Przyniósł wstyd Kais Tain, zraził do siebie plemiona, sprzedał własną wioskę i sprzedał ci siebie samego,

by przypieczętować umowę, ponieważ nie ma dokąd się udać.
Tak jak ja, jak ja, ojczec, dokładnie tak samo. Nie mów mi, że jest inaczej.

Zasłony po obu stronach poruszyły się. Marak nie był zaskoczony. Zaatakował Taina, więc pokazało się czterech jego ludzi, ludzi, których znał z imienia: byli to zabójcy, mężczyźni z ma-chai w rękach, zdolni zabić Iłę, lecz zamiast tego zdecydowani uciszyć nieprzyjemny, niemile słyszany głos.

Czy dzięki ich wsparciu Tain jest silniejszy? Marak spojrzał ojcu w oczy; obaj poznali prawdę.

- Poddaj się - rzekł Marak. - Haga ci nie zaufają. Ja też nie. I nie będziemy się targować.

Tain dobył pistoletu, chcąc, by Marak się cofnął: Marak znał tę chwilę, znał ten gest, widział, jak ojciec robi to przy innych ludziach, wiedział, że zanim ojciec pociągnie za spust, chce tej chwili strachu i potrzebuje jej.

Marak rzucił się w bok, na wydetą wiatrem ścianę namiotu -kula przeszła mu bok i przebiła namiot, wpuszczając przez dziurę świszczący podmuch - po czym odbił się i skoczył nie na mężczyzn, którzy wyciągnęli noże, lecz poza nich, przez nich, na samego Taina i jego pistolet.

Jedno z machai zaplątało się w jego płaszczu i przejechało mu po żebrach. Inne rozcięło mu plecy, ale Marak już chwycił lewy rękaw ojca i usiłował złapać jego rękę, w której trzymał broń.

Pistolet wypalił. Wypalił dwa, trzy razy podczas ich walki o broń, o równowagę. Ktoś zamachnął się machai na plecy Ma-raka, a on obrócił ojca prosto na klingę. Wtedy czwarty strzał drasnął go w ramię. Chwycił pistolet wciąż trzymany przez Taina i spróbował wepchnąć palec w kabłąk. Piąty strzał: kula trafiła w coś metalowego i kruche. Marak nie chciał odwrócić się plecami do ludzi ojca, nie chciał się poddać, mimo że ojciec usiłował wsadzić mu kciuk w oko albo chwycić za ucho i obrócić go plecami do swoich sprzymierzeńców. Odbyli tysiąc udawanych walk; odbyli udawane walki, które zmieniły się w walki prawdziwe, walki, które Marak musiał przegrać albo narazić się na złość ojca; ale nie tę walkę, nie teraz.

Wpadli razem na jakąś przeszkodę, maszt namiotu, i Tain spróbował zmiażdżyć o niego dłoń Maraka, łamiąc mu przy tym palec; kopnął go kolanem, wbił mu stopę w podbicie, za co Marak odplącił mu ciosem w głowę - nie miał pojęcia, gdzie są ludzie ojca i na co czekają; odwrócił się, szarpiąc Tainem i rozglądając się za wrogami.

Tain upadł i pociągnął go za sobą, odsłaniając jego plecy. Marak przetoczył się i z całej siły uderzył Taina w podbródek nasadą dłoni, czym go na moment oszołomił. Ludzie Taina usiłowali trafić w toczący się kłęb obu ciał i w pewnej chwili Marak poczuł na plecach ostrze machai, ale udało mu się zamknąć dłoń na pistolecie i zamierzał odebrać Tainowi jedyną broń, która wyrównywała jego szanse.

- Marak! - Tuż nad jego uchem padł strzał, dwa strzały nie po chodzące z pistoletu. W tej samej chwili Tain uderzył go głową w twarz, ale Marak nie poddawał się - mocniej uchwycił broń, przekreślił się, przetoczył, zagarniając pod siebie rękę Taina, widząc zmaconym wzrokiem, że Tain nie może wypuścić pistoletu, ale też i nie może go użyć. Miał punkt podparcia i wolną rękę - chwycił nadgarstek Taina i odtoczył się na bok.

Wstał, cały zakrwawiony. Spojrzał na ciężko dyszącego ojca, trzymając w dłoni pistolet.

A potem zobaczył Memnanana ze strzelbą w rękach, trzech ludzi ojca na ziemi, a czwartego rannego. Ila siedziała na swoim fotelu w środku całego zamieszania w niewiarygodnej postawie pełnego spokoju.

Czwarty mężczyzna załamał się i uciekł. Marak patrzył wprost na Taina, a Tain na niego. Prawda, której usiłował nie zdradzić, była taka, że palec wskazujący miał zbyt mocno uszkodzony, by mógł nim nacisnąć spust: nie odrywając wzroku od Taina, ujął pistolet obiema dłońmi, a Tain wbijał w niego spojrzenie mówiące: „Do diabła z tobą” którym częstował wszystkich naruszających jego władzę... krył się w nim ten stary posmak groźby i lekceważenia szans.

Tain nie był pobity, o, nie. Nie będzie pobity do śmierci. To spoczywało na Maraku.

- Wynoś się stąd! - wrzasnął do ojca. Była to ostatnia szansa, ostatnia próba. - Wynoś się!

Wiedział, że robi głupio, dając Tainowi taką możliwość. Jego twarz przybrała wyraz butnej pewności siebie, której tak bardzo bali się jego wrogowie. Tain cofnął się o krok i odwrócił.

Memnanan wypalił i trafił Taina w sam środek piersi; dla pewności strzelił jeszcze dwa razy. Tain umarł u stóp odrętwiałego Maraka.

A potem zostali już tylko oni, aui'it i czerwono odziana Ila, siedząca na swym tronie z ręką przyciśniętą do boku. Spomiędzy jej palców wyciekała ciemna krew.

Ila spojrzała na ciała Taina i jego trzech ludzi, a potem na Maraka i Memnanana.

- Nadal rządzą tym obozem - rzekła.

Kula trafiła ją w brzuch. Wciąż siedziała wyprostowana. Wciąż na swoim tronie. Aui'it zebrały się wokół niej, jakby przewidziały jej upadek i bały się go.

Cóż mogli powiedzieć? Że Ila jest jedyną władzą znaną tak plemionom, jak i wioskom?

Że nikt znajdujący się poza tymi płóciennymi ścianami nie wie, co się wydarzyło w tym namiocie?

Krew Maraka szybko wyciekała z tuzina ran. Czuł, jak narasta w nim gorączka, uzdrawiająca gorączka. Chciał się gdzieś położyć. Chciał Hati, chciał się spokojnie położyć pod jakimś przyjaznym dachem i pozwolić działać stwórcy, jeśli potrafią wyleczyć tyle ran, mając tak niewiele wsparcia.

Marak, Marak, Marak, odezwały się głosy: chciały Iii i jej życia, tak jak przedtem chciały wschodu.

Memnanan dokonał wyboru i teraz stał ze strzelbą wycelowaną w ziemię, głuchy na głosy, nie wiedząc, co robić.

- Idź do żony - powiedział Marak. - Ona cię potrzebuje. To twój obowiązek.

Żołnierz zawahał się, może rozważając możliwości i zadając sobie pytanie, co jest słuszne albo co ma robić. Do tej chwili Memnanan nie opuszczał Iii, nie opuszczał władzy, której służył, której bronił i której słuchał całe życie. Na zewnątrz wciąż szalała burza.

- Powiedz mu, żeby tam poszedł - poprosił Marak Ilę. - Jego żona rodzi. Potrzebuje go. Przy drzwiach jest lina. - Na niebie rozległ się trzask, a w namiot uderzył potężny podmuch wiatru.

- Powiedz mu to, Ila. Niebo robi się coraz gorsze. Wyślij go! Je steś mu to winna!

Ila uniosła dłoń w czerwonej rękawiczce splamionej krwią i gestem odprawiła Memnanana. To było wszystko. Ręka opadła.

Kapitan wahał się jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się i, rzuciwszy na Ilę ostatnie spojrzenie pełne wahania, podszedł do wyjścia.

Marak, powiedziały głosy. Marak.

Marak schylił się, postawił Ilę na nogi i objął ją ramionami, mocniej, jeszcze mocniej, ciało przy ciele, krew w krew. Wiedział, czego chcą głosy. Wiedział, co zrobił z Lelie i dlaczego Lelie żyje.

Ila, przecież nie głupia, musi to wiedzieć. Stali tak przez długi czas, stali tak, kiedy przyszła gorączka, a krew pulsowała Ma-rakowi w uszach.

- To jest wojna - rzekła Ha tak cicho, że usłyszał to tylko on. - To jest wojna, Trinie Tainie.

Jej usta napotkały jego wargi i otworzyły się; były wilgotne, nawilżone tak, jak jego były wyschnięte. Krew się mieszała. To niewiarygodne, ale w tym pocałunku była namiętność.

Aui'it i służący poruszali się wokół nich, a głosy powtarzały: *Marak, Marak, Marak*. To była wojna. Dłonie, ręce i plecy płonęły mu gorączką. Ból spowił jego, spowił Ilę, tworząc wspólne środowisko, a ból w boku i czaszce Maraka żywił jej rany.

Pomyślał, że jeśli stwórcy w jego krwi mnożą się, by go uzdrowić, to teraz muszą ich tam być całe hordy. Jego ciało stało się uzdrawiającym tygłem.

I napotkały stwórcy Iii, a jej stwórcy napotkali jego.

Marak, tętniły głosy w jego głowie. Marak.

Być może sprawiła to jego wyobraźnia, ale głosy wydawały się niebezpiecznie słabsze, być może go opuszczały - albo w końcu zadowolili je swoim postępowaniem. Może też były zajęte czymś innym.

Poczuł ziemię. Przykłęknął na jedno kolano i pociągnął za sobą Ilę, mocno ją obejmując. W tej chwili usłyszał Norit, jakby znajdowała się tuż obok. Miał świadomość obecności Hati i będących w jej pobliżu Patyi oraz Tofiego.

Hati wiedziała, co zaszło: wiedziała o walce, o jego ojcu. Norit też. Powiedział im Memnanan. Z jakiejś przyczyny ociekał wodą; kiedy Marak się nad tym zastanowił, zobaczył to, co

- Marak - odezwał się wtedy jakiś głos, domagając się jego uwagi; ktoś uniosł mu głowę i dał wody, mnóstwo wody, tyle łyków, ile chciał. Był rozpalony gorączką. Przetoczyła się przez niego fala gorąca, jakby stwórcy tylko czekali na wodę.

W górze rozległy się grzmoty. Gdzieś kapiała woda. Brzmiała jak fontanna, ciekająca i bulgocząca jak Łaska Iii - tyle było tej wody, stanowiącej powszechny warunek życia.

Wtedy przyszedł ktoś, kto bardzo potrzebował Hati i Norit. Marak pomyślał, że to Patya. Śniło mu się, że to Patya, która pochyliła się i pocałowała go, a potem zabrała ze sobą całą jego pomoc, całą jego ochronę, zostawiając go sam na sam z Ilą.

Natychmiast jednak pojawiły się patrzące na niego z góry jakieś cienie, garstka szczelnie okrytych,

uzbrojonych cieni, które nie miały najmniejszego powodu znajdować się tam, gdzie się znajdowały, w namiocie Iii.

Cofnęły się i usiadły, wciąż trzymając broń, i patrzyły... Marak był pewien, że to Keran. Ale czy razem z nimi nie siedzą też Haga?

• Twoi pomocnicy - rzekła Ila słabym, ironicznym głosem. Leżała obok niego na prowizorycznym łożu zrobionym z poduszek, koców i nasiąkniętego krwią dywanu. - Zrobiłam dobry ruch, prawda? Teraz, tak czy owak, zostaniemy sojusznikami... jak myślisz, co zrobimy z Luz? Albo co Luz zrobi z tobą i mną? I, jak myślisz, co wszyscy zrobimy z ondat?

• Nie wiem - odparł. Był obolały, nie wiedział, jak ma rozumieć słowa Iii ani jak ma na nie odpowiedzieć. Gorączka wywoływała nieznośny ból głowy i opuchliznę wokół ran. Nie miał nic wspólnego z pytaniami Iii. Stworzyciele pracowali. Musiał to wytrzymać.

W taki sam sposób, w jaki trzymał Lelie i wpuścił stworzycieli do jej krwi, przycisnął swoje rany do ran Iii i teraz oboje mieli w sobie tych samych stworzycieli. Stworzycieli toczących zażartą wojnę nie tylko z ranami... ale i ze sobą nawzajem, na śmierć i życie, o ostateczną wygraną.

Marak rozumiał postępowanie Iii z Tainem, kiedy go schwytała. Czego innego miała użyć jako broni, skoro jej stworzyciele konsekwentnie przegrywali bitwy ze stworzycielami Luz?

Czego innego miała użyć, skoro w ręce wpadł jej Tain?

Tain, jak to Tain, z pewnością chciał sam przejąć władzę... jeszcze nie wykonał swego ruchu, ale taki miał zamiar, a Ila, stara jak świat i wciąż żywa, na pewno o tym wiedziała.

Tain był też jednak jej słabością. Tain nie wiedział, względem kogo oprócz niej jest lojalny Memnanan. Tain nie wiedział, jak bardzo mężczyzna może kochać żonę, nie wiedział, że mężczyzna może mieć przyjaciela wbrew swoim interesom. To okazało się zgubą Taina mimo wszystkich sprytnych prawd, które w swoim przekonaniu znał, mimo wszystkich lekcji o świecie, które usiłował wpoić synowi.

Wbrew wszelkim szansom Kaptai nauczyła go czegoś innego.

Głowa Maraka pulsowała. Ból przeszywał mu uszy i oczy. Być może jego stworzyciele właśnie wygrali jakąś potyczkę. Albo ją przegrali.

Jedna z licznie zgromadzonych aui'it, może ich własna, wciąż pisała. Marak był świadom jej poruszeń. Kapania wody. Dudnienia grzmotów.

I stał się też świadom Hati, Hati i Norit, znajdujących się obok Memnanana. W swojej wizji zobaczył też, jak Tofi stara się podgrzać w rondlu wodę.

Poczuł niecierpliwość Hati. I Norit.

Nie brały udziału w jego wojnie. One miały w sobie stworzycieli Luz. Słyszał je i widział.

Gwałtownie odepchnęły Tofiego na bok.

- Przyj! - zawołały razem kobiety. - Przyj! Już! Teraz, kobieto!

Odezwał się wtedy jej krzyk i krzyki wszystkich pozostałych, a potem krzyki mężczyzn.

Nowo narodzone dziecko zaprotestowało też krzykiem, a z nieba lała się woda.

-Chłopiec! - zawołała matka Memnanana, przekrzykując trzask gromu. - Mój syn ma syna!

Rozdział 25

„Sytuacja się zmienia. To właśnie planuję. W ograniczonym układzie, w obcym środowisku oznacza to częste interwencje, mając do dyspozycji tylko moje powracające na-nocele, które informują mnie o lokalnym zdrowiu układu. To oznacza, że jestem żywym wzorcem i przechowuję standard w moich komórkach. Ilekroć kusi mnie, by stworzyć sobie partnera, zadaję sobie pytanie, czy wtedy będzie standard? I czy oni w ogóle rozumieją, co i dlaczego zrobiłam, nawet jeśli im to powiem?”.

- Księga Iii

Wizje skończyły się, ponieważ ich dostarczyciele zmęczeni się i odpoczywali. Ciemność straciła wszelkie cechy oprócz pulsującej czerwonej poświaty, jaśniej - ciemniej, jaśniej - ciemniej, jak ogień płonący w żyłach Maraka.

Leżał nieruchomo, odmierzając oddechy, aż ból stał się znośny. Słyszał grzmoty. Świsł wiatru.

Liny namiotu jednak wytrzymały. Płótno też.

Marak, szepnęły głosy, domagając się jego uwagi. Zawładnęły nim wizje.

Pojawiły się gwiazdy. Potem w nocy pojawiło się coś dziwnego, białego, wyglądającego z daleka jak wioska.

Marak podpłynął bliżej.

To coś lśniło od świateł, niektóre z nich błyskały, inne oświetlały ściany.

I to miejsce, jedyne spośród pozostałych wizji, wydało mu się groźne. Nie wierzył Luz, że ta wizja okaże się nieszkodliwa.

Ondat, powiedziały mu głosy.

• Widzisz to? - zapytał szeptem Luz, a potem dodał, myśląc, że obok niego jest ktoś inny, może Hati: - Widzisz wioskę na nocnym niebie?

• Widzę coś białego - powiedziała Hati i położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu. - To może być wioska. Ale jej wieże wyrastają we wszystkich kierunkach.

• Jak tamta wieża - odezwała się Norit zza Hati. - To wieża na niebie.

Luz ostrzegła, że *ondat* tam są. W jakiś sposób *ondat* założyli wioskę, która nie stała na żadnym gruncie, a Luz pokazała im ten widok, by ich zadziwić.

- Co to znaczy? - zapytał Luz, nie mając innych pytań. -

Czym oni są? Gdzie oni są?

Na górze, powiedziało mu to dziwne poczucie kierunku, tak jak przy innych okazjach mówiło mu *na wschód*. Tym razem było to *na górze, na górze, na górze*, kiedy Marak wiedział, że na górze nie może się znajdować nic oprócz nieba i gwiazd.

Może *ondat* pogwałcili pakt i przejęli władzę?

Może mimo wszystko zniszczą Luz i jej wieżę, a z Luz ich schronienie, i wszyscy zginą?

Może, skoro ogień z nieba już spadł, prawdziwe bezpieczeństwo zapewni im nie wieża, lecz rozproszenie się na nizinach i zamieszkanie w jaskiniach z nadzieją, że przetrwają w każdych warunkach?

- Co mamy zrobić? - zapytał szeptem Luz, jako że zawsze musiał do niej mówić na głos, by zostać usłyszanym.

Poczuł tylko kierunek, a był on niezmienny. *Na wschód. Na wschód.*

Na wschód.

Poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Tofi. Namiot nad głową wydawał się o wiele mniej porządkny. Światło dnia dochodziło tylko zza podniesionej klapy. Nie paliły się żadne lampy.

• Grozi nam utonięcie - powiedział Tofi. - Będziemy przenosić obóz.

• Na wschód - odparł Marak. Wizja wieży wśród gwiazd rozpadła się bezpowrotnie, stając się czymś niewyobrażalnym.

- Na wschód - potwierdził Tofi i to zadowoliło Maraka. Za dowoliło też Luz.

Zaświtało mu w głowie, że zwykły namiot, w którym się znajduje, jest jego własnym namiotem, że po jego drugiej stronie są Hati i Norit z Lelie, i że, co niewyjaśnione, jest więcej punktów kontaktu niż one trzy. Cztery, jeden w tym namiocie, ktoś raczej nieświadomy, śpiący. Pięć, ten ostatni nieco dalej.

Ta osoba była przytomna i cierpiała ból. Ila.

• Będziemy musieli spakować mokre namioty - powiedziała do niego Hati. - Musimy wyruszyć. Woda zniosła kilka. Stała się jedyną rzeczą, której nam nie brakuje.

• Zapewne utrzymałbym się w siodle.

- Zapewne. Ale nie pozwolimy ci na to.

Zamknął oczy.

W końcu przeniesiono go na nosze, owinięto dwoma kocami i kawałkiem płótna, i wyniesiono na światło.

Świat zmienił skórę. Przedtem wszędzie unosił się piasek. Teraz wszystko zmieniło się w ciemne szarości, piaszczyste błoto i przyciemnione błyski wody dziurawionej kroplami deszczu. Zupełnie jakby przelała się woda ze studni. Jakaś au'it wody nie przyłożyła się do pracy.

Zamknął oczy. Nosze zostały ułożone na dwóch kupkach bagażu. Hati pochylała się i pocałowała Maraka. Usłyszał płacz małego dziecka. Potem zaczęła wyć Lelie. Znikąd pojawiło się nowe dziecko i zaczęło płakać, skupiając na sobie uwagę wszystkich, i Marak pomyślał, że Lelie jest zazdrosna i zła.

Znów zasnął. Kiedy się obudził, zobaczył, że nosze dźwigają członkowie plemion. Uznał to za dziwną rzecz i ponownie zasnął.

Głównie spał, czasami się budził, raz, kiedy zadrzała ziemia, a potem przy zmianie noszowych.

Potem usłyszał daleki szept głosów. *Marak, Marak, Marak.*

Spokojnie. Część świata. Kontakt z Luz.

Zaczerpnął głęboko tchu, nie zwracając uwagi na ból żeber. Uniósł zdrowy palec, ściągnął sztywne

płótno, które zakrywało go powyżej brody, i spojrział krytycznie na świat.

Nad sobą miał niezmienną szarość. Słońce było zamglone. Wysunął na jego światło większy kawałek dłoni i zauważył w niej coś dziwnego, jakby należała do kogoś innego. Brakowało na niej znaków śmierci. Wysunął ją całkowicie spod płótna, podniósł do światła i zobaczył jedynie poczerwieniałe ślady po znakach, które kiedyś miał na palcach.

Jakaś jego część, część jego poprzedniego życia, została wymazana.

Odsunął płótno jeszcze dalej, koce i wszystko inne też; noszowi nieśli go, nie zwracając nań uwagi. Spojrzał na skórę piersi, na której widniał ledwie zauważalny ślad znaku abjori; na rękach miał czerwone blizny po gojących się skaleczeniach, a rana w boku była zasklepiona, spuchnięta i obolała.

- Leż spokojnie - odezwała się Hati z wysokości siodła. Jej besha szedł obok zmęczonych tragarzy z władczą swobodą. -Nie sprawiaj kłopotów.

- Co się stało z Ilą? - zapytał, ale gdy tylko to zrobił, wiedział, po prostu wiedział, gdzie ona jest, tak jak wiedział, gdzie jest Hati, Norit, Lelie, kiedy tylko znajdował się w ich pobliżu. I jeszcze ta piąta osoba.

- Pobież ją - powiedziała Norit, też z wysoka. Jechała z drugiej strony, z Lelie na łuku siodła. - Jest z kapłanami. Memna-nan poszedł się z nią zobaczyć. Wiemy, gdzie ona jest. Zawsze.

On też to wiedział. Była gdzieś z tyłu. Słaba i chora jak on, i chyba z resztkami piekielnego bólu głowy.

Ułożył się wygodnie i naciągnął koce - powietrze było chłodne. Zasnął i spał do chwili, kiedy rozbili obóz i rozstawili namioty.

Deszcz już przestał padać, ale pobliskie zagłębienie zamieniło się w staw z wodą bezpieczną przynajmniej dla beshti; tym razem namioty rozpinano za pomocą lżejszych palików, co zajmowało mniej czasu.

Hati podała mu słodką wodę i Marak napił się, a potem zasnął. Obudził się w ciemności namiotu, kiedy zadrżała ziemia.

Dziecko urodzone w burzy - syn Memnanana - zakwiliło z przestachu. Ten punkt świadomości był aktywny. Potem gdzieś indziej obudziła się Ila. Hati i Norit znajdowały się znacznie bliżej.

Zagrzmiało. Cały świat wydawał się dziwny, powietrze było duszne i gęste od wilgoci.

Marak potarł sobie uszy i oczy, uznał, że może usiąść, i usiadł. Hati położyła mu dłoń na ręce.

Poruszył tą ręką, objął Hati, przyciągnął ją do siebie. Siedzieli tak jakiś czas, opierając się o siebie. Norit spała z Lelie na kolanach.

Czuł się wyczerpany, wyzuty ze wszystkich sił.

Marak, Marak, Marak, odezwały się głosy. Odezwała się Luz. Czy cokolwiek, co tak ciągle mamrotało. Świat osiągnął coś w rodzaju przepelnionego zmęczeniem spokoju. Marak zobaczył, że Norit się budzi, więc wyciągnął rękę i pogłaskał jej kolano. Nie cofnęła go. Położyła dłoń na ręce Maraka i spojrzała na niego zupełnie trzeźwym wzrokiem.

Odpoczywali tak, aż powoli, niechętnie powróciło światło. W końcu Marak uznał, że jest już dość jasno i że tego dnia wstanie i znów znajdzie się w siodle.

Dopiero za drugim razem udało mu się stanąć na nogach. Hati zaparła się i pociągnęła go w górę. Zrobił kilka kroków i wyszedł z namiotu na coś, co można było uznać za świt.

Powietrze było przenikliwie zimne, a piasek mokry. Marak owinął się płaszczem i zobaczył, jak z innych namiotów też wychodzą ludzie. Minął krawędź namiotu i rozejrzał się po obozie. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się namioty. Po wietrze, który przeszedł nad nimi, po widoku oczyszczonych kości leżących pod namiotem Iii bał się czegoś o wiele gorszego. Niektóre beshti miały porozcinaną skórę. Inne straciły znaczne połacie sierści. Przedstawiały smutny widok, a wiele z nich zapewne zginęło.

Na dwór wyszedł Tofi, a za nim Patya.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Dość dobrze - odpowiedział Marak i usłyszał nagłące głosy: to Luz czegoś od niego chciała. Nie wiązało się to ze wschodem, a raczej z północą. *Na północ. Niedaleko.*

Rozejrzał się, dostrzegł namiot Iii i poszedł do niego. Hati i Norit ruszyły za nim, może otrzymawszy te same polecenia, wydane przez ten sam głos. Au'it z nimi nie było. Marak nie miał pojęcia, czy au'it jeszcze im towarzyszy. Albo czy Ila jeszcze potrzebuje jej obecności przy nich.

Weszli do namiotu Iii; w środku Memnanan właśnie zapinał pas. Razem z nim w zatłoczonym przedsionku było trzech jego ludzi, au'it i dwóch członków plemion - jeden z Haga, drugi z Keran; wydawało się, że ani Aigyan, ani Menditak niczego nie zostawiali przypadkowi lub dobrej woli Iii. Przespali tu noc i właśnie zaczęli się przygotowywać do nowego dnia.

- Marak Tain - rzekł Memnanan, patrząc na niego tak, jakby

zobaczył powstałego z martwych.

- Żywy - powiedział Marak i dodał: - Wdzięczny.

Memnanan lekko skinął głową.

- Mój mąż uratował życie Iii - odezwała się groźnym tonem

Hati. - Wątpię jednak, czy jest mu wdzięczna. Obudziła się.

Chyba powinniśmy się z nią zobaczyć.

Memnanan pokazał na zasłonę.

- Moi ludzie słuchają moich rozkazów. Przybyli kapłani. Kręcą się tu. Nie wpuściłem ich, czekając na twoje rozkazy, omi.

Kapłani: zbiornik własnych stwórcy Iii, źródło, jak studnia, jej poprzedniej niezależności.

Podejrzewał jednak, że skoro zostali pokonani w niej, nie dojdzie tu do odnowy. Teraz Luz będzie już wygrywać za każdym razem, a każdy kapłan, który przyjął stwórcy Iii, teraz przyjmie stwórcy Luz. Taką prawdę ujawniało mu jego własne ciało. Od tej chwili tak brzmiała odpowiedź świata.

Odsunął zasłonę. Służący Iii, którzy podnieśli się, by zastąpić mu drogę, zawahali się. Marak po prostu wszedł do środka z Hati i Norit, w obecności Memnanana i członków plemion jako świadków, i odrzucił ostatnią zasłonę.

Ha, świadoma ich tak jak oni byli świadomi jej, czekała na nich w swoim fotelu. Miała wokół siebie aui'it. Jej biała skóra i czerwone szaty były takie jak zwykle, lecz na jej dłoniach, tak jak i na dłoniach Maraka, odznaczały się kości. Oboje stracili w walce trochę ciała.

Hati i Norit ustawiły się po obu stronach Maraka. Byli podobni do siebie i wszyscy razem stanowili część zespołu.

Na znak dany ręką Iii aui'it usiadły na matach po obu jej stronach i otworzyły swoje księgi.

- Dopiąłeś swego - rzekła Ila. - Sądysz, że wygrałeś.

• Luz wygrała - odparł Marak, ale sam nie chciał tego potwierdzić bez zastrzeżeń. Dodał od siebie: - Na razie.

• Na razie. - Głos Iii był słaby, lecz uszczypliwy. - Dałam ci wolność. Dałam wszystkim na świecie wolność, taką, jaką mieliśmy, jak długo trwała. Teraz jest jedna droga, jedna krew i jedno plemię na świecie, i my do niego dołączyliśmy. - Zaczepnęła tchu, a w jej oczach zapłonął dawny ogień. - Niech wiec o to martwią się ondat.

• A więc masz tajemnice - odezwała się Norit. - Zmieniasz swoich stwórcy na zawołanie. Starasz się zmienić ich teraz, ale na razie to nie skutkuje, prawda? Zrozumiemy, jak to robisz. Prędzej czy później się dowiemy.

-Luz. -Tak?

Ila uśmiechnęła się... uśmiechnęła się z mrozącym krew w żyłach spokojem.

• Zobaczymy. Na razie mamy bezpośredni problem... ale i tak porozmawiamy.

• Jesteśmy pragmatyczni - powiedziała Luz wargami Norit. -Nie nakarmisz takiej masy ludzi ani nie zapewnisz im schronienia. My to możemy zrobić. Sądysz, że jeśli będziesz miała do dyspozycji sto, dwieście, trzysta lat, to uda ci się zmienić moich stwórcy. Spróbuj.

• Zapewniam cię, że tak zrobię.

• Powinniśmy iść - powiedział Marak do swoich żon, ujął je pod ręce i wyszedł.

Zobaczył wystarczająco wiele, by nabrać przekonania, że Ila żyje i wstąpiła w szeregi szaleńców. Nie była jednak z tego zadowolona — nigdy nie będzie zadowolona. Chciała zmienić porządek świata i teraz zabierze się do tego spomiędzy ich szeregów.

Potem Luz zmieni to z powrotem, i będzie się to toczyć krokami tak małymi jak sami stwórcy. Teraz było dwóch bogów na ziemi, a żaden z nich nie ma ani nie będzie miał, być może na zawsze, całkowitej władzy nad drugim.

Być może w niebie też są bogowie, ci ondat, którzy będą patrzeć, co z tego wszystkiego wyniknie: Marak wierzył swojej wizji wieży wśród gwiazd.

Ale ondat nie mogli obserwować wojny stwórcy, rozgrywającej się w żyłach dwóch stanowczych kobiet.

On sam miał już dość bogów i nie zamierzał współzawodniczyć ze stwórcy. Objął swoje żony ramionami i minął zasłonę, wycofując z rozmowy przynajmniej chwilowo jednego uczestnika. Może upłynąć trochę czasu, zanim Ila usłyszy głosy, które słyszał on, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

Skinął przyjaźnie Memnananowi głową i wyszedł w poranek. Za nimi pojawiła się aui'it, która znów podjęła swoje obowiązki.

Spakowali się i wyruszyli w drogę długim, zmęczonym szeregiem jeźdźców.

Jechali jakby w zmięczeniu, w zimnym powietrzu, pod słońcem skrytym pod grubą warstwą szarych

chmur.

Światła jednak wystarczyło, by w końcu ukazać im na horyzoncie dziwny, pionowy kształt.

To była wieża stojąca na swoim wzgórzu, na krawędzi ziemi, którą dostrzegali.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Marak i pokazał wieżę swoim żonom, które już to wiedziały.

Rozdział 26

„Minął kolejny rok, jeśli to cokolwiek znaczy”.

- Księga Maraka

W zimnym i przejrzystym powietrzu oddech człowieka i zwierzęcia zamarzał na wietrze... było południe, choć nie poznałby tego nikt, kto pamiętał niebo takim, jakim było kiedyś. Wszędzie leżał śnieg, który spadł rano... zapowiadało się, że jeszcze go przybędzie z zachodu, skąd nadchodziły wszelkie zmiany pogody, ale Marak Trin widział gwiazdy spadające z wizgiem z nieba. To dopiero było niebezpieczne. Widział głębokie śniegi. To dopiero było ciężkie doświadczenie. Ta odrobina śniegu wcale go nie przerażała.

Co więcej, wracał do domu, a w drodze powrotnej do domu -jak mówiła logika sprzeciwiająca się wszelkim starannym naukom wieży - wszystkie odległości są mniejsze.

Przynajmniej raz w miesiącu Marak siodłał Osana i jechał aż do urwisk Lakht.

Raz w miesiącu oglądał jeziora i stawy poniżej krawędzi pustyni, zbierał próbki... i wracał, by poddać siebie i Osana badaniom lana. Luz chciała mieć pewność, że do jego krwi nie przedostało się nic nowego i niezaplanowanego.

Czekające go badanie stanowiło niewielką cenę za wolność. Poza tym Marak tak samo jak lan i Luz interesował się jakością i uporem stwórcy. To, że jego stwórcy przetrwali tak dobrze, uspokoiło ondat tkwiących na swej podniebnej grzędzie... ondat, którzy sami zaczęli rozumieć metody Hi i którzy w związku z tym mogli się czuć mniej zagrożeni przez rozległe połacie... wszystkiego tego, co według Luz istnieje wśród gwiazd.

Marak podróżował tylko do krawędzi i z powrotem. To wystarczyło. Czasami wybierała się z nim Hati. Czasami dołączała do nich Norit. Widzieli, jak zmienia się cały świat, jak ciemnieje niebo i gromadzą się śniegi.

A potem zobaczyli, jak te śniegi topnieją.

Plemiona, zmęczone zamkniętą przestrzenią, rozbiły ostatnio kilka namiotów; na zewnątrz stało też kilka konstrukcji, placówek, skąd wyszkoleni obserwatorzy obserwowali zmiany zachodzące w świecie. Plemiona były jednak stęsknione za widokiem namiotów. Aigyan i Menditak mówili o założeniu oddalonych obozów i przekonaniu się, czy da się tam przeżyć z odpowiednimi zapasami, ale Luz orzekła, że jeszcze jest za wcześnie, że muszą najpierw wypuścić żywe organizmy, które skonstruowali... takiego użyła słowa: skonstruowali. Wszystko będzie do siebie pasowało. Plemiona będą miały środki do życia. Będzie dla nich miejsce na świecie.

Nie było śladu plugastwa. Nic nie rosło oprócz garstki drobnych organizmów, które bardzo interesowały Luz... Marak przywiózł je przed wieloma laty.

Nie istniały jednak żadne większe formy życia.

Opowiadał się za wyprawą do Pori czy też tego, co z niej zostało, jeżeli w ogóle coś ocalało na Lakht. Jeszcze teraz trudno mu było myśleć, że nic nie przetrwało. Luz wysłała tam swoje latacze, które nie znalazły nic różniącego się od tego, co mieli na dole, ale Marak uważał, że człowiek może zobaczyć, zrobić i znaleźć więcej.

Ondat wciąż byli podejrzliwi. Wiedział o nich. Wiedział o innych światach. Wiedział o tym, że ludzie Iii zbyt szybko badali nowe terytoria, zrazili do siebie ondat i stoczyli wojnę ze stwórcami - szczegóły były dyskusyjne i Ila twierdziła, że wcale do tego nie doszło, lecz Luz uważała inaczej, podobnie jak ondat.

Marak wiedział, że Ila przybyła tu i zrobiła wszystko, by przeżyć, bojąc się Luz i jej podobnych tak samo, jak ondat - co świadczyło o tym, że Ila wiedziała, iż źle robi i że jest za to kara.

Marak wiedział o wiele więcej innych rzeczy o świecie, którego był właścicielem, niż kiedykolwiek podejrzewał. Wiedział, że pozwolono im tu żyć, że Luz zawarła z ondat jakąś umowę, że w pewnym sensie są obserwowani jak próbki Luz w jej laboratorium, by dało się stwierdzić, co zrobią umieszczeni w nich stwórcy oraz jak i w jaki sposób zregeneruje się świat.

Ogień spadł do morza, a wstrząs obiegił cały świat, aż stopił skały wschodniego oceanu i rozbił świat, jak ujęła to Norit, niczym garnek. Ziemia wylewała z siebie strumienie stopionej skały, trzęsła się i buchała dymem, który zaciemniał słońce - ale Luz pokazała wieśniakom, jak budować ściany, które nie zawały się podczas trzęsienia ziemi, i obiecała plemionom nowe namioty, które przy niewielkim wysiłku nie dopuszczają do środka zimna.

Ila, która traktowała ich wysiłki z pogardą, powiedziała, że to wszystko ludzie już raz robili i że gdyby potrzebowali tego wszystkiego, to by im to pokazała.

Wiedzieli o tym. Zebrali wszystkie księgi, które dotarły do wieży, i nie było już tajemnic. Głęboko w trzewiach wieży znajdowały się zapiski o wszystkim, co zostało starte z powierzchni ziemi. Znajdowały się tam zapiski o nim. O nich wszystkich, o każdym, kto przyniósł księgę, i o wszystkim, czego dokonali. Były tam też zapisane rzeczy, o których ondat może nie chcieli-, by wiedzieć - Marak wiedział, że pewne księgi Luz, Ian i Ila zachowali dla siebie. Będąc tym, kim był, wiedział o różnych rzeczach, które ci troje mogli chcieć zachować w tajemnicy, ale nie miał chęci o nich mówić, a poza tym i tak nikt inny się tym nie interesował. Ostatnio ekscytowano się jedynie placówkami obserwacyjnymi i wypuszczaniem beshti.

Kiedyś oddychanie powietrzem na zewnątrz paliło płuca i nawet beshti nie mogły przeżyć na powierzchni. W tamtych czasach wychodzili z maskami i maszynami.

Luz jednak powiedziała, że morze ocalało. Luz już wprowadziła stworzycieli do istot schwytych przez Maraka, by wypuścić je z powrotem na wolność. On sam kopał pod cienkimi plackami świeżego śniegu i wysiewał nasiona aż do urwiska... urodził się w wiosce i robił to, co robi wieśniak: sadił rośliny bez względu na to, co z nich może wyrosnąć.

Ila powiedziała, że to też przedtem już robili, i to z większym nakładem pracy, tylko że wtedy mieli plugastwo do roznoszenia stworzycieli. Odbywały z Luz bardzo długie dyskusje.

A więc Marak rozrzucał nasiona. Ponieważ na świecie nie było plugastwa, które by je zjadało, będą czekać. Nasiona umieją czekać.

W południe miał już wieżę w zasięgu wzroku; do pokonania zostało mu tylko ostatnie wzniesienie.

Był zaskoczony. Zobaczył namioty, grupkę białych namiotów wybiegających daleko od wieży, daleko poza ściany, które budowali. Prawie mógłby się założyć, że to an'i Keran. A ta druga grupka namiotów, też rozbita oddzielnie w przeciwnym kierunku - to mogą być Haga.

Była wiosna. Sądził, że jeśli nie jest to spontaniczny bunt, to może sama Luz zachęciła do tego nagłego wykwitnięcia na wolnym powietrzu. Plemiona pod trwałym dachem stawały się niespokojne.

Te namioty to był dobry widok. Plemiona jednak będą musiały znaleźć jakiś sposób na zaznaczanie różnic między sobą, jakąś kolorową, wzorzystą odznakę. Był pewien, że coś wymyślą.

Przeciał ostatnią płaszczyznę przed wzgórzem, zostawiając za sobą w śniegu samotne tropy i widząc podobne tropy wiodące do namiotów. Mieli tam beshti.

Jako że był jedynym podróżnym przybywającym z zachodu, a na zewnątrz wieży panowało takie ożywienie, nie zdziwił się, że został zauważony.

Nie zdziwił się też, słysząc głosy: *Marak, Marak, Marak* - ani czując coraz większe ciepło oznaczające dom, gdziekolwiek ów dom by się znajdował.

Jego żony wiedzą, że się zbliża. Czuwają.

Kiedy podjechał do wejścia, wyszły mu z wieży na spotkanie: Norit chcąc jak najprędzej powitać go w domu, Hati czekająca na wieści o tym, co widział.

Na cienką warstewkę śniegu wybiegły też dzieci, maluchy córki Lelie oraz prawnuki Maraka i Hati... a ten młodo wyglądający człowiek to wysoki syn Memnanana, Memnanet, też ojciec kilku pokoleń, których dochował się z Lelie.

▪
Sami tworzyli plemię. Stali się nim... ich garstka nie starzała się i szybko zdrowiała - Luz nazywała ich wzorcami, co nie było ich słowem. Kimś takim stał się też Memnanan: trójka rządząca ich życiem uznała go za niezbędnego. Z tego właśnie powodu Memnanan wiedział, że Marak wrócił, a Marak dokładnie wiedział, gdzie jest Memnanan, przy namiotach, gdzie dyskutował z Aigya-nem o sprawach, których Marak mógł się prawie domyślać.

Ale spośród nich wszystkich, pominąwszy hałaśliwą cizbę małych dzieci, to Hati wybiegła mu na spotkanie, Hati, zawsze młoda, z powiewającymi warkoczami i szatami, z bransoletami błyskającymi złotem pod ołowianym niebem.

Zsunął się z siodła i rozłożył ramiona.

Lecz, znalazłszy się niemal w ich zasięgu, Hati zatrzymała się i spojrzała w górę. Ją, wieżę i zdumione dzieci, które patrzyły w niebo z lekkim przestraszaniem, dotknęło światło.

Marak też podniósł wzrok na dawno zapomnianą potęgę na niebie.

Przez chmury przebił się, choć może tylko na chwilę, słoneczny blask.

1

PRZESTRZEŃ OBJAWIENIA

Alastair Reynolds

W dalekiej przyszłości ludzi zaprzęta pytanie: dlaczego we wszechświecie jest tak mało cywilizacji?
„Przestrzeń Objawienia” zabiera czytelnika w zawrotną kosmiczną podróż - również w czasie - by

doprowadzić go do niesamowitej odpowiedzi...

Dziewięćset tysięcy lat temu zagładzie uległa cywilizacja Amaran-tinów. Teraz rodzimy świat Amaran-tinów kolonizują ludzie, którzy odkrywają doskonale zachowane miasto obcych. Jeden z uczonych - Dan SyWeste - twierdzi, że rozwiązanie zagadki starej cywilizacji jest niezwykle ważne dla losów ludzkości.

Postanawia dociec prawdy, choć jego możliwości są ograniczone. W tym celu wchodzi w niebezpieczny układ ze scyborgizowanymi członkami załogi uzbrojonego statku „Nostalgia za Nieskończonością”. Są dla niego jedyną nadzieją i choć zagrażają jego życiu, pragnie za wszelką cenę osiągnąć swój cel.

Bliski dotarcia do sedna tajemnicy, dowiaduje się, że jeden z cyborgów ma go zabić. Cywilizację Amaran-tinów zniszczono celowo i jeśli SyWeste nie odkryje przyczyn tego aktu, cały świat - nawet sama rzeczywistość - może ulec nieodwracalnym zmianom...

WSPOMNIENIE LODU

Steven Erikson

Na spustoszonej kontynencji Genabackis zrodziło się nowe, straszliwe imperium, Pannion Domin, które szerzy się niczym potop skażonej krwi, pożerając wszystkich, którzy nie słuchają słów tajemniczego proroka zwanego panniońskim jasnowidzem. Sprzeciwia mu się sojusz, w którego skład wchodzi Zastęp Dujeka Jednorękiego, Caladan Brood, Anomander Rake oraz Rhivijczycy z równin. Fanatycy jasnowidza mają przewagę liczebną, dlatego też sojusznicy muszą zapomnieć o dzielących ich różnicach i nawiązać kontakt z potencjalnymi sprzymierzeńcami, tajemniczym bractwem najemników, noszącym nazwę Szarych Mieczy, które zobowiązało się bronić miasta Capustan przed oszalałymi hordami.

„Wspomnienie lodu”, w którym powraca wielu kluczowych bohaterów „Ogrodów księżyca”, stanowi kolejny rozdział epickiej fantasy Stevena Eriksona - Malazańskiej księgi poległych.

1

A i

JUŻ W SIERPNIU!

„Wspomnienie lodu”